

**TOM HOLLAND**

**DRZEMIĄCY**

**W PIASKACH**

**THE SLEEPER IN THE SANDS**

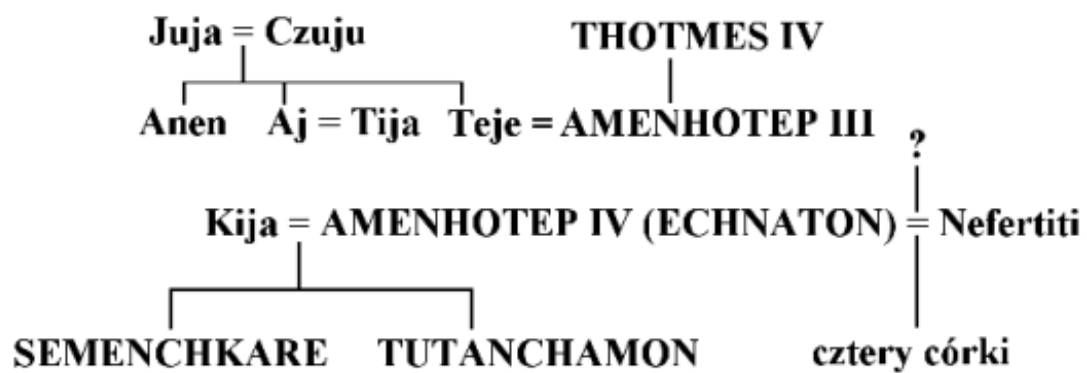
**Przekład: Agnieszka Kowalska**

**Wydanie oryginalne: 1998**

**Wydanie polskie: 1998**

**TMN**

*Mattosowi,  
faraonowi wśród przyjaciół*



### Późna XVIII dynastia

Istnieje wiele możliwości zapisu imion egipskich. Autor zastosował system Howarda Cartera, imiona faraonów podano kapitalikami.

Mów:

„Szukam schronienia u Pana jutrzeńki,  
przed złem tego, co On stworzył,  
przed złem ciemności, kiedy się szerzy,  
przed złem tych, którzy dmuchają na węzy,  
i przed złem człowieka zawistnego,  
w chwili kiedy żywi zawiść!”

Sura CXIII Jutrzeńka (Al-Falak), Koran

# **Opowieść o złotym ptaku**

C ałą noc śnił o poszukiwaniach. Widział samego siebie, zagubionego w kamiennym labiryncie, gdzie nie było niczego poza strzępkami bandażu mumii i papirusami, z których już dawno zniknęły ślady pisma. Jak zawsze, nawet kiedy błądził w ciemności i kurzu, wiedział, że gdzieś przed nim, ukryty w skale, czekał cudowny grobowiec; tylko ta pewność chroniła go przed rozpaczą. Ciągłe błądził ale wyobrażał sobie, że krąży w pobliżu grobu. Wyciągał ręce, jakby przenikał przez skałę, i przez moment miał wrażenie, że dostrzega blask złota, czuł radość, która nadawała sens jego życiu. Kiedy jednak spojrzął znowu, blask zniknął i już wiedział, że tajemnice jego życia i bardzo odległej przeszłości przepadają gdzieś w ciemnościach. Wyciągał ręce po raz drugi. Uderzał dłońmi o skałę. Nigdzie śladu złota – tylko skała i piach, i pył...

Howard Carter przebudził się gwałtownie. Usiadł, bardzo ciężko oddychając – a jednak czuł się niemal rześko. Przymrużył oczy. Poranne słońce, jakby na przekór późnej porze roku ciągle dające dużo ciepła, już wcześniej wypełniło pokój jasnymi promieniami. Ale to niejasne światło obudziło Cartera. Howard ponownie zmrużył oczy, a potem je przetaił. I wtedy usłyszał śpiew ptaka.

Spojrzał tam, skąd dobiegał dźwięk. Zaledwie tydzień temu przywiózł ze sobą kanarka z Kairu, złotego ptaszka w pozłacanej klatce. Wstał z łóżka i podszedł do małego śpiewaka. Pamiętał, że kiedy tu wrócił, by zacząć sezon wykopalisk, a służący niósł za nim błyszczącą klatkę, jeden z robotników krzyknął: „Złoty ptak na pewno przyniesie nam szczęście! W tym roku znajdziemy, *in sha'Allah*, grobowiec pełen złota!”.

Carter z pewnością żywił taką nadzieję, ale nawet gdy karmił kanarka, uśmiechał się ponuro. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak rozpaczliwie potrzebuje szczęścia, które w tak niewielkim stopniu dopisywało mu w ciągu minionych sześciu lat. Tyle starań i prawie nic w zamian. Wiedział, że jego patron traci wiarę w sens badań. Carterowi z trudem udało się namówić lorda Carnarvona do sfinansowania jeszcze jednego, ostatniego sezonu. Jeśli mieli znaleźć grobowiec, nietknięty, grobowiec pełen złota, dający im nieśmiertelną sławę, to odkrycie musiało nastąpić w ciągu najbliższych kilku miesięcy. W ciągu najbliższych kilku miesięcy albo nigdy...

Chociaż wcześniej w ogóle nie znaleziono w Dolinie nie ograbionego grobowca, Howard był pewien, że gdzieś tam musi być. Nigdy w to nie wątpił. Zatrzymał się na moment, patrząc na ptaka; potem gwałtownie wstał i podszedł do biurka, sięgnął po klucz i otworzył najniższą szufladę. Z jej czeluści wyjął plik wyblakłych papierów. Przycisnął go mocno do piersi.

Nagle ptak zaczął śpiewać i nawet dźwięki, które wydawał w jasnym świetle tebańskiego poranka, wydawały się złociste.

Howard Carter odłożył papiery na miejsce i zamknął szufladę. Miał dużo pracy. Czekają na niego wykopaliska w Dolinie Królów.

Mały nosiwoda skrzywił się i położył na ziemi swój ładunek. Praca tego dnia dopiero się rozpoczęła i wielki gliniany dzban był jeszcze pełny po brzegi. Chłopiec otrzepał ręce i tęsknie spojrział w stronę Cartera. Bardzo chciał kopać i znaleźć grobowiec pełen złota. Czy nosząc cały dzień wodę, biegając i obsługując starszych mężczyzn, mógł mieć nadzieję, że w ogóle cokolwiek odkryje?

Z nudów rozgarniał stopą piach przed sobą. Nagle poczuł płaską powierzchnię skały. Pochylił się i zaczął kopać energiczniej, pomagając sobie rękami. Wydawało się, że skała, którą odsłonił, zapada się w głąb. Jeden z robotników zawołał chłopca, domagając się wody, ale malec go zignorował. Robotnik podszedł do niego wściekły, wznosząc rękę do ciosu. Nagle dłoń mężczyzny opadła. Arab w milczeniu patrzył na to, co odkopał chłopiec.

Był to stopień. Wykuty w skale. Prowadził w dół, w głąb ziemi.

Kiedy Howard Carter przybył na miejsce, cisza wisiała w powietrzu jak tuman białego kurzu. Wszyscy robotnicy utkwili wzrok w swoim przełożonym; Carter natychmiast się zorientował, że coś znaleźli. Ahmad Girigar, rais, wysunął się z tłumu. Ukłonił się i wyciągnął rękę.

Przez chwilę Carter czuł, jakby mu serce stanęło; jakby cała Dolina i niebo zlały się w jedno w tym krótkim momencie.

Odkłonił się z roztargnieniem. Ciągłe milcząc, przeszedł wzdłuż szeregu robotników. Słyszał szepty wśród robotników, wkrótce przechodzące w okrzyki podniecenia i zachwyty, że znaleziono „grobowiec ptaka”.

Kazał przynieść kanarka, aby zachęcić do pracy ludzi usuwających piasek i kamienie. Była to też – Carter nie mógł temu zaprzeczyć – rozpaczliwa próba uspokojenia własnych nerwów, ponieważ od dzieciństwa był miłośnikiem ptaków i ich śpiew miał na niego kojący wpływ. Ale mimo iż w tym pierwszym długim dniu i w ciągu następnych, wydawał się opanowany, w jego głowie kłębiły się myśli pełne przerażenia i nadziei, więc ledwie słyszał trele. W uszach dźwięczał mu tylko stukot motyk o skałę, w miarę jak powoli, stopień za stopniem ukazywały się schody.

Słońce już prawie zachodziło, kiedy został odsłonięty pierwszy fragment drzwi. Howard Carter stał na szczycie schodów, ledwie zdolny do jakiegokolwiek ruchu, sparaliżowany wątpliwościami, jakie go nagle ogarnęły. Być tak blisko cudownego odkrycia... a potem się rozczarować. Ta straszliwa myśl przysłoniła wszystkie inne. Powoli, lecz stanowczo zszedł w końcu ku drzwiom, a jego twarz pozostała tak samo kamienna jak przez cały dzień.

Ręce jednak mu drżały, kiedy sięgnął po pędzel, aby zmieść pył z drzwi. Nagle zdał sobie sprawę, że była na nich pieczęć; poczuł tak silny zawrót głowy, że musiał oprzeć się o ziemię. Wtedy mógł dokładniej przyjrzeć się pieczęci. Rozpoznał ją natychmiast: szakał siedzący nad dziewięcioma związanymi jeńcami – znak cmentarza w Dolinie Królów.

Carter wziął głęboki oddech. Widywał ten symbol już wcześniej, odcisnięty na innych grobowcach w Dolinie – ale wszystkie były splądrowane. Wyciągnął rękę, aby dotknąć kamiennego bloku, przed którym stał; końcem palca powiódł po rysunku. W innych miejscach szakał nie uchronił zawartości grobów; dlaczego tym razem miałoby być inaczej? Carter znowu zaczął omiatać pył z drzwi i wtedy zauważył ciężkie, drewniane nadproże spoczywające na bloku. Zawołał, aby przyniesiono kilof. Ostrzem delikatnie wydłubał niewielki otwór. Kiedy czubek narzędzia wpadł w pustkę, archeolog wyciągnął z kieszeni latarkę, zmrużył oczy i zajrzał w dziurę.

Widział gruz blokujący korytarz. Kamienie dokładnie wypełniały przejście, od podłogi po sufit. Nic nie wskazywało na to, aby kiedyś zostały naruszone. Cokolwiek znajdowało się za nimi, z pewnością ciągle było na swoim miejscu.

Carter powoli opuścił latarkę. Oparł czoło o zakurzony kamienny blok.

Najwyraźniej na odkrycie czekało coś, co pieczołowicie zamurowano.

Ale co?

Co?

Carter wiercił się niecierpliwie. Musiał się upewnić. Znowu przystąpił do omiatania drzwi, przyglądając im się dokładnie w poszukiwaniu następnej pieczęci, która pomogłaby zidentyfikować właściciela grobowca. Wydawało się wręcz niemożliwe, aby jej tu nie było, ponieważ według starożytnych, o czym wiedział, upamiętniała imię, które pozwalało utrzymać przy życiu duszę zmarłego. A czyż tę wiarę nie należy uznać za słuszną – przyszło nagle Carterowi do głowy. Czy sława nie jest najprawdziwszą nieśmiertelnością?

Ciągle jednak nie udawało mu się niczego znaleźć i im głębiej kopał, tym większa niepewność go dręczyła. Zaczął rozgrzebywać piach palcami” starając się odsłonić dalsze fragmenty drzwi. Nagle zamarł. Poczul, że czegoś dotknął. Kiedy znowu przystąpił do pracy, usuwając piasek z największą ostrożnością, na jaką mógł się zdobyć, zorientował się, że odkopuje tabliczkę z wypalanej gliny. Wyglądała na nienaruszoną; po jednej stronie miała odcisniętą linię hieroglifów. Carter wydobył tabliczkę. Wstał, przyglądając się jej uważnie, i półgłosem odczytywał tekst, próbując zrozumieć jego sens.

Robotnicy z niepokojem patrzyli, jak twarz pracodawcy staje się coraz bardziej blada.



– Proszę pana, co to jest? Co ona mówi? – zapytał rais Ahmad Girigar.

Carter ruszył z miejsca najwyraźniej odzyskując równowagę ducha. Nie odpowiedział, lecz wchodząc po schodach, sięgnął po marynarkę i troskliwie zawinał w nią tabliczkę. Dopiero wtedy zwrócił się do raisa:

– Zasypcie to – polecił. – Nie możemy posunąć się dalej, dopóki nie przyjedzie lord Carnarvon. Zasypcie wszystko i przykryjcie kamieniami. Chcę, żeby wyglądało, jakby nigdy nie było tu żadnego grobowca.

Howard Carter wrócił do domu późno. Wzgórza wznosiły się stromo na tle gwiazd, a na krętej drodze prowadzącej z Doliny, teraz zupełnie pustej, cienie były czarne i panowała śmiertelna cisza. Nikt go nie obserwował, nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć wyraz jego twarzy. Ale dopiero blisko domu Carter rozluźnił zaciśnięte szczęki i pozwolił; aby nieoczekiwany uśmiech zdradził wypełniające go uczucie tryumfu i radości. Pamiętał, jak bardzo podekscytowani wydawali się strażnicy, których pozostawił przy grobie, najbardziej zaufani spośród robotników. Uśmiechnął się raz jeszcze.

Zsiadł z konia i popatrzył wokół, jakby chcąc się upewnić, że nie śni. Nic się jednak nie zmieniło od rana, gdy odjeżdżał. Jego dom – delikatna oaza zieleni wśród poszarpanych skał i piasku – stał możliwie najbliżej starożytnego królestwa śmierci. Wszystko wydawało się ciche, lecz Carter wiedział, że tutaj, daleko od Doliny, wśród troskliwie pielęgnowanych drzew i wybujałych kwiatów, noc była wypełniona życiem. Spojrzał w górę. Nagle usłyszał trzepot skrzydeł i zobaczył ptaka, uwijającego się w pogoni za owadami. Nocny łowca doskonale wtapiał się w tło, ale Carter szybko rozpoznał w nim nakrapianego lelka; znał wszystkie gatunki ptaków żyjących w Egipcie.

– *Tair al-mat* – szepnął sam do siebie. Tak nazywali lelka miejscowi Arabowie. „Ptak nieboszczyka”, ptak przynoszący złą wróżbę.

Wtedy nagle przypomniał sobie o zawartości swojej torby. Próbował jeszcze raz znaleźć wzrokiem lelka, ale ptak już zniknął. Carter skierował się w stronę domu. Myśl o niesionym przedmiocie wywołała w badaczu niepokój. Howard zawsze był dumny, że stosuje się do najszczytniejszych ideałów zawodu archeologa, że przyczynia się do rozjaśniania mroków przeszłości, nigdy zaś dotąd nie splamił się grabieżą – bo cóż innego mogłoby usprawiedliwiać rozkopywanie grobów, jeśli nie rozwój nauki? Z pewnością wcześniej ani razu nie zabrał żadnego obiektu z wykopalisk, w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów, bogatszych i mniej skrupulatnych, mających podejście do archeologii bardziej amatorskie. A jednak tym razem jego postępek był usprawiedliwiony. Wiedział, jak bardzo przesądni są tubylcy. Nie mógł sobie pozwolić na to, aby ich stracić; nie teraz, kiedy cel jest tak blisko, nie z powodu głupich obaw i plotek.

Pojawił się służący i Carter nagle zdał sobie sprawę, jak mocno ściska torbę w rękach, niemal tuli ją do piersi; w pośpiechu pozdrowił służącego i wszedł do środka. Żwawo ruszył

przez cały dom do pracowni; kiedy już się tam znalazł, zamknął drzwi i zapalił lampę. Panowała zupełna cisza. Kanarek, przyniesiony z powrotem nieco wcześniej, spał głęboko; wszystko było nieruchome, jeśli nie liczyć migoczących cieni. Carter przez chwilę jeszcze stał w blasku lampy, po czym przeniósł ją na biurko i przysunął krzesło. Położył przed sobą torbę, a po chwili sięgnął do środka. Bardzo delikatnie wyjął tabliczkę.

Rozsunął fałdy materiału, aby ją odsłonić. Serce zaczęło mu bić szybciej, bezwiednie skubał koniec wąsów. Wściekły na samego siebie, starał się opanować nerwy. Co za szaleństwo! Jest profesjonalistą, człowiekiem nauki! Czy po to tak zaciekle walczył o tę pozycję, aby teraz zaprzepaścić wszystko, kiedy nadchodzi sukces. Carter ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową. Ponownie zaczął studiować linię hieroglifów, wodząc po nich palcem. Kiedy skończył, odchylił się na krześle.

– Śmierć na szybkich skrzydłach dosięgnie tego, który naruszy grób faraona – wyszeptał. Wydawało mu się, że słowa te nadal dźwięczały w ciszy.

Jeszcze raz głośno powtórzył tłumaczenie i wbrew samemu sobie rozejrzał się dookoła. Chyba coś usłyszał. Wiatr delikatnie poruszał zasłonę, ale w pustym pokoju nie było nikogo. Carter wstał gwałtownie i podszedł do okna. Na zewnątrz panował zupełny spokój, tylko gwiazdy skrzyły się na gorącym aksamicie nieba.

Howard wrócił do biurka. Kiedy usiadł, jego uwagę przykuł stojący na blacie posążek, na który płomień lampy rzucał migoczące cienie. Sięgnął po figurkę – niewielką, wyrzeźbioną z niezwyklej precyzją z jednego kawałka czarnego granitu. Wygląda tak samo świeżo – myślał Carter – jak wtedy, gdy ją wyrzeźbiono, prawie trzy i pół tysiąca lat temu. Spojrzał na wizerunek twarzy młodego człowieka, najwyżej dwudziestoletniego; ale mimo młodego wieku, mężczyzna miał spojrzenie nieugięte, a rysy ponadczasowe, co sprawiało wrażenie, jakby należał raczej do świata śmierci niż ludzi. Chłopak ścisnął w rękach symbole nieśmiertelności, a na głowie nosił korony egipskiego faraona. Carter przyglądał się kobrze, doskonale zachowanej na koronie: święty ureusz, wyprężony, z rozdętym kapturem, pluł jadem na wrogów króla. *Wadzet* – strażniczka królewskich grobowców.

I nagle, kiedy myślał o tym wszystkim, poczuł, że jego obawy znikają i wraca nastrój tryumfu i podekscytowania. Odłożył posążek na bok i ponownie zajął się badaniem tabliczki. Cóż bowiem mogła znaczyć ta groźba, jeśli nie to, że rzeczywiście odkrył grobowiec faraona – i to nie byle jakiego, lecz właśnie tego, którego od lat obiecywał znaleźć? Jeszcze raz zerknął na posążek, po czym pogrzebał w kieszeni i wyjął klucze. Kiedy otworzył najbliższą szufladę biurka, zobaczył z ulgą, że papiery leżą tak, jak je poprzednio zostawił. Wyciągnął plik i położył delikatnie na tabliczce, po czym wszystko razem ostrożnie wsunął na dno szuflady. Przekręcił klucz, w zamku. Zostaną tam aż do czasu, kiedy lord Carnarvon przybędzie do Egiptu. Carter wiedział, że teraz, kiedy wiadomo już gdzie jest grób, czeka go wiele wyjaśnień, które obiecał swojemu patronowi. Tajemnica grobowca zawsze była

ciężarem. Carter ucieszył się więc, że podzieli się z kimś informacjami; choć takie pragnienie zaskoczyło jego samego, gdyż zwykł myśleć o sobie jako o człowieku samowystarczalnym.

Sięgnął po arkusz papieru i odkręcił pióro. 4 LISTOPADA 1922 – napisał. – DO LORDA CARNARVONA, HIGHCLERE CASTEL, HAMPSHIRE, ANGLIA. Przerwał na chwilę, po czym kontynuował. W KOŃCU DOKONALIŚMY CUDOWNEGO ODKRYCIA W DOLINIE. WSPANIAŁY GROBOWIEC Z NIETKNIĘTYMI PIECZĘCIAMI. ZASYPANY DO PAŃSKIEGO PRZYBYCIA. GRATULACJE. CARTER. Osuszył atrament. Postanowił wysłać telegram następnego ranka – tak wcześnie, jak tylko to możliwe. Uśmiechnął się ponuro. Musi wytrzymać oczekiwanie, ale nie zamierza niepotrzebnie przedłużać tej tortury.

Zanim poszedł do łóżka, sięgnął ponownie po figurkę króla i postawił ją na liście, używając jako przycisku do papieru. Unosząc lampę, spojrzął na młodzieńca i nagle wydało mu się, że oczy statuetki rozbłysły. Ale było to tylko odbicie światła, ponieważ gdy Carter przyjrzał się obliczu dokładniej, zobaczył, że oczy bledną, a padający cień sprawił, że ich czern stała się jeszcze głębsza.

W ciągu następnych dni czekało go wiele zajęć. Lord Carnarvon odelegrafował bardzo szybko: dotrze do Aleksandrii w ciągu dwóch tygodni, w towarzystwie swojej córki, lady Evelyn Herbert. Przyznał, że ostatnio chorował i ciągle jeszcze nie czuje się dobrze, ale nowiny o grobowcu były lekarstwem, jakiego potrzebował. I on, i lady Evelyn są niezwykle podekscytowani.

Aby goście nie czuli rozczarowania po przyjeździe, Carter poświęcił dwa tygodnie na drobiazgowy przygotowania. Należało zgromadzić sprzęt, zebrać ekspertów, przewidzieć wszelkie problemy i możliwości. Tylko planowanie. Carter nie po to doszedł tak daleko i wytrwał tak długo, aby w pośpiechu potknąć się na ostatnim kroku. Schody prowadzące do drzwi były zasypane piaskiem i kamieniami, a tabliczka i papiery spoczywały w szufladzie. Również we własnych myślach starał się ukryć te skarby, aby nic ich nie mogło naruszyć.

Jednak w sennych marzeniach więzy rozluźniały się. Bardzo często nawiedzał Cartera sen, w którym schody były odkopane. Widział samego siebie, stojącego przed drzwiami, całkowicie odsłoniętymi. W rękach trzymał tabliczkę i wydawało mu się, że klątwa jest zapisana krwią. Wiedział, że pieczęcie powinny pozostać nietknięte, ale mimo to wydał polecenie otwarcia drzwi. Wówczas tabliczka rozpadła się w jego rękach w pył. Carterowi wydawało się, że się obudził. Ale nadal widział drobinki prochu z tabliczki, układające się w jego pokoju w cienie dziwnych postaci.

Takie koszmary, kiedy naprawdę się budził, doprowadzały Cartera do wściekłości. Znalazłszy się tak blisko celu poszukiwań, odkrywał, że nie może zapomnieć o tajemnicy, która doprowadziła go do samych drzwi grobowca i którą postanowił zamknąć w szufladzie swojego biurka. Irytowało go poczucie winy z powodu zabrania tabliczki z piasków Doliny, ale wiedział, że nie może odłożyć jej na miejsce, ani ogłosić odkrycia, jeśli nie chce rozbudzić

lęku w robotnikach! Nie może też zatrzymać znaleziska, gdyż czułby się złodziejem. Był to poważny problem i Carter musiał znaleźć jakieś rozwiązanie.

Do tego, w miarę jak zbliżała się data przybycia lorda Carnarvona, sny Cartera stawały się coraz okropniejsze.

Prawie żałował, że w ogóle zabrał tabliczkę. Podobnie jak wówczas, gdy przyniósł ją z miejsca wykopalisk, ciążyła mu w torbie. Carter przekładał bagaż z jednej ręki do drugiej. Jakiś chłopiec zaproponował mu pomoc, ale na samą myśl o tym, że mógłby komuś choć na chwilę oddać swój drogocenny przedmiot, Carter chwycił torbę mocniej i odesłał malca.

Przyglądał się, jak reszta jego rzeczy jest ładowana na felukę. Dopiero kiedy wszystko było gotowe, sam wszedł na pokład łodzi. Nagle przez krótką chwilę – zupełnie króciutką – przyszło mu do głowy, aby zawrócić do domu. Ale wiedział, że nie może się spóźnić na pociąg, gdyż lord Carnarvon oczekuje w Kairze, a spędził on w stolicy już trzy dni – nie było czasu do stracenia. Tak więc Carter przywitał się z kapitanem i zajął miejsce. Troskliwie umieścił torbę przy boku i obserwował, jak łódź odbija od nabrzeża i wypływa na leniwy nurt Nilu.

Carter wstał i rozejrzał się. Zobaczył nad sobą czapkę poruszającą się z gracją w świetle wczesnego poranka, na pół godziny przed wschodem słońca. Przyglądając się ptakowi Carter nerwowo gniótł torbę i niechcący nacisnął na zatrask. Otworzył go, zajrzał do środka, wsunął rękę, aby się upewnić, że plik papierów jest tam, gdzie został włożony, w zaklejonej kopercie na dnie torby.

Wówczas, zupełnie przypadkiem, dotknął czubkami palców tabliczki. W tym samym momencie rozejrzał się podejrzliwie dookoła, chcąc sprawdzić, czy nikt mu się nie przygląda. Najciszej, jak potrafił, wyjął tabliczkę i położył ją na kolanach, po czym wbił wzrok w ciemną, leniwie płynącą wodę Nilu.

Carter siedział zgarbiony, sparaliżowany wątpliwościami i wyrzutami sumienia. Wiedział, że to, co zamierza, jest przejawem tchórzostwa, więcej: sprzeniewierzeniem się temu, co starał się osiągnąć, zaprzeczeniem idei, które cenił. Jeszcze raz zerknął do wnętrza torby, na grubą zaklejoną kopertę, i potrząsnął głową. Przez niemal dwadzieścia lat zawartość tej koperty dodawała mu siłę, otuchy i wiary w siebie nawet wtedy, kiedy wszystko inne zawodziło. Teraz, w końcu, wydawało się, że potwierdzenie manuskryptu leżało na jego kolanach – czyż rękopis nie mówił o tym, że grobowiec faraona został obłożony klątwą? Carter uśmiechnął się do siebie smutno i przyglądał wąsy. Oczywiście wiedział, że nie należy traktować dosłownie tych bzdur. Był przekonany, że opisane w manuskrypcie fantastyczne cuda i tajemnice zrodzone z dawno zapomnianych przesądów mogą mieć znacznie głębsze znaczenie. Już dawno bowiem nauczył się, że starożytne mity mogą dla współczesnego archeologa znaczyć równie wiele co grobowce.

Dlaczego więc, wiedząc o tym wszystkim, był aż tak bardzo podenerwowany ostrzeżeniem zapisanym na tabliczce? Spojrzał na nią raz jeszcze. Może po prostu zbyt długo żył z manuskryptem, z jego światem tajemnic i niewyobrażalnych mocy? Może rękopis wywarł na niego większy wpływ, niż kiedykolwiek odważył się przypuszczać?

Carter westchnął. W końcu wzięła w nim górę obawa, że manuskrypt wywarł wpływ na jego rozum, a nawet niewykluczone, że przeszkadzał mu w pracy. Howard uświadomił sobie, że postępował arogancko, obawiając się zabobonów robotników; jego własne przesady stanowiły o wiele poważniejsze zagrożenie. Uśmiechnął się słabo. Jeśli ich uspokojenie wymaga jednej ofiary, to cóż... przynajmniej starożytni mogliby to zrozumieć.

Rozejrzał się wokół raz jeszcze, aby się upewnić, że nadal nikt go nie obserwuje. Zadowolony podniósł tabliczkę z kolan. Oparł ją na burcie... i puścił. Rozległo się ciche pluśnięcie. Carter długo patrzył w miejsce, gdzie utonęła. Wody Nilu płynęły równie cicho jak przedtem, tylko czapła zaniepokojona hałasem krążyła i krzyczała przeraźliwie, odlatując przed nadejściem świtu.

W tej samej chwili w domu Cartera służący siedział przed wejściem i słuchał śpiewu kanarka w klatce. Nagle rozległ się przejmujący, niemal ludzki krzyk. Później nastąpiła cisza. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że nawet śpiew ptaka umilkł. Służący zerwał się na równe nogi i popędził do pokoju, z którego dobiegł wrzask. Była to pracownia Cartera. Wchodząc do środka, Arab niemal odruchowo spojrzał w kierunku klatki.

Wypełniał ją jakiś potworny kształt. Kiedy służący podszedł bliżej, rozpoznał kaptur kobry i martwego już kanarka w jej paszczy. Dreszcz przeszedł po łuskach gada. Wąż uniósł głowę, jakby szykując się do drugiego ataku. Ale nagle uspokoił się i wypuściwszy skrzydlatą ofiarę wyśliznął się z klatki. Służący przyłgął plecami do biurka i patrzył, zamarty z przerażenia, jak kobra pełźnie w jego stronę. Rozpaczliwie, po omacku poszukując jakiejś broni wokół siebie, natrafił na małą figurkę. Zamierzył się nią, ale kobra przepęzła obok niego, owinęła się wokół nogi biurka, przesunęła się przez otwarte okno i zniknęła, pogardliwie machnąwszy ogonem na pożegnanie.

Mężczyzna odsunął biurko i rzucił się do okna, aby zobaczyć, w którą stronę dziedzińca odpełził wąż, ale na piasku nie było ani śladu. Egipcjanin wzdrygnął się i wymamrotał modlitwę – bo wyglądało na to, że kobra rozplynęła się w powietrzu.

Odwrócił się i podszedł do klatki. Włożył rękę do środka i bardzo delikatnie wydobył ciało ptaszka. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że ciągle ścisną w drugiej dłoni posążek; kiedy dokładniej się jej przyjrzał, zacisnął palce jeszcze mocniej. Rozpoznał wizerunek króla, którego znaleziony niedawno grobowiec miał zostać wkrótce otwarty; na koronie faraona prężyła się kobra. Imię tego władcy brzmiało Tutanchamon.

# **Opowieść o drzemiącym w piaskach**

## *List Howarda Cartera do lorda Carnarvona*

The Turf Club,  
Kair, 20 listopada 1922 r.

Drogi lordzie Carnarvon!

Powinien Pan wiedzieć jak bardzo cieszy mnie każda możliwość zobaczenia się z Panem, ale tym razem przyczyna naszego spotkania była szczególna – jakże przyjemna, jakże cudownie przyjemna! Jednak ośmielam się mieć nadzieję, że to, co najwspanialsze, dopiero nadejdzie i z największą niecierpliwością oczekuję sposobności, by móc również Pana o tym przekonać. Tymczasem spodziewam się, że wszystko powinno już być gotowe dla Pana i lady Evelyn, gdyż moje przygotowania w Kairze poszły nadspodziewanie dobrze i udało mi się kupić wszelkie rzeczy, jakich moglibyśmy potrzebować do ukończenia naszych wykopalisk. Mam więc nadzieję, że po Pańskim przybyciu do Teb nie będzie już żadnego powodu do odwlekania dalszych prac.

Ostatniego wieczoru zapytał mnie Pan, co moim zdaniem odkrywamy za drzwiami naszego nie zidentyfikowanego jak dotąd grobu. Wówczas, w obecności innych osób, ociągałem się ze szczerą odpowiedzią, ale teraz przykładając pióro do papieru ośmielam się stwierdzić, że istotnie stoimy na progu wspaniałego odkrycia, które prawdopodobnie unieśmiertelni nas na stronicach archeologicznych kronik. Wszystko – dokładnie wszystko – może znajdować się za korytarzem. Nie mówię tutaj o przedmiotach czy złocie, ale o skarbie mającym tysiącrotnie większą wartość. O ile się nie mylę, grobowiec, który odkopaliśmy, należy do Tutanchamona. Jeśli okaże się, że tak jest naprawdę, to wewnątrz znajdziemy – przepowiadam to – ślady wielkiej starożytnej tajemnicy. Kiedy grobowiec już zostanie otwarty, a jego zawartość zbadana, nasza wiedza o przeszłości zmieni się radykalnie i na zawsze.

Niewątpliwie zastanawia się Pan, co skłania mnie do takich twierdzeń. Obietnice, jakie składam, muszą się Panu wydać czcze i bezpodstawne, biorąc pod uwagę sześć lat niepowodzeń. Ale niech Pan nie zapomina o moich zapewnieniach, które czyniłem z największym zapałem i przekonaniem, że Dolina Królów nie jest opróżniona. Tego lata, kiedy

rozważał Pan możliwość zaprzestania prac, zaklinałem się, że jeden grób bez wątpienia nie został naruszony. Nie nalegał Pan wtedy, abym to dokładniej wyjaśnił, lecz uczynił mi Pan zaszczyt i uwierzył na słowo. Zawsze będę wdzięczny za ten przejaw zaufania, gdyż nie ulega wątpliwości, że bez Pana nieustannej pomocy i zachęty nasze prace skończyłyby się fiaskiem.

Teraz jednak, miejmy nadzieję, godzina tryumfu jest bliska. W takiej chwili nic już nie usprawiedliwiałoby dalszego milczenia. Możliwe, że kiedy będzie Pan czytał papiery, które dałem, zrozumie Pan moją wcześniejszą powściągliwość, ponieważ historia, którą opisują, jest zupełnie niezwykła. Nie odważyłem się narażać dla nich swojej reputacji, a jednak bez nich – o czym się Pan przekona – nigdy nie wierzyłbym, że nienaruszony grobowiec faraona czeka na odkrycie. Dlatego – jeśli znajdzie Pan czas – proszę przeczytać dokumenty załączone do tego listu. Część jest mojego autorstwa: wspomnienia spisane w ciągu ostatniego miesiąca, kiedy dowiedziałem się już na pewno, że ten sezon – jeśli nie okaże się pomyślny – będzie moim ostatnim w Dolinie. Pozostałe opowieści mają znacznie dziwniejsze pochodzenie. Znajdują się one w moim posiadaniu już od wielu lat, ale dopiero Panu je pokazałem. Oczywiście nie muszę prosić, aby zachował Pan milczenie na temat ich treści. Niewątpliwie wkrótce sam Pan zrozumie, że dotyczą nadzwyczaj interesujących spraw. Pragnąłbym porozmawiać o nich z Panem w cztery oczy, kiedy już spotkamy się w Tebach.

Tymczasem niech Pan zachowa całą swoją energię i ma się dobrze, gdyż jestem przekonany, że czeka nas jeszcze mnóstwo roboty! Ale niezależnie od tego, jak ciężko pracowaliśmy do tej pory i jak długo trwały nasze poszukiwania, w końcu ich cel znajduje się bardzo blisko!

Drogi lordzie Carnarvonie, proszę dbać o siebie. Papiery są w Pańskich rękach – a wraz z nimi moja kariera.

H.C.



## *Opowiadanie Howarda Cartera, wczesna jesień 1922*

„Zamek” Cartera,  
Alwat ad-Diban, Dolina Królów

Nie należę do ludzi towarzyskich, ale dzisiejszej nocy czuję dziwną potrzebę – chociaż nie powiedziałbym, że rozpaczliwą – zwierzenia się komuś i opowiedzenia o moich daremnych wysiłkach zawodowych. Kiedy skończę pisać tę relację, będę musiał chronić ją przed oczami ciekawskich, ale i tak jestem przekonany, że byłoby lepiej, gdybym sobie wyobraził – tej nocy i następnych – kogoś z moich kolegów czy przyjaciół, na przykład lorda Carnarvona, siedzącego naprzeciwko mnie i słuchającego mojej opowieści.

No i muszę mieć nadzieję – nawet teraz o jedenastej w nocy, że wezmą pod uwagę fakt, iż jestem jedynie rysownikiem bez wykształcenia. To prawda, że król Tutanchamon i jego grobowiec ciągle opierają się moim poszukiwaniom – jednak mimo że zbliża się mój ostatni sezon w Dolinie, nie tracę nadziei. Znajdę go – muszę znaleźć – bo gdybym myślał inaczej, zwątpiłbym w całą moją karierę. Obawiam się, że nigdy się nie ożenię, chociaż w gruncie rzeczy ożeniłem się już – ...z poszukiwaniem grobowca. Kilka miesięcy po przybyciu do Egiptu, a może nawet jeszcze wcześniej, zabrałem się za szukanie Tutanchamona, nie wiedząc o nim nic. W tej chwili przypominam sobie pewne wydarzenie z dzieciństwa, pozornie trywialne, a jednak pożyteczne, skoro po tak długim czasie o nim nie zapomniałem. Stanowiło ono jakby zapowiedź czegoś, co ma się wydarzyć. Nic dziwnego, że wtedy tego nie rozumiałem; wówczas wiedziałem o wiele mniej, a moje zainteresowania i pasja ograniczały się do wiedzy o ptakach, którą sam zdobyłem, niestety niezbyt pożytecznej dla kogoś, kto ma wyruszyć w świat. Moja edukacja, czego zawsze żałowałem, była żałośnie niepełna, ale cóż, pieniądze szły na opłatę rachunków, więc bardzo wcześnie musiałem zacząć na siebie zarabiać. Początkowo pracowałem jako asystent mojego ojca – ilustratora w Londynie i portrecisty na prowincji. Z tymi zajęciami wiązały się pobyty w wielkich wiejskich rezydencjach. Moją ulubioną posiadłością, a przy tym jedną z tych, w których ojciec najczęściej znajdował pracę, było Didlington Hall w hrabstwie Norfolk. Mieszkająca tam

rodzina mogła się poszczycić wieloma talentami i doskonałym smakiem; nie uważała też, że wartość człowieka zależy od dobrego urodzenia. Właściciele Didlington Hall, mili ludzie, odkryli we mnie jakieś talenty artystyczne i pozwolili mi biegać po swoim domu, gdzie każdy pokój i korytarz, jak u prawdziwych wspaniałych kolekcjonerów, był ozdobiony skarbami. Dla moich dziecięcych oczu takie nagromadzenie bogactwa wydawało się ziszczeniem najpiękniejszych baśni i wkrótce stało się moją ambicją – a wręcz najżarliwszym marzeniem – wyszukać i zdobyć podobne cuda dla siebie.

Jednak mimo, że wielce łaskawa rodzina pozwalała mi na wiele, do jednego pokoju nie mogłem wchodzić, ze względu – jak usłyszałem – na szczególnie cenną jego zawartość. Oczywiście starałem się szanować wolę gospodarzy, ale paliła mnie ciekawość – jak sądzę, taka jest ludzka natura, a zwłaszcza natura dziecka. W końcu, niczym żona Sinobrodego, nie zdołałem już dłużej powstrzymać ciekawości i kiedy ojciec malował, zakradłem się żeby obejrzeć tajemniczy pokój. Ku mojemu zaskoczeniu odkryłem, że drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzywszy je, bezszelestnie wszedłem do środka. W pokoju panowała ciemność i przez kilka sekund nie widziałem zupełnie nic. Idąc po omacku wzdłuż ściany, dotarłem do zasłony okiennej i lekko ją odciągnąłem, wpuszczając do wnętrza trochę światła. Z zapartym tchem patrzyłem na stojącą przede mną kolekcję przedmiotów. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś tak dziwnego! Znajdowały się tam figurki z kamienia, gliny i złota, malowidła na drewnianych płytach i mumia ciasno zawinięta w płótno – wyciągnięta w trumnie, jakby pogrążona we śnie. Ten widok zafascynował mnie i wywołał dreszcz przerażenia oraz zachwytu. Podszedłem do mumii. W osłupieniu patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę, a potem przechodziłem od jednego obiektu do drugiego, przyglądając się każdemu z najwyższą uwagą. Jaką dziwną naturę musieli mieć ci ludzie – myślałem – jakie dziwaczne zwyczaje, przesady i wierzenia, żeby stworzyć coś takiego – a jednak, jak widać, byli takimi samymi ludźmi jak ja!

Obserwowanie i rozmyślanie tak bardzo mnie pochłonęło, że w końcu dałem się przyłapać, ale gospodarze okazali się na tyle uprzejmi, iż nie ukarali mnie, chłopca z wyraźnym zachwytem w oczach, tylko podsytili mój entuzjazm. Przez następnych kilka lat tak się rozmiłowałem w egipskiej sztuce, że moim największym pragnieniem stała się wyprawa do Egiptu. Właśnie wtedy najbardziej ubolewałem nad swoim ubóstwem i brakiem wykształcenia, bo w gruncie rzeczy nie wiedziałem o egiptologii nic, prócz tego, co widziałem w Didlington Hall, i bardzo mało rozumiałem z tego wszystkiego. Ale w końcu, kiedy miałem siedemnaście lat, dzięki talentowi rysownika zdobyłem szansę wyjechania do Egiptu. Postanowiono bowiem, że należy przeprowadzić inspekcję wszystkich zabytków tego kraju, zanim dzieła sztuki zaczną rozpadać się w pył. Moi opiekunowie zaś, w swojej uprzejmości, polecili mnie do tej pracy. Zatem po raz pierwszy wszedłem do egipskiego grobu nie jako archeolog ani specjalista jakiegokolwiek innej dziedziny, lecz jako skromny kopista.

Jakież malowidła tam znalazłem! To samo w następnym grobowcu i później w kolejnym – niekończąca się galeria cudów i piękna! Sam przy tej pracy, w ciemności rozjaśnionej tylko słabym światłem pochodni, przeżywałem na nowo wszystkie te emocje, jakie doświadczyłem tyle lat wcześniej w prywatnej kolekcji w Didlington Hall, ale pomnożone po tysiącokrotnie, bo stałem w miejscach, w których przebywali niegdyś starożytni, i robiło to na mnie większe wrażenie, niż się spodziewałem. Byłem poruszony ponadczasowością tych zabytków, tak że niemal zapomniałem o upływie stuleci i wyobrażałem sobie, że obrazy przede mną zostały całkiem niedawno namalowane, a czasem nawet – że ożywają na ścianie!

Pamiętam na przykład pozornie nieistotne zdarzenie, które jednak pozwoliło mi sprecyzować własne uczucia. Pewnego popołudnia kopiowałem malowidło przedstawiające dudka. Kiedy skończyłem pracę, wyszedłem z grobowca i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłem takiego samego ptaka – jego pióra, postawa, kąt nachylenia głowy niczym się nie różniły! Byłem niemal wstrząśnięty podobieństwem. Wspomniałem o tym mojemu przełożonemu w ekspedycji. Pan Percy Newberry powiedział mi, że Starożytni uważali dudka za magicznego ptaka. Z łatwością w to uwierzyłem, bo rzeczywiście, miałem wrażenie, jakbym otarł się o prawdziwą magię! Myśl, że i ja, i artysta żyjący ponad cztery tysiące lat temu mogliśmy widzieć i malować ten sam gatunek ptaka, zrobiła na mnie piorunujące wrażenie – i jeszcze raz doznałem dziwnego uczucia istnienia związku między terażniejszością a odległą przeszłością. Pod wpływem takich myśli praca szybko posuwała się do przodu, a moja fascynacja światem starożytnego Egiptu i chęć poznania jego tajemnic wzrosły jeszcze bardziej. I nigdy nie przestało mnie zadziwiać, jak bardzo bliskie i znajome wydawały się postaci, które kopiowałem – a zarazem jak dziwne i przerażające.

Pewnego dnia napomknąłem o tym pozornym paradoksie panu Newberry'emu. Ten spojrział na mnie badawczo i zapytał, jak – moim zdaniem – można by to wyjaśnić. Odpowiedziałem nieco niepewnie, że tajemnica tego zjawiska tkwi w sformalizowanym charakterze egipskiej sztuki; zrozumieliśmy już rządzące nią konwencje, ale nie przestaje ona być dla nas egzotyczną. Newberry wolno skinął głową.

– Ale najdziwniejsze dzieła egipskiej sztuki, jakie widziałem – odparł – radykalnie zrywają z konwencjami. Niektórzy uważają je za realistyczne... – Zawiesił głos. – Moim zdaniem są groteskowe.

– Doprawdy? – zapytałem z zaciekawionym.

– Tak – szybko potwierdził Newberry.

Chciałem zadać więcej pytań, ale on wstał i kiedy już otwierałem usta, przerwał mi:

– Groteska – powtórzył i oddalił się energicznym krokiem.

Patrzyłem, jak odchodzi, zaskoczony jego oschłością – bo zawsze uważałem, że jest człowiekiem towarzyskim. Zastanawiałem się, jaka sztuka mogła zrobić na nim takie wrażenie, ale w następnych dniach postanowiłem nie wspominać o tym, a i sam Newberry nie wracał do tematu. Jednak krótko przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy należała nam się

przerwa w pracy przy grobowcach, Newberry podszedł do mnie i zapytał, czy nie wybrałbym się na małą wycieczkę na pustynię. Ponieważ jeszcze nie miałem okazji wyjść poza granice ziemi uprawnej nad Nilem, odpowiedziałem, że nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Czułem się wyróżniony, gdyż byłem tylko jednym z trzech asystentów, a Newberry kazał mi przyrzec, że nie powiem pozostałym o zaproszeniu. Mimo to odniosłem wrażenie, że nie ufa mi do końca, ponieważ gdy zapytałem dokąd się udamy, Newberry tajemniczo rzekł:

– Zobaczysz...

Tego samego popołudnia wyruszyliśmy na wielbłądach. Nigdy wcześniej nie jeździłem na takim stworzeniu i już wkrótce bolało mnie całe ciało. Newberry widząc moje męki, zaśmiał się i stwierdził, że niedługo przestanę myśleć o siniakach. Dopytywałem się, z jakiego powodu, ale on nie chciał więcej mówić. Zamiast tego popędził wielbłąda po piaszczystej drodze i obaj, kołysząc się i obijając, pozostawiliśmy za sobą palmowe gaje nad Nilem i znaleźliśmy się na pustyni. Zaskoczyła mnie nagła zmiana otoczenia: w jednej chwili widzieliśmy bydło, pola uprawne i drzewa, a zaraz potem nic – prócz morza skał i piasku. Czasami nagły podmuch gorącego wiatru prześlizgiwał się po wydmach wzbijając tuman kurzu, ale poza tym wszystko było martwe i nieruchome. Zupełnie jakby świat się skończył. Patrząc na rozżarzone piaski, zrozumiałem, dlaczego dla starożytnych Egipcjan kolorem zła był czerwony.

Teren, przez który przejeżdżaliśmy – dziki i jałowy, usiany kamieniami – wyglądał, jak gdyby nawiedzały go demony. Poczulem coś w rodzaju ulgi, gdy stanęliśmy nad krawędzią urwiska i w dole ujrzeliśmy ponownie wstęgę Nilu, obrzeżoną zielenią pól i drzew. Podążaliśmy dalej wzdłuż klifu, aż do momentu, kiedy zaczął się on oddalać od rzeki, tworząc jakby naturalny amfiteatr, i zobaczyliśmy półksiężyc piaszczystej równiny. Wydawało się, że nie ma tam nic szczególnie interesującego, tylko zarośla i dziwny, niewysoki, usypany z kamyków pagórek. Ale pośrodku równiny zauważyłem pracujących, ubranych na biało robotników, a tuż za nimi szereg chat z wypalonych cegieł. Zaczęliśmy schodzić ku nim ze zbocza i wtedy, nie mogąc już dłużej powstrzymać ciekawości, poprosiłem Newberry'ego, aby zdradził mi w końcu cel wyprawy.

– Dzisiaj to miejsce jest znane jako al-Amarna – odpowiedział, wyciągając rękę – ale w starożytności nazywało się Achetaton i było, chociaż tylko przez piętnaście lat, stolicą faraona Egiptu.

– Ach tak! – Wskazałem na robotników. – Więc dlatego oni tu kopią?

Zobaczyłem w oczach Newberry'ego błysk podniecenia, kiedy przytaknął.

– Kto kieruje pracami? – zapytałem.

– Pan Petrie – odparł.

– Czyżby Flinders Petrie?

– Ten sam.

Słuchałem z zainteresowaniem. Oczywiście słyszałem o tym słynnym archeologu już przed przyjazdem do Egiptu – był jednym z najwybitniejszych naukowców w tej dziedzinie. W ciągu kilku dni, które spędziłem w Kairze, miałem okazję spotkać się z nim i wysłuchać kilku uwag na temat egiptologii. Zrobił na mnie wrażenie wielkiego ekscentryka, ale zarazem człowieka obdarzonego niezwykle lotnym i przenikliwym umysłem, toteż bardzo się ucieszyłem, że zobaczę mistrza przy pracy. Kiedy doszliśmy do ceglanych chat, Newberry wykrzyknął głośno jego nazwisko. Ujrzałem wyłaniającą się z drzwi znajomą postać – z czarną brodą odcinającą się od oślepiająco białych piasków. Pozdrowił nas nie okazując większego entuzjazmu i dając wyraźnie do zrozumienia, że oderwaliśmy go od zajęć; zapytał szorstko, czego od niego chcemy. Newberry wyjaśnił, że dotarli do niego wieści o odkryciu.

– No dobrze, skoro już przejechaliście taki kawał, to chodźcie zobaczyć – mruknął Petrie z niechęcią.

Najpierw jednak zażądał, żebyśmy zsiadli z naszych wierzchowców; jedno z jego dziwactw polegało na tym, że nigdy nie dosiadał żadnego zwierzęcia i zawsze chodził pieszo. Muszę przyznać, że bez żalu opuściłem grzbiet wielbłąda. Z trudem pobrnęliśmy przez piaski ku jakimś odległym wydmom, a Petrie, swoim zwyczajem, mamrotał o przykrościach doznawanych ze strony Francuzów. Był to, zdaje się, jego ulubiony temat, ponieważ wtedy Francuzi, tak jak i teraz, mocną ręką trzymali egipskie *Service des Antiquités* i stawiali sobie za punkt honoru – przynajmniej tak twierdził Petrie – na każdym kroku przeszkadzać mu w pracy.

– Czy możecie uwierzyć – narzekał – że prawie zabronili mi tu kopać? Mnie – Flindersowi Petriemu! A i tak nie mogę prowadzić wykopalisk nigdzie, poza tym miejscem.

Zauważyłem, że Newberry zbladł słysząc te słowa i rozejrzał się dookoła, zupełnie jakby się bał, że za chwilę okoliczne wzgórza zaroją się od Francuzów. Oczywiście nie pojawił się żaden, a ja zastanawiałem się przede wszystkim nad tym, co ciekawego może się znajdować w tym dziwnym miejscu. Wkrótce miałem się dowiedzieć, czego Petrie szukał. Muszę jednak przerwać w tym miejscu, bo nagle zdałem sobie sprawę, jak późno się zrobiło i że rano czeka mnie mnóstwo pracy – i to bardzo ciężkiej. Dokończę więc – jeśli moje zajęcia nie okażą się zbyt wyczerpujące – jutro wieczorem.

Wróćmy zatem do Amarna. Kiedy zbliżaliśmy się do celu, Petrie nagle przyspieszył.

– To był kiedyś Wielki Pałac – oznajmił wbiegając na wydnię, po czym wrócił i chwycił mnie za ramię. – Panie Carter, pan jesteś malarzem?

Ale nie czekał nawet na odpowiedź i znowu popędziliśmy kłusem przez wydmy. W końcu zatrzymaliśmy się przy niezwykle starannie zbudowanym pomoście z desek. Przypomniałem sobie, co powiedział mi Petrie w Kairze: obowiązkiem archeologa jest nie tylko odkrywanie, ale też strzeżenie zabytków przeszłości.

– Chodź – Petrie pociągnął mnie za ramię. – Tam! – rzekł wskazując palcem w dół. – Jeśli naprawdę jesteś pan artystą, to powiedz mi, co byś pan z tym zrobił?

Patrzyłem z podziwem i zachwytem na podłogę malowaną w najbardziej wymyślne motywy, wzorowane na cudach natury. Ryby pływały w porośniętych lotosami stawach, łacie krowy brykały na polach, a koty z przymkniętymi oczami wylegiwały się w słońcu. Wszędzie nad nimi widziałem ptaki – siedzące na drzewach lub unoszące się w powietrzu – właśnie na nie zwróciłem szczególną uwagę, ponieważ ze zdziwieniem zdałem sobie sprawę, że potrafię rozpoznać niemal wszystkie. Były tam jaskółki, zimorodki, gęsi i kaczki, ibisy i dudki – cały ptasi świat zamieszkujący kraj nad Nilem. Z jakim wdziękiem je namalowano, z jaką troską o szczegóły! Przy swojej niewielkiej znajomości egipskiej sztuki nie widziałem niczego, co mogłoby się równać z tymi malowidłami, ani pod względem emanującej z nich radości, ani wyśmienitego naturalizmu. Zaskoczony zwróciłem się do Newberry'ego:

– Ależ to nie jest groteskowe! – wykrzyknąłem. – To są prawdziwe cuda!

– Oczywiście – burknął Petrie. – To najważniejsze odkrycie, jakiego kiedykolwiek dokonałem.

Newberry wolno skinął głową.

– Zatem – mruczał do siebie – faraon, który kazał wykonać coś takiego, faraon, który postanowił żyć w takim miejscu, musiał być bardziej niezwykłym człowiekiem, niż dotychczas sądziliśmy. Zobaczcie, żadnych rydwanów, żadnej armii, żadnych scen przemocy. Tylko... – Otworzył szerzej oczy. – Bogactwo życia.

Patrzyliśmy w zachwycie na podłogę i nawet Petrie, przyglądając się swemu znalezisku, stał się mniej szorstki. Nagle uśmiechnął się z dumą.

– Oczywiście, że był niezwykłym człowiekiem.

Spojrzałem na niego.

– Kto taki?

– Faraon, rzecz jasna.

– Który?

Petrie uniósł brwi ze zdziwieniem:

– Newberry, nic nie powiedziałeś swojemu asystentowi o Echnatonie?

– On jest zupełnie nowy w Egipcie – usprawiedliwiał się Newberry. – Dobrze wiesz, że nie mówię każdemu o nadziejach, jakie wiąże z tym miejscem.

– Nadziejach? – Petrie zaśmiał się powątpiewająco. – Tracisz czas na mrzonki.

– Ja tak nie uważam.

– Mówię ci, Francuzi mają koncesje na wszystkie okoliczne wzgórza. To oni znajdują grobowiec.

Zapadło milczenie.

– O jakim grobowcu mowa? – ośmieliłem się zapytać.

Newberry popatrzył na mnie niepewnie.

– Proszę... – powiedziałem. Odwróciłem się, żeby jeszcze raz spojrzeć na podłogę. – Jeśli z tym Echnatonem wiąże się jakaś tajemnica, to bardzo chciałbym czegoś się dowiedzieć. – Wskazałem na wspaniałe malowidła. – Ktoś, kto napawał się pięknem takich zwierząt i ptaków, z pewnością zasługuje na dalsze studia.

Petrie nagle zaśmiał się i klepnął mnie w ramię.

– No, dobry z ciebie chłopak! – wykrzyknął. – Jeśli chcesz wiedzieć więcej o królu-heretyku, powiem ci to, co mogę.

– Królu-heretyku? – zapytałem.

– Właśnie tak – odrzekł Petrie. – Echnaton został bowiem uznany za buntownika.

Klepnął mnie po plecach i zerkając spod brwi na Newberry'ego, poprowadził z wydmy ku dalszym pomostom i namiotom.

– Znaleźliśmy to dzisiaj rano – powiedział podnosząc przykrycie i wskazując kawałek kamienia leżący w kącie namiotu. – Poważnie uszkodzona, ale co ciekawe, znowu taka sama.

Podeszliśmy – ja niepewnie, Newberry z zaciekawieniem, którego nawet nie próbował ukryć. Patrzyliśmy w milczeniu; po dłuższej chwili Newberry spojrzął na mnie.

– Widzisz? – szepnął. – Czy nie mówiłem ci, że to groteskowe?

Milczałem; zaskoczony wpatrywałem się w płaskorzeźbę. Przedstawiała grupę postaci, wyraźnie Egipcjan, ale nie przypominała niczego, co widziałem do tej pory. Znajdował się tam faraon – poznałem go po insygniach – ale wcale nie wyglądał na herosa ani boga. Jego postać była dziwaczna, straszliwie zdeformowana: miał brzuch i uda zaokrąglone jak kobieta, łydki i ramiona nienaturalnie cienkie, a do tego wielką czaszkę, wydłużoną twarz, grube wargi i oczy o kształcie migdałów. Patrząc na tę niezwykłą postać poczułem na plecach zimny dreszcz, bo wyglądała bardziej na portret eunucha niż mężczyzny i nie mogłem już zaprzeczyć, że istotnie była odpychająca i groteskowa. Ale ta groteskowość nie wyjaśniała mojej reakcji; było coś jeszcze, coś, co łagodziło początkowe uczucie niesmaku. Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, co to takiego – i wtedy zrozumiałem. Płaskorzeźba, oprócz faraona, przedstawiała trzy dziewczynki – O podobnie dziwnych kształtach czaszek – dwie siedziały u stóp władcy, natomiast trzecią, trzymaną w ramionach, faraon czule całował w czoło. Pomyślałem sobie o grobowcach, w których pracowałem, i o przestudiowanych książkach, i o tym, że nie widziałem wśród dzieł egipskiej sztuki niczego, kompletnie niczego, co mogłoby się równać z tą pełną czułości i miłości sceną.

– Czy to są jego córki? – zapytałem.

Petrie przytaknął.

– Wydaje się, że miłość do rodziny była najważniejszą ideą w życiu faraona. Na tle innych królewskich portretów jest to coś zupełnie nowego i niezwykłego.

– Ale dlaczego styl tej rzeźby jest tak bardzo obcy?

– A któż to może wiedzieć? – Petrie wzruszył ramionami. – Z pewnością wydarzyło się coś ważnego, co obaliło dawne tradycje ówczesnego ludu.

– Wskazówki – dodał pospiesznie Newberry – znajdują się wszędzie wokół nas. – Spojrzał na Petriego. – Czyż nie?

– Całe to miejsce... – Petrie zatoczył ręką dookoła – jest jedną wielką poszlaką.

– Naprawdę? – Spojrzałem z namiotu na piasek i kamienie. – Ale ja nic nie widzę.

– Słusznie! – zgodził się Petrie, po czym znowu wskazał ręką na jałową równinę. – Nie widzisz nic, tak samo, jak niczego nie zobaczył sam Echnaton, kiedy przybył tu po raz pierwszy, aby zbudować swoje miasto. A przecież miał on już bogatą i wspaniałą stolicę w Tebach, od lat upiększaną przez swoich przodków; Echnaton był spadkobiercą największych władców Egiptu, a same Teby przeżywały okres świetności. Dlaczego więc postanowił je opuścić? Dlaczego przybył na to odludzie, ponad dwieście mil od najbliższego miasta?

Patrzyłem na niego zmieszany. W końcu potrząsnąłem głową.

– Przyznaję, że nic nie przychodzi mi do głowy.

– Domyślam się, że nie widziałeś Teb? – Petrie przymrużył oczy

– Jeszcze nie.

– Zatem mam nadzieję, że pewnego dnia trafisz do tego miasta. A kiedy już tam dotrzesz, zobaczysz, że najwspanialsza jest świątynia w Karnaku, oszłamiająca i przytłaczająca ogromem, mimo upływu czasu tak rozległa, iż będziesz się zastanawiał, jakie moce ją wzniosły. A jednak odpowiedź jest prosta: została wzniesiona w hołdzie dla przesądu. Karnak był domem Amona-Re, króla plejady bogów egipskich, skupiającym wszystkie nadzieje i obawy tego kraju.

– A mimo to Echnaton...

– Porzucił Teby.

Lekki uśmiech przemknął pod wąsami Petriego.

– Czy nie mówiłem ci – zapytał archeolog, klękając obok kamiennego fragmentu – że bunt wybuchł nie tylko przeciw konwencji w sztuce?

– Więc... – zmarszczyłem brwi – Echnaton porzucił również kult Amona-Re?

– Wyklął go. Wymazywał jego imię w całym kraju. Amona, ale też i Ozyrysa i wszystkich bogów całego starożytnego panteonu, oprócz jednego... – Petrie przerwał i zwrócił wzrok ku płaskorzeźbie. – Tylko jednego. – Wskazał na górną część kamienia, gdzie kawałek został odłupany. Ciągle jeszcze widoczne były ślady czegoś, co wyglądało jak wiele rąk wyciągniętych w geście błogosławieństwa nad głową króla, ułożonych promieniście niczym szprychy koła.

– To są promienie słońca – wyjaśnił Petrie. – Na brakującym fragmencie kamienia znajdował się dysk słoneczny.

Przyglądałem się krawędzi rozbitego kamienia.

– Więc to był bóg Echnatona?

– Słońce-Aton, dający życie Aton, na którego cześć faraon zmienił nawet imię – przytaknął Petrie. – Początkowo, podobnie jak jego ojciec, Echnaton nazywał się Amenhotep,



„Amon jest zadowolony”, ale kiedy przybył tutaj, nie mógł już dłużej nosić takiego imienia. „Echnaton”. – Petrie jeszcze przez moment przyglądał się postaci króla, po czym z trudem wstał. – Znaczący po prostu „Blask Słońca”.

Wyszedł z namiotu. Newberry i ja dołączyliśmy do niego i razem staliśmy chwilę w milczeniu. Za piaszczystymi wzgórzami Amarny i ledwie widocznymi palmami nad odległym Nilem zaczęło się ściemniać. Wiedziałem, że wszyscy trzej wpatrujemy się w czerwony dysk słońca.

– „Życie w Prawdzie” – wymamrotał w końcu Petrie. – Takie było motto Echnatona, *Anch em Maat*. I jak sądzę, rzeczywiście mógł uważać, iż postępuje słusznie, kiedy postanowił czcić moc Słońca. W takim kulcie nie ma przesądu ani fałszu, lecz tkwi raczej filozofia, którą może potwierdzić współczesna nauka. Bo czymże jest słońce, jeśli nie źródłem wszelkiego życia, siły i mocy na tym świecie?

Newberry nagle zadrżał.

– Ale widzisz... – powiedział wskazując ręką – jak zachodzi?

Petrie spojrzał na niego dziwnie.

– Tak – mruknął – lecz tylko dzięki temu może znowu wzejść.

Newberry nie odpowiedział i wkrótce potem odjechaliśmy, gdyż cienie zaczęły się już wydłużać. Petrie towarzyszył nam do wielbłądów, a kiedy szliśmy, Newberry wymógł na nim uroczystą obietnicę, że nie ukryje przed nami niczego, cokolwiek znajdzie. Ciągłe jednak obiekt marzeń Newberry’ego pozostawał dla mnie tajemnicą i zaczynałem wątpić, czy kiedykolwiek będzie mi dane ją poznać. Kiedy jednak dosiedliśmy wielbłądów, nie wrócił na ścieżkę, którą dotarliśmy tutaj, lecz poprowadził wzdłuż krawędzi równiny. Doszedłem do wniosku, iż chce mi jeszcze coś pokazać, popędziłem więc wielbłąda i kiedy już znalazłem się u boku przełożonego, odważyłem się zapytać, co właściwie ma nadzieję znaleźć.

Newberry uniósł się w siodle i przyjrzał odległym namiotom i pagórkom na terenie wykopalisk.

– Petrie jest wielkim archeologiem – powiedział w końcu. – Ma upodobanie do odkopywania historycznych drobiazgów i potrafi zbudować całą teorię na podstawie fragmentu skorupy garnka. Ale są tacy... – odwrócił się w moją stronę – którzy szukają rzeczy większych niż garnki.

– Rozumiem, że pan jest jednym nich?

Newberry przytaknął energicznie i dostrzegłem, mimo zapadającego zmroku, jak jego oczy rozbłysły.

– Mój Boże, Carter! – krzyknął nagle, jakby od dawna z trudem powstrzymywał słowa cisnące mu się na usta. – Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, czy w ogóle zastanawiałeś się nad tym, jak mało wiemy o starożytnych? To prawda, Petrie rozkopuje wzgórza, znajduje swoje świątynie i garnki, ale co one mogą nam tak naprawdę powiedzieć? Nie więcej niż

czaszka mówi nam o tym, o czym kiedyś marzył nieboszczyk. A jakie marzenia, jakie cudowne marzenia, musieli mieć ludzie, którzy żyli w tym kraju!

Podeksycytowany wychylił się z siodła i chwycił mnie za ramię.

– Tego właśnie szukam. Zapomnianych od wieków tajemnic starożytności!

– Tajemnic? – spojrzałem na niego zdziwiony. – Nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

Newberry opanował się, jakby nagle zawstydzony.

– Wspominali o nich Grecy. – Głos Newberry’ego był znowu spokojny i rzeczowy. – A nawet sami Egipcjanie pozostawili mroczne, nie do końca zrozumiałe wzmianki. O wiedzy, jaką dysponowali kapłani, starej, bardzo starej i przedziwnej. – Przełknął śliną i ciągnął dalej. – No i jestem przekonany... – ponownie przełknął ślinę – że plotki, o których mówiłem... nie zginęły zupełnie.

– Nie rozumiem – rzekłem zdumiony.

– Tutejsi wieśniacy, fellahowie... – odwrócił się do mnie – też opowiadają dziwne historie.

– O czym?

Newberry potrząsnął głową.

– To bardzo ciekawe... – ciągnąłem dalej – ale trudno mi uwierzyć...

– W co? Że przeszłość może sięgać tak daleko?

Nie odpowiedziałem, zaskoczony ostrym jego tonem. Newberry z pewnością zauważył moje zdziwienie, gdyż wyciągnął rękę i lekko poklepał mnie po ramieniu.

– Historia Egiptu jest jak sam Nil – powiedział już spokojniej. – Odwieczny, nieprzerwany ciąg. Posągi i naczynia leżą ukryte w piaskach. Dlaczego i legendy nie miałyby przetrwać?

Starąłem się, aby wyraz twarzy nie zdradził moich wątpliwości.

– A o czym mówi ta szczególna legenda?

– Otóż gdzieś tutaj jest grobowiec, cały czas ukryty, obłożony klątwą. – Newberry przerwał na chwilę. – Grobowiec, który niegdyś należał do króla.

– Echnatona?

Newberry lekko wzruszył ramionami.

– Według miejscowych bajek król nie był czcicielem bałwanów, jak inni faraonowie, lecz prawdziwym muzułmaninem, gdyż wierzył w Allaha, jednego jedyne Boga. W imię tego Boga wypędził z kraju wszystkie demony, a ich kapłanów ze świątyni przesiąkniętych krwią. Ale ambicje króla stały się przyczyną jego zagłady, gdyż bał się on śmierci i pragnął żyć wiecznie; dlatego starał się poznać tajemne imię Boga. Upadł jak Lucyfer, zwany przez tutejszych wieśniaków Iblisem, Księciem Dzinnów. Grobowiec zaś obłożono klątwą, za sprawą której król, pragnący wiecznego życia, nie może zaznać życia po śmierci. I tak do dzisiaj pozostaje demonem; jego oddechem jest pustylny wiatr, a kobiety straszą nim swoje

dzieci. – Przerwał i uśmiechnął się. – Przepraszam za może trochę melodramatyczny ton – mruknął, nagle onieśmielony. – Przyznasz jednak, jak sądzę, że historia jest interesująca.

– Ale... – Zmarszczyłem brwi i potrząsnąłem głową. – To przecież mit?

– A czym są mity, jeśli nie wspomnieniem ukrytej lub zapomnianej prawdy?

– Właściwie... tyle czasu już o nim mówimy, kiedy dokładnie panował Echnaton?

– Uważa się, że około 1350 roku przed Chrystusem.

– Więc jak mogłaby legenda przetrwać tak długi czas?

– O, nie byłoby w tym nic dziwnego – odpowiedział beztrząsliwie Newberry. – Arabskie ludowe bajki wywodzą się bezpośrednio ze starożytnego Egiptu. Jeśli mi nie wierzysz, porównaj papirus *Westcar* z „Księgą tysiąca i jednej nocy”.

Nigdy wcześniej nie słyszałem o papirusie *Westcar*, nie wiedziałem więc, jak zareagować na to stwierdzenie; musiałem mieć jednak niepewną minę, gdyż Newberry zaczął ze zniecierpliwieniem wyliczać podobieństwa łączące Echnatona i króla z opowiadań wieśniaków: obydwaj starali się obalić stary kler, obaj byli czcicielami jednego Boga...

– A koniec? – przerwałem mu. – Jaki koniec spotkał Echnatona?

– Tego nie wiemy na pewno – odpowiedział skwapliwie Newberry. – Ale jego rewolucja... – uniósł się w siodle i spojrzał na piaszczystą, opuszczoną równinę – jak widać nie przetrwała.

– A dzieci faraona?

Newberry zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– Na fragmencie, który pokazywał nam Petrie, król był otoczony dziećmi. Musiał mieć spadkobierców.

– Petrie uważa, że dwóch synów.

– Więc, co się z nimi stało? Dlaczego nie kontynuowali dzieła ojca?

– Tego też nie wiemy na pewno. – Wzruszył ramionami. – Pierwszy syn, jak wskazują znaleziska Petriego, władał nie dłużej niż dwa, trzy lata. A potem, za panowania drugiego syna – przynajmniej tego możemy być pewni – Amarna została opuszczona i dwór wrócił do Teb.

– A skąd to wiadomo?

– Ponieważ ten król, tak samo jak jego ojciec, zmienił imię. Najpierw nazywał się Tutanch-Aton, co znaczy „Żywy wizerunek Słońca”. Ale kiedy wrócił do Teb, pod opiekę kapłanów z Karnaku, nie mógł już dłużej nosić takiego imienia. Zapewne już wiesz, jakie imię postanowił przyjąć.

– Jakie?

– Myśl, Carter, myśl.

Pokręciłem głową.

– No jakież by mogło być... – Newberry przestał się uśmiechać – jeśli nie Tut-anch-Amon „Żywy wizerunek Amona”. – Znowu uśmiechnął się szeroko i powtórzył: – Tutanchamon.

I tak po raz pierwszy usłyszałem imię króla, z którym od pewnego dnia miały wiązać się wszystkie moje ambicje i nadzieje. Z czasem zaś poznanie jego tajemnicy stało się moim życiowym celem. W chwili kiedy Newberry wypowiedział imię syna Echnatona, skręcaliśmy właśnie za wystającą poszarpaną skałę i zobaczyłem tuż przed nami wykutą w zboczu płaskorzeźbę, strzegącą wejścia do wąskiej kotliny. Newberry wskazał na nią ręką i oznajmił:

– Tutaj możesz zobaczyć to, czego brakowało na fragmencie znalezionym przez Petriego.

Wpatrywałem się w płaskorzeźbę. Mimo iż siedziałem w siodle, przedstawione na niej postacie znajdowały się wysoko ponad poziomem moich oczu. Natychmiast rozpoznałem faraona Echnatona: wyglądał jeszcze bardziej groteskowo niż na reliefie, który widziałem wcześniej. Król stał z podniesionymi rękami, witając promienie słońca. Za nim znajdowały się dwie dziewczynki, bardzo małe, także wyglądające dziwniej niż przedtem. Ale była też druga duża postać – kobieta nosząca na głowie koronę królowej. Jednakże królowa, choć z rysami równie zniekształconymi jak inne postacie, wcale nie wydawała się groteskowa. Przeciwnie – niezwykła powierzchowność miała tyle uroku, równie niepokojącego jak doskonałego, jej uroda wydawała się nie z tego świata. Wychyliłem się, żeby dokładniej obejrzeć kamienne figury, zaintrygowany tą zagadką; ale kiedy podjechałem bliżej płaskorzeźby, zmienił się kąt padania promieni słonecznych i wszystkie postaci pograżyły się w ciemnej czerwieni, a zaraz później w głębokich ciemnościach.

– Musimy się pospieszyć – powiedział Newberry. – Nie chcemy przecież zostać nocą na pustyni.

Ale nawet kiedy to mówił, nie przestawał wpatrywać się w dziwny wizerunek faraona, jakby nie mógł oderwać od niego wzroku.

– To byłaby wielka rzecz, odkryć grób – szepnął. – Naprawdę wielka rzecz.

– A jeśliby się nam udało... – zawiesiłem głos – co wtedy? Co moglibyśmy znaleźć wewnątrz?

Newberry odezwał się dopiero po chwili:

– Rozjaśniłyby się ciemności – odpowiedział w końcu. – Tajemnica została odkryta. Gdyż losy Echnatona stanowią tajemnicę, co do tego są zgodne i nauka, i legenda.

– Według legendy nigdy nawet nie spoczął w grobowcu – zaśmiałem się.

Newberry spojrzał na mnie poirytowany.

– Ostatecznie... – burknął – kto może wiedzieć, co tam znajdziemy. – Spojrzał na płaskorzeźbę ostatni raz i popędził wielbłąda. – To tajemnica, wielka tajemnica i wielka nagroda.

Następnego ranka zaczęliśmy poszukiwania. Jeszcze raz obiecałem dochować sekretu i opuściliśmy obóz najciszej, jak umieliśmy, gdyż Newberry nie mógł znieść myśli, iż inni

mogliby się dowiedzieć o naszych ambicjach. Wprawdzie nie sądziłem, żeby udało się długo utrzymywać w tajemnicy ten wyjazd, gdyż dromader nie jest najcichszym ze zwierząt, a nasi koledzy, Blackden i Fraser, byli bardzo czujnymi ludźmi. Kiedy jednak wspomniałem o tym Newberry'emu i zapytałem, czy nie powinniśmy zabrać ich ze sobą, na jego twarzy pojawiło się nieomal przerażenie.

– Nie, nie – nalegał. – Musimy zachować to dla siebie. – Zaczął ponownie opowiadać mi o swoich nadziejach związanych z grobowcem. – Nie możemy zdradzić się z niczym.

Mówiąc prawdę, byłem zadowolony, gdyż udzielił mi się jego entuzjazm. Właśnie zaczęło się to, czego od tak dawna pragnąłem: poszukiwanie i przygoda.

Skupiliśmy uwagę na skałach nad równiną. Kiedy tylko wyjechaliśmy na pustynię, daleko w tyle pozostawiając Nil i mając przed sobą ciągnące się aż po horyzont bezkresne czerwone piaski, doznałem dziwnego uczucia, że świat się skończył, tak cicha, pusta i rozległa była otaczająca nas przestrzeń. W czasie poszukiwań, gdy myszkowaliśmy wśród skał i wąwozów, Newberry opowiedział mi legendę o Secie, starożytnym bogu ciemności i zła, który pragnął odebrać władzę nad światem Ozyrysowi, swemu bratu. Wywiązała się długa i straszliwa wojna, lecz w końcu Seth został pokonany i skazany na wygnanie na pustyniach rozciągających się wzdłuż Nilu. Tam panował jako duch zamętu, wiecznie niespokojny i złakniony zemsty. Kiedy w dolinie Nilu zaczynały wiać silne wiatry i pola znikwały pod hałdami piasku, starożytny Egipcjanin modlił się z trwogą w sercu, aby Seth nie próbował wracać z pustyni i aby znowu nie zapanowało królestwo ciemności. Nocą, gdy nadciągał wiatr z bezkresnych pustyni, modlił się jeszcze żarliwiej; wiedział, że oto słyszy krzyk bogademonia.

– Ciekawe – powiedziałem. – To dokładnie tak, jak dzisiejsi wieśniacy w opowiedzianej mi przez pana historii, słyszący krzyki króla, który nie może zaznać spokoju.

– Rzeczywiście interesujące. – Newberry uśmiechnął się do mnie. – Żywotność tych mitów nigdy nie przestaje zadziwiać.

Nie przestaje też inspirować, przynajmniej jeśli idzie o Newberry'ego. Można sobie wyobrazić jego podniecenie, gdy trzeciego dnia poszukiwań podeszli do nas trzej Beduini, mówiąc o grobowcach ukrytych w piaskach w głębi pustyni. Beduini musieli już wcześniej słyszeć o obsesji Newberry'ego, gdyż kiedy wspomniał im o królu, który według legendy nie może zaznać spokoju, uśmiechnęli się i przytaknęli:

– Tak, tak! To ten król!

W wielkim podekscytowaniu dosiedliśmy wielbłądów i daliśmy się prowadzić Beduinom. Po kilku godzinach marszu przez piasek zobaczyliśmy starożytną drogę. Kilka dalszych godzin zajęło nam dotarcie do rozległego wąwozu, w którego ścianach żyły łososioworóżowego kalcytu przecinały olśniewająco białe warstwy; ujrzyliśmy też pagórki kamieni i wapiennych odłupków. Newberry zsiadł z wielbłąda i popędził w stronę

gruzowiska. Wziął garść kamieni, przez chwilę bacznie im się przyglądał, po czym wszystkie odrzucił.

– Ależ to jest kamieniołom! – Aż przykro było patrzeć na wyraz rozczarowania na jego twarzy. – Tylko kamieniołom!

Podszedł do Beduinów i zaczął z nimi rozmawiać, wyraźnie rozgniewany. Widziałem, jak któryś z mężczyzn wyciągnął rękę, a Newberry sięgnął do kieszeni po pieniądze. Otrzymałszy monety, jeden z przewodników zsiadł z wierzchowca i ruszył w głąb wąwozu.

Popędziłem za Newberrym.

– Co on powiedział?

– Twierdzi, na ile mogę go zrozumieć, że król składał tu ofiary, kiedy uległ pokusie i został sługą Iblisa. – Newberry przerwał, a na jego twarzy nadal malowało się rozczarowanie.

– Mówi, iż są tam inskrypcje – dokończył powątpiewającym tonem.

– A co z grobowcami?

Newberry zacisnął usta i wskazał wykute w zboczach szyby, pozostałe po wydobyciu kamienia.

– To mają być te grobowce... – wzruszył ramionami – więc Bóg wie, czym okażą się inskrypcje.

Spojrzałem w stronę Beduina, który zatrzymał się w miejscu, gdzie wąwóz zakręcał. Kiedy dołączyliśmy do przewodnika, wskazał na jedno z miejsc w skalnym zboczu. Newberry polecił prowadzić dalej, lecz Beduin zadrzał i pokręcił głową. Wymamrotał modlitwę i nagle ruszył biegiem tą samą drogą, którą przyszedł. Newberry z wyraźnym niesmakiem odprowadził go wzrokiem.

– Co za ludzie! – narzekał zapuszczając się w głąb wąwozu.

Poszedłem w jego ślady i nagle ogarnął mnie przenikliwy chłód. Już wcześniej szliśmy w cieniu, ale teraz ciemności wydawały się głębsze i zimniejsze; zorientowałem się, że drzę, podobnie jak wcześniej Beduin. Głośno zapytałem Newberry'ego, czy czuje to samo. Odwrócił się i rzekł ze zniecierpliwieniem:

– A co mam czuć? – warknął.

Lecz ja nie mogłem odpowiedzieć. Gardło ścisnął mi przejmujący, choć przecież irracjonalny strach.

Gdy dołączyłem do Newberry'ego u końca wąwozu, zapytałem go ponownie, czy nie wyczuwa w tym miejscu czegoś dziwnego. Ale on był tak przejęty, że nawet mnie nie usłyszał, tylko wyciągnął rękę w kierunku najgłębszej części wąwozu.

– No, to tam – mruknął zniechęcony.

W miejscu, które wskazywał, widniała wyraźna inskrypcja wykuta w skale, a nad nią znajdował się dysk słoneczny ze skierowanymi w dół promieniami. Pod nim można było dostrzec dwie postacie; obie były poważnie zniszczone, ale wydawały się przedstawiać kobietę i mężczyznę.

Na chwilę serce we mnie zamarło, ale kiedy przyjrzałem się dokładniej samej inskrypcji, rozczarowany zmarszczyłem brwi.

– To po arabsku? – zapytałem, gdyż wtedy słabo jeszcze znałem ten język. Przesunąłem palcem po napisie i odwróciłem się do Newberry’ego. – Umie pan to przeczytać?

Pokręcił głową.

– Obawiam się, iż moja znajomość arabskiego jest wystarczająca na tyle, żeby wiedzieć, kiedy domagają się ode mnie bakszyszu.

– Może więc powinniśmy ją przepisać?

– A po co? – Newberry wzruszył ramionami

– No... to – wskazałem na wizerunek słońca – wydaje się podobne do przedstawień Atona.

– Podobieństwo wydaje mi się tylko powierzchowne i wyraźnie tworzy całość z arabską inskrypcją. Raczej nie zaprowadzi nas do grobowca Echnatona.

– Przecież sam pan powiedział... że historia Egiptu jest bardzo długa.

– Ale nie aż tak, mój drogi. – Newberry jeszcze raz spojrział z wyrzutem na słońce. – To mogło powstać najwcześniej jakieś dwa tysiące lat po śmierci Echnatona. Nie przedstawia zatem żadnej wartości. Przeklęte miejsce. Jedno wielkie oszustwo. – Nagle ze złością kopnął kamień. – Chodź, Carter, zabieramy się stąd.

Odwrócił się i szybko ruszył w stronę wylotu wąwozu. Wyjąłem kawałek papieru i szybko przerysowałem inskrypcję, po czym niemal biegiem ruszyłem za nim. Wiem, że to zabrzmia niedorzecznie, ale nie miałem najmniejszej ochoty zostać sam w tym miejscu, gdyż nawet podczas powrotnej jazdy przez pustynię, odnosiłem wrażenie, iż ciągle czuję na skórze chłód panujący w wąwozie. Kiedy zaczął wiać wiatr, wyjąc i unosząc tumany piasku, przypomniały mi się starożytne zabobony, niemal byłem skłonny uwierzyć, że słucham Setha, który przebudził się i wrócił, aby upomnieć się o świat.

W końcu dotarliśmy na miejsce, zmęczeni i zniechęceni. Nic dziwnego, iż widząc, w jakim jesteśmy stanie, Blackden i Fraser zapytali, gdzie byliśmy. Opowiedziałem im o odkryciu kamieniołomu, ale nic więcej. Zauważyłem jednak szybką wymianę spojrzeń i wiedziałem, że naszych zamiarów nie da się dłużej utrzymać w tajemnicy. Sam Newberry stawał się coraz bardziej poirytowany, w miarę jak dni upływały, a nam nie udawało się nic znaleźć; natomiast im bardziej Newberry’ego ogarniała złość, tym mniej systematyczne stawały się nasze poszukiwania.

W końcu wolne dni minęły i przygotowywałem się do powrotu do pracy w grobowcach. Newberry jednak miał inne plany, gdyż powiedział, że załatwił z moimi sponsorami przeniesienie do Amarny, gdzie Petrie zgodził się wyszkolić mnie na archeologa. Dobrze wiedziałem, czym kierował się Newberry: chciał mieć na stałe swojego człowieka w Amarnie, aby móc natychmiast dowiadywać się o wszelkich ważniejszych odkryciach. Ale dlaczego miałbym się tym martwić? Petrie był największym ówczesnym archeologiem, a

zgodził się przekazać całą swoją wiedzę mnie, zwykłemu rysownikowi, który w egiptologii jest nikim. Dlaczego nie wykorzystać takiej okazji? Przyjechałem do Egiptu zaledwie przed kilkoma miesiącami, ale zdążyłem utwierdzić się w chłopięcej fascynacji i wiedziałem, że ten kraj staje się moją wielką miłością, a być może także moim losem. Zagadki Egiptu pochłoneły mnie zupełnie i poczułem ambicję zostania pewnego dnia archeologiem.

Wierzyłem, iż Petrie, który również był samoukiem, zrozumie to dążenie; a jednak okazał się on nauczycielem trudnym we współpracy. Już wcześniej słyszałem o jego dziwactwach, ale dopiero teraz miałem ich w pełni doświadczyć. Już pierwszego dnia kazał mi zbudować chatę i wówczas dowiedziałem się, że podobnie jak mebli, nie uznawał również służących. Rezultat moich starań nie był imponujący, a warunki, w jakich przystąpiłem później do pracy, daleko odbiegały od komfortowych. Tutaj nie mogłem już krążyć w poszukiwaniu zaginionych grobowców, czekało mnie mozolne usuwanie piasku i kamieni; tym razem nie szukaliśmy tajemnic ani skarbów, lecz kawałków naczyń, rozbitych posągów i wszelkich porzrzucanych fragmentów niewiarygodnej układanki. Serdecznie znienawidziłem mojego nauczyciela, który należał do najbardziej bezlitosnej i krwiożerczej odmiany pedantów. Ale równocześnie szanowałem go, gdyż niewątpliwie był geniuszem – jak twierdził Newberry – obdarzonym nadzwyczajnym talentem odtwarzania przeszłości. Pocąc się i trując pod palącym słońcem, zaczynałem rozumieć, jak dalece archeologia jest uzależniona od skrupulatności badań – że liczy się przede wszystkim rzetelna praca, prowadzona miesiącami, a nawet latami, i śledzenie nieskończonej liczby wskazówek, a nie chaotyczna pogoń za spektakularnymi odkryciami. Krótko mówiąc, Petrie nauczył mnie podstawowych zasad zawodu – tego, że archeolog musi być człowiekiem cierpliwym i rzetelnym.

Ale mimo entuzjazmu, z jakim przyjmowałem lekcje, czasem brakowało mi Newberry'ego, jego wiary w to, co niezwykle, i pasji, z jaką przystępował do poszukiwań. Wiedziałem, że Petrie nie poddaje się emocjom. Pewnego ranka, kiedy przekopywałem się przez hałdy piasku, poinformował mnie niemal z zadowoleniem, iż widział na zboczach kilku francuskich urzędników.

– Nie pozwolę im tutaj wejść – oznajmił pokazując równinę. – Całe to miejsce przyznano mnie i tylko mnie. Ale jeśli Francuzi pragną przyjść i rozejrzeć się po skałach, cóż... – przerwał i szarpnął brodę. – Myślę, że wiem, co mają nadzieję znaleźć.

Wcale się nie zdziwiłem, gdy jeszcze tego samego dnia dołączył do nas Newberry, bo wyraz jego twarzy zdradzał, iż nowiny już do niego dotarły. Jak oznajmił, zamierzał złożyć Francuzom wizytę i zapytał, czy nie chcielibyśmy mu towarzyszyć. W trójkę wyruszyliśmy na pustynię. Newberry sprawiał wrażenie roztargnionego, nagle zatrzymał się i zbladł.

– Tam – powiedział wskazując palcem.

Spojrzeliliśmy i zobaczyliśmy na piasku ślady butów. Taki widok jest rzadkością na pustyni, toteż natychmiast postanowiliśmy sprawdzić, dokąd prowadzą. Brnąc wiele mil przez piaski, dotarliśmy do pustego wąwozu o poszarpanych ścianach. Daleko przed nami



widzieliśmy dwie postacie, a gdy się do nich zbliżyliśmy, wyjaśniła się zagadka. Byli to Blackden i Fraser – prowadzili ze sobą muły obciążone łopatami.

Newberry powitał ich z ledwie powstrzymaną furią.

– Co tu robicie? – krzyknął. Kiedy Blackden burknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi, Newberry złapał go za koszulę. – Coście tu robili?

Blackden nagle zaśmiał się:

– Jak to co? – rzekł spokojnie. – Szukamy grobowca Echnatona.

Newberry odetchnął głęboko.

– A czy nie przyszło wam do głowy... – zasyczał – że ja też poszukuję tego grobu?

– Jasne, że tak – odparł Blackden. – Ale jeden człowiek może zauważyć to, co inny przeoczy. Na przykład... – wyciągnął z kieszeni plik papierów – my spenetrowaliśmy dokładnie kamieniołom na pustyni. Nie dostrzeżliście kilku ciekawych malowideł ze Średniego Państwa. – Podał nam papiery. – Pozwoliłem sobie sam opublikować szczegóły.

Newberry patrzył na kartki z niedowierzaniem.

– Ale... ale to ja odkryłem kamieniołom – wyjąkał.

– Owszem, ale nie malowidła – odpowiedział Blackden. – Niektóre z nich są naprawdę bardzo ciekawe.

– Oczywiście... – dodał Fraser – doskonale rozumiemy, że był pan... pochłonięty... poszukiwaniami grobu Echnatona. Ale nie musi się pan już o to martwić. Właśnie się dowiedzieliśmy – uśmiechnął się złośliwie – że grobowiec został znaleziony.

– Jak to? – Newberry zmarszczył brwi. – Gdzie? – szepnął.

– Na końcu wadi – wskazał Fraser.

Newberry patrzył na asystenta z wściekłością i niedowierzaniem. Twarz wykrzywił mu nagły skurcz. Zawiedziony archeolog odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Nie ma sensu ich wołać! – krzyknął Blackden. – Byliśmy już tam, ale oni nie wpuszczają nikogo do grobu.

Lecz Newberry, nawet jeśli usłyszał te słowa, nie dał tego po sobie poznać, tylko uparcie szedł dalej. Ani Petrie, ani ja nie próbowaliśmy iść za nim.

Jak później słyszałem, Newberry porzucił pracę i wyjechał do Anglii, twierdząc, iż nigdy więcej nie wróci do Egiptu. Może kilka miesięcy wcześniej zaskoczyłby mnie taki wybuch emocji i nie uwierzyłbym, że poszukiwanie grobowca może stać się tak rozpaczliwe i obsesyjne, ani że może doprowadzić do tak zacieklej rywalizacji. Teraz jednak rozumiałem to, a w pewnym sensie nawet brałem w tym udział. Z pewnością, jak to ujął Petrie pewnego wieczoru, cała ta sprawa pozostawiała po sobie uczucie niesmaku.

– Zapamiętaj to sobie dobrze... – poradził mi – nie skupiaj całej swojej energii na jednym celu, bo wtedy możesz o wiele więcej stracić.

Przytaknąłem; niewątpliwie miał rację. Ale wtedy sięgnąłem ręką do kieszeni i poczułem papier z inskrypcją, którą spisałem w kamieniołomie. Pomyślałem, że z tej sprawy mogę

wyciągnąć jeszcze jedną nauczkę: jeśli coś znalazłeś, trzymaj to dla siebie. W Egipcie skrytość nie musi być wadą.

Kilka dni później, na początku stycznia, Petrie zdobył pozwolenie na obejrzenie tak długo poszukiwanego grobowca. Towarzyszyłem mu bardzo podekscytowany, gdyż nadal intrygowało mnie, jakie też cuda mogą się znajdować w grobowcu. Czekano mnie jednak duże rozczarowanie. Wnętrze było puste, nawet malowidła na ścianach zostały zniszczone. Rozglądałem się zaskoczony. Więc tego tak rozpaczliwie szukał Newberry? Zastanawiałem się znowu, co miał nadzieję znaleźć. Przypomniałem sobie naszą rozmowę o straszliwej tajemnicy uwiecznionej w ludowej bajce o królu, który nie mógł zaznać spokoju. Zwróciłem się do Francuza, coś tłumaczącego Petriemu.

– A mumia? – zapytałem, próbując dojrzeć cokolwiek w ciemnościach. – Znaleźliście jakieś ślady samego Echnatona?

Francuz w odpowiedzi uśmiechnął się kwaśno i powiedział, żebyśmy poszli za nim. Ostrożnie kroczyliśmy w ciemnościach, nieskończenie długim korytarzem. W końcu dotarliśmy do schodów prowadzących w dół; tam znajdowało się pomieszczenie z kolumnami. Kiedy Francuz podniósł latarkę, ujrzałem komorę grobową.

Wszędzie widoczne były ślady straszliwych zniszczeń. Z reliefów na ścianach nie pozostało prawie nic, ponieważ w miejscach, gdzie powinny być wyrzeźbione głowy lub imiona postaci, warstwa stiuku okrywająca kamień została odłupana. Podłogę pokrywał gruz. Idąc po nim, rozpoznałem fragmenty sarkofagu; jego dno ledwo dostrzegłem, gdyż boczne ściany, podobnie jak stiuk, zostały rozbite na drobne kawałki. Schyliłem się i podniosłem odłamek kamienia. W świetle latarki rozpoznałem granit.

– Ile wysiłku trzeba włożyć, żeby to roztrzaskać – wykrzyknąłem; spojrzałem dookoła na gruz wypełniający komorę. – Zupełnie jakby ktoś chciał wymazać wszelką pamięć po osobie, która tutaj spoczęła.

– Tak – potwierdził Petrie. – To raczej nie ulega wątpliwości.

– Czy możecie w ogóle być pewni, że grobowiec należy do Echnatona? – zapytał Francuza.

Mężczyzna odpowiedział w swoim języku coś, czego nie zrozumiałem, ale zobaczyłem, jak wskazuje kartusz – owalną ramkę otaczającą imię każdego faraona, zachowaną nad drzwiami. Petrie przyjrzał się jej dokładniej i odwrócił się do mnie.

– Tak... – Wzruszył ramionami. – Jeden kartusz, to wszystko, co ocalało. Ci, którzy to wszystko niszczyli, musieli go przeoczyć.

Potrząsnąłem głową i rozejrzałem się dookoła.

– Ale dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby zniszczyć imię faraona?

– Nie wiadomo. Pomijając wszystko inne, Echnaton był królem-heretykiem, a herezje zazwyczaj stanowią zagrożenie dla ustalonego porządku.

– Myśli pan więc, że grobowiec zdewastowano na polecenie kapłanów Amona?

Petrie podniósł kawałek sarkofagu.

– Bez wątpienia – odpowiedział, uważnie przyglądając się odłamkowi. – Echnaton zamknął ich świątynie i pozbawił władzy. Z pewnością mieli powody, aby skazać go na zapomnienie.

Przerwał i podszedł do wizerunku postaci, której twarz została zniszczona.

– A jednak... – szepnął – a jednak... – powtórzył i przesunął palcem po dziurach wybitych w stiuku. – Moc nienawiści jest zupełnie wyjątkowa. A może raczej siła strachu. Wygląd Echnatona prawdopodobnie budził przerażenie. I nie tylko Echnatona. Zobacz... – Wskazał inne malowidło na ścianie. – Tu przedstawiono jego dzieci. Wszystkie wizerunki zostały zniszczone. Wszędzie, nie tylko tutaj, ale w całym Egipcie powtarza się to samo: próbowano zatrzeć wszelkie ślady istnienia Echnatona i jego rodziny.

– Doprawdy? – spojrzałem na archeologa zaskoczony. – Nie wiedziałem. Ale przecież to była rodzina królewska?

– Była – przytaknął Petrie. – I wydała wielu faraonów. Ale dwaj synowie Echnatona zakończyli panowanie dynastii.

Próbowałem sobie przypomnieć to, co wcześniej Newberry mówił mi o męskich potomkach faraona, zwłaszcza o tym, który zmienił imię.

– Tutanchamon? – zapytałem.

– Tak. – Petrie przyjrzał mi się ze zdziwieniem. – Nie wiedziałem, że o nim słyszałeś.

– Znam tylko jego imię, nic więcej.

– A więc wiesz wszystko, co można wiedzieć. O jego poprzedniku, Semenckare, wiadomo jeszcze mniej. Obaj panowali, a potem umarli; resztę kryją mroki dziejów. Do takiego stopnia kapłanom powiodły się ich zamiary. W ubiegłym stuleciu, zanim pojawili się tu pierwsi archeolodzy, nikt nawet nie zdawał sobie sprawy, że taki król jak Echnaton w ogóle kiedykolwiek panował.

– Nigdy bym nie przypuszczał, iż zapomniano o nim zupełnie.

– O, tak – przytaknął Petrie. – We wszystkich egipskich kronikach nie ma o nim nawet wzmianki. Prawdopodobnie nawet jego imię obłożono klątwą.

Przypomniałem sobie legendę o królu, który nie może zaznać spokoju, i spojrzałem jeszcze raz na porzucony sarkofag.

– To naprawdę straszliwa klątwa – rzekłem cicho.

Odczułem ulgę, kiedy po obejrzeniu komory mogłem wspiąć się z powrotem do wejścia i znowu zobaczyć nad głową jasny błękit nieba. Odniosłem wrażenie, że Petrie, podobnie jak ja, był dziwnie poruszony wizytą w grobowcu, gdyż idąc przez równinę, milczał zadumany i przez cały wieczór pozostawał zatopiony w rozmyślniach. Później, gdy siedzieliśmy wokół ogniska, mówił o Echnatonie i zagadkach związanych z jego panowaniem, Przypominało mi to sposób opowiadania Newberry'ego.

– Stojąc w grobowcu miałem wrażenie – powiedział – że nawet powietrze jest przesycone starożytną pustką. Nie mam zwyczaju przyznawać się do takich dziwactw, a jednak... jak migotały cienie w mrokach tej komory! – Wyciągnął rękę, żeby podsyć ogień; w nocne niebo strzelił snop pomarańczowych iskier. – Jakież sekrety skryte w tym grobowcu mogły nadać mu taką aurę zła i rozpaczy?! – wykrzyknął nagle. – Przecież jeśli którykolwiek z faraonów zasłużył na szczególną pamięć, to bez wątpienia Echnaton. Nie podzielał ambicji swoich wojowniczych przodków, obce mu były ich grabieże, samochwalstwo i okrucieństwa. Tylko światło, prawda i życiodajne słońce. A jednak... – Petrie przerwał i zmarszczył czoło. – Zastanawia mnie... – wstał i popatrzył na odległe skalne zbocza – jak wyjaśnić to, co czułem w grobowcu? – Stał w milczeniu przez dłuższą chwilę, w końcu zniecierpliwiony wrzucił ramionami. – Tyle zagadek, a tak mało odpowiedzi. – Sprawiał wrażenie zmęczonego. – Ale obawiam się, że właśnie na tym polega specyfika naszego zawodu.

Jednak mimo wszystko wydawało się, że Petrie nie stracił całkiem nadziei na znalezienie czegośkolwiek. Kilka dni później powiedział mi o zdobyciu pozwolenia na skopiowanie reliefów ze ścian i tak po raz drugi znalazłem się w grobowcu Echnatona. Petrie nie musiał mi mówić, abym miał oczy szeroko otwarte. Jednak mimo iż spoczęło na moich barkach zadanie zaspokojenia nie tylko własnej ciekawości, ale również Petriego, nie udało mi się znaleźć nic niezwykłego. To prawda, że dekoracja nie została aż tak zniszczona, jak wydawało się w pierwszej chwili: w jednej z bocznych komór zachowały się całe sceny, prawie nie uszkodzone. Jedna z nich była pełna patosu i wyjątkowo poruszająca: król i królowa oplakiwali dziecko, małą córeczkę leżącą na marach. Wyraźnie widziałem, że król płacze. Studiując ten pełen miłości wizerunek rozpaczy dawno zmarłego człowieka, przez chwilę odniosłem dziwne wrażenie, iż król żyje i stoi za mną, pochylony nad córeczką. Zaskoczony odwróciłem się – oczywiście nie było nikogo. Ale właśnie w tym momencie zauważyłem coś jeszcze i kiedy patrzyłem na to w świetle latarki, poczułem, jak serce we mnie zamarło.

Daleko, schowany w ciemnym rogu tak, że łatwo mogłem go wcześniej przeoczyć, widniał wizerunek słońca. Ale reliefu nie wykonano w taki sposób jak inne; wyglądał raczej na namalowany niedbale, jakby w wielkim pośpiechu. Gdybym nie widział podobnych przedstawień wcześniej, mógłbym go nie rozpoznać. Ale kiedy podszedłem bliżej, upewniłem się, iż nie może być mowy o pomyłce. Identyczne słońce widziałem wyryte w kamieniołomie; pod nim zauważyłem takie same skulone postacie i linię arabskiego tekstu. Wiedziałem, że tego rodzaju podobieństwa nie mogą być dziełem przypadku. Drżącą ręką, niezmiernie podekscytowany, sięgnąłem po pióro, by to wszystko skopiować.

Gdy skończyłem, odłożyłem deskę do rysowania i już miałem odejść, gdy niespodziewanie zauważyłem jeszcze lekki ślad koloru na ścianie. Pochyliłem się, by przyjrzeć się temu dokładniej. Pod niezgrabnym wizerunkiem słońca dojrzałem postać kobiety. Kiedy się jej przypatrywałem i zrozumiałem, kogo przedstawia, znowu doznałem dziwnego uczucia. Portret ten najwyraźniej był częścią dekoracji reszty ścian, gdyż został

namalowany w znanym mi, charakterystycznym stylu Echnatona. Jednak czy to dlatego, że znajdował się w mało widocznym miejscu, czy też z jakiejś innej przyczyny, nie padł ofiarą niszczycielskiej działalności fanatyków siejących spustoszenie w grobowcu. Obserwując twarz kobiety przyszło mi do głowy, iż jest w niej coś, co mogło powstrzymać rękę świętokradcy; jej uroda była tak niepokojąca, że nie mogłem oderwać wzroku. Głowa, nieproporcjonalnie duża na cienkiej szyi, wyglądała jak ogromna orchidea chwiejąca się na łodydze. Otoczone czarną linią oczy spoglądały dumnie i chłodno. Zamarłe w półuśmiechu wargi jakby szeptały o niezgłębionych tajemnicach. Mimo upływu tysiącleci usta zachowały świeżość, żywą czerwień. Nagle zdałem sobie sprawę, że jest to ten sam kolor, jakim wykonano graffiti przedstawiające słońce.

Natychmiast zrodziło się we mnie podejrzenie, kogo ów portret może przedstawiać. Pochyliłem się w poszukiwaniu podpisu i znalazłem, niemal niewidoczny pod grubą linią czerwonej farby, obok głowy. Przebrnąłem już przez podstawy nauki hieroglifów i mogłem odczytać, chociaż z wielkim trudem, znaki na ścianie. Nefertiti. Uśmiechnąłem się sam do siebie. A więc moje podejrzenia okazały się słuszne. „Nefertiti – Piękna, która przybyła”. Małżonka Echnatona.

Na ścianie widniały jeszcze inne hieroglify, biegnące w pionowej linii. Uśmiechnąłem się ponownie. Wiedziałem, że bardzo zainteresowałoby to Petriego, gdyż Nefertiti, podobnie jak jej mąż, była wielce zagadkową postacią. I mnie także, od kiedy po raz pierwszy zobaczyłem portret, nie opuszczała myśl o królowej. Piękna, która przybyła – tyle mówiło jej imię; ale poza tym nie wiadomo o Nefertiti właściwie nic. Wprawdzie faraonowie zgodnie z odwiecznym zwyczajem poślubiali własne siostry, ale Echnaton i tutaj zerwał z tradycją. Pytania o to, kim naprawdę była Nefertiti i skąd pochodziła, pozostawały bez odpowiedzi. Z pewnością nie należała do egipskiej rodziny królewskiej. Wiedziałem, że Petrie ma kilka pomysłów, ale nie mógł ich w żaden sposób udowodnić. Znowu sięgnąłem po papier. Ja nie umiałem odczytać hieroglifów, ale jeśli je skopiuję, dokona tego Petrie. Któż wie, jakich informacji mogłyby dostarczyć?

Kto wie? Nawet teraz, kiedy siedzę tutaj, prawie trzydzieści lat później w upale tebańskiego popołudnia, to pytanie nadal przyprawia mnie o dreszcz. Nie mam, jak sądzę, nazbyt wybujałej wyobraźni i niech mi wolno będzie powiedzieć na usprawiedliwienie młodzieńczych fantazji, że tamta sytuacja stanowiła dla mnie lekcję, której nigdy nie zapomnę. Archeolodzy, złąknieni wiedzy zawsze zbyt łatwo puszczają w niepamięć fakt, iż grobowiec jest czymś więcej niż tylko źródłem informacji historycznych. To przede wszystkim miejsce spoczynku zmarłych. Oczywiście nie tracę czasu na rozmyślenia o duchach i tym podobnych bzdurach, jednak czasem zdarza się, że zmarły zaskakuje tych, którzy próbują go zignorować.

Z pewnością tak było właśnie tamtego dnia. Przyglądając się twarzy Nefertiti w mrocznym wnętrzu grobowca, odniosłem wrażenie, iż królowa zaczyna się uśmiechać, a jej

oczy nabierają blasku, Zamarłem z przerażenia. Nagle przemknęła mi przez głowę myśl, że nigdy jeszcze nie widziałem czegoś tak strasznego. Wydawało się, jakby piękna żona faraona ożywała, a jednocześnie doskonale wiedziałem, że nie staje się człowiekiem, lecz czymś obcym, potwornym i straszliwie niebezpiecznym. Rzecz jasna, doskonale zdawałem sobie sprawę, jak bardzo pozbawione sensu są takie fantazje, więc zmusiłem się do oderwania wzroku i przetarcia oczu. Spojrzałem ponownie na portret królowej i wszystko wyglądało podobnie jak przedtem, może tylko jej usta wydawały się nieco pełniejsze w świetle latarki. Zaintrygowany, przysunąłem bliżej lampkę, ale nawet w pełnym blasku widziałem to samo. Byłem tak zaskoczony powstałym złudzeniem, że – wstydzę się nawet to napisać – pochyliłem się, jakby chcąc pocałować królową, i wyciągnąłem rękę, aby palcem dotknąć pięknego policzka. Kiedy to uczyniłem, cały wizerunek jakby zadrżał, zupełnie niczym duch – welon z nieskończonej ilości drżących punktów oderwał się od ściany i zawisł w powietrzu. A potem spadł, rozbijając się na podłodze w drobny pył. Tam, gdzie wcześniej znajdował się portret Nefertiti, została tylko naga skała.

Nigdy nie powiedziałem o tym Petriemu. Czułem zbyt wielki wstyd, dręczyło mnie poczucie winy. Staralem się za to w ciągu następnych tygodni naprawić swą głupotę, odkrywając coś innego – na przykład jakiś wyjątkowo piękny obiekt, lub coś mającego wielką wartość historyczną. Niestety, moje wysiłki spełzły na niczym. Nie znalazłem niczego, co mogłoby się równać z tym, co zniszczyłem. Jednak pod koniec naszych wykopalisk pokazałem Petriemu kopie arabskich napisów. Przez chwilę zaintrygował go wizerunek słońca i ludzi oddających mu cześć, ale podobnie jak wcześniej Newberry, również on wyśmiał pomysł, że jakiś Arab mógł skopiować zabytek z czasów Echnatona.

– Taka teoria – powiedział – jest bez wątpienia bardzo oryginalna, ale nie ma żadnych podstaw. Przyjrzyj się dowodom Carter, a zobaczysz, jak ta hipoteza rozpada się w gruzy.

Jego słowa zabolaly mnie bardziej niż mógł przypuszczać i nie rozmawiałem z nim więcej na ten temat. Jednak mimo brutalnego potraktowania przez Petriego nie mogłem uwierzyć, że te inskrypcje są zupełnie bezwartościowe i czasem kusiło mnie, aby wbrew rozsądkowi upierać się, iż skrywają niezwykle ważne tajemnice. Zwłaszcza dwa późniejsze odkrycia utwierdziły mnie w tym przekonaniu. Pierwszym było przetłumaczenie dwóch linii arabskiego tekstu, chociaż początkowo obawiałem się, iż okaże się on bezwartościowy. Sam Petrie, mimo dobrej znajomości języka, nie potrafił zrozumieć tego, co przepisałem, a kiedy poszliśmy do jednego ze starszych mieszkańców pobliskiej wioski i pokazaliśmy mu napis, starzec zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. Uwierzyłbym w prawdziwość jego lekceważącej reakcji, gdybym nie zauważył, jak po pierwszym spojrzeniu na zapisane słowa zadrżał, a twarz mu zbielała. Następnego dnia Petriego nie było w pobliżu. Podszedłem wówczas do raisa i poprosiłem o przetłumaczenie tych paru słów. Rais, który znośnie mówił po angielsku, zgodził się chętnie; ale gdy zobaczył tekst, również zbladł i zaczął kręcić głową.

Nie mógł jednak, jak starzec w wiosce, twierdzić, że nie rozumie tekstu, postanowiłem więc wydobyć z niego, o co chodzi.

– Bardzo źle – wyjąkał rais. – Naprawdę bardzo źle. Niedobrze wiedzieć.

– Dlaczego nie? – zapytałem, coraz bardziej zaintrygowany.

Rais rozejrzał się dokoła, jakby szukając pomocy, lecz nigdzie jej nie znajdując, jeszcze raz potrząsnął głową i westchnął głęboko.

– To jest klątwa – szepnął.

Wskazał palcem linijkę, skopioną przeze mnie w kamieniołomie.

– Klątwa Boga. Tu jest napisane: „Odejdź na zawsze. Jesteś potępiony. Jesteś wyklęty”.

Tak napisano w Świętym Koranie.

– A kto jest obiektem klątwy Boga?

Raisem wyraźnie wstrząsnął dreszcz.

– Iblis – wyszeptał. – Zły anioł, który upadł. Widzi pan, niedobrze wiedzieć.

Zignorowałem jego rady i wskazałem drugą linijkę.

– A to? – zapytałem. – Czy to też ze Świętego Koranu?

Rais wyglądał na tak zdenerwowanego, że aż przykro było na niego patrzeć. Wymamrotał coś cicho, po czym jęknął i potrząsnął głową.

– Przykro mi – nalegałem – nie rozumiem.

– Nie – szepnął. – To są grzeszne słowa, wcale nie werset ze Świętego Koranu. Święty Koran został napisany przez Boga. Ale to... – wskazał palcem – napisał Iblis... by wprowadzać w błąd.

– Co to znaczy?

Znowu odmówił tłumaczenia, ale dzięki znacznemu wsparciu finansowemu pomogłem mu przewyciężyć opory. Wziął papier i upiornym szeptem odczytał tekst:

– Czy myślałeś o Lilat wielkiej, innej? Należy jej się bać. Zaprawdę Lilat jest wielka wśród bogów.

Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Kto to jest Lilat?

Rais wzruszył ramionami.

– Na pewno wiesz – nastawałem coraz głośniej.

– Nie wolno wiedzieć.

Próbowałem dać mu więcej pieniędzy, ale tym razem nie przyjął zapłaty i tylko kręcił głową.

– Naprawdę nie wiem – protestowałem. – Wielki demon... straszny... ale poza tym... wybacz, nie mogę powiedzieć, przykro mi, nie mogę.

Uwierzyłem mu; a słuchając jego słów o demonach, doszedłem do wniosku, że to wszystko jest śmieszne. Odesłałem raisa i kiedy już zostałem sam, uśmiechnąłem się ponuro na myśl o tym, iż po tylu starannych poszukiwaniach prowadzonych z tak wielką nadzieją i

tak wielkimi ambicjami nie znalazłem nic, oprócz zabobonów. Iblis! Lilat! Wersety z Koranu! Co mam zrobić z tym całym bełkotem? Na samą myśl o tym poczułem wstyd. Wróciłem do wykopalisk; ciężko pracując przy usuwaniu piasku, postanowiłem wyrzucić z umysłu wszelkie tego rodzaju dziwactwa.

Przez następnych kilka tygodni pozostałem wierny tej obietnicy i pewnie wytrwałbym, gdybym w jednym z ostatnich dni naszych wykopalisk w Amarna nie dokonał drugiego, jeszcze bardziej zaskakującego odkrycia. Powiedziałem, że to ja dokonałem tego odkrycia, a prawdę mówiąc, dokładnie było tak: w miarę jak zbliżało się lato i temperatury rosły zacząłem coraz gorzej znosić upały i czułem się źle. Pewnego dnia w samo południe, kiedy starałem się odzyskać siły siedząc w cieniu palm, podszedł do mnie robotnik. Wyciągnął rękę i zobaczyłem na jego dłoni piękny, lśniący złoty pierścień. Wziąłem go, nie okazując szczególnego entuzjazmu, ponieważ ciągle jeszcze nie czułem się dobrze, ale nagle, kiedy na niego spojrzałem, odzyskałem siły. Przyglądałem się z niedowierzaniem dekoracji pierścienia, przetrąłem oczy i spojrzałem raz jeszcze. Ale nie, nie myliłem się – rozpoznałem dwie postacie przykucnięte pod dyskiem słonecznym. Zapłaciłem robotnikowi i pobiegłem do swojego namiotu. Wyciągnąłem papiery i znalazłem kopie arabskich inskrypcji. Porównałem je z pierścieniem. Wziąłem głęboki oddech... były pod każdym względem identyczne.

Wróciłem, aby odnaleźć robotnika. Pokazał mi, gdzie dokonał odkrycia, i doszedłem do wniosku, badając warstwę gruzu, że pierścień bez wątplenia pochodził z czasów Echnatona, gdyż został znaleziony między cegłami i skorupami naczyń, które można datować na ten właśnie okres. Ale mimo iż dowody leżały przed moimi oczami, ciągle nie mogłem w to uwierzyć, a tym bardziej wyjaśnić, na co najwyraźniej wskazywały. Czyż istnieje bowiem możliwość, żeby dwa wzory, rozdzielone okresem ponad dwu tysięcy lat, były tak do siebie podobne? Czy to tylko dzieło przypadku? A może jednak coś więcej? Nie umiałem odpowiedzieć na te pytania, ale przynajmniej miałem pewność, że należy je zadać.

Krótko później wykopaliska się skończyły i z końcem sezonu na dobre opuściłem Amarnę. To, czego się tam nauczyłem, wpłynęło na cały mój los. Pod nadzorem Petriego zacząłem się zmieniać w archeologa, prawdziwego specjalistę, umiejącego systematycznie prowadzić wykopaliska i studia, a także opanowywać wybuchy entuzjazmu. Ale również, jak sądzę, zetknąłem się po raz pierwszy ze śladami niezwyklej, wielkiej tajemnicy, która, jak się okazało, miała prześladować mnie przez całe życie.

Po opuszczeniu Amarny, jesienią 1893 roku, z radością objąłem posadę, dzięki której nie straciłem kontaktu z tą zagadką. A właściwie dopisało mi szczęście, że w ogóle dostałem jakąkolwiek pracę, gdyż przez pewien czas obawiałem się, iż nigdzie nie zostanę zatrudniony i nie pozostanie mi nic innego, jak opuścić Egipt. Jednak dzięki pomocy i rekomendacji moich dawnych opiekunów, nie tylko mogłem nadal pracować w Egipcie, lecz w dodatku w tej jego części, którą najbardziej pragnąłem odwiedzić. Odkąd Petrie opowiedział mi o



wspaniałościach wielkiej świątyni w Karnaku, pragnąłem ją zobaczyć i zwiedzić tereny starożytnych Teb. Otrzymana posada dawała mi taką możliwość i pozwoliła mi znaleźć się tu, gdzie teraz właśnie siedzę.

Mimo iż spędziłem tutaj tak wiele lat, to miejsce nie przestało rozpałać mojej ciekawości. Właśnie w Tebach, bardziej niż gdziekolwiek indziej w Egipcie, wydawało się, że przeszłość i teraźniejszość nigdy nie istniały; nawet wody Nilu, palmy i zboża na polach, oświetlone blaskiem południowego słońca, wydawały się elementami ponadczasowej architektury, niezmiennej i niewzruszonej, tak były obce i nieruchome. Pamiętam, że ta myśl uderzyła mnie już w pierwszych dniach pobytu w Tebach: gdy wychylałem się z okna pociągu i chwilę później, gdy zobaczyłem za odległymi palmami kamienie, kamienie i jeszcze więcej kamieni, wiedząc, że patrzę na szczątki wielkiej świątyni w Karnaku. Odwiedziłem ją jeszcze tego samego popołudnia. Kiedy spacerowałem zagubiony w jej oszałamiających, pompatycznych ruinach, przyszło mi do głowy, iż istotnie czas może bać się takiego monumentu. Dziedziniec za dziedzińcem, pylon za pylonem, świątynia ciągnęła się bez końca i nie mogłem się oprzeć porównaniu jej z piaskami i pustkowiem odległego o dwieście mil Achetaton. Czułem większy niż kiedykolwiek podziw dla rewolucji Echnatona. Rozglądając się dookoła, uświadomiłem bowiem sobie, że faraon, pragnąc zniszczyć Karnak, starał się osiągnąć to, co samemu czasowi nie udało się do tej pory. Jakie marzenia skłoniły króla do rzucenia wyzwania tak wstrząsającemu miejscu? Jakie marzenia, jakie nadzieje – albo może: jakie lęki?

Chętnie pozostałbym dłużej w Karnaku i oddał się rozmyślaniu nad jego zagadkami, jednak praca wzywała mnie w inne miejsce i jeszcze tego samego wieczora, kiedy zaczął zapadać zmierzch, przepравиłem się na zachodni brzeg Nilu. Żyzne mułowe pola wkrótce ustąpiły miejsca spalonym słońcem piaskom, a przede mną rozciągał się niski łańcuch górski, którego szczyty lśniły czerwono w zachodzącym słońcu. Tutaj, według starożytnej mitologii, leżała granica między światami żywych i umarłych; każdego wieczora słońce znikало za zachodnim horyzontem. Również duchy umarłych, jak wierzono, wyruszały w podróż na zachód, ku pustyni. Przyjechałem, aby pracować właśnie na tej granicy, gdyż wzdłuż niej stały niezrównane budowle, wzniesione jako bramy do zaświatów i tworzące, jeszcze dzisiaj, ogromne i bajeczne miasto umarłych.

Tutaj przez następnych sześć lat ciężko pracowałem, aby osiągnąć mistrzostwo w zawodzie, będącym moim powołaniem. Zatrudniono mnie przy badaniu największych świątyń grobowych faraonów. Kiedy stawałem w nich po raz pierwszy, były ledwo widoczne, stopniowo zaś okazywały się dziełami sztuki. Ciężko pracowałem na wykopaliskach, lecz nie znalazłem niczego, co rzuciłoby jakiegokolwiek światło na zagadki Amarny. Jednak dzięki mojej cierpliwości zawsze jak najcieplej wspominam tamte lata. Często zastanawiałem się, czy gdyby los inaczej rozdał karty, nie okazałbym się dobrym detektywem: może nie Sherlockiem Holmesem, dającym genialnie błyskotliwe rozwiązania, lecz starannie i

pieczołowicie gromadząc dowody, polującym na najdrobniejsze strzępy informacji, obserwującym i analizującym każdy ślad. Zdawałem sobie sprawę, że aby spełnić swoje ambicje, będę potrzebował całej wiedzy, jaką mogę zdobyć – a tę dało mi sześć lat pracy w świątyniach. Nauczyłem się tam o starożytnych Egipcjanach, ich historii i życiu więcej niż gdziekolwiek indziej; byłem już przygotowany na największą przygodę mojego życia.

Jednak w tym okresie nauki nie zaniedbałem badania tego, co najbardziej mnie interesowało. Za świątynią, w której pracowałem, wznosiła się stroma skała; za nią leżał spalony słońcem, dziki i odcięty od świata wąwóz. Dolina Królów! Przypuszczam, że żaden z cudów Egiptu nie przemawia bardziej do wyobraźni. Tutaj w wykutych w skale grobowcach złożono na wieczny spoczynek całe dynastie faraonów; opuszczona od tysięcy lat Dolina do dzisiaj sprawia wrażenie miejsca przerażającego, świętego i nawiedzanego przez duchy. Wydaje się niemal innym światem i nawet ścieżki wijące się wzdłuż zboczy, bielsze i bardziej oślepiające niż same skały, wyglądają jak żyły jakiegoś skamieniałego potwora, z którego dawno temu uszło życie. Trudno racjonalnie wyjaśnić uczucia sprawiające, że już przestępując próg grobowców, człowiek czuje się nieswojo – bo jakże można oddać słowami panującą tam ciszę, echo kroków, mrok i gorące, duszne powietrze; nie sposób opisać aury niezmiernego czasu i niepokoju, jaki ogarnia wchodzącego do środka.

A jednak, mimo iż grobowce w Dolinie są niezaprzeczalnie piękne i wspaniałe, nie znalazłem na ich ścianach niczego, co równałoby się z portretem Nefertiti, której twarz, piękna i przerażająca zarazem, pojawiała się niekiedy w moich myślach, niekiedy w snach, jakby popychając mnie ku jakiemuś nieznanemu celowi. Nie odkryłem też żadnego z dziwnych arabskich symboli i napisów, widzianych wcześniej w Amarnie; chociaż w gruncie rzeczy znalezienie czegoś takiego byłoby dla mnie większym zaskoczeniem, niż jego brak. Aton nigdy nie był przecież strażnikiem Doliny; to nie promienisty wizerunek jedyne boga czuwał nad grobowcami, lecz starożytne bóstwa zaświatów – te same, które Echnaton tak rozpaczliwie próbował zniszczyć.

Przede wszystkim widziałem bez końca powtarzające się na ścianach portrety Ozyrysa – pierwszego króla Egiptu, obalonego przez własnego brata, Setha. Przyglądając się zabytkom, przypominałem sobie legendę, którą opowiedział mi Newberry; bóg zła zamordował brata, wcześniej zamykając go w sarkofagu, a następnie poćwiartował jego ciało i rozrzucił kawałki po całym świecie. Lecz później Ozyrys został wskrzeszony przez Izydę, swoją siostrę, wielką boginię magii, i objął władzę nad Zaświatami; właśnie w tej roli przedstawiano go na ścianach grobowców – jako wiecznego władcę Krainy Umarłych. Legendy nie mówią o tym, jak Izydzie udało się przywrócić brata do życia; a jednak fakt, że czuwał on nad królewskimi sarkofagami – z nieodgadnionym wyrazem twarzy i tajemniczym uśmiechem – wydawał się wskazywać, iż sekret zdołały poznać przynajmniej dusze faraonów. Kiedy o tym rozmyślałem, znowu zacząłem zastanawiać się nad Echnatonem – co mogło go skłonić do porzucenia takiego boga i zrezygnowania z wiecznego życia po śmierci.

Niestety, bez możliwości prowadzenia wykopalisk w Dolinie miałem niewielką szansę znalezienia odpowiedzi na te pytania. Tylko jeden i to nie gwarantujący sukcesu sposób postępowania nasuwał się sam. Przypominając sobie odkrycie przez Newberry'ego legendy o przeklętym królu pomyślałem, że być może podobne opowieści krążą wśród ludzi mieszkających w okolicy Teb. Z pewnością niejeden mit przetrwał od niepamiętnych czasów w pamięci tutejszych wieśniaków, gdyż Dolina pozostawała tym, czym była już w epoce faraonów: niewyczerpanym źródłem zysków dla złodziei grobów i rabusiów. Ślady ich działalności można było zobaczyć wszędzie: otwarte lub na wpół zasypane jamy, w których spoczywały mumie, sterty śmieci, wielkie pagórki odłamków skalnych oraz tu i ówdzie wystające z piasków fragmenty trumien i strzępy bandażu mumiiowych. Przyszło mi do głowy, że wiedza zgromadzona przez takich „profesjonalistów” może zawierać jakieś użyteczne dla mnie informacje. Do tego czasu nauczyłem się rozmawiać bez większego trudu po arabsku i w co ciemniejsze noce, kiedy malaryczne komary i muszki zupełnie nie dawały mi spokoju, wychodziłem z domu i odwiedzałem zwierzchnika sąsiedniej wioski. Co prawda na moje pytania nie doczekałem się bezpośredniej odpowiedzi, ale nie byłem tym szczególnie zdziwiony ani zniechęcony. Dopytując się o legendy związane ze starożytnymi grobowcami, odniosłem bowiem wrażenie, że mężczyzna coś przede mną ukrywa. Ponadto znalazłem dostateczną liczbę dowodów, by utwierdzić się w przekonaniu, iż takie legendy mogą rzeczywiście być wciąż żywe. Zasiadając przy kawie ze zwierzchnikiem wioski, często miałem okazję słuchać gawędziarzy, którzy nie posługując się żadnymi książkami, snuli opowieści i dostarczali wieśniakom doskonałej rozrywki. To, co mówili, zawierało sporo historii i starożytnej wiedzy, a niekiedy zdarzało mi się usłyszeć, gdy wspominali o Dolinie, dyskretne aluzje do jakiejś wielkiej, wspaniałej tajemnicy, chronionej, jak mi się wydało, straszliwą klątwą. Z informacji nie odniosłem żadnych konkretnych korzyści, ale z pewnością pobudziły one moją ciekawość i często zdarzało mi się zastanawiać, co jeszcze mogą wiedzieć wiejscy bajarze.

Kiedy pracowałem daleko od Doliny, w świątyniach grobowych, takie pytania nie dręczyły mnie zbyt. Lecz jesienią 1899, pod koniec szóstego roku pracy w Tebach, nastąpił nagły zwrot wydarzeń, który sprawił, że te właśnie pytania wysunęły się na pierwsze miejsce. Najwyraźniej moje starania o to, aby móc prowadzić życie archeologa, zostały w końcu zauważone, gdyż zupełnie niespodziewanie zaproponowano mi funkcję Głównego Inspektora Starożytności. Spadł na mnie zaszczyt tym bardziej nieoczekiwany, że miałem wówczas zaledwie 25 lat, a przy tym moją niewybaczalną wadę stanowił fakt, iż nie pochodziłem z Francji. Uprzedzenia Petriego wywarły na mnie silny wpływ: zawsze spodziewałem się jak najgorszego po *Service des Antiquités*. Lecz przełożony tej organizacji, monsieur Gaston Maspero, odznaczał się niezwykłą bystrością umysłu i możliwe wręcz, iż właśnie dlatego, że nie był Anglikiem, lecz Francuzem, postanowił mianować tak mało ważnego człowieka na to stanowisko. Skwapliwie przyjąłem tę propozycję, zarazem

podekscytowany i pełen wielkich oczekiwań, odtąd miałem bowiem być odpowiedzialny za zabytki całego górnego Egiptu – a zwłaszcza za wykopaliska w Dolinie Królów.

W końcu więc, pomyślałem nie bez satysfakcji, mogę nazywać siebie prawdziwym archeologiem. Mimo wszystko w ciągu pierwszych miesięcy po objęciu stanowiska starałem się dobrze pamiętać to, czego nauczyłem się kilka lat wcześniej, widząc jak portret Nefertiti rozpada się w pył na moich oczach: największą cnotą w wybranym przeze mnie zawodzie musi być cierpliwość, cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość. Oczywiście najbardziej pragnąłem oddać się prowadzeniu wykopalisk i dokonywać wielkich odkryć, ale najbardziej nagłym zadaniem okazało się przeprowadzenie dokładnej inspekcji wcześniej znalezionych grobowców. A zatem, zgodnie z moją detektywistyczną skłonnością do badania śladów, rozpocząłem poszukiwania.

Już na samym początku odkryłem coś zaskakującego. Odniosłem wrażenie, że ktoś był w grobowcach tuż przede mną: we wszystkich niedawno odkrytych wnętrzach pozostawiono niewielkie amulety, na piersiach mumii leżących w sarkofagach lub u stóp wizerunków Ozyrysa malowanych na ścianach. Same amulety wydawały się zupełnie świeżej daty, ale to co przedstawiały sprawiało, że serce zaczynało mi bić szybciej – widniał tam, wprawdzie bardzo niezdarnie wykonany, wizerunek słońca z dwoma dobrze mi znanymi kuczającymi postaciami u dołu. Oto prawdziwa zagadka! Nie mogłem zrozumieć, co przedstawienie Atona robi w Tebach, setki mil od Amarny, ani w jakim celu tubylcy tworzyli wizerunki o niezaprzeczalnie pogańskim charakterze. Jednak byłem pewien, pamiętając graffito, które znaleźliśmy w Amarnie – również wykonane przez muzułmanina i również przedstawiające słońce – że istnieją tu jakieś związki i być może właśnie one są największą zagadką.

Całą tę tajemniczą sprawę rozjaśnił nieco przełożony moich robotników, Ahmad Girigar. Miałem do tego człowieka pełne zaufanie, gdyż pracował wcześniej dla wielu archeologów, a jego uczciwości dorównywała tylko znajomość Doliny. Pewnego dnia, kiedy znalazłem kolejny amulet leżący na mumii, pokazałem go Ahmadowi. Mężczyzna przyglądał się podejrzliwie.

– Poznajesz? – zapytałem.

Lekceważąco wzruszył ramionami.

– To jest dowód, że szaleństwo wciąż żyje i rozwija się w najlepsze – odpowiedział.

Zaintrygowany, poprosiłem o dalsze wyjaśnienia. Ahmad znowu wzruszył ramionami:

– Ludzie wierzą, że kiedy w Dolinie odkrywa się nowy grób, trzeba położyć na mumii jeden z takich symboli, aby dusze królów nie przebudziły się ze snu.

– Dlaczego miałyby się przebudzić? – zapytałem marszcząc brwi.

– To absurd, sir, zupełna bzdura.

– Rozumiem, ale co mówią ludzie? – nalegałem.

– Jest taka stara historia... – Ahmad przerwał i spojrzał na mumię. – Bardzo stara historia... dawno, dawno temu został odkryty grobowiec. W środku znaleziono wielkie skarby, niewyobrażalne bogactwo, ale również pewien straszliwy sekret... – Przełknął ślinę i znowu przerwał, jakby nagle z czegoś niezadowolony; nie mogłem pozwolić mu skończyć opowieści w takim momencie i błagałem, aby kontynuował:

– Sekret? Jaki sekret? – zapytałem stanowczo.

Ahmad nagle wybuchnął śmiechem.

– A jak pan myśli, sir? W tych naszych głupich historiach, jeśli gdzieś jest skarb, to musi być i demon. Ten demon był kiedyś faraonem, pogrzebanym w swoim grobowcu. Kiedy grobowiec otwarto, demon ukarał tych, którzy go uwolnili, ponieważ miał moc przyzywania duchów zmarłych. – Ahmad znowu przerwał i pochylił się nad mumią spoczywającą w sarkofagu. – Demon, chwała Bogu, został w końcu zniszczony. Otwarty grobowiec ponownie zamknięto i zapieczętowano, a Dolinę opuszczono na wiele lat, gdyż ludzie bali się, że gdziekolwiek ktoś znajdzie skarby, tam również pojawią się demony.

– A teraz... – Ahmad przyjrzał mi się badawczo. – A teraz... – powtórzyłem – ludzie nie boją się już żadnych demonów?

– O nie, sir – szepnął Ahmad, a jego twarz nagle stała się poważna. – Nadal się boją. – Uniósł świecę, by dokładniej obejrzeć amulet, po czym uśmiechnął się lekko. – Ale, czyż zawsze nie było tak, iż chciwość zwyciężała strach.

Później przyszło mi do głowy, że takiego ostrzeżenia nie powinien ignorować żaden Główny Inspektor, a ja z pewnością nie zamierzałem tego uczynić. Zamontowałem więc drzwi w najważniejszych grobowcach, lecz – niestety – słowa Ahmada nie przestały mnie prześladować. Zaledwie kilka miesięcy po naszej rozmowie ten sam grobowiec, w którym wówczas przebywaliśmy, został brutalnie splądrowany, zerwano nawet bandażę z mumii. Na szczęście na zwłokach nie znajdowały się żadne cenne przedmioty, a zniszczenia w samym grobowcu nie okazały się poważne. Nie mogłem nic na to poradzić, ale doskonale rozumiałem, że czekają mnie prace konserwatorskie, toteż postanowiłem zamocować drzwi jeszcze solidniej niż przedtem i zainstalować elektryczne oświetlenie. Rozpocząłem też nocne patrole, błakając się wśród skał samotnie i bez broni, zawsze wypatrując śladów bezprawnych wykopalisk, a nie poszukując wrażeń. W takich chwilach, kiedy nade mną lśniły gwiazdy, a wokół rozciągało się cmentarzysko, wcale nietrudno uwierzyć w demony!

Szczerze mówiąc, zainteresowanie rabusiów Doliną wcale mnie nie zniechęcało. Mieszkałem w Tebach już dostatecznie długo i wystarczająco poznałem zwyczaje tubylców, aby nabrać szacunku do ich wiedzy. Nie mogłem się przyznać do tego przed moimi kolegami w służbie rządowej, którzy uznaliby to za głupie i poniżające – ale byłem coraz głębiej przekonany, że w przesądach może się niekiedy kryć ziarno prawdy. Z pewnością legenda, wspomniana przez Ahmada Girigara – o odnalezieniu przez wieśniaków grobowca wypełnionego skarbami – wydawała się dość prawdopodobna; a jeśli jeden taki grób już

kiedyś znaleziono, to dlaczego w przyszłości nie miałyby zostać odkryte i drugi? Przynajmniej w tej sprawie logika złodziei grobów wydawała mi się przekonująca – na tyle nawet, że odczuwałem ochotę, aby pójść w ślady rabusiów.

Jednak nie tylko perspektywa znalezienia skarbów zajmowała moje myśli. Mimo iż Ahmad wyjaśnił mi znaczenie amuletów, które znajdowałem w królewskich grobowcach, nadal mnie one intrygowały, gdyż nie umiałem wytłumaczyć ani ich pochodzenia, ani ewentualnego związku ze słońcem Echnatona. Z jednej strony obecność amuletów chętnie przypisałbym oszustwu lub przypadkowi, z drugiej strony zaś w oczywisty sposób nasuwało się inne wyjaśnienie. Jeśli rzeczywiście odkryto kiedyś grobowiec pełen skarbów, to czy wśród złota nie mógł zostać znaleziony wizerunek Atona?

Takie rozwiązanie jest oczywiście tylko przypuszczeniem, a jednak przekonało mnie do niego pewne wydarzenie, które czytelnikowi może wydać się trywialne, lecz na mnie wywarło ogromne wrażenie. Pewnej nocy, kiedy patrolowałem skały nad Doliną, usłyszałem przytłumiony odgłos kopania. Jak już wiedziałem, mógł on oznaczać tylko jedno. Hałas dochodził z ciasnej kotliny tuż przede mną zatem najciszej, jak potrafiłem, zszedłem ze zbocza i ruszyłem w głąb wąwozu. Przed sobą zauważyłem wejście do nieznanego dotychczas grobowca, rozświetlone słabym, migotliwym światłem pochodni. Odgłosy kopania dochodziły z wnętrza, a gdy stanąłem przy drzwiach, usłyszałem szepty dwóch osób. Jeden z głosów był męski, władczy i niecierpliwy; drugi – drżący i niemal histeryczny – prawdopodobnie należał do chłopca.

Ostrożnie zajrzałem przez drzwi. W korytarzu stały dwie ubrane na czarno postacie, jedna bardzo drobna; tuż przed nimi majaczyło w mroku na wpół zasypane piaskiem i kamieniami wejście do dalszej komory. Mężczyzna, jak mi się wydawało, kazał swojemu towarzyszowi precyzyjnie się przez dziurę, lecz chłopiec płakał i dygotał ze strachu. Spośród jego szlochów wyłowiłem jakieś słowa o demonach – zdaje się, że bał się zakłócić sen zmarłego. Nagle odwrócił się i wskazał ręką wizerunek namalowany na ścianie; wtedy zobaczyłem dziwny błysk w oczach dziecka i zadrzałem, gdyż nigdy jeszcze nie widziałem kogoś tak przerażonego. Niestety, nieopatrznie poruszyłem kilka kamieni i ostrzegłem rabusiów o mojej obecności. Próbowałem ich pojmać, ale starszy z nich był doświadczonym złodziejem i w bardzo prosty sposób umożliwił ucieczkę sobie i chłopcu – wyjął nóż. Czułem się rozczarowany, ale przynajmniej mogłem zabezpieczyć nowy grobowiec. Wezwałem Ahmada Girigara i poleciłem mu przygotować wszystko do wykopalisk oraz postawić po obu stronach drzwi uzbrojonych strażników.

Okazało się, że grobowiec został splądrowany już w starożytności i w komorze grobowej udało mi się znaleźć jedynie fragmenty mebli i naczyń. W każdym razie nie odkryłem niczego, co wyjaśniałoby wyraz przerażenia, jaki zobaczyłem na twarzy młodego rabusia. A jednak jego strach był tak szczery i wyraźny, iż nie mogłem uwierzyć, że wywołały go tylko cienie. Czy znał legendę, opowiedzianą mi przez Ahmada Girigara? Czy właśnie ta historia

wzbudziła w nim lęk? Miałem na to tylko pośrednie dowody – ale jak zawsze takie same. Wizerunek na ścianie, który wywarł na chłopcu tak wielkie wrażenie, okazał się podobizną Ozyrysa – boga będącego według starożytnej mitologii Władcą Umarłych. To przed nim we wszystkich innych grobowcach troskliwie kładziono amulet Atona. Nie zdziwiłem się zbytnio, gdy jakieś dwa dni po odkryciu grobowca i tu zdarzyło się to samo: wchodząc do korytarza odkryłem leżący przed postacią Ozyrysa amulet z odcisniętym wizerunkiem Atona. Jednak w żaden sposób nie udało mi się ustalić, kto mógł go tam położyć.

Mimo wszystko nabrałem otuchy, miałem bowiem niemal pewność, że moja hipoteza jest słuszna i tubylcy musieli kiedyś – być może bardzo dawno – znaleźć grobowiec ozdobiony przedstawieniem Atona. Odkrycie to bez wątpienia zrobiło na nich ogromne wrażenie, gdyż jak inaczej wytłumaczyć używanie do dzisiejszego dnia amuletów Atona dla ochrony przed demonami rzekomo czającymi się w grobowcach? Zabawne wydało mi się łączenie przez tubylców owych demonów z postacią Ozyrysa. Nie mogłem sobie wyobrazić, co doprowadziło okolicznych mieszkańców do takich skojarzeń, ale byłem pewien, że przynajmniej duch Echnatona nie poczułby się tym urażony!

Oczywiście nie wiedziałem dokładnie, czyje miejsce spoczynku naruszyli miejscowi. Czy był to na przykład znany archeologii grobowiec ojca Echnatona, Amenhotepa III, dawno już splądrowany i opuszczony. Ale istniały też inne możliwości: wielu grobów nie udało się dotychczas znaleźć – matki Echnatona, jego dzieci, a nawet żony. Jeśli nawet do jednego z nich wdarli się tubylcy, to pozostałe – taką miałem nadzieję – nadal mogą pozostawać nie naruszone. Teraz potrzebowałem tylko czasu i pieniędzy; wierzyłem, że zdołam dokonać cudownego odkrycia, dzięki któremu moje imię zapisze się na wieki w dziejach archeologii. Czas, jak sądziłem, nie stanowił problemu; tylko brak pieniędzy mógł zagrozić moim planom, gdyż *Service des Antiquités* nie płacił zbyt dobrze, a własnych funduszy nie posiadałem. Nie mogłem jednak zaprzepaścić swoich ambicji i zacząłem poszukiwać jakiegoś rozwiązania.

Dziś księżyc jest w pełni. Kiedy siedzę przy biurku, widzę przez okno, że nawet góry są spowite niesamowitym blaskiem. W noce takie jak ta, można niemal uwierzyć w duchy zmarłych: przemykające drogą wijącą się obok mego domu milczące białe tłumy, kierujące się ku Dolinie Królów. Oczywiście archeolodzy nie mają w zwyczaju przyznawać się do takich fantazji, ale jeśli są uczciwi, to – jak sądzę – nie zaprzeczą, iż podobne myśli czasami przychodzą im do głowy. Bo pomijając wszystko inne, czyż wiara nie jest wielką nadzieją naszego powołania? Ufność, którą podzielamy ze starożytnymi, że można przywrócić przeszłość, tchnąć życie w to, co minęło?

Wprawdzie często irytowały mnie co bardziej idiotyczne przejawy romantyzmu, ale nigdy nie kwestionowałem i nie lekceważyłem faktu, iż właśnie romantyczny urok przyciągał rzesze ludzi do tego kraju. Dlaczego miałbym to robić? Głupcem byłby człowiek ignorujący takie źródło dochodu. Właśnie dzisiejszej nocy, kiedy księżyc w pełni lśnił nad świątynią w

Karnaku i nadawał tej monstrualnej budowli srebrzysty, trupi blask, udało mi się zdobyć fundusze, których tak desperacko poszukiwałem. Pełniąc funkcję przewodnika bogatych turystów, odkryłem, że nic nie otwiera portfeli skuteczniej jak opowiadanie o tajemnicach. A zalany niesamowitym światłem księżycy Karnak bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce wydawał się nawiedzany przez zjawy przeszłości.

Moim towarzyszem, gdy szedłem przez puste sale i dziedzińce, był Amerykanin – Theodore Davis. Ten emerytowany prawnik przyjechał do Egiptu, by podreperować zdrowie, lecz nagle mając dość życia w swojej łodzi mieszkalnej, zaczął myszkować po Tebach. Wkrótce postać tego mężczyzny z białymi wąsami i nieodłącznym papierosem w zębach stała się znajomym widokiem w Dolinie. Ten drobny, niespokojny, ekscentryczny człowiek był równocześnie, jak to się zdarza, bardzo znudzony i niezwykle bogaty.

Trudno się dziwić, że jego zainteresowanie Doliną zwróciło wówczas moją uwagę. Zawsze chętnie oprowadzałem Amerykanina po najnowszych znaleziskach i w końcu zacząłem obserwować, jak w czasie rozmów o mojej pracy jego blade oczy nabierają blasku.

– Ale przecież musi być o wiele więcej do odkrycia – powiedział pewnego razu ze zniecierpliwieniem. – Można jeszcze znaleźć mnóstwo innych rzeczy!

Nigdy temu nie zaprzeczałem. Ani też prawdę mówiąc, przez długi czas nie robiłem nic oprócz snucia domysłów. Skoro więc nadarzyła się okazja, zarzuciłem przynętę i czekałem, aż ryba ją złapie.

Kiedy staliśmy wśród potężnych kolumn świątyni, Davis aż drżał z emocji.

– Do cholery, Carter – wybuchnął w końcu. – Przecież całe to przeklęte miejsce jest zagadką. – Wymachiwał rękami, a z jego papierosa, jak zwykle, sypały się iskry. – Dlaczego to jest takie wielkie? – Spojrzał na mnie oskarżycielsko, jakby stał w sądzie i przesłuchiwał opornego świadka. – No, powiedz coś – nalegał.

Wzruszyłem ramionami.

– Wiadomo, że ta budowla poświęcona była Amonowi, największemu z bogów.

– Ale popatrz... – znowu zaczął gestykulować. – Przecież to jasne jak słońce, że to coś więcej niż tylko świątynia. To było... to było... całe cholerne miasto! – Ruszył naprzód, mijając cienie obelisków i potrzaskane granitowe bloki. – Pomyśl, Carter! Jaką władzę, jakie bogactwa musieli mieć ci kapłani! Ale skąd?

– Prawdą jest... – odpowiedziałem podążając za Amerykaninem – że Amon był nieco tajemniczym bogiem.

Davis wbił we mnie spojrzenie.

– Jak to?

– Tajemnica stanowiła sedno jego kultu. – Uśmiechnąłem się lekko.

– Co masz na myśli?

Wpatrywałem się w tonące w mroku ruiny.



– Imię Amona znaczy „Ukryty” – szepnąłem konspiracyjnie. – Również jego tytuły: „nieznany”, „niepoznawalny”, „ten o tajemniczej postaci”, wskazują, że prawdziwej tożsamości tego boga nie sposób poznać.

Davis zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– To dość jasne. Sądzę, że jego kapłani uważali siebie samych za strażników jakiegoś sekretu, magicznego źródła wiedzy i potęgi, pochodzącego z zamierzchłej starożytności.

– Proszę przedstawić dowody, panie Carter.

– Jakies czterdzieści lat temu – wzruszyłem ramionami – znaleźliśmy papirus opowiadający o tym, jak Izyda, siostra Ozyrysa i Setha, stała się *Uret Hekau*, czyli „Wielką Magią”. Wydaje się, że dokonała tego szantażując Amona i poznając sekret jego imienia. Co to był za sekret? O tym tekst nie wspomina. Ale to tylko jedna z wielu intrygujących poszlak. W innym papirusie, zawierającym hymn do Amona, możemy przeczytać, że bóg ów jest „zbyt wielki, by o niego pytać, zbyt potężny, by go poznać”, że „wszyscy ludzie padliby na ziemię ze strachu, jeśli jego prawdziwe imię zostałoby ujawnione”. Najwyraźniej wierzono, iż w całym wszechświecie nie istniała większa magiczna moc. I to właśnie kapłani mieli strzec tajemnicy Amona. Oto źródło – zatoczyłem krąg ręką – wspaniałości tego miejsca.

Davis przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu szeroko otwartymi oczami, w końcu parsknął ze zniecierpliwieniem.

– Ale to wszystko stare bajki i mity – stwierdził. – A co z faktami? Co może powiedzieć o tym archeologia?

– Żałośnie mało – odparłem szczerze.

– Do diabła, Carter – warknął, znowu wskazując otaczające nas ruiny. – W tak cholernie wielkim miejscu muszą być jakieś wskazówki!

– Owszem – odrzekłem. – Ale chociaż cały kompleks jest ogromny, to samo sanktuarium zajmowało niewiele miejsca. – Ruszyłem naprzód, Davis szedł za mną, zupełnie jakbym był starożytnym kapłanem, a on gorliwym akolitą, wprowadzanym w wielkie tajemnice. Przeszliśmy przez zrujnowaną bramę i wówczas spojrzałem przez ramię, żeby rzucić okiem na drogę, którą już przebyliśmy. Ruiny wydawały się ciągnąć bez końca: brama za bramą, sala za salą. – Najwspanialsza droga procesyjna na świecie – szepnąłem. – A dokąd wiedzie? Otóż prowadzi nas... tutaj. – Odwróciłem się i wyciągnąłem rękę. Zauważyłem, że Davis zmarszczył brwi. W miejscu, które wskazałem, nie było nic, oprócz piasku i odłamków kamienia.

Davisa ogarnęło jeszcze większe zdumienie.

– Co to jest?

Schyliłem się i podniosłem garść piasku.

– Kto wie...?

– Co takiego? Czy to tutaj niegdyś stało sanktuarium Amona?

– Najświętsze miejsce w Egipcie, panie Davis. Prawdziwe Święte Świętych. Ale, jak pan widzi... – wysypałem piasek, tak by uniósł go wiatr – po świątyni pozostał niewielki ślad. Nic nie wiadomo o tajemnicach Amona.

Davis patrzył na mnie w milczeniu, po czym bardzo powoli skończył palić papierosa i wgniół obcasem niedopałek w ziemię.

– Powiedz mi, Carter, do czego zmierzasz? – Przymrużył oczy.

– Jest pan prawnikiem, panie Davis – rzekłem wolno. – Czy jedna z zasad prawa nie mówi, że dowody oskarżenia muszą być równie solidne jak obrony?

Davis sięgnął do kieszeni po kolejnego papierosa.

– Proszę dalej. – Kiwnął głową, zapalając zapałkę.

Patrzyłem, jak płomień rozblysnął i zgasł.

– Zapytał mnie pan – powiedziałem cicho – jakiego sekretu strzegli kapłani. Wiemy, że kimkolwiek lub czymkolwiek był Amon, nawet najwięksi władcy przed nim drżeli. Wszyscy faraonowie... – zawiesiłem głos – oprócz jednego.

Davis wypuścił chmurę dymu.

– Mówisz, jak sądzę, o królu Echnatonie?

– Doskonale – przytaknąłem. – Skoro pan o nim słyszał, może zatem orientuje się pan także, że po śmierci jego imię, religia, a nawet ród zostały doszczętnie zniszczone przez mściwych kapłanów Amona. Lecz o ironio losu, dzięki zapomnieniu, jakie spadło na członków rodziny faraona, i próbie wymazania ich z historii, grobowce bliskich Echnatona mogły przetrwać nietknięte.

Davis podrapał się w czoło.

– Masz na to dowody?

– Powiedzmy, że taka teoria jest bardzo prawdopodobna.

– A w tych grobowcach... o ile nie zostały splądrowane... co właściwie spodziewasz się znaleźć?

Wzięłem głęboki oddech. Nagle z oddali usłyszałem wycie szakala – ciche, ale wyraźne – a wiatr niósł jego jęgliwe tony przez piaski.

– Co spodziewam się znaleźć? – powtórzyłem szeptem. – Być może tajemnice. Jakieś wskazówki dotyczące mocy czczonych przez kapłanów Amona, które Echnaton starał się zniszczyć. Wskazówki pogrzebane od dawna, od trzech tysięcy lat.

Urwałem, gdyż szakal zawył znowu, a tym razem zabrzmiało to tak niesamowicie, że słowa zamarły mi w gardle. Wiatr się wzmógł; zrobiło mi się dziwnie duszno i odniosłem wrażenie, iż bramy za nami za chwilę runą. Poczułem mdłości i byłbym upadł, gdybym nie oparł się o przewróconą kolumnę. Od dawna nie ogarnął mnie równie dziwny, irracjonalny strach – od czasu, gdy stałem w komorze w grobowcu Echnatona i patrzyłem na postać królowej. Ale teraz, kiedy o tym myślę, lęk znika i słyszę nie wycie szakala, lecz znajome odgłosy egipskiej nocy: szelest palmowych liści i zboża. Odwróciłem się w stronę Davisa.

– A w gruncie rzeczy – powiedziałem cicho – ktoś może wiedzieć, co odkryjemy w grobowcach? Tajemnica pozostanie tajemnicą, dopóki nie ujrzy światła dziennego.

Davis milczał. Był blady, a kiedy zaproponowałem, abyśmy zakończyli wycieczkę, zgodził się skwapliwie. Żaden z nas nie odezwał się w drodze powrotnej na drugą stronę Nilu, ale doszedłem do wniosku, że również Amerykanin doświadczył czegoś dziwnego, gdyż na jego twarzy malował się zarazem wyraz zaciekawienia i lęku. Ożywił się dopiero po zejściu na brzeg. Na trakcie ciągnącym się przez pola ku wzgórzom zaczął mnie wypytywać o zagadki związane z panowaniem Echnatona. Nie próbowałem gasić jego entuzjazmu; wręcz przeciwnie – celowo wyliczyłem grobowce, które wciąż jeszcze czekają na odkrycie.

– Ale niestety... – zakończyłem – na wykopaliska są potrzebne pieniądze. Chciałbym, żeby ktoś wykupił koncesję na Dolinę Królów; mógłbym wtedy prowadzić badania w jego imieniu...

Oczywiście Davis połknął przynętę – tak jak się tego spodziewałem. Z moim poparciem bez większego trudu udało mu się zdobyć w *Service des Antiquités* koncesję na Dolinę Królów; mając zapewnione fundusze, natychmiast przystąpiłem do kopania. Dawno już ustaliłem, która część Doliny może się okazać najbogatsza w znaleziska. I tak, pod czujnym okiem Ahmada Girigara, moi nowo najęci robotnicy zabrali się do oczyszczania terenu. Odnosiliśmy nieustanne sukcesy, gdyż w ciągu następnych dwóch lat wydobyliśmy na światło dzienne sporo grobowców. Zwłaszcza jeden sprawił, że przez chwilę serce zabiło mi mocniej, ponieważ okazało się, iż należał do dziadka Echnatona, króla Thotmesa IV. Ale niestety! Jak to się często zdarza, po wielkich nadziejach przyszło rozczarowanie. I tym razem wewnątrz trafiliśmy jedynie na ślady działalności starożytnych rabusiów; nie znaleźliśmy ani złota, ani skarbów, ani nic, co mogłoby choć odrobinę rozjaśnić mroki przeszłości. Nawet masywny kwarcytowy sarkofag nie ocalał; był pusty, a jego potężne wieko, ważące wiele ton, zostało odsunięte i leżało na podłodze. Już zacząłem się obawiać, że moje nadzieje zawiodły, lecz kilka dni po odkryciu grobowca, gdy pracowałem w komorze grobowej, zobaczyłem lśniący przedmiot wewnątrz sarkofagu. Podszedłem, by to sprawdzić, i znalazłem amulet. Ktoś musiał go położyć w tym miejscu zaledwie kilka godzin wcześniej, jednak nie potrafiłem powiedzieć, kto i w jakim celu. Na amulecie odcisnięto dobrze mi znany wizerunek tarczy słonecznej z dwiema kucającymi postaciami u dołu.

Nie pokazałem amuletu Davisowi ani nie powiedziałem mu o nim, gdyż wolałem zachować tę zagadkę dla siebie. Zresztą Davis nie potrzebował zachęty – z każdym kolejnym odkryciem był coraz bardziej podekscytowany – i coraz bardziej pewny siebie. Przez pewien czas obserwowałem zmiany zachodzące w stosunkach między nami; podczas gdy początkowo Amerykanin liczył się z moim zdaniem, później coraz częściej traktował Dolinę jak własną posiadłość, a mnie jak swego robotnika. Nieustannie musiałem przypominać mu, jaka jest moja pozycja: że to ja jestem inspektorem i oficjalnym kierownikiem wykopalisk. Davis

niechętnie przyjmował ten fakt do wiadomości, a w miarę narastania sporu stawał się coraz bardziej zaciętrzewiony i apodyktyczny.

Bardzo się zaniepokoiłem, gdy jesienią 1904 roku, po przeszło dwóch latach wykopalisk w Dolinie, dowiedziałem się o moim przeniesieniu na stanowisko Głównego Inspektora w Kairze. Davis przyjął tę informację z nieskrywaną radością. Najwyraźniej miał nadzieję, że będzie mógł łatwiej niż mnie kontrolować mojego następcę i przypuszczam, iż jego optymizm mógł być uzasadniony. Poważnie obawiałem się zatem o przyszłość archeologii w Dolinie, gdyż Amerykanina niezbyt interesowało prowadzenie wykopalisk naukowymi metodami, a po moim odejściu sprawy wyglądałyby jeszcze gorzej. Nie liczyło się dla niego rozwijanie wiedzy; bogaty prawnik skupił się jedynie na poszukiwaniu skarbów, a Dolina w jego oczach przedstawiała się jako istne Klondike. Aż bałem się myśleć, jakie ciekawe rzeczy mogły przepaść nie zauważone w czasie takiej pogoni za złotem, i zacząłem się zastanawiać – jak ów człowiek, który uwolnił dzinna z butelki – co właściwie udało mi się odkorkować. Wkrótce miało się to okazać.

Nic dziwnego, iż w miarę, jak zbliżała się chwila mego wyjazdu do Kairu, byłem coraz bardziej zawiedziony. Nadal dokonywaliśmy odkryć i oczyszczaliśmy grobowce, ale żaden znaleziony przedmiot nie pochodził z czasów Echnatona. Rozmiary Doliny i ukształtowanie terenu sprawiają, że nie sposób przebadać wszystkiego cal po calu. Nie traciłem jednak zupełnie nadziei i gdzie tylko zapowiadało się coś interesującego, tam kazałem robotnikom kopać. W moim ostatnim tygodniu prac w Dolinie miałem co najmniej cztery grupy robotników; przechadzałem się między nimi niecierpliwie, modląc się o wielkie odkrycie – na przykład Nefertiti lub tajemniczego faraona Semenckare, albo jego brata, równie zagadkowego Tutanchamona. Jednak nie znaleziono nic – ani grobowca, ani żadnej wskazówki, gdzie mógłby się on znajdować – a tymczasem dni mijały nieubłaganie.

Ostatniego popołudnia mojej pracy, kiedy zaczynało się ściemniać i robotnicy przygotowywali się do opuszczenia Doliny, nagle usłyszałem krzyk. Ponieważ łopaty i motyki zostały już odłożone, a zgiełk ucichł, echo niosło się po skalnych urwiskach z przeraźliwą wyrazistością. Przeraźliwą, gdyż był to krzyk niewiarygodnego przerażenia. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to że doszło do wypadku, więc pobiegłem najszybciej jak mogłem tam, skąd ów krzyk dobiegał. Po dotarciu na miejsce z ulgą stwierdziłem, iż nie zdarzyło się żadne nieszczęście. Trzej robotnicy cisnęli się wokół czwartego, który ścisnął coś w dłoniach. Kiedy jednak do niego podszedłem, a on odwrócił się w moją stronę, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że krzyczał właśnie ten mężczyzna: miał wytrzeszczone oczy, a jego twarz była kredowobiała; na mój widok zadrżał i cofnął się.

Podszedłem bliżej i zażądałem wyjaśnień. Wybełkotał coś niezrozumiałego, lecz nagle ujrzałem, z dreszczem podniecenia, że przedmiot trzymany przez robotnika ma złotą krawędź. Poprosiłem, aby mi to pokazał. Cofnął się jeszcze dalej, a kiedy wyciągnąłem rękę, żeby mu

zabrać znalezisko, zaczął płakać. W tej samej chwili usłyszałem za sobą kroki i obejrawszy się zobaczyłem Ahmada Girigara.

– Na miłość boską, uspokój go.

Mężczyzna patrzył dziko na Ahmada, po czym padł mi do stóp, jakby o coś błagając. Poczułem się zakłopotany – chociaż, prawdę mówiąc, nie zanadto, gdyż skoro tylko zabrałem znalezisko z rąk robotnika, zapomniałem o całym świecie.

Przedmiot okazał się plakietką ze złotej bransolety. Była pięknie wyrzeźbiona w karneolu, ale bardziej wyryty na niej wzór niż mistrzostwo wykonania sprawił, że serce zaczęło mi bić mocniej. W złotych ramkach umieszczono portret królowej: nie Nefertiti, jak początkowo pomyślałem, lecz o wiele potężniejszej postaci, prawdziwej Królowej Królowych, żony Amenhotepa III, matki Echnatona, Teje. W epoce wielkich władców nie było królowej potężniejszej i wspanialszej od niej; trzymając w rękach portret czułem niemal lęk. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, kim jest postać – rozpoznałem nie tylko rysy, ale i jej ulubione wcielenie, sfinksa o rozłożonych pierzastych skrzydłach. Wprawdzie widywałem dość często podobizny Teje, ale nigdy nie zetknąłem się z niczym, co mogłoby się równać z tym portretem, oddającym zarówno delikatną urodę, jak i majestat władczyni. Kobiecość twarzy i piersi królowej, osadzonych na ciele lwicy, nadawały wizerunkowi niepokojąco piękny, a zarazem okrutny wyraz. Niczym prawdziwa lwica, Teje czaiła się do skoku, prężąc tylne łapy i wyciągając przednie, jakby spragniona krwi sięgała po ofiarę.

Spojrzałem na robotnika, który ciągle kulił się przede mną. Cóż takiego w tym portrecie wzbudziło aż takie przerażenie? Skinąłem na Ahmada i pokazałem mu ozdobę. Przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem. Nie uszło mojej uwagi, iż był zaniepokojony, chociaż bardzo starał się to ukryć.

– Wielkie nieba! – krzyknąłem. – Czyżby podniecał cię portret damy, hultaju?

Ahmad jednak nie odpowiedział uśmiechem.

– Mówią... – szepnął – że kiedy został odkryty grób... ten, w którym demon strzegł skarbów... to właśnie taką rzecz znaleziono przy wejściu: portret lwa z głową kobiety.

– Sfinks – powiedziałem cicho, jakby sam do siebie – strzegący dojścia do bogactw... – Poczułem dreszcze.

Aby stłumić emocje, klasnąłem i poleciłem robotnikom kopać dalej. Nikt się jednak nie ruszył. Zobaczyłem, jak Ahmad spogląda na skały za nami, skąpane w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Odwrócił się do mnie.

– Wkrótce zapadnie noc, sir – powiedział z wahaniem. – Czy nie byłoby lepiej skończyć w dzień?

Pokręciłem głową.

– Wiesz, że jeśli właśnie teraz nic nie znajdziemy, to jutro będę musiał wyjechać. Nie, musimy kopać dzisiaj.

Ahmad wskazał na robotników.

– Widzi pan, sir, ci czterej nie zgodzą się tutaj pracować. Nie w tym miejscu.

– To znajdź innych! – krzyknąłem ze zniecierpliwieniem. – I to szybko! Nie mamy czasu do stracenia!

Ahmad wahał się jeszcze przez chwilę, lecz w końcu uklonił się i oddalił pospiesznie. Patrzyłem, jak odchodzi, po czym przyjrzałem się dokładnie ozdobie. Znowu poczułem dreszcz podniecenia. Wydawało mi się, spoglądając na rysy Teje, że potwierdzają teorię, którą dawno temu usłyszałem od Petriego: wielka egipska królowa prawdopodobnie nie pochodziła z Egiptu. Wiedziałem, że Petrie uważał Teje za semitkę; ale trzymany w ręku portret wskazywał raczej, iż wywodziła się z Nubii. Zmarszczyłem brwi. Wprawdzie sam doszedłem do tego wniosku, jednak po prostu nie mogłem go zaakceptować. Wiedziałem bowiem, że zgodnie z przyjętym zwyczajem faraonowie wybierali Wielkie Małżonki spośród swej własnej rodziny; to nawet więcej niż zwyczaj – uświęcona zasada religijna, narzucona i potwierdzona przez kapłanów Amona obawiających się, w innym przypadku, skażenia królewskiej krwi. Skąd więc pochodziła Teje? I jakim cudem, nie tylko zwykła kobieta, ale wręcz cudzoziemka, została Wielką Królową, mało tego – pierwszą królową w całej długiej historii Egiptu, przedstawianą jako równą swemu mężowi, faraonowi. Z pewnością była osobą niezwykłą, tak jak wskazywał portret, skoro udało jej się uwieść króla Amenhotepa, a później zapanować nad klerem Amona. Nagle przyszło mi do głowy, czy właśnie tutaj nie znalazłbym jakichś wskazówek na temat charakteru Echnatona, syna Teje. Być może wskazówki te leżą pogrzebane w piasku tuż pod moimi stopami.

Zatem z wielkimi nadziejami oczekiwałem na wynik dalszych wykopalisk. Przeżyłem jednak rozczarowanie, gdy Ahmad wrócił, prowadząc ze sobą nie więcej niż dziesięciu robotników i to – sądząc z wyrazu twarzy mężczyzn – wbrew ich woli.

– Ludzie są bardzo przestraszeni – szepnął do mnie Ahmad. – Tyle jest zabobonów. Wszyscy już słyszeli o odkryciu, o lwie z głową kobiety. Obawiają się, że mogliby naruszyć grobowiec i uwolnić demona po raz drugi.

– Nie ma żadnego demona – powiedziałem głośno do zgromadzonych wokół mnie robotników. – Żadnego demona, nie ma się czego bać. A to... – sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem monetę – dla pierwszego człowieka, który coś znajdzie.

Mężczyźni wzięli motyki i zabrali się do pracy; ale widziałem w słabym świetle latarki napięcie i grymas strachu na ich twarzach. Nastrój robotników zaczął się udzielać wszystkim, mnie samego ogarnęło dziwne podenerwowanie i zamiast zajmować się portretem Teje, odłożyłem go na bok, jakbym przeczuwał nieszczęście, jakie może wyniknąć z oglądania wizerunku królowej w świetle księżyca. Sięgnąłem po łopatę i również wzięłem się do kopania. Uczciwie przyznaję, że byłem zadowolony z możliwości zajęcia się ciężką pracą – gdyż nic lepiej nie koi nerwów niż wysiłek fizyczny.

A przynajmniej tak mi się zawsze wydawało. Jednak zachowanie moich robotników wskazywało na coś wręcz przeciwnego. Usuwaliśmy piasek i kamienie od paru godzin, gdy

nagle powietrze przeszył – dokładnie tak jak poprzednio – przenikliwy krzyk. Spojrzałem, skąd dochodził. Jeden z mężczyzn rzucił motykę i skulił się, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie, kiedy wskazywał coś, co właśnie odkopał. Również inni przerwali pracę i zaczęli się cofać. Usłyszałem żalosny, pełen strachu jęk i zobaczyłem, jak jeden z robotników odwraca się i zaczyna uciekać.

– Stój – krzyknąłem. – Stój!

Ale nic nie było w stanie go zatrzymać. Podeszedłem bliżej, próbując przekonać pozostałych do pozostania, ale również oni rzucili narzędzia i wychodzili z wykopanego dołu.

– Zatrzymaj ich – zażądałem od Ahmada, ale chociaż bardzo się starał, jego wysiłki spełzły na niczym. Ludzie wkrótce zniknęli w ciemnościach i zostaliśmy we dwóch w opuszczonym wykopie.

Zakląłem szpetnie i zbliżyłem się jeszcze bardziej, żeby zobaczyć, co wywołało taką panikę. Początkowo niczego nie dostrzegłem: w świetle latarki nie było widać ani blasku metalu, ani żadnych śladów kamiennych konstrukcji, które mogłyby wskazywać na istnienie w tym miejscu grobu. Ale kiedy się pochyliłem, ujrzałem coś, co wyglądało na ludzką stopę. Rzeczywiście – po odgarnięciu piasku okazało się, że znaleźliśmy ciało. Spojrzałem na Ahmada.

– Czy tutejsze historie wspominają o czymś podobnym? – zapytałem.

Ahmad milczał przez chwilę, jego źrenice rozszerzyły się.

– Mówiłem panu, sir, to same bzdury – odrzekł w końcu.

Zmusił się do uśmiechu; ale zauważyłem, gdy kucnął koło mnie, jak spojrzał za siebie, potem w prawo i w lewo, jakby obawiał się, że coś może się czaić w ciemnościach.

Jednak kiedy zabraliśmy się do odkopywania trupa, nic nam nie przeszkodziło. Wkrótce, po odkryciu najpierw jednej a potem drugiej nogi, okazało się, że ciało uległo naturalnej choć niecałkowitej, mumifikacji w suchym piasku. W niektórych miejscach skóra rozpadła się, białą wystające kości. Mimo największych starań nie udało się ustalić płci mumii. Mogłem jednak przypuszczać, na podstawie strzępów bogatej tkaniny, zachowanych tu i ówdzie, że nieboszczyk był kiedyś bardzo wysoko postawioną osobą; zastanawiało mnie, dlaczego on lub ona, został pogrzebany w piaskach, jeśli nawet najbiedniejsi Egipcjanie życzyli sobie spocząć w grobowcu.

Na rozwiązanie tej zagadki nie musieliśmy długo czekać. W miarę odkopywania zwłok, usuwając piach z miednicy i żeber zdałem sobie sprawę, że ciało jest skrzyżowane jakby w wyniku gwałtownej śmierci. Zastanawiałem się, czy Ahmad zauważył to samo, gdyż zwróciłem uwagę na jego drżące ręce. W końcu, kiedy miałem odsłonić szyję nieboszczyka, mój współpracownik odłożył pędzel i usiadł jak skamieniały, a na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia połączony z fascynacją. Przelotnie pochwyciłem spojrzenie Ahmada nie przerywając pracy. Jednak nagle zamarłem zaskoczony.

Przyczyna śmierci nie ulegała wątpliwości. Mimo upływu wieków suchy gorący piasek sprawił, że wyraźnie było widać rozerwane na całej długości gardło nieszczęśnika. Piasek utrwalił na wieki zaciśnięte na ranie ręce – próbę zatrzymania uciekającego życia. Rozmyślając nad tym pochyliłem się i wróciłem do roboty, ze zdwojoną energią wyciągając kamienie znad głowy, a następnie usuwając piasek, aby odsłonić twarz mumii. Wówczas usłyszałem westchnienie Ahmada, a także – może to tylko wyobraźnia? – jakiś hałas dochodzący spoza wykopu. Nie przestałem jednak pracować, dopóki nie dotarłem do twarzy. Kiedy skończyłem zdałem sobie sprawę, jak bardzo drżą mi ręce. Spojrzałem na Ahmada.

– Mój Boże – mruknąłem. – Widzisz, jaka może być siła wyobraźni. Ta cholerna rzecz sprawiła, że jestem tak samo zdenerwowany jak ty.

Ahmad uśmiechnął się, ale jego wyszczerzone zęby przypominały raczej uśmiech nieboszczyka. Oczy natomiast miał wręcz nienaturalnie szeroko otwarte i wytrzeszczone. Krótko mówiąc, jego twarz przypominała żywą maskę; ale jakkolwiek była niesamowita, nie mogła się równać z tym, co odkopałem. Z trudem zmusiłem się do spojrzenia po raz drugi na ohydnie zachowane zwłoki, a kiedy już to zrobiłem – przyznaję ze wstydem – zacząłem drzeć ze strachu. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej twarzy, tak wstrętnej, tak obrzydliwie zniekształconej! Czaszka wydawała się tak ogromna, że niknęła przy niej twarz, która z kolei sprawiała wrażenie dziwnie skurczonej, jak gdyby policzki zostały zmiażdżone przez gigantyczne palce. Całość niewiele przypominała ludzką głowę: na czaszce zostało kilka kępek włosów oraz złuszczonej skóra. Ale nic nie wskazywało na płeć, wiek lub rasę tego człowieka, gdyż wszystko co doczesne rozpadło się doszczętnie, a przetrwał tylko dziwny kształt.

– Sir! – Nagły krzyk Ahmada przypominał jęk. Wskazał ciemności rozciągające się wokół wykopu. – Hałas. Słyszałem... hałas.

Nadstawiłem uszu. Panowała cisza; martwa cisza. Już miałem się roześmiać – wyśmiać Ahmada z powodu wiary w duchy – kiedy nagle i ja coś usłyszałem. Szuranie, bardzo ciche, lecz wyraźne; i zbliżające się do nas coraz bardziej.

Ahmad spojrzał na mnie wytrzeszczonymi oczami. Złapał jedną z pochodni i unosząc ją wysoko, wspiął się na krawędź wykopu. Zawołałem, aby poczekał, ale on nie zatrzymał się, więc klnąc ruszyłem za nim. A wtedy znowu usłyszałem szuranie. Teraz mogę powiedzieć, że dochodziło z tyłu. Obróciłem się, świecąc dookoła latarką, ale nie widziałem nic. Powoli szedłem naprzód. Nagle usłyszałem za sobą kroki, ktoś biegł, ale kiedy spojrzałem przez ramię, wiedziałem już, że jest za późno. Ledwie zauważyłem mojego prześladowcę, Araba o zimnym spojrzeniu i zaciętym uśmiechu, gdy poczułem ostry ból z boku głowy, po czym zapadła ciemność.

Nie wiem, jak długo pozostawałem nieprzytomny. Ocknąłem się, kiedy Ahmad polał mi twarz wodą. Zdałem sobie sprawę, jeszcze zanim mi o tym powiedział, że również on został zaatakowany – ciągle miał krew we włosach. Po napastnikach nie było ani śladu, z wyjątkiem



kilku niewyraźnych odcisków stóp; ale nie tylko oni zniknęli. Gdy wstałem, Ahmad z ponurym wyrazem twarzy wskazał w stronę wykopu. Pobiegłem tam, lecz niestety! – moje najgorsze obawy okazały się prawdziwe. Mumia przepadła; a także ozdoba, którą tak starannie zawiązałem i odłożyłem na bok. Przepadły nie tylko wszystkie moje nadzieje, ale również znaleziska z tej nocy.

Byłem tym bardziej przygnębiony, iż wiedziałem, że następnego dnia nieodwołalnie muszę wracać do Kairu. Przez chwilę łudziłem się nadzieją, że może Ahmad rozpoznał napastników; lecz i on, podobnie jak ja, został zaskoczony. Kiedy próbowałem opisać człowieka, którego zauważyłem, Ahmad tylko wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Obiecał jednak przeprowadzić śledztwo i spróbować odnaleźć nie tylko rozbójników, ale i mumię oraz portret królowej Teje. Oczywiście wiedziałem, jak niewielkie ma szansę tego dokonać; zostawiłem mu jednak pieniądze i poprosiłem, aby informował mnie o wszystkim, czego zdoła się dowiedzieć.

Na koniec podziękowałem mu za wspólne lata pracy i już się żegnałem, gdy zauważyłem, że ma mi coś jeszcze do powiedzenia. Ociągał się jednak dziwnie i niemal straciłem cierpliwość, kiedy w końcu słowa przeszły mu przez gardło.

– Grobowiec, sir – wykrztusił. – Co z grobowcem?

– Grobowiec? – Zmarszczyłem brwi.

– Grobowiec, ten z legendy, z demonem wewnątrz. Mówiłem panu o lwie z głową kobiety, który został ponoć znaleziony przy zamkniętych drzwiach. Ale w tej opowieści, sir, było... było coś jeszcze. Wysuszone ciało z rozerwanym gardłem.

Przymrużyłem oczy i z namysłem zacząłem skubać koniec wąsów.

– Doprawdy? – powiedziałem.

Ahmad przełknął ślinę.

– Nie może pan zostać jeszcze kilka tygodni?

Rozważyłem taką ewentualność i powoli pokręciłem głową.

– Nie, wobec braku jakichkolwiek dowodów.

– A... pan Davis, sir?

Spojrzałem na niego badawczo.

– Czy powie pan Davisowi o tym, co zdarzyło się tej nocy?

Popatrzyłem na rozciągające się wokół piaski i pomyślałem o tajemnicach i skarbach, jakie mogą się w nich kryć. Spojrzałem jeszcze raz na Ahmada; nie odpowiedziałem.

– Wróci pan, sir – szepnął. – *In sha'Allah*. Pojawi się okazja i będzie pan znowu kopał w Dolinie Królów.

Wzruszyłem ramionami.

– Miejmy nadzieję – odparłem.

Nie muszę chyba wspominać, jak bardzo żałowałem odejścia z Teb; a jednak, mimo żalu, nie mogłem uniknąć pewnego rodzaju podniecenia na myśl o objęciu nowego stanowiska.

Jakże ogromny wydawał się Kair, jakże pełen barw i dźwięków, po ciszy i spokoju Teb. Na pustyni całymi godzinami nie słyszałem nic oprócz wycia szakala czy krzyku sokoła, lecz w Kairze gwar ulicy brzmiał w tle przez cały dzień. Nawet nocą nie milkły odgłosy kroków, szmer rozmów, krzyki handlarzy i szczekanie psów. Czasem dobiegał mnie też głos muezzina wzywający na modlitwę, śpiew tak stary jak samo miasto. Stojąc na dachu i przesuając wzrok po minaretach, wyobrażałem sobie, iż w tym nawoływaniu wszystkie stulecia Kairu stapiają się w jedno. Ale kiedy odwracałem się i spoglądałem w stronę południowego horyzontu, miałem przed oczami widok nieporównanie starszy. Piramidy w Gizie, oglądane z dachu mego domu, wydawały się dziwnie nierzeczywiste, jakby zawieszony we mgle; a jednak będą trwały dłużej, jak sądzę, niż sam Kair. Nigdy nie przestało na mnie wywierać wrażenia i napełniać dumą to, że właśnie mnie powierzono opiekę nad piramidami, które uchodziły za starożytne już w czasach Echnatona.

Lecz moje zainteresowanie tym królem i zagadkami jego panowania nie zmniejszyło się wcale po przyjeździe do Kairu. Oczywiście wiedziałem, że teraz wykluczone jest podążanie tymi samymi drogami, którymi kroczyłem w Tebach. W okolicy Kairu nie istniały miejsca nadające się do prowadzenia prac wykopaliskowych, ani też żadne źródła ludowych opowieści, tak pomocnych do tej pory. Otwierała się przede mną tylko jedna możliwość. Moim obowiązkiem w Kairze, podobnie jak wcześniej w Tebach, było zapobieganie przemytowi zabytków. W stolicy działało wielu handlarzy i obawiałem się, iż wszelkie wysiłki spełzną na niczym; ale wiedziałem też, że najwspanialsze z zagrabionych egipskich starożytności, najbogatsze łupy z Doliny Królów, wylądują w końcu na kairskich bazarach, gdzie krążą europejscy kolekcjonerzy. Kiedy tylko pozwalał mi na to czas, zacząłem odwiedzać takie sklepy, dając się poznać handlarzom zabytkami i dokładnie przyglądając się ich towarowi. Miałem nadzieję zwłaszcza na znalezienie portretu Teje, ale nie był to jedyny przedmiot, którego szukałem, ponieważ interesowało mnie wszystko, co pochodziło z czasów Echnatona. Przede wszystkim jednak polowałem na wizerunki słońca, z dwoma postaciami modlącymi się u dołu.

Początkowo szczęście mi nie dopisywało. Ale wizyty u handlarzy nie okazały się zupełnie bezcelowe, gdyż zawarłem z nimi znajomości i wkrótce udało mi się dowiedzieć, że prawdziwe serce handlu starożytnościami znajdowało się na suku leżącym na południe od Chan al-Chalili, wielkiego bazaru w średniowiecznej części miasta. Skoncentrowałem się na prowadzeniu śledztwa. I rzeczywiście, było to doskonałe miejsce do szukania zabytków. Ciasne, kręte uliczki, zastawione stojami z przyprawami i belami barwnych jedwabi, zatłoczone tragarzami i osłami, z kupcami siedzącymi w kucki i wolno przesuwanymi się tłumami przechodniów, pochodziły jakby z orientalnej baśni, z ilustracji w „Księdze tysiąca i jednej nocy”.

Już kilka miesięcy po przyjeździe do Kairu odczuwałem coraz większe znużenie. Ale wtedy, gdy chciałem porzucić swoje poszukiwania, los uśmiechnął się do mnie – i

poprowadził, niczym Aladyna lub Ali Babę, w świat pełen mrocznych, niewiarygodnych tajemnic. Pewnego wieczoru, przechadzając się między straganami z błyskotkami, zauważyłem bardzo wąski i ukryty w cieniu wysokiego, walącego się muru sklep, który wcześniej przeoczyłem. Odsunąwszy kotarę zasłaniającą wejście, wszedłem do środka, gdzie siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był zgarbiony i bardzo stary, ale jego towarzysz wydawał się jeszcze niemal chłopcem i to właśnie on wstał, aby mnie powitać. Zapytałem go, czy ma na sprzedaż jakieś starożytności. Przytaknął i gestem dał do zrozumienia, żebym za nim podążył. Wprawdzie trzymał tylko jedną lampę, ale w jej świetle dostrzegłem błysk metalu i wchodząc głębiej do sklepu, rozróżniałem w półmroku puchary, szable i ozdoby rozrzucone między dekorowanymi kamiennymi blokami. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że wszystkie te przedmioty pochodziły z czasów muzułmańskich. Rozczarowanie musiało się wyraźnie malować na mojej twarzy, ponieważ staruszek wstał i podszedł, aby sprawdzić, w czym może mi pomóc.

Opisałem, czego szukam. Jak to zwykle bywa na wschodzie, stary człowiek nie chciał przyznać, że nie zdoła spełnić oczekiwań klienta, pozwolił mi więc dalej zadawać pytania, niezmiennie potakując, uśmiechając się i jednocześnie wzruszając ramionami. W końcu zapytałem o wizerunek słońca i tym razem w jego uśmiechu dostrzegłem ulgę. Wziął mnie za rękę, cały czas szeroko uśmiechnięty i poprowadził w stronę kamiennych bloków. Wskazał na jeden z nich, lecz ja pokręciłem głową, ponieważ natychmiast zauważyłem, iż dekoracja nie różni się od innych i pochodzi z początków okresu muzułmańskiego. Staruszek jednak nalegał, bym przyjrzał się dokładniej, pochyliłem się więc nad kamieniem.

Wtedy serce zaczęło mi łomotać. Spojrzałem szeroko otwartymi oczami na sędziwego sprzedawcę, potem znowu na relief z boku kamienia. Nie ulegało wątpliwości: był to wizerunek nie po prostu słońca, lecz z pewnością Atona, pod dyskiem zaś przedstawiono dwie skulone postacie ludzkie. Dokładnie identyczne przedstawienie jak to, które znalazłem w kamieniołomie z Newberrym. Na kamieniu w sklepie nie było żadnych napisów, najwyraźniej jednak pochodziła z tego samego okresu. Widząc moje podniecenie, staruszek podał cenę, ale chociaż zapłaciłbym chętnie, potrzebowałem nie samego kamienia, lecz informacji. Mężczyzna wzruszył ramionami i uśmiechnął się, ale później, gdy nie przestawałem nalegać, uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi lęku. Wyjąłem z portfela więcej pieniędzy.

– Chcę tylko wiedzieć, skąd ten kamień pochodzi – powtórzyłem po raz kolejny.

Ale stary człowiek, z jakiegoś powodu przerażony moimi zamiarami, zawziął się i nie powiedział ani słowa. Zaczął wymachiwać rękami, jakby chciał wypędzić mnie ze sklepu. Spróbowałem uspokoić handlarza większą sumą pieniędzy, ale on nawet tego nie zauważył, przejęty strachem, lamentując głośno. W końcu, widząc, że nic nie wskóram, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem, równie zirytowany, co zaciekawiony przerażeniem sklepikarza.

Wściekły przebijałem się przez zatłoczony suk. Być tak blisko przełomowego odkrycia... i odejść z kwitkiem! Nagle poczułem, jak ktoś szarpie mnie za marynarkę; obejrzałem się i zobaczyłem chłopca ze sklepu. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Ten kamień, sir, pochodzi z meczetu – szepnął.

– Jakiego meczetu? Tutaj, w Kairze?

Chłopiec uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Sięgnąłem do kieszeni po plik banknotów i dałem mu kilka.

Przyjrzał im się pogardliwie.

– Musi pan wiedzieć, sir, że poszukiwana przez pana informacja, jest bardzo niebezpieczna.

– Dlaczego?

– Bardzo zły meczet... źle się o nim mówi.

Odliczyłem jeszcze kilka banknotów i podałem młodzianowi. Chłopiec wsunął je do kieszeni, wziął mnie za rękę i robiąc tajemniczą minę, poprowadził w ciemną boczną uliczkę.

– Kamień znaleźliśmy w meczecie al-Hakima; tak nazywał się kalif, wielki król rządzący wszystkimi arabskimi krajami dawno, dawno temu. Ale on był zły, sir, i szalony, i jak mówią, nie czcił Boga, lecz Iblisa, służył ciemności.

– Jakim sposobem stary człowiek wziął kamień?

– Meczet, sir, jest opuszczony, więc wuj bez trudu zabrał ten kawałek odłupanego muru.

– Ale dlaczego był tak przerażony, że nie mógł powiedzieć mi o tym sam?

Chłopiec spojrział w bok, w mroczną uliczkę. Gdy odwrócił się do mnie, bawił się wisiorkiem wiszącym na szyi.

– Wyryć słońce na murze, a zwłaszcza na murze meczetu, to straszliwa zbrodnia – syknął.

– Jeśli ktokolwiek dowiedziałyby się, że wujek znalazł...

– Ale kto miałby się o tym dowiedzieć? Przecież meczet jest opuszczony, sam mówiłeś.

Chłopak zadrzał. Wydawał się zdenerwowany niemal tak jak jego wuj.

– Muszę iść, sir – powiedział.

– Zaczekaj – krzyknąłem. – Zaczekaj, gdzie jest ten meczet al-Hakima?

Spojrzał na mnie przez ramię.

– Przy Bab al-Futuh, północnej bramie. I niech Bóg pana strzeże, sir! – dodał i zniknął mi z oczu.

Patrzyłem za nim przez chwilę, po czym spojrzałem w niebo. Gwiazdy lśniły już jasno. Pamiętając, jakim przerażeniem nappełniał ów meczet zarówno staruszka, jak i chłopca, miałem wielką ochotę zrezygnować z tej wizyty. Ale następnego dnia musiałem służbowo wyjechać z Kairu, a kiedy zapytałem o drogę, okazało się, że jestem zupełnie blisko Bab al-Futuh. Opuściłem więc suk i podążyłem na północ, przeciskając się przez zatłoczone bazyry i uśmiechając do samego siebie na myśl o tym, jak wielki wpływ mają na człowieka, nawet tak trzeźwo myślącego jak ja, zabobony. Ale gdy zostawiłem za sobą gwarne targowisko, tłum

zaczął rzednąć, a mrok wokół mnie stawał się coraz gęstszy. Coraz wyższe były sterty śmieci i rozpadające się budynki po obu stronach ulicy, toteż patrząc w górę, dojrzałem tylko wąskie schody, ledwie widoczne zza balkonów wystających ze ściany. W drzwiach i oknach nie dostrzegłem żadnych świateł, ani też – przedziwna rzecz w Kairze! – nie słyszałem żadnego dźwięku; a jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jestem obserwowany jakby za każdym zakratowanym oknem czaiły się czyjeś oczy. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, zacząłem baczniej przyglądać się namalowanym na ścianach oczom na otwartej dłoni – tradycyjnym egipskim amuletem przeciwko klątwie.

W miarę jak ulica rozszerzała się, wzrosła liczba oczu na murach. Wpatrując się w mrok zauważyłem zarys potężnej bramy – Bab al-Futih – przy której jak sądziłem, stał meczet. Nie widziałem jednak nic oprócz rozpadającego się muru ze zwieńczoną łukiem bramą po prawej stronie, tak zniszczonego i zasypanego gruzem, że dziwiło mnie, dlaczego władze nie postanowiły wszystkiego całkowicie zburzyć. Nawet w porównaniu z innymi zabudowaniami na ulicy, meczet sprawiał wrażenie opuszczonego i ponurego. Ale kiedy spróbowałem oderwać od niego wzrok, uświadomiłem sobie, iż coś w nim dziwnie mnie przyciąga. Niemal wbrew sobie przeszedłem przez bramę. Z trudem dojrzałem dziedziniec; potrzaskane marmury lśniły srebrzyście w świetle księżyca; jednak kiedy zrobiłem parę kroków w głąb ruin, blask zaczął ciemnieć, a wyraźniejsze stawały się obecne wszędzie chwasty, jakby rozpad wypierał światło. Szedłem naprzód. Przedemną rozciągało się istne gruzowisko: zwalone ściany, porzucone skrzynki, sterty kamieni. Po lewej i prawej stronie stały dwa minarety, doskonale widoczne na tle rozgwieżdżonego nieba. W tym samym momencie poczułem chłód w sercu; wiedziałem już na pewno – znalazłem meczet al-Hakima.

Pokonując irracjonalne przygnębienie, ruszyłem ku drzwiom pod najbliższym minaretem. Mur tutaj wydawał się lepiej zachowany i miałem nadzieję, że znajdę w tym miejscu coś godnego uwagi. Nad drzwiami, po dokładniejszym przyjrzeniu się, zobaczyłem arabski napis jednak tak zniszczony, iż z trudem mogłem cokolwiek zrozumieć. „Al-Wakil” – przeczytałem, wyglądało to na imię, potem kawałek uszkodzony i dalej – „to miejsce” – po czym, po drugiej stronie wejścia – „ciemność”. Zmarszczyłem brwi. Nie dało się odczytać nic więcej, ale z pewnością czegośkolwiek tekst pierwotnie dotyczył, prawdopodobnie nie miało to żadnego związku z dawno zmarłym faraonem. Dziwne zresztą, że taka myśl przyszła mi wcześniej do głowy. Jak bowiem na miłość boską – skoro panowanie Echnatona zostało skazane na całkowite zapomnienie – jego imię mogło być znane muzułmańskiemu kalifowi? I jak, nawet przy najdziwniejszym zbiegu okoliczności, ślady takiej herezji wyryte na murze meczetu miałyby przetrwać przez stulecia? A jednak... przypomniałem sobie wizerunek Atona na kamieniu w sklepie starego człowieka. Widziałem to przecież na własne oczy. Widziałem też lęk handlarza, paniczny strach; i to z pewnością było prawdziwe...

Pchnąłem drzwi, otworzyły się bez trudu. Zajrzałem do mrocznego wnętrza i zauważyłem schody. Ruszyłem po omacku w ich stronę. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że biegną

spiralnie, a zatem wspinałem się na szczyt minaretu. Szedłem bardzo powoli, gdyż było zupełnie ciemno, aż w końcu ujrzałem srebrzystą smugę światła wpadającą przez okno; wyjrzałem na zewnątrz i przekonałem się, iż dotarłem o wiele wyżej, niż sądziłem. Przez chwilę przyglądałem się z góry pustej skorupie meczetu, po czym ruszyłem dalej. Wkrótce minąłem drugie okno, potem trzecie i nieoczekiwanie, tuż poniżej czwartego, zauważyłem ciężkie drzwi. W przeciwieństwie do pierwszych, przez które przeszedłem, sprawiały wrażenie niedawno zamontowanych i w słabym świetle księżyca dostrzegłem, że mur wokół nich został wzmocniony. Nacisnąłem klamkę; drzwi ani drgnęły. Próbowałem je wyważyć, jednak bezskutecznie. W końcu zrezygnowałem. Ciekawe, co wymagało tak starannego zabezpieczenia? Przyjrzałem się dokładniej drzwiom, a potem murowi. Właśnie wtedy zmienił się kąt padania światła, ponieważ nagle zauważyłem coś, czego wcześniej nie widziałem; serce mi zamarło.

Nad najwyższą częścią łuku wyrzeźbiono wizerunek Atona. Nie mogłem go dobrze zobaczyć, więc wyciągnąłem rękę, by przesunąć palcem po wypukłościach. Wyczułem zarys dysku i dwóch postaci klęczących poniżej, wyciągających ręce ku jego promieniom.

Odetchnąłem głęboko i w tej samej chwili wydało mi się, że słyszę – bardzo cichy, daleko w dole – jakiś hałas, jakby skrzypienie otwieranych drzwi. Zamarłem i stałem chwilę bez ruchu, nastawiając uszu. Ale nie rozległ się już żaden odgłos, doszedłem więc do wniosku, iż przesłyszałem się ze zdenerwowania. Odetchnąłem raz jeszcze, tym razem z ulgą i przystąpiłem do dalszego badania płaskorzeźby na łuku nad drzwiami.

Zobaczyłem, że po obu stronach słońca wyryto dwie linijki tekstu. „Czy myślałeś o Lilat, wielkiej, innej?” – czytałem na głos, kopiując inskrypcję „Należy jej się bać. Zaprawdę Lilat jest wielka wśród bogów”. To samo głosił napis w grobowcu Echnatona, przy portrecie królowej; a teraz znalazłem go tutaj.

Podszedłem do drugiej inskrypcji. Tę również widziałem wcześniej, w kamieniołomie, który badałem z Newberrym. Przeszedł mnie dreszcz, gdy zacząłem przepisywać znaki, ponieważ tekst ten wydał mi się z jakiegoś powodu ostrzeżeniem skierowanym właśnie do mnie. Rozmyślając, usłyszałem wyraźnie te słowa, wypowiedane głosem tak zimnym jak światło księżyca lśniącego nad piaszczystymi wydmami pustyni.

– Odejdź na zawsze – szeptał ktoś. – Jesteś potępiony. Jesteś wyklęty. Odejdź na zawsze.

Odwrociłem się i zobaczyłem człowieka stojącego na schodach, ubranego w szaty arabskiego uczonego – długie i białe, podobnie jak wąsy i broda. Mężczyzna był przygarbiony i miał pobrużdżoną twarz; ale mimo iż sprawiał wrażenie niewiarygodnie starego, w jego zachowaniu nie zauważyłem słabości ani niedołęstwa. Wręcz przeciwnie – starzec patrzył na mnie wzrokiem tak jasnym i przenikliwym, że z trudem wytrzymywałem to spojrzenie. Nieznajomy miał lśniące oczy, a twarz pustą i bez wyrazu. Odniosłem wrażenie, iż wpatruje się we mnie wąż, a nie człowiek. Mimowolnie zadrżałem; nie potrafiłem zrozumieć,

jak ów człowiek stanął za mną, nie słyszałem przecież kroków osoby wchodzącej po schodach.

– Co pan tu robi? – Obcesowością próbowałem zamaskować zaniepokojenie.

Starzec uśmiechnął się lekko.

– Chyba raczej ja powinienem zadać panu to pytanie.

– Jestem... – urwałem, próbując wziąć się w garść. – Jestem Głównym Inspektorem Starożytności – oznajmiłem.

Wydało mi się, że dostrzegłem dziwne isierki w spojrzeniu mężczyzny.

– Czy to daje panu władzę nad świętym miejscem Boga?

– To... – wskazałem wizerunek słońca nad drzwiami – jest przedstawienie boga, którego niegdyś czcił faraon.

– Faraon? – Starzec zbliżył się do mnie o krok. – Ale, jak napisano w Świętym Koranie, faraon ogłosił, iż nie ma żadnego innego boga oprócz niego samego. Więc jak to, co pan mówi, może być prawdą?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

Stary człowiek zaśmiał się cicho.

– Nie ma pan prawa dowiadywać się czegokolwiek.

– Powtarzam, jestem Głównym Inspektorem Starożytności.

– A jednak, mimo wszystko, pan nie należy do tego miejsca. Proszę stąd iść! Proszę iść i nie wracać! – Nieznajomy rozkazująco wskazał mi ręką schody; i rzeczywiście, niemal zacząłem się wycofywać, gdyż wyczułem w jego głosie ostrzeżenie, prawie błaganie. Jednak nie ruszyłem się, ponieważ odnosiłem wrażenie, że jestem o krok od odkrycia jakiejś niezwyklej tajemnicy i miałem nadzieję, iż stary człowiek mógłby mi ją wyjawić. Lecz on tylko pokręcił głową, a jego spojrzenie zmroziło mnie.

– Czego pan chciałby się dowiedzieć o Egipcie? – szepnął. – Jak lęki leżą pogrzebane pod naszymi nocnymi koszmarami, tak tajemnice kryją się w przeszłości naszego kraju – mówił cicho. – Niech pan nie zakłóca ich spokoju, panie Carter, niech pan ich nie niepokoi. Niech pan uważa!

Zamarłem, gdy nieoczekiwanie wymienił moje nazwisko. Patrzyłem szeroko otwartymi oczami prosto w nieruchome, gadzie oczy starca. Próbowałem coś powiedzieć, ale cały czas czułem, jakby mój umysł nie należał do mnie, lecz pozostawał pod wpływem przeszywającego wzroku. Miałem wrażenie, jakbym widział w nim piaski pustyni, porzucane na wydmach skarby, na wpół rozbite kamienne popiersie, blask złota. Tu i ówdzie odsłonięte, a po chwili znowu zasypywane przez piasek starożytne krusze manuskrypty pełne tajemnic, których nie mogłem poznać. Odniosłem wrażenie, jakby przenikliwy wiatr rozwiewał mnie samego, niósł przez sny starca rozciągające się przede mną jak pustynie Egiptu. Zobaczyłem wydłużający się cień, wychodzący zza horyzontu. Poczulem chłód, a wtedy dostrzegłem przed sobą zarys świątyni, podobnej do Karnaku, na wpół

zasypanej przez piaski, lecz znacznie większej. Kiedy znalazłem się w jej cieniu, zrobiło się jeszcze zimniej. Wszedłem między kolumny, i jeszcze głębiej w mrok, a świątynia wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Coś było przede mną; coś pogrzebanego w miejscu sanktuarium; coś straszliwego, skrytego w ciemności, lecz przybliżającego się nieubłaganie. Czułem strach, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem; chciałem krzyknąć. Wiedziałem, że to coś jest tuż przy mnie; już prawie widziałem – zupełnie jakby zasłona otulająca tajemniczą rzecz zaczęła się wolno podnosić. Wyteżyłem siły i gwałtownie potrząsnąłem głową; otworzyłem oczy. Omamy znikły, a ja stałem samotnie u szczytu schodów. Po arabskim uczonym nie został nawet ślad.

Oczywiście później doszedłem do wniosku, że w tym wydarzeniu nie było nic ponadnaturalnego ani niezwykłego. Po prostu padłem ofiarą zręcznego hipnotyzera, to wszystko. Słyszałem już wcześniej o takich sztuczkiach, a czasem nawet miałem okazję je oglądać, siedząc przy ognisku z wieśniakami w Tebach. Nigdy jednak nie wyobrażałem sobie, iż ja sam mogłem okazać się podatnym na takie praktyki, ponieważ zawsze uważałem się za człowieka trzeźwo myślącego i w pełni panującego nad sobą. Dlatego, muszę przyznać, że kontakt ze starcem wyprowadził mnie z równowagi. Postanowiłem nie zostawać tej nocy ani chwili dłużej w meczecie; w końcu drzwi nadal były zamknięte i nie sądziłem, bym mógł się dowiedzieć czegoś więcej. Nie przeczę, z ulgą wróciłem do domu. Wyciągnąłem się na sofie, wciąż prześladowany przez obrazy, które ujrzałem, i bardzo zadowolony z towarzystwa ptaków przywiezionych z Teb. Jak zwykle działały na mnie kojąco ich śpiew, barwne pióra i trzepoty skrzydeł. Jednak przygnębienie pozostało, odczułem bowiem dotkliwiej niż kiedykolwiek, jak bardzo jestem samotny i zacząłem się zastanawiać, dokąd zaprowadzą mnie moje ambicje. Rozmyślałem tak przez wiele godzin, aż w końcu śpiew ptaków sprawił, że usnąłem.

Obudziłem się następnego ranka, nocą dręczyły mnie koszmary. Musiałem załatwić mnóstwo pilnych spraw, ale nie mogłem się pozbyć myśli o meczecie. Byłem już pewien, że jestem na tropie czegoś bardzo dziwnego: tajemnicy od dawna pogrzebanej, a jednak wciąż żywej; spisku zawiązanego ponad trzy tysiące lat temu. Nie wiedziałem, dokąd mnie doprowadzą te wszystkie poszukiwania. Prawdę mówiąc, nie zbliżyłem się ani na krok do rozwiązania zagadki ciągle miałem przed oczami zamknięte drzwi w minarecie, a starzec, chociaż potwierdził istnienie tajemnicy, nie powiedział mi nic więcej. Zdałem sobie sprawę, jak beznadziejne są moje dociekania: im więcej odkrywałem, tym więcej pozostawało do odkrycia – owocem każdego sukcesu była frustracja.

Cały ranek załatwiając swoje sprawy, zastanawiałem się nad zaistniałą sytuacją. Ale wydarzenia dnia uzmysłowiły mi ten paradoks jeszcze dobitniej. Nadzorowałem właśnie prace na pustyni w Sakkarze, kiedy dotarły do mnie wieści o pijackiej burdzie. Podobno grupa Francuzów zwiedzających okoliczne grobowce zaczęła rozrabiać i zachowywać się obraźliwie w stosunku do moich egipskich pracowników. Oczywiście pospieszyłem



najszybciej jak mogłem, by zbadać tę sprawę; przybywszy na miejsce trafiłem na prawdziwą awanturę. Moje prośby o spokój okazały się daremne, gdyż nie tylko Francuzi kłócili się z moimi ludźmi, lecz także ich służący, najokropniejsza banda zbirów, jaką można sobie wyobrazić. Natychmiast odniosłem wrażenie, że to właśnie oni byli głównymi sprawcami kłopotów, wezwałem więc posiłki i poleciłem rozbroić awanturników. Francuzi, zdając sobie sprawę, iż są w mniejszości, wycofali się, jednak głośno protestowali, gdy moi ludzie szarpali się z ich służbą. Zażądali, aby dano im spokój, na co niechętnie się zgodziłem, pod warunkiem, że wszyscy natychmiast odejdą. Kiedy jednak moi ludzie ustąpili, mogłem przyjrzeć się, dokładniej rozrabiakom, a zwłaszcza jednemu, wyglądającemu na prowodyra, którego twarzy dotychczas nie udało mi się dostrzec. Podszedłem bliżej, a wtedy on odwrócił się w moją stronę. Poczułem dreszcz – rozpoznałem twarz.

O pomyłce nie mogło być mowy. Widziałem tego mężczyznę już wcześniej. Zaledwie przez ułamek sekundy, gdy wyszedł z mroków w Dolinie Królów i pozbawił mnie przytomności – ten sam uśmieszek, ten błysk w oku. Wskazałem palcem i kazałem podwładnym go pojmać. Ale Francuzi, przekonani, że robię to z czystej złośliwości, zagrozili, iż sami przyłączą się do walki. Powstało zamieszanie i łajdakowi udało się umknąć wraz z całą bandą. Pozostałem więc z niczym; moi ludzie odnieśli rany, Francuzi byli ciężko obrażeni, a moja kariera stanęła pod znakiem zapytania.

Francuzi bowiem, z arogancją typową dla swego narodu, złożyli skargę u mojego przełożonego – bez wątpienia wiedząc, iż również on jest Francuzem. Muszę tu jeszcze raz podkreślić: szef *Service*, monsieur Gaston Maspero, był człowiekiem niezwykle wnikliwym i honorowym, a powierzwszy mi stanowisko inspektora, nie chciał mnie odwoływać z błahego powodu. Znał mnie dostatecznie dobrze, by uwierzyć, że nie zawiniłem, i mimo protestów francuskiego przedstawicielstwa w Egipcie stał po mojej stronie. Chciał jednak, abym – dla formalności – złożył przeprosiny i nie przypuszczał, abym odmówił. Oczywiście uznałem takie żądanie za obrazę, zresztą naprawdę czułem się upokorzony. Wypełniałem swoje obowiązki, starając się to robić najlepiej jak potrafię – dlaczego miałbym więc przeproszać za cudze błędy?

Dostrzegłem też inne, bardziej niepokojące aspekty tej sprawy. Zastanawiałem się, kim był ów Arab, przez którego najpierw zostałem zaatakowany w Dolinie Królów, a który teraz zaaranżował awanturę, tak fatalną w skutkach dla mojej reputacji? Z jakiego powodu mnie prześladował? Czy to tylko przypadek, czy też coś znacznie poważniejszego, iż ponownie wtargnął w moje życie tuż po tym, jak odwiedziłem meczet al-Hakima? Przypomniałem sobie arabskiego uczonego i jego słowa: „Niech pan uważa!”. A zatem – uważam i jestem gotów. Wydawało mi się bowiem, że znajduję się bliżej przełomowego odkrycia, niż ośmielałem się przypuszczać – z jakiego innego powodu komuś miałyby zależeć na usunięciu mnie ze stanowiska?

Dodatkowo utwierdziłem się w tym przekonaniu, gdy kilka dni po awanturze z Francuzami dostałem list wysłany z Doliny Królów. Nabazgrał go, najwyraźniej w wielkim podnieceniu, Theodore Davis; pisał o odkryciu wypełnionego skarbami grobowca. Czytałem doniesienia, miotany skrajnymi uczuciami: byłem zaintrygowany, co oczywiste, ale równocześnie – muszę to przyznać – czułem też rodzaj zazdrości, że to nie ja dokonałem odkrycia. Początkowo obawiałem się, iż Davis trafił na miejsce, które rozkopywałem ostatniego wieczoru w Dolinie Królów, ale czytając dalej, uspokoiłem się, gdyż nie ulegało wątpliwości, że kopał on zupełnie gdzie indziej. A jednak znalezisko interesowało mnie wyjątkowo, ponieważ grobowiec należał do rodziców królowej Teje. „Nie ma co do tego wątpliwości” – zapewniał Davis. Początkowo byłem zaskoczony, nigdy bowiem nie słyszałem, żeby jakiś dostojnik został pogrzebany w Dolinie Królów. Ale ich imiona przetrwały na pokrywach sarkofagów: Juja, ojciec, i Czuj, jego żona. W doskonałym stanie zachowały się też mumie – zwłaszcza Juja. – „Wiem, że według pana mógł on być Nubijczykiem, ale nie przypomina żadnego Murzyna, jakiego miałem okazję widzieć. Właściwie najbardziej jest podobny do pewnego żydowskiego polityka, którego niegdyś poznałem na Rodos: ten sam haczykowany nos i kościsty kark. Cudowne odkrycie, Carter; i cholerna szkoda, że nie może pan być tutaj. Tyle lat rozkopywał pan Dolinę, a w chwili, kiedy pan wyjechał, my znaleźliśmy ten niezwykły grób!”

Rzeczywiście cholerna szkoda. A jednak, mimo iż Davis niewątpliwie napawał się sukcesem, to odniosłem wrażenie, że nasza dawna współpraca nadal coś dla niego znaczyła. Znaleziska, donosił, wkrótce wyruszą do kairskiego muzeum, najpierw skarby, mumie kilka miesięcy później, i Davis potrzebował akwarel do swojej książki o grobowcu. „Widziałem to na własne oczy” – napisał w zakończeniu. – „Jest pan najlepszym artystą we współczesnej egiptologii. Proszę się więc zastanowić, czy nie namalowałby pan dla mnie zabytków, kiedy dotrą do Kairu? Oczywiście wynagrodzę pana trud” – dodał w postscriptum.

Natychmiast odpisałem, iż przyjmuję propozycję. Mogło się zdarzyć, pomyślałem ponuro, że będę potrzebował takiej pracy. Jeszcze nie zostałem poproszony o rezygnację, ale nie potrafiłem zmusić się do przeproszania za coś, co nie było moją winą. Maspero natomiast najwyraźniej szukając wyjścia z impasu, prawdopodobnie pragnąłby, abym opuścił Kair. Wiedziałem, że wysyłając mnie na prowincję, miał nadzieję zapobiec nieuchronnie nadciągającej burzy. Ale mimo to odczuwałem taką degradację jako bolesne poniżenie. Nie chciałem się rozstawać z Kairem, nie w chwili, kiedy moje śledztwo zapowiadało się tak obiecująco – jednak niestety zachowanie posady wiązało się z wyjazdem. Zatem niechętnie, ale ugiąłem się przed tym, co nieuniknione, i wyjechałem do Tanty, zabitej deskami dziury, gdzie odtąd mieściła się moja siedziba. Było to najobrzydliwsze miasto, jakie widziałem; nie tylko duszne i gorące, ale miało też ohydne ścieki. Nawet moje ptaki czuły smród i z każdym oddechem nękała mnie coraz większa pokusa, by złożyć rezygnację. Ciągłe jednak nie mogłem się zdecydować na podjęcie tego kroku. Dymisja oznaczałaby bowiem nie tylko

utrata dochodów, ale też – co nawet ważniejsze – władzy inspektora. Kto wie, kiedy mogła się ona okazać potrzebna? Cierpliwości – nakazałem sam sobie – cierpliwości, cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości.

W końcu, w samym środku nieznośnie gorącego lata, otrzymałem wiadomość, że zabytki z grobowca Juja dotarły do Kairu. Natychmiast wziąłem kilka tygodni wolnego i wyruszyłem do muzeum, z ulgą opuszczając Tantę, podekscytowany tym, co mogły mi wyjawiać skarby. Dokładnie tak, jak pisał Davis, przedmioty były doskonałej jakości. Najwyraźniej Juja był bardzo ważną osobistością, ponieważ inskrypcje na wielu przedmiotach nazywały go „teściem faraona”, natomiast jego żona nosiła tytuł „przełożonej haremu”. Jak już zauważył w swoim liście Davis, nie znamy żadnego innego śmiertelnika pochowanego w Dolinie Królów – a jednak nie mogłem znaleźć nic, co usprawiedliwiłoby tak wielki zaszczyt, jakiego dostąpił Juja. Na przykład sarkofagi, zazwyczaj stanowiące podstawowe źródło tego rodzaju informacji, były niemal zupełnie pozbawione dekoracji, a z pewnością nie widziałem na nich owych wymyślnych przedstawień bogów, którymi starożytni ozdabiali swoje trumny. Co jeszcze dziwniejsze, nie mogłem odkryć nic, co powiedziałoby mi, kim naprawdę był Juja i jak to się stało, że – wbrew tradycjom rodziny królewskiej – jego córka Teje poślubiła władcę Egiptu. Od dawna już wiedziałem, iż te pytania mają kluczowe znaczenie, ale ku memu wielkiemu rozczarowaniu nadal musiały pozostać bez odpowiedzi!

Nie poddawałem się jednak. Skarby wystawiono na widok publiczny i nie mogłem, wśród tłumów oglądających turystów, poświęcić im tyle uwagi, na ile zasługiwały. Zaopatrzony w pisemne poparcie Davisa zdobyłem więc pozwolenie na malowanie zabytków po godzinach otwarcia muzeum. Kiedy przyglądałem się zabytkom późną nocą, w zupełnie pustym, cichym i ciemnym wnętrzu, rosło we mnie przekonanie, iż muszą skrywać niezwykle tajemnice. Malując zabytki miałem coraz silniejsze uczucie, że dotykam jedynie powierzchni głęboko utajonych sekretów. Co więc mi umykało?

Zacząłem intensywniej o tym myśleć pod wpływem pewnego wydarzenia. Pewnego dnia przyszedłem do galerii wczesnym wieczorem, mniej więcej na pół godziny przed zamknięciem. Stałem chwilę, podziwiając skarby, jak jeden z wielu turystów. W końcu rozłożyłem ekwipunek, który przyniosłem ze sobą i ruszyłem obejrzeć dalsze eksponaty. Dopiero gdy się upewniłem, że muzeum zostało ostatecznie zamknięte, wróciłem do sarkofagu Juja; sale już opustoszały, a zabytki skrył półmrok. Jednak tam, gdzie pracowałem, zostawiono światło i dzięki temu bez trudu zauważyłem amulet. Inni mogli go nie dostrzec, gdyż leżał nie rzucając się w oczy obok sarkofagu, ale ja – po przeżyciach w Dolinie Królów – niemal spodziewałem się go znaleźć. Podniosłem amulet. Nawet nie musiałem się dokładnie przyglądać jego dekoracji – była taka sama jak zawsze: dwójka kłęczących ludzi pod wizerunkiem słońca. Rozejrzałem się dookoła i wyczułem słuch. Panowała kompletna cisza. Przebiegłem przez galerie, przeszukałem całe muzeum... ale nie znalazłem żadnego śladu

intruza. A jednak ktoś musiał tu być i położyć amulet przy sarkofagu Juja. Gdyby tylko udało mi się znaleźć tę osobę! Gdybym mógł wykryć spisek związany z dziwnymi legendami, od dawna pogrzebanymi tajemnicami oraz straszliwą klątwą sprzed wieków! Lecz mój urlop dobiegał końca, w Tancie zaś w ogóle nie miałem czego szukać.

A zatem powróciłem do miejsca mego wygnania. Ciągle miałem nadzieję wrócić na uprzednio piastowane stanowisko w Kairze i mimo iż szansę na to rysowały się raczej niewielkie, nie chciałem rezygnować z pracy w *Service*. Tymczasem moje przygnębienie sięgnęło zenitu, a im dłużej wahałem zapach ścieków w Tancie, tym bardziej stawał się on nieznośny. Jesienią zacząłem już tracić cierpliwość i kiedy Davis, listownie poinformował mnie o przybyciu mumii Juja i jego żony do Kairu, doszedłem do wniosku, że nie wytrzymam dłużej oczekiwania na oficjalne pozwolenie powrotu. Złapałem więc pierwszy pociąg i jeszcze tego samego dnia wieczorem stanąłem u bram muzeum. Czuwał tylko jeden zaspany strażnik, który mnie rozpoznał, gdyż gestem zaprosił do środka. Na szczęście miałem przy sobie własne klucze i mogłem dostać się bez asysty. Nie wszedłem jednak głównym wejściem przez hol, lecz wybrałem boczne drzwi, skąd schody prowadziły bezpośrednio na pierwsze piętro. Właśnie tam wystawiono mumie największych władców Egiptu, sądziłem więc, że ciała Juja i Czuzu również tam się znalazły.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, nie włączałem oświetlenia. Drogę oświetlałem sobie latarką. Z mroków wyłaniała się jedna mumia za drugą; wysuszone ciała spoczywały już nie w złotych trumnach, nie pod czujnym okiem Ozyrysa, lecz w gablotach opatrzonych tabliczkami. Szedłem między nimi, a moje kroki odbijały się echem w ciszy. Kolejno oświetlałem twarze dawno zmarłych ludzi, aż wreszcie zobaczyłem w samym końcu sali dwa ludzkie kształty owinięte w płótno. Ruszyłem ku nim pospiesznie, przestąpiłem linę, którą je otoczono, i zbliżyłem się do pierwszego ciała. Obok mumii leżała kartka papieru: „Czuzu, matka królowej Teje” – przeczytałem. Rozejrzałem się raz jeszcze, by uzyskać pewność, że jestem sam, i uniosłem skraj płótna, zagładając pod spód.

Spojrzałem w oczy kobiety żyjącej przed setkami lat. Przeżyłem jednak rozczarowanie, gdyż jej rysy nie zachowały się dobrze. W wyrazie twarzy, przypominającej raczej samą czaszkę, było coś obcego i nieludzkiego, coś niezwykle niepokojącego; do tego stopnia, że kiedy usłyszałem nagły ruch w drugim końcu sali, drgnąłem nerwowo i popatrzyłem wokół, jakby się spodziewając, że coś przerażającego czai się w ciemnościach. Hałas się jednak nie powtórzył, doszedłem więc do wniosku, iż dotarł do mnie odgłos gryzonia polującego w nocy. Rozejrzałem się ponownie i podszedłem do drugiego ciała. Tak jak poprzednio uniosłem skraj całunu i zajrzałem.

Tym razem jednak nie mogłem powstrzymać okrzyku zaskoczenia. Twarz Czuzu była poważnie uszkodzona, lecz oblicze jej męża przetrwało w doskonałym stanie. Davis ani trochę nie przesadził – to najlepiej zachowana mumia, jaką kiedykolwiek widziałem. Rysy pozostały bez żadnych zniekształceń. Dzięki temu przekonałem się, że Davis miał rację: Juja

rzeczywiście wyglądał na semitę. Miał gęste, siwe włosy, wielki, haczykowaty nos, mocną, wyraźnie zarysowaną szczękę – nawet po śmierci sprawiał wrażenie człowieka władczego. Spoglądając na szlachetne, wyrażające siłę oblicze, nie mogłem powstrzymać myśli, iż być może właśnie Juja stał za tym wielkim ruchem religijnym, który przerodził się w kult jedyne boga, ustanowiony przez jego wnuka, faraona. Ale nawet kiedy rozważałem te kwestie, nasuwało mi się mnóstwo pytań. Kim był naprawdę Juja? Jak doszło do tego, że córka semity poślubiła faraona? I dlaczego – jako nie-Egipcjanin, a tym bardziej nie-król – został pochowany w Dolinie Królów?

Rozmyślenia nad tymi zagadkami przerwał mi jednak nieoczekiwanie jakiś dźwięk, cichy, lecz tym razem wyraźny. Odwróciłem się i dostrzegłem w świetle latarki znikającą ludzką postać. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach i chociaż nie dostrzegłem twarzy tego człowieka, natychmiast domyśliłem się, kto to taki; zauważyłem błyszczące oczy, te same, które pamiętałem z Sakkary i Doliny Królów.

– Stój! – krzyknąłem; ale mężczyzna już zbiegał po schodach. – Stój! – powtórzyłem, ruszając w pogoń i mając nadzieję, że któryś ze strażników usłyszy moje wołanie. Ale kiedy dotarłem na dół, znów panowała głucha cisza; i chociaż szukałem dokładnie, wiedziałem, że nie uda mi się znaleźć zbiega. W budynku tak rozległym i z tyloma zakamarkami było nieskończenie wiele miejsc, w których ktoś mógłby się ukryć. Właściwie nie miałem nawet pewności, czy intruz ciągle tu jest. Dokąd więc uciekł? Gdzie miał tajną bazę?

Natychmiast wyruszyłem do meczetu al-Hakima. Moja taksówka początkowo jechała szybko, ponieważ było już bardzo późno. Ulice Kairu wprawdzie nigdy nie pustoszeją, jednak o tej porze nie są już tak zatłoczone jak w dzień. Ale w miarę zbliżania się do meczetu widziałem, jak kierowca staje się coraz bardziej niespokojny, aż w końcu, gdy od celu dzieliło nas już tylko kilka ulic, zatrzymał auto i oświadczył, że dalej nie pojedzie; ani tłumaczenia, ani pieniądze nie skłoniły taksówkarza do zmiany postanowienia. Wściekły, zostawiłem go w końcu i ruszyłem pieszo, bo w gruncie rzeczy wiedziałem, że do meczetu nie jest już daleko. Jednak chociaż wydawało mi się, iż rozpoznam drogę, wkrótce zdałem sobie sprawę, że zabłądziłem. Ulice skręcały i zwracały zupełnie nieoczekiwanie, jak w nie kończącym się koszmarze, a kiedy już dotarłem do meczetu, zdałem sobie sprawę, że jest za późno i nie uda mi się zaskoczyć zbiega. Mimo to wszedłem po schodach minaretu. Uderzając w drzwi zawołałem, by je otwarto. Odpowiedziała mi cisza, a drzwi pozostały zamknięte. Cofnąłem się na dziedziniec zalany nieprzyjemnym białym światłem, tak jak poprzednio. Widziałem, że jest pusty, ale nadal wołałem uciekiniera, starca, kogokolwiek. Lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Meczet nie przemówił.

Wróciłem do mego starego domu w Kairze na kilka godzin snu, po czym wsiadłem w pociąg do Tanty. Dojechałem na miejsce późnym wieczorem, nie marząc o niczym innym poza spokojną nocą. Jednak kiedy odjechała taksówka, która przywiozła mnie z dworca, mój służący wybiegł przed drzwi, lamentując i zawodząc coś niezrozumiałego. Próbowałem

wydobyć z niego jakieś sensowne informacje, ale on tylko wskazywał na dom. Wbiegłem do środka; wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy wyjeżdżałem. Już miałem zwrócić się do służącego i zażądać wyjaśnień, lecz zauważyłem, że drzwi do pracowni są wyłamane.

Z duszą na ramieniu podszedłem parę kroków. I nagle stanąłem jak wryty, sparaliżowany tym, co zobaczyłem wewnątrz gabinetu.

– Cholera – szepnąłem. – Jasna cholera... – Ku własnemu zaskoczeniu poczułem, że płaczę. Nie chcąc, aby zobaczył mnie służący, zatrzymałem się na chwilę i otarłem łzy. Dopiero wtedy przestąpiłem próg pracowni i pobierałem z podłogi martwe ptaki. Były tak małe i lekkie, że mogłem wszystkie zmieścić w dłoniach... moje ptaki, moje piękne, wspaniałe ptaki. Ich drobne ciała rozszarpano, a krwią napisano na ścianie ostrzeżenie. Znałem je już wcześniej. „Odejdź na zawsze. Jesteś potępiony. Jesteś wyklęty”. A za mną, nad biurkiem, ktoś nabazgrał drugi napis: „Czy myślałeś o Lilat wielkiej, innej? Należy jej się bać. Zaprawdę Lilat jest wielka wśród bogów”.

Najwyraźniej okrutnicy zamierzali mnie wystraszyć swoimi zaklęciami. Pomylili się jednak. Zawsze bowiem miałem tę zdolność dążenia do celu, którą niektórzy nazywają uporem, ja zaś zdecydowaniem. Zatem to, co ujrzałem, uznałem nie za przestrożę, lecz za wypowiedzenie wojny. Jeszcze tego samego wieczoru usiadłem przy biurku i napisałem list do monsieur Maspero, informując o mojej rezygnacji.

Wróciłem do Teb. Nie miałem żadnego planu działania; wiedziałem tylko, iż muszę uporządkować myśli. Na pewno pragnąłem szukać nowych wskazówek w Dolinie Królów; Davis mógł przecież nie donieść o jakichś odkryciach. Trzeba było też zapewnić sobie jakieś źródło utrzymania. Nie wątpiłem, że w Tebach, gdzie bogaci turyści dobrze mnie znali, znajdę pracę jako malarz i przewodnik. Przede wszystkim jednak, po wstrząsie, jakiego doznałem w Tancie, chciałem czuć się bezpiecznie. A w Tebach, bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu, czułem się jak w domu.

Mimo wszystko podejrzewałem, że nigdzie w Egipcie, a już najmniej w Dolinie Królów, nie uda mi się uciec przed tajemniczymi wrogami. Uznałem więc za najpilniejszą sprawę ostrzeżenie o niebezpieczeństwie Ahmada Girigara, ponieważ zaatakowano nas kiedyś obu i od tamtej nocy nie miałem od niego żadnej wiadomości. Dlatego od razu po przyjeździe do Teb udałem się do wioski, w której mieszkał Ahmad. Gdy zbliżyłem się do jego domu, z ulgą zobaczyłem, że zdrowy i cały siedzi paląc fajkę. Wstał, aby się ze mną przywitać, a z jego twarzy biła nieklamana radość, tak charakterystyczna dla egipskich przyjaciół.

– Pan Carter! – wykrzyknął, kłaniając się nisko, po czym uściśnął mi rękę. – Jakże się cieszę, że pana widzę! I naprawdę bardzo żałuję, że zrezygnował pan ze stanowiska.

– Skąd o tym słyszałeś? – Zmarszczyłem brwi. – Przecież jeszcze nikt o tym nie wie.

Ahmad nie przestawał się uśmiechać.

– Zna pan ten kraj, sir. Wiadomości rozchodzą się bardzo szybko.

– Nie wszystkie – odpowiedziałem.

– Ach, jak widzę, pan ciągle tropi te swoje zagadki. – Ahmad przyjrzał mi się badawczo.

Gestem wskazał miejsce do siedzenia i zawołał, aby przyniesiono nam kawę; popijając opowiadał o ostatnich wydarzeniach w Dolinie. Trudno było mi się jednak skupić, ponieważ cały czas zastanawiałem się, skąd Ahmad wie o mojej rezygnacji. Owszem, wyjaśnienie, jakie podał, brzmiało wiarygodnie, ale ja po ostatnich przeżyciach wszędzie zacząłem węszyć spisek. Sączyłem więc kawę, starałem się pozbyć podejrzeń i słuchać uważniej tego, co mówił Ahmad. Arab jednak zauważył moją zmianę nastroju, gdyż nagle przerwał i pochylił się w moją stronę:

– Czy nie jest tak, jak przepowiedziałem, sir? – Uśmiechnął się. – Widzi pan, Bóg chciał, żeby pan znowu tu kopał.

Byłem wzruszony jego lojalnością, ale nie podzielałem jego optymizmu. Nie uczestniczył już w wykopaliskach Davisa i nawet nie miał pewności, czy amulety nadal się pojawiają. Od Davisa nie mogłem oczekiwać pomocy, a z pewnością nie możliwości wznowienia moich prac badawczych. Ponieważ wcześniej sam wystarałem się dla niego o koncesję na Dolinę Królów, wiedziałem, że teraz muszę czekać, aż on zrezygnuje z archeologii, zanim będę mógł zacząć znowu kopać. A, niestety, nic nie wskazywało, by Davis zamierzał się wycofać.

– Zobacz, Carter – mówił z dumą – w każdym cholernym sezonie odkopuję grobowiec albo nawet dwa! W takim tempie wkrótce cała Dolina będzie opróżniona!

Wyraz żalu na mojej twarzy zawsze musiał być aż nadto widoczny, ponieważ Amerykanin kładł mi rękę na ramieniu i pocieszał:

– Nie martw się; kiedy znajdę grobowce królowej Teje, Semenckare i Tutanchamona, możesz być pewien: dowiesz się o tym pierwszy! – Po czym uśmiechał się jeszcze szerzej i czasem dodawał: – Ba! Mało, że cię powiadomię! Któż lepiej niż Howard Carter namaluje moje znaleziska?

Przyjmowałem to wszystko z najlepszą miną, na jaką potrafiłem się zdobyć. W końcu mogłem się upewnić, iż Dolina nie została całkowicie opróżniona, i jak najuważniej obserwowałem pracę Davisa. Były pewne obszary – moim zdaniem jedynie obiecujące – przekopane bardzo pobieżnie, co dobrze sobie zapamiętałem na przyszłość. Ale istniały też tereny, które Davis dopiero chciał zbadać, a jednym z nich było miejsce, gdzie niegdyś znalazłem portret królowej Teje. Wzbudziło to we mnie wielki niepokój. Tam właśnie odkopaliśmy mumię i zostaliśmy zaatakowani. A zatem nie miałem wątpliwości, że na tym obszarze znajduje się grobowiec. I to nie byle jaki. W jakiś sposób związany z miejscowym folklorem, a może z czymś więcej – z zagadkami, które skrywa meczet al-Hakima i ze spiskiem sprzed wieków. Co mogło się więc zdarzyć, gdyby Davis odkrył grobowiec? I co znalazłby wewnątrz?

Wiedziałem jednak, że nie istnieje żaden sposób, aby powstrzymać prawnika. Sytuacja stała się dla mnie tak przykra i nieznośna, iż czasem z trudem wytrzymywałem w Tebach.

Musiałem jeszcze prowadzić poszukiwania w Kairze, a ponieważ nie było mnie stać na służącego, wszystko robiłem sam. Przebywając w stolicy, jak najdokładniej obejrzałem meczet. Nie udało mi się znaleźć nic interesującego, prócz śladów inskrypcji nad drzwiami drugiego minaretu. Podobnie jak pierwsza, zawierała tajemnicze słowo *al-Wakil*, ale tym razem zrozumiałem całe zdanie. „Al-Wakil napisał to ostrzeżenie, aby przez zasłonięcie ciemności można było uchronić światło” – odczytałem. Spojrzałem w górę, na minaret. Ciemność... – zastanawiałem się – jaka ciemność? Co kryje się za drzwiami zwieńczonymi słońcem Echnatona?

Na temat samego al-Wakila nie zdołałem się dowiedzieć nic więcej. Początkowo jednak nie traciłem nadziei, ponieważ odkryłem wiele legend związanych z kalifem al-Hakimem, szóstym z fatymidzkich władców Egiptu, panującym u schyłku dziesiątego wieku. O jego okrucieństwie i bluźnierstwach nawet po tak długim czasie wierni mówili z trwogą – nic więc dziwnego, że meczet uchodził za przeklęty. Podobno kalif w swoim szaleństwie na koniec nawet sam ogłosił się bogiem. Mimo to byli tacy, którzy uważali go za świętego. Utrzymywali, że nigdy nie umarł, i szeptali, iż udało mu się odkryć eliksir życia. Podobno też jego śmierć – a według kronik został zamordowany – była niezwykle tajemnicza. Zacząłem się zastanawiać, jaką rolę w całej sprawie odegrał al-Wakil, gdyż wszędzie, gdzie kryły się tajemnice, doszukiwałem się tego imienia. Jednak nie mogłem znaleźć konkretnych wskazówek; mimo iż prowadziłem poszukiwania całymi miesiącami, nie trafiłem na żaden ślad.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciłem strapiiony do mego nędznego pokoju w hotelu, na łóżku leżał list napisany po arabsku. „Panie Carter – przeczytałem – proszę szybko przyjeżdżać. Grobowiec pogrzebanego demona został znaleziony. To pilne”.

List podpisał Ahmad Girigar.

Natychmiast wyruszyłem do Teb. Przez całą podróż dręczyły mnie obawy i wątpliwości, nie tylko z powodu odkrycia grobowca, lecz i listu, wysłanego przez Ahmada, ponieważ nie dałem mu adresu i zastanawiało mnie, skąd mógł go wziąć. Kiedy dotarłem do celu, nie poszedłem, jak poprzednio, do Ahmada po ostatnie wieści, lecz udałem się prosto do Doliny. Przechodząc przez prowadzący do niej ciasny wąwóz, spotkałem archeologa, którego Davis wynajął do prowadzenia wykopalisk. Był on Anglikiem jak ja i dość przyzwoitym człowiekiem, choć brakowało mu doświadczenia. Zapytałem go, czy to prawda, że znaleziono nowy grobowiec. Przytaknął, ale sprawiał wrażenie bardzo podenerwowanego, więc zaintrygowany próbowałem się dowiedzieć, o co chodzi. Biedak westchnął głęboko.

– Davis – syknął.

Towarzysząc mi w drodze do Doliny, Anglik wyjaśnił, że wszystko w tym odkryciu jest zagadkowe. Grobowiec został splądrowany, lecz niezliczone przedmioty leżały porozrzucane na podłodze. Najwyraźniej pochodził z czasów Echnatona, ale wszystkie imiona na ścianach



skuto. W sarkofagu leżała mumia, ale twarz na wieku też zniszczono. Nawet szkielet zdawał się jakiś dziwny.

– Davis jednak uważa, iż znalazł szczątki królowej Teje – rzekł mój kolega.

– Na jakiej podstawie?

– Znaleźliśmy w grobowcu wielką złożoną kaplicę; co prawda jest częściowo rozmontowana i użyto jej do zablokowania wejścia do komory, ale zachował się na niej kartusz Teje.

Zmarszczyłem brwi.

– Dlaczego zatem sądzi pan, że to nie jej ciało?

– Ponieważ wezwaliśmy dzisiaj rano lekarza, który stwierdził, że szkielet należy do mężczyzny, prawdopodobnie młodego, dwudziestokilkuletniego.

– A co na to Davis?

– Wie pan, jaki on jest. Równie dobrze można próbować zatrzymać lawinę, jak nakłonić go do zmiany opinii.

Przytaknąłem ze współczuciem. Wąwóz skończył się i weszliśmy do Doliny Królów. Mój towarzysz skierował się w stronę grobowca. Z drżeniem serca natychmiast rozpoznałem miejsce, w którym znalazłem portret królowej Teje. Wejście było tylko częściowo odsłonięte, ale zobaczyłem, że z mrocznego wnętrza wyłania się grupka robotników, niosących różne przedmioty.

– Co oni, do diabła, robią? – zapytałem z niedowierzaniem. – Nie zdaje pan sobie sprawy, że jeśli opróżni pan grobowiec przed jego zbadaniem, możecie stracić najważniejsze informacje?

– Oczywiście, wiem o tym – przyznał pospiesznie Anglik. – Ale, jak powiedziałem, tak kazał Davis, a Davis musi postawić na swoim.

Zakląłem i pobiegłem w stronę grobowca. Pobieźnie przyjrzawszy się wejściu zauważyłem, że pierwotny ceglany mur został przebity, a następnie ponownie zamurowany, lecz nie znalazłem nic, co mogłoby wskazać, kiedy to nastąpiło. Nie lepiej było w komorze grobowej. Tak jak się tego obawiałem, panował tam już beznadziejny nieład. Starłem się znaleźć jakieś dowody prawdziwości legendy zasłyszanej od Ahmada – coś, co świadczyłoby, że wchodziło do grobowca w czasach muzułmańskich. Niestety – było już za późno. Zakląłem znowu, zaskakując Bogu ducha winnych robotników soczystością języka, i wyszedłem z mroków grobowca na rażące światło dnia.

Słońce nie oślepiło mnie jednak aż tak, by nie zauważyć dwóch Arabów pod skalnym zboczem. Kiedy wychodziłem z grobowca, obaj stali tyłem, lecz gdy im się przyglądałem, jeden rozejrzał się wokół i natychmiast go rozpoznałem. Był to mój stary wróg z Sakkary, człowiek, którego podejrzewałem o zamordowanie ptaków. Ruszyłem biegiem w stronę ścieżki wspinającej się na skalne zbocze. A wtedy mężczyźni odwrócili się w moją stronę i z zaskoczeniem zobaczyłem, że drugi to Ahmad Girigar. Obaj pospiesznie się oddalili i zanim

dotarłem do ścieżki, straciłem ich z oczu. Wszedłem w końcu na szczyt wzniesienia, ale wokół panowała już pustka; starałem się iść śladem uciekinierów, lecz wkrótce piasek się skończył i stąpałem po nagiej skale. Udałem się prosto do wioski Ahmada. Jego dom był pusty. Kiedy się oddaliłem od miejsca zamieszkania Girigara, ogarnął mnie niepokój. Poczulem zbliżające się zagrożenie, jakby wiszące w gorącym, nieruchomym powietrzu. Cóż, takie doznania są dość częste na Wschodzie. Miałem też jednak wrażenie, że ktoś obserwuje mnie z ukrycia.

Nie wiedząc, co właściwie powinienem zrobić, dziwnie przygnębiony, ruszyłem z powrotem w stronę grobowca. Ale kiedy podszedłem zupełnie blisko, usłyszałem głos Davisa i natychmiast zamarłem. Jak tuman białego pyłu, opadło mnie zniechęcenie i znużenie; nie czułem się na siłach znieść spotkania z moim dawnym pracodawcą. Zawróciłem i opuściłem Dolinę. Szedłem tak pewnie, jak tylko dało się iść w dół stromą ścieżką; ale panował upał, nieznośny żar lał się z nieba, czułem, jak drżą mi kolana. Wokół mnie było oślepiająco białe od słonecznego światła. Teraz nie uda mi się już nic znaleźć – pomyślałem. Po co prowadzić dalsze poszukiwania? Gdzie i za co?

Wędrowałem wiele mil; wynająłem najpodlejszy pokój w najgorszym hotelu w mieście. Pokrywał mnie kurz, kłęby drobnych pyłków unosiły się również w powietrzu. Podszedłem do łóżka. Nie dbając o zdjęcie ubrania, odgarnąłem kołdrę. Leżał tam. Czy spodziewałem się tego? Możliwe, gdyż jak inaczej wyjaśnić, że nie byłem zaskoczony? Podniosłem i oglądałem przez chwilę... amulet z odcisniętym wizerunkiem słońca.

W końcu opuściłem go na podłogę. Ledwie usłyszałem, jak uderza o deski, lecz wydawało mi się, iż stukot odbija się echem, jakby zwielokrotnionym przez moją wyobraźnię. Myślę jednak, że nie spałem, ponieważ było jeszcze zbyt gorąco. Teraz sądzę, iż musiał to być atak gorączki, wywołanej przez wyczerpanie, emocje i upał; natomiast wiedziałem na pewno, że doznania nie zostały wywołane sennymi omamami.

Zobaczyłem reliefy na ścianach pokoju – wyglądały zupełnie jak prawdziwe. Postaci wyrzeźbiono w stylu Echnatona, groteskowym i zdeformowanym. Kiedy im się przyglądałem, zaczęły wyłaniać się z gipsu, z kołyszającymi się na wiotkich szyjach głowami i ustami wykrzywionymi w głupkowanym grymasie. Tłoczyły się wokół mojego łóżka. Wyciągnęły ręce, a wtedy ich kończyny zaczęły się łamać, a głowy drżeć jeszcze bardziej; widma wyglądały jak monstrualne owady. Spróbowałem odemknąć powieki.

Wydawało mi się, iż jestem sam w pokoju, dopóki nie zobaczyłem nieruchomej postaci tkwiącej w nogach łóżka. Spojrzeliśmy na siebie. Zjawy wyglądała jak inne, lecz nosiła podwójną koronę faraona, a jej uśmiech nie był złośliwy, lecz nijaki; po prostu nijaki. Nagle wszystko zniknęło; zadrzałem. Otworzyłem oczy. Tam, gdzie przedtem widziałem króla, teraz stał ktoś inny.

Znajdował się wprawdzie w cieniu, ale od razu go rozpoznałem.

– Przeszedłeś, żeby mnie zabić, tak jak zabiłeś moje ptaki? – zapytałem wolno.

Mężczyzna milczał. Dopiero gdy poderwałem się i usiadłem, przemówił w końcu, jakby się bał, że w przeciwnym wypadku wstanę.

– Nigdy celowo nie skrzywdziłem żadnej ludzkiej duszy – wyszeptał.

Wyraźne oznaki zmęczenia i wręcz rozpacz w jego głosie sprawiły, że nadal siedziałem nieruchomo na łóżku. Nie spodziewałem się, iż przemówi w taki sposób, nie ten człowiek, który zaatakował mnie, zniszczył moją karierę i powypisywał krwią przerażające groźby. Zmarszczyłem brwi, próbując dostrzec rysy intruza, ale pozostawał w cieniu.

– Czego więc chcesz? – zapytałem. Sięgnąłem po leżący na podłodze amulet. – Co to znaczy?

– Nie do mnie należy wyjawić ci tajemnicę – rzekł w końcu cicho.

– Więc z kim mam rozmawiać?

– W meczecie kalifa al-Hakima uzyskasz odpowiedzi na swoje pytania.

– Cóż takiego mogę tam znaleźć, czego jeszcze nie znalazłem?

Mężczyzna westchnął.

– Idź tam... – wzruszył ramionami. – Idź i dowiedz się.

Ruszył do wyjścia, a wtedy zerwałem się na równe nogi.

– Czekaj! – krzyknąłem, ale on nawet się nie obejrzał.

Dogoniłem go i złapałem za ramię. Nie mogłem mu przecież pozwolić odejść, nie z tyłoma pytaniami cisnącymi mi się na usta. Odwrócił się – i oniemiałem. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego wyrazu rezygnacji, wściekłości mieszej się z rozpaczą. Ale chociaż twarz mężczyzny była groteskowo skurczona, oczy lśniły ostrzegawczo.

– Powiedziałem ci: idź i zapytaj – syknął.

Spojrzał mi prosto w oczy, po czym opuścił pokój. Nie mogłem iść za nim, gdyż jeszcze nie czułem się dobrze. Zostałem i zastanawiałem się nad tym, co się wydarzyło; jaki to tajemniczy i nieprzewidziany przypadek, że kiedy wszystko wydawało się stracone, drzwi do minaretu zostały przede mną otwarte.

Wiele dni później nadal nad tym rozmyślałem, wspinając się po schodach, pukając do drzwi i otrzymując odpowiedź. Ujrzałem starego uczonego, z którym spotkałem się już wcześniej. Gestem zaprosił mnie do środka. Wszedłem i wówczas zobaczyłem, że również na jego twarzy maluje się poczucie klęski. Oczy mędrca, wywierające na mnie poprzednio tak wielkie wrażenie, straciły swój blask; twarz stała się obwisła; mężczyzna wyglądał staro i wcale nieimponująco. Nie odezwał się ani słowem, prowadząc mnie spiralnymi schodami na szczyt minaretu, a potem do niewielkiego kwadratowego pomieszczenia. Rozejrzałem się wokół, lecz nie dostrzegłem nic interesującego. Moje rozczarowanie musiało być wyraźnie widoczne, gdyż stary człowiek uśmiechnął się gorzko i wskazał w odległy kąt pomieszczenia; w cieniu dostrzegłem kolejne drzwi.

– Tam – powiedział cicho starzec. Czuję, jak od jego szeptu przechodzi mnie dreszcz, jakby słabe wspomnienie stanu, w jaki wtedy zostałem wprowadzony.

Uśmiechnął się – lecz był to straszny uśmiech, odsłaniający poczerwiałe zęby.

– Tam jest to, czego szukasz.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Nie jestem pewien, czego szukam.

– Sekret faraona. – Oczy starca zwięzły się w szparki. – Sekret al-Wakila.

– A jakiż to sekret?

Powieki opadły mu jeszcze niżej; wyglądał jakby wręcz zasypiał.

– Brzemie, którego strzegłem w tym meczecie przez długie lata – wyszeptał w końcu. – A przede mną inny czynił to samo, przed nim inny, w nieprzerwanej linii sięgającej czasów, gdy Prawdziwa Wiara była jeszcze młoda.

– Czy strzeżona przez ciebie tajemnica jest aż tak straszliwa, że nie można jej nikomu powierzyć? – zapytałem.

Starzec gwałtownie otworzył oczy.

– To jest sekret z królestwa zmarłych – powiedział ledwie słyszalnym głosem.

Zmarszczyłem brwi. Zapadła pełna napięcia cisza, gdyż wypowiedziane słowa wprawiły mnie w zakłopotanie i nie wiedziałem, co rzec. Przełknąłem ślinę.

– W takim razie, dlaczego pozwoliłeś mi tu teraz wejść? – zapytałem z największą beztruską, na jaką mogłem się zdobyć.

– Przekonano mnie, że nie mam wyboru – odpowiedział starzec.

– Kto cię przekonał?

– Ci, którzy rozumieją, jaki jest teraz świat. – Przerwał, a ja czekałem w milczeniu nie chcąc mu przerywać, czuję bowiem, iż walczy z jakimiś wielkimi rozterkami i obawami. Zamrugał oczami i po chwili odezwał się: – Słyszałeś historię o tym, jak dawno temu został naruszony grobowiec. Od tamtego czasu w miejscu, które ty znasz jako Dolina Królów, zawsze byli ludzie strzegący grobów, aby upewnić się, że nigdy więcej nie zostanie zakłócony ich spokój.

– Ahmad Girigar? – zapytałem.

Stary człowiek ledwie zauważalnie kiwnął głową.

– On jest, podobnie jak ja, jednym z długiej linii strażników. Ale teraz, tak mówi, czasy się zmieniły. W Dolinie są obcy. Mają nowe metody, nowe ambicje. Nie można ich powstrzymać. – Przerwał na chwilę – To tacy ludzie jak ty.

Uniosłem rękę.

– Nie kopię w poszukiwaniu złota ani po to, żeby bezcześcić starożytne tajemnice – zaprotestowałem. – Działam tylko w imię nauki i wiedzy.

Starzec uśmiechnął się lekko.

– To ty tak twierdzisz... i tak mówi Ahmad Girigar. – Ujął mnie za ręce i mocno ścisnął. – On powiada, że ze wszystkich cudzoziemców w Dolinie ty jesteś najlepszy. Że tobie najłatwiej będzie uwierzyć w pogrzebane niebezpieczeństwa; i że ty najmniej dasz się skusić chciwości.

– Jestem więc zaszczycony – odparłem. – Bardziej nawet, niż możesz sobie wyobrazić...

Strażnik meczetu krótkim gestem przerwał moje podziękowania.

– Powiedz mi, czy to prawda? – wyszeptał. Spojrzał mi prosto w oczy. Znowu poczułem, jak zapadam się w toń jego spojrzenia. Staralem się uwolnić od przejmującego wzroku. – Powiedz mi, czy to prawda? – powtórzył.

– To prawda – odpowiedziałem.

Zadrżał i ścisnął moje dłonie jeszcze mocniej.

– Trzymam cię zatem za słowo – rzekł cicho. – Pamiętaj, że zapisano w słowach Najwyższego, iż każda dusza będzie rozliczona ze swoich czynów. Dawno temu też pojawiali się ludzie, którzy jak ty starali się zdobyć wiedzę, ale zostali potępieni.

Puścił moje ręce i wydobyl spomiędzy fałd szaty klucz. Nie patrząc na mnie, podszedł do drzwi. Otworzył je i wszedł do środka. Wtedy zobaczyłem migoczący płomyk świecy. Zbliżyłem się do drzwi.

– Zamknij je za sobą – polecił starzec.

Tak też uczyniłem, mrugając przez chwilę, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności, po czym rozejrzałem się wokół. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki, a na każdej stał rząd butli. Wypełniała je przezroczysta, gęsta ciecz. W środku pływały kawałki ciał. Przyjrzałem im się dokładniej. W jednym naczyniu była stopa, w innym fragment ramienia, jeszcze w innym bardzo ciemna tkanka z kawałkiem kości.

– *Mumija* – szepnął mi do ucha starzec.

Spojrzałem na niego zdziwiony; nie mogłem ukryć rozczarowania. Takie kawałki wyschniętych ciał można za grosze kupić na bazarach, gdyż ludzie uważają, że zabalsamowane szczątki mają właściwości lecznicze. Ale jaki wielki sekret może się kryć w tych nonsensach? Wskazałem palcem na butle.

– Czy to wszystko, co chciałeś mi pokazać? – zapytałem.

Mężczyzna znowu uśmiechnął się szeroko.

– Owszem – rzekł. – Nie dotknął ich oddech rozkładu, tak jak innych ciał, choć trwają tak długo, jak długo trwa sam czas. Czy jeśli ma ci zostać wyjawiony sekret ich wiecznego życia, to czy nie powinienes zastanowić się nad takim cudem?

– Nie widzę w tym żadnego cudu – odparłem. – Nauka już dawno poznała sekrety procesu mumifikacji oraz techniki balsamiarskie stosowane przez kapłanów.

Starzec wykrzywił twarz w przerażającym grymasie.

– Tak? – zapytał z niedowierzaniem. – Doprawdy? – Podkasnął szatę i trzymając w górze świecę poszedł w najciemniejszy kąt pomieszczenia. Zobaczyłem, jak sięga po kolejny klucz.

Przyjrzał mu się w świetle, po czym obejrzał się w moją stronę. – Twoja nauka nie może nic o tym wiedzieć – oznajmił. – O tych tajemnicach wie tylko Bóg; ich poznanie rozsądziłoby nasze słabe umysły. Ale jeśli pan się nie boi, sir... – zaprosił mnie gestem ręki – jeśli pan się ośmieli...

Podszedłem do niego. Ujrzałem przed sobą cienką kratę, najwyraźniej zamykającą niszę w murze. Zbliżyłem się jeszcze bardziej i wziąłem głęboki oddech – w górnej części znajdował się wizerunek, namalowany w stylu muzułmańskim, lecz ponad wszelką wątpliwość wywodzący się z zamierzchłej przeszłości.

– Ci, którzy nie wierzą w Zaświaty, nazywają anioły kobiecymi imionami – wyszeptał stary człowiek.

Spojrzałem na niego, potem znów na malowidło.

– Ale ona nie jest aniołem, miała na imię Nefertiti i była małżonką faraona – wyjaśniłem.

Starzec zaśmiał się głucho i otworzył kratę, odsłaniając kolejną. Również na niej namalowano wizerunek słońca i dwie klęczące osoby. Starzec wskazał jedną z nich.

– Tego faraona? – zapytał, po czym zamilkł na chwilę. Patrząc na mnie kpiąco, przesunął palec na drugą postać. – I ta królowa?

Wzruszyłem ramionami i potrząsnąłem głową.

– Skąd mam wiedzieć?

– Wkrótce się dowiesz.

– To jest ta tajemnica?

– Właśnie tak. – Mężczyzna włożył klucz do zamka w drugiej kracie, przekreślił go i odchylił kratę. W niszy nie było nic oprócz wystrzępionego manuskryptu. Stary człowiek spojrzał na mnie badawczo, po czym z szacunkiem wyjął manuskrypt. – Strzeż go dobrze – rozkazał – gdyż jest bezcenny; za tyle diamentów, ile on sam waży, nie można by kupić jego tysięcznej części.

Wziąłem manuskrypt w ręce. Jakże delikatny się wydawał, jak wiekowy!

– Ale co to jest? – zapytałem.

– Przeczytaj – powiedział ostro starzec. – Inaczej, po co bym ci go dawał? Przeczytaj to, panie Carter; przeczytaj i spróbuj zrozumieć.

Tak też zrobiłem.

Oczywiście, że zrobiłem, inaczej po co siedziałbym tu teraz? Kopia manuskryptu leży przede mną na biurku. Patrę na pierwszą linijkę. A potem unoszę oczy, żeby zobaczyć gwiazdy lśniące nad Doliną Królów.

Jestem zdumiony. Zdumiony i pełen nadziei – ale odczuwam również lęk.

*Manuskrypt kopia sporządzona przez Howarda Cartera z oryginału nie ustalonego autorstwa i nieznaney daty, odkrytego w meczecie al-Hakima w marcu 1905 roku.*

W imię boga miłosiernego, litościwego,  
w którego i ja wierzę

C hwała niech będzie Bogu, stwórcy Wszechrzeczy, który wyniósł Niebo i zaludnił świat; nie ma innej drogi, jak tylko droga Boga! Z braku Jego opieki zostało zburzone Miedziane Miasto, mimo iż było u szczytu swej świetności, a wszystkie wielkie dzieła stały się ciche jak grób i teraz, na całej olbrzymiej przestrzeni, między gigantycznymi posągami z metalu i pod kopułami przystrojonymi klejnotami słycać tylko lament sów. Pomyśl o tym, że w mieście czcicieli ognia, którzy nie ukorzyli się przed potężnym głosem Boga, wszyscy, oprócz jednego, zostali zamienieni w kamień. Albo pomyśl o faraonie, władcy rozległych posiadłości: nikt nie był potężniejszy od niego, a w swej pysze on sam ogłosił się bogiem. A jednak jest Pan, którego tchnienie powala armie, który buduje nawet dla królów ciasne i mroczne domy – jego imieniem jest Śmierć. Gdzie teraz jest Faraon? Upadł; upadł na zawsze, brakowało mu bowiem łaski Boga. Zaprawdę, nie ma innego przewodnika, jak tylko Bóg jedyny.

Powiadają – lecz tylko Bóg widzi i wie, gdzie kryją się kłamstwa – że Przywódca Wiernych, al-Aziz, piąty z kalifów władających Egiptem, był księciem, mądrością dorównującym królowi Salomonowi. Pewnego wieczoru, czując się zmęczonym, wezwał przed swe oblicze Haruna al-Wakila, swego najbardziej zaufanego sługę i najbliższego przyjaciela, którego mądrość nie ustępowała dobroci serca.

– Przyjdź – powiedział kalif. – Pospacerujmy wdychając słodką woń kwiatów róż i jaśminu, nic bowiem nie koi tak, jak chłód ogrodu, gdy dzień jest gorący, a dusza cierpi.

Harun wstał i podążył za swym panem. Przechadzali się obaj między fontannami i kwiatami, aż w końcu doszli do marmurowej ławy przy sadzawce i tam usiedli. Kalif westchnął głęboko i przemówił do przyjaciela.

– Trzeba ci wiedzieć – powiedział – że jestem śmiertelnie chory. Nie sądź, że boję się śmierci, gdyż wiem, że budowniczy grobów czeka na każdego. Ale wszyscy ludzie czegoś żałują, rzeczy, których nie udało im się dokończyć, mimo iż bardzo chcieli to zrobić. I oto, Harunie, mam dwie prośby, zanim umrę.

– Nawet gdybyś nie był moim panem, każde twoje życzenie, o Przywódcu Wiernych, traktowałbym jak rozkaz.

Kalif uśmiechnął się lekko, jakby nagle wrócił do czegoś pamięcią, i oparł dłoń na rękojeści miecza.

– Jakichże podbojów dokonaliśmy razem, Harunie! – powiedział szeptem. – Nie z chciwości, lecz na chwałę naszej wiary! – Spojrzał na przyjaciela. Harun złożył dłonie; wydawał się wpatrywać w pustkę. Kalif zmarszczył brwi. – Co się stało, że nie odpowiadasz?

Harun ociągał się, gdyż nie chciał powiedzieć tego, co leżało mu na sercu – że był wyczerpany zabijaniem i zmęczony wojnami.

– We wszystkich twoich ziemiach, kalifie, panuje pokój – rzekł w końcu. – Wszystkie narody błogosławią mądrość twoich rządów.

Kalif pokręcił głową.

– Wiesz, Harunie, że są niewierni, którzy radzi usłyszeliby nowiny o mojej śmierci, widząc w tym okazję, by znowu chwycić za broń. – Ujął sługę za rękę. – Bądź dla nich, o Harunie, moim nagim mieczem. Nie spocznijsz, dopóki ich bożki nie zostaną obalone, a ty nie ogłosisz w świątyniach niewiernych, że nie ma Boga innego oprócz Boga jedyne, a Mahomet jest Jego Prorokiem!

Harun spojrzał w oczy pana.

– Słucham i jestem posłuszny – powiedział cicho i odwrócił głowę. – A jakie, Przywódcu Wiernych, jest twoje życzenie.

Kalif otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili powietrze przeszył nagły krzyk, a potem dobiegł ich dźwięk jakby płaczu młodej dziewczyny. Kalif i Harun zerwali się na równe nogi i pobiegli przez ogrody, pragnąc sprawdzić, jaka też może być przyczyna lamentu. Zobaczyli stojącego w cieniu rozłożystego drzewa księcia al-Hakima. Był on chłopcem obdarzonym niezwykle urodą i wdziękiem, o talii tak cienkiej jak jedwabna nić, policzkach równie pięknych jak barwa anemonów i oczach lśniących blaskiem agatu. Lecz w dłoni ścisnął bicz, stał z ręką uniesioną w górę, a u jego stóp leżała dziewczyna z szatą zsuniętą z pleców. Jej ramiona krwawiły, a z ust wydobywały się żałosne jęki. Kiedy kalif zbliżył się do nieszczęsnej, odwróciła głowę i wtedy al-Aziz rozpoznał swoją córkę, księżniczkę Sitt al-Muluk.

– Co to wszystko znaczy? – wykrzyknął z furją kalif.



– Karzę ją za nieposłuszeństwo – odpowiedział książę, jeszcze raz spuszczaając bicz na jej plecy. – Odmówiła spełnienia pewnych moich życzeń.

– Jest twoją starszą siostrą. – Zmarszczył brwi kalif. – Ma prawo ci rozkazywać.

– Ale to dziewczyna, ojczyzna, mieszanina kleistego mułu i nieczystej krwi! Czyż nie napisano w Koranie, że mężczyzna nigdy nie powinien podporządkowywać się kobiecie?

– Ale ty jeszcze nie jesteś mężczyzną.

Chłopiec spojrzał na niego bardzo dziwnie.

– Wkrótce będę. Moja siostra powiedziała... – jeszcze raz uderzył dziewczynę – że jesteś poważnie chory, więc niedługo ja zostanę kalifem.

Al-Aziz zachmurzył się bardziej, a jego oczy zaczęły płonąć. Gwałtownie wyrwał bicz z ręki księcia i odrzucił go najdalej, jak mógł. Lecz wysiłek sprawił, że stracił oddech, serce mu się ścisnęło i byłby upadł, gdyby Harun go nie podtrzymał. Patrząc na ojca, książę al-Hakim przymrużył oczy i zimny uśmiech przemknął po jego wąskich wargach. Potem ruszył biegiem ścieżką, a wtedy jego siostra podniosła się z ziemi. Jej ciałem ciągle wstrząsało łkanie, nawet nie spojrzała na ojca, lecz odwróciła się i pobiegła za księciem. Kalif patrzył, jak oboje się oddalają. Westchnął głęboko.

– Mój syn już niebawem stanie się twoim panem – wyszeptał.

Harun potrząsnął głową.

– Jeśli Bóg zechce, będziesz żył jeszcze wiele lat – odpowiedział.

– Ale jeśli nie zechce... – Kalif zachwiał się lekko. – Musisz przysiąc, że zawsze będziesz pilnował mojego syna. Jest dziki, Harunie, dziki i okrutny. Będzie potrzebował dobrych przyjaciół, którzy poprowadzą go ścieżką Boga.

– Wiesz, o kalifie, że pozostanę lojalnym sługą twojego domu.

– Będziesz mu zawsze wierny? – Kalif chwycił ręce przyjaciela i ścisnął je bardzo mocno. – Przysięgasz, że nigdy nie podniesiesz ręki przeciwko al-Hakimowi?

– Przysięgam – odpowiedział. – W imię Boga.

Al-Aziz uśmiechnął się, po czym ucałował wiernego towarzysza w oba policzki.

– Teraz mogę umrzeć w spokoju – szepnął. – Troje z moich sług i przyjaciół wyznaczyłem tutaj, w Kairze, aby byli strażnikami mojego syna. Wybrałem do tego zadania mojego brata, mojego wezyra i mojego koniuszego. Ale ze wszystkich sług ty, Harunie, jesteś mi najdroższy i spośród przyjaciół tobie najbardziej ufam, że dotrzymasz słowa. Niech Bóg cię błogosławi, Harunie. Chwała niech będzie Bogu.

Tak więc posłuszny życzeniom Przywódcy Wiernych, lecz wbrew sobie samemu, Harun al-Wakil opuścił Kair. Pędził tak szybko, jakby sam był wiatrem, i swoim lśniącym mieczem siał postrach wśród niewiernych. Znajdował się właśnie w drodze, kiedy przybył posłaniec z wiadomością o śmierci kalifa, a nazajutrz drugi, z wieścią, że niewierni zbuntowali się, od gór Chorasanu po pustynię Szem i od wysp Kamar po jasne morze Rum. Lecz Harun al-Wakil nie

stracił ducha, gdyż miał odwagę oraz siłę stu lwów; żaden z żyjących nie mógłby mu stawić czoła w bitwie. Wielu było jeńców i wiele złota, które zdobył dla większej chwały swojej wiary. Zdobycze wysłał wielkimi karawanami do al-Hakima. Lecz władca nie odpowiedział.

Minęło siedem długich lat i siedem zim, zanim zwycięstwa Harun al-Wakila sprawiły, że na ziemiach kalifa znowu zapanował pokój.

– Chwała niech będzie Bogu – powiedział sam do siebie Harun. – Gdyż w końcu nadszedł dla mnie czas powrotu do Kairu, niezrównanego miasta, Matki Świata. Zbyt długo nie widziałem tych ulic i wspaniałości.

Z przyjemnością pomyślał o tym, że zasiądzie w swoich ogrodach i pojmie żonę, gdyż mimo że nie był już młody, nie miał jeszcze dziecka, tego największego błogosławieństwa, jakie człowiek może otrzymać.

Wiedział jednak, że przed odłożeniem miecza musi otrzymać błogosławieństwo kalifa. Przybywszy do Kairu, natychmiast udał się do pałacu. Nad bramą ujrzał człowieka wbitego na pal.

– Czy nie jest to brat poprzedniego kalifa? – zapytał zaskoczony.

Strażnik lekko skinął głową, ale nie chciał przemówić. W milczeniu poprowadził Haruna przez drugą bramę. Również nad nią Harun zobaczył człowieka na palu, a kiedy przyjrzał się twarzy zmarłego, zabrakło mu tchu i krzyknął głośno:

– Czy nie jest to wezyr poprzedniego kalifa?

I znowu strażnik przytaknął, ale się nie odezwał. Powiódł Haruna dalej. Nad trzecią bramą również tkwił mężczyzna na palu, a jęków i krzyków nieszczęśnika proszącego o zmiłowanie przykro było słuchać. Harun głośno pobłogosławił konającego.

– Czy nie jest to koniuszy poprzedniego kalifa? – zapytał milczącego strażnika.

Strażnik jednak i tym razem nie rzekł ani słowa, lecz kiedy przechodzili przez czwartą bramę wskazał pal, który jeszcze stał pusty. Harun przyglądał się w milczeniu.

– Pójdźmy – powiedział w końcu.

Podążyli do sali tronowej. Wszyscy tam zgromadzeni natychmiast zamilkli, kiedy Harun zbliżył się do tronu i padł na twarz.

– Wstań – rozkazał kalif.

Harun wstał.

– Podejdź bliżej – rozkazał kalif.

Harun posłusznie wykonał polecenie. Zobaczył, że al-Hakim wyrósł na wysokiego i przystojnego młodzieńca, a brodę miał ufryzowaną i delikatną jak jedwab. Na jego kolanach siedziała jego siostra, księżniczka Sitt al-Muluk. Również ona nie była już dzieckiem i rozkwitła całym pięknem kobiecości. Członki dziewczyny były smukłe i kształtne, piersi uroczo falowały, a na jednej z nich kalif położył swoją dłoń o szczupłych palcach. Przez dłuższą chwilę spoglądał na Haruna w milczeniu.

– Powiedz mi – odezwał się w końcu. – Dlaczego wróciłeś do nas, kiedy twoje dzieło nie jest jeszcze skończone?

– Ależ wszystkie twoje ziemie, o książę, żyją teraz w pokoju, od zachodniego oceanu do granic Hind.

– Kłamiesz.

Tak zaskoczony był Harun i tak wściekły zarazem, że jego dłoń sięgnęła do rękojeści miecza. Lecz wtedy jednak pomyślał o przysiędze, którą złożył ojcu al-Hakima, opanował gniew i pokornie pochylił głowę.

– Powiedz mi, o Przywódcu Wiernych, który wróg jeszcze nie został pokonany przez twojego sługę.

Kalif uśmiechnął się lekko.

– Czy ostatnio – zapytał – nie zdobyłeś miasta Iram?

– Istotnie, Wasza Wysokość, Iram o Wielu Kolumnach, daleko poza najdalszymi granicami pustyni.

– I stamtąd przysłałeś mi wielu jeńców i niewolników?

– Dla twojej większej sławy i ku twemu zadowoleniu, o książę.

Kalif skinął lekko i klasnął w ręce.

– Oto jest jeden z nich.

Natychmiast z cienia wyszedł straszliwie szpetny Murzyn ogromnego wzrostu. Mężczyzna wydawał się bardziej demonem niż śmiertelnikiem, gdyż oczy jego płonęły ogniem jakby piekielnym, a białe zęby były wyszczerzone w przerażającym grymasie.

– Powiedz mu Masudzie to – rozkazał al-Hakim – co ostatnio mi powiedziałeś.

Murzyn wystąpił naprzód i stanął tak, że spoglądał prosto na Haruna.

– Dowiedz się, generale, że za Iram leży jeszcze jedno miasto o nazwie Lilatt-ah; jest ono bogate w skarby i wszelkie cudowne rzeczy, gdyż jeszcze żadnemu człowiekowi nie udało się przedrzeć przez jego mury o wysokich wieżach. Miejsce to zwą Miastem Potępionych.

– Dlaczego? – zapytał Harun równie zaciekawiony jak przejęty nagłym strachem. – Jaka jest natura tego miasta, że nadano mu taką nazwę?

– Powiadają, że mieszkający tam ludzie zapredali swoje dusze – wyjaśnił Murzyn, ciągle uśmiechając się złośliwie.

– Ale komu? – poderwał się kalif. – Powiedz mu! Komu!

Czarnoskóry mężczyzna skrzyżował potężne ręce na piersi.

– W swoich świątyniach czczą nie Boga, lecz Lilat, którą nazywają Wielką Boginią Stwórczynią Wszystkiego – odparł. – Twierdzą, niech mnie Bóg uchroni!, że nawet człowiek jest dziełem tej bogini, ukształtowanym i obdarzonym życiem dzięki przelaniu jej krwi. – Murzyn przerwał i odwrócił się w stronę kalifa. – Wszystko to potwierdzam i przysięgam, że jest prawdą.

– No i co? – zapytał piskliwym głosem al-Hakim. – Ścisnął piersi siostry i wyraz zachwytu przemknął po jego twarzy.

– Chcę wiedzieć – szepnęła – jaką cenę wyznaczyło to Miasto Potępionych za duszę.

Spojrzał na Sitt al-Muluk i jeszcze raz chwycił ją za piersi, a na jego twarzy znów widoczne było uniesienie.

– To na pewno coś cudownego, wspaniałego. – Powoli pochylił głowę. Nagle zadrżał i patrząc na siostrę, zmrużył oczy, jak gdyby widział ją po raz pierwszy, a jego oblicze pociemniało z niezadowolenia. – No? – zaskrzeczał, zrywając się na równe nogi tak, że księżniczka zsunęła się z kolan brata i spadła na podłogę. – Czyż nie jestem Przywódcą Wiernych? Czy skarby tego miasta nie powinny być moje? Czy mury nie powinny być zrównane z piaskiem? – Wyciągnął oskarżycielsko palec. – Jak możesz odpoczywać tutaj, Harunie al-Wakilu, kiedy wiesz, że takie miasto nadał stoi, a mieszkańcy głoszą, iż człowiek został stworzony przez ladacnicę nie z prochu, lecz z nieczystej krwi, z plugawej krwi wyciekającej z sekretnych części kobiety! To jest nie do zniesienia! – Zaczął przewracać oczami i toczył pianę z ust, wskazując bramy. – Idź! – wrzasnął. – Idź! Tego nie można dłużej znosić!

Harun pochylił głowę i uczynił, jak mu rozkazano, gdyż ciągle czuł się związany złożoną przysięgą, że będzie posłuszny we wszystkim synowi swojego zmarłego pana. Gdy jednak znowu dosiadł konia i wyjechał z Kairu z lśniącem mieczem wiszącym u boku, zastanawiał się, przypominając sobie, jak kalif pieścił piersi swojej siostry, dlaczego człowiek oddany sprawie Boga wydaje się równocześnie tak nikczemny i zdeprawowany.

Ale wiele jest tajemnic na tym świecie, pomyślał Harun, gdyż tylko Bóg posiadał wiedzę o wszystkich rzeczach. Próbował więc wygnać złe myśli ze swego umysłu i skupić się na Mieście Potępionych.

Czterdzieści dni i nocy prowadził żołnierzy przez pustynię, aż w końcu dotarli do miasta Iram. Lecz teraz ich miasto wyglądało zupełnie inaczej niż za pierwszym razem, gdyż z jego murów i kolumn został tylko popiół, a mieszkańcy zebrali wśród ruin. Widząc ich Harun poczuł straszliwy wstyd na myśl o tym, że to właśnie on doprowadził tych ludzi do takiego stanu. Rozkazał, aby dano im jedzenie i jałmużnę.

Lecz kiedy zaproponował jeszcze hojniejsze dary każdemu, kto wskaże drogę do Lilatt-ah, ci, którzy go usłyszeli, bledli i uciekali.

– Zawróć! – krzyczeli. – Zawróć! Bowiem nawet twój niezrównany miecz, generale, nie poradzi sobie z klątwą Miasta Potępionych!

Harun zażądał, żeby mu wyjaśniono, na czym polega klątwa; ale iramczycy bledli jeszcze bardziej i krzyczeli, że nikomu nie udało się stamtąd wrócić, aby o tym opowiedzieć. Ale kiedy zobaczyli, że Harun się nie lęka, a jego postanowienie jest tak samo mocne jak przedtem, zgodzili się zdradzić mu pewne sposoby, za pomocą których można znaleźć miasto.

– Wylej krew na piasek i obserwuj, w którą stronę popłynie, gdyż zawsze będzie się kierować ku posągowi Lilat – radzili. – W ten sposób, niech cię Bóg strzeże, możesz odkryć tajemnicę kłątwy.

Tak więc Harun ruszył ze swoimi ludźmi dalej w głąb pustyni. Przemierzał piaski przez kolejne czterdzieści dni, aż pewnego wieczoru ujrział kolumnę z czarnego kamienia. Zbliżywszy się, zauważył arabski napis wyryty z boku i coś, co wyglądało jak demon przykuty błyszczącymi łańcuchami do jej podstawy. Demon był po piersi zakopany w piasku i wysuszony jak ifryt albo ghul. Nagle jednak, z jękiem przesywającym powietrze, potwór wykrzyknął święte imię Boga i łza spłynęła po jego policzku. Nie mógł jednak powiedzieć nic więcej, gdyż jego język był wysuszony, więc tylko rozpaczliwie machał rękami, jakby pragnąc rozerwać pętające go łańcuchy. W końcu jedna łza spłynęła mu do ust. Wówczas demon spojrział przybyszowi w oczy i wyrzekł jedno słowo:

– Wody.

Harunowi zrobiło się go żal i nalał mu wody do gardła.

– Powiedz, w imię tego, który rządzi widzialnym i niewidzialnym, czym jesteś? – zażądał prostując się.

– Nie odpowiem ci, dopóki nie przysięgniesz, że przebijesz moje serce mieczem – powiedział demon.

– To naprawdę bardzo dziwne życzenie.

– Przysięgnij!

– Nie zabiję żadnej żywej istoty bez ważnego powodu – odparł Harun.

Wysuszone stworzenie jęknęło z bólu.

– Dam ci wystarczający powód.

Ton głosu był tak żalorny, że w Harunie wezbrała litość.

– Jeśli tak, zrobię, czego żadasz – obiecał.

– Byłem niegdyś człowiekiem i muzułmaninem jak ty sam, wodzem wspaniałej armii – zaczął demon. – Miałem nadzieję odkryć miasto Lilatt-ah i ogłosić w jego świątyniach jedyną wiarę. Lecz nad miejscem tym ciąży kłątwa, zbyt wielka, by ją pokonać, i to ja zostałem pokonany. Jako szyderstwo wobec Proroka zakuto mnie w łańcuchy i pogrzebano tutaj, a nad moją głową wyryto straszliwe słowa.

Harun cofnął się i odczytał na głos:

– Czy myślałeś o Lilat Wielkiej, Innej? Należy jej się bać. Zaprawdę, Lilat jest wielka wśród bogów. – Harun pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie ma innego Boga oprócz Boga jedyne! – wykrzyknął. – A jednak obawiam się, że ta Lilat musi być dzinniją obdarzoną naprawdę straszliwą mocą! – Jeszcze raz ukląkł obok zakopanego demona i przemówił: – Powiedz, jaki jest sekret jej wielkości? Jaka kłątwa doprowadziła cię do tego stanu?

– Niektórzy nazywają to kamieniem filozoficznym i aby go zdobyć, przetrząsnęli najdalsze zakątki świata – odpowiedział potwór i zaśmiał się szyderczo tak, że wszystkich, którzy go słyszeli, przeszedł dreszcz. – Ja też kiedyś byłem śmiertelnikiem jak ty, a teraz od trzystu lat tkwię przykuty łańcuchem do tej kolumny.

Harun patrzył na niego zdumiony.

– Czy wszyscy ludzie z Lilatt-ah są tak długowieczni jak ty?

– Tak – skrzywił się – nawet kiedy poucinasz im głowy, rozetniesz żołądki i wyrzucisz jelita na piasek, wstaną i będą dalej walczyć.

– Na czym polega tajemnica tego cudu?

Wyschnięte stworzenie zaczęło wić się i jęczeć.

– Sekretem tym jest eliksir o bardzo gorzkim smaku, do którego wypicia zmuszono mnie i moich ludzi, abyśmy cierpieli tortury przez całe wieki i nigdy nie zaznali ukojenia.

– Jak przygotowuje się ten eliksir?

– To najbardziej ponury ze wszystkich mrocznych sekretów. Strzegą go kapłani, założyciele i władcy Lilatt-ah, którzy przybyli podobno w zamierzchłych czasach z ziemi egipskiej, kiedy panowali pogańscy faraonowie.

– Z Egiptu?

Zaskoczony Harun zmarszczył brwi i rozejrzał się po bezkresnych piaskach.

– Ale dlaczego tak potężni mędrcy opuścili ten bogaty i szczęśliwy kraj?

Zakuty w łańcuchy potwór wykrzywił się straszliwie.

– A jak sądzisz, generale? Aby nie przeszkadzali im tacy jak ty i ja. – A kiedy to mówił, zaczął wić się w łańcuchach, jęczeć i toczyć pianę niczym szaleniec. – Zawróć! – wrzasnął. – Zawróć, zawróć! Po cóż bowiem mnie tu zostawiono, jeśli nie po to, żebym był ostrzeżeniem i straszną przestrogą? Zawróć, błagam cię, zawróć stąd natychmiast!

Harun w milczeniu stał pochylony, myśląc o obietnicy, jaką złożył kalifowi al-Azizowi.

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie mogę zawrócić.

Demon w łańcuchach natychmiast się uspokoił.

– Możliwe więc – powiedział w końcu – że kiedy wraz z wojskami zostaniesz pokonany, przyniosą cię tutaj, żebyś wisiał i cierpiał zamiast mnie.

Lecz Harun pokręcił głową i powoli wyjął miecz z pochwy. Przyłożył jego ostry koniec do wyschniętej piersi potwora i uśmiechnął się.

– Sam powiedziałeś, że nawet przeklęty przez Lilat może odzyskać łaskę Boga. *La ilaha ila Allah!* Nie ma Boga oprócz Boga jedynego! – Mówiąc to, przeszył mieczem pierś demona, który wrzasnął i szarpnął się w łańcuchach, chwytając gołymi dłońmi ostrze. – Czy umierasz?! – krzyknął Harun. – Czy czujesz, że twoja nieśmiertelność słabnie i ucieka?

Potwór zamarł na chwilę, po czym wbił lśniąca stal głębiej i głębiej, aż strumień czarnej cieczy wytrysnął na piasek.

– Tak – szepnął nagle. – Tak, pamiętam.

– Ale jak to możliwe? – zapytał Harun. – Jak to możliwe, skoro mówiłeś, że nie możesz umrzeć?

– Na murach... to samo... pamiętam ostatniego człowieka, z którym walczyłem, zanim mnie pojмали... przebiłem jego serce i patrzyłem, jak dokonuje żywota. – Zaczął kaszleć i jeszcze więcej czarnego płynu wyciekło na piasek. – Przez wszystkie te lata... – nagle uśmiechnął się – przez długie wieki... zastanawiałem się... miałem nadzieję, że naprawdę wtedy zabiłem wroga. A teraz wydaje mi się... wydaje mi się... że wiem. – A kiedy to mówił, przewrócił oczami, których blask wyraźnie przygasał a oczodoły wydały się zapadać. Wkrótce z jego ciała nie zostało nic oprócz chmury drobnego pyłu. Rozwiął ją wiatr, a z kamiennej kolumny zwisały puste łańcuchy.

Harun ukląkł przy nich i pochylił głowę w modlitwie, po czym uniósł kajdany i pokazał swoim ludziom.

– Zaprawdę Bóg jest wielki! – wykrzyknął. – Cóż bowiem ujrzeliśmy, jeśli nie znak i przepowiednię, że nawet potępionych w mieście Lilatt-ah można zabić? Chwała niech będzie Bogu! Dla Niego i Jego mocy nie ma rzeczy niemożliwych!

Wiara Haruna nie okazała się fałszywa. Wielki strach jednak padł na jego towarzyszy następnego wieczoru, kiedy po raz pierwszy zobaczyli odległe wieże miasta oświetlone czerwonymi promieniami zachodzącego słońca. Harun robił, co mógł, aby powstrzymać swoich ludzi od ucieczki. Znajdowało się przed nimi potworne miasto, jakby utworzone z żywego ognia; językami płomieni wydawały się dumne, najeżone blankami wieże. Otaczał je mur z kolosalnych polerowanych kamieni, które lśniły czerwono, a później zniknęły, kiedy słońce skryło się za horyzontem. Gdy zapadła noc, na tle gwiazd było widać tylko czyhającą w mroku czarną plamę; jak okiem sięgnąć rozciągała się gładka jałowa równina. Harun wyciągnął miecz i rozkazał swoim ludziom przygotować się do boju.

Przezornie uczynił, wkrótce bowiem nastąpił pierwszy atak. Wybuchła panika i rozległy się krzyki rozpacz, gdyż wrogowie wyglądali jak duchy o oczach z polerowanego srebra i skórze blado połyskującej nawet w najczarniejszej ciemności nocy. Jednak – chwała Najwyższemu – muzułmanie wytrwali. Stopniowo, w miarę jak zbliżał się świt, ataki słabły, aż w końcu, kiedy pierwsze promienie słońca ozłociły wschodni horyzont, wrogowie wycofali się za mury miasta. Niektórzy z nich leżeli jeszcze tam, gdzie padli, ale żaden z nich nie był martwy, mimo straszliwych ran. Wśród muzułmanów rozeszły się pomruki przerażenia, że przeciwników nie sposób zabić. Lecz Harun chodził między rannymi, przebijając ich serca ostrzem swego miecza, a wówczas oni wrzeszczeli i rozpadali się w pył.

Nie zwlekając ani chwili, wierni pomaszrowali w stronę murów. Kiedy znaleźli się w ich potężnym cieniu, Harun stanął i rozejrzał się w niemym podziw, oszołomiony blaskiem lśniących wież miasta, jego świątyń ozdobionych złotem i klejnotami, łuków, piramid i alabastrowych kopuł. Lecz nie tylko podziw sparaliżował Haruna. Na całej długości

umocnień widać było ciała ludzi wbitych na przerażające narzędzia tortur – ale mimo iż powinni dawno umrzeć, ciągli żyli. Patrząc na nich, Harun poczuł nagły gniew na myśl o tym, jak długo cierpieli w ten sposób, katowani od stuleci; nie stał więc dłużej, lecz wyciągnął lśniący miecz i spiął konia do galopu wydając okrzyk bojowy.

On i jego ludzie walczyli jak polujące lwy, aby zdobyć lśniące mury Lilatt-ah; bój był krwawy a wróg potężny, toteż przez cały ranek żadna ze stron nie zdobyła przewagi. Ale kiedy słońce wzeszło wyżej i lśniło jasno na niebie, siła nieprzyjaciela zaczęła słabnąć. Harun już wiedział, że szala zwycięstwa przechyla się na jego stronę. Do południa ulice spływały krwią, a gęsty kurz bitewny unosił się w powietrzu; Harun zbliżał się do samego serca miasta. Stała tam świątynia oszałamiającej wielkości, o bramach ze złota i wieżach z czarnego marmuru, z wyrzeźbionymi wizerunkami demonów o ohydnych głowach; właśnie na dziedzińcu tej świątyni starali się doczołgać ranni. Harun czuł niemal żal, patrząc na ich poranione, zniekształcone ciała. Ale wtedy spojrzał na słońce i pomyślał, że już niedługo zacznie ono chylić się ku zachodowi.

– Zabić ich wszystkich! – wykrzyknął, gdyż obawiał się, że z zapadnięciem zmroku mogą odzyskać siły. – Nie oszczędzać żadnego! Nikt nie może przeżyć!

Lecz czuł się już zmęczony widokiem i odorem rzezi. Jego miecz unosił się i opadał, w górę i w dół, kiedy Harun szedł z dziedzińca do sali, potem do kolejnej, coraz głębiej i głębiej w mroki świątyni, aż w końcu wydawało się, że nie zostało już żadne serce do przebiccia i nie było ani jednego żywego na tym strasliwym placu. Jednak Harun nie mógł być tego jeszcze pewien, gdyż, mimo że sale rozciągające się przed nim sprawiały wrażenie pustych, nie dotarł jeszcze do samego serca świątyni, a im dalej szedł, tym robiło się ciemniej, sufit opadał coraz niżej i każde następne pomieszczenie stawało się mniejsze od poprzedniego. Powietrze ciężkie od kadzidła o dziwnie słodkim zapachu, wypełniało Harunowi płuca. Wysłannik kalifa zatrzymał się nagle. Patrząc przed siebie dostrzegł chmury brązowego dymu, wydobywające się ze szczeliny w zaryglowanych drzwiach, za którymi migotał pomarańczowy blask.

Harun powoli ruszył naprzód, po czym nagle runął całym ciężarem na drzwi. Wyważywszy je, żwawo wszedł do pomieszczenia. Wzdłuż wszystkich ścian leżały rzędy ciał, spiętrzone aż po sufit. Wyglądały na wysuszone, ale w rzeczywistości trudno dokładnie ocenić ich stan, ponieważ bardzo ciasno owinięto je wąskimi paskami materiału. Harun podszedł do najbliższego ciała. Przez materiał uwypuklał się zarys nosa. Odślonięta reszta twarzy nie przypominała ludzkiej. Harun wyciągnął rękę, aby dotknąć zniekształconego oblicza, ale wtedy głowa potoczyła się po podłodze. Generał odkrył, że całe ciało zostało pocięte na kawałki. W tej samej chwili, z zasnutego dymem najdalszego końca sali usłyszał cichy śmiech, a potem głos, tak suchy, jak sucha była głowa leżąca u jego stóp.

– Czy ośmielisz się dotknąć tajemnicy bogów?



Harun odwrócił się. Jedną ręką próbował rozwiać brązowy dym, drugą zaś uniósł lśniący miecz. Wolno podążył w głąb sali. Teraz widział zarys sylwetki człowieka – z ogoloną głową, jak się wydawało, i odzianego w powłóczyste kapłańskie szaty – stojącego przy palenisku, na którym leżała płytka misa. Z niej właśnie wzbijał się brązowy dym. Kiedy Harun podszedł do paleniska, zobaczył, że w naczyniu bulgocze gęsty, czarny płyn.

– Nie ma żadnych tajemnic – powiedział Harun – których wzrok Boga nie może przeniknąć.

Kapłan zaśmiał się znowu, straszonym, suchym, skrzekliwym śmiechem.

– Ale ja jestem o tysiące lat starszy od twojego boga.

Generał wyciągnął rękę nad paleniskiem.

– To bardzo dumne stwierdzenie. – Przyłożył koniec miecza do piersi swego przeciwnika. – Miejmy więc nadzieję, że to pomoże ci przygotować się na śmierć.

Harun zauważył zdenerwowanie kapłana. Przycisnął ostrze odrobinę mocniej i rozwał dłońią dym. Teraz po raz pierwszy zobaczył wyraźnie, kto kryje się za gęstymi kłębam. Napotkał spojrzenie tak jasne i zimne jak światło księżyca i twarz nie wyrażającą żadnych uczuć. „Niegdyś mógł być przystojny, dawno temu, zanim został okaleczony”, pomyślał Harun. Mężczyzna nie miał uszu, a w miejscu nosa widniała jedynie wąska szczelina.

– Śmierć – szepnęła kapłan i uśmiechnęła się nagle. Na czole strażnika świątyni perlił się pot. – Prawie zapomniałem, czym jest. – Zamknął oczy, wykrzyknął coś gwałtownie, jakąś dziwną, obcą modlitwę, po czym rzucił się całym ciałem na ostrze miecza, wbijając je sobie w serce. – Teje – wyszeptał, a następnie krzyknął to samo słowo: – Teje!

Napierał na ostrze miecza. Upadł w końcu na palenisko, tak że węgle rozsypały się łukiem po sali, a misa wraz z jej zawartością wyleciała w powietrze.

Harun cofnął się i uchylił, kiedy krople płynu prysnęły na jego płaszcz. Wydawało się, że nie wyrządziły mu żadnej szkody, lecz nie miał czasu przyjrzeć im się dokładniej, gdyż ogień zaczynał już rozprzestrzeniać się po całej sali, a z leżącego ciała została tylko kałuża krwi i pyłu. Płomienie sięgały coraz wyżej i wyżej, lecz Harun nie uciekał, zobaczył bowiem, że krew szybko odpływa w mroki drugiego końca pomieszczenia. Przypomniał sobie radę ludzi z Iram, dzięki której udało mu się nie zabłądzić na pustyni i odszukać przeklęte miasto Lilatt-ah, toteż wszedł za palenisko, żeby dotrzeć do posągu.

Znalazł go przy najdalszej ścianie, lecz kiedy zbliżył się do niego, poczuł, że traci odwagę. Nie umiał tego wytłumaczyć, gdyż w ciemności widział tylko niewyraźny zarys jakiegoś kształtu. Harun wyszeptał modlitwę, po czym odwrócił się i sięgnął po płonący kawałek drewna. Podszedł do posągu i oświetlił jego twarz. Kiedy spojrział na oblicze, pomyślał, że nigdy wcześniej nie widział kobiety o tak doskonałej urodzie. Rzeźba została wykonana z nieziemskim talentem, marmur wydawał się bardziej miękki niż najdelikatniejsza skóra. Harun zapragnął ucałować przepiękne, kamienne usta. Lecz zamrugał oczami i potrząsnął głową, a kiedy znowu spojrział na kształtne wargi, zobaczył – czego wcześniej nie

zauważył – jak podstępny i okrutny jest ich uśmiech, kryjący w sobie sekrety zbyt potworne do wypowiedzenia i nieprawości nazbyt straszliwe, by mógł je pojąć śmiertelnik. Nawet złote nakrycie głowy wyglądało groźnie, gdyż znajdował się na nim wizerunek wyprężonej kobry i Harun, patrząc na nią, nagle poczuł się jak ofiara drapieżnika. Przez głowę przemykały mu najdziwniejsze myśli, pragnienia, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy. Coraz bliżej i bliżej pochylał się ku błyszczącym ustom, coraz bardziej i bardziej czuł się zagubiony... aż w końcu zamknął oczy i musnął kuszące wargi pocałunkiem. Natychmiast jednak odskoczył, przerażony, i otarł usta dłonią, gdyż posąg był zimny i wilgotny w dotyku, a pocałunek wężowy; Harun uderzył posąg mieczem i obalił go na ziemię.

Usta figury nadal się uśmiechały, ale pożądanie Haruna zmieniło się w niesmak. Generał zobaczył teraz, że kamienne płyty, na które upadł posąg, lśniły czerwienią, a kiedy rozejrzał się wokół, zauważył, że cała sala była mokra od płynącej rzeki krwi i oświetlana przez płomień mieniła się wszystkimi odcieniami czerwieni. Harun ponownie podszedł do posągu. Pod wpływem kamiennego spojrzenia jego ramię na chwilę zamarło, ale w końcu drgnął i opuścił swój lśniący miecz. Uderzenie roztrzaskało szyję i głowa potoczyła się po podłodze. Harun poszedł za nią i ponownie opuścił ramię, tym razem miażdżąc uśmiech. Dopiero wtedy wybiegł z sali brodząc w krwi i przemykając między dwiema sięgającymi sufitu ścianami ognia.

Wróciwszy na ulice, wydał rozkazy.

– Spalcie miasto i wszystkie trupy. Posypcie ruiny solą. Niech nie zostanie z niego nawet ślad.

Po tych słowach zawrócił i wyjechał przez bramę Lilatt-ah. Przez dłuższą chwilę stał na pobliskim wzgórzu, spoglądając na piekło Miasta Potępionych. Czerwone języki płomieni pochłaniały wieże oraz mury, piramidy i alabastrowe kopuły. W końcu wszystko było czarne, ciche i martwe.

– Stało się – szepnął Harun; pochylił głowę w modlitwie. – Ale nigdy więcej, przysięgam, nie przeleję tyle krwi.

Wyjął swój miecz i przełamał jego ostrze na dwoje.

W sali tronowej pałacu kalifa al-Hakima, Harun al-Wakil skłonił się nisko przed tronem.

– Posłuszny twoim rozkazom, o Przywódcu Wiernych, zniszczyłem miasto Lilatt-ah, tak że nie została nawet cegła w tym potwornym miejscu. Jego skarby, załadowane na karawanę wielu wielbłądów, przywiozłem tutaj, abys mógł nimi wesprzeć chorych i biednych.

– Chorych i biednych? – Kalif uniósł brwi. – Nie sądziłem, generale, że stałeś się tak litościwy.

– Służę ci najlepiej, kalifie, służąc twemu ludowi.

– Służysz mi najlepiej generale, prowadząc moje wojny.

Harun pochylił głowę i wyjął spod płaszcza dwa kawałki swojego miecza.

– Co to znaczy? – zapytał kalif.

– Złożyłem, Przywódcu Wiernych, przysięgę, że nigdy więcej nie przeleję ludzkiej krwi.

Al-Hakim znowu uniósł brew.

– Musimy więc wymyślić jakieś nowe, odpowiednie zajęcie dla ciebie – powiedział słodkim głosem.

– Chciałbym teraz, panie, studiować starożytną naukę, aby poznać magię aniołów i nieść życie, jeśli Bóg zechce, tam gdzie wcześniej niosłem śmierć.

Przez dłuższą chwilę kalif milczał, lecz wstał, podszedł do okna i przyglądał się bramom prowadzącym do pałacu. Nad trzema z nich widać było ciała – teraz już niemal szkielety – wystawione na żer sępów i kruków. Nad czwartą bramą stał pusty pał. Kalif zadrżał.

– Nie mogę jasno o tym myśleć! – krzyknął w nagłym gniewie. – Nie teraz, nie teraz! – Po czym tupnął nogą i wybiegł z sali.

Harun został sam. Przez cały dzień oczekiwał chwili, w której zostanie pojmany i poprowadzony na śmierć. W końcu, późnym popołudniem, przyszli do niego dwaj gwardziści. Przez chwilę myślał, że wszystko jest skończone i powierzył się bożej łasce, lecz żołnierze przynieśli tylko rozkaz od kalifa, aby czekał przy bramie do pałacowych ogrodów. Harun uczynił, jak mu rozkazano. Popołudnie zmieniło się w purpurowy zmierzch, a potem w piękną rozgwieżdżoną noc. Kiedy księżyc w pełni załśnił na niebie, generał usłyszał, że bramy się otwierają. W przejściu pojawił się kalif odziany w ciężki płaszcz. Towarzyszył mu tylko Masud, czarny niewolnik.

– Chodź – powiedział kalif, ujmując Haruna za rękę. – Bowiem nie ma nic piękniejszego i bardziej pouczającego, niż spacerowanie w nocy i rozmyślanie o życiu człowieka.

Mówiąc to, ruszył drogą wzdłuż pałacowego muru, aż doszedł do plątaniny ciasnych uliczek miasta. Wkrótce otoczył ich smród, hałas i plugastwo. A jednak oczy kalifa błyszczały bardziej niż kiedykolwiek wśród pałacowego przepychu, przynajmniej tak się Harunowi wydawało.

– A zatem – syknął nagle al-Hakim, szczypiąc Haruna w rękę – nie chcesz już więcej zabijać?

Wskazał ręką rząd sklepów rzeźniczych. Mimo iż była już noc, nadal unosiły się przed nimi chmury much i roztaczał się słodkawy odór gnijącego mięsa oraz korzennych przypraw. Kalif roześmiał się z zadowoleniem i klasnął w ręce.

– Wszyscy muszą zabijać! – wykrzyknął. – Czy nie rozumiesz, generale, że mniejszy zawsze pada ofiarą większego? Takie jest odwieczne prawo tego świata! A teraz ja ci rozkazuję zgładzić tego człowieka. – Spojrzał przenikliwie na stojącego nieopodal rzeźnika.

Harun zmarszczył brwi.

– Jaką krzywdę on ci wyrządził, kalifie?

– Zapytaj raczej, jaką krzywdę wyrządził niewinnym krowom i cielętom o wielkich oczach, które teraz leżą poćwiartowane na podłodze jego sklepu. – Al-Hakim przerwał i przewrócił oczami. – Zabij go – wrzasnął nagle. – Zabij go, zabij go natychmiast!

Lecz Harun pokręcił głową.

– Nie mogę, o książę.

Dreszcz wstrząsnął ciałem kalifa. Władca zwrócił się do Masuda; klasnął w ręce i czarny niewolnik natychmiast wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym podszedł do rzeźnika. Mężczyzna, odwróciwszy się i ujrawszy olbrzyma, krzyknął z przerażenia i próbował uciec do sklepu. Lecz Masud bez trudu schwytał nieszczęśnika i trzymając go za włosy, wcisnął mu twarz w cuchnący kawałek mięsa. Kalif, jak poprzednio, klasnął w ręce z zadowoleniem, wkroczył do sklepu i podniósł topór, z całej siły spuścił ostrze na głowę ofiary, potem rozciął na pół ciało i zawiesił na hakach między kawałkami mięsa. Dopiero wtedy odwrócił się i spojrzał na Haruna.

– Widzisz... – wzruszył ramionami – jaka prosta może być śmierć. Gdybyś zrobił, jak rozkazałem, podarowałbym ci połowę skarbów, które przywiozłeś z Lilatt-ah. Teraz jednak nie będziesz miał ani dinara.

Poszli dalej ulicami. Wkrótce dotarli do kolejnego rzędu sklepów. Wokół jednego z nich gromadził się tłum; okazało się, że został wykryty piekarz używający fałszywych odważników. Kalif znowu uszczypnął Haruna w rękę.

– Odkup się – rozkazał. – Oto jest złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Zabij go! – wrzasnął. – Zabij go, zabij go natychmiast!

Lecz i tym razem Harun pokręcił głową.

– Nie mogę, o książę.

Kalif wyprężył się i otrząsnął jak głodny kot. Zwrócił się do Masuda, który znowu wyszczerzył zęby, po czym podszedł do piekarza i chwyciwszy go za włosy, wcisnął mu twarz w błoto u stóp kalifa. Al-Hakim postawił stopę na głowie nieszczęśnika, przytrzymując ją bardzo mocno, po czym skinął na Masuda. Czarny niewolnik natychmiast uniósł skraj szaty piekarza i rozwiązawszy sznurek od swoich spodni, dopuścił się na piekarzu tego grzechu, którego nazwy nie powinno się wymieniać. Nieszczęśnik krzyczał straszliwie, dopóki olbrzym w zapale nie rozerwał go na dwoje. Wtedy wdeptał ciało w błoto i napchał sobie usta kawałkiem chleba. Kalif zwrócił się do Haruna.

– Jeszcze raz widziałeś, jak prosta może być śmierć. – Wzruszył ramionami. – Gdybyś uczynił, jak ci rozkazałem, oszczędziłbym twój dom, służących ci niewolników i wszystkie doczesne dobra. Ale teraz nie będziesz miał ani dinara.

Szli dalej, aż dotarli do północnego muru miasta. Tutaj, przy Bab al-Futuh, usłyszeli nagle śmiech i okrzyki kobiet. Kalif zamarł, a jego twarz pociemniała z oburzenia i wściekłości.

– Co to ma znaczyć? – wrzasnął. Ruszył w stronę, z której dochodził hałas, i zobaczył łaźnię wyłożoną kolorowym marmurem i ozdobioną wspaniałymi wzorami ze złota. – Jak to możliwe, że kobiety ośmielają się kalać tak piękne miejsce swoją nieczystością? Czy nie rozkazałem im nigdy nie opuszczać domów? Czy, aby poprzeć ten rozkaz nie zabroniłem szewcom dostarczać kobietom obuwia? Jak mógłbym jaśniej wyrazić moje życzenie? – Zwrócił się do Haruna: – Jestem kalifem, umiłowanym Boga! Wszyscy muszą mi być posłuszni. – Wskazał na łaźnię. – Zabij je! – krzyknął. – Zabij je, zabij je natychmiast!

Lecz Harun po raz kolejny pokręcił przecząco głową.

– Nie mogę, o książę.

Al-Hakim przygryzł wargę, a jego twarz zbladła.

– Strzeż się, generale, teraz bowiem nie masz już do stracenia nic, oprócz jednej rzeczy. – Harun ukłonił się i nie odpowiedział, więc kalif znowu zwrócił się do Murzyna: – Zrób to! – wrzasnął.

Masud podszedł do ognia płonącego przy bramie i wyjął polano. Zbliżył się do łaźni. Najpierw zamknął drzwi, a potem okrążył budynek, podkładając ogień, gdzie tylko się dało. Śmiech kobiet wkrótce zamienił się w krzyki. Harun, który stał nieruchomo, patrząc z niedowierzaniem na poczynania Masuda, nie mógł dłużej się temu przyglądać. Podbiegł do drzwi. Otworzył rygle i wbiegł do środka. Udało mu się ocalić kilka dziewcząt, lecz większość była już martwa. Zostały ugotowane żywcem we wrzącej wodzie łaźni. Harun rozpaczliwie próbował wyciągnąć nieszczęsne istoty z płomieni, lecz Masud pochwycił go i zawlókł do kalifa.

– W imię Boga! – krzyknął Harun. – Co czynisz, książę!

Kalif wyprostował się dumnie, lecz nie odpowiedział. Harun wyciągnął rękę w stronę płonącej łaźni.

– Czyż nie jesteś Przywódcą Wiernych? – krzyknął. – Czy nie masz obowiązku chronić tych, którzy są słabsi od ciebie? Czyż my wszyscy nie stanowimy gromady dzieci Boga?

Kalif zdrzął. Gestem nakazał Harunowi milczenie, lecz generał nie usłuchał.

– Kobiety, które ugotowałeś żywcem, panie, to istoty śmiertelne jak ty. Mogły być twoim ciałem i krwią. – Potrząsnął głową z niedowierzaniem, po czym dodał piskliwym głosem: – Przecież były takie same jak twoja siostra, księżniczka Sitt al-Muluk!;

Twarz kalifa skurczyła się nagle. Ciało władcy znowu przeszył dreszcz. Al-Hakim bardzo mocno zagryzł dolną wargę, tak że popłynęła krew, po czym jęknął i uderzył się dłońmi w głowę. Spojrzał na czarnego niewolnika.

– No! – wrzasnął nagle. – Na co czekasz, ty przeklęta kupo padliny, ty psie zrodzony z dziwki? Zgaś ogień!

Wówczas, ciągle drżąc, sięgnął do sakiewki i otworzywszy ją, zaczął rzucać pieniądze ocalałym z płomieni, które stały nagie pod łukiem Bab al-Futuh, rozpaczliwie szukając

jakichś szmat, by się nimi okryć. Al-Hakim rozszerzonymi ze zdumienia oczami przyjrzał się pogorzelncom, po czym zwrócił się do Haruna:

– Któż by pomyślał – powiedziała cicho – że ciało może wyglądać tak słodko?

Harun, stał odwrócony, milcząc. Kalif podszedł do generała i ujął go za ramię.

– Harunie al-Wakilu – rzekł. – Nie opuszczaj mnie, wolałbym bowiem rozstać się z własnym życiem niż z człowiekiem obdarzonym twoją mądrością.

Harun spojrział na niego zaskoczony.

– Sądziłem, że zamierzasz wbić mnie na pal i zostawić na żer krukowi.

– Tak bym uczynił, gdybyś złamał obietnicę i przelał krew, gdyż człowiek nie dotrzymujący słowa z pewnością nie okazałby się wierny własnemu księciu. Lecz teraz się przekonasz, jak bardzo cenię twoją lojalność. Oto darowuję ci skarby Lilatt-ah i jeszcze je podwoję.

Lecz Harun pokręcił głową.

– Przywódco Wiernych – odparł – nie mogę tego przyjąć.

Twarz kalifa znowu pociemniała.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałeś, że człowiek powinien być wierny własnym słowom. Przysiągłem poświęcić się studiom nad wiedzą magiczną, pragnę bowiem zdobyć moc pokonywania ludzkich chorób i leczenia ran tych, którzy zostali okaleczeni. Do czego mógłbym potrzebować bogactwa, wiodąc takie życie?

Oblicze kalifa nadal było zachmurzone, lecz nagle władca chwycił generała za ręce i ucałował w oba policzki.

– Bądź błogosławiony – rzekł – gdyż byłeś dla mnie tym, kim Józef dla faraona! Rozdam skarby Lilatt-ah ubogim. Tutaj zaś, aby pamięć o mnie została utrwalona i aby wspomniano moją dobroć, zbuduję świątynię, w której wierni będą modlić się za mnie.

Wskazał ruiny łaźni. Płomienie zostały już ugaszone i ludzie zaczęli wchodzić w poczerniałe, dymiące ruiny. Jeden z nich dźwigał na plecach zwłoki; Harun już miał się odwrócić i odejść, lecz kalif przyglądał się ciału, zafascynowany, z błyszczącymi oczami. Nagle, tak jak poprzednio, zadrżał i podszedłszy do Haruna, złapał go kurczowo za ramię.

– O, księżę wśród doradców – szepnął. – Opowiedz mi o magii, którą pragniesz zgłębić.

– Magię tę posiadał król Salomon, dzięki znajomości tajemnego imienia Boga.

– A jaką moc mu dała?

– Moc rozkazywania dzinnom i wszelkim duchom stworzonym z ognia.

– I co mógł rozkazać dzinnom.

– Wszystko, o księżę, gdyż jego władza nie miała granic.

Kalif rozejrzał się po ruinach łaźni. Spomiędzy gruzów wydobywano następne poczerniałe zwłoki.

– Wszystko? – wyszeptał.

– Absolutnie wszystko.

Kalif westchnął głęboko.

– Zatem kiedy odkryjesz tajemne imię Boga – rozkazał – zdradź mi to, a ja wykuję je na murze mego meczetu. Wiedz bowiem, że na moim dworze jest zdrajca, który knuje przeciwko szczęściu mojej siostry i memu własnemu. Grozi, że podda nasze ciała okrutnym torturom i odcisnie na nich ślady swoich nikczemnych palców. – Zamilkł i jeszcze raz spojrzął na ruiny łaźni, gdzie teraz zwłoki leżały w równym szeregu. – Ów zdrajca swoim oddechem zatruwa radość, burzy pałace i wznosi w ich miejscu groby. A jego imię, Harunie, brzmi: Śmierć!

Harun niczym pokorny uczeń wędrował przez wszystkie kraje, które niegdyś podbił jako dumny i potężny wojownik. Wszędzie szukał tych, którzy mogliby przekazać mu wiedzę, zarówno wiernych, jak i niewiernych, czy to mieszkających wśród wież Konstantynopola, czy w dalekich świątyniach bajecznego Pekinu, czy w krajach za oceanem, gdzie ludzie żyli między aniołami. Harun zasiadał u stóp tysiąca i jednego mędrców, aż sam stał się wielkim uczonym. W leczeniu chorób nikt mu nie dorównywał. Leczył tak doskonale, że ci, których uzdrowił, nazywali go czarownikiem, gdyż wydawało się, że nie sposób inaczej wyjaśnić jego zdolności. Nigdy też – twierdzili – nie było maga tak wielkiego jak Harun. Osiągnął biegłość – mówiono szeptem – we wszystkich tajemnych naukach. Rozumiał język gwiazd, zwierząt i ptaków, a zrodzone z ognia dżinny były posłuszne jego rozkazom. Niektórzy powiadali też, że posiadał jeszcze straszniejsze tajemnice, a nawet poznał sekret śmierci.

Takie pogłoski poprzedzały nadejście Haruna. Na długo przed tym, nim dotarł do Kairu, jego ojczyzna dowiedziała się, że mędrzec wraca. Oczekujący go z niecierpliwością kalif rozstawił strażników przy wszystkich bramach miasta. W końcu ujrzano Haruna na północnej drodze i natychmiast gwardziści wyjechali mu na spotkanie, by zawieźć przybysza przed oblicze Przywódcy Wiernych. Harun ruszył z nimi bez słowa, chociaż zauważono, że kiedy mijął Bab al-Futuh, uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową. Nadal jednak milczał, a kiedy stanął w sali tronowej i został sam z kalifem, władca wstał z tronu, ucałował wiernego sługę i wziął w ramiona.

– O księżę wśród magów! – wykrzyknął al-Hakim. – Sława twej znajomości magii rozeszła się po całym świecie!

Lecz Harun pokręcił głową i odparł:

– O Przywódczo Wiernych, nie znam żadnych magicznych sztuk.

Kalif spojrzął na niego z niedowierzaniem.

– Ale mówią przecież, że umiesz uleczyć niemal każdą chorobę.

– Nie trzeba magii, o księżę, by leczyć choroby.

Al-Hakim spojrzął surowo.

– A zatem nie udało ci się poznać sekretnego imienia Boga?

– Jego imienia, o książę, nie może odkryć śmiertelnik. Nie bez pomocy niebiańskich aniołów, niech pokój i błogosławieństwo zawsze będą z nimi!

Władca zacisnął pięści.

– Jesteś tego pewien? – zapytał.

– Jestem pewien, o książę. Odkąd cię opuściłem, podróżowałem po wielu odległych krajach i obcych ziemiach, aż w końcu dotarłem do gór Kaf, gdzie dzinny często chodzą wśród ludzi i opowiadają im o sekretach tego i innych światów. Właśnie dlatego mieszkańców gór Kaf uważa się za najmądrzejszych spośród ludzi, gdyż niewiele jest rzeczy, których nie wiedzą lub nie rozumieją. Ale nawet oni nigdy nie poznali tajemnego imienia Boga. Kiedy zaś ich o to zapytałem, drżeli i ich twarze nagle stawały się blade.

Kalif przygryzł dolną wargę, po czym uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę.

– Wygląda więc na to – powiedział cicho – że mury mego meczetu pozostaną jednak gładkie. Odwrócił się na pięcie i podszedł do okna. Przez dłuższą chwilę stał w milczeniu, spoglądając na ogród. – Moja siostra... – wyszeptał w końcu. – Moja siostra. – Kalif wskazał ręką na ogród. Harun zobaczył księżniczkę Sitt al-Muluk siedzącą przy fontannie, piękniejszą od najcudowniejszego kwiatu. – Czy ona musi umrzeć? – zapytał al-Hakim. – Czy musi zestarzeć się i umrzeć?

– Jest różą, o panie. Róże więdną.

– Nie – odparł władca bardzo łagodnym głosem, toteż gdy nagle odwrócił się, z wąskim srebrnym sztyletem w dłoni, Harun drgnął zaskoczony. – Nie – powtórzył kalif, uśmiechnął się i przyłożył Harunowi ostrze do gardła. – Coś przede mną ukrywasz.

– Jestem prawdziwie wierzącym, o książę. Tylko aniołowie i prorocy znają tajemne imię Boga.

– Dlaczego więc, kiedy pytałeś mędrców z Kaf, bledli na samą wzmiankę o nim?

– Wiedzieli bowiem, że szukam sposobu, by pokonać śmierć.

– Czy zatem istnieje inny sposób?

– Tak, o książę – Harun zamilkł. Twarz mu pociemniała, lecz wtedy poczuł, że kalif mocniej przyciska mu sztylet do szyi. – Widziałem go na własne oczy w przeklętym mieście Lilatt-ah i wiem, że jest to najczarniejsza nekromancja.

Kalif uśmiechnął się gorzko.

– Ale przecież ty sam zburzyłeś Lilatt-ah i zrównałeś je z ziemią. – Harun w odpowiedzi powoli skinął głową, a wtedy kalif syknął: – Jesteś zatem głupcem. A co gorsza, zdrajcą.

– Wszak to ty, kalifie, rozkazałeś zniszczyć Lilatt-ah.

– Powinieneś więc zajrzeć w moją duszę i odczytać moje najskrytsze marzenia. Czy nie rozumiesz, Harunie, że tak naprawdę pragnąłem mądrości tego miasta?

Mędrzec stał bez ruchu i milczał. Po chwili kalif znowu się uśmiechnął.

– O tak, rozumiesz mnie doskonale... – Przeciągnął nożem po szyi Haruna, tak że na skórze ukazała się cienka linia krwi; dotknął skaleczenia i przyjrzał się uważnie końcom



palców. – Głupotą było oszczędzenie ciebie. Powinienem był cię zabić. – Posmakował krwi. – Ale jeśli opowiesz mi, czego nauczyłeś się w górach Kaf, to możliwe, że mimo wszystko daruję ci życie. – Zapadła cisza. – Pomyśl o przysiędze, którą złożyłeś mojemu ojcu – naciskał kalif. – Przysięgałeś być mi posłusznym we wszystkim.

Lecz Harun nadal milczał.

– Sekret – powiedział w końcu – został pogrzebany na wieki i nie może ujrzeć światła tego świata. Przeszłość bowiem jest mrokiem, w którym wiele musi pozostać ukryte, gdyż inaczej mogłoby zagrozić teraźniejszości.

– A jednak ja chcę poznać ten sekret.

Harun westchnął głęboko.

– Ty jesteś kalifem mianowanym przez Boga – szepnął.

Odwrócił się do okna. Za ogrodami i murem pałacowym, za meczetami i srebrną nitką Nilu, widział wznoszące się piramidy w Gizie, jak żagle odległych statków, otulone srebrzystą mgiełką. Harun przymrużył oczy i powiedział wolno:

– Kiedy rozmawiałem z mędrkami z Kaf, prosząc, aby opowiedzieli mi o sekretach życia i śmierci, kręcili głowami i pytali o mój kraj ojczysty. Kiedy im opowiedziałem, zaczęli się śmiać. Zapytałem, dlaczego, a oni rzekli, że nie powinienem wędrować po najodleglejszych zakątkach ziemi, lecz pozostać tam, gdzie się urodziłem. W Egipcie bowiem, w jego ogromnych kamiennych murach, w jego pałacach i świątyniach, w jego grobowcach, wykutych we wnętrzościach ziemi, kryły się niegdyś sekrety bajecznych mocy, tajemnice straszniejsze, niż człowiek mógłby przypuszczać, sekrety tak starożytne jak same piaski. Właśnie w Egipcie narodziła się wszelka magia.

– Czy uczy ona... – kalif oblizał usta, a jego oczy płonęły niczym ogień – jak można poznać tajemnice śmierci?

Harun wzruszył ramionami.

– Pisma starożytnych są teraz nieme – rzekł – i nie ma nikogo, kto umiałby je przeczytać.

– Zamilkł, odwrócił się do okna i znowu spojrzął na dalekie piramidy. – Ale w górach Kaf przetrwała pewna legenda – dodał cicho.

– Opowiedz mi ją!

– Słyszałem ją od pewnego mędrca, wielce biegłego w wiedzy tajemnej. Zaprawdę diabelska to historia i jej słuchanie jest straszne dla uszu wszystkich wiernych.

– A jednak chcę ją usłyszeć, choćby nawet pochodziła z ust samego Iblisa!

Harun uśmiechnął się lekko.

– Jak powiedziałem, w górach Kaf żyje bardzo mądry człowiek. To, co mi przekazał, znalazł w księdze niewiernych. A oto, o książkę, co mi opowiedział.

## OPOWIEŚĆ MĘDRCA Z GÓR KAF

Powinieneś wiedzieć, Egipcjaninie, że ze wszystkich licznych krajów na tej ziemi, twój jest najbardziej starożytny. To właśnie tam dzinny upadły na ziemię, świecąc jaśniej niż gwiazdy. Wiele z nich przybrało formy dziwnych potworów i ukazało się ludziom z głowami psów, ptaków, kotów, i wszelkich innych zwierząt, tak że głupcy uznali je za bogów. Lecz niektóre dzinny prawdziwie wierzyły i kroczyły ścieżką Boga.

Największy z nich nosił imię Ozyrys. Był on pierwszym królem, który panował nad świętym Egiptem, ponieważ aż do pojawienia się dzinnów w tej ziemi ludzie byli dzicy i żyli jak zwierzęta. Ale Ozyrys nauczył ludzi wszelkich sztuk i pokazał im, jak żyć. Nad brzegami Nilu wyrosły więc pierwsze świątynie i pierwsze kamienne monumenty, w których zamknięto tajemnice gwiazd. Nie istniała rzecz, której Ozyrys nie mógłby nauczyć, tak że czas jego panowania nazwano później Pierwszym Razem – gdyż właśnie wtedy prawdziwa mądrość została po raz pierwszy ujawniona człowiekowi.

U boku Ozyrysa stała jego siostra i małżonka, Izyda – najwspanialsza i najmądrzejsza z dzinnów. Był też brat Ozyrysa, Seth, który rzucił cień zła na swego brata Ozyrysa. Był bowiem Seth dumny i zazdrościł Ozyrysowi, i pragnął zagarnąć tron Egiptu dla siebie; uknuł więc spisek, by obalić króla. Zaprosił swego brata na ucztę i wtedy, gdy wszyscy bawili się w najlepsze, kazał wnieść do sali skarby i podarki. Najpiękniejsza ze wszystkich okazała się skrzynia, sporządzona z najrzadszego cedrowego drewna i pozłocona w najcudowniejsze wzory. I Seth obiecał ją dać temu, komu uda się do niej wejść. Lecz wcześniej przygotował skrzynię tak, by tylko jego brat mógł się zmieścić w środku. Kiedy Ozyrys położył się w skrzyni, Seth wydał rozkaz, by zamknąć i przybić wieko gwoździami. Potem kazał wrzucić skrzynię do Nilu, tak że stała się ona trumną Ozyrysa.

Ciało króla, zamknięte w cedrowej skrzyni, nurt Nilu zaniósł do morza, gdzie pochłoneńy je bezkresne wody. Ale Izyda, niezrównana czarodziejka, która poznała wszystkie tajemnice świata, nie rozpaczała, kiedy się dowiedziała, jaki los spotkał jej męża. Wyruszyła, by odnaleźć ciało. Przewędrowała wszystkie kraje, aż po krańce świata. W końcu, bowiem Bóg jest wielki i miłosierny, udało jej się. Skrzynia była nie naruszona, a gdy Izyda otworzyła wieko, okazało się, że ciało Ozyrysa jest doskonale zachowane i roztacza cudowny zapach, bardziej słodki niż najśodsza woń róż. Wyruszyła z ciałem męża w drogę powrotną do Egiptu. Po dotarciu na miejsce, wyjęła je ostrożnie, bowiem zamierzała – wielka była jej moc! – odprawić straszliwy i cudowny zarazem rytuał magiczny.

Ale Seth, który szpiegował siostrę, dowiedział się o jej zamiarach i udało mu się skraść martwego Ozyrysa. Wówczas, wściekły z zazdrości, poćwiartował ciało na czternaście kawałków i rozrzucił je po całym świecie. Miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się zachować tron. Izyda nie poddała się i jeszcze raz przewędrowawszy świat, odnalazła szczątki

i złożyła je razem. Wtedy odprawiła zatrważający obrzęd, aniołowie bowiem wyjawili jej tajemne imię Boga. Pochyliła się nad obliczem męża i wyszeptała imię Boga prosto w jego otwarte usta. A wtedy gwiazdy i księżyc zatrzymały się w miejscu i niebiosy zdrząły, gdyż to święte słowo nigdy jeszcze nie zostało wypowiedziane. I nie ma na świecie takiego, kto mógłby rzec, jak to słowo brzmi – gdyż nie istnieje sekret bardziej straszliwy i niebezpieczny. Dlatego, Egipcjaninie, strzeż się! Ten, kto je wypowiada, i ten, kto go słucha, naraża się na zagładę!

Izyda jednak była najmędrszą ze wszystkich zrodzonych z ognia dzinnów, i kiedy wyszeptała święte imię w usta swego męża, ten zaczął oddychać i życie wróciło do martwego ciała. Wtedy Izyda usiadła na Ozyrysie i jego nasienie zmieszało się z jej krwią. Z tego związku narodziło się dziecko, które z czasem zostało królem Egiptu; Bóg, który nigdy nie śpi, sprawił bowiem, że dorosło i jego ręka stała się silna. Rozpętała się straszliwa wojna, gdyż Seth nadal twierdził, że tron jest jego, i stanął do boju, mając ze sobą armię dzinnów tych, które nie złożyły pokłonu przed Bogiem. Mówią też – lecz tylko Bóg wie wszystko – że ich potęgę obalono i zniszczono, a Seta oraz jego towarzyszy wygnano na pustynię. I został Seth księciem wszystkich rzeczy ciemnych – i to właśnie on jest tym, któremu w dzisiejszych czasach wierni nadal dali imię Iblisa.

A powinieneś wiedzieć, Egipcjaninie, że zwolennicy Seta nadal żyją, nawiedzają złe miejsca na tym świecie, pustynie i grobowce dawno zmarłych królów. Unikaj takich ghuli, Egipcjaninie! Jeśli zakłócisz ich spokój, będzie to dla ciebie straszne i zadziwiające, gdyż ich ofiarą pada samotny podróżny, a żywią się mięsem człowieka. Lecz Bóg jest miłosierny. Chwała niech będzie Jego imieniu!

A kiedy Harun al-Wakil zakończył opowieść, skłonił głowę i czekał w milczeniu. Lecz kalif al-Hakim, który słuchał uważnie i w bezruchu, chwycił go za ramię.

– O panie mądrych słów! – wykrzyknął. – Ta opowieść mędrca z gór Kaf jest zaprawdę godna uwagi. Ale powiedz mi: kiedy już wielka królowa Izyda wypowiedziała święte słowo i przywróciła swego królewskiego męża do życia, czy to słowo nigdzie w Egipcie nie zostało zapisane?

– O książę – odparł Harun – nawet jeśli je gdzieś utrwalono, to przecież słyszałeś ostrzeżenie: odkrycie sekretu byłoby niebezpieczne i bluźniercze.

– Mimo wszystko, jeśli można odnaleźć napis, chcę go przeczytać. Czyż nie jestem wybrany przez Boga? I czyż w moim meczecie nie czekają puste kamienie, by przyjąć Jego święte imię?

Lecz Harun pokręcił głową i rzekł:

– To prawda, że mędrzec z gór Kaf przekazał mi dziwną i starożytną legendę. Mówią bowiem, że w Egipcie byli kapłani, którzy strzegli tajemnego imienia, lecz w końcu stali się

dumni i oddali się złu. Zbudowali świątynię dla tajemnego imienia i czcili je jak boga; również Izydę i Ozyrysa, chociaż jest tylko jeden Bóg.

Kalif stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, spoglądając przez okno na swoją siostrę, księżniczkę Sitt al-Muluk.

– Gdzie można znaleźć tę świątynię? – wyszeptał w końcu.

– Została zniszczona.

Al-Hakim spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Przez kogo?

– Przez proroka Józefa, pokój niech będzie z nim. Bowiem kiedy został on doradcą faraona, tak słyszałem w górach Kaf, nauczał, że jest tylko jeden prawdziwy Bóg. I chociaż kapłani byli wrogami Józefa, prowadził go Bóg. I tak zło świątyni zostało zniszczone, gdyż wszystkie ambicje człowieka są jak kurz. Tylko Bóg jest wielki!

Kalif nadal stał przy oknie, całkiem nieruchomy i tylko lekki grymas przemknął przez jego twarz.

– Tak – syknął w końcu. – Tylko Bóg jest wielki.

Odwrócił się do Haruna; a jego policzki były całkiem białe, tak jak kości jego zaciśniętej pięści.

Lecz Harun nie uląkł się i widząc, iż audyencja dobiegła końca, uklonił się przed kalifem, odwrócił i odszedł.

Przez dłuższy czas nie widział kalifa ani nie zajmował się zagadkami przeszłości. Tak jak złoto lśni kusząco w grobowcach starożytnych pogan, tak Haruna pociągała wiedza niewiernych. Lecz Harun obawiał się, że i złota, i mądrości strzegą straszliwe czary. Starał się więc odegnać od siebie nawet myśl o nich, gdyż lękał się, dokąd mogłaby go doprowadzić ta fascynacja.

Na szczęście los nie dał mu wiele możliwości zajmowania się czymkolwiek innym niż pracą wśród chorych, gdyż jego sława rozniosła się szeroko i było wielkie zapotrzebowanie na umiejętność mędrca. Nigdy nie zdarzyło mu się odmówić zbadania pacjenta. Zawsze, kiedy pojawiał się u niego chory, Harun przypominał sobie o swoim dawnym życiu, o tym, jak wielu ludzi zabił i jak dużo miast spalił. Przeszedł wszystkie dzielnice Kairu, od wspaniałych rezydencji i ogrodów bogaczy po nory, w których biedacy żyli między grobami lub na śmietnikach obok bram i murów miejskich. Leczył każdego, który go o to prosił, nie zważając na to, czy był bogaty czy biedny, jakby wszyscy należeli do jednej rodziny. Harunowi poszczyliło się w życiu, jednak nie doczekał się jeszcze potomstwa i to nappełniało go wielkim smutkiem.

Pewnego wieczoru zdarzyło się, że miał dziwny sen. Jakaś dziewczyna szeptała mu coś do ucha, a kiedy się odwrócił, nie zobaczył nikogo. Lecz głos nadal przemawiał do niego.

Harun zdumiał się, gdyż nigdy jeszcze nie słyszał dźwięków tak słodkich, tak zmysłowych, jakby przesiąkniętych wonią rajskich ogrodów.

– Wkrótce – mówił głos – pukanie do drzwi przebudzi cię ze snu. Przyjdzie Żyd, zalany łzami, gdyż jego syn zachorował nocą i wydaje się bardzo bliski śmierci. Pójdź z nim do jego domu. Jeśli tak uczynisz, nie będziesz już dłużej bezdzietny!

Głos ucichł, a kiedy Harun się przebudził, usłyszał pukanie do drzwi.

Wszystko zdarzyło się tak, jak zapowiedział głos: Żyd zaprowadził Haruna do swego domu i do pokoju, w którym leżał jego ciężko chory syn. Chłopiec był śmiertelnie blady, spał i wyglądał, jakby nękały go koszmary, a Harunowi nie udało się obudzić malca. Mędrzec zmarszczył czoło, badając chłopca, gdyż nigdy wcześniej nie widział tak dziwnych objawów choroby, chociaż miał wielkie doświadczenie w sztuce leczenia. Ośluchał bijące bardzo słabo serce i wtedy zamarł, gdyż zobaczył na małej piersi cienką, jasną bliznę, która cały czas krwawiła. Nagle chłopiec zaczął ją rozdrapywać i jęczeć.

Harun przywołał rodziców chłopca i wskazał bliznę.

– Powiedzcie, co to jest?

Mężczyzna i kobieta zbledli, gdy ujrzeli krwawy ślad. Matka rozplakała się, a łkanie wstrząsało jej plecami, ojciec zaś pochylił głowę i szeptał słowa modlitwy.

– Co to jest? – wykrzyknął Harun. – Co was tak przeraziło?

Żyd cały drżąc odwrócił się do mędrca.

– Tylko demon mógł zadać taką ranę – szepnął.

– Demon... – Harun potrząsnął głową. – Ludzie najczęściej nazywają demonami to, czego nie rozumieją.

– Ale wczoraj w nocy to samo zdarzyło się córce naszego rabina; na jej piersi znaleziono taką samą dziwną bliznę. Dziewczyna dostała gorączki, tak jak nasz syn, a po południu... – Żyd załkał – już nie żyła.

Zapłakał znowu, po czym przełknął ślinę i spróbował się uspokoić.

– Według naszego rabina – wyjaśnił – to na pewno dzieło demona, gdyż taka blizna zawsze stanowiła znak Lilith.

– Lilith?

– W naszych świętych księgach – wyjąkał Żyd – jest napisane, że Lilith była pierwszą żoną Adama w raju, lecz zapragnęła mięsa własnego dziecka i została wygnana na wieczną tułaczkę w mrokach nocy.

Harun zamarł w bezruchu.

– Jak możemy uchronić przed nią naszego syna? – zapytał mężczyzna.

Uzdrowiciel powoli odwrócił się i spojrzał ojcu dziecka w oczy.

– Lilith? – szepnął. – Nie, to niemożliwe.

– Ależ powtarzam ci, że nasz rabin... – Zmarszczył brwi. – No tak, ty jesteś muzulmaninem. Czy rzeczywiście nigdy nie słyszałeś o Lilith? Czyż w waszych księgach nie ma opowieści o ghulach żyjących na pustyni?

Harun skinął głową.

– Są – szepnął.

Lecz nie powiedział nic więcej, gdyż jego umysł przyćmiły wspomnienia i koszmary. Nagle wydało mu się, że znowu widzi przed sobą lśniące mury Lilatt-ah. Żyd patrzył na mędrca, a w jego oczach nadzieja mieszała się z rozpaczą.

– Cóż więc, o panie wiedzy, powinniśmy zrobić?

Harun już otwierał usta, by odpowiedzieć, że nie wie, lecz w tym samym momencie z ulicy dobiegło głośnie pukanie do drzwi.

Żona Żyda wyszła, aby zobaczyć, kim jest nieoczekiwany gość. Wróciła prowadząc wyglądającego na kupca człowieka, a sądząc z ubioru mógł być chrześcijaninem z greckiego cesarstwa. Nosił bogate szaty, lecz najwyraźniej trawiła go choroba, ponieważ twarz miał bladą, a idąc wspierał się na lasce. Jednak gdy zobaczył, że wszyscy gromadzą się wokół niego, jego twarz rozjaśnił mu uśmiech.

– Chwała niech będzie Bogu! – wykrzyknął. – Ten pokój jest dokładnie taki sam, jak widziałem we śnie. – Przyjrzał się twarzom. – Ale błagam, wyjawcie, który z was nazywa się Harun al-Wakil?

Harun wystąpił do przodu.

– To ja. Skąd znasz moje imię, jestem bowiem pewien, że nigdy wcześniej sienie spotkaliśmy.

– Dziwny głos we śnie powiedział mi, że tutaj cię znajdę. Gdyż zdaje się, że tylko ty możesz mnie uzdrowić.

– Jeśli Bóg zechce, uczynię, co w mojej mocy. Lecz najpierw musisz mi przedstawić objawy twojej choroby.

– Są takie same – rzekł chrześcijanin, wskazując łóżko, gdzie jęcząc leżał żydowski chłopiec. – Takie same jak jego! – Mówiąc to, przybysz rozchylił płaszcz i pokazał cienką, krwawiącą ranę przecinającą pierś. – Mogę tylko dziękować Bogu, że dotarłem do ciebie na czas, gdyż czuję, że każdego dnia staję się słabszy.

Zmartwiony Harun pokręcił głową.

– Przykro mi, obawiam się, że nie umiem ci pomóc.

– Ale mój sen...

– Nie znam lekarstwa.

Chrześcijanin zamknął oczy, rozczarowany i zrozpaczony.

– Ale mój sen... – wyszeptał. – Wyraźnie słyszałem... – I nagle zaśmiał się, po czym klasnął w ręce. – Oczywiście! – wykrzyknął. – Muszę powiedzieć ci o niewolnicy!

– Niewolnicy? – zdumiał się Harun.

– Czy to prawda, że nie masz dzieci?

Harun spojrzał na niego dziwnie, gdyż pamiętał słowa tajemniczej postaci ze snu.

– O jaką niewolnicę chodzi? – zapytał.

Chrześcijanin tylko się uśmiechnął.

– Sądzę, że uznasz ją za piękniejszą i bardziej elegancką niż jakikolwiek opis może wyrazić.

Mówiąc to, chwycił Haruna za rękę i poprowadził do okna. Wskazał dziewczynę stojącą na ulicy, a Harun, przyjrzawszy się jej, stwierdził, że chrześcijanin w niczym nie przesadził. Nigdy wcześniej mużłmanin nie widział takiej piękności. Dziewczyna miała doskonałą figurę, smukłą jak trzcina, piersi były jak dwa owoce wyrzeźbione z kości słoniowej, a dłonie i stopy wyróżniały się cudowną delikatnością. Włosy koloru najczarniejszej nocy opadały siedmioma warkoczami poniżej talii. Policzki miała drobne i różowe, wargi czerwone, a zęby białe jak perły. Długie, jedwabiste rzęsy skrywały czarne oczy, lśniące prawdziwie anielskim blaskiem. Harunowi wydało się, że ta niewolnica przyćmiłaby słońce i księżyc, lecz zadrzał nagle, gdyż pomyślał, że tylko raz wcześniej widział tak piękną twarz – był to posąg bogini w mieście Lilatt-ah. Ale kiedy spojrzał na twarz kobiety po raz drugi, uspokoił się, gdyż w jej spojrzeniu widać było napięcie i skrywane cierpienie; poczuł się zbity z tropu i owładnięty miłością.

Zwrócił się do chrześcijanina:

– Powiedz mi, kupcze, jaka jest cena tej dziewczyny?

Chrześcijanin uśmiechnął się.

– Mówiłem ci, jest twoja.

– Lecz ja nie potrafię cię uleczyć.

– Tak mówisz, jednak ja jestem pewien, że potrafisz. Dlaczego bowiem mój sen miałby sprawdzić się we wszystkim, z wyjątkiem tej jednej rzeczy?

– Być może – rzekł Harun – byłoby najlepiej, gdybyś najpierw opowiedział mi o swoim śnie i o tym, w jaki sposób ta cudowna niewolnica znalazła się w twoim posiadaniu.

– Oczywiście – odpowiedział chrześcijanin – jeśli tylko zechcesz wysłuchać.

Usiadł wygodnie na podłodze i zaczął tak:

## OPOWIEŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKIEGO KUPCA

Trzeba wam wiedzieć, moi szlachetni gospodarze, że zawsze nosiłem w pamięci słowa króla Salomona, który powiedział, iż lepszy jest grób niż ubóstwo. Z tego powodu przemierzyłem Świat, sprzedając lub wymieniając swoje towary i wyszukując rzadkich dóbr.

Lecz nie podróżowałem tylko dla osiągnięcia korzyści, gdyż już od dziecka pragnąłem zwiedzać dalekie kraje i odkrywać rzeczy dziwne i ciekawe. Dlatego wyruszyłem do Egiptu i popłynąłem w dół Nilu, ponieważ w księgach mojego ludu czytałem o cudach tego kraju. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnąłem zobaczyć starożytne miasto Teby, które niegdyś, dawno temu, było stolicą Egiptu. Dziś jednak nie mieszka tam nikt prócz szakali i sów, a kamienne sale do połowy skrywa piasek. Lecz nadal można oglądać cuda Teb, mimo iż leżą w ruinie, i rozmyślać nad tym, jakie kiedyś musiały być ich bogactwa.

Jednak bogactwa te do dnia dzisiejszego nie zaginęły całkowicie. Jest bowiem na drugim brzegu Nilu wieś – bardzo mała i biedna z wyglądu, a jej mieszkańcy mają dziwne i piękne ozdoby, wykonane ze złota, srebra i drogich kamieni. Kupowałem te skarby, gdyż zdałem sobie sprawę, że bez trudu będę mógł je korzystnie sprzedać, więc wkrótce stałem się częstym gościem w Tebach. Wieśniacy nie chcieli mi wyjawić, gdzie znajdują klejnoty, lecz w końcu, za pomocą butelki wina, namówiłem jednego z nich, by zdradził mi sekret. Powiedział on, że niedaleko znajduje się dolina; w której dawno temu starożytni postanowili chować swoich królów. Władcy ci leżą tam do dzisiaj, głęboko w skale, a wokół nich – stosy złota i drogich kamieni. Lecz niebezpiecznie jest wchodzić do tej doliny, przynajmniej tak twierdził ów wieśniak. Nawiedzają ją, jak mówił, ghule, które nazywał *udar*, i bladł na sam dźwięk tego słowa.

Nie tylko on lękał się tych demonów. Tego samego wieczoru, gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, zobaczyłem, że wszyscy wieśniacy schodzą z pól i nikt nie chce pozostać poza domem. Około drugiej w nocy obudził mnie daleki krzyk, a kiedy wyjrzałem z namiotu, wydawało mi się, że widzę dwoje lśniących srebrzyście oczu. Mimo to nie uwierzyłem w opowieści o ghulach, dopóki następnego ranka nie ujrzałem ciała mężczyzny, który padł ich ofiarą, i którego krzyk słyszałem w nocy. Pierś nieszczęśnika była rozcięta, a ciało ogryzione – lecz to jeszcze najmniej przerażające. Mój przewodnik bowiem wskazał ranę między nogami trupa, a potem uderzył w jego żołądek. Zobaczyłem, że ciało się rozstępuje, a w jelitach kłębią się niezliczone robaki. Z tego właśnie, jak się zdaje, słynęły *udar* – z ich wydzielin lęgną się larwy i robaki.

Oczywiście wielce mnie to zadziwiło i przeraziło zarazem, lecz w czasie moich podróży zdażyłem się nauczyć, że niebezpieczeństwa strzegą najcenniejsze klejnoty. A odkryłem, że złoto wcale nie było najbardziej wartościowym skarbem skrywanym w dolinie: na własne oczy widziałem na bazarach Kairu wysuszone ciała starożytnych królów i wiedziałem, jaką cenę można uzyskać za taką rzecz. Nazywa się to *mumia*, a ludzie wierzą – niech Chrystus czuwa nade mną i zbawi moją duszę! – że członki takich ciał, utarte na proszek i przerobione na leczniczy napój, mogą cudownie przedłużyć czas ludzkiego życia. Gdyby pozostawiono je w grobowcach, leżałyby na wieki pod ziemią, pogrążone w nie kończącym się spokoju, nie niepokojone nawet przez robaki, aż do Dnia Sądu Ostatecznego. A tutaj, w Kairze, wiele jest osób, co pragną tego rodzaju magii. Lecz tylko Bóg i Chrystus, Jego syn, są wielcy!



Mając tak obfite źródło towaru, wkrótce zgromadziłem wielkie bogactwo. Jednak zapotrzebowanie było tak duże, że zasoby w wiosce zaczęły się wyczerpywać, a wieśniacy, kiedy nalegałem, aby dostarczyli mi więcej dóbr, twierdzili, że stało się to zbyt niebezpieczne ze względu na *udar*. Podwyższyłem cenę, jednak dalej nie chcieli się zgodzić. Twierdzili, że w grobach zaroilo się od *udar* i dlatego nawet za dnia niebezpiecznie jest je przeszukiwać.

W końcu, zdesperowany, postanowiłem sam odwiedzić Dolinę. Ruszyłem ścieżką prowadzącą ku wejściu, lecz nie zdążyłem jeszcze dotrzeć do celu, kiedy przyszło mi zapłacić wysoką cenę za chciwość i głupotę. Poczulem nagłe uderzenie w tył głowy i spadłem z konia niczym worek węgla. Potem pamiętam, jak czyjeś palce zacisnęły się na moim gardle, a dookoła roztaczał się smród zgnilizny. Nagły ból przeszył mi pierś i krzyknąłem, czując, że jakieś wilgotne usta przyssały mi się do rany. Nie to było jednak najgorsze, gdyż przypomniałem sobie o ciele wieśniaka, które widziałem – o żołądku wypełnionym rojem wygłodniałych robaków. Znowu krzyknąłem i powierzyłem swą duszę opiece Jezusa Chrystusa, byłem bowiem pewien, że czeka mnie niechybna śmierć. Ciemna chmura strachu przyćmiła wszystkie inne myśli.

Jednak wówczas, gdy sądziłem, że już zapadam się w otchłań śmierci, ujrzałem coś dziwnego. Zobaczyłem dziewczynę stojącą w cieniu wielkiej świątyni. Wtedy usłyszałem głos; kazał mi ofiarować ją tobie, Harunie al-Wakilu, abyś mógł mieć z nią dziecko. A później widziałem pokój, w którym teraz wszyscy jesteśmy, i powiedziano mi, że jeśli podaruję ci, mistrzu, tę dziewczynę, ty w zamian za to uleczysz mnie z choroby. Kiedy się obudziłem, przekonałem się, że rzeczywiście jestem chory, blady i słaby. Przepłynąłem więc na drugą stronę Nilu, wiedziałem bowiem, iż na wschodnim brzegu stoi świątynia oszałamiających rozmiarów, bardzo podobna do tej przedstawionej we śnie. I rzeczywiście, kiedy szedłem przez ruiny, znalazłem w ich najdalszym krańcu tę oto niewolnicę. Prosiłem, aby powiedziała, jak ma na imię i skąd pochodzi, lecz milczała – do dzisiejszego dnia nie odezwała się ani słowem. Mimo to jestem pewien, że jej twarz przypomina oblicze kobiety widzianej we śnie. Z całą pewnością jest to jakaś wielka tajemnica, lecz tylko Bóg wie wszystko!

Gdy chrześcijanin umilkł, Harun potrząsnął głową, zadziwiony.

– Zaiste! – wykrzyknął – jest to niezwykła opowieść, lecz nadal nie wiem, jak mógłbym uleczyć twoją ranę. Może byłoby najlepiej, gdybyśmy wezwali dziewczynę i przekonali się, czy zechce ze mną porozmawiać.

Chrześcijanin zrobił tak, jak radził Harun. Niewolnica weszła do pokoju. Gdy stanęła w drzwiach, Harun ponownie poczuł, że owładnęła nim miłość, gdyż skóra jej była jak najczystsze srebro, a oczy jak głębie oceanu. Jednak, mimo iż zauważyła obecność Haruna, nie okazała mu szacunku, nie odezwała się, jedynie lekko poruszyła nozdrzami, jakby wychwytyjąc w powietrzu jakiś zapach. Wtedy przyjrzała się dokładniej Harunowi i

wyciągnęła rękę, by dotknąć jego płaszcza. Mędrzec rozwiązał go i podał dziewczynie. Ta powąchała szatę i uniosła ku słońcu i wtedy Harun zauważył, że tkanina jest poznaczona plamami, czarnymi, lecz widocznymi w świetle słońca. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, skąd też pochodzą owe zabrudzenia, i nagle przypomniał sobie, i odmówił modlitwę dziękczynną.

Otóż był to jego najstarszy płaszcz, ten sam, który nosił w dniu ataku na Lilatt-ah. Harun wspomniał cieczer gotowaną przez kapłana w najgłębszej części piekielnej świątyni i przypomniał sobie, że kiedy misa przewróciła się, płyn prysnął i zaplamiał odzienie.

– Niewątpliwie miał w sobie jakąś czarodziejską moc – powiedział sam do siebie muzulmanin. – Ale jeśli pozwoli ocalić życie tych dwojga ludzi, to Bóg w swej mądrości z pewnością wybaczy mi ten grzech.

Mówiąc to, oderwał zaplamione kawałki tkaniny, kazał je ugotować, a potem rozetrzeć na pastę. Kiedy już wszystko było gotowe, Harun wziął lekarstwo i nałożył je na rany, które natychmiast zaczęły się zablizniać. I chrześcijanin, i chłopiec poczuli, że siły im wracają. Rzucili się ku swojemu wybawcy z podziękowaniami, płacząc z radości.

Jednak nawet gdy oni nazywali go księciem wszystkich lekarzy, Harun milczał, zamyślony. Popatrzył na niewolnicę, mając nadzieję, że dziewczyna w końcu przemówi. Jednak mimo iż ich spojrzenia spotykały się, jej rubinowe usta pozostały zamknięte. Przez krótką chwilę cień niepokoju przemknął przez myśli Haruna, lecz znowu spojrzał na nią i czuł tylko przepelniającą go miłość.

– Chwała niech będzie Bogu, który umiał stworzyć taką istotę – szepnął. – Coś tak pięknego może być tylko dobre.

Potem z wielkimi honorami zaprowadził kobietę do swego domu. Niewolnica jednak cały czas milczała.

Kiedy Harun przyprowadził piękność do swojego domu, starał się o nią zatroszczyć najlepiej, jak potrafił. Podeszedł do ukrytej skrzyni, w której trzymał pozostałości z dawnego bogactwa, a następnie udał się na bazar, gdzie wynajął służących oraz kupił najlepsze jedło i napoje. Służący wykąpali dziewczynę i ubrali w sposób odpowiedni dla jej urody. A kiedy Harun zobaczył ją w klejnotach i pięknych szatach, i poczuł lekki zapach olejków na kształtnych ramionach i krągłych piersiach, pomyślał, że nawet Siedem Niebios nie mogłoby dorównać jej piękności. Objął ją bardzo delikatnie i zaprowadził do łoża, polecając służącym, by im podali jedzenie. Gdy przynieśli jedło, Harun odesłał wszystkich i sam obsługiwał niewolnicę jak służący. Lecz ona jedząc trzymała głowę pochyloną i milczała. Nawet nie spojrzała na swego dobroczyńcę.

Nic się nie zmieniło przez cały rok. Harunowi ten czas minął jak jeden dzień, gdyż coraz bardziej kochał dziewczynę, a nigdy wcześniej nie doznał podobnego uczucia. Nadal traktował ją z wielką czułością, jak gdyby była błogosławieństwem zesłanym mu przez

niebiosa. Nie chciał jej dotykać ani brać siłą, lecz pielęgnował niczym płomień, który inaczej mógłby zgasnąć. Ona jednak milczała nieodmiennie przez wszystkie te miesiące; a kiedy zapadała ciemność, nie zostawała u boku Haruna, lecz spoglądała przez okno na gwiazdy nocnego nieba, a wydawało się, że widok ten nigdy jej nie męczył.

I zdarzyło się pewnego wieczoru, że Harun znalazł ukochaną na dachu swego domu. Stała i patrzyła w stronę zachodniej pustyni, gdzie księżycowy blask srebrzył piaski. Tak pięknie wyglądała i tak smutno zarazem, że Harun poczuł, iż serce mu pęka z miłości.

– O pragnienie mego serca! – wykrzyknął. – Jesteś mi droższa niż własne życie! Jeśli nigdy mnie nie pokochasz, powiedz mi o tym, abym mógł przynajmniej pozbyć się nadziei. Albo przemów do mnie, pani, gdyż dla ciebie gotów byłbym zrezygnować z raj!

Dziewczyna słysząc to, uśmiechnęła się nagle i odwróciła do Haruna; dotknęła jego policzka swymi smukłymi palcami i pocałowała delikatnie. Potem zaprowadziła go do pokoju i lekko popchnęła na łóżko. Tam zrobiła coś, czego żadna kobieta wcześniej nie uczyniła, i położyła się na Harunie, lecz on nie protestował, ani nie próbował zmienić pozycji; ponieważ nawet gdy ona mu rozkazywała, czuł, że ogarnia go uniesienie, jakie obiecano wiernym po śmierci. A później, gdy już było po wszystkim, obsypała całe ciało kochanka pocałunkami, spojrzała mu w oczy i znowu się uśmiechnęła.

– O najmiłszy i najłaskawszy z ludzi – powiedziała. – Obyś zaznał długiego życia i spełnienia wszelkich pragnień.

Harun popatrzył na nią zadziwiony, gdyż jej głos pięknem dorównywał urodzie oblicza; zdał sobie sprawę, że słyszał go już wcześniej, we śnie.

– O radości mego serca, powiedz – poprosił – kim jesteś i skąd pochodzisz, bo wydajesz mi się cudem zesłanym z nieba.

– O panie mój – zaczęła, wstając z posłania. – Powiem ci, kim jestem. Moje imię brzmi Lajla, a jestem księżniczką obcego i dalekiego kraju. – Podeszła do okna i wyciągnęła rękę ku gwiazdom. – Niegdyś mieszkałam na tchnieniu wiatru, bo trzeba ci wiedzieć, że mój lud włada królestwem niebios.

– To zaprawdę wielki cud! – wykrzyknął Harun, podchodząc do niej i spoglądając ku gwiazdom. – Ale jak twój lud może tam żyć, nie spadając i nie zabijając się?

– Panie mój, tak samo, jak ty na ziemi – odparła. – Wszystko jest możliwe dla tych, którzy wiedzą, jak to robić.

– Zaiste wielkość i potęga Boga nie mają granic! – zamyślił się Harun. – Ale dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu? Wiedziałaś przecież, że cię kocham, a jednak przez rok nie odezwałaś się ani słowem.

Samotna łza stoczyła się z jej oka i zawisła na rzęsie.

– Wybacz mi – odpowiedziała, ocierając dłonią łzę. – Ale jestem tylko niewolnicą, wygnaną do obcego kraju.

Harun objął ją i ucałował w czoło.

– Nie jesteś niewolnicą, lecz panią tego domu.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa i pocałowała Haruna.

– Czy myślisz, że zostałam tu choćby przez godzinę, gdybyś nie troszczył się o mnie z taką miłością? – zapytała. – A teraz, o najlepszy z ludzi, otrzymasz nagrodę, bo trzeba ci wiedzieć, że od tego wieczoru noszę twoje dziecko.

– O moja pani, moja miłości! – wykrzyknął uradowany Harun. – Chwała niech będzie Bogu! Teraz bowiem widzę, że mój sen mówił prawdę i otrzymałem błogosławieństwo, jakiego nigdy nie spodziewałem się dostąpić. – Zamilkł na chwilę i ujął Lajlę za rękę. – Lecz skąd mogę wiedzieć, skoro pochodzisz z gwiazd, czy nie będziesz próbowała tam wrócić?

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

– Oddaliłam się tak bardzo od królestwa mojego ludu, że wątpię, abym kiedykolwiek mogła wrócić.

– A zatem pozostaniesz w moim domu i będziesz moją żoną?

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Przez chwilę Harun poczuł dreszcz strachu, ponieważ jej wzrok nagle stał się zimny jak nocne niebo, z którego pochodziła.

– Pod jednym warunkiem – szepnęła w końcu.

– Twoje słowo jest dla mnie rozkazem.

Spojrzenie jeszcze przez chwilę pozostało zimne jak lód, aż wreszcie dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie.

– Otóż musisz mnie kochać bardziej niż cały świat.

Harun zaśmiał się.

– To bardzo łatwy warunek do spełnienia!

Mówiąc to wyciągnął ręce, by ją objąć, a ona przytuliła się mocno do niego.

– Przysięgnij! – syknęła. – Bo, powtarzam raz jeszcze, jeśli kiedykolwiek pokochasz coś bardziej niż mnie, to w tej samej chwili, mój mężu, odejdziesz.

Chwyliła Haruna tak mocno, że poczuł, jak jej paznokcie wbijają mu się w ciało. Zabolęło, lecz zaczął się zastanawiać, dlaczego ta dziewczyna, milcząca przez cały rok, nagle tak gwałtownie zaczęła okazywać swe uczucia. Lecz kiedy spojrzał ukochanej w oczy, wszystkie jego obawy zniknęły; pomodlił się cicho, dziękując Najwyższemu za łaskę.

– Przysięgam – szepnął. – Zawsze będę cię kochał. Teraz – pocałował ją – i zawsze.

I tak Harun żył w szczęściu z Lajlą swoją ukochaną, a kiedy minęło dziewięć miesięcy, został ojcem małej córeczki; i dał swej córce imię Hajda. Dziecko od pierwszych dni swego życia było pełne wdzięku i radości. Harun, który już stracił nadzieję, że kiedykolwiek zostanie ojcem, przyjął ją tak, jak człowiek zagubiony na pustyni, widzący sępy krążące nad jego głową, może przyjął pierwsze nieoczekiwane krople deszczu – nie ma bowiem nic cenniejszego niż niespodziewane błogosławieństwo.

Mijały lata, a Hajda rosła piękna i pełna wdzięku i stała się klejnotem życia Haruna. Mędrzec myślał, że szczęście nigdy się nie skończy, ponieważ nie tylko radość z Hajdy się wzmagała, lecz i przyjemność, jaką dawało życie z żoną. Świeżość Lajli, inaczej niż świeżość róży, wydawała się nie tknięta upływem lat – do tego stopnia, że w końcu Harun, zdumiony tą zagadką, zapytał ukochaną, skąd się bierze jej nie przemijająca młodość. Lecz ona uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i wyjaśniła, że nawet w nieprzerwanym upływie czasu mogą być wyspy. A kiedy Harun dalej nalegał, zamilkła i nie powiedziała nic więcej; lecz zauważył, że od tego czasu odsunęła się od niego. Nawet jej spojrzenie stało się zimniejsze, a czasem dostrzegał, że kiedy siedziała z dzieckiem, przyglądała mu się ukradkiem – jej oczy były na wpeł przymknięte, lecz lśniły niczym klejnoty. Kiedy indziej znikwała i Harun zwykle znajdował ją, tak jak niegdyś, gdy jeszcze milczała, na dachu stojącą i patrzącą w gwiazdy.

Aż zdarzyło się pewnego wieczoru, kiedy Lajli nie było widać przez kilka dni, że wezwano Haruna do domu sąsiada, gdyż służący zapadł na nieznaną chorobę. Harun nie zdziwił się, gdy o tym usłyszał, ponieważ latem w Kairze panował nieznośny zaduch i upał. Południowe wiatry niosły piasek ulicami miasta, doprowadzając do szału psy i wysuszając nieczystości w trujący pył. Harun natomiast wiedział aż nadto dobrze, że dziwne choroby, zrodzone z bezsenności oraz słonecznego żaru, mogą się rozprzestrzeniać po mieście z zabójczą łatwością. Lecz kiedy dotarł do domu sąsiada i zobaczył chorego, pobladłego i mającego w gorączce, zorientował się, że widział już wcześniej tę samą dolegliwość. Ukłąkł koło nieszczęśnika i odsunął prześcieradło. Spoconą pierś mężczyzny przecinała krwawiąca blizna. Harun nie został tam ani chwili dłużej, a gdy wrócił do domu, odszukał żonę. Siedziała w swoich apartamentach i ścisnęła w ramionach śpiącą Hajdę.

– Zdradź mi tajemnicę lekarstwa, które przygotowałem tego pierwszego dnia, gdy cię ujrzałem – poprosił.

Lajla spojrzała mężowi prosto w oczy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz doskonale.

Harun podszedł do żony. Czuł wzbierającą w nim wściekłość. Zażądał od Lajli, aby zdradziła mu sekret.

Lecz kobieta zgasła jego furię jednym uśmiechem.

– Powiedz mi, najdroższy, czy nie pamiętasz o swej przysiędze? – zapytała, zdejmując głowę Hajdy z kolan.

Wstała i mocno chwyciła męża, aż owinęły go jej warkocze. Wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha:

– Czyż nie kochasz mnie bardziej niż cały świat?

Pocałowała go, a wtedy Harun poczuł, jak resztki gniewu ulatują, i pomyślał – dotykając jej rozchylonych ust, że nie dostąpił w życiu większej radości.

– Miłuję cię bardziej niż cały świat – szepnął. – Bardziej nawet niż raj.

I więcej nie wypytywał o nic, a pocałunki uspokoiły wszystkie jego obawy i wątpliwości. Tej nocy znalazł wielką przyjemność w przebywaniu z żoną.

Lecz następnego dnia zapytał sąsiada o sługę i usłyszał, że stan chorego się pogorszył. Kiedy Harun pochylił się nad cierpiącym, z przerażeniem odkrył na piersi drugą ranę. Harun jak umiał, próbował złagodzić cierpienia mężczyzny, jednak bezskutecznie; zmartwiony wrócił więc do żony. Tak jak poprzednio, siedziała ze śpiącą Hajdą na kolanach.

– Gdzie byłaś ostatniej nocy? – zapytał.

Lajla uśmiechnęła się lekko.

– Czy naprawdę muszę ci o tym przypominać, moja miłości?

– Ale potem spałem tak mocno i głęboko, jakbym został upojony mandragorą. Gdzie byłaś wtedy? Spałaś obok mnie, czy wyszłaś, moja żono, w trujące wiatry nocy?

I znowu poczuł, jak wzbiera w nim gniew, i znowu Lajla uspokoiła go jednym uśmiechem, objęła go i przytuliła mocno. Ponownie pocałowała męża i szepnęła mu do ucha:

– Czyż nie kochasz mnie bardziej niż cały świat?

Harun, zamilkł i nie powiedział nic więcej.

Lecz następnego dnia wydarzyło się to samo. Tyle, że kiedy tym razem sąsiad wezwał Haruna, martwy służący leżał na podłodze. Ciało wyglądało raczej jak szkielet, gdyż mięso zostało poodrywane od kości. Kiedy mędrzec to zobaczył, wyszeptał modlitwę, pobiegł do domu i odszukał żonę.

Tak jak wcześniej, siedziała ze śpiącą Hajdą na kolanach. Harun przez chwilę w milczeniu patrzył na dwie ukochane istoty i czuł, jak wszystkie jego obawy nikną i ustępują wobec fali miłości. Lecz zacisnął pięści, podszedł do Lajli i usiadł u jej boku.

Patrzył na jej twarz, na nie przemijające piękno oczu o jedwabistych rzęsach.

– Kim jesteś? – szepnął. – Czym jesteś?

– Jak to? – uśmiechnęła się. – Twoją żoną, najdroższy.

Ale Harun pokręcił głową.

– Nie okłamuj mnie. Powiedziałaś, że pochodzisz z królestwa w niebie, a ja ci uwierzyłem, bo widziałem i słyszałem wiele dziwnych rzeczy. Ale teraz już ci nie wierzę.

– Więc jak sądzisz – nie uśmiechała się już tak promiennie – kim jestem?

Harun zadrżał, zarówno z przerażenia, jak i z miłości.

– Obawiam się, że możesz być jednym z tych dzinnów, które spadły z nieba i nigdy nie oddały Bogu pokłonu – wyszeptał. – A jeśli tak jest, to lękam się myśleć, co zamierzasz. – Spojrzał na córeczkę i lekko musnął jej policzek.

– Nie pragnę niczego innego niż kochać cię, tak jak powiedziałam, dopóki ty nie przestaniesz mnie darzyć uczuciem.

Patrzyli na siebie w milczeniu; w końcu Harun jęknął i potrząsnął głową.

– Tak bardzo, moja ukochana, chciałbym ci uwierzyć – rzekł cicho.

Uśmiech kobiety zbladł.

– Przyjmij ten podarunek – powiedziała po dłuższej chwili. Zsunęła z palca złoty pierścień, ucałowała go i podała mężowi.

Harun przyglądał mu się zdziwiony. Pierścień był ozdobiony wizerunkiem słonecznego dysku, pod którym klęczały dwie postacie.

– Co to jest? – zapytał.

– Ten pierścień ma magiczną moc, najdroższy – odrzekła Lajla. – Ktokolwiek go nosi, tego zawsze będzie strzegła moc mojej miłości.

Uśmiechnęła się i objęła męża. Harun próbował ją odsunąć i wstać, ale bezskutecznie, mimo iż bardzo się starał. Poczul jej pachnący oddech na swoim policzku; westchnął, usiadł z powrotem i pocałował Lajlę.

Kobieta uśmiechnęła się znowu. Po chwili, kiedy oderwała się od jego ust, szepnęła mu do ucha:

– Czyż nie kochasz mnie bardziej niż cały świat?

Harun przyglądał się wizerunkowi na pierścieniu.

– Bardziej niż życie – powiedział cicho i wsunął pierścień na palec. – Bóg jest miłosierny. Bardziej niż życie – powtórzył.

Odtąd, gdy przychodzili do niego ludzie, mówiący o dziwnej chorobie, która powoduje krwawiące rany na piersi, Harun odpowiadał, że nie potrafi pomóc. Wieści, że słynny lekarz jest bezsilny wobec tajemniczej choroby, sprawiły, że ludzie zaczęli bać się jeszcze bardziej; a już wcześniej przerażające plotki rozniosły się po mieście, jak śmieci unoszone wiatrem. Niektórzy opowiadali, że ta choroba wcale nie jest chorobą, lecz oznaką gniewu straszliwej dzinniji, która porusza się z wiatrem, a jej wargi przynoszą śmierć. Inni mówili, że widzieli skrytą za welonem czarną postać przy łóżkach tych, którzy później zachorowali; jeszcze inni, że dostrzegli, jak welon opada, a wtedy przez krótką chwilę mogli zobaczyć lśniące oczy, głębokie i piękne, lecz zabójcze jak trucizna. Wdowa po pewnym Żydzie twierdziła, że zauważyła jakąś istotę pochyloną nad mężem tej samej nocy, kiedy zachorował.

– Lilith! – lamentowała. – Lilith przyszła!

Teraz taki sam krzyk wypełniał całą żydowską dzielnicę i nie było w Kairze ani jednej rodziny, która nie nauczyłaby się bać się nocy.

Harun jednak przez cały czas trzymał się z dala od chorych i nie odpowiadał na prośby wzywających. Zamknął się w domu z żoną i córką, bawił się z Hajdą i czytał razem z nią książki, próbując nauczyć dziewczynkę wszystkiego, co sam umiał. I udało mu się wpoić dziecku swój zachwyt dla świata. Każdego wieczoru Lajla przychodziła do niego, zarzucała mu ręce na szyję i szeptała do ucha:

– Czyż nie kochasz mnie bardziej niż cały świat?

A Harun każdego wieczoru odpowiadał „tak” i każdej nocy, po chwilach rozkoszy, zapadał w głęboki, spokojny sen.

Pewnego wieczoru zdarzyło się, że gdy Harun siedział z Hajdą, służący oznajmił, iż przybył posłaniec od kalifa. Kiedy Harun spojrział na przybysza, zobaczył Masuda.

– Musisz natychmiast stawić się na dworze – powiedział czarny niewolnik. – Księżniczka Sitt al-Muluk zachorowała i Przywódca Wiernych szaleje z rozpaczy.

– Jakie są objawy choroby księżniczki?

– Jest bardzo blada, dręczą ją koszmary, a jej pierś przecina krwawiąca rana.

Harun poczuł ucisk w piersi.

– Nie umiem jej pomóc.

– Kalif ci rozkazuje.

– Ale powiedziałem ci, że nie potrafię.

Masud spojrział na Hajdę.

– Nie jest mądrze odmawiać spełnienia życzeń kalifa – szepnął. – Jeśli wiesz, co jest dobre dla ciebie i dla tych, których kochasz... – przerwał i wyszczerzył zęby w strasznym grymasie – to pójdziesz ze mną natychmiast.

Harun siedział jeszcze przez chwilę, dręczony strachem i niepewnością, po czym pocałował córkę w czoło, wstał i wyruszył z Masudem do pałacu. Kiedy dotarli na miejsce, znaleźli al-Hakima obok łoża Sitt al-Muluk. Wystarczyło jedno spojrzenie, by potwierdzić najgorsze obawy. Ale mimo iż Harun wiedział, że jego wysiłki nie na wiele się zdadzą, robił, co mógł, by złagodzić cierpienia księżniczki. Jednak chora nadal jęczała; kalif przyglądał się siostrze, po czym złapał mędrca za ramiona.

– Dlaczego jej nie wyleczysz?! – wykrzyknął, przesuwając palcami po jej piersi i patrząc w przerażeniu na krwawiącą ranę.

– Jestem bezradny, o książę.

– Nie możesz być bezradny! Nie ma mądrzejszego lekarza w całym Kairze!

– Dam lekarstwo, dzięki któremu księżniczka uśnie.

– Dobrze. A jutro wróc i przynieś coś, co ją wyleczy – rozkazał kalif. – Inaczej, doktorze... – Al-Hakim wyjął sztylet. – Inaczej...

Harun wrócił do domu z ciężkim sercem. Nigdzie nie widział Lajli, nie pojawiła się też przez tę całą długą noc. Harun czuwał przy córce, a gdy następnego ranka pojawił się Masud, spojrział na twarz Hajdy, jakby miał nigdy więcej nie zobaczyć córki. Ale Masud uśmiechnął się okrutnie i podniósłszy dziewczynkę, umieścił ją sobie na ramionach. Harun próbował protestować, lecz niewolnik tylko pokręcił głową. I tak ojciec i córka razem wyruszyli do pałacu.

Kiedy weszli do pokoju księżniczki, Harun natychmiast zauważył, że jej stan się pogorszył. Na piersi pojawiła się druga rana; Sitt al-Muluk w gorączce wymachiwała rękami, jakby odganiając od siebie widmo. Kalif, siedząc obok siostry, z nienawiścią w oczach spojrział na swego dawnego wiernego sługę.

– Dlaczego Sitt al-Muluk nie odzyskuje sił? – syknął. – Obiecałeś, że będzie zdrowa.



– Nie, książę, nic takiego nie obiecywałem.

Al-Hakim nadal wpatrywał się w niego przymrużonymi oczami.

– Ona będzie zdrowa – wyszeptał.

Odwrócił się do siostry i obejmując ją gestem pełnym rozpacz, pocałował ją w usta. Wówczas zaczęła krzyczeć, bić brata i odpychać, toteż Harun podszedł, aby przynieść księżniczce ukojenie.

– Muszę jej jeszcze raz dać opiat – powiedział, sięgając do torby.

Oczy kalifa błyszczały.

– Czy to ją uzdrowi? – zapytał.

– Pomoże jej zasnąć. Ona potrzebuje odpoczynku.

Władca przytaknął z roztargnieniem. Jednak w tej samej chwili, gdzieś z miasta, dobiegło nieoczekiwane wycie psów. Kalif natychmiast wezwał gwardzistów.

– Słyszycie te zwierzęta? – wrzasnął. – Słuchajcie! Szczekają i wyją, a moja siostra leży tutaj chora! No? Dlaczego tak stoicie? Czy nie kochacie swojego kalifa? Czy nic was nie obchodzi? Moja siostra potrzebuje odpoczynku!

Gwardziści patrzyli na niego niepewnie. W końcu jeden z nich skłonił się nisko i wszyscy pospiesznie wyszli z pokoju księżniczki. Wkrótce Harun usłyszał z ulicy skomlenia konających psów. Spojrzał z przerażeniem i niedowierzaniem na władcę. Ale sam kalif uśmiechał się, podekscytowany, stojąc na balkonie, przyglądając się rzezi, drżąc z wściekłości i rozkoszy zarazem.

– Tak należy potraktować wszystkich tych, którzy ośmielają się mówić, że moja siostra umrze! – szeptał.

Odwrócił się do Haruna i właśnie wtedy zauważył Hajdę, która siedziała w kącie, skulona ze strachu i zakłopotania. Kalif stał przez chwilę jak skamieniały, po czym podszedł i kucnął obok dziewczynki. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, a kalif poklepał ją po policzku.

– Bardzo ładną masz córkę, bardzo ładną – szepnął i popatrzył na Haruna wzrokiem pełnym jadu. – Ale moja siostra jest ładniejsza, a ty mówisz, że może umrzeć. Czy uważasz, że to sprawiedliwe, Harunie? – Oczy mu błyszczały, a Hajda jeszcze bardziej skuliła się pod ścianą. – Ona umrze – oznajmił kalif, wstając. – Jeśli moja siostra umrze, to umrze i twoja córka!

Spojrzał jeszcze raz na księżniczkę i wybiegł z pokoju. Hajda patrząc za nim, zaczęła łkać; Harun podszedł do dziewczynki i utulił ją w ramionach.

– Nie martw się, kwiatuszku, moja lilijko, nie bój się! – Zsunął z palca pierścień od Lajli i przywiązał go do tasiemki, którą Hajda miała na szyi. – Teraz strzeże cię magia twojej matki; nie musisz się już niczego bać – szepnął córce do ucha.

Ale mimo iż próbował się uśmiechać, żeby uspokoić dziecko, czuł tylko straszliwy smutek i przerażenie na myśl o tym, co go czeka.

Tego samego wieczoru, kiedy Harun ułożył Hajdę do snu, polecił ustawić strażę w pokoju księżniczki. Kazał stanąć wartownikom nie tylko przy drzwiach, ale też przy oknach, chociaż ściana poniżej była tak gładka i stroma, że wydawało się niemożliwe, aby ktoś po niej wszedł. Mimo wszystko Harun nalegał, aby także tam ustawić strażników. Chociaż nie potrafił wyjaśnić, kogo lub czego się obawia, ostrzegł ich, aby ani na chwilę nie ośmielili się zamknąć oczu.

Kiedy już wszystko było gotowe, Harun opuścił pałac. Chwilami, kiedy szedł bez celu po ulicach, oglądał się za siebie, gdzie w mroku rysowała się sylwetka pałacu, i próbował odszukać wzrokiem okno pokoju księżniczki. Lecz bał się pomyśleć, co mógłby tam zobaczyć, jaką postać czy dziwną zjawę przyczajoną na balkonie. Próbując odegnać od siebie takie myśli, starał się skupić wzrok na tym, co znajdowało się dookoła. Ale i na ulicach roztaczał się przerażający widok.

Wszędzie kurz i piasek były przesiąknięte krwią. Wśród śmieci leżały ciała psów, gorące powietrze nocy wypełniał straszny smród. Ulice, zwykle pełne najróżniejszych dźwięków, wydawały się nienaturalnie ciche. Harun uśmiechnął się ponuro: kalif powinien być zadowolony. Lecz nagle, gdy już sądził, że rzeź uciszyła cały Kair, usłyszał ciche kwilenie, a rozejrzawszy się, dostrzegł rannego psa, usiłującego wstać. Zwierzę podniosło się po wielkim wysiłku i, ciągle skomląc, postawiło kilka niepewnych kroków. Pies zbliżył się do sterty porzuconych ciał, zaskomlał jeszcze rozpaczliwiej, po czym zaczął lizać skołtunione futra i Harun zauważył, że martwe ciała były bardzo drobne. Pomyślał, że ranny pies to matka zakatowanych szczeniąt i właśnie wtedy suka zawyla. Harun natychmiast wziął ją na ręce, gdyż obawiał się, że żołnierze mogą kręcić się jeszcze w pobliżu, lecz suka wyla i szarpała się w jego ramionach, wrywając się do zabitych psiaków. Ukrył ją pod płaszczem, a kiedy odchodził, suka po raz kolejny zaskomlała rozpaczliwie. Głaskał ją i szeptał do ucha, a kiedy doszli do domu, prawie spała. Opatrzył jej rany i polecił służbie nakarmić i napoić zwierzę. Zanim jednak opuścił dom, nazwał sukę Izydą, gdyż troszczyła się o swoich najdroższych, nawet kiedy już nie żyli.

Wrócił do pałacu tuż przed świtem i natychmiast udał się tam, gdzie zostawił pograżoną we śnie Hajdę. Leżała z zamkniętymi oczami i wyrazem niezmaconego spokoju na twarzy, a kiedy Harun pochylił się nad dziewczynką, upewnił się, że cały czas ma na szyi pierścień. Pocałował córkę bardzo delikatnie w czoło i zapragnął wziąć w ramiona i utulić, obawiał się bowiem, że może nigdy więcej nie mieć okazji tego zrobić. Powstrzymał się jednak i pozwolił jej dalej spać; poszedł do pokoju księżniczki Sitt al-Muluk, modląc się, aby i dla niej ta noc okazała się spokojna. Jednak w miarę jak zbliżał się do pokoju, coraz wyraźniej słyszał jęki nieszczęsnej; natychmiast domyślił się, że tej nocy wydarzyło się coś potwornego.

Okazało się, że miał rację. Wokół posłania księżniczki leżeli martwi żołnierze, z oczami wytrzeszczonymi w wyrazie nieludzkiego przerażenia; mieli poderżnięte gardła, tak głęboko,

że ich głowy były niemal oddzielone od ciał. Księżniczka żyła jeszcze, lecz krzyczała przeraźliwie z zamkniętymi oczami; Harun potrząsnął Sitt al-Muluk, ale nie udało mu się jej obudzić. Wydawała się znacznie bledsza i bardziej wychudzona, a na piersi pojawiła się trzecia krwawiąca rana. Jednak ten, kto tę ranę zadał, nie pozostawił po sobie śladu.

Przez cały dzień Harun walczył o życie księżniczki. W końcu, pod wieczór, zaczął mieć nadzieję, że uda mu się zawrócić ją sprzed czarnych bram śmierci, mimo iż nadal była blada i nie obudziła się z koszmarne snu.

– Nie mogę zrobić nic więcej – powiedział kalifowi, który przez cały dzień chodził za nim po pokoju. – A jeśli idzie o to, co może się zdarzyć w ciemnościach nocy... – Wzruszył ramionami i potrząsnął głową. – Tylko Bóg jest wszechwidzący i wielki.

– Musisz więc mieć nadzieję, że wysłucha twoich modlitw, jeśli chcesz, żeby Hajda przeżyła – odparł szorstko kalif.

Odwrócił się i zostawił Haruna samego z księżniczką. Mędrzec wyjrzał przez okno i zobaczył, że słońce właśnie skrywa się za zachodnim horyzontem i od wschodu nadciąga mrok.

Nie kazał już jednak żołnierzom pełnić warty, lecz został sam z Sitt al-Muluk. Siedział przy jej pośłaniu, lecz niekiedy wstawał i wychodził na balkon, aby popatrzeć na rozciągający się w dole labirynt ulic Kairu. Wyobrażał sobie, że potrafi zajrzeć w serce każdej ludzkiej istoty i przeniknąć tajemnice wszystkich wąskich uliczek; ale nawet gdy tak myślał, wiedział doskonale, że to tylko złudzenie. A kiedy spojrzał w górę, widział migocące srebrzyście gwiazdy. I przyszło mu nagle do głowy, że w pewnej chwili może ujrzeć na tle księżycy dziwny cień niesiony wiatrem; poczuł dreszcz przerażenia.

Godziny jednak mijały i nic się nie działo; powoli ciemność zaczynała rzednąć. Z pierwszym brzaskiem wzbił się w niebo wysoki śpiew muezzina, potem następny i jeszcze jeden. Minaret odpowiadał minaretowi. Harun odwrócił się na wschód i pochylił w modlitwie. Właśnie wtedy usłyszał za sobą ciche kroki, a odwróciwszy się, zauważył złocisty odbłask nad pośłaniem księżniczki.

– Lajla? – Nikt nie odpowiedział. – Harun zerwał się na równe nogi. – Lajla?

Postąpił krok do przodu. Blask stał się wyraźniejszy. Teraz już widział otoczoną złocistą poświatą twarz Lajli, jej kruczoczarne włosy i rubinowe usta, rozchylone w uśmiechu.

– Mój najdroższy – szepnęła. – Czyż nie kochasz mnie bardziej niż cały świat?

Harun patrzył na żonę w milczeniu. Wstała powoli, piękna urodą jadowitego węża, a wtedy zdał sobie sprawę, że jej twarz jest obliczem posągu z Lilatt-ah. Próbował się cofnąć, lecz był jak sparaliżowany.

– Na Boga – szepnął. – Czym piekielnym jesteś?

– Mój mężu – uśmiechnęła się słodko – czy naprawdę nie kochasz mnie bardziej niż cały świat?

– Bardziej niż cały świat – odpowiedział. – Z wyjątkiem jednej, jedynej rzeczy.

– Jakiej? – zapytała cicho.

– Naszej córki, Lajlo. Naszego dziecka!

Zamarła i uśmiech zniknął z jej warg.

– Tak samo było kiedyś, dawno temu – powiedziała ledwie słyszalnym głosem. – Tylko jednego człowieka, Harunie, kochałam przed tobą. I on też zdradził mnie tak jak ty.

Oczy kobiety przygasły i Harun zobaczył w nich, ku swojemu zaskoczeniu, samotność, zimną jak otchłań. Lajla uśmiechnęła się raz jeszcze. Tym razem na jej twarzy malował się żal połączony z pogardą.

– Dokonałeś wyboru – rzekła cicho. – Musisz więc zapłacić. Żegnaj, mój mężu. Żegnaj na zawsze.

Poczuł jeszcze muśnięcie jej ust na wargach i wszystko ogarnął mrok.

Al-Hakim, przybywszy wcześniej rano do pokoju siostry, znalazł ją pogrążoną w spokojnym śnie. Obok księżniczki klęczał Harun i kalif, nie widząc twarzy lekarza przypuszczał, że wszystko jest w porządku i udało się znaleźć lekarstwo. Lecz kiedy Harun odwrócił się ku władcy, Al-Hakim oniemiał na jego widok. Nigdy wcześniej nie widział takiego wyrazu rozpacz – natychmiast rzucił się ku siostrze.

Ukląkł i wziął ją za rękę; lecz Harun, przyglądając mu się, potrząsnął głową ze znużeniem.

– Nie uda ci się obudzić księżniczki, o książę, zapadła w sen, z którego nie można jej obudzić.

Oblicze kalifa pociemniało z gniewu.

– Nie rozumiem? Co to znaczy?

– Jest ofiarą klątwy najpotężniejszej džinniji.

– Nie umiesz odwrócić tej klątwy?

– Mówiłem już wcześniej, Przywódco Wiernych, nie znam się na magii.

Kalif uśmiechnął się zimno.

– Ale powiedziałaś mi też, że wiesz, jak można taką wiedzę osiągnąć.

Harun potrząsnął głową.

– Nie ma na to czasu, książę. – Wstał. – Natychmiast muszę stąd odejść.

– Nie opuścisz pałacu, dopóki nie podasz mi powodu.

– Jest coś, co muszę pochwycić.

Kalif ponownie uśmiechnął się zimno.

– Ale też jest coś jeszcze, co musisz znaleźć.

Harun zamarł w bezruchu.

– Co masz na myśli?

– Jakże? – Kalif uśmiechnął się szeroko. – Tajemne imię Boga.

Mędrzec przymrużył oczy, lecz nie odpowiedział.

– Jeśli poznam to imię... – rzekł kalif z przejęciem – jeśli wypowiem jego sylaby, to czyż moc owej dzinniji nie będzie należała do mnie?

Harun milczał przez dłuższą chwilę.

– Wiesz, ksiązę, że odkrycie tego sekretu byłoby śmiertelnie niebezpiecznym bluźnierstwem – szepnął w końcu.

– Mimo to, rozkazuję ci je znaleźć.

– A jeśli odmówię?

– Nie odmówisz mi, Harunie al-Wakilu. – Kalif mocniej ścisnął rękę księżniczki i zaczął ją gorączkowo całować. – Bowiem tak jak ja kocham swoją siostrę, tak ty kochasz swoje dziecko. – Zaśmiał się. – Zresztą nieważne; widziałeś przecież pale przy bramach pałacu.

Harun milczał. W końcu westchnął głęboko i podszedł do balkonu.

– Musisz mi przysiąc – powiedział cicho – na wszystko, co najświętsze, że mojej córce nic się nie stanie, dopóki nie wrócę.

– Przysięgam, pod warunkiem, że ty przysięgniesz teraz na życie swojej córki, że spróbujesz wszelkich sposobów, absolutnie wszelkich, aby odwrócić klątwę i uchronić moją siostrę od śmierci – rzekł kalif.

– Nie wiesz, o co prosisz – odezwał się po chwili Harun. – Czy naprawdę jesteś przygotowany na wszystkie przerażające rzeczy, jakie mogą odkryć? Tajemnice pogrzebane od tysięcy lat?

– Czegóż nie zrobiłbym, żeby zdobyć moc starożytnych dzinnów. – Kalif podszedł do Haruna i chwycił go za ramię. Potem wyciągnął rękę ku północnej bramie miasta, gdzie w niebo strzelały dwa minarety. – Meczet, który przyrzekłem zbudować, jest gotowy – szepnął. – A jednak niezupełnie, bo został tam kamień gładki, nie pokryty ozdobami. Czeka, aby wypisać na nim tajemne imię Boga. Wróć z tym sekretem! Wróć szybko! A wówczas, mój przyjacielu... – kalif przerwał i uśmiechnął się – posiadam wiedzę o wszystkich rzeczach i wszystkich tajemnicach. Ha! – zaśmiał się. – Sam stanę się bogiem!

Cień bólu i złych przeczuc przemknął przez twarz Haruna, ale mędrzec skłonił się, przyjmując warunki, po czym bez słowa wyszedł z pokoju. Kalif nasłuchiwał echa oddalających się kroków, a później odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na miasto, na minarety niedawno ukończonego meczetu.

– Już niedługo – powiedział szeptem i podszedł do siostry. Chwycił ją w ramiona i obsypał pocałunkami. Księżniczka nie obudziła się. Al-Hakim zadrżał i pocałował Sitt al-Muluk ponownie.

– Wszystko będzie dobrze.

Jeszcze tego samego dnia kalif wyjechał z pałacu i udał się w stronę Bab al-Futuh. Wkroczył na marmurowy dziedziniec meczetu. Ustawił strażników przy drzwiach do dwóch minaretów i zabronił wpuszczać do środka kogokolwiek, oprócz niego samego. Sam wszedł

na schody; zatrzymał się w połowie drogi na szczyt, przy grubych i ciężkich drzwiach, osadzonych w kamiennych blokach bez ozdób. Kalif sięgnął ku najwyższemu z nich i dotknął go, czule gładząc palcami powierzchnię. Właśnie na tym kamieniu pewnego dnia wypisze tajemne imię Boga. Niedługo nadzieje al-Hakima miały się spełnić. Zawsze był ulubieńcem gwiazd i niebios. – Czy temu ulubieńcowi przeznaczone jest zostać bogiem?

Odtąd każdego wieczoru władca jeździł do meczetu i wspinał się po schodach minaretu, a chociaż kamień pozostawał pusty, to rozbudzał marzenia oraz ambicje kalifa. Jak to zwykle bywa, nasiliły się też plotki, mroczne i niespokojne, szeptane ze strachem. Wkrótce cały Kair wydawał się oszalały ze strachu. Mówiono, że w minarecie jest trzymany demon, że meczet został wzniesiony z krwi oraz kości dzieci, i że sam kalif jest nikim innym jak Iblisem. Ludzie opowiadali to wszystko z coraz większą wiarą w swe słowa, a szpiegdy kalifa donosili o tym w swoich raportach. Lecz al-Hakim słysząc te wieści, tylko się uśmiechał i o zmierzchu, codziennie przez cały rok, wyruszał ze swego pałacu do Bab al-Futuh.

Zdarzyło się pewnego wieczoru, kiedy przechodził przez bramę prowadzącą do meczetu, że wyszedł mu na spotkanie roztrzęsiony kapitan straży. Dowódca rzucił się na kolana i ucałował stopy pana.

– O najwyższy i szczęśliwy księżę – wybełkotał. – Jakiś łajdak wszedł do twego minaretu, ponieważ gdy niedawno przybyłem tu, znalazłem żołnierzy uspiomych i nie mogłem ich obudzić.

Lecz ku zaskoczeniu kapitana, kalif tylko się zaśmiał i sięgnął do siodła po ciężką sakiewkę ze złotem.

– Prowadź – rozkazał, rzucając woreczek w ręce dowódcy straży, a później, kiedy zobaczył otwarte drzwi do minaretu, roześmiał się znowu.

Zeskoczył z konia i zażądał pochodni; następnie wbiegł do środka i zaczął wspinać się po schodach.

W połowie drogi, przy ciężkich drzwiach, uniósł pochodnię, by w jej świetle obejrzeć mur. To, co zobaczył, sprawiło, że zadrżał. Na kamieniu nad drzwiami coś wryto, lecz nie było to imię ani nawet żadne słowo, lecz wizerunek słonecznego dysku, a pod nim dwie klęczące postacie. Kalif cofnął się, zaskoczony.

– Co to za bluźnierstwo?! – krzyknął głośno. I nagle odwrócił się, gdyż usłyszał w ciemności drwiący śmiech. Wpatrując się w mrok, dojrzał zarys twarzy.

– Harun al-Wakil? – Kalif głośno przełknął ślinę. – Harun al-Wakil?! – krzyknął, próbując ukryć ogarniające go przerażenie. – Harunie, czy to naprawdę ty?

Postać podchodziła bliżej, wspinając się po schodach; wówczas potwierdziły się przypuszczenia al-Hakima. Harun stanął przed władcą i uśmiechnął się, po czym powoli skłonił głowę.

– Jak widzisz, Przywódco Wiernych, wróciłem.

Kalif przyjrzał się Harunowi uważnie. Wyglądał on na bardzo zmęczonego, był nie tylko blady, lecz także wychudzony; miał zapadnięte policzki, a jego zniszczone szaty pokrywał kurz. U jego boku stał pies i Harun, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, pochylił się i położył rękę na głowie zwierzęcia. A wtedy twarz władcy wygładziła się i złagodniała. Ale potem znowu spojrzął w górę i kalif zdziwił się niezmiernie, gdyż zobaczył w oczach Haruna dziwny żar, który wydawał się wskazywać na zupełnie niezwykle przeżycia i doświadczenia. Kalif odwrócił się i ponownie popatrzył na wyrzeźbiony wizerunek słońca.

– Wróciłeś, mam nadzieję, osiągnąwszy cel swoich poszukiwań?

Harun uśmiechnął się, milcząc, i opuścił głowę.

– Co znaczy to słońce z promieniami? – kalif wyciągnął rękę w stronę drzwi.

– Będziesz zdumiony, o książę, kiedy wyjawię ci tajemnice, które poznałem.

– Gorąco pragnę o nich usłyszeć.

– Zatem wróć jutro, o książę, do tej wieży, gdyż teraz jestem zbyt zmęczony tym, co przeżyłem. Jednak zanim odejdziesz, powiedz, jak się ma moja córka? – Chwycił za skraj szaty kalifa, a przez twarz przemknął mu wyraz dziwnej niecierpliwości. – Powiedz mi, proszę, o potężny książę, czy żyje i jest zdrowa?

– Była strzeżona, tak jak się umówiliśmy, z największą troską. – Al-Hakim zmarszczył brwi. – Ale z pewnością wrócisz ze mną do pałacu?

– Nie. – Harun otworzył drzwi. – Zostanę teraz tutaj.

– Dlaczego – zapytał podejrzliwie kalif. – Po co?

– Spać. Muszę spać.

– A moja siostra?

– Twoja siostra?

– Czy wyzdrowieje? Czy wróci do życia?

Na twarzy Haruna pojawił się słaby uśmiech.

– O tak – szepnął. – Tak jak obiecałem, będzie żyła. – Odwrócił się. – Dobranoc, książę.

Przeszedł przez drzwi i zniknął w ciemnościach minaretu, a pies poszedł za nim. Zdumiony kalif stał przez dłuższą chwilę, rozmyślając, po czym opuścił meczet i wrócił do pałacu. Natychmiast pobiegł do księżniczki Sitt al-Muluk, która od wielu długich miesięcy spała zaklętym snem. Kiedy jednak dotarł na miejsce, odkrył, że siostry już tam nie ma, a nikt nie widział, żeby wstawała i wychodziła. Kalif jednak nie zmartwił się tym, wiedział bowiem, że jest to zasługa nowej magii Haruna, dowód mocy tajemnego imienia Boga. Wezwał więc Masuda i rozkazał, aby następnego dnia w każdym meczecie we wszystkich dzielnicach Kairu z minaretów została wyśpiewana nowa modlitwa, głosząca boskość kalifa al-Hakima. I uczyniono, jak rozkazał; a wierni słuchali ze grozą i niedowierzaniem.

Przez cały dzień szmer przerażenia rósł jak morska fala. Lecz kalif śmiał się tylko, kiedy to słyszał, i rozkazał swoim żołnierzom uciszyć buntowników. Tego wieczoru, kiedy władca jechał do meczetu przy północnej bramie, cały Kair był jasno oświetlony przez płomień, a

zgiełk walki wzbił się wysoko w niebiosa; lecz al-Hakim wiedział, że teraz nie ma się już czego bać.

– Wszystko będzie wyjaśnione – powiedział sam do siebie, zsiadając z konia i wstępując na schody minaretu. – Poznam tajemnice wszechrzeczy. – Wbiegł po schodach, niecierpliwy i spragniony wiedzy.

Znalazł Haruna w niewielkim kwadratowym pomieszczeniu na szczycie minaretu. Mędrzec spoglądał przez okno na dalekie pożary, poklepując rozciągniętego u jego stóp psa.

– Powiedz mi, Harunie – zażądał kalif – jak brzmi tajemne imię Boga. Gdyż obiecałeś mi powiedzieć, a teraz przyszedł na to czas.

Cień czegoś niezemskiego przemknął po bladej, wynędzniałej twarzy Haruna.

– Muszę ci najpierw opowiedzieć, jak poznałem ten sekret, gdyż inaczej, o książę, nie mógłbyś zrozumieć, jaka naprawdę jest jego moc.

– Mów zatem, gdyż nie mogę już dłużej znieść oczekiwania.

– Ta opowieść oszołomi cię niezwykłością. Ale wszystko, co rzeknę, zostało zapisane wiele wieków temu, gdyż niczego, co zapisze ręka przeznaczenia, nie da się uniknąć. Drogi tego świata są nieskończone i dziwne, a przeszłość i przyszłość może łączyć jeden los.

– Powiedz mi, co masz na myśli – wykrzyknął kalif. – Gdyż płonę z niecierpliwości, aby usłyszeć twoją opowieść!

– Z największą przyjemnością, o potężny książę. Słuchaj więc, a usłyszysz dokładną relację o tym, co robiłem, co widziałem i czego się nauczyłem.

## OPOWIEŚĆ HARUNA AL-WAKILA

Kiedy cię opuściłem, tego ranka, gdy na księżniczkę została rzucona klątwa, odszukałem mojego dawnego towarzysza, chrześcijańskiego kupca, który szczęśliwym przypadkiem właśnie przybył do Kairu. Był to ten sam mężczyzna, który wiele lat temu podarował mi niewolnicę, a wcześniej znalazł ją w ruinach wielkiej świątyni. Uznałem, że muszę uzyskać informację o świątyni i o tym, jakie sekrety jeszcze skrywa, toteż postanowiłem ją odwiedzić najszybciej, jak to będzie możliwe. Wiedziałem, że kupiec okaże się doskonałym przewodnikiem, ponieważ podróżował tam często i poznał obyczaje starożytnych. Początkowo, co prawda, nie chciał ze mną jechać, gdyż, jak powiedział, Teby mają opinię miejsca nawiedzanego przez ghule i różne stwory zrodzone na pustyni. Był jednak człowiekiem spragnionym przygód i udało mi się go namówić bez większego trudu. Poza tym towarzyszyła mi tylko Izyda, moja suka, która nie dała się pozostawić i zawsze biegła za mną, gdy chciałem odjechać.



Podróżowaliśmy, o książę, przez wiele dni wzdłuż Nilu i widziałem liczne cuda wzniesione przez pogan w zamierzchłych czasach. Lecz zawsze, kiedy wyrażałem zachwyt, kupiec uśmiechał się, potrząsał głową i mówił, abym poczekał, aż ujrzę Teby. Opisywał mi wspaniałości tego zrujnowanego miejsca w słowach tak niezwykłych, że odnosiłem wrażenie, jakby miasto wzniesli giganci, a nie śmiertelnicy. Równocześnie jednak ostrzegał mnie, iż miejsce to opanowały ciemności, że z grobowców dawnych królów powstały demony, *udar*, z wydzielin których rodzą się larwy i robaki. Oczywiście pamiętałem, że kupiec jest Grekiem, a doskonale wiadomo, że Grecy to kłamcy. Mimo wszystko, w miarę jak zapuszczaliśmy się coraz dalej w górę rzeki, widziałem, że osady stają się rzadsze i mniejsze, a niektóre z wiosek wyglądały na zupełnie opuszczone. Kanały nawadniające były zamulone i zarosnięte zielskiem, a zamiast pól, rozciągały się piaski pustyni.

Moje serce opanował smutek i właśnie wtedy kupiec wyciągnął rękę i wykrzyknął: Teby! Spojrzałem w stronę horyzontu i zobaczyłem coś, co wyglądało jak ogromne drzewa, wyrastające z wydm i tworzące prawdziwy kamienny las. Kiedy podjechaliśmy bliżej, uświadomiłem sobie, że drzewa te są w istocie kolumnami oszałamiającej grubości, ozdobionymi przedziwnymi rzeźbionymi wizerunkami talizmanowi i demonów; symbolami magicznymi, których żaden żywy człowiek nie umiałby przeczytać. Gdy znalazłem się w cieniu tej monstrualnej świątyni, nie miałem wątpliwości, że dotarłem do celu, ponieważ nie potrafiłem sobie wyobrazić, w jaki inny sposób, oprócz czarów, mogło zostać wzniesione coś takiego. Większa część świątyni była pogrzebana w piaskach, ale i tak to, co piętrzyło się nad wydmami, było niezwykle, nawet kamienne bloki były większe od konia. Zobaczyłem, że przy jednej z kolumn zbudowano meczet. Zsiadłem z wierzchowca, pragnąc oddać się modlitwie. Lecz meczet od dawna stał opuszczony i jego mury już się rozpadały; wyglądał, skryty w cieniu ogromnych ruin, jak morski ptak siedzący na grzbiecie potężnego wieloryba.

Chciałem zapuścić się dalej, w mroki tego miejsca, gdyż intrygowało mnie, co może się w nim kryć, jakie tajemnice i ślady magii starożytnych kapłanów. Lecz słońce zaczynało się już chować za wzgórzami na zachodzie i kupiec stawał się coraz bardziej niespokojny.

– Musimy dotrzeć do wioski rabusiów grobów, gdyż nie jest bezpiecznie zostawać tu po zmroku – rzekł, marszcząc brwi.

Mówiąc to popędził konia i pogalopował ku linii pól za świątynią; tam miał nadzieję znaleźć kogoś, kto przewiozłby nas na drugą stronę Nilu. Bardzo się jednak rozczarowaliśmy, gdyż rzekome pola okazały się cuchnącym bagnem. Po opadach zaś, które niegdyś stały na wschodnim brzegu, zostały tylko puste skorupy domów.

– Gdzieś tu musi być łódź – mruknął kupiec. – Ten odcinek rzeki zawsze tętnił życiem.

Ale chociaż jeździliśmy tam i z powrotem, nie udało nam się nic znaleźć. Tymczasem niebo na zachodzie stawało się coraz czerwieńsze.

W końcu, gdy obaj byliśmy już bliscy rozpacz, Izyda zaczęła się niepokoić i szczekać. Wyglądała, jakby bała się czegoś ukrytego w trzcinach, gdyż krążyła wokół nich i warczała, a

kiedy zsiadłem z konia, przylgnęła do mego boku. Rozgarnąwszy sitowie, zobaczyłem małą łódź, kołyszącą się w zamulonej zatoczce. Zawołałem kupca, aby powiedzieć mu o odkryciu, po czym rozebrałem się, żeby przyciągnąć łódkę. Izyda płynęła obok mnie, szczekając cały czas i węsząc coś w powietrzu. Również ja, kiedy zbliżyłem się do łodzi, poczułem obrzydliwy, słodkawy smród. Wtedy zauważyłem, że z łodzi zwisa ręka ściskająca rękojeść miecza. W środku zaś znalazłem – niech pokój i błogosławieństwo zawsze będą z nim! – martwe ciało młodego chłopca z wytrzeszczonymi oczami!

Kupiec dołączył do mnie i spojrzał na trupa z żalem i niesmakiem.

– Niech Chrystus okaże miłosierdzie jego duszy! – wykrzyknął. – Tak samo było przedtem, kiedy pokazano mi ciało ofiary *udar*.

Chrześcijanin uniósł tunikę nieszczęśnika i wtedy zobaczyłem, że jego brzuch jest spuchnięty i zakrwawiony. Kupiec uderzył w niego swoją laską, jak ktoś, kto sprawdza, czy melon dojrzał, a wówczas napięta skóra pękła i ze środka wylała się cuchnąca masa robaków.

– Boże drogi, Boże drogi! – powtarzał Grek, patrząc na robaki kłębiące się u jego stóp. – Teraz widzisz, przyjacielu, wcale nie przesadzałem mówiąc, że to miejsce jest cudowne i przerażające zarazem. – Pochylił się i delikatnie wyjął miecz z ręki chłopca. – Najlepiej będzie, jak sądzę, żebyś ty go wziął – mruknął, podając mi broń.

– Ale złożyłem wielką przysięgę – odparłem – że nigdy więcej nie przeleję ludzkiej krwi.

Kupiec zaśmiał się, lecz był to straszliwy śmiech.

– A zatem wszystko w porządku – odpowiedział. – Czy sądzisz, że nasi wrogowie mogą być ludźmi?

Patrzyłem jeszcze przez chwilę na ciało chłopca, po czym skinąłem głową i wsunąłem miecz za pas. Wspólnie zrzuciliśmy robaki do wód Nilu, a następnie zabraliśmy ciało chłopca z łodzi na brzeg, gdzie wykopaliśmy grób, nad którym usypaliśmy stos kamieni. Następnie, upewniwszy się, że nasze konie są bezpieczne, wróciliśmy do łodzi i przepłynęliśmy na drugą stronę Nilu. Kiedy dobijaliśmy do zachodniego brzegu, postanowiłem wyjąć miecz, a gdy wspinaliśmy się po pochyłym nabrzeżu, Izyda zrobiła się niespokojna i stanęła jak strzała w napiętym łuku. W tej samej chwili z ciemności przed nami dobiegł krzyk, potem jakiś zduszony odgłos i znowu krzyk. Izyda rzuciła się naprzód, a ja pobiegłem za nią najszybciej, jak umiałem, pełnym głosem wznosząc modlitwę do Najwyższego, bez którego nie istnieje szczęście ani nadzieja. Zobaczyłem przed sobą trzy dziwne postacie przy zrujnowanym murze, otaczające starego człowieka. Starzec trzymał płonąca gałąź i nagle machnął nią przed sobą, rozsiewając w ciemności jasne iskry. Przez chwilę dwóch jego wrogów znalazło się w świetle i mogłem zauważyć, że mają straszliwie cienkie kończyny, jak owady skaczące po wodzie, za to czaszki niebywale duże i nabrzmiałe. Potem jednak światło przygasło i znowu widziałem tylko cienie postaci. Podpełzły naprzód i zaczęły wydzierać pochodnię z rąk starca. Wówczas Izyda rzuciła się na te przerażające istoty, a ja ruszyłem za psem, wymachując mieczem. Udało mi się zabić dwa ghule, a trzeci zniknął w ciemnościach. Chciałem za nim

pobiec, ale wtedy usłyszałem, że te, które powaliłem, wstają, chociaż wydawało się, iż zadałem im śmiertelne rany. Przypomniałem sobie jednak miasto Lilatt-ah i walkę z demonami. Ghule przede mną ledwo były widoczne w mroku; ale kiedy pierwszy mnie zaatakował, starałem się trafić w serce. Zachwiał się i upadł, jakby jego obie nogi nagle się załamały; i zobaczyłem, jak drugi natychmiast gdzieś przepadł.

Odwróciłem się do starca i zabrałem mu pochodnię.

– Nie dasz rady ich zabić! – krzyknął. – Nikomu się to nie uda.

Pokręciłem głową.

– Z pomocą Boga wszystko jest możliwe – odpowiedziałem.

Przyłożyłem koniec miecza do piersi ghula, a kiedy poczułem, jak ostrze wbija się w serce, demon jęknął, skrzywił się z bólu, po czym wszystko ucichło.

Ukląknąłem obok potwora, aby mu się przyjrzeć. Przetarłem oczy i odmówiłem modlitwę, gdyż nigdy wcześniej nie widziałem czegoś, co wzbudziłoby we mnie taki lęk. Istota pozornie przypominała śmiertelnego człowieka, lecz to właśnie podobieństwo do postaci, jaką Bóg dał Adamowi – niech spokój będzie z nim! – sprawia, że *udary* są tak potworne. Ciało zabitego, podobnie jak kończyny, było bardzo wychudzone, chociaż uda i brzuch wyglądały na dziwnie napuchnięte; oczy miał skośne, a tył czaszki mocno wysklepiony jak kopuła meczetu, rozszerzający się od skurczonej, wąskiej twarzy. Tak może wyglądać niewierny, pomyślałem, pozbawiony po śmierci miłości Boga. Spojrzałem na starego człowieka.

– Z jakich mroków powstały te piekielne demony? – zapytałem.

– To bardzo dziwna historia – odparł staruszek, rozglądając się nerwowo dookoła. – Najpierw jednak powinniśmy bezpiecznie dotrzeć do mojej wsi, sam bowiem widziałeś, że ciemności są niebezpieczne.

Mimo wszystko nie ruszył się z miejsca i widziałem rozpacz na jego twarzy.

W tej chwili chrześcijański kupiec wysunął się krok do przodu.

– O czym więc myślałeś, wójcie, że o tak późnej godzinie znalazłeś się poza domem?

Na widok kupca twarz starca rozpromieniła się na moment. Mężczyzna serdecznie przywitał Greka, lecz po chwili pojawił się na niej wyraz rozpacz.

– Szukałem mojego syna, którego już od trzech nocy nie ma w domu – wyjaśnił. – Jak mogę siedzieć spokojnie w domu, nie wiedząc, co się dzieje z moim biednym chłopcem?

Kupiec spojrzał na mnie. Podszedł do starca i wziął go za rękę.

– Jest w ziemi, wójcie, odpoczywa wiecznym snem.

Opowiedział, jak znaleźliśmy ciało młodzieńca i jak je pochowaliśmy, usypując stertę kamieni nad jego głową. Próbował pocieszyć wójta najlepiej jak umiał. Ocierając łzy, starzec zwrócił się do mnie:

– Wygląda więc na to, drogi gościu, że mam wobec ciebie wielki dług. Pójdźcie za mną do mojego domu, gdzie opowiem wam, jak to się stało, że zakłócono spokój *udar*. Potem,

jeśli wpadniesz na pomysł, jak ich zniszczyć, wysłucham cię z wielką uwagą, gdyż przepuszczam, że twoja mądrość dorównuje biegłości we władaniu mieczem.

Skłoniłem się, dziękując za uprzejme zaproszenie, i w trójkę poszliśmy czym prędzej przez ciemności ku światłom wioski. Za nami biegła Izyda.

W tym miejscu Harun zauważył, że nadszedł świt, i zamilkł.

– Dlaczego nie opowiadasz dalej? – zapytał kalif.

– O Przywódcu Wiernych – odpowiedział Harun – jestem jeszcze zmęczony po mych przygodach i chciałbym, za twoim pozwoleniem, spędzić dzień na odpoczynku. Jeśli zechcesz wrócić tu jutro wieczorem, dokończę opowieść i dowiesz się, co przydarzyło mi się w wiosce rabusiów grobów.

I tak kalif opuścił meczet. Wrócił dopiero następnego wieczoru. Wówczas usiadł obok Haruna i polecił mu dokończyć opowieść. I Harun powiedział:

Dotarliśmy do domu wójta. Budowla, jak na tę biedną wioskę, była wspaniała. Zostaliśmy nakarmieni i napojeni, po czym starzec opowiedział nam, jak doszło do zakłócenia spokoju *udar*.

– Trzeba ci wiedzieć – zwrócił się do mnie – że my, mieszkańcy tej wioski, zawsze poszukiwaliśmy skarbów zakopanych tutaj dookoła. Poganie bowiem, wierząc w głupie zabobony, chowali głęboko w ziemi srebro, rubiny i złoto, cudowne perły i posążki bogów wykonane ze szlachetnych metali. Ze skarbów tych dzisiaj pozostało już niewiele, gdyż my jesteśmy tylko jednym z wielu pokoleń, a każde z nich szukało ukrytych grobowców. Jednak, mimo to, nadal można znaleźć skarby, zwłaszcza w dolinie, która leży za wzgórzami. Ze wszystkich poszukiwaczy bogactw najsłynniejszym, najbardziej nieomylnym w znajdowaniu ukrytych grobowców był mój własny pradziad, Muhammad Girigar.

Oto są dzieje jego najwspanialszego znaleziska. Pewnego dnia przeszukiwał wąwozy w dolinie, gdy odkrył, tuż pod swoimi stopami, niewielki wzgórek. Wzbudziło to w odkrywcy wielkie podniecenie, gdyż takie wzgórczki zawsze wskazują miejsce, gdzie pod ziemią jest grób. Jeszcze tej samej nocy potajemnie wrócił w to miejsce, zabierając ze sobą tylko najbardziej zaufanych pomocników. Zabrali się do pracy i wkrótce znaleźli klejnot ozdobiony wizerunkiem potężnej dzinniji, jednej z tych, którym poganie oddawali boską cześć. Jeśli chcesz wiedzieć, jak wyglądała, proszę – wójt sięgnął w fałdy szaty – możesz obejrzeć, gdyż przechowujemy ten klejnot w naszej rodzinie na pamiątkę tamtej nocy. – Podał mi go. Był bardzo mały, ale osadzony w złocie i pięknie uformowany. – Widzisz, że dzinnija ma ciało drapieżnego lwa i głowę kobiety.

– Podobny potwór – odpowiedziałem mu – chociaż z głową mężczyzny, czuwa przy piramidach.

Wójt przytaknął.

– Rozumiesz więc podniecenie mego pradziada, który wiedział, że wizerunek takiego stworzenia może świadczyć tylko o istnieniu ukrytych skarbów.

Kazał swoim robotnikom kopać szybciej i wkrótce odkryli drugie dziwo, starożytne ciało z wyrazem wielkiego przerażenia zamarym na twarzy i straszliwą raną na gardle. To sprawiło, że robotnicy Muhammada zaczęli szemrać i zagrozili, że porzucą motyki. Mówili bowiem, że taka rzecz z pewnością jest dziełem czarów. Muhammad jednak kazał zakopać trupa i dał każdemu robotnikowi po dodatkowym kawałku złota, co wystarczyło aż nadto, by pokonać ich obawy. W końcu, tuż przed świtem, ukazało się wejście do grobowca. Kiedy pradziad przyjrzał mu się, głośno podziękował Bogu, gdyż zobaczył, że pieczęcie na murze pozostały nie naruszone. Wiedział już, że za nimi znajduje się bogactwo przekraczające wszelkie wyobrażenia.

Tak też było istotnie, kiedy bowiem rozbito mur zamykający wejście i kiedy Muhammad przecisnął się korytarzem wypełnionym gruzem, usłyszał, że kamienie przed nim wpadają w pustą przestrzeń. Zażądał pochodni. W świetle ujrzał blask złota. Lecz gdy skoczył w ciemność, niemal udusił się od ogromnej ilości kurzu unoszącego się w powietrzu i ohydneho zaduchu. Muhammad, chociaż miał wielkie doświadczenie w przeszukiwaniu grobowców, zdrzął i chciał uciekać, gdyż nigdy wcześniej nie czuł tak paskudnego i dziwnego smrodu. Pomyślał jednak o blasku złota i postanowił zostać we wnętrzu grobowca. Uniósł w górę pochodnię.

Zamarł z zachwytu i przerażenia. Wszędzie znajdowały się skarby – spiętrzone po sam sufit, niknące w mrokach komory – tak piękne i wspaniałe, że nie sposób ich opisać. Lecz nie tylko widok tego bogactwa sparaliżował Muhammada; bardziej jeszcze przerażyła go obecność trupa króla siedzącego na złotym tronie i ściskającego berło w wysuszonej ręce. Tak przynajmniej sądził Muhammad, chociaż postać ta bardziej przypominała demona niż człowieka. Miała na sobie szatę ozdobioną złotem oraz drogimi kamieniami. Ciało było niewidoczne, ale przybrana w koronę czaszka miała dziwny kształt i całość wyglądała jak zjawa. Muhammad ruszył naprzód, aby przyjrzeć się trupowi dokładniej, i gdy już wyciągał rękę, by dotknąć klejnotów na szacie, oczy martwego króla nagle się otworzyły. Muhammad zamierzał uciec, ale nie mógł się ruszyć, przykuty spojrzeniem przymrużonych oczu o kształcie migdałów. Mijały długie minuty; w końcu powoli, jakby z wysiłkiem, król wypowiedział kilka słów w dziwnym, nieznanym języku. Muhammad jednak nie umiał mu odpowiedzieć, twarz króla pociemniała i faraon uniósł berło pełnym bólu ruchem. Dotknął czoła Muhammada końcem berła i w tej samej chwili mój pradziad zemdlął ze strachu.

Kiedy odzyskał przytomność, był sam. Wyczołgał się korytarzem i odkrył, że również w dolinie nie ma nikogo. Jego ludzie pomyśleli, że ich pan zginął, skoro nie wyszedł z grobu, więc uciekli. Nie widzieli króla wyglądającego jak zjawa, więc Muhammad postanowił nie opowiadać im o swoich dziwnych przeżyciach. A jednak wydawało się, że grobowiec budzi we wszystkich lęk. Mimo hojnej zapłaty, Muhammadowi niełatwo przyszło namówić

kogokolwiek do wejścia do komory. Ostatecznie jednak, z wielkim trudem, udało mu się ją w końcu opróżnić. Podobno część ozdób pozostała rozrzucona na podłodze, ale aż do dzisiaj nikt nie próbował wydobyć reszty bogactw.

Skoro już z grobowca wydobyto ogromną ilość skarbów, nawet Muhammad nie chciał tam wracać i trzymał się z dala od doliny. Żył wraz ze swoją rodziną z fortuny, którą zesłał mu Najwyższy, zawsze pamiętając o jałmużnie dla ubogich. Ludzie zauważyli jednak jakiś lęk w jego zachowaniu, a pewnej nocy przy ognisku, gdy cienie zaczęły migotać, skulił się trwożliwie, jakby z obawy, że w ciemnościach może się czaić jakiś demon. Dopiero leżąc na łożu śmierci, zdradził sekret odkryty w grobowcu. Ci jednak, którzy go słyszeli, pomyśleli, że starzec oszalał i tylko niewielu uwierzyło w jego opowieść o królu.

Lecz później, kiedy mój pradziad od kilku lat już spoczywał w grobie, dziwne postacie zaczęły się pojawiać w dolinie, zupełnie jakby o zmierzchu wstawały zjawy i błąkały się po cmentarzu pogańskich królów. Ludzie zaczęli szeptać o ghulach, zrodzonych – niech nas Bóg strzeże – z mroków nieczystych praktyk starożytnych. Inni zaś przypomnieli sobie o tym, co podobno widział mój pradziad – o faraonie, nieśmiertelnym o postaci ghula. Byli też tacy, którzy drwili z tych pogłosek i nadal poszukiwali w dolinie nowych grobów. W końcu zdarzyło się, że jeden ze śmiałków nie wrócił. Gdy znaleziono jego ciało, nikt już nie miał żadnej wątpliwości, gdyż ślady *udar* są równie oczywiste, co obrzydliwe. I niech Bóg, którego łaska i miłosierdzie są nieskończone, zmiłuje się nad duszą tego nieszczęśnika i tych wszystkich, których spotkał podobny los.

W tym momencie wójt przerwał opowieść. Zobaczyłem, że na jego powiekach srebrzą się łzy. Wiedziałem, że myśli o swoim zamordowanym synu. Kupiec i ja staraliśmy się pocieszyć starca, a kiedy się już uspokoił, nalegałem, aby opowiadał dalej, gdyż ciekawiło mnie, dlaczego wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa on i jego sąsiedzi nigdy nie pomyśleli o opuszczeniu wioski. Lecz wójt tylko zmarszczył brwi.

– Czy chciałbyś, abyśmy jedli gorzki chleb wygnańców i opuścili ziemię naszych ojców?  
– zapytał.

Mówiąc to, znowu zaczął płakać, szeptać modlitwy i szarpać swoją siwą brodę.

– A jednak musicie odejść, ty i twoje kobiety, i dzieci, gdyż jutro poprowadzę do doliny wszystkich mężczyzn mogących unieść broń i spróbuję pokonać kłatwę *udar* – odparłem.

Wójt spojrzał na mnie z przerażeniem.

– Czy chcesz poruszyć gniazdo os?! – wykrzyknął. – Coś takiego z pewnością sprawi, że mrowie *udar* przybędzie, aby nas zniszczyć!

– Owszem – rzekłem. – Ale tak samo będzie, jeśli zostanieie w wiosce, nie robiąc nic i pozwalając, aby demony zabijały ludzi jednego po drugim. Lepiej umrzeć z mieczem w dłoni, niż znoś podobny los. Nie myśl, wójcie, że jesteśmy skazani na przegraną, Bóg bowiem wszystko widzi i wie najlepiej, co jest ukryte. Pokazałem ci już tej nocy, że ghule można zabić, chociaż ty myślałeś, że to niemożliwe.

Lecz starzec nadal patrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Musisz więc zabić je wszystkie, kiedy słońce będzie na niebie, ponieważ w świetle księżyca z pewnością nas pokonają – powiedział cicho.

– Właśnie dlatego chciałbym, żebyście odeszli z wioski; niedaleko, tylko do świątyni po drugiej stronie rzeki – wyjaśniłem.

– Do świątyni? – Wójt przeraził się jeszcze bardziej.

– Nie wiem, jakie są jej tajemnice, ale na pewno łatwiej bronić się tam niż tutaj – odparłem, ujmując mężczyznę za rękę.

Potem zaprowadziłem go aż na skraj wioski, skąd widać było błyszczące w ciemnościach oczy.

– Czyż nie jest tak, jak ci powiedziałem? – szepnął kupiec. – Krążą wokół nas jak stado wygłodniałych szakali. I czekają...

– Jak długo jednak pozostaną biernie, skoro ich moc i liczba rośnie z każdą chwilą? – zapytałem cicho.

Wójt spojrział na mnie, po czym zawrócił do wioski; idąc, obejrzał się jeszcze ku skrytym w mroku piaszczystym wydmom.

– Niech więc się stanie, jak radzisz – zgodził się w końcu. – Niech Bóg czuwa nad nami i kieruje wszystkim, co uczynimy.

W tym miejscu Harun zauważył, że nadszedł świt i zamilkł.

– Dlaczego nie opowiadasz dalej? – zapytał kalif.

– O Przywódcu Wiernych – odpowiedział Harun – jestem jeszcze zmęczony po przygodach i pragnąłbym, za twoim pozwoleniem, spędzić dzień na odpoczynku. Jeśli zechcesz wrócić tu jutro wieczorem, dokończę opowieść i dowiesz się, co przydarzyło mi się w dolinie *udar*.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun; a następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Skoro tylko na wschodzie pojawiły się promienie świtu, wszystko było przygotowane, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Wójt poprowadził kobiety, dzieci i chorych; przeprawili się przez Nil tam, gdzie stoi wielka świątynia, i zbudowali umocnienia między kolumnami. Ja zaś zabrałem silnych mężczyzn nie nad Nil, lecz w przeciwną stronę, ścieżką, która prowadzi do doliny ghuli.

Aby wejść do tej doliny, o książę, trzeba przejść między potężnymi skalnymi ścianami, masywnymi i ponurymi, przysłoniętymi chmurami białego pyłu. Nic tam nie rośnie, tylko sterty czarnych kamieni przerywają biel skał; wysoko nad wzgórzami żwiru i kamieni piętrzą się strome zbocza, jakby utworzone z gęstego pyłu. Obawiałem się, że właśnie w wąwozie możemy natknąć się na ghule, lecz weszliśmy do doliny spokojnie, za co podziękowałem

Najwyższemu. Rozejrzałem się po tym nawiedzonym miejscu, wypełnionym tylko piaskiem i skałami, bez odrobiny cienia i żadnej ochrony przed słonecznym żarem. Zrobiło mi się ciężko na sercu, gdy pomyślałem o wszystkich cudownych chwilach w życiu. Wiedziałem bowiem, że przybyłem w miejsce, gdzie mieszka sama Śmierć. Lecz wtedy wspomniałem Boga, który jedyny rozumie nasz los, i pomodliłem się, aby uchronił mnie przed cieniem skrzydeł Śmierci.

Jednak nie pozostałem bezczynny: poleciłem wieśniakom natychmiast zabrać się do pracy i wchodzić do otwartych grobowców, gdyż sądziłem, że tam uda nam się zaskoczyć ghule. Okazało się, że miałem rację – w mrokach wielu komór, między stertami trupów piętrzącymi się aż pod sufit, skrywały się *udar*. Gdy przyglądałem się zniekształconym ciałom, ogarnęły mnie wątpliwości, ponieważ pamiętałem, że widziałem coś podobnego już wcześniej – w świątyni Lilatt-ah, w sanktuarium, gdzie stał posąg demona.

Przez dłuższą chwilę zdziwiony stałem nieruchomo i całe szczęście, że towarzyszyli mi inni mężczyźni. Ghule wydawały się oszołomione nagłym pojawieniem się pochodni. Oślepienie blaskiem, wymachiwały kończynami, tak jak ćmy trzepoczą skrzydłami, gdy zanadto zbliżą się do lampy. Zabicie tych stworzeń, osłabionych i zaskoczonych naszym wtargnięciem, nie było trudne – choć doprawdy przerażające. Czern ścian, duszący pył i wysuszone twarze starożytnych zmarłych – poczerniałe pod bandażami, lecz poza tym w dobrym stanie – sprawiły, że nie czuliśmy się pewnie. A w miarę upływu czasu baliśmy się coraz bardziej. Do zmierzchu pozostawało jeszcze wiele godzin, ale widzieliśmy, że *udar* odzyskują siły; rozkazałem więc wieśniakom, mimo iż słońce stało wysoko, opuścić dolinę i przeprowić się na drugą stronę Nilu.

Zostałem z kilkoma najdzielniejszymi ludźmi i wspólnie znaleźliśmy najważniejszy grobowiec – przed zapadnięciem zmroku chciałem zbadać komorę, z której został uwolniony wiecznie żyjący król. Bałem się wejść do tego miejsca najmroczniejszej magii, lecz grobowiec okazał się opuszczony, a na podłodze leżało kilka porzuconych klejnotów, tak jak opowiadał wójt. Znajdowała się tam też trumna ustawiona przy ścianie; w środku spoczywały dobrze zachowane zwłoki owinięte w bandaż. Ciało nie wyglądało na ghula, ale portret na wieku najwyraźniej przedstawiał *udar*. Przez chwilę stałem, rozmyślając nad tą zagadką. Lecz nie było czasu, aby zbyt długo się zastanawiać. Poleciłem więc zniszczyć twarz na wieku trumny i talizmany wyryte na niej w owalnych ramkach, które stanowiły zaklęcia starożytnych czarowników. Komorę do połowy wypełniała konstrukcja przypominająca wielki namiot, lecz wykonana z drewna i pokryta złotem, którą poleciłem rozebrać na części i wykorzystać je do zablokowania wejścia. Potem wyjąłem spod płaszcza talizman znaleziony przez Muhammada Girigara, a подарowany mi przez jego prawnuka. Zakopałem go bardzo głęboko, aby nikt nie mógł się do niego dostać, i kazałem zamurować wejście do grobowca. W ten sposób, o książę wiernych, miałem nadzieję, że pamięć o grobie zaginie po wsze czasy.



Nadal modłę się o to, gdyż wewnątrz są ukryte tajemnice, które nigdy nie powinny zostać naruszone.

Nadchodził zmierzch i na zachodzie nad szczytami gór niebo przybierało dziesiątki odcieni, od różowego po zielony i złoty. Niechętnie postanowiłem wycofać się z doliny. Ale cienie dziwnych istot już zaczynały się gromadzić. Kiedy zaś dotarliśmy do wąwozu prowadzącego do doliny, pojawiły się ich ogromne ilości, wypełzały gromadą, jak mrówki z rozbitej ściany. Ja i wszyscy moi ludzie możliwie najszybciej jechaliśmy konno ścieżką, lecz gdy zobaczyłem przed nami postacie *udar*, o pajęczych kończynach i płonących skośnych oczach, przeląknąłem się, że zbyt długo zabawiliśmy w dolinie.

– Prędeż! – krzyknąłem. – Prędeż, na miłość boską!

Wpadliśmy między *udar*. Czułem ich palce, przerażająco długie i cienkie, dotykające mnie i próbujące ściągnąć z konia. Lecz mój miecz był lśniący, a krawędzie miał ostre jak brzytwa. Wiedziałem, że wszystkie ghule, które powaliłem, wstaną znowu, gdyż żadnemu z demonów nie zadałem rany w serce, ale wtedy chciałem tylko przebić się przez ich szeregi. Gdy w końcu zdołałem tego dokonać i znalazłem się w pokrytym białym kurzem wąwozie, spojrzałem za siebie. Zobaczyłem, że większości moich towarzyszy również udało się przedostać. Horda *udar* otoczyła jednak dwóch z nich. Ich konie wierzgały i rżały ze strachu. Na moich oczach jeden z osaczonych wieśniaków krzyknął, ściągany z siodła, po czym zniknął wśród tłumu wrogów. Usłyszałem przerażający, mlaszczący odgłos, a potem drugi krzyk.

– Ruszajcie! – wrzasnąłem do pozostałych. – Jedźcie nad Nil! – Sam zaś zawróciłem i pogalopowałem w stronę wąwozu.

Było w nim czarno od *udar*, a gdy znalazłem się bliżej, zobaczyłem, że i drugi wieśniak zniknął. W tej samej chwili jednak, jakby zastępy były bezkresnym morzem, gromada ghuli zafalowała. Przestraszyłem się, że ruszą wzdłuż wąwozu. Słońce już kryło się za zachodnimi wzgórzami i powoli zapadał zmrok; lecz kiedy ostatni czerwony promień zaczął blednąć, cała rzesza *udar* jakby zamarła. Szeregi zaczęły się rozstępować, a gdy gasło ostatnie światło dnia, zobaczyłem, że wpatrują się w ciemności, w kogoś... w coś... nadchodzącego z doliny. Nie mogłem nic dostrzec w mroku, lecz nie miałem zamiaru zostawać, żeby sprawdzić, co to takiego. Nie czekałem ani chwili dłużej i czym prędzej ruszyłem ku brzegom Nilu.

Niezwłocznie przeprawiliśmy się na drugą stronę; patrząc w mroki zachodniego brzegu, bałem się myśleć, co może przynieść noc. Wieśniacy wzniesli mur między kolumnami i chyba wierzyli, że będą za nim bezpieczni, ale ja nie mogłem pozbyć się przygnębienia, które opadło mnie w dolinie. Rozkazałem, żeby kawałki drewna, jakie tylko uda się znaleźć, przyniesiono i ułożono przed umocnieniami. Gdy wszystko już było gotowe, wkroczyłem do na wpół zrujnowanego meczetu. Lecz miałem wrażenie, jakby moje modlitwy nie odrywały się od ziemi, jakby Bóg nie chciał – lub nie mógł – ich wysłuchać.

Wstałem w końcu, zatroskany i pełen obaw, i wyszedłem na zewnątrz. Ruszyłem wzdłuż kolumnowych sal świątynnych, a idąc poczułem nagle, że przypominam sobie to miejsce. Rozejrzałem się dookoła i przeszył mnie dreszcz. Chociaż świątynia uległa znacznemu zniszczeniu, rozpoznawałem wygląd sal, ich układ i pozornie bezkresną drogę procesyjną. Nie ulegało wątpliwości, że niegdyś, wiele lat temu, przebywałem w podobnym miejscu.

Zacząłem przedzierać się przez piaski, szukając miejsca, o którym wiedziałem, iż gdzieś na pewno jest, i że gdy skończą się sale kolumnowe, stanę przed niewielkim pomieszczeniem, sanktuarium, gdzie w świątyni w Lilatt-ah stał posąg demona. W końcu dotarłem do celu i z ulgą odkryłem tylko gruz i kamienie. Jednak mimo to mój niepokój narastał. Znowu ukląknęłam, próbując skupić myśli na modlitwie. W tej samej chwili zza piasków pustyni rozległo się wycie szakala. Odniosłem wrażenie, jakby choroba przyćmiła mi umysł, gdyż masywne kamienne mury świątyni zamieniły się w dym.

– To wielki cud! – krzyknąłem sam do siebie. – Niech Bóg mnie chroni!

Przetarłem oczy, a kiedy je znowu otworzyłem, wszystko było jak przedtem, a słabość minęła. Byłem jednak już zupełnie pewien, że świątynia jest przeklęta; wstałem, odszukałem kupca i poprosiłem, aby pokazał mi miejsce, w którym znalazł Lajłę, zgodnie z wizją ujrzaną we śnie. Spojrzał na mnie dziwnie, po czym poprowadził przez wielkie kamienne sale świątyni do pomieszczenia, w którym przed chwilą klęczałem, wspominając posąg z Lilatt-ah.

– Tutaj – powiedział kupiec, wskazując rumowisko kamieni i piasku. – Znalazłem ją tutaj.

Zrozumiałem, że czeka nas śmierć tej nocy, gdyż świątynia wcale nie była bezpiecznym schronieniem, lecz miejscem przerażającym, skrywającym zło. Stojąc tam ciągle z Grekiem, usłyszałem krzyki i wiedziałem, że *udar* przeprowiły się przez Nil. Gdy wracałem do naszych barykad, zauważyłem, że wieśniacy rzucili się do ucieczki. Jedyne, co mogłem zrobić, to nie uciekać; zdawałem sobie bowiem sprawę, że ze wzgórz rozjaśnionych światłem księżyca zbliża się niewidoczne zło – to samo, które wyczuwałem o zmierzchu w wąwozie.

Po przybyciu do barykad przekonałem się, że sprawdziły się moje najgorsze obawy. Przed nami tłoczyły się mroczne szeregi *udar*. Zwróciłem się do wieśniaków i rozkazałem, by wszyscy niezdolni do walki dołączyli do uciekinierów; nieliczni pozostali patrzyli na piekielne istoty zgromadzone przed nami i powierzali swoje dusze opiece Boga. Grupy demonów pełzły po piaskach i nagle znalazły się tuż przy nas; z oczami wściekle płonącymi w ciemnościach wspinały się na mur, my zaś rozpaczliwie staraliśmy się nie dopuścić ich bliżej. Trzymaliśmy się dzielnie, lecz wiedziałem, że nie potrwa to długo; patrząc w dal widziałem czarne gęste tłumy mrocznych postaci, całą armię szykującą się do ataku. Powoli ruszyła naprzód, fala za falą, rozbijając się o nasze miecze; żaden z demonów nie przedarł się przez obronny kordon, toteż miałem nadzieję, że Bóg będzie z nami. Lecz w końcu nastął

moment, którego się obawiałem. Dusza we mnie zamarła; rozległy się krzyki bólu i przerażenia, a na szczycie muru pojawiły się ciemne postacie.

– Ogień! – krzyknąłem. – Przynieście mi ogień!

Podano mi płonąca pochodnię i zeskoczyłem z muru na piasek, gdzie ułożono zaporę z suchego drewna. Podpaliłem ją i – dzięki niech będą Najwyższemu! – ghule cofnęły się, oślepienie blaskiem; wezwałem wieśniaków, by do mnie dołączyli. Gdy zaatakowaliśmy, ghule rzuciły się do ucieczki. W świetle płomieni widziałem, jak płoną ciała naszych wrogów. Wydawało się, że nawet księżyc przybrał czerwoną barwę. Przez dym ujrzałem, że szeregi *udar* rozstępują się. Na polu bitwy, nad rzeką i w ruinach świątyni zapadła cisza.

Stałem na murze. Wzniosłem ku krwistoczerwonemu księżycowi swój miecz.

– *Allah akbar!* – krzyknąłem. – Bóg jest wielki!

Nikt mi nie odpowiedział.

Lecz nagle poczułem niebezpieczeństwo; Izyda przy moim boku odchyliła łeb do tyłu i zawyła.

Rozejrzałem się. Moi ludzie, którzy jeszcze przed chwilą promienieli radością, teraz stali jak sparaliżowani, wypuściwszy z rąk broń; najpierw jeden, potem drugi, a w końcu cały szereg rzucił się do ucieczki. Miałem ochotę pójść w ich ślady – i nawet miecz wypadł mi z ręki. Nie ruszyłem się jednak z miejsca; zostałem na murze i spojrzałem przed siebie.

Rozdzielone szeregi ghuli stały w bezruchu, lecz coś wyłaniało się spomiędzy demonów. Po chwili rozpoznałem postać na śnieżnobiałym koniu – a jednak wierzchowiec nie był tak biały jak dosiadająca go osoba. Szaty jeźdźca wręcz oślepiały bielą i lśniły od złota oraz drogich kamieni; jego czoło zdobiła podwójna korona: jedna biała, druga czerwona. Zdałem sobie sprawę, że widziałem już takie korony w grobowcach królów i na ścianach świątyni, która rozciągała się za moimi plecami. Lecz nawet jeśli ta postać była egipskim faraonem, to wcale nie przypominała śmiertelnego człowieka. Wyglądała jak najobrzydliwszy i najbardziej przerażający *udar*, starszy nawet niż piasek i pył, po którym stąpała. Nie miałem pojęcia, czym właściwie był – Ifrytem czy dzinnem, zjawą czy ghulem; jedno nie ulegało wątpliwości – miała moc przekraczającą wszelkie wyobrażenia. Nawet z miejsca, w którym stałem, widziałem lodowate oczy. A kiedy mój wzrok spotkał się ze spojrzeniem jeźdźca, odniosłem wrażenie, że dusza mi płonie.

Faraon zatrzymał konia, zawrócił i sięgnął po coś; zobaczyłem, że trzyma w rękach linę. Na jej końcu przywiązany był jeden z wieśniaków, pojmany na zachodnim brzegu. Nieszczęśnik żył jeszcze i gdy król pochylił się i złapał go za gardło, człowiek zaczął wierzgać dziko, jęczeć i wykrzykiwać modlitwy.

Jednak król, obdarzony iście piekielną siłą, zaciskał palce coraz mocniej, aż w końcu coś trzasnęło i biedak umilkł. Pokój i błogosławieństwo niech będą z nim.

Cały czas trzymając ciało w jednej ręce, faraon wraz z innymi zaczął rozszarpywać je na kawałki.

– Nie! – krzyknąłem. – Nie!

Lecz nic nie mogłem zrobić.

Patrzyłem, jak zwłoki nieszczęśnika rozrywane są na strzępy; potem demon przewiesił je przez konia, jego ciało było zbroczone krwią. Na koniec król rzucił trupa na piasek, odchylił się do tyłu i wydał okrzyk, okrzyk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Miałem wrażenie, że nawet księżyc pod wpływem tego dźwięku ściemniał i zapłonął bardziej ognistą czerwienią.

Lecz ja nie patrzyłem już dłużej na księżyc. Król ruszył naprzód. Zeskoczyłem z muru i uciekłem.

W tym miejscu Harun zobaczył, że nadszedł świt, i przerwał opowieść.

– O Księżę Wiernych – rzekł – jeśli zechcesz wrócić tu jutro wieczorem, to opowiem ci, co zdarzyło się w świątyni wśród piasków.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun; następnego wieczoru przybył do meczetu.

I Harun powiedział:

Obawiałem się, o księżę, przedzierając się przez świątynię usianą odłamkami kamienia, że nadszedł mój czas. Nasza obrona załamała się, mur został obalony i nic już nie powstrzymywało armii ghuli. Wśród płomieni moje ucho wyławiało, nieludzkie krzyki i grzmiot milionów kroków; lecz najbardziej lękałem się usłyszeć odgłosu podków królewskiego konia. Jednak kiedy tak nasłuchiwałem, poczułem dziwną słabość, jak wtedy, gdy dobiegło mnie wycie szakala i wydawało mi się, że kamienie świątyni zamieniają się w dym. Spojrzałem za siebie.

– Niech Bóg okaże miłosierdzie! – krzyknąłem, gdyż ponownie wydawało mi się, że świątynia stała się dymem.

Odniosłem wrażenie, że magiczne talizmany, wyryte na ścianach przez starożytnych pogan, postacie królów i dzinnów o zwierzęcych głowach są otoczone ogniem, a kiedy szedłem przez komnaty, płonęły coraz jaśniej. Lecz po chwili wszystko się uspokoilo i księżyc znowu lśnił srebrzyście.

– Co to takiego? – zapytałem sam siebie, gdyż sądziłem, że w ogromnych ruinach nie ma nikogo, oprócz mnie oraz biegnącej obok Izdydy.

Razem szliśmy przez sale, dziedzińce, po gruzach i piaszczystych wydmach, aż w końcu las kolumn się skończył. Znalazłem się w tym miejscu, gdzie niegdyś prawdopodobnie stało starożytne sanktuarium, o ile świątynia ta wyglądała tak samo jak tamta, w Lilatt-ah. I niemal natychmiast ogarnęły mnie wątpliwości, pamiętałem bowiem dobrze, iż właśnie tutaj kupiec znalazł moją żonę.

W końcu, bardzo wolno ruszyłem naprzód. Nadal panowała głucha cisza, nie słyszałem żadnego dźwięku, nawet szelestu palmowych drzew ani powiewu wiatru. Wówczas znowu

poczułem się źle, zachwiałem się i zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, okazało się, że księżycowe światło zgasło. Spojrzałem w górę – nade mną był sufit, czarny i bardzo niski, przede mną zaś na palenisku żarzyło się kadzidło. Nie widziałem nic zza kłębow purpurowego dymu, ale Izyda wyprężona wpatrywała się przed siebie i nagle zaczęła warczeć.

Poklepałem sukę po grzbiecie, próbując ją uspokoić. Szepnąłem też, aby się uciszyła; lecz gdy wypowiedziałem jej imię, usłyszałem śmiech z zasnutych dymem mroków. Przez chwilę stałem bez ruchu, ponieważ wiedziałem, o księżę, czyj to śmiech, i przeczuwałem, co może się dalej zdarzyć. Potem jednak ruszyłem naprzód, starając się rozwiać opary rękoma. I idąc wzdłuż sali w kłębach kadzidlanoego dymu, zobaczyłem Lajlę, moją żonę, siedzącą na złotym tronie. Miała ogoloną głowę i wysoką błękitną koronę z kobrą ze złota prężącą się nad czołem. Lajla nosiła długie białe szaty oraz szeroki naszyjnik ozdobiony drogimi kamieniami. Miała bardzo białą twarz i jaskrawoczerwone usta, a oczy delikatnie otoczone cienkimi kreskami najczarniejszego kohlu. Wyglądała piękniej niż zawsze, lecz zarazem bardzo obco. Wydało mi się nawet, że nie widziałem jej nigdy wcześniej. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć tego odczucia, a jednak byłem pewien, że jest dzinniją równie wiekową jak sama świątynia, a nawet starszą niż same piaski.

Kiedy stanąłem przed jej obliczem, uniosła się z tronu. Ujęła mnie za rękę i zaśmiała się znowu.

– Izyda! – krzyknęła. – Nazwałeś swoją sukę Izydą! O mój ukochany... – Przerwała i pocałowała mnie. – Nawet nie wiesz, jakie to świętokradztwo.

– Zdaje się, że jest wiele rzeczy, których nie mogę wiedzieć.

– Nie możesz? – Uniosła brwi ze zdziwieniem. – Przecież jesteś tutaj, czyż nie?

Przez długą chwilę patrzyłem na nią w milczeniu.

– Co chcesz mi więc powiedzieć? – zapytałem w końcu.

– A co pragnąłbyś usłyszeć?

– Muszę poznać tajemne imię Boga. Jeśli nie, ukochana nasza córka zostanie zabita.

Usiadła na tronie, nadal się uśmiechając.

– Jak zapłaciłbyś, moja miłości, za poznanie tego sekretu?

– Tak, jak będzie trzeba.

Znowu uniosła brwi.

– Czyżby? – Zaśmiała się. – Naprawdę?

– O ile ta tajemnica w ogóle może zostać mi wyjawiona, to nie ma ceny, której bym nie zapłacił.

– To wielki sekret. Kiedyś, dawno temu, strzeżono go właśnie w tym miejscu i nazywano Tajemnicą Imienia Amona. O jego mocy sam się przekonałeś w dolinach i świątyniach tego starożytnego miejsca. Czy wątpisz zatem, że istnieje na ziemi potęga większa niż człowiek może zrozumieć? Jeśli zamierzasz zostać panem i władcą wszystkich doczesnych rzeczy, jeśli

chcesz wyruszyć do Krainy Ciemności i poznać magię pradawnych dzinnów, jeśli pragniesz zdobyć młodość, mądrość i nieśmiertelność, to, mój mężu, istnieje sekret – bardzo wielki – który możesz poznać.

W wypełnionej zapachem kadzidła sali zapadło ciężkie milczenie.

– A jaka jest cena? – zapytałem w końcu.

– Na pewno byłbyś w stanie ją zapłacić.

– Powiedz mi, co to takiego?

Lecz Lajla potrząsnęła głową.

– Jak mogę się zgodzić, jeśli mi nie powiesz?

– Ależ, mój ukochany, ty się już zgodziłeś.

Zmieszany, spuściłem głowę. Wszyscy należymy do Boga, pomyślałem, i wszyscy musimy do niego wrócić. A wtedy przypomniałem sobie o mojej córce, o tym, że przecież jest słońcem, księżycem i wszystkimi gwiazdami mego życia i że nie zawahałbym się poświęcić niczego, by tylko ocalić jej życie. A potem zastanowiłem się nad przedziwną magią mojej żony, nad rozlicznymi dowodami jej mocy, które widziałem, i nad tym, że Lajla zna dalekie światy i zamierzchłe czasy. Na koniec zaś pomyślałem o własnych pragnieniach. Zawsze przecież chciałem osiąść wiedzę starożytnych i w imię Boga walczyłem z pokusami tego pragnienia. O wszystkim tym rozmyślałem, patrząc na piękno mojej żony, a wtedy poczułem, że moje myśli się mącą i ulatują i wiedziałem już, że nie dam rady dłużej walczyć z mymi pragnieniami.

– O najpotężniejsza dzinnijo, bowiem nie wątpię już, że nią jesteś, zdradź mi sekret i doradź, co powinienem uczynić.

Lecz Lajla potrząsnęła głową.

– Najpierw coś ci opowiem. – Mówiąc to, zapraszającym gestem wskazała złoty tron stojący obok tego, na którym siedziała.

– Jaką historię chcesz mi opowiedzieć? – zapytałem, gdy już usiadłem.

– Historię o faraonie i o świątyni Amona.

– Wysłucham z największą uwagą, gdyż z pewnością mówi o wielu cudach i zawiera niejedną niespodziankę.

Lajla uśmiechnęła się.

– Nie mylisz się, mój ukochany. Dopóki jej bowiem nie usłyszysz, nie zrozumiesz ani sekretu mocy, którą chcę cię obdarzyć, ani ceny, jakiej zażądam w zamian. Musisz wiedzieć, moja miłości, że wszystko to się zdarzyło, a być może przyjdzie czas, że zdarzy się ponownie.

– Opowiedz mi zatem i niech dowiem się wszystkiego.

– Niech więc tak będzie, skoro sobie życzysz...

Lajla uśmiechała się jeszcze przez chwilę i zaczęła tak:

*Dopisek włożony między kartki manuskryptu przekazanego lordowi Carnarvonowi*

The Turf Club  
Kair, 20 listopada 1922 r.

Drogi lordzie Carnarvon!

Patrząc teraz znowu na ten manuskrypt, nie mogę powstrzymać się od napomknięcia o tym, że byłem podekscytowany niemal do bólu, kiedy zdałem sobie sprawę, jakie wnioski wynikają z tej na pozór fantastycznej opowieści. Muszę przyznać, że początkowo czułem się skonsternowany tymi śmiesznymi wymysłami i zastanawiałem się nawet, czy nie padłem ofiarą jakiegoś monstrualnego oszustwa. A jednak, mimo wszystko, zaczynam dostrzegać w tej historii ziarno prawdy, zupełnie jak archeolog przekopujący się przez warstwy piasku zauważa zarys przedmiotu tkwiącego w ziemi od wieków. Nie ulega wątpliwości, że grobowiec odkryto na początku epoki muzułmańskiej – i to nie naruszony, ze wszystkimi skarbami wewnątrz. Cóż więc dziwnego, że w tej epoce prymitywnych zabobonów odkrycie ciała faraona w całym majestacie śmierci zaowocowało legendą o klątwie i że ludzie opowiadali, iż król nie umarł? Rzecz jasna nie musimy traktować opowieści Haruna al-Wakila dosłownie i wierzyć w to, że faraon istotnie jadąc na koniu prowadził armię demonów na Karnak, aby dostrzec prawdę i tak niezwykłą.

Jest dla mnie oczywiste, że grobowiec opisywany w ludowej legendzie jest tym samym, który Davis odkrył i który uparcie przypisuje królowej Teje. Wiem natomiast, że Davis nie ma racji – patolodzy dowiedli, że szkielet znaleziony wewnątrz należał do młodego mężczyzny, co zresztą potwierdza manuskrypt. Czyje więc ciało pogrzebano w grobowcu? Czy legenda, którą przeczytałem, nie daje żadnych wskazówek na ten temat? A może mówi też, chociaż w zniekształconej formie, o większej tajemnicy – na przykład o istnieniu jeszcze jednego nie tkniętego grobowca?

Wszystkie te pytania sprawiały, że moje serce zaczynało bić mocniej i nie wątpię, że podczas lektury manuskryptu czuje pan to samo. Nie powinienem dłużej odrywać pana od opowieści džinniji, gdyż obiecując cudowne sekrety, powiedziała szczerą prawdę.

H.C.

## OPOWIEŚĆ DŻINNIJI ZE ŚWIĄTYNI WŚRÓD PIASKÓW

Trzeba ci wiedzieć, Harunie, że w otchłani dziejów, w zamierzchłych czasach, wiele rzeczy było znanych, które teraz są ukryte, liczne cuda popadły w zapomnienie, bowiem przeszłość jest pustynią wypełnioną niezliczonymi pogrzebanymi rzeczami. Nie sądz, że skoro wcześniej nie słyszałeś tej opowieści, to nigdy się nie zdarzyło to, o czym mówi; gdyż nawet w żywotach Proroków są czyny i wydarzenia, których nigdy nie zapisano i pamięć o nich dawno zagasła.

Mogłabym cię na przykład zapytać, co naprawdę wiesz o Józefie, którego bracia sprzedali w niewolę do Egiptu. Czytałeś, że został kupiony przez wielkiego człowieka z pałacu królewskiego, a potem fałszywie oskarżony przez żonę swojego pana. Czytałeś, że wtrącono go do więzienia, a potem wezwano do króla Thotmesa, faraona Egiptu, aby wyjaśnił sny, które nawiedzały władcę. Czytałeś, że Józef wyjaśnił sen o wyłaniających się z Nilu tłustych i chudych krowach jako ostrzeżenie zesłane przez Najwyższego mówiące, iż świat najpierw zazna owoców urodzaju, a potem straszliwej klęski głodu.

Wszystko zdarzyło się dokładnie tak, jak powiedział Józef, ale ponieważ rozkazał on zbudować spichrze i wypełnić je zbożem, można było wykarmić lud Egiptu. Nigdy król Thotmes nie kochał żadnego innego człowieka, tak jak Józefa. Mianował go wezyrem we wszystkich swoich ziemiach oraz nadał mu tytuł „drugiego faraona”, którego nigdy wcześniej nie otrzymał żaden cudzoziemiec. Józef rządził z wielką mądrością i rozwagą tak, że umiłowali go wszyscy ludzie – podobnie jak faraon – nie tylko za to, że uchronił kraj przed głodem, lecz także za jego dobroć i łaskawość. Nienawidzili go tylko kapłani, którzy widzieli, że nie oddaje on czci ich bogom – gdyż w głębi serca Józef nigdy nie zapomniał, że istnieje tylko jeden Bóg, wieczny i wszechobecny, którego w swoim własnym języku nazywał świętym imieniem Jahwe. Kiedy Egipcjanie dowiedzieli się o tym, zgodnie ze swym zwyczajem nazwali Józefa od imienia jego boga, ponieważ byli poganami i mieli wiele dziwnych wierzeń i obyczajów. W swoim języku wymawiali imię Jahwe jako Juja; i tak również Józefowi nadali imię Juja.

Zdarzyło się, że król Thotmes, chociaż młody, zaczął chorować, a jego ciało wysychało i chudło. Kiedy dowiedział się o tym najwyższy kapłan, przybył, aby zobaczyć króla. Na cały dzień i noc zamknął się wraz z nim w wewnętrznym sanktuarium wielkiej świątyni Amona. Kim naprawdę był ów bóg Amon i jak wyglądał, mogli wiedzieć tylko najwyżsi kapłani, ale podobno posiadał straszliwą mocą magiczną, zbyt wielką, by ją zgłębić, zbyt potężną, by ją poznać. Amona nazywano „sekretem przemian” i „tym o zmiennym wyglądzie”; a jednak tak naprawdę nie było nikogo, kto znałby prawdziwą postać tego boga i wszyscy ludzie padliby z przerażenia na twarz; gdyby zostało ujawnione jego prawdziwe imię. Szeptano, iż było ono



tak straszliwe, że nawet faraon lękał się zbliżyć do najwyższego kapłana, podobno jedyne go wśród śmiertelników, który je poznał i dzięki temu rozumiał wszechświat i jego tajemnice.

Kiedy zatem faraon zachorował, ludzie modlili się, aby ta moc zdołała go uzdrowić – i istotnie, kiedy król w końcu wyszedł ze świątyni na światło dnia, moc magii Amona dała się natychmiast poznać, gdyż Thotmes odzyskał zdrowie i jego ciało wyglądało na silne. A jednak odtąd król był bardzo zmartwiony, a ci z dworzan, którzy ośmielili się spojrzeć mu w oczy, dostrzegali nieopanowane przerażenie, wydające się sięgać samej głębi duszy. W końcu król Thotmes posłał po Józefa i zadał mu wiele pytań o Boga, którego Józef czcił i który – jak twierdził – był znacznie większy od Amona. Kiedy dowiedział się o tym najwyższy kapłan, przyszedł do króla Thotmesa i starał się go namówić, aby wygnał od siebie Józefa; lecz faraon odmówił, a nawet od tej chwili Józef stał się jeszcze bliższy jego sercu.

Mniej więcej w tym samym czasie siostra króla Thotmesa, która dzieliła z nim zarówno łoże, jak i tron jako Wielka Małżonka, urodziła syna. Nikt nie cieszył się bardziej szczęściem swego pana niż Józef; lecz kiedy patrzył na małego księcia, pomyślał o tym, że sam nie ma ani syna, ani córki, których mógłby nazywać własnymi. Zwrócił się więc do niańki i zapytał, jakie imię będzie nosił mały książę. Odpowiedziała mu: „Amenhotep”, co znaczy w języku pogan „Amon jest zadowolony”. Słyszac imię tajemniczego boga, którego najwyższy kapłan był jego śmiertelnym wrogiem, Józef zatroskał się jeszcze bardziej i poczuł wielki ciężar na sercu. „Jestem obcy w obcym kraju”, powiedział sam do siebie. „Jeśli nie będę miał rodziny, nie będzie nikogo, komu mógłbym przekazać imię i kogo nauczyłbym oddawania czci jednemu jedyemu Bogu”. Odwrócił się, wyszedł z pałacu i wyruszył rydwanem przez piaski do doliny wśród wzgórz, gdzie w ukrytych grobowcach spoczywały ciała faraonów. Kiedy tam dotarł, położył się w cieniu i usnął.

Gdy usnął, zaczął śnić. Śniło mu się, że widzi dolinę zmarłych faraonów, tak samo jak ją widział, zanim zapadł w sen, lecz z drzwi ukrytych grobowców sączyła się krew, płynęła przez piaski i skały, przesycając biel kurzu kleistą czerwienią. „To przerażające”, wykrzyknął Józef. „Lecz jest tylko jeden Bóg, którego wola zawsze się spełnia!” Ledwie to powiedział, usłyszał dziwny huk, jak odgłos wielkich fal i zobaczył, że przez dolinę przetacza się powódź, a kiedy woda opadła, znikły plamy krwi. Józef obudził się wielce zdziwiony i zastanawiał się, co może zapowiadać ta wizja. Mimo iż rozmyślał przez dłuższą chwilę, nie zrozumiał jej znaczenia, był jednak pewien, że senne marzenie zapowiada jakiś wielki cud.

Zdarzyło się, kiedy wracał z pustyni do pałacu faraona, że jechał wzdłuż drogi prowadzącej do Teb. Droga ta była zatłoczona wszelkiego rodzaju straganami; kupcy i karawany przybywali z najdalszych zakątków świata, gdyż żadne miasto nie dorównywało Tebom wspaniałością i bogactwem. Kiedy Józef przebijał się przez tłumy, zauważył nagle długi szereg niewolników – sądząc z koloru ich skóry i wyglądu twarzy, Nubijczyków – którzy zostali pojmieni w wojnach, jakie Egipt toczył na Południu. Józef przyglądał się łańcuchom pętającym ciemnoskórych ludzi i słyszał krzyki żalu i rozpacz. Wówczas

przypomniawszy sobie, że i on był niegdyś niewolnikiem, zakutym w łańcuchy i sprzedanym do dziwnego, obcego kraju. Natychmiast poczuł wielki żal. Zatrzymał rydwan, podszedł do kupca prowadzącego karawanę i dał mu za Nubijczyków sakiewkę pełną złota. Potem rozkazał uwolnić nieszczęśników z łańcuchów i rozdzieliwszy między nich drugą sakiewkę złota, powiedział, że są wolni i mogą odejść. Wszyscy jeńcy rozplakali się z radości i padli do stóp Józefa, błogosławiąc go w imię swych bogów; potem wstali i wyruszyli do swoich domów i rodzin. Lecz w kurzu na drodze została siedząca dziewczyna, której uroda przyćmiłaby nawet najpiękniejszy heban; siedziała w milczeniu, a srebrzyste łzy spływały jej po twarzy. Józef podszedł do Nubijki i próbował ją uspokoić, tłumacząc, że może iść, dokąd tylko zechce. Lecz dziewczyna wzięła go za rękę i rozplakała się jeszcze rzewniej. Wyszeptwała, że cała jej rodzina została zamordowana, a dom wraz z majątkiem spalono. I jeszcze raz Józef poczuł wielki żal w sercu, podniósł dziewczynę z ziemi i wziął w ramiona. Gdy tak ją trzymał, jego smutek przemienił się w miłość, gdyż nigdy przedtem nie widział takiego piękna; postanowił więc zatrzymać młodą kobietę przy sobie, i jeśli tylko ona się zgodzi, uczynić swoją żoną. Zaprowadził ją więc do rydwanu i zabrał do pałacu faraona, gdzie kazał ją wykąpać i odziać w bogate szaty. A kiedy ujrzał ją wystrojoną, podziękował Najwyższemu, który wysłuchał jego modłów i postanowił na nie odpowiedzieć. Józef nigdy bowiem nie wątpił, że była ona darem zesłanym mu przez niebiosa. Wziął ją w ramiona, odsunął do tyłu jej włosy, tak grube i czarne jak najczarniejsza noc, a potem pocałował i zapytał, jak ma na imię. Oddała mu pocałunek, po czym szepnęła: Czuj.

Tego samego dnia Józef zaprowadził swą oblubienicę przed oblicze króla Thotmesa i poprosił swego pana, aby pobłogosławił ich związek. Lecz faraon, kiedy zobaczył Czuj, nagle zbladł i zacisnął palce na poręczach złotego tronu. Potem wstał i chwycił Józefa za ramię; cały czas jednak, nawet gdy odchodził z Józefem na bok, nie mógł oderwać oczu od pięknej twarzy Czuj. Dopiero kiedy znaleźli się sami w innym pokoju, król Thotmes odwrócił się do Józefa, a jego twarz była mroczna i widać było na niej wahanie.

– O księżę wśród doradców! – wykrzyknął faraon. – Miałem sen, który muszę ci opowiedzieć, gdyż tylko ty jeden ze wszystkich moich sług zdołasz go wyjaśnić. Śniło mi się, że stałem na wzgórzach na pustyni, nad doliną, w której są groby moich przodków. Kiedy patrzyłem w dół, z ukrytych wejść zaczęła wypływać krew i wszędzie w dolinie piasek był splamiony krwią.

– To wielki cud! – rzekł Józef. – Gdyż zaledwie kilka godzin temu usnąłem nad tą doliną i śniło mi się dokładnie to samo. Lecz powiedz mi, potężny królu, czy nie widziałeś, że krew została zmyta?

Król Thotmes spojrział na niego dziwnie.

– Widziałem – przytaknął. – Przez wielką powódź. A czy ty dostrzegłeś, skąd wypływała woda?

– Nie – odparł Józef. – Tego nie było w moim śnie.

– Lecz było w moim; i opowiem ci, co ja zobaczyłem. Przy wejściu do doliny stała nubijska dziewczyna i trzymała w ramionach wielki dzban z wodą. Przechyliła naczynie. Woda wypływała nieprzerwanym strumieniem. Oto była przyczyna powodzi w dolinie.

Józef stał przez dłuższą chwilę w milczeniu. W końcu zmarszczył brwi i potrzęsął głową.

– O potężny królu – powiedział – jak mogę wyjaśnić twój sen, jeśli nie wyjaśniłeś mi wszystkiego?

Thotmes uśmiechnął się.

– To prawda – odrzekł – jest coś, czego nie dodałem.

– Proszę, królu, powiedz mi, co jeszcze widziałeś.

Faraon nadal się uśmiechał, lecz jego oblicze przybrało dziwny wyraz.

– Twarz dziewczyny z mojego snu była taka sama jak kobiety, którą przyprowadziłeś tutaj jako swoją oblubienicę – rzekł po chwili. – Czy dziwi cię zatem, że zbladłem na jej widok?

– Być może – powiedział Józef powoli – wołałbyś nie znać znaczenia tego snu, panie.

– Mów jednak i nie lękaj się niczego.

Józef opuścił głowę.

– Musisz wiedzieć, potężny królu, że nad twoim rodem ciąży klątwa; nie wiem, od jak dawna i kto ją rzucił, lecz i ty nosisz ją w swoich żyłach.

Król Thotmes, tak samo jak poprzednio, zbladł i zamarł w bezruchu.

– W moich żyłach płynie krew Ozyrysa – rzekł w końcu. – Należę do spadkobierców tego boga, który nauczył ludzi, jak mają żyć, i odkrył przed nimi sekrety nieba oraz gwiazd. Jak więc moja krew może być przeklęta?

– Obawiam się, że tego twój sen nie wyjaśnia.

– Więc skąd mam wiedzieć, na czym polega klątwa?

Twarz Józefa zachmurzyła się.

– Jeśli ty tego nie wiesz, panie, to kimże ja jestem, by ci to powiedzieć?

Cień przemknął przez oblicze Thotmesa. Przez chwilę król wyglądał na tak przerażonego jak wtedy, gdy wyszedł ze świątyni Amona.

– To zabobon – rzekł cicho.

– Doprawdy, panie?

Król stał, pogrążony w myślach.

– Zabobon! – powtórzył, zaciskając pięści, i wzruszył ramionami. – A nawet jeśli to prawda, czy w takim razie nie ma żadnej nadziei?

Józef uśmiechnął się.

– Dla Najwyższego wszystko jest możliwe.

– Powiedz mi więc, przyjacielu, czy odczytujesz jakieś przesłanie nadziei w moim śnie, gdyż przepelnia mnie przerażenie i dziwny strach.

Józef uśmiechnął się znowu i ucałował dłoń faraona.

– Widziałeś wodę, która zmyła krew z grobów twoich przodków. Cóż innego to oznacza, panie, jeśli nie to, że klątwa ciężąca nad twoim rodem podobnie może zostać zmyta?

– Ale jak? – szepnął. – Proszę, wyjaśnij, jak?

– W twoim śnie dolina została oczyszczona za sprawą Czujy – zaczął Józef. – To z dzbana tej dziewczyny wypłynęła woda. Przepowiadam ci, że tak samo z jej łona narodzi się ten, który odkupi twój ród. Dzięki niech będą zatem Najwyższemu, który zesłał ci twój sen i postawił Czuję na mojej drodze.

Lecz król Thotmes nie odpowiedział, lecz poszedł tam, gdzie rozciągały się jego ogrody z kwiatami wszelkich barw, słodko pachnącymi drzewami i fontannami chłodnymi jak śniegi na szczytach gór; w swoje ulubione miejsce wytchnienia w upalne dni. Stał w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż Józef, patrząc na niego, zaniepokoił się.

– Mój najdroższy panie i droższy jeszcze przyjacielu, czy nie podzielisz się ze mną tajemnicą, która cię gnębi? – odezwał się w końcu.

Faraon odwrócił się i Józef dostrzegł coś, czego wcześniej nie zauważył – jak wychudłe było oblicze władcy, takie samo, jak przed wejściem do świątyni Amona. Skóra na czaszce króla stała się wysuszona i napięta. Przez chwilę Józef odniósł wrażenie, że nie patrzy na człowieka; lecz faraon uśmiechnął się i jego oblicze znowu przypominało to, które Józef znał tak dobrze i kochał.

– O książę wśród doradców, podaj mi rękę – wyszeptał władca Egiptu. – Tak też Józef uczynił; król Thotmes przez dłuższą chwilę trzymał dłoń przyjaciela, po czym uśmiechnął się i powiedział cicho: – Ożeń się z Czują i niech ci urodzi wielu synów. I módlmy się, żeby znaczenie tego snu było takie, jak powiedziałeś.

Lecz w tym miejscu Harun ujrzał, że nadszedł świt i przerwał opowieść.

– O Przywódco Wiernych – rzekł. – Jeśli zechcesz przyjść tu jutro wieczorem, opowiem ci, jak królowa ujrzała zły znak, a król Thotmes utrzymał to w tajemnicy przed Józefem.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun; następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Józef żył z Czują w wielkiej radości. Po roku urodziła mu ona syna i Józef dał mu imię Anen. Chłopiec był kochanym, nie tylko przez rodziców, ale także przez króla Thotmesa, który polecił zanieść dziecko do wielkiego haremu w pałacu i tam wychować razem ze swoim własnym synem, księciem Amenhotepem, jakby ta sama królewska krew płynęła w ich żyłach. Również Czuję, dawniej niewolnicę, obsypał zaszczytami; mianował ją Przełożoną Haremu i Główną Towarzystką swojej siostry, królowej. Jeśli zaś idzie o samego Józefa, tego mądrego i szczęśliwego człowieka, to król Thotmes nie lubił się z nim rozstawać, a gdy już tak się złożyło, stawał się smutny i ogarniały go dziwne lęki i fantazje.

Zdarzyło się pewnego razu, że Czuj u oznajmiła, iż znowu spodziewa się dziecka, a kilka dni później królowa ogłosiła to samo. Józef powitał nowiny z wielką radością, lecz ku swemu zmartwieniu zauważył, że król Thotmes wcale się nie ucieszył, tylko stał się jeszcze bardziej nerwowy i roztargniony. Józef starał się pocieszyć swego pana i zabawić jego ulubionymi rozrywkami, lecz król pozostawał zatopiony w myślach. W miarę jak mijały miesiące, nastrój faraona pogarszał się coraz bardziej, aż w końcu król wydawał się tak samo przerażony jak dawno temu, gdy wyszedł ze świątyni Amona. Nie chciał jednak z nikim rozmawiać o tym, co go gnębi.

Pewnego wieczoru, kiedy wraz z Józefem spacerował po ogrodach, ujrzał Czuj i królową siedzące nad stawem. Było już po nich widać, że są brzemienne. Król Thotmes patrzył przez chwilę w milczeniu na ich brzuchy, po czym zmarszczył brwi, zadrżał i cofnął się o krok. Królowa zdała sobie sprawę z obecności męża i wstała, aby się z nim przywitać, lecz Thotmes zachmurzył się i odsunął.

– Odejdź – szepnął.

Królowa spojrzała na niego zdumiona.

– Odejdź – powtórzył ochryple.

Jego twarz pociemniała, nawiedziły go złe przecucia, poczuł odrazę i przez moment wydawało się, gdy królowa stała przed nim, że ma ochotę unieść rękę, uderzyć w wyduęty brzuch. Lecz z wyraźnym wysiłkiem opanował się i odszedł pospiesznie. A wówczas nie tylko królowa patrzyła na faraona zdumiona; również Józef, po tylu latach służby, nie mógł sobie przypomnieć, aby jego przyjaciel kiedykolwiek tak się zachował. Zbliżył się do królowej i Czuj, starając się je pocieszyć. Równocześnie spojrzał jeszcze na nabrzmiałe brzuchy kobiet i przypomniał mu się sen króla Thotmesa o tym, jak Czuj zmyła krew z królewskiego rodu. Józef zaczął się zastanawiać, czy właśnie tego lękał się jego pan.

Kiedy jednak nadszedł dla Czuj czas rozwiązania, Józef zauważył, że przez kilka dni król Thotmes wyglądał niemal na szczęśliwego. W końcu dowiedzieli się, że Czuj urodziła drugiego syna. Rozradowany ojciec złożył dzięki Najwyższemu i nadał chłopcu imię Aj. Król Thotmes rozkazał przynieść dziecko przed swoje oblicze i przez kilka minut stał, przyglądając mu się uważnie.

– Jak sądzisz – spytał cicho, patrząc na Józefa – czy to dziecię, czy twój starszy syn oczyści krew mojego rodu z klątwy? A może uczyni to dziecko, które jeszcze się nie narodziło?

Józef pochylił głowę.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, królu, gdyż jest tylko Jeden, którego oko przenika wszystkie sprawy.

– Rozumiem – przytaknął król Thotmes. Jeszcze przez chwilę przyglądał się maleństwu.

– A jednak wiem, że potrafię zobaczyć ukryte wydarzenia z przyszłości. Za kilka tygodni urodzi się moje dziecko.

Nie powiedział nic więcej na ten temat i Józef zastanawiał się, co mogą znaczyć słowa faraona. Jednak w ciągu następnych tygodni zauważył, że ciało Thotmesa zaczęło znowu wysychać tak, że król wyglądał na jeszcze bardziej wychudzonego, a jednocześnie jego brzuch i uda zaokrągliły się. Te objawy choroby wprawiły Józefa w zaniepokojenie, gdyż nigdy jeszcze nie słyszał o podobnych symptomach i wiedział, że nie potrafi doradzić żadnego lekarstwa. Lecz król Thotmes, tak jak wtedy, gdy poprzednio zaczynał chorować, wszedł do sanktuarium świątyni Amona i pozostał zamknięty w jego mrocznym wnętrzu, nawet gdy dla królowej nadszedł czas rozwiązania. Dopiero kiedy poród dobiegał końca, faraon pojawił się znowu. Józef zobaczył, że król odzyskał zdrowie. Lecz mimo iż fizycznie Thotmes wyglądał na całkiem zdrowego, był jeszcze bardziej przygnębiony niż poprzednio i wydawało się, że nawet gdy słuchał odległych krzyków królowej, czuł lęk przed tym, co może się narodzić. W końcu, kiedy krzyki ucichły i wszystko się uspokoiło, Czuję z policzkami mokrymi od łez wyszła z komnaty, w której pomagała królowej w porodzie. Otarła oczy i skłoniła się nisko przed faraonem.

– O potężny królu – wyjąkała. – Twoje dziecko, twoje dziecko...

Thotmes zacisnął pięści, jakby zgniatając coś niewielkiego.

– Co to jest? – wyszeptał. – Co zobaczyłaś?

Kobieta przez chwilę patrzyła, nic nie rozumiejąc, po czym potrząsnęła głową.

– Nie – powiedziała. – Twoje dziecko... twoje dziecko urodziło się martwe.

Józef przez chwilę odniósł wrażenie, że dostrzegł na twarzy króla Thotmesa ulgę.

– A jak wyglądało? – zapytał.

– To była piękna dziewczynka – odparła Czuję.

Król Thotmes westchnął głęboko. Wyraz ulgi na jego twarzy odmalował się niezwykle wyraźnie, chociaż faraon próbował to ukryć. Pobiegł do komnaty królowej. Usiadł koło żony i próbował pocieszyć ją w bólu. Od tego czasu przez kilka miesięcy wydawało się, że odzyskał dobry humor. Józef znowu rozpoznał człowieka, którego niegdyś pokochał. Lecz nagle, gdy już zaczynał mieć nadzieję, że wszelkie obawy się nie spełniły, Czuję oznajmiła, że po raz trzeci jest w ciąży. Józef ponownie zauważył cień w spojrzeniu króla i wyraz niemal poczucia winy – widoczny zwłaszcza wtedy, gdy faraon patrzył Józefowi w oczy. Król coraz częściej dumał o swoim śnie i jego znaczeniu, które wyjawiał mu Józef. Za każdym razem, kiedy tylko o tym myślał, Józef miał wrażenie, że ciało króla Thotmesa staje się coraz bardziej wysuszone i coraz wyraźniejsze stają się oznaki choroby na jego twarzy. Właśnie wówczas królowa oznajmiła, że ona także po raz trzeci jest w ciąży; ta wiadomość doprowadziła króla do wściekłości.

Od tej chwili choroba jeszcze bardziej wyglądała na nieuleczalną, jak gdyby nieodwołalnie obejmowała w posiadanie ciało władcy. Również pod względem nastroju król nie przypominał siebie, gdyż ogarniały go dziwne i gwałtowne napady furii, takie jakie Józef widział wcześniej w ogrodzie, kiedy Thotmes niemal uderzył swoją ciężarną żonę. Jednak

Józef obawiał się, że powściągliwość faraona należy już do przeszłości, ponieważ królowa – mimo że nigdy o tym nie mówiła – często miała zaczerwienione oczy oraz sińce na plecach i ramionach. Króla Thotmesa Józef widywał znacznie rzadziej, gdyż król spędzał wiele dni zamknięty w świątyni Amona. Ale nawet magiczne tajemnice tego boga, jak się wydawało, nie były już w stanie powstrzymać choroby. Szeptano, że w dolinie na zachodnim brzegu Nilu, gdzie zmarli mają swoje królestwo, przygotowany jest nowy grób. Jednak nawet Józef, drugi po faraonie, nie wiedział tego na pewno; zaczął się obawiać, że król Thotmes naprawdę może już nie żyć.

Minął miesiąc, a w tym czasie Józef ani razu nie spotkał swego władcy. W końcu nadszedł dla Czaju czas rozwiązania. Józef, pamiętając o ostatnim porodzie królowej, oczekiwał wieści z komnaty swojej żony w nerwowym napięciu, a także w strachu, gdyż ostatnio jego sny pełne były mrocznych wizji i złych znaków. Przez cały dzień słyszał słabe krzyki rodzącej; lecz gdy nadszedł wieczór, stały się one bardziej bolesne i rozpaczliwe. W końcu, po przeraźliwym krzyku zapadła cisza; Józef, nasłuchując szmeru palmowych drzew na wietrze i dalekich odgłosów gęsi znad Nilu, nie mógł przyjąć do wiadomości, że w takiej chwili te dźwięki mogą być prawdziwe. Skóra zaczęła mu płonąć, jakby od gorączki. Powietrze ciągle jeszcze falowało, rozgrzane całodniowym upałem – ale Józef wiedział, że to nie przez upał pieką go oczy.

W końcu podeszła do niego służąca i szepnęła do ucha nowinę. Podążył za nią do pokoju żony. Klęcząc obok Czaju, pocałował ją w usta tak, jakby miała oczy zamknięte tylko we śnie i jakby nagle mogła odpowiedzieć na jego pocałunki. A potem, tak jak niegdyś uczyniła to Czaju, chwycił dłoń żony i zrosił ją łzami. Dopiero po dłuższej chwili wstał i wyszedł z pokoju. W mroku korytarza czekała służąca z zawiniątkiem w ramionach. Bez słów podała dziecko. Maleństwo, gdy Józef wziął je w ręce, zaczęło się ruszać. Józef uśmiechnął się, patrząc na nie przez łzy.

– Ma twarz swojej matki – szepnął, bardzo delikatnie całując córeczkę w czoło. – Oby Najwyższy sprawił, że będzie równie piękna i dobra.

Mocno przytulił dziewczynkę i nadał jej imię Teje.

Jeszcze tego samego wieczoru wezwał Anena i Aj. Próbował pocieszyć synów najlepiej, jak umiał, a potem, gdy już usnęli, czuwał przy nich całą noc. Dopiero tuż przed świtem, kiedy mroki tej naznaczonej śmiercią nocy zaczęły rzednąć, Józef opuścił dzieci i wyszedł na taras, gdzie stał patrząc w stronę wschodniego horyzontu. Widział pełne spokoju stada bydła na polach oraz ptaki wzbijające się z świergotem wysoko ze swoich gniazd i pierwsze promienie słońca odbijające się złościście w wodach Nilu, zwiastujące piękno nadchodzącego dnia. Serce Józefa wypełniło się zachwytem i podziękował za wspaniałości stworzone przez Najwyższego; lecz wtedy przypomniał sobie, że jego ukochana żona nie żyje i nigdy więcej nie ujrzy ona wschodu słońca. W tej samej chwili usłyszał za sobą kroki, a odwróciwszy się, zobaczył zarys sylwetki faraona.

– Obawiałem się, że i ty umarłeś – powiedział po chwili Józef.

– Umarłem? – Głos króla był cichy, lecz ochrypli. Thotmes zaśmiał się nagle i również ten dźwięk zabrzmiał obco. – Teraz zrozumiałem, że nigdy naprawdę nie umrę – szepnął.

Józef potrząsnął głową:

– Wszyscy ludzie muszą umrzeć. – Spojrzał ku wschodzącemu słońcu. – Kobiety także.

– Tak. – Król Thotmes wyszedł z cienia. – Słyszałem najnowsze wieści.

Stanął u boku Józefa i ten odwróciwszy się ku faraonowi zobaczył, jak bardzo obca stała się twarz władcy w wyniku choroby. Oczy przybrały kształt migdałów, a czaszka wydawała się duża i mocno wysklepiona. Również spojrzenie faraona dziwnie się zmieniło i ledwie było w nim widać ślady człowieczeństwa. Kiedy rozmyślał o tym, jakiś cień przemknął przez twarz Thotmesa i Józef odniósł wrażenie, że jest to poczucie winy.

– Rozkazałem przygotować dla Czuju grobowiec w dolinie – oznajmił król.

– W dolinie? – Józef spojrzał na niego zaskoczony – Ale przecież tylko królowie są tam grzebani.

– A czyż nie jesteś moim zastępcą? I czyż Czuj nie jest twoją żoną?

Józef nadal patrzył na władcę zdumiony; w końcu uklonił się i ucałował dłoń monarchy. Lecz król odsunął przyjaciela i odwrócił się, aby spojrzeć na zachodnie wzgórza.

– Służąca pokazała mi twoją córkę – odezwał się po chwili. – Bardzo piękna dziewczynka.

– Tak samo jak jej matka.

– Rzeczywiście. – Król Thotmes posłał blady, wymuszony uśmiech. Zwrócił się ku Józefowi, lecz nagle drgnął i znowu spojrzał w stronę wzgórz. – Czy sadzisz – mruknął w końcu – że to właśnie Teje jest przeznaczone zmyć krew z grobowców?

– Powiedziałem ci już wcześniej, dostojny królu, że jest tylko Jeden, który widzi to, co ma się zdarzyć.

– Najwyższy kapłan Amona nie zgadza się z tobą.

– Ale jakie potrafi przedstawić dowody?

– Dowody potęgi Amona? Istnieje wiele niezwykłych dowodów.

– Chciałbym je poznać.

– Chciałbyś? Jesteś tego pewien? – Król Thotmes nadal się uśmiechał, ale w jego spojrzeniu pojawił się chłód. – Doświadczyłem wielkiej ciemności w świątyni.

Józef patrzył na niego z ciekawością, nie próbując nawet ukryć zainteresowania, gdyż król Thotmes nigdy wcześniej nie zdecydował się rozmawiać z nim na ten temat.

– Pragnąłbym wiedzieć, czym jest ta ciemność – powiedział wolno.

– Tego nie mogę ci wyjawić. – Król zamilkł na chwilę. – Nie, nie mogę.

– Dlaczego?

– Oddawałem jej cześć. Kłaniałem się przed nią. Byłem jej wyznawcą i czcicielem.

Józef zmarszczył brwi.



– Nie rozumiem. Dlaczego człowiek taki jak ty miałby zrobić coś podobnego?

– Ponieważ właśnie ta ciemność zachowała mnie w mojej doczesnej postaci. Dokładnie tak, jak zawsze obiecywał najwyższy kapłan Amona. Bez niej stałbym się tym, czym jestem dzisiaj. Wskazał swoją twarz. – Tylko że znacznie, znacznie wcześniej.

– Ale... – Józef przeknął ślinę. – Jak to możliwe, potężny królu? W jaki sposób owa ciemność tego dokonała?

– Nie chciałbyś tego wiedzieć. – Uśmiech Thotmesa ustąpił miejsca dziwnemu grymasowi. Lecz nagle twarz króla wygładziła się, a kiedy przemówił, głos miał znowu ochrypliwy i nieobecny. – A jednak byłem głupcem, że obawiałem się przemiany – oznajmił, jakby zwracając się do słońca. – Moja obecna postać nie jest zniekształceniem. Prawda, że nie przypominam już śmiertelnika, ale taki wygląd stanowi świadectwo mojego boskiego pochodzenia. Najwyższy kapłan Amona powiedział mi bowiem, że również Ozyrys, kiedy zstąpił z gwiazd i jako król rządził Egiptem, wyglądał tak jak ja teraz.

Józef patrzył w milczeniu na króla, na wielką czaszkę, spuchniętą twarz i dziwne, skośne oczy.

– O czym myślisz? – spytał faraon.

– Myślę...

Thotmes uśmiechnął się gorzko.

– Nie musisz ukrywać swojego niesmaku, gdyż wyraźnie widzę go na twojej twarzy. Ale w imię naszej dawnej przyjaźni, bądź ze mną szczery, powiedz mi, o czym myślisz.

– Że Ozyrys był demonem, a jego krew była naprawdę przeklęta.

Uśmiech zamarł na ustach króla.

– Jak możesz tak mówić?! – wykrzyknął nagle. – Skoro właśnie dzięki naukom Ozyrysa powstał Egipt, zostały wzniesione potężne budowle i ludzie poznali wiedzę o świecie? Kimże mógłby być, jeśli nie wielkim bogiem?

– Prawdopodobnie dzinnem, który nie oddał pokłonu jednemu prawdziwemu Bogu.

– Jednemu prawdziwemu Bogu? – Król Thotmes przez chwilę patrzył na Józefa, po czym wybuchnął śmiechem. – Jesteś mądrym człowiekiem, umiesz dojrzeć i wyjaśnić przyszłe zdarzenia; zresztą możliwe nawet, że twój bóg jest naprawdę wielkim bogiem. A jednak, powiadam ci, twoje moce są niczym w porównaniu z mocami najwyższego kapłana Amona.

– Ale kult Amona to kult ciemności. Sam mówiłeś, królu!

– Nie tylko ciemności. Są też inne tajemnice, i to jakie! Gdyż kult ten jest dziedzicem mądrości, która zliczyła gwiazdy i zmierzyła ziemię, a także pokonała śmierć. Gdyż powiadam ci, za grobem czeka Ozyrys!

Józef zaśmiał się z gorzką satysfakcją.

– Możesz wierzyć, w co chcesz, królu, a jednak musisz umrzeć.

Thotmes zmrzążył oczy. Przez chwilę Józef próbował spojrzeć w nie, ale ich jasność była zbyt rażąca, głębia zbyt niezmierna. Nigdy wcześniej tego nie zauważył. Zadrżał i chciał się odwrócić, lecz król puścił jego ramię i chwyciwszy za policzki, przytrzymał mu twarz. Czując nacisk palców króla, Józef nagle zdał sobie sprawę z ich straszliwej, niemal nieludzkiej siły. Szarpnął głowę, próbując się oswobodzić.

– W dolinie za zachodnimi wzgórzami są przecież grobowce – wykrzyknął szyderczo. – Czy nie ma w nich ciał twoich zmarłych przodków, w których żyłach również płynęła krew Ozyrysa?

W głosie króla Thotmesa także zabrzmiało szyderstwo.

– Jeśli tak uważasz...

Józef patrzył na faraona ze zdziwieniem i nagłym lękiem.

– O co ci chodzi? Nie rozumiem...

– Oczywiście, a ja, głupi, myślałem, że zdołałbyś pojąć. Ale cóż mógłbyś wiedzieć ty, obcy, cudzoziemiec? A jednak, gdybyś nie był tak ślepy, tak uparty...

Józef zmarszczył brwi.

– Jeśli nie byłbym, faraonie, to co?

– To możliwe, że Czuję nadal by żyła.

Obaj stali przez chwilę w milczeniu; w końcu Józef wzruszył ramionami i chciał się odwrócić, lecz król Thotmes nadal się w niego wpatrywał, a moc spojrzenia przytrzymywała Józefa w miejscu. Prorok zachwiał się i poczuł, że siły go opuszczają; nie chciał uklęknąć, ale został obezwładniony przez coś silniejszego. Upadł na twarz. Król widząc to, roześmiał się.

– Czy wątpisz teraz w ogrom moich mocy? – szepnął. – A jednak, aby dowieść, że naprawdę są takie, jak się mówi, i że kapłani Amona powiedzieli mi prawdę, mam oczekiwać pewnego znaku.

– Znaku?

– Dziecka zrodzonego z mojej żony – wyjaśnił władca.

– A cóż ma być w tym niezwykłego?

– Dowiesz się, kiedy dziecko się narodzi – oznajmił król.

– Jak to?

Thotmes stał przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Długo lękałem się tego, gdyż znak będzie przerażający i ohydny – rzekł ledwie słyszalnym głosem. – Teraz jednak... – zadrżał – już się nie boję. Wiem bowiem, że kiedy narodzi się dziecko o strasznym wyglądzie, przybliży się czas mojego wejścia do Królestwa Ozyrysa!

Józef popatrzył na twarz swojego przyjaciela i pomyślał nagle, że nie jest to już oblicze, które tak dobrze znał, lecz wydaje się ono należeć do czegoś obcego. Wbrew samemu sobie zaczął się cofać drżąc z nagłego przerażenia, ale gdy w końcu odwrócił się, aby uciec, kątem oka dostrzegł ból we wzroku króla Thotmesa i zrozumiał, że mimo wszystko faraon jest nadal

człowiekiem. Chciał się opanować i objąć króla; ale kiedy już miał to uczynić, nagle zamarł w bezruchu.

W drzwiach stał Anen, blady, z szeroko otwartymi oczami. Józef wziął głęboki oddech, po czym podszedł do syna, chwycił chłopca w ramiona i uniósł w górę.

– Od kiedy tu jesteś? – zapytał. – Co słyszałeś?

Anen zbladł jeszcze bardziej, lecz nie odpowiedział.

Król Thotmes uśmiechnął się.

– A jeśli nawet usłyszał wszystko, to cóż w tym złego? – Zmierzył czarne włosy Anena.

– Co w tym złego, że dziecko usłyszy prawdę?

– Prawdę? – szepnął Józef, stawiając syna na ziemi. – Prawdę, królu? Przecież Anen jest jeszcze mały. Jak mogę oczekiwać, że zrozumie prawdę i nie zostanie skrzywdzony przez to, co usłyszy, kiedy widzę twój przykład, dorosłego człowieka?

Król Thotmes wyglądał, jakby wszystka krew odpłynęła mu z twarzy.

– Uważaj, co mówisz, mimo że nadal uważam cię za swego przyjaciela – powiedział cicho.

– Tak, ale właśnie dlatego, że jestem twoim przyjacielem, muszę ci powiedzieć teraz, kiedy jeszcze możesz mnie słyszeć i rozumieć, co myślę – odparł Józef, naprawdę już zły. – Stań się znowu sobą! Po co ci magia kapłanów, mroczne sekrety i naznaczone śmiercią tajemnice, obietnice wiecznego życia, których nie chcą wyjaśnić? Rozejrzyj się wokół, królu! Spójrz na Nil, rozświetlony promieniami słońca. Często żeglowaliśmy po nim w twojej łodzi, jedząc ryby złowione w słodkich wodach, przyglądając się lotowi kolorowych ptaków i napawając się nieskończonym pięknem twego kraju. Te przyjemności, o wielki faraonie, poznałem dzięki tobie. Żadna magia nie może być przyjemniejsza niż te rozkosze. I to właśnie, mój przyjacielu... to właśnie jest prawda.

Król Thotmes stał przez chwilę nieruchomo; potem wziął Józefa za rękę i ścisnął ją tak mocno, że ten nie był pewien, czy taki gest stanowił wyraz gniewu czy miłości.

– Jestem dziedzicem Ozyrysa i nic na to nie poradzę.

– Błagam cię na wszystko, faraonie, wystrzegaj się kapłanów, gdyż lękam się zamiarów i pokus ich magii.

Król Thotmes uśmiechnął się.

– Ale oni obiecują mi nieśmiertelność, a wtedy wszystkie uroki, o których mówiłeś, wszystkie wspaniałe przyjemności życia będą moje na wieczność. – Ucałował Józefa w oba policzki. – Martwię się tylko tym, że ani ciebie, ani Czuję nie będzie przy moim boku.

Potem odwrócił się gwałtownie, jakby lękając się powiedzieć zbyt dużo, i odszedł pospiesznie; a Józef, patrząc za nim, poczuł dziwny ciężar na sercu. Pochylił się, aby podnieść Anena. Jednak ku jego zaskoczeniu syn odsunął się.

– Co to znaczy? – szepnął Józef. – Anenie, proszę, chodź do mnie.

Lecz chłopiec nie odpowiedział, tylko wrogo spoglądał szeroko otwartymi oczami.

– Anenie, proszę – powtórzył ojciec, wyciągając ręce, lecz syn cofnął się jeszcze dalej i pokręcił głową. – Anenie, co się stało?

– Czy to prawda, co powiedział faraon? – zapytał nagle jego syn.

– Co takiego?

– Że kapłani mogliby uchronić moją matkę od śmierci?

– Nie.

– A jednak on cię zmusił, abys ukląkł. Widziałem to, ojcze. Widziałem cię na kolanach. A zatem kapłani mimo wszystko mówią prawdę.

Józef stał chwilę w bezruchu, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Faraon nie chciał tego zrobić – szepnął. – Przez tę krótką chwilę nie był sobą.

Po czym jeszcze raz wyciągnął ramiona i tym razem Anen nie odsunął się, lecz pozwolił, aby ojciec wziął go w objęcia. Józef mocno przytulił chłopca, potem pocałował w czoło i zaniósł tam, gdzie leżał pogrążony we śnie jego brat.

– Nie bój się – szepnął Józef, całując syna raz jeszcze. – Jest ktoś, kto cię strzeże, tak jak zawsze strzegł mnie.

Potem wstał, odwrócił się i chciał wyjść z pokoju, lecz w drzwiach stanął i spojrzał za siebie. Zauważył, że Anen ciągle siedzi nieruchomo przy ścianie, śmiertelnie blady. Józef uśmiechnął się, próbując nakłonić syna do uśmiechu; lecz usta Anena nawet nie drgnęły, a jego oczy wydawały się zimne. Józef westchnął i spuścił głowę. „Tylko Najwyższy rządzi ścieżkami tego świata”, pomyślał. „Ale modłę się, aby pomógł mi pocieszyć mego syna”.

Wyszedł z pokoju obiecując sobie, że wróci jeszcze tego samego dnia, gdy tylko załatwi wszystkie sprawy państwowe, aby pocieszyć synów i wesprzeć ich w bólu.

Przybył z powrotem jednak znacznie później, niż się spodziewał. Tego dnia po południu, podobnie jak Czujy poprzedniego wieczoru, królowa zaczęła rodzić, a gdy Józef dowiedział się o tym, otrzymał równocześnie rozkaz stawienia się przed faraonem. Spotkał władcę przy drzwiach prowadzących do haremu, spoglądającego w stronę Nilu.

– Robię, jak mi radziłeś – powiedział król Thotmes, nie patrząc na przyjaciela. – Zapamiętuję uroki życia. Spójrz na błękit nieba i zielen pól, na pełne wdzięku ptaki wznoszące się ku słońcu! Jak świat mógłby być zły, kiedy są na nim takie cuda?

Józef już otwierał usta, aby odpowiedzieć, lecz nagle z głębi haremu dobiegł przeciągły, pełen bólu krzyk, a potem zapadła cisza. Mimowolnie, pamiętając, że taki sam dźwięk usłyszał poprzedniej nocy, Józef zadrżał. Król Thotmes odwrócił się do niego.

– Poród zaczął się wiele miesięcy za wcześnie – szepnął.

Józef pochylił głowę.

– Ale wszystko może być dobrze.

Król Thotmes milczał przez dłuższą chwilę.

– Dużo myślałem o tym, co powiedziałeś mi dzisiaj rano – odezwał się w końcu. – Później, kilka godzin temu, usnąłem i przyśnił mi się znowu sen, który opowiedziałem ci dawno temu. Ten sam, który ty miałeś, kiedy usnąłeś nad doliną.

Nagle Józef usłyszał za sobą szybkie kroki i odwrócił się, aby zobaczyć, kto nadbiega. Lecz król Thotmes złapał go za ramię i przyciągnął do siebie.

– Wtedy, kiedy pierwszy raz mówiłem ci o moim śnie... – przełknął ślinę – nie wyjawiałem wszystkiego – szepnął Thotmes.

Józef spojrział na niego zaskoczony.

– Czego mi nie powiedziałeś?

Król Thotmes znowu przełknął ślinę. Kroki było słychać coraz bliżej. Józef zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel czegoś się boi.

– Przeczytaj dokładnie – rzekł król, wyjmując spod szaty papirusowy zwój i podając go ukradkiem Józefowi.

Potem odsunął się i Józef ujrzał wchodzącego do pokoju obcego człowieka z ogoloną głową, trzymającego w dłoni laskę zwieńczoną znakiem Amona. Kapłan uklonił się nisko.

– Jakie nowiny? – zapytał król Thotmes.

– Królowa twoja siostra, o królu...

Nie dokończył i odwróciwszy się, ruszył w głąb haremu. Kiedy jednak kapłan zauważył, że Józef towarzyszy królowi, zatrzymał się i próbował zabronić mu wstępu. Thotmes jednak rozkazał mu milczeć i ruszył dalej. Kapłan uklonił się znowu, z widoczną niechęcią, ale zrobił, jak mu rozkazano. Wkrótce wszyscy trzej dotarli do pokoju rodzącej królowej. Józef ościagał się z wejściem, nie chcąc naruszać intymności kobiety; wtedy jednak usłyszał krzyk króla Thotmesa i natychmiast przestąpił próg komnaty. Patrząc na scenę rozgrywającą się w środku, również Józef nie mógł powstrzymać okrzyku.

– Niech zmiłuje się nad nią Najwyższy – powiedział spoglądając na królową, która leżała w ohydnej kałuży krwi zmieszanej ze śluzem, a w jej brzuchu widniała straszliwa rana.

Józefowi, kiedy przyglądał się rozerwanym wnętrzościom, wydawało się niemożliwe, aby królowa żyła, lecz w tej samej chwili kobieta cicho jęknęła, a po jej policzku potoczyła się łza. Król Thotmes podszedł i delikatnie wziął żonę w ramiona, plamiąc swoje białe szaty krwią swej siostry-królowej; Józef przypomniał sobie, co król powiedział mu tego samego dnia wcześniej – że jest spadkobiercą Ozyrysa i nigdy nie umrze. Józef poczuł chłód głęboko w sercu i przyszła mu do głowy przerażająca myśl, że te słowa mogą być prawdą. A jeśli tak, pomyślał, to co z owym znakiem obiecany przez najwyższego kapłana, z cudem, który dowiodłby prawdy wszystkich jego słów? Spojrział jeszcze raz na straszliwą ranę królowej.

– Dziecko! – wykrzyknął niecierpliwie. – Gdzie jest dziecko?

Król Thotmes odwrócił się i spojrział na przyjaciela. Twarz faraona wyglądała jak maska. W tej samej chwili z cienia wyszedł jakiś człowiek z ogoloną głową, podobnie jak jego towarzysz, lecz ten miał na sobie szeroki złoty naszyjnik i skórę lamparta, co oznaczało, że

jest najwyższym kapłanem Amona. Józef mimowolnie cofnął się o krok, a kapłan – widząc to – uśmiechnął się lekko. Klasnął w dłonie; podeszła do niego służąca z zawiniątkiem w ramionach. Mężczyzna wziął dziecko na ręce. Józef zauważył, że zawiniątko rusza się gwałtownie. Kapłan rozsunął płótno owijające niemowlę i Józefowi wydawało się przez chwilę, że gdy przyglądał się dziecku, jego oczy wydawały się przeraźliwie puste. Józef zobaczył w nich samotność straszniejszą, niż umiał sobie wyobrazić. Lecz po chwili na ustach mężczyzny znowu pojawił się słaby uśmiech. Odwinąwszy pieluszkę, najwyższy kapłan uniósł do światła nowo narodzoną istotę.

– Nie! – krzyknął król Thotmes patrząc na niemowlę – na to coś, co było jego dzieckiem.

Czaszka noworodka była dziwacznie rozdęta i wydłużona. Dziecko miało nabrzmiąły brzuch, a kończyny nieproporcjonalnie cienkie; wyglądało jak ohydna parodia samego króla Thotmesa. Ale najgorsze ze wszystkiego były oczy – lśniące jasno i przypominające bardziej oczy demona niż ludzkie; nagle niemowlę zaczęło syczeć, pluć, poruszać palcami, długimi, cienkimi i zakrzywionymi jak szpony ptaka. Wyglądało jakby węszyło i Józef zdał sobie sprawę, że mały potworek czuje zapach rozlanej na podłodze krwi swojej matki.

– Nie! – wykrzyknął znowu król Thotmes.

Runął do przodu, a Józef widział pot perlący się na jego czole. Król próbował wyrwać stworzenie z rąk arcykapłana, lecz nagle załkał i zaczął bić się w piersi, jakby próbując przegnać strach przed tym, co zobaczył. Gdy Józef rzucił się ku swemu panu, by go podtrzymać, poczuł, jak szybko i głośno bije serce nieszczęśliwego ojca.

– Strach go zabije! – krzyknął. – Jego serce tego nie wytrzyma!

– Więc sprowadź lekarza – odpowiedział arcykapłan. – Idź! Ja zostanę z faraonem, bo przecież ty wiesz lepiej, gdzie szukać pomocy.

Józef podejrzliwie zmierzył wyznawcę Amona wzrokiem, po czym spojrzał na króla Thotmesa i jeszcze raz posłuchał, jak bije serce władcy. Ponownie spojrzał arcykapłanowi prosto w oczy, po czym wstał i wybiegł z komnaty, wzywając po drodze służących. Ale kiedy udało mu się zgromadzić służbę i wrócił do komnaty, króla Thotmesa już tam nie zastał – ani królowej, ani arcykapłana, ani ohydneho dziecka. Również po krwi nie pozostał nawet ślad; zupełnie jakby wszystkie przerażające wydarzenia które rozegrały się w tym pomieszczeniu, nigdy się nie zdarzyły.

Józef odesłał służących, ale sam nie opuścił komnaty mając nadzieję, że król Thotmes wróci. Jednak panowała zupełna cisza. Gdy cienie zaczęły się wydłużać, Józef poczuł jeszcze głębszą rozpacz i większy lęk. Nagle, gdy już opuszczała go wszelka nadzieja, usłyszał za sobą kroki. Obejrawszy się, ujrzał arcykapłana.

Obaj stali przez chwilę w milczeniu, po czym arcykapłan skłonił głowę.

– Sokół odleciał do nieba – oznajmił głosem pozbawionym wszelkich emocji. – Na jego miejscu pojawił się nowy sokół.

Józef westchnął głęboko.

– Przykro mi... słyszeć takie nowiny – wyszeptał, westchnął raz jeszcze i przymrużył oczy. – Ale faraon powiedział mi, że podobno obiecałeś mu, iż nigdy nie umrze.

Twarz arcykapłana pozostała niewzruszona.

– Nie próbuj, o wezyrze, ingerować w nasze tajemnice. Czy my kiedykolwiek wtrącaliśmy się w twoje sprawy państwowe? Król Thotmes nie żyje. Teraz król Amenhotep panuje nad Egiptem. Będzie potrzebował opieki mądrego i lojalnego sługi. Któż inny mógłby nim być, jeśli nie ty – Juja? Trzeba ci bowiem wiedzieć, że ostatnim życzeniem króla Thotmesa, wypowiedzianym z ostatnim tchnieniem było, abyś był dla jego syna tym, kim zawsze byłeś dla niego.

Józef milczał przez chwilę, po czym skinął głową.

– Oczywiście pozostanę mu posłuszny. Tak samo po śmierci, jak byłem za życia. – Zamilkł na chwilę i spojrzał arcykapłanowi prosto w oczy. – A jednak chciałbym wiedzieć, czy na pewno nie żyje.

Po raz pierwszy tego wieczoru na twarzy arcykapłana pojawiło się zakłopotanie.

– Jeśli są tajemnice ukryte nawet przed najwyższymi z moich towarzyszy, to dlaczego miałbym wyjawić je tobie, skoro nie wierzysz w nasze tradycje i naszych bogów? – rzekł i spojrzał na Józefa, a ten dostrzegł w oczach mężczyzny przeraźliwą samotność. – Nie prosz o to – szepnął arcykapłan po chwili. – Wierz mi bowiem: są tajemnice, których lepiej, żebyś nigdy nie poznał.

Uklonił się jeszcze raz, po czym odwrócił i wyszedł z komnaty. Józef nie poszedł za nim. Lecz później, gdy synowie jego już usnęli, wyjął papyrus, otrzymany od króla Thotmesa, i dokładnie przeczytał pismo, a z każdą chwilą stawał się coraz bardziej wzburzony. Gdy skończył, podszedł do swojej małej córeczki, Teje, i przez moment, zatopiony w myślach, spoglądał w milczeniu na jej pogrążone we śnie drobne ciało. W końcu wyszedł na taras i wyjął z fałdów szaty papyrus, patrząc na zachodnie wzgórza, gdzie leżała dolina z grobami faraonów.

Z tego samego tarasu, siedemdziesiąt dni po śmierci Thotmesa, Józef przyglądał się, jak kapłani Amona wnoszą na ramionach z pałacu zabalsamowane ciało króla, owinięte w bandażę i pokryte złotem. Józef nie chciał dołączyć do procesji, lecz tylko z daleka obserwował rząd pochodni przesuwający się przez zachodnią równinę w kierunku wzgórz z grobowcem wykutym w skale świętej doliny. Dopiero gdy wszystko skryła ciemność, Józef odwrócił się. Powoli poszedł do pokoju, w którym spała jego córka. Wziął ją w ramiona i uważnie przyglądał się pięknej twarzyczce. Potem stał jeszcze przez chwilę, jak poprzednio pogrążony w myślach.

Lecz w tym miejscu Harun spostrzegł, że zbliża się świt i przerwał opowieść.

– O Przywódcu Wiernych – powiedział. – Jeśli zechcesz wrócić tu jutro wieczorem, opowiem ci o losach córki Józefa, Teje.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun. I następnego dnia wieczorem wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Na wyraźny rozkaz króla Thotmesa, Teje została wychowana jak księżniczka. Od swych najmłodszych lat żyła w haremie, w jego wspaniałych komnatach i ogrodach pełnych kwiatów. Lecz sama była piękniejsza niż najcudowniejszy kwiat, a jako najmłodsza ze wszystkich dzieci w pałacu, bez trudu stała się ulubienicą nianiek. Z pewnością wiedziała, że jest bardziej lubiana niż królewskie małżonki i księżniczki, gdyż często mówił jej o tym sam król Amenhotep, który swoje siostry lubił tylko wtedy, gdy mógł je ciągnąć za włosy. Teje jednak nie potrzebowała słów faraona, by czuć się kochaną, dobrze bowiem wiedziała, że ojciec miłuje ją bardziej niż cały świat. Rzadko o tym mówił, ale często widziała, jak przygląda jej się w milczeniu. Czasem, gdy ją przytulał, opowiadał o matce. Pewnego razu zaniósł Teje na ramionach w pewne miejsce za pałacem, gdzie rząd drzew wyznaczał brzeg niewielkiego stawu i powiedział, że matka lubiła tu niegdyś spacerować. Nigdy więcej nie wspominał o tym, ale gdy Teje podrosła, ulubioną rozrywką ojca stało się zabieranie jej z haremu i wspólna wędrówka przez pola. Razem obserwowali kaczki pływające po stawie i lśniąco białe gołębie wzbijające się w niebo. Dla Teje takie wycieczki były rzadkimi i ulotnymi chwilami wolności; również ona, podobnie jak ojciec i zmarła nieznana matka, zakochała się w stawie, w widoku ptaków oraz wzgórz rozciągających się na zachodzie.

Miłość ta stała się jeszcze silniejsza, gdy życie Teje w haremie zaczęło się pogarszać. Bracia, tak jak ojciec, zawsze ją wielbili i sprawiało im przyjemność – ponieważ pozwalało im to czuć się mężczyznami – nieprzyzwoicie rozpieszczać młodszą siostrę. Z czasem jednak zarówno Anen, jak i Aj opuścili harem. Weszli do wielkiego świata rozciągającego się za jego murami, a Teje, ciągle jeszcze mała dziewczynka, poczuła się okrutnie opuszczona. Nudziły ją ogrody i dziedzińce haremu; nie lubiła towarzystwa innych dziewczynek, pragnęła tylko znowu być ze swoimi braćmi. Gdy któryś z nich przyszedł w odwiedziny, wypytywała go zachłannie o szczegóły wszystkich cudów świata, a kiedy odchodził, z żalu wpadała w zły nastrój. Lecz gdy mówiła o tym, że sama kiedyś opuści harem, towarzyszki – siostry faraona – wyśmiewały ją niemiłosiernie, ciągnąc Teje za włosy, mściły się za to, jak traktował je własny brat. Im córka Józefa stawała się starsza i piękniejsza, tym bardziej księżniczki nienawidziły swojej rywalki, aż w końcu Teje rozpaczliwie zapragnęła uciec. Ale nadal jej jedynymi chwilami wolności były spacer z ojcem i wyczekiwane z tęsknotą odwiedziny braci.

Zarówno Aj, jak i Anena kochała tak samo mocno, choć każdego na swój sposób. Aj przynosił powiew bezkresnych pustyń, gdyż mógł już – mimo iż miał zaledwie czternaście lat – polować, powozić rydwanem i ćwiczyć się w rzemiośle wojennym, jak inni mężczyźni. Anen, starszy, był bardziej zamknięty w sobie i opanowany, jakby jego milczenie skrywało



jakiś wielki sekret, który z trudem przyjmował do wiadomości. Ale umysł miał przenikliwy i niespokojny. Teje podejrzewała, że gdy ojciec wyjeżdżał, Anen śledził kapłanów świątyni Amona i do głębi poznawał tajniki dworu. Teje, znosząca prześladowania ze strony siostr faraona, szczególnie cieszyła myśl, że wie więcej o poczynaniach swoich braci niż królowa; kiedy więc nagle wizyty Anena stały się rzadsze, Teje poważnie się zaniepokoiła. Minęło kilka miesięcy i przez cały ten czas jej najstarszy brat nie pojawił się ani razu. Pewnego dnia, gdy Teje spacerowała z Józefem po polach rozciągających się za pałacem, zapytała, gdzie zniknął Anen, i zauważyła, że twarz ojca, zazwyczaj tak spokojna, natychmiast pociemniała z gniewu. Lecz Teje nie wierzyła, aby dobrotliwy ojciec mógł być naprawdę zły, gdyż nigdy wcześniej nie widziała, by stracił panowanie nad sobą; zapytała więc ponownie, co się dzieje z jej bratem. Józef zatrzymał się i stał przez chwilę nieruchomo.

– Boję się o tym myśleć – powiedział w końcu, odwracając się ku córce. – Teraz jest w rękach moich śmiertelnych wrogów, nie mogę nic dla niego zrobić. Proszę, nie wspominaj więcej imienia swojego brata.

Twarz miał poważną, a Teje tak bardzo szanowała życzenia ojca, że opanowała ciekawość na cały wieczór i uległa jej dopiero następnego ranka, gdy kazała posłańcowi odszukać Aj.

Przyszło jej poczekać kilka dni. Nie zdziwiła się, gdyż wiedziała, że Aj stał się najbliższym przyjacielem króla Amenhotepa i często wspólnie oddawali się rozrywkom, odrywając się od innych spraw państwowych. Minął prawie cały tydzień, zanim Aj znowu się pojawił, z lwią skórą na plecach i w towarzystwie króla Amenhotepa, który niósł głowę drugiego lwa. Teje natychmiast padła na twarz; wprawdzie król niegdyś był jej towarzyszem zabaw, ale nie widziała go prawie od roku, a pamiętała, jak łatwo wpadał w dziwne nastroje i gniew. Lecz on pochylił się i podniósł dziewczynkę, obsypując pocałunkami jej dłonie tak, że zarumieniła się i odwróciła wzrok. Aj, widząc to, mrugnął porozumiewawczo, zaśmiał się i wskazał ręką ciała lwów.

– Widzisz przynieśliśmy ci prezenty – powiedział z dumą w głosie.

Teje spojrzała na lwy i zmarszczyła nos.

– Wolałabym żywe.

Król Amenhotep wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– To się da zrobić – spojrzał na Aj. – Czyż nie jesteśmy wielkimi myśliwymi? Mam co prawda szesnaście lat, ale już nikt w Egipcie nie może mi dorównać.

Aj przytaknął z uśmiechem, lecz Teje patrząc na nich, miała pewne wątpliwości, czy król rzeczywiście może się równać z jej bratem. Mimo iż jeszcze niemal chłopcy, obaj byli potężnie zbudowani; jednak Aj wydawał się wyciosany z najtwardszego marmuru, brzuch i kończyny króla Amenhotepa sprawiały natomiast wrażenie znacznie miększych. Teje jednak zachowała tę opinię dla siebie, gdyż wydawało jej się, że król postanowił wyrzucić na niej wrażenie, opowiadając o swojej odwadze, wielkich czynach i przerywając czasem, by

dotknąć odciętej głowy lwa. W pewnej chwili zamoczył ręce w ciągle jeszcze lepkiej posoce i oblizwał dłonie. Zanim odszedł, dotknął ust Teje palcem zanurzonym we krwi. Oblizwał własne wargi, a Aj wybuchnął śmiechem; lecz Teje, chociaż się uśmiechała, nie zrozumiała żartu. Poczwała ulgę, kiedy król Amenhotep w końcu się oddalił i mogła zapytać, czy Aj słyszał coś o starszym bracie. Aj zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, gdyż nie wiedział nic; jednak solennie obiecał dowiedzieć się, ile tylko będzie możliwe.

W następnych dniach pojawił się jednak nie Aj, lecz król Amenhotep, który ucałował dłonie Teje jak poprzednio, a potem nagle i zupełnie nieoczekiwanie wziął ją w ramiona. Z wysiłku dostał zadyszki, lecz jego pełne wargi uśmiechały się cały czas i Teje zeszywniała, czując ich miękki i wilgotny dotyk na swoich ustach. Z trudem oswobodziła się z jego objęć, a król uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bardzo dobrze – sapnął – że jestem tak potężnym myśliwym, bo widzę, że jesteś nie tylko piękna, ale i ognista. Wspaniała zwierzyna do złowienia!

Teje spojrzała mu w oczy, a jej mina nie wyrażała zachwytu.

– Miałam nadzieję, że mogę być czymś więcej niż tylko zwierzyną łowną.

Królowi na chwilę uśmiech zamarł na wargach.

– Możesz być – szepnął nagle, z niespodziewanym wyrazem żalu na twarzy. – Naprawdę – szepnął, raz jeszcze biorąc ją za rękę i prowadząc na taras. – Inaczej bowiem, czy przynosiłbym ci dar godny królowej?

Wskazał na dziedziniec w dole, gdzie leżały w klatce trzy czarnogrzywe lwy, zbroczone krwią i pokryte kurzem. Król Amenhotep patrzył na Teje rozpromieniony.

– Złapałem je sam. Ja sam i Aj.

Teje spoglądała na niego w milczeniu.

Król dotknął jej ramienia.

– Dlaczego nie podziękujesz mi za prezent? – spytał cicho.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Wołałabym je widzieć na wolności. – Spojrzała za siebie, na mury haremu. – Dzikich zwierząt nie powinno się trzymać w klatkach.

Król Amenhotep zeszywniał, po czym gwałtownie przytaknął i klasnął w tłuste, miękkie dłonie.

– Tak też się stanie!

Wziął Teje za rękę i sprowadził w dół, na dziedziniec, a tam przycisnął jej twarz do prętów klatki. Mimo ran i wyczerpania lwy spoglądały z drapieżnym dostojenstwem, a jeden z nich, widząc Teje, przeciągnął się i uniósł, przysiadając na zadzie. Ziewnął powoli; ogony wszystkich trzech uderzały o ziemię.

Teje pomyślała, że nigdy wcześniej nie widziała tak pięknych i potężnych stworzeń. Gdy pojawili się służący i zaczęli przesuwać klatkę po dziedzińcu, Teje odwróciła się do króla, aby zapytać, co zamierza zrobić ze zwierzętami, a on uśmiechnął się i wskazał niewielkie

metalowe wrota, przylegające z jednej strony do wysokiego białego muru, a z drugiej do najwyższej części haremu. Teje zmarszczyła brwi widząc, że metalowe wrota zostały otwarte, a klatkę wprowadzono do środka.

– Przecież ta są ogrody królowej! – wykrzyknęła.

Król Amenhotep roześmiał się.

– Już nie – odparł.

Znowu wziął Teje za ręką i zaprowadził na dach haremu. Spoglądając w dół, widziała trzy lwy, uwolnione już z klatki i przechadzające się między rzadkimi, cennymi drzewami w ogrodzie; mimowolnie uśmiechnęła się i krzyknęła z radości. Jej wielbiciel natychmiast się rozpromienił. Uniósł i ucałował dłoń dziewczynki.

– Jak powiedziałem – odezwał się cicho – dar godny królowej.

Potem odwrócił się i odszedł, a Teje patrząc za nim, poczuła przyjemny, choć zupełnie nieoczekiwany dreszcz dumy i nadziei. Leżała przez godzinę, przyglądając się lwom, po czym zeszła do chłodnych pomieszczeń haremu oraz ogrodów przydzielonych mieszkającym tam kobietom, gdyż zapragnęła posiedzieć wśród kwiatów i fontann. Lecz kiedy znalazła się w ogrodzie, ujrzała, ku swemu zaskoczeniu, że ktoś już zajął jej ulubione miejsce; gdy podeszła bliżej, rozpoznała najstarszą siostrę faraona, samą Wielką Małżonkę.

Teje zamarła i już miała odejść, lecz królowa zauważyła ją i zawołała. Zdenerwowana Teje podeszła, po czym uklękła u stóp monarchini.

– Nie dziw się, że muszę siedzieć w twoim ogrodzie, dziewczyno z haremu – powiedziała w końcu królowa. – Mój własny, jak wiesz, został przede mną zamknięty.

Teje spuściła głowę i nie rzekła ani słowa. Królowa nagle kopnęła dziewczynę, przewracając ją na ziemię.

– Co powiedział faraon? – syknęła królowa. – Co ci obiecał?

Teje powstrzymała łzy upokorzenia. Zauważyła, że za królową zgromadziło się więcej siostr króla Amenhotepa, z twarzami wykrzywionymi nienawiścią. Ten widok doprowadził Teje do furii; zerwała się na równe nogi i wyprostowała dumnie.

– Powiedział mi, że zostanę jego Wielką Małżonką – oznajmiła.

Ku zadowoleniu Teje wśród księżniczek dały się słyszeć pełne niepokoju szepty. Lecz Wielka Małżonka tylko potrząsnęła głową i zaśmiała się.

– Tak ci powiedział?! – krzyknęła. – To znaczy, że zamierza zrobić z ciebie dziwkę.

– Myśl sobie, co chcesz – roześmiała się Teje. – Ale najwyraźniej on nawet moje lwy kocha bardziej niż ciebie.

Wielka Małżonka wyglądała, jakby krew odpłynęła jej z twarzy, ale gdy wstała, była już lodowato spokojna.

– Nigdy nie zostaniesz niczym więcej niż jego konkubina – szepnęła, dotykając policzka Teje. – Przecież wiesz, moje dziecko, że tylko księżniczka może zostać królową.

– Zostałam wychowana jak księżniczka.

Wielka Małżonka znowu się zaśmiała.

– Posłuchajcie jej! – wykrzyknęła, lecz natychmiast uśmiech zniknął z jej twarzy; złapała Teje za brodę i odchyliła jej głowę do tyłu. – Nie masz królewskiej krwi! – parsknęła. – I dlatego jesteś niczym. Ot co! – zaśmiała się znowu, lecz teraz w śmiechu dźwięczała histeryczna nutka. – Nie jesteś nawet Egipcjanką, a myślisz, że zostaniesz naszą królową? Popatrz na ten włos! – wyrwała dziewczynie pukiel. – Zobacz, jaki poskręcany, jaki wstrętny! Popatrz na swoją skórę! – Rozerwała jej szaty, odsłaniając piersi Teje. – Czarna jak noc! – Wyciągnęła rękę za siebie i Teje ujrzała, że jedna z siostr królowej podaje bicz. – Jeśli naprawdę chcesz zostać konkubina faraona – syknęła Wielka Małżonka – to byłoby lepiej dla ciebie, gdybyśmy obdarły cię ze skóry, bo wtedy mniej przypominałabyś Nubijkę.

Mówiąc to, królowa zerwała szatę z Teje i zaczęła chłostać jej nagie plecy. Dziewczyna rozpaczliwie próbowała się podnieść, lecz księżniczki przytrzymały ją mocno przy ziemi. Ciosy nie ustały, dopóki Wielka Małżonka się nie zmęczyła. W końcu odłożyła bicz i kopnęła Teje; potem wszystkie siostry odwróciły się i odeszły, a Teje została sama.

Chwilę później przybiegły do niej niańki, zdenerwowane, bojąc się, aby nie zobaczyły ich księżniczki. Zaniósły niefortunnie do pokoju, gdzie czekało przygotowane posłanie. Teje nie odezwała się nawet, aby im podziękować, lecz leżała w milczeniu, wpatrując się w ścianę. Dopiero nocą, gdy wszyscy w haremie usnęli, wstała i wyszła na taras, żeby spojrzeć na swój ulubiony staw; lecz mur zasłaniał jej widok, wróciła więc do pokoju. Ostrożnie opatrzyła sobie rany; potem ubrała się i ozdobiła najlepiej jak umiała. Przez długie godziny siedziała w świetle księżycy, czesząc włosy, aż w końcu nadszedł świt i odłożyła lustro. Wówczas zobaczyła za sobą cień człowieka.

– Kto tu jest? – krzyknęła przerażona, lecz zaraz uśmiechnęła się z zaskoczeniem i ulgą. – Anen! To ty? Co tu robisz?

– A jak myślisz? Brakowało mi mojej młodej siostrzyczki.

– Ale nie wolno ci tu być o tej porze – szepnęła wystraszona.

– Nie – pokręcił głową – teraz już nikt mi niczego nie może zabronić.

Mówiąc to zrobił krok do przodu i siostra ujrzała, że jego głowa jest ogolona, a na szyi zwisa symbol Amona. Wskazał na niego palcem i uśmiechnął się.

– Z tym mam moc stu faraonów.

Teje spojrzała na niego zaskoczona.

– Ale... nie... jak mogłeś? – wyjąkała. – Nasz ojciec...

– Bał się wykorzystać okazję, ale ja to uczyniłem.

– Jaką okazję? Mój bracie, o czym mówisz?

– Nasz ojciec wiedział o tajemnicach ukrytych w świątyni Amona. Słyszałem, jak kiedyś o tym rozmawiał. Ale bał się odchylić zasłonę, która skrywała sekrety. Jednak ja, jak widzisz – dotknął swojej ogolonej głowy – nie byłem takim tchórzem. A cóż to są za tajemnice!

Teje patrzyła na Anena szeroko otwartymi oczami.

– Czego się dowiedziałeś? – szepnęła niecierpliwie.

– Czy sądzisz, że mogę ci o tym powiedzieć?

– Dlaczego nie?

Anen uśmiechnął się.

– Ponieważ są to sekrety, które pochodzą z samego początku czasu, zapisane w świętych księgach, strzeżone przez garstkę kapłanów i zawierające tajemnice samych bogów. Właśnie dlatego nie mogę ci o tym powiedzieć.

Teje odwróciła się i pociągnęła nosem, aby ukryć rozczarowanie.

– Więc po co w ogóle o tym wspominałeś?

– Tylko po to, żeby zrobić na tobie wrażenie. – Anen uśmiechnął się znowu i chciał wziąć siostrę w ramiona, lecz ta skuliła się i cofnęła.

Anen spojrzał na nią zaskoczony.

– Co się stało? – zapytał i wtedy zobaczył ślady bicza na jej ramionach.

Teje początkowo nie zdradziła mu, co się stało, lecz próbowała wstać i uciec, ale w końcu, łkając i przełykając łzy, wyrzuciła z siebie całą historię. Anen słuchał w milczeniu, po czym wyciągnął zza paska niewielkie naczynie.

– Możliwe – szepnął przytulając do siebie Teje – że będę mógł ci pokazać chociaż część moich mocy.

Wziął kawałek płótna i nasączył go gęstym czarnym płynem, który wylał z naczynka. Posmarował nim rany na ramionach siostry i Teje natychmiast poczuła, że ból słabnie. Zobaczyła, jak rany znikają.

– Anen! – krzyknęła. – To są naprawdę czary! Jakie sekrety, jaka magia mogą dokonać takiego cudu?

Lecz Anen tylko się uśmiechnął i przyłożył palec do ust, po czym odsunął jej szatę i przyjrzał się sinym pręgom na plecach. Znowu posmarował płynem ślady bicza i Teje ponownie poczuła, jak ból ustępuje.

– A blizny? – zapytała. – Czy wszystkie blizny też zniknęły?

– Nie ma po nich śladu.

Teje skinęła głową z cichą satysfakcją i natychmiast sięgnęła po swoje szaty i ozdoby. Anen jednak zmarszczył brwi, patrząc, jak się ubiera.

– Chcesz przyćmić blask świtu? – mruknął. – Jesteś już wystarczająco śliczna jak na tę porę.

Lecz Teje pokręciła głową.

– Faraon... – zaczęła cicho. – Muszę... chcę... mieć faraona.

Anen zasępił się jeszcze bardziej.

– Nie słyszałaś, co powiedziała Wielka Małżonka? Tylko księżniczka może go poślubić.

– Ale to przecież kłamstwo?

– Nie. – Wstał i wziął siostrę w ramiona. – Nie, to nie kłamstwo.

- Kto tak postanowił?
- Tak zostało postanowione przez starożytną mądrość Amona.

Teje przez chwilę patrzyła na brata z niedowierzaniem, a w końcu wściekle potrząsnęła głową.

- Nie wierzę ci!
- Przykro mi, ale taka właśnie jest prawda.
- Prawda?
- Tak było od czasów pierwszych faraonów.

Teje uniosła lusterko i poprawiła fryzurę.

– Jeszcze zobaczymy – powiedziała; wyduła usta i pomalowała wargi. – Niezmienny obyczaj zawsze można próbować zmienić.

Potem odwróciła się i wybiegła z komnaty, nie zatrzymując się, mimo protestów Anena. Weszła na najwyższy taras haremu i siedziała tam przez dłuższą chwilę, spoglądając na swoje lwy wylegające się w porannym chłodzie między drzewami. A gdy król Amenhotep pojawił się na dole i zobaczył Teje, obudziło się w nim wielkie pożądanie i pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział takiego piękna – ani w gwiazdach, ani w słońcu, ani w żadnym innym zjawisku na niebie i ziemi. Odłożył więc wszystkie sprawy i natychmiast wspiął się na taras. Wziął Teje w ramiona i próbował pocałować. Lecz dziewczyna odwróciła się i nie nadstawiła do pocałunku, dopóki nie obiecał solennie, że uczyni z niej swą Wielką Małżonkę. Dopiero wtedy pocałowała króla delikatnie, ale natychmiast odskoczyła i uciekła w dół po schodach. Amenhotep został sam.

Następnego ranka znów pojawił się na dziedzińcu. Spojrzał w górę, zobaczył Teje w całej krasie i znowu poczuł, że owładnęła nim miłość do niej i nieopanowane pożądanie. Podobnie jednak jak poprzednio, gdy wspiął się na taras i próbował wziąć oblubienicę w ramiona, Teje nie nadstawiła ust do pocałunku, lecz odwróciła głowę i przypomniała o obietnicy.

Król Amenhotep zadrzał z pożądania.

– Jestem Panem Obydwu Krajów! – krzyknął z wściekłością. – I mogę robić, co mi się podoba!

– Ale ja raczej rzucę się stąd na dół, niż zostanę twoją dziwką – odparła hardo córka Józefa.

- Ale ty nie możesz być moją żoną.
- A dlaczego nie?
- Zabraniają tego kapłani świątyni Amona.

– Sam przecież powiedziałaś, że jesteś Panem Obydwu Krajów. A może to arcykapłan Amona jest prawdziwym królem Egiptu?

Król Amenhotep zacisnął pięści.

– No dobrze, niech więc tak się stanie – rzekł i skinął głową.

Mówiąc to wyciągnął ku Teje ramiona, lecz ona znowu się odsunęła.

– To musi zostać ogłoszone w każdym zakątku kraju, żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości – zagadnęła.

Po czym lekko ucałowała faraona, odwróciła się i uciekła.

Następnego ranka król Amenhotep po nieprzespanej nocy wstał jeszcze przed świtem i sam rozsiadł się w ulubionym miejscu Teje, na tarasie harem, nad ogrodem. Kiedy pojawiła się Teje, król Amenhotep pomyślał, że jest piękniejsza niż słońce, które właśnie wstawało na wschodzie, za głową dziewczyny, ozdabiając jej włosy złocistą aureolą. Poczł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa jak oddech bogini, gdy Teje uśmiechnęła się do niego, po czym spuściła czarne oczy.

– Nie bądź taka nieśmiała! – wrzasnął król, wstając; ponownie poczuł w żołądku oddech bogini i jęknął: – O, Teje, Teje...

Zamilkł, gdyż nigdy wcześniej nie próbował ująć miłości w słowa, ani też do tej chwili nie wiedział, co to miłość. Stał ogłupiały, gdy Teje się roześmiała, po czym nagle rzucił się do przodu i złapał ją za delikatną talię. Próbował przytulić, przytrzymać, tę piękną istotę, ale ona, jak poprzednio, wymknęła się z jego objęć.

Teraz jednak spojrzała królowi w oczy, nie spuściła wzroku.

– Zrobisz, jak obiecałeś? – zapytała. – Będę twoją królową?

Król Amenhotep westchnął głęboko.

– Będę królową?

Faraon westchnął znowu.

– Ty nic nie rozumiesz.

– Ależ tak – syknęła Teje, cofając się. – Rozumiem aż nazbyt dobrze.

– Nie, nie mogę nic zrobić. – Amenhotep machnął bezradnie rękami. – Nie bez pozwolenia bogów.

Widział pogardę w oczach Teje i czuł, że jego policzki zaczynają płonąć, jakby bogini tchnęła mu prosto w twarz ognistym oddechem. W tej samej chwili wezbrał w nim gniew i wiedział już, że nie potrafi dłużej wytrzymać bez Teje.

– Nieważne – wrzasnął, rzucając się naprzód i łapiąc dziewczynę za włosy. – Jestem faraonem i zrobię, co będę chciał!

Krzyknęła i szarpnęła się najmocniej, jak umiała, lecz król Amenhotep trzymał mocno i nie pozwolił jej uciec. Gdy poczuła, że sięga do jej nóg, cofnęła się, stając na krawędzi tarasu. Spojrzała w dół na dziedziniec i zobaczyła, że zgromadził się tam tłum ludzi, bez wątpienia zaalarmowanych krzykami. Potem popatrzyła w stronę ogrodu; widziała górne gałęzie najwyższych drzew, daleko przed sobą. Przy fontannie leniwie przechadzał się lew.

Król ociężale podszedł i złapał ją za kolano.

– Czy będę królową? – powtórzyła głośno pytanie.

Lecz Amenhotep dygotał, tak że całe jego ciało drżało, i wydawał się jej nie słyszeć. Przesunął dłoń po zgrabnej nodze, sięgając znowu w górę. Teje zamknęła oczy. Potem

krzyknęła, wygięła się do tyłu – i już nie czuła pod stopami mocnego i masywnego dachu haremu. Ledwie usłyszała, jak faraon krzyczy z przerażenia, lecz dźwięk ten słabł, ginął w powietrzu szumiącym jej w uszach. Teje uśmiechnęła się na krótką chwilę, myśląc o tym, że w końcu jest wolna. A potem poczuła, że uderza o coś twardego. Dobiegła ją woń liści rzadkiego, drogiego drzewa. Zdała sobie sprawę, że spadła na gałęzie. Konary jednak najwyraźniej nie zatrzymały jej upadku, gdyż cały czas słyszała szum powietrza w uszach, a potem nagle poczuła zapach kwiatów i wilgotnej ziemi i krzyknęła, mając wrażenie, że jej czaszka się roztrzaskuje.

Agonia była nagłą eksplozją czerwonego światła. Ale mimo, iż uderzenie potrząsało całe ciało, gdyż czuła, że kończyny ma powykręcane w różne strony, nie opuszczała jej jedna myśl, jak wyspa w morzu bólu: żyję! Zaskoczyło ją to, a jednak była to prawda. „Żyję”.

Przez dłuższą chwilę nie próbowała się poruszyć i prawie nie czuła żaru słońca na twarzy, zapachu liści akacji i tamaryszku, ani nie słyszała śpiewu ptaków w krzewach ogrodu. Nie wiedziała, ile godzin minęło, ponieważ ani razu nie otworzyła oczu; w końcu jednak słońce przestało palić; uznała więc, że zbliża się wieczór. Było jej jednak ciepło i pomyślała, że coś musi leżeć koło niej; delikatnie poruszyła się i odkryła, że w istocie nie jest sama.

Natychmiast usiadła. Ból, chociaż wielki, okazał się do zniesienia, ale nie wątpiła, że ma zmiażdżoną czaszkę. Dotknęła głowy. Nie znalazła ani śladu rany. Jak to możliwe? Dlaczego nie umarła? Otworzyła oczy. Dwa lwy leżały rozciągnięte obok niej, a trzeci zwinął się w kłębek u jej stóp. Teje roześmiała się, widząc, jak zwierzęta leniwie się przeciągają, gdyż przyszło jej do głowy, że przeżyła upadek tylko po to, by zostać zjedzoną przez dzikie bestie. Wtedy lwy zaczęły ją obwąchiwać i lizać jej rany, jakby nie była dziewczyną, lecz lwem, jak one. Czuła ich szorstkie języki na swoim obolałym ciele, ale gdy ją lizaty, czuła, że ból stawał się coraz mniejszy. W końcu wstała, a lwy natychmiast zaczęły się rozkosznie przeciągać i tarzać na grzbietach. Gdy Teje pochyliła się, by je pogłaskać, ocierały się o jej nogi. Nawet kiedy ruszyła ku bramie ogrodu, dalej się bawiły, skacząc wokół dziewczyny jak wyrosnięte kociaki. Stała przy bramie, odsunęła zasuwę i wypuściła zwierzęta. One jednak szły za nią przez opustoszały dziedziniec i harem do tej części pałacu, której nigdy wcześniej nie widziała. Pamiętała jednak, że Aj opisywał kiedyś te pomieszczenia, i wiedziała, gdzie może znaleźć faraona. Przeszła przez jedne drzwi, potem przez drugie, gdzie kilku gwardzistów próbowało ją zatrzymać. Spojrzeli jednak na jej twarz, na lwy, a potem wyjąkali coś i odsunęli się przerażeni.

Za drzwiami rozciągał się kolejny ogród. Na pierwszy rzut oka wyglądał na pusty, ale po chwili Teje usłyszała odległe głosy dwóch osób prowadzących ożywioną rozmowę. Ruszyła w ich stronę, z lwami ciągle krążącymi bezgłośnie, aż w końcu, przy sadzawce oświetlonej srebrzystym blaskiem księżycy stanęła i ponownie wsłuchiwała się w głosy.

Rozpoznała głos swego ojca. Był bardzo niski i brzmiał w nim z trudem opanowywany gniew.



– Mówię ci, ona nie mogła zginąć. To niemożliwe. Dlatego pytam raz jeszcze, faraonie, skąd spadła? Gdzie mogę ją znaleźć? Muszę iść do niej.

– Ona nie żyje – rzekł król Amenhotep. – Widziałem to. Choć zdarzyło się tak, że nie mogłem zejść i spojrzeć jej w twarz. To dziwne... – zamilkł na chwilę. – Nie mam w zwyczaju uciekać na widok śmierci.

– Jeśli spojrzysz na jej twarz, obiecuję ci, zobaczysz, że ciągle żyje. Gdyż od dnia narodzin Teje jest w tajemniczy sposób chroniona.

Józef powiedział to z tak głębokim przekonaniem i z takim zniecierpliwieniem, że dziewczyna zaczęła się zastanawiać, o czym może wiedzieć jej ojciec.

– Powtarzam ci jeszcze raz, faraonie, moja córka nie umarła.

Lecz król Amenhotep roześmiał się dziko.

– Gdybyż tak było!

– To co wtedy?

– Wtedy miałbym błogosławieństwo bogów! I mógłbym uczynić ją królową.

Słuchając tych słów, Teje uśmiechnęła się do siebie i spojrzała na swoje odbicie w wodzie. Każdą część ciała miała okrutnie poobijaną, a długie włosy skołtunione i przesiąknięte krwią. Lecz ze swoimi lwami u boku wyglądała jak bogini, a odbicie księżyca w wodzie tworzyło srebrną koronę na jej głowie.

Uśmiechnięta ruszyła w kierunku rozmawiających. Ojciec i król Amenhotep zamilkli, gdy do nich podeszła. Twarz Józefa była jak skamieniała, lecz nagle uśmiechnął się i wziął córkę w ramiona. Skrzywiła się, uwalniając z uścisku, i spojrzała królowi Amenhotepowi w rozszerzone z niedowierzania oczy.

– Ale... nie... – wyjąkał – widziałem... byłaś martwa...

– Czy nie oczekiwałaś znaku od bogów? – odparła Teje.

– Tak... – król Amenhotep przełknął ślinę, po czym potwierdził energicznie: – Tak, oczekiwałem.

Wyciągnął do niej rękę. Teje mimo bólu pozwoliła wziąć się w objęcia i ucałować. Uśmiechnęła się nawet zadowolona z dokonanego podboju; wiedziała bowiem, kiedy patrzyła królowi w oczy, że zwyciężyła. Tak też było, gdyż jeszcze tego samego wieczoru jej nowy status został ogłoszony w całym pałacu i wszyscy, którzy ją widzieli, dziwili się, że jeszcze żyje. Wkrótce też rozeszły się pogłoski, że jest prawdziwą dziedziczką bogów. W ogólnym zamieszaniu i burzy plotek nikt nie zwrócił uwagi na jej prawdziwe pochodzenie i nikomu nie przyszło do głowy, że ona i faraon nie są rodzeństwem. Wszyscy mówili tylko o tym, jak powstała z martwych, by zostać Wielką Małżonką.

Lecz Teje, nawet w pierwszym oszołomieniu i mimo podekscytowania tryumfem, nie zapomniała, że ciągle jeszcze została jej jedna przeszkoda do pokonania. Nie była też zdziwiona, gdy następnego ranka, chodząc po pałacu i oglądając swoje nowe włości, została poinformowana przez służącą, że jakiś kapłan Amona pragnie się z nią zobaczyć. Odwróciła

się i zobaczyła Anena, stojącego z ponurą miną u wejścia do ogrodu. Począł, aż do niego podeszła, a potem razem spacerowali między drzewami.

– Myślę, że będziesz tego potrzebować – powiedział w końcu Anen, wyjmując coś spod szaty.

Podał jej naczynko, a Teje uśmiechnęła się, widząc czarną, lepką ciecz. Rozsmarowała ją na bliźnie szpecącej ramię. Patrzyła zafascynowana, jak rana znika.

– To naprawdę jest najbardziej niezwykła magia – szepnęła.

– Tak. – Anen zmarszczył brwi. – Ale także niebezpieczna dla tych, którzy nie rozumieją, z czym mają do czynienia.

Teje spojrzała na brata zaskoczona. Twarz kapłana wyglądała jeszcze bardziej ponuro niż poprzednio.

– Co masz na myśli? – zapytała. – Czy chcesz próbować zabronić mi małżeństwa z faraonem?

– Nie mogę. Bogowie przemówili. Wyrwali cię z paszczy śmierci i w ten sposób wyznaczyli na królową.

Teje uśmiechnęła się.

– A zatem wygląda na to, że bogowie zmienili zdanie.

– Tak. – Zasepił się i spojrzał w przestrzeń.

Teje przyspieszyła i stanęła przed bratem.

– Anenie – zapytała dotykając jego dłoni – o czym ty mówisz? O czym wiesz?

Spojrzał na siostrę ze zniecierpliwieniem i nagle wyraz jego twarzy zmienił się; Anen złapał Teje za rękę.

– Chciałbym... – szepnął, potrząsnął głową i ucałował jej palec. – Chciałbym... – powtórzył – żeby wszystko inaczej się potoczyło.

– Co takiego?

– Żebyś nie była... żeby... nie... – Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Wiesz, że nie wolno mi zdradzić tego, co jest ukryte.

Teje spojrzała na niego spod długich rzęs.

– Czy zaskoczyła cię wiadomość, że nie zginęłam przy upadku?

– Niezmiernie.

– Ale nasz ojciec nie był zdziwiony.

– Doprawdy? – Zmarszczył czoło. – No tak.

– Czy wiesz może dlaczego?

Anen zatrzymał się na chwilę, po czym wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Nie mogę już dłużej z tobą rozmawiać, gdyż boję się, że nieopatrznie się z czymś zdradzę – odparł.

Odwrócił się, lecz gdy Teje go zawołała, zatrzymał się, jakby wbrew własnej woli, i spojrzał w jej stronę.

– Jestem twoim bratem... – zaczął wolno – i bardzo cię Kocham, ale przede wszystkim jestem kapłanem Amona.

– A czy Amon uzna za stosowne pobłogosławić moje małżeństwo?

– O, z pewnością – uklonił się – z pewnością, wielka królowo.

Potem odwrócił się i odszedł pospiesznie, a Teje już nie próbowała go zatrzymać. Kiedy jednak patrzyła, jak Anen się oddala, przez chwilę poczuła niepokój z powodu jego dziwnych słów i dźwięczącej w nich ostrzegawczej nuty. Potem jednak roześmiała się, potrząsnęła głową i ruszyła ścieżką.

– Czego mam się bać?! – krzyknęła na cały głos. – Jak sam Anen powiedział: czyż nie jestem Wielką Królewską Małżonką? Teraz wszystko na całym świecie czeka na moje rozkazy!

Wychodząc z ogrodu, zatrzymała się na dziedzińcu, gdzie rzeźbiarze pracowali nad zdobieniem bramy. Teje spojrzała na słowa, które wykuwali, i klasnęła w ręce, po czym pobiegła do pałacu. Robotnicy kończyli swoje dzieło. „Teje – wykuli – Arystokratka, Wielka Łaskami. Teje, Pani Wszystkich Krajów, Pani Przyjemności, Ta, Która Wypełnia Pałac Miłością. Teje, Pani Górnego i Dolnego Egiptu, Pani Obydwu Krajów”.

Lecz w tym miejscu Harun zobaczył, że zbliża się świt, i przerwał opowieść.

– O Przywódcu Wiernych – powiedział. – Jeśli zechcesz przyjść tu jutro wieczorem, to opowiem ci o losach faraona i królowej Teje.

I tak kalif uczynił, jak radził Harun; następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Teje nie potrzebowała zachęty i niebawem poznała, jak przyjemne może być życie królowej. Wszystko, o czym śniła za wysokimi murami haremu, wszelkie wspaniałości z jej marzeń, teraz miała w zasięgu ręki. A doskonałość dworu faraona, niewyczerpane źródła przyjemności, piękna i bogactwa wydawały się przekraczać najśmielsze oczekiwania. Dla Teje bycie panią takiego świata równało się niemal osiągnięciu raju; przypuszczała bowiem, że i tam znajdują się niezrównane cuda, złoto i srebro, kadzidła i wonności, słodko pachnące drewno, trony z kości słoniowej, najrzadsze potrawy oraz najlepsze wina. Nie było więc dnia bez wycieczki po Nilu, polowania na pustyni lub przyjęcia w chłodzie ogrodu; każdego wieczoru odbywały się przyjęcia, którym przewodziła Teje, towarzyszka swego męża, największa z wielkich królewskich małżonek.

Teje bowiem, opuściwszy mury haremu, postanowiła, że nigdy więcej tam nie wróci. Na własne oczy widziała, jak łatwo królowa może zostać pozbawiona tego tytułu, i czasami, kiedy wpadała w zły nastrój, stawała za zasłoną, której zwykle używał jej mąż, chcąc obejrzeć harem a samemu nie być widzianym. Teje dobrze się bawiła, patrząc na swoją rywalkę, poprzednią Wielką Małżonkę, siedzącą ze swoimi siostrami jak zwykła kobieta z haremu; ale

widok ten stanowił też pełne grozy ostrzeżenie, gdyż Teje wiedziała, że dopóki nie da swojemu mężowi syna, jej pozycja nigdy nie będzie do końca pewna. Jednak tak naprawdę, mimo całej potęgi króla Amenhotepa, wkrótce zaczęła go lekceważyć, gdyż przekonała się, że jest leniwy i kocha tylko przyjemności; nauczyła się więc dostarczać mu rozkoszy, przekonana, że żadna inna umiejętność nie pozwoli jej lepiej kierować faraonem. W miarę jak Teje okręcała sobie męża wokół palca, również król Amenhotep stawał się coraz bardziej ogłupiały, aż w końcu to on zabiegał o to, aby sprawiać żonie różne przyjemności. Widząc, że Teje lubi spacerować nad jeziorem, w miejscu gdzie spędziła najszcześniejsze chwile swego dzieciństwa, powiększył jezioro i zbudował nad jego brzegiem pałac, bogatszy i wspanialszy niż jakikolwiek inny istniejący wcześniej. Po jeziorze i po Nilu pływała złota barka; w niej właśnie żeglowała królowa Teje, ozdobiona biżuterią lśniąca od drogich kamieni, otoczona przez swoje lwy, zasiadając na swym tronie. Tłumom zgromadzonym wzdłuż brzegów, z wytęsknieniem oczekujących pojawienia się monarchini, wydawała się wizją z opowieści o bogach. Zawsze też szeptano o niej z nabożnym lękiem. Ludzie wiedzieli bowiem, że przeżyła upadek z dachu haremu, podziwiali bestie leżące u jej stóp i widzieli, że król Amenhotep w potężnych pomnikach kazał przedstawiać swoją małżonkę jako równą sobie. Wszystko to było dziwne i niesłychane; nic więc dziwnego, że z biegiem lat ludzie zaczęli myśleć o niej jako o wielkiej i przerażającej bogini, większej nawet – szeptano – niż sam faraon.

Lecz Teje, wychowana w haremie z dala od świata, nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie wywiera na poddanych. Dopiero ojciec zwrócił córce na to uwagę. Znalazł ją pewnego ranka na tarasie wychodzącym na jezioro, blisko miejsca, w którym zawsze razem siadywali. Przez chwilę stał nad nią w milczeniu.

– Słyszałem o tobie dziwne rzeczy – powiedział w końcu, rzucając jej na kolana bransoletkę.

Teje podniosła klejnot i przyjrzała się mu uważnie. Była to plakietka, oprawiona w złoto, wyrzeźbiona w karneolu. Przedstawiała uskrzydloną boginię o ciele lwa i głowie, w której Teje natychmiast rozpoznała swoją twarz. Klasnęła w ręce z radości.

– Jakie to śliczne! – wykrzyknęła.

– Nie – odparł Józef – wcale nie.

Teje spojrzała na ojca zaskoczona. W jego głosie brzmiał gniew, a przecież ojciec nigdy wcześniej nie złościł się na nią.

– Nie widzę w tym nic złego.

– Przyjrzyj się dokładnie. – Ojciec wyrwał Teje bransoletkę z ręki. – Nie widzisz? Zostałaś przedstawiona jako coś niebezpiecznego i żadnego ofiary. Ludzie czują przed tobą strach, moja droga, nawet kochając cię i oddając ci cześć, gdyż mówią, że jesteś boginią dzikich bestii z pustyni.

– Czy to moja wina? – zapytała Teje, wzruszając ramionami. Pochyliła się, aby pogłaskać głowę jednego z lwów, śpiącego u jej boku. – Nie mogę nic poradzić na to, w co ludzie chcą wierzyć.

– Musisz natychmiast wszystko odwołać.

– Co odwołać?

– Ogłoś ludowi, że nie możesz być boginią, gdyż istnieje tylko jeden prawdziwy Bóg, w którego rękach są wszystkie rzeczy.

Teje siedziała przez chwilę w milczeniu, aż w końcu, unikając wzroku ojca, spuściła oczy i spojrzała w dal. Józef westchnął i podszedł do schodów, o które uderzały wody jeziora, lśniąca błękitem na tle marmurowego nabrzeża.

– Nie mogę zrezygnować z tego wszystkiego – szepnęła cicho, wskazując przycumowaną złotą barcę.

– Wcale nie musisz.

– Łatwo ci tak mówić. Jesteś mężczyzną. Nie grozi ci powrót do haremu.

Józef uśmiechnął się uspokajająco, lecz pokręcił głową.

– Możesz być pewna, moje dziecko, że twoje przeznaczenie jest wielkie, gdyż zostało mi to objawione wiele lat temu, w śnie zesłanym z woli Najwyższego.

Mówiąc to Józef podszedł do córki, wziął ją za rękę, podniósł i przytulił; opowiedział jej sen króla Thotmesa o dolinie grobowców i wyjaśnił znaczenie wizji: klątwa ciążyąca na królewskim rodzie pewnego dnia zostanie zmyta.

Lecz kiedy skończył, Teje zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Jeśli król Thotmes widział z dzbanem wody Czuju, to skąd wnioski o moim przeznaczeniu? Równie dobrze może chodzić o Anena lub Aj.

Gdy spojrzała na ojca, zobaczyła, że jego twarz zbladła z bólu i przypomniała sobie, że widziała taki wyraz oblicza tylko raz, gdy po raz pierwszy pokazała się wieczorem po upadku.

– Co się stało? – szepnęła. – Proszę, przerażasz mnie.

Ledwie mogła oddychać, tak silnie ojciec trzymał ją w uścisku.

– Mam nadzieję, że zawsze będziesz mnie kochała – rzekł cicho po chwili.

– Ależ... tak... tak, oczywiście... dlaczego nie...?

– Ja... – Józef wziął głęboki oddech. – Nie wyjawilem wszystkiego, opowiadając ci sen króla Thotmesa. Było coś jeszcze, coś, czego król nigdy nie umiał mi powiedzieć, lecz spisał na papirusie tego samego dnia, w którym umarł.

– Co takiego?

– Możesz przeczytać to sama.

Teje wzięła papirus. Przeczytała go pospiesznie, po czym jeszcze raz, wolniej.

– Ja... ja nie rozumiem.

Józef uśmiechnął się gorzko.

– Jak to, czyż znaczenie tekstu nie jest tak jasne jak słońce? Gdy król Thotmes w swoim śnie przyglądał się twojej matce wylewającej wodę z dzbanka, wziął ją i napełnił swoim nasieniem. Chyba nie muszę wyjaśniać ci znaczenia tej wizji?

– Co... co masz na myśli?

Twarz Józefa stała się jeszcze bardziej poważna.

– Kiedy przeczytałem papirus dany mi przez króla Thotmesa, wypytałem służącą twojej matki, która wyznała mi, że kiedyś, dziewięć miesięcy wcześniej, król wręczył jej jakieś lekarstwo, każąc, aby podała je swojej pani jeszcze tego samego wieczoru. Nie mam wątpliwości, że ten lek uspił twoją matkę i nie mam żadnych wątpliwości, co król robił z twoją matką tamtej nocy. Wiem, że wcześniejszy sen zapadł faraonowi głęboko w pamięć. Musiał traktować go jak święty nakaz, zesłany mu przez bogów, i postanowił spełnić go za moimi plecami, moimi – swojego przyjaciela!

– Nie, nie, na pewno... to niemożliwe... – Teje potrząsnęła głową, przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. – Skąd to możesz wiedzieć...?

– Nie byłem tego pewien, dopóki nie zobaczyłem cię żywej po upadku z dachu haremu. Wtedy zrozumiałem, że... że krew w twoich żyłach nie jest moją krwią.

Uśmiechnął się smutno i stał chwilę nieruchomo, po czym jeszcze raz uściśnił ją mocno.

– Zawsze pozostaniesz moją córką, moim najmłodszym, najdroższym dzieckiem.

Teje czuła, jak łzy spływają jej po policzkach; ucałowała Józefa i otarła łzy swoimi włosami.

– Mój ojczy... – szepnęła.

Spojrzał na nią i mimo smutku uśmiechnął się.

– Ta krew... mówiłeś, że jest przeklęta?

– Tego się obawiam.

– Na czym polega klątwa?

Józef lekko zadrżał.

– Nie mogę tego powiedzieć. Wiem tylko, że... – zamilkł na chwilę, po czym spojrzał na bransoletkę, na zdobiący ją portret – musisz pozostać wierna woli Najwyższego. Spójrz! Przyjrzyj się dokładnie. – Wcisnął bransoletkę w dłoń córki. – Niech to, co widzisz, będzie dla ciebie ostrzeżeniem, uważaj na siebie.

Teje w milczeniu długo przyglądała się swojemu portretowi na bransolecie, a w końcu rzekła:

– Pamiętam, iż tego wieczoru, gdy ogłoszono, że zostanę Wielką Małżonką, przyszedł do mnie Anen i powiedział, iż chciałby, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Często zastanawiałam się, co miał wtedy na myśli, o czym on wie.

Józef zmarszczył brwi i odwrócił się.

– Bez wątpienia poznał wiele różnych tajemnic.

– Nie widziałam go już od siedmiu lat.

– A w tym czasie niewątpliwie nauczył się jeszcze więcej, gdyż, jak słyszałem, zaszedł w świątyni bardzo wysoko.

– Czy myślisz, że zdradziłby mi sekrety, które zostały mu wyjawione?

– Jeśli postanowił zdeptać miłość ojca i oddawać cześć czarom i bałwanom, to czy sądzisz, że wyjawiłby tobie swoje bezcenne sekrety?

– Możliwe. – Teje uśmiechnęła się i założyła bransoletkę na ręką. – Pamiętaj, że jestem nie tylko jego siostrą, ale także jego królową.

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy leżała u boku króla Amenhotepa, powtórzyła mu wszystko, czego dowiedziała się po południu, a jej mąż słuchał zmieszany i zdziwiony. Widząc to, Teje postanowiła wykorzystać swoją przewagę i zażądała, aby natychmiast został wezwany arcykapłan i zdradził im wszystkie tajemnice. Jednak Amenhotep zbladł i pokręcił głową, gdyż bał się, jak wyznał, wystąpić przeciwko arcykapłanowi Amona, którego czarodziejskie moce przekraczają ludzkie wyobrażenia. Ale Teje nie zrezygnowała, ponieważ od dawna już przywykła do lęku męża przed bogami, toteż całą noc ciężko pracowała nad tym, aby król zmienił postanowienie. Tak wielkie były jej talenty i tak ogromna siła perswazji, że w końcu udało jej się dopiąć celu; następnego ranka oboje wyruszyli do świątyni.

Gdy przechodzili przez zewnętrzny dziedziniec wypełniony dźwiękiem gongów, śpiewami, głosami zwierząt ofiarnych, Teje zauważyła, że jej mąż znowu zbladł, lecz nie spojrzała mu w oczy, tylko szła dalej. Za drugim dziedzińcem znajdowało się dwoje wielkich drzwi i królowa gestem nakazała służącym je otworzyć. Gdy się rozchyliły, zobaczyła za nimi bezkresną ciemność i poczuła w sercu, ku swemu własnemu zaskoczeniu, cień strachu.

– Wielki Faraonie, Wielka Królowo – rozległ się głos znikąd. – Za chwilę przejdziecie z królestwa ludzi do królestwa tajemnic i bogów mieszkających wśród gwiazd. Przekroczcie granice tajemnego królestwa!

Pierwszy raz od chwili wejścia do świątyni Teje zdobyła się na spojrzenie w oczy męża, lecz potem odwróciła się i uczyniła, jak rozkazał głos. Po przestąpieniu progu zobaczyła oczekującego na nich kapłana; to był Anen, jej brat. Rozpoznała go dopiero po chwili; nie dlatego jednak, że wyglądał inaczej niż siedem lat wcześniej – przeciwnie, mimo upływu siedmiu lat, nie zmienił się ani trochę. Na jego twarzy nie dostrzegła ani jednej zmarszczki. Ciało miał silne i wyglądał młodziej, pomyślała Teje, niż ona sama.

– Anen – szepnęła. – Przecież jesteś starszy ode mnie. Jak to możliwe?

Anen nie odpowiedział jednak i nawet na nią nie spojrzał, lecz odwrócił się i poprowadził królewską parę ku kolejnym drzwiom. Same się przed nim otworzyły. Teje zobaczyła w głębi następną bramę. Szli i szli, każde następne pomieszczenie miało coraz niższy sufit i panowały w nich coraz większe ciemności, rozjaśnione słabym światłem kilku lampek, tak że nawet nie można było odczytać napisów na ścianach. Teje wydawało się, że cienie szydzą z jej

niewiedzy; poczuła, jak wzbiera w niej gniew, i kazała Anenowi się zatrzymać. Odwrócił się, zniecierpliwiony.

– Jaki jest sekret tego miejsca i królewskiej krwi, którą dzielę z faraonem? – zapytała stanowczo.

– Jeszcze nie nadszedł czas, moja siostrze, abyś się o tym dowiedziała.

– Jako królowa mam prawo wiedzieć to, co zechcę! – krzyknęła Teje.

– Nie. – Głos Anena nagle zabrzmiał opryskliwie. – Faraon może wejść. – Ukłonił się nisko. – On jest gotowy poznać tajemnice Amona i dowiedzieć się, co znaczy być potomkiem bogów. Ale ty, moja siostrze, musisz jeszcze poczekać.

Mówiąc to, odwrócił się i przeszedł kilka kroków, po czym zapukał do małych drzwi umieszczonych w najdalszej ścianie. Otworzyły się bez pomocy ludzkiej ręki, wydając dziwny dźwięk, a Teje patrzyła na nie zdziwiona, gdyż zdawała sobie sprawę, że widzi straszliwe czary.

Anen skinął na króla Amenhotepa. Ten spojrzał jeszcze raz na Teje oczami wytrzeszczonymi z przerażenia i powoli wszedł w gęsty mrok. Teje chciała pójść za nim i odepchnąć Anena na bok, lecz on zagroził jej drogę, a wtedy drzwi się zamknęły.

– Przykro mi, ale musisz uzbroić się w cierpliwość, moja słodka, ukochana siostrze – szepnął. – Po cóż bowiem pozwolono by ci wejść tak daleko do tej świątyni, jeśli nie po to, by dać ci przedsmak przyszłych tajemnic?

Teje westchnęła głęboko i unikając wzroku brata spojrzała na drzwi zagrażające jej drogę. Były wykonane z dziwnego metalu, bardzo błyszczącego i gładkiego, pokrywały je znaki nieznanego języka. Zmarszczyła brwi próbując zrozumieć napisy, lecz w końcu wruszyła ramionami, ponieważ zdała sobie sprawę, że nigdy nie wiedziała nic podobnego i uznała, że rzeczywiście mogą pochodzić ze świata bogów.

– Nasz ojciec... – rzekła cicho patrząc na Anena – nasz ojciec miał rację. To jest piekielne miejsce.

Odwróciła się i zaczęła biec w kierunku światła. Kapłan pobiegł za siostrą i złapał ją za rękę.

– Zaufaj mi – szepnął. – Błagam cię!

– Wyjaw mi zatem sekret tego miejsca, gdyż bardzo się boję.

– Nie mogę. – Anen spojrzał dookoła i powiedział jeszcze ciszej: – Ale przysięgam, moja siostrze, że nadejdzie czas, kiedy zrozumiesz. – Jeszcze raz rozejrzał się z niepokojem i ucałował jej dłoń. – Wszystko, co robię, Teje, robię dla ciebie.

Odwrócił się i zniknął w ciemnościach, a królowa została sama i mogła wyjść na zewnątrz. Przez cały dzień, strapiiona, rozważała słowa brata i niecierpliwie oczekiwała powrotu męża, mając nadzieję, że przynajmniej on niczego nie będzie przed nią ukrywał. Jednak, gdy w końcu się pojawił, milczał jak zakłęty, chociaż na jego twarzy widniał wyraz przerażenia. Całą noc rzucał się i jęczał przez sen. Następnego ranka Teje ponownie



namawiała faraona, aby zdradził jej sekret; ale i tym razem król pozostał nieczuły, nawet na najbardziej zmysłowe perswazje.

– To jest zabronione – szepnął, a krew odpłynęła mu z twarzy i wyglądał jakby pochłonięty go jakieś niechciane myśli.

Prostował palce i prężył ramiona, jakby nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że je ma. Teje patrzyła na męża przerażona i próbowała się do niego przytulić, lecz król zadrżał i odsunął ją. I nagle, jakby budząc się z sennego koszmaru, spojrzął na Teje i wziął ją w ramiona; a wtedy zauważył bransoletkę na ręce królowej.

– Co to takiego? – zapytał, przyglądając się wizerunkowi na plakietce; w końcu odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– O co chodzi? – zapytała Teje.

Faraon ciągle się śmiał.

– O co chodzi? – powtórzyła z wściekłością. – Nie możesz dłużej ukrywać przede mną tego, co wiesz.

W jednej chwili śmiech zamarł faraonowi na ustach.

– Mogę – szepnął. – I nie powiem ani słowa, gdyż tajemnica, jaką poznałem, napawa mnie przerażającym lękiem.

Znowu ją odsunął i nie rzekł nic więcej; Teje zerwała się spłoszona i poczuła, że zaczyna wpadać w panikę. Nasłuchiwała odbijających się echem kroków faraona; dotknęła bransoletki ze swoim wizerunkiem przypominając sobie, że zamierzała i obiecała sobie ją wyrzucić. Ze zmarszczonym czołem popatrzyła uważnie na klejnot, po czym odwróciła się w stronę trzech leżących lwów. Podeszła do nich i pogłaskała gęste czarne grzywy, jak miała w zwyczaju robić zawsze, gdy była zła lub smutna. Siedząc przy zwierzętach, jeszcze raz obejrzała portret. Wiedziała już, że się go nie pozbędzie. Jaki inny dowód posiadała, jaką inną poszlakę w poszukiwaniu natury swojej krwi? Miała przed oczami obraz śmiejącego się króla Amenhotepa, śmiejącego się jak z jakiegoś żartu, na widok żony przedstawionej jako lwicy; ale mimo iż bardzo się starała, Teje nie potrafiła zrozumieć powodu tego śmiechu.

Lecz w tym miejscu Harun zobaczył, że zbliża się świt i przerwał opowieść.

– O Przywódco Wiernych – powiedział. – Jeśli zechcesz tu przyjść jutro wieczorem, to opowiem ci o tym, co odkryła królowa Teje.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun; i następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

W ciągu następnych tygodni, a potem miesięcy i lat, Teje zaczęła traktować przyniesioną niegdyś przez ojca bransoletkę jak skarb, zapowiedź tego, że pewnego dnia naprawdę zostaną jej wyjawione sekrety świątyni. Tego, że jej mąż już je poznał, nigdy nie przestała mu zazdrościć i ciągle się tym martwiła; odniosła bowiem wrażenie, że od czasu wizyty w

świątyni straciła nad faraonem władzę i nieustannie się bała, że może zostać odsunięta na bok. Amenhotep często bywał w świątyni Amona i tak jak przedtem, milczał na temat tego, co tam się działo. Ale równocześnie Teje zauważyła drobną zmianę w zachowaniu króla; zawsze wracał ze świątyni bardziej zdecydowany, zniknęło gdzieś jego lenistwo, apetyty wydawały się rozbudzone i często trudno było jej sprostać potrzebom małżonka. Kiedy indziej na całe dni wyruszał na pustynię i nie wracał, dopóki nie upolował wielu zwierząt, których truchła tryumfalnie przynoszono i układano przed pałacem jako dowód waleczności króla. Teje przyglądała się z niesmakiem pokrytym muchami trupom, po czym pochylała się ku swoim lwom leżącym u jej stóp i starała się uspokoić zarówno zaniepokojone zwierzęta, jak i samą siebie, poklepując bestie i głaszcząc ich grzywy. Czasem próbując pozbyć się smrodu z nozdrzy, wypływała barką na jezioro i oglądała wzbijające się w niebo ptaki o barwnych piórach, wdychała niesione wiatrem zapachy lili. Takie rozrywki ceniła tym bardziej, im częściej myślała, że może je stracić; im więcej bowiem dni król Amenhotep spędzał na polowaniu daleko od żony i od jej wpływów, tym wyżej wydawały się wznosić mury haremu i tym mroczniejszy cień padał na myśli Teje.

Kiedy król Amenhotep oznajmił, że zamierza wyruszyć na wojnę i poprowadzić wojska przeciwko azjatyckim plemionom, była już pewna, że jej wpływy są poważnie zagrożone. Pomyślała, iż teraz tylko syn mógłby sprawić, że odzyska swoją pozycję. Zaczęła się więc starać o potomka jeszcze bardziej rozpaczliwie i pospiesznie niż dotychczas. Ale Amenhotep, podekscytowany perspektywą wojny, rzadko gościł w jej łóżu przed opuszczeniem Teb – i Teje wiedziała, gdy patrzyła, jak król odjeżdża, że tym razem nie zostanie matką. Obawiała się, że przyjdzie jej długo czekać, zanim król wróci; i rzeczywiście, tygodnie mijały i wydłużały się w miesiące. Czasem przynoszono list, w którym faraon opisywał z podnieceniem, jak unicestwia wrogów, że jest „palącym ogniem” i „lwem o dzikich oczach”; lecz wśród tych przechwałek nie znalazło się ani jedno słowo o tym, że tęskni za małżonką.

Z drżeniem serca przyjęła więc Teje wiadomość, że faraon w końcu niedługo wraca. Wieść tę przyniósł jej Aj, wówczas już najwybitniejszy w Egipcie generał, który został wysłany do Teb na czele przedniej straży jako eskorta skarbów zdobytych w czasie wojny. Jednak tak naprawdę, wyznał Aj, nie było właściwie żadnych wojen, gdyż nie zastali dostatecznie silnych wrogów, by móc walczyć – toteż król Amenhotep zadowalał się plądrowaniem miast i dokonywaniem od czasu do czasu jakiejś masakry, gdy poczuł się już mocno znudzony. Właściwie, opowiadał Aj, wydawało się, że faraona nie interesuje nic oprócz zdobywania jeńców, których setki, zakuty w łańcuchy, armia prowadziła do Teb.

– A ja? – odważyła się w końcu zapytać Teje. – Czy kiedykolwiek wspominał o mnie?

Aj uśmiechnął się, po czym wzruszył ramionami i wziął ją za rękę.

– Musisz dać mu syna.

– Sama o tym doskonale wiem! – krzyknęła zrozpaczona.

– Mam nadzieję, że nie istnieją żadne przeszkody. – Aj zmarszczył brwi.

– Skąd mogę wiedzieć?

Teje westchnęła głęboko, lecz nie zdołała już dłużej powstrzymać łez. Brat wyciągnął do niej rękę. Teje przytuliła się do szerokiej piersi Aj, łkając spazmatycznie, aż w końcu jej gniew i rozpacz znalazły ujście i usiadła już spokojnie, ocierając łzy z policzków.

Aj podrapał się w głowę.

– Powinnaś porozmawiać z moją żoną, panią Tija.

Teje zmarszczyła czoło.

– Dlaczego?

– Jest biegła w wielu sztukach.

– Sztukach? Co masz na myśli?

– Święte sztuki. Wiesz przecież, że pani Tija jest kapłanką Izydy.

– I co z tego?

– Izyda jest boginią potężnej magii.

Teje patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Magii? – powtórzyła. Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. – Ty też, mój bracie!?! A co powie nasz ojciec?

Aj wzruszył ramionami.

– A czy musi o tym wiedzieć?

– Nie. – Teje potrząsnęła głową. – Nie, nie mogę.

Aj ponownie wzruszył ramionami.

– Doskonale, jak sobie życzysz. Ale jeśli zmienisz zdanie, wiem, że moja pani bardzo chętnie ci pomoże. Zdecyduj się jednak szybko, siostrzo. Faraon będzie tu jutro w nocy.

Pocałował Teje lekko i odszedł, zostawiając ją samą. Przez cały dzień i wieczór słowa Aj dźwięczały jej w uszach. Początkowo była zdecydowana nie zawieść nadziei ojca, pozostać wierna jednemu, jedynemu Bogu; potem jednak, gdy spacerowała nad brzegiem swojego jeziora, po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak jest piękne, i poczuła, że utrata tronu byłaby dla niej jak śmierć. Myśląc o tym, spojrzała w dół na swoje odbicie. Była wstrząśnięta, widząc, jak bardzo zbladła jej uroda, że twarz, a także nogi i ramiona wychudły. „Stałam się niemal wysuszoną staruszką”, pomyślała.

Pod wpływem nagłego impulsu zawołała, aby przyniesiono płaszcz i skryła się w jego fałdach; poszła do haremu i stanęła za ekranem, przyglądając się kobietom w ogrodzie. Wiele z nich nosiło nubijskie peruki, wzorowane na fryzurze królowej; jedną z tak uczesanych dam była dawna rywalka Teje, poprzednia Wielka Małżonka, która niegdyś ciągnęła dziewczynę za włosy i szydziła z jej brzydoty. Teje uśmiechnęła się; lecz słodycz tryumfu miała równocześnie dziwnie gorzki smak. To przeważyło, pobiegła w ciemność.

Zbliżając się do domu brata, czuła drżenie serca. Aj nie kłamał: naprawdę dziwne rzeczy mówiono o mocach pani Tiji; ludzie szeptali, że jak Izyda, bogini, której służyła, również ona była „Wielką Magią” i umiała odczytywać znaczenie gwiazd. Teje stanęła niepewnie u drzwi

domu, lecz pani Tija jakby oczekiwała jej przyjścia, gdyż nagle pojawiła się przy wejściu. Z uśmiechem wzięła swego gościa za rękę i zaprowadziła do chłodnego ogrodu, otoczonego murem, zamkniętego przed oczami ciekawskich. Mimo to Teje ciągle rozglądała się nerwowo dookoła.

– Mój ojciec, nigdy nie może się o tym dowiedzieć – szepnęła.

Kapłanka Izydy uśmiechnęła się i pokręciła głową, po czym spojrzała w niebo.

– Czy on nie twierdzi, że jego bóg stworzył niebiosa i gwiazdy?

Teje pochyliła głowę.

– Tak twierdzi.

– Więc co w tym złego, że odczytujemy znaczenie ich układu?

Wbrew samej sobie Teje uniosła wzrok.

– Rozumiesz to, co mówią?

Tija powoli skinęła głową.

– Powiedziane jest, wśród naszych najgłębszych tajemnic, że Izyda posiadała wiedzę o wszystkich sekretach zawartych w gwiazdach, gdyż to właśnie ona poznała tajemne imię Amona i całą magię, jaką to imię w sobie kryje.

– A zatem, co możesz przeczytać na niebie tej nocy?

Tija uśmiechnęła się i szepnęła królowej do ucha:

– Jutro! Gdy tylko faraon wróci, to musi być jutro!

Teje westchnęła z ulgą.

– I to wszystko, co mam zrobić? Spać z nim jutro?

– Wówczas na pewno będziesz mieć dziecko, gdyż odczytałam układ gwiazd twoich narodzin i nie może być mowy o pomyłce. Ale istnieje jeden problem. Gwiazdy obiecują ci dziewczynkę.

– Nie – Teje czuła, jak serce zamiera w niej z rozpaczy. – Nie, nie, muszę mieć syna.

Tija uniosła dłoń.

– Nie wszystko stracone.

– Co powinnam zrobić?

– Kiedy patrzyłam na twój układ gwiazd, odczytałam też własny. Obiecały mi syna, jeśli będę spać jutro z moim mężem. Dwa przeznaczenia... – i dwie skrajności. Muszą zostać przemieszane... w jakiś sposób zamienione.

– Myślisz, że można to zrobić?

– Możliwe – dzięki tajemnej magii bogini, której służę. – Mówiąc to Tija sięgnęła po skrzynkę, leżącą u jej stóp, podniosła ją i ostrożnie położyła na kolanach.

– To, co teraz zobaczysz, jest cudem, który niewielu miało okazję widzieć; to prawdziwa postać Tej, Która Mieszka Wśród Gwiazd, Pani Miejsca Początku Czasu. Nie zawieź mnie więc, królowo, gdyż podejmuję wielkie ryzyko, zdradzając ci tę tajemnicę.

– Przysięgam na boga mojego ojca, że nikomu nie powiem ani słowa – odpowiedziała Teje.

Tija zdjęła pokrywkę, odsłaniając dwie niewielkie figurki.

– Co to takiego?! – krzyknęła Teje, podnosząc jedną z postaci i przyglądając się jej dokładnie, gdyż nigdy wcześniej nie widziała tak niepokojącego wizerunku. Przedstawiał kobietę noszącą szaty i koronę Izydy, lecz mającą długie nogi, wydęty brzuch, wąską twarz i wielką czaszkę. Teje wstrząsnęła się z odrazą i spojrzała na Tiję. – Czemu przedstawiasz swoją boginię w taki sposób?

– Ponieważ tak właśnie wyglądała, gdy po raz pierwszy przybyła z gwiazd; i ona, i Ozyrys, i ich brat, Seth. Pamięć o nich jest przechowywana w świątyniach od czasów Pierwszego Razu, gdy bogowie nauczyli ludzi, jak żyć.

– A te portrety? Czy również one mają magiczną moc?

– Miejmy nadzieję – uśmiechnęła się Tija. – Napisano bowiem w najtajniejszych i najbardziej starożytnych z naszych tekstów, że człowiek został utworzony z gliny zmieszanej z krwią i ożywiony mocą Izydy, która wypowiedziała tajemne imię Amona. A zatem... – sięgnęła po złoty nóż leżący u jej boku – musimy mieć nadzieję, że ta magia nie umarła. Podaj mi rękę, wielka królowo.

Teje posłusznie wyciągnęła dłoń. Błysnęło ostrze i na jej przegubie pojawiło się niewielkie nacięcie. Tija umieściła rękę królowej tak, by krew kapłała na jedną z figurek; potem nacięła drugi jej nadgarstek i spryskała krwią drugą figurkę. Ich dziwne, wydęte czaszki pokryły się czerwonymi plamami; następnie krew zaczęła wsiąkać w glinę. Tija sięgnęła po wyrzeźbione postacie i uniosła je ku księżycowi.

– Krew z krwi – szepnęła. – Kurz z kurzu... – Z całej siły rzuciła figurki na ziemię. Rozpadły się na drobne kawałki, a Tija ugniotła je stopą, że nie można było odróżnić jednej od drugiej. Potem wzięła pył w dłonie i rzuciła go na wiatr. – O Pani Izydo, wysłuchaj modłów swojej służebnicy – szepnęła. Odwróciła się ku Teje; uśmiechnęła się i wzięła ją za rękę, ściskając mocno. – Teraz już wiesz, co musisz zrobić. – Uśmiechnęła się raz jeszcze. – Jutro w nocy, królowo. To musi być jutro w nocy!

Teje jak najstaranniej przygotowywała się na następny dzień. Długo się kąpała i kazała namaścić i uperfumować całe ciało. Przyglądając się pracy służących, znowu pomyślała, jak bardzo wychudły jej nogi i ramiona, lecz starała się wyrzucić z głowy tę myśl. Po wszystkich tych zabiegach, poleciła przynieść najpiękniejsze szaty i najbogatsze ozdoby, a przyodziawszy się, poprosiła ulubioną służącą o zrobienie odpowiedniej fryzury. Gdy dziewczyna zabrała się do pracy, Teje usiadła z lusterkiem w dłoni i przyglądała się swojej twarzy. Patrzyła na nią z odrazą – podobnie jak na kończyny – i widziała, jak ostre stały się jej rysy. „Przypominam figurki Izydy”, pomyślała i poczuła, jak mrok ogarnia jej serce. „Nie, nie, to niemożliwe”; ale ciągle miała przed oczami obraz małych posążków. Nagle usłyszała,

że służąca westchnęła głęboko, a odwróciwszy się, ujrzała na twarzy dziewczyny wyraz zdziwienia i niesmaku.

– Co się stało? – zapytała Teje – Powiedz, nie bój się.

Służąca zadrzała.

– O pani, przepraszam, bardzo przepraszam...

– Mów, proszę.

– Twoja... czaszka... – wyjąkała. – Twoja czaszka, twoja czaszka...

Teje uniosła lustro i pochyliła głowę. Z przerażeniem odrzuciła zwierciadło tak, że aż odbiło się od podłogi. Zerwała się na równe nogi i krzyknęła, aby przyniesiono lektykę. Dotarłszy do świątyni Amona zastała drzwi na wewnętrznym dziedzińcu zamknięte. Rozkazała więc je otworzyć i wkroczyła w rozciągające się za nimi ciemności. Każąc otwierać jedne drzwi za drugimi wchodziła coraz głębiej do świątyni, aż w końcu znalazła się w tym samym miejscu co poprzednio i przekonała się, że metalowych wrót nie może sforsować. Zaczęła się więc do nich dobijać, wzywając głośno brata. W końcu drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Anen.

Teje zdjęła perukę i wskazała ręką na swoją czaszkę.

– Zobacz, mój bracie – syknęła. – Zobacz, jaka jest wielka! Przestań przede mną ukrywać, czym się staję, bo widziałam tajemny wizerunek bogów z czasów Pierwszego Razu. Zatem żadnych więcej sekretów, przestań milczeć! Nadszedł czas, abys powiedział mi wszystko!

Anen stał przez chwilę nieruchomo, po czym gwałtownie ucałował siostrę w policzki.

– Masz rację! – szepnął. – Rzeczywiście już pora!

Odwrócił się i przeszedł przez otwarte drzwi. Teje poszła za nim i znalazła się w długim, wąskim pomieszczeniu, ciemnym i zasnutym dymem. Wzdłuż ściany biegł kanał, taki sam jak w jej własnej komnacie, doprowadzający wodę do łaźni. I istotnie, przez kłęby kadzidlanego dymu dostrzegła pusty okrągły basen, do którego wpadał kanał. Za basenem widać było zarys sylwetki człowieka, a za nim – wielki ołtarz. Poza tym komnata była pusta i Teje zastanawiała się, jakie sekrety mogą się tam skrywać.

– Czekaj tutaj – rozkazał Anen, gdy dotarli do basenu.

Teje postąpiła zgodnie z poleceniem brata; patrzyła jak Anen idzie wzdłuż brzegu i podchodzi do człowieka stojącego w głębi. Anen zaczął mu coś szeptać do ucha, czasem odwracając się i wskazując na Teje. Przez chmury dymu udało jej się dostrzec, że mężczyzna ma także ogoloną głowę. Wiedziała, że może to być tylko arcykapłan Amona. Przyglądając się jego twarzy, zaczynała rozumieć, dlaczego król Amenhotep tak bardzo się go bał; tkwiło w nim coś nieludzkiego, drapieżnego i zimnego, jakby był jedną z kobr, które czasem znajdowała wygrzewające się w cieniu pałacowych murów. Rozmyślając o tym, Teje przypomniała sobie ponadczasowy wygląd węży i zdała sobie sprawę, że właśnie to było dla niej tak obce w wyglądzie arcykapłana: nie miał zmarszczek ani wysuszonej skóry;

przeciwnie – wyglądał równie młodo jak Anen, a jednak Teje była pewna, że jest niewiarygodnie stary. Gdy zaczął iść wokół basenu i zbliżyć się do niej, nie umiała powstrzymać drżenia; arcykapłan zauważył to i odsłonił zęby w uśmiechu, okrutnym i szyderczym zarazem.

Podszedł jednak do królowej i uspokajającym gestem położył dłoń na jej ramieniu.

– Nic dziwnego, że się boisz – powiedział łagodnie – Mogę sobie wyobrazić, jakim wstrząsem jest dla ciebie odkrycie znaczenia twojego boskiego pochodzenia.

– Znaczenia?

Arcykapłan zacisnął palce na jej ramieniu i poprowadził ku ścianie, przy której biegł kanał. Były na niej wykute w kamieniu wizerunki postaci o cienkich kończynach, wydętych brzuchach i wielkich głowach.

– Izyda? – zapytała Teje, wskazując postać, której insygnia pamiętała z poprzedniego wieczoru.

Arcykapłan przytaknął.

– A tutaj... – wskazał – Ozyrys... i Seth. Bogowie Pierwszego Razu. Oni stworzyli człowieka.

– A Amon? – spytała cicho Teje.

Arcykapłan zmarszczył brwi.

– Co Amon?

– Czyż to nie jego świątynia?

– Tak. – Westchnął głęboko. – Jego.

– Ale nie ma tutaj żadnego wizerunku Amona.

– Nie! – Arcykapłan wypowiedział te słowa z niespodziewaną mocą. – On jest bogiem, który jest tu obecny, lecz nie można go dostrzec, którego imię jest źródłem całej mocy świata.

– Czym jest ta moc?

– Dzięki niej bogowie stworzyli z gliny człowieka. To moc krwi płynącej w ich żyłach. I jest to moc, o królowo... – zmierzył ją wzrokiem – która jest także w tobie i w twoich żyłach.

Gdy mówił te słowa, oczy mu błyszczały, a Teje odruchowo cofnęła się o krok. Sięgnęła ręką i dotknęła tyłu swej głowy.

– Jak mogę rozpoznać tę moc w sobie?

– Na wiele sposobów. – Arcykapłan znowu się uśmiechnął. – Gdyż ty i twój ród jesteście błogosławieni wśród śmiertelników.

– Powiedz – szepnęła Teje – powiedz mi, kim jestem?

Arcykapłan spojrział na Anena i uśmiechnął się jeszcze raz.

– Kiedy bogowie stworzyli człowieka i ożywili go dzięki mocy imienia Amona, sypiali z najpiękniejszymi ze swoich nowych stworzeń. Ich dzieci, królowo, były pierwszymi z twego rodu. Bogowie dawno już opuścili Egipt i wrócili do nieba, ale ich potomkowie ciągle zasiadają na tronie Obu Krajów. A ja... – wskazał ręką Anena – my, kapłani, strzegący

tajemnic bogów, jesteśmy spadkobiercami tych, którzy jako pierwsi strzegli królewskiej krwi i przekazali ten sekret z samego początku czasów.

Teje spoglądała na przemian na brata i na arcykapłana.

– Więc dlatego początkowo nie pozwoliliście mi zostać Wielką Małżonką? – powiedziała cicho.

Arcykapłan przytaknął.

– Czystość królewskiej krwi musi zostać zachowana.

– Ale kiedy spadłaś z dachu haremu, zrozumieliśmy, że w twoich żyłach płynie jednak święta krew – dodał Anen. – Bowiem wyjątkową cechą tych, którzy ją mają, moja siostrze, jest to, że mogą przeżyć wszystko, co innych z pewnością by zabiło.

– A jednak... – Teje zmarszczyła brwi i przymrużyła oczy. Tego wieczoru, gdy zostałam Wielką Małżonką, przyszedłeś do mnie, mój bracie, i powiedziałeś, że chciałbyś, aby wszystko potoczyło się inaczej. Czyż nie powiedziałeś tak? Powiedz mi – czyż nie?

Anen spojrzał na arcykapłana i ujął siostrę za rękę.

– To prawda, że moc Amona, którą posiadasz, pochodzi z nieba i dalekich gwiazd, a zatem nie jest z tego świata. Nie dziw się więc, jeśli swoim zewnętrznym przejawem czasem wzbudza w ludziach strach.

– Co przez to rozumiesz? – spytała Teje; w jej głosie dźwięczała podejrzliwość.

Anen jeszcze raz spojrzał na arcykapłana, a potem na ścianę z portretami bogów.

– Czy zastanawiałaś się nad tym, że ukrywamy przed śmiertelnikami prawdziwy wygląd bogów i przedstawiamy ich takimi samymi jak zwykli czciciele? Podobnie, moja siostrze, musimy zrobić teraz z tobą.

– Co masz na myśli... to niemożliwe... czy w końcu zacznę wyglądać tak obrzydliwie jak ci bogowie?

– Jeśli nie podejmiemy pewnych kroków, to właśnie tak się stanie.

– Jakich kroków? – szepnęła Teje.

Anen zwrócił się do arcykapłana, który przez chwilę stał nieruchomo, po czym powoli skinął głową. Teje zauważyła, że jej brat spojrzał w stronę kanału, a potem bocznych drzwi, za którymi kanał zniknął.

– Chodź – powiedział łagodnie, biorąc siostrę za rękę. Zaprowadził ją ku pustemu basenowi i spokojnym głosem polecił, aby zdjęła biżuterię i rozebrała się.

– Przy tobie? – Teje patrzyła na niego przerażona. – Nigdy tego nie zrobię!

– Ale musisz. Nie bój się, nie będę patrzył.

– Nie mogę.

– Dobrze. – Anen wzruszył ramionami. – Wiesz przecież, czym się staniesz.

Teje zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Anen patrzył jej przez chwilę w oczy, a potem odwrócił wzrok. Teje westchnęła głęboko i niechętnie zrobiła to, co rozkazał.

– Jestem gotowa – oznajmiła w końcu.



– Wejdz do basenu – polecił Anen nie patrząc na nią.

Teje stąpała powoli, skulona, osłaniając się rękoma. Czuła pod stopami lepkie, wilgotne kamienie. Nie ośmieliła się spojrzeć w dół, żeby zobaczyć, po czym idzie.

– Anenie, boję się, boję – szepnęła.

– Wcale ci się nie dziwię – powiedział łagodnie Anen. – To, co teraz się zdarzy, będzie dziwne i przerażające.

– Jak to? – wyjąkała. – o to będzie?

– Tak już jest z bogami, że muszą się żywić śmiertelnikami, podobnie jak głodna roślina musi czerpać wodę. W tobie, moja siostrze, śmiertelna część stała się sucha. Musi się więc jak roślina na nowo nawodnić.

– Nie! – wykrzyknęła Teje.

Nagle usłyszała dobiegające z ciemności zduszone odgłosy, dziwne i niewyraźne. Odwróciwszy się, zobaczyła, że arcykapłan gdzieś zniknął. W tej samej chwili ujrzała płynący kanałem strumień bardzo gęstej cieczy, która po chwili zaczęła kapać na jej nagie ciało.

– Nie! – krzyknęła jeszcze raz i jęknęła, gdy przyjrzawszy się płynowi zdała sobie sprawę, czym on jest. Zaczęła się rozpaczliwie wspinać na krawędź basenu, usiłując uciec, lecz wtedy zobaczyła Anena kucającego u góry; pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie wytrzymam tego! – wrzasnęła.

– A jednak musisz, ukochana siostrze – szepnął.

– Nie! – załkała. – Nie...

Gdy spojrzała w górę, zobaczyła, że brat trzyma w dłoniach zwierciadło. Popatrzyła na swoje odbicie, zaplamione i lepkie od krwi; westchnęła ze zdziwieniem, widząc, że jej policzki stały się pełniejsze, a ciało nie było już tak kościste.

– Co to za czary? – spytała cicho. – Czy to moja wyobraźnia, czy naprawdę odzyskałam utraconą urodę?

– Tak, moja siostrze. – Anen uśmiechnął się. – Tę samą, dla której faraon uczynił cię swoją żoną.

Teje patrzyła na niego osłupiała.

– Umyj się – powiedział cicho. – Wiesz, że musisz to zrobić. Wiesz, że nie masz wyboru.

Stała przez chwilę w bezruchu, patrząc bratu prosto w oczy, a potem uklękła i pochyliła głowę. Krew z kanału spływała na nią. Zanurzyła w niej dłonie, umyła brzuch i piersi, a wówczas poczuła gorąco; uczucie to było słodkie jak miłość i przenikało ją aż do szpiku kości. Jęknęła cicho. Poczucie czasu i przestrzeni zniknęło w rozkoszy. Teje niemal nie zauważyła, kiedy gorąca krew przestała płynąć i zastąpił ją strumień oczyszczającej wody. Dopiero gdy Anen pomógł siostrze wyjść z basenu i założyć rozrzucone szaty oraz biżuterię, cudowne uniesienie zaczęło ustępować. Uśmiechnęła się, patrząc na swoje odbicie w lustrze; i wtedy sobie przypomniała. Zachwiała się, odwróciła i wybiegła.

W komnacie za magicznymi drzwiami z żelaza zobaczyła stojącego przy ścianie arcykapłana, ledwie widocznego w mdłym świetle lampek. Uśmiechnął się do niej i zniknął w ciemnościach. Teje biegła dalej, za sobą słyszała kroki, odbijające się echem wśród kamieni, coraz bliższe. Rozejrzała się dookoła i ujrzała Anena. Potknęła się; wiedziała, że zostanie złapana, lecz nie zrezygnowała z ucieczki, gdyż nie chciała, żeby pomyślał, że będzie z nim dobrowolnie współpracować. W końcu poczuła rękę brata na swoim ramieniu, a wtedy zatrzymała się i przywarła do ściany.

– Puść mnie! – krzyknęła.

– Nie masz wyboru – syknął Anen, przytrzymując rozwścieczoną Teje. – Wiesz, że tak się musiało stać, jeśli nie chciałaś znowu znaleźć się w haremie. Nie obwiniaj mnie więc o to, czego sama pragnęłaś.

– Ale ta krew była gorąca – powiedziała z obrzydzeniem. – Ilu jeńców faraona, mój bracie, ludzi, których przyprowadził ze sobą do Teb, zamordowaliście, żebym mogła odzyskać urodę.

Anen uśmiechnął się ponuro.

– Wkrótce nauczysz się nie myśleć o takich rzeczach.

– Nigdy.

– Ależ nauczysz się.

Teje patrzyła na niego z nienawiścią i nagle wywinęła się i wyrwała z jego objęć. Znowu zaczęła uciekać.

– Czekaj!

Wbrew własnej woli stanęła. W głosie Anena brzmiała taka rozpacz i tęsknota, że nie potrafiła mu się oprzeć. Odwróciła się. Anen patrzył przez chwilę w milczeniu, po czym podszedł i zaczął szeptać siostrze do ucha.

– Powiedziałem ci już, że wszystko, co tutaj robię, jest dla ciebie. – Westchnął głęboko i rozejrzał się dookoła. – A jako dowód... daję ci to... – Sięgnął w fałdy szaty i podał Teje butelkę. – Proszę, trzymaj ją w ukryciu. Nie zdradź swojego brata. Nie wolno mi dawać tego komuś takiemu jak ty.

– Co to jest? – zapytała Teje.

– Poznałaś to już wcześniej, kiedy przyszedłem do ciebie i posmarowałem ci rany po biczu, a później stłuczenia po upadku.

– Co mam z tym teraz zrobić?

Anen uśmiechnął się.

– Jeśli chcesz zachować urodę – szepnął – to pij to razem z winem.

Pocałował ją delikatnie, odwrócił się i odszedł w głąb świątyni. Teje patrzyła za nim. Dotknęła butelki, ukrytej między fałdami szaty, i wbrew samej sobie, poczuła radość i podniecenie.

Tej nocy, gdy król Amenhotep powrócił, Teje była gotowa na jego powitanie. Widok jej powabów, odzyskanej urody, którą prawie, lecz nie do końca zapomniał, przyprawił go o zawrót głowy. Dalej wszystko zdarzyło się tak, jak wyczytała w gwiazdach Tija. Dziewięć miesięcy później Teje urodziła syna.

Lecz w tym miejscu Harun zobaczył, że zbliża się świt i przerwał opowieść.

– O Przywódco Wiernych – powiedział. – Jeśli zechcesz przyjść tu jutro wieczorem, to opowiem ci o przygodach syna królowej Teje, księcia Amenhotepa.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun; następnego dnia wieczorem wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Najwcześniejszym wspomnieniem księcia Amenhotepa były pocałunki matki, a następnym – szorstkie języki liżących go lwów. Wówczas jeszcze nie wiedział, że to lwy; pojął to dopiero później, kiedy nauczył się rozumieć krzyki swojej niańki, która uparcie twierdziła, że dzikie bestie mają w zwyczaju pożerać małe dzieci. Księcia bardzo dziwiło to ostrzeżenie, gdyż do tej pory przypuszczał, że lwy są takimi samymi stworzeniami jak on; a już na pewno lwy wydawały się przekonane, że księżę jest jednym z nich. Nie tylko zresztą on, gdyż zwierzęta opiekowały się też jego najdroższą towarzyszką, córką wuja Aj, Kiją, która, według słów matki, urodziła się tego samego dnia, co księżę. Syn faraona uważał dziewczynkę za istotę stworzoną specjalnie dla niego. Zawsze gdy się bawili, lwy wylegiwały się w pobliżu, warcząc leniwie na każdego, kto ośmielił się podejść zbyt blisko; nocą zaś, kiedy spali, zwierzęta leżały kręgiem wokół łóżka dzieci – tego kręgu futer, grzyw i drgających ogonów, niezrównanych duchów opiekuńczych, żadna z nianiek nie odważyła się przekroczyć.

Nic więc dziwnego, że ci, którzy widzieli te dzieci, wkrótce zaczęli szeptać, iż są chronione przez dziwną i niebezpieczną magię, a los przeznaczył je do niezwykłych rzeczy. W małych twarzyczkach kryło się piękno, które – jak mawiano – sprawiało, iż słowiki śpiewały; a drobne ciałka promieniały tak, że wielu czuło lęk na ten widok, gdyż sądzili, że patrzą na słońce lub w oczy boga. Niektórzy, obserwując księcia uwieszonoego u lwiej grzywy, dosiadającego grzbietu zwierzęcia jakby było koniem lub wspólnie z Kiją baraszkującego ze zwierzętami nad jeziorem, mieli wrażenie, że rzeczywiście widzą bogów, i czuli się zakłopotani, odkrywając prawdę. Inni przekonywali strażnika haremu, że nie jest stosowne dla dziewczynki w wieku Kiji biegać wszędzie tak swobodnie; strażnik zgodził się z tym i rozkazał, aby odtąd pozostawała w haremie, razem z młodszymi siostrami księcia.

Lecz księżę, gdy się o tym dowiedział, wpadł w głęboką rozpacz i jego matka, królowa Teje, znalazła syna zalanego łzami. Wzięła go w ramiona i ucałowała czule, ocierając łzy własnymi włosami; lecz kiedy poznała przyczynę smutku, uśmiechnęła się dziwnie sama do

siebie i obiecała chłopcu, że Kija wkrótce zostanie uwolniona. Tak też się stało, jeszcze tego samego dnia; Kiji już nigdy więcej nie zamknięto w murach haremu.

Od tego czasu książę był przekonany, że nie ma rzeczy, której matka nie mogłaby osiągnąć. Nawet upływ czasu wydawał się podlegać woli królowej, gdyż w przeciwieństwie do innych kobiet wyglądała, jakby się zupełnie nie starzała, a jej uroda wiecznie rozkwitała. Jednak gdy książę zapytał ją, dlaczego tak się dzieje, uśmiechnęła się tylko i położyła mu palec na ustach. W końcu zdarzyło się, że jeden z lwów, już bardzo starych, zachorował i nawet najlepszy lekarz faraona, człowiek obdarzony wielką wiedzą, lękał się o jego życie. Teje na wieść o tym podeszła do umierającego zwierzęcia; ukłękła u boku lwa, a on zaskomlał cicho; próbował unieść głowę i polizać rękę swojej pani – na próżno. Książę widział, że łza zakręciła się w oku matki; potem królowa sięgnęła między fałdy szaty i wyjęła jakąś butelkę. Był w niej gęsty, czarny płyn. Teje wlała kilka kropel między rozwarte szczęki zwierzęcia. Minęła chwila... i lew ziewnął. Przeciągnął się leniwie i wstał. Ziewnął raz jeszcze i zaczął biegać, zataczając kręgi, jakby gonił wiatr – zupełnie jak mały kociak, jakby wcale nie był chory.

Ale wkrótce książę się dowiedział, że jest kilka zmartwień, na które nawet jego matka nic nie może poradzić. Kilka lat później, gdy on i Kija wyruszyli na pustynię, jeden z lwów gdzieś zniknął. W końcu, po wielu dniach i nocach poszukiwań, odkryto ciało, na wpół zjedzone przez ptaki. Dwa pozostałe lwy podeszły i obwąchały towarzysza; potem jakby westchnęły i położyły się po dwóch stronach martwego zwierzęcia. Książę natychmiast wysłał wiadomość do matki, ale mimo iż przybyła najprędzej, jak mogła, było za późno; lwy bowiem już nie żyły, tak samo blisko ze sobą związane po śmierci jak za życia. Teje rozkazała je pochować, ale gdy wykopano grobowiec, książę i Kija uchwycili się kurczowo grzyw, przyciskali uszy do lwich piersi, jakby nie mogąc uwierzyć, że ich serca przestały bić.

– Czy nie możesz ich sprowadzić z powrotem? – zapytał książę matkę, patrząc na nią z rozpaczą, gdy ciała lwów składano w grobie. – Przywróć je do życia, tak jak zrobiłaś to kiedyś.

Lecz matka potrząsnęła głową.

– Taki już jest ten świat. Wszystko musi umrzeć.

– Czy i ja także?

Spojrzała dziwnie na syna.

– Ty jesteś potomkiem boga – powiedziała po chwili milczenia. – To czyni cię innym.

Książę zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Więc dlaczego nie mogę ożywić lwów?

Matka wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę z delikatnym uśmiechem na wargach, lecz potem odwróciła wzrok w stronę spalonych czerwonych piasków i jej twarz nagle stała się pusta jak pustynia.

– Ponieważ bogowie nie przynoszą życia tym, którzy nie są tacy jak oni, a tylko śmierć – powiedziała cicho i spojrzała w oczy syna. – Wiedz... – szepnęła, biorąc go w ramiona – że przyjdzie czas, kiedy nawet ty, nie tylko zobaczysz śmierć, ale sam będziesz jej przyczyną, gdyż taki jest ten świat.

Potem ucałowała usta i kędzierzawe włosy chłopca, lecz nie odezwała się do niego już więcej w czasie całej drogi powrotnej do pałacu.

Jednak jej słowa głęboko zapadły księciu w pamięć. Bał się podzielić nimi z Kiją, która przez cały ranek pozostawała w łóżku milcząca, ze spuchniętymi od płaczu oczami. Kiedy ksiązę próbował ją zagadnąć, odwróciła się i skuliła, ze wzrokiem wbitym w ścianę. Zostawił więc dziewczynkę samą i usiadł przy fontannie, po chwili jednak wstał i pobiegł wzdłuż jeziora. Wiedział, że o tej porze dziadek Juja lubił tam spacerować; nie pomylił się. Zbliżając się do brzegu, ksiązę zobaczył przed sobą dobrze znaną i kochaną postać dziadka. Podbiegł do niego, wziął go za rękę i dalej szli razem, nie mówiąc ani słowa. W końcu doszli do źródła w cieniu drzewa, Józef stanął, uśmiechnął się, po czym usiadł.

– Kiedy twoja matka była dziewczynką, bardzo lubiła to miejsce – odezwał się, przerywając milczenie.

Ksiązę skinął głową i usiadł blisko dziadka, przytulając się do niego mocno.

– Powiedz mi... – zapytał Józef, czując, że wnuk zaczyna drżeć. – Co ci leży na sercu?

Ksiązę siedział, kurczowo trzymając się dziadka. Po chwili, patrząc gdzieś w dal, powtórzył to, co Teje powiedziała mu rano.

Józef westchnął i chłopcu nagle wydało się, że dziadek jest bardziej zmęczony i stary, niż ktokolwiek by sądził.

– Twoja matka nie zawsze myślała, że moce rządzące tym światem są tak okrutne – powiedział w końcu.

– A co ty myślisz?

– A czego cię zawsze uczyłem? Że istnieje tylko jeden Bóg, a jego władza jest dobra.

– Tak. – Ksiązę zastanawiał się przez chwilę. – Więc jedno z was na pewno się myli.

Józef z uśmiechem pokręcił głową, po czym wstał i wyszedł z cienia.

– Zobacz, jakie piękne jest słońce! – wykrzyknął, wskazując laską. – Jakie lśniące, jakie cudowne, jakie wielkie! Świeci wysoko w górze nad wszystkimi krajami tej ziemi i nie ma takiego człowieka, który mógłby mieć nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się zbliżyć do niego, a jednak moc jego promieni jest tutaj wszędzie wokół nas! W jakiż inny sposób mogłyby żyć zwierzęta – wszystkie dzikie i piękne stworzenia tego świata, ptaki ze śpiewem wzbijające się w niebiosa i połyskujące srebrzyście ryby w rzekach i jeziorach? A jednak słońce stanowi tylko wizerunek jedyne Boga. I mówię ci, mój wnuku, jego dzieła są dobre.

Ksiązę pomyślał o lwach pogrzebanych pod piaskami.

– Więc dlaczego istnieje śmierć?

– Tylko ten, który wszystko widzi, także wszystko rozumie. – Józef uśmiechnął się i przytulił wnuka. – Nie myśl jednak, że śmierć nie może być błogosławieństwem i ulgą – dodał cicho.

– Nie pojmuję.

Ale Józef milczał, a księżę patrzył z zakłopotaniem na twarz dziadka, myśląc o tym, jak wyglądały lwy, gdy umarły.

– Co masz na myśli? – nalegał na odpowiedź syn faraona.

– Pamiętam – zaczął Józef po chwili – jak mówiłem twojemu dziadkowi, a mojemu przyjacielowi, królowi Thotmesowi, że świat tak piękny i różnorodny, tak pełny przyjemności, cudów i radości powinien nam dać siłę, abyśmy z nadzieją spojrzeli w oblicze śmierci. Tak, mój wnuku... – zamilkł na chwilę. – Wkrótce umrę, gdyż jestem stary i zmęczony i mój czas się zbliża. Ale jak mógłbym wątpić, że wszystko to jest dobre, skoro wszędzie są dowody dobroci Stwórcy, jaśniejszego, wspanialszego i bardziej lśniącego niż słońce? – Pocałował wnuka delikatnie w czoło, a potem uniósł łaskę ku niebu. – Kiedy odejdę, spójrz na słońce i przypomnij sobie moje słowa. Żyj prawdą, wnuku, i niech to stanowi twoje motto, gdyż ośmielałem się wierzyć, że zostałeś powołany do wielkich i wspaniałych celów. Żyj prawdą, to znaczy bądź błogosławiony przez żar i światło, i moc Najwyższego.

Józef i księżę spojrzeli prosto w słońce, lecz obaj szybko musieli opuścić głowy, gdyż ich oczy nie mogły znieść jasności; i księżę obiecał sobie, że będzie postępował tak, jak uczył go dziadek. Od tego czasu codziennie spacerował ze staruszką, pomagając mu, i na własne oczy oglądał to, o czym Józef opowiadał za każdym razem, kiedy tak chodzili: jak nieskończone są cuda i wspaniałości świata, wszystkie powołane do istnienia dzięki promieniom słońca i dzięki Wszechpotężnemu, który krył się za blaskiem słonecznego dysku.

Zdarzyło się pewnego razu, że Józef ciężko zachorował. Nie mógł już wstać i wyjść na spacer z wnukiem, aż któregoś dnia usnął i nigdy się już nie obudził. Kiedy rozeszła się wieść o tym, wielki żal i rozpacz zapanowały w pałacu i w całym państwie, gdyż nigdy jeszcze żaden sługa faraona nie był tak kochany jak Józef. Długi szereg żałobników towarzyszył jego ciału do grobowca, aby zobaczyć, jak zostanie złożony w kamiennym wnętrzu doliny, połączony raz na zawsze ze swoją zmarłą żoną. Lecz księżę, gdy patrzył na robotników zamykających kamieniem wejście do grobowca, myślał o ptakach wlatujących nad trzciny jeziora i o drzewach zawsze dających cień, w ulubionym miejscu dziadka; nie mógł już dłużej znieść pobytu w dolinie. Odwrócił się i uciekł, potykając się o spalone słońcem, pozbawione życia skały, nie słysząc krzyków i prośb matki. W końcu dobiegł do ścieżek, po których spacerował z dziadkiem; przypomniał sobie wszystko, czego nauczył go Józef.

Od tego czasu ignorował kult każdego innego boga i nadal wypuszczał się z Kiją na długie wędrówki, podziwiając wspaniałości oświetlone promieniami słońca, zachwycając się wszystkim, co żyje, zwierzętami i roślinami, od ogromnych hipopotamów po drobne płatki

kwiatów, obdarzone życiem przez złocisty dotyk promieni. Podziwiał pola pokryte makami, stada cierpliwych krów oblepionych miękkim, wilgotnym mułem. Zachwycał się bagnami, gdzie ptaki gromadziły się w stada gęste jak trzciny, a bajecznie wzorzyste węże i płaskonose krokodyle nurkowały w wodzie. Z uwielbieniem patrzył też na spalone słońcem, złowrogie piaski, które wszyscy jego rodacy nienawidzili. Ciągłe bowiem drogie było księciu wspomnienie lwów. Wiedział, że jako wolne zwierzęta żyły właśnie na pustyni, gdyż nawet tam słońce dawało życie; a młody książę lubił spacerować wszędzie, gdzie istniały oznaki życia.

Jednak tak dużo czasu spędzał na tych przechadzkach, że wkrótce jego nieobecność zwróciła uwagę ojca. Król Amenhotep posłał po księcia i zdziwił się, widząc przed sobą syna, gdyż zdał sobie sprawę, że niedługo stanie się on mężczyzną; jego siła dorównywała urodzie, która zawsze, już od najmłodszych lat, była niezwykła. Król Amenhotep obserwował młodzieńca z dziwnym uczuciem urazy, którego początkowo zupełnie nie potrafił zrozumieć; i chociaż rozkazał synowi pozostać u swego boku, żeby sprawdzić, czy nie uda mu się przewyciężyć niepokoju, odkrył, że uczucie to tylko się spotęgowało. Nie chciał, aby książę widział go w czasie rozrywek; nie mógł znieść wzroku syna na swoim pucharze z winem, ani na palcach, kiedy oblizywał je z sosu. Nade wszystko nie mógł jednak znieść widoku syna z królową Teje, gdyż widok ten w tajemniczy sposób sprawiał, że król czuł się jak głupiec, wyraźniej widział swój wielki brzuch i zdawał sobie sprawę, że się starzeje.

Lecz w końcu faraonowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Od dawna już męczyły go obowiązki władcy, które stały się jeszcze cięższe po śmierci Józefa. Postanowił więc, że jego syn zacznie poznawać obowiązki faraona, wówczas zaś on, ojciec, będzie mógł się oddawać dworskim uciechom. Tak więc książę mianowany został koregentem i bardzo szybko okazał się doskonałym władcą, ponieważ troszczył się o życie oraz los swoich poddanych. Nie budował olbrzymich świątyń na swoją cześć i nie wdawał się w wyniszczające i bezcelowe wojny. Zamiast tego podróżował po całym kraju, zawsze cierpliwie wysłuchując skarg biednych i uciskanych, zwalczając przejawy okrucieństwa – krótko mówiąc, starając się, jak obiecał sobie i Józefowi, żyć prawdą.

Z czasem zdarzyło się, że książę doszedł do wniosku, iż pragnie się ożenić, gdyż chciał widzieć Kiję u swego boku jako królową; lecz ku wielkiemu zaskoczeniu spotkał się ze sprzeciwem. Król Amenhotep, gramoląc się z posłania, rozkazał synowi pójść za sobą do sali tronowej, a tam polecił, aby książę poślubił swoją siostrę. Młodzieniec z oburzeniem odrzucił ten rozkaz. Król Amenhotep wpadł w furię; ale mimo iż krzyczał, poczerwieniał i zaczął trząść się z gniewu, książę nie ustąpił.

- Zrobisz, jak ci każę! – krzyknął faraon.
- Nie zrobię – odparł kategorycznie następca tronu.
- Zabraniam ci poślubić Kiję!

– Oczywiście, możesz zrobić to teraz – uśmiechnął się ponuro książę – ale przyjdzie czas, ojczy, kiedy ja sam zostanę faraonem – uklonił i odszedł bez słowa.

Król Amenhotep krzychał z wściekłości, choć na nic się to nie zdało. Anen, który stał ukryty za kolumną w sali tronowej, zwrócił się do swego towarzysza, arcykapłana Amona, i szepnął mu coś do ucha; twarze obu mężczyzn spoważniały jeszcze bardziej.

Następnego dnia, gdy książę siedział z Kiją w ogrodzie, podeszła do nich królowa, objęła czule swą bratanicę i poprosiła, aby zechciała zostawić ją samą na chwilę z synem. Kija spojrziała na księcia, po czym wstała i odeszła. Teje wzięła syna za rękę i błagała go cichym, pełnym przejęcia głosem, aby poślubił swoją najstarszą siostrę, którą mógłby uczynić Wielką Małżonką. Nie rozkazywała mu jednak, jak czynił faraon, ani nie straciła panowania nad sobą; ale odpowiedź księcia, chociaż uprzejma, była taka sama. Matka nalegała, lecz on potrząsnął głową i roześmiał się.

– Jestem zaskoczony, że nie kto inny, lecz właśnie ty prosisz, abym nie czynił Kiji Wielką Małżonką! – wykrzyknął. – Przecież ty sama nie byłaś nawet kuzynką faraona, a jednak zdołałaś go przekonać, aby dla ciebie oddał swoją siostrę.

Teje spuściła wzrok.

– To było co innego – odpowiedziała.

– Jak to?

Teje bezradnie wzruszyła ramionami.

– Taka była wola bogów.

– Więc może jest wolą Jedyne Boga, Boga twojego ojca, abym poślubił Kiję i uczynił ją swoją Wielką Małżonką.

Teje znowu bezradnie wzruszyła ramionami, po czym odwróciła się w stronę kolumnady i z wdziękiem skinęła ręką. Książę zauważył, że z mroków wylania się jakiś kapłan, a gdy dłonią osłonił oczy przed promieniami słońca, rozpoznał wuja Anena. Odwrócił się do matki.

– Jeśli tobie nie udało się mnie przekonać, to dlaczego sądzisz, że jemu się powiedzie? – zapytał.

– Ponieważ jest on człowiekiem obdarzonym wielką mądrością, który zna wiele sekretów i widuje wiele cudownych rzeczy.

– Ale nie sądzę, by widział tak daleko jak mój dziadek.

Książę zauważył, że matka drgnęła i przygryzła wargę. Wyciągnęła ręce, jakby niepewnie dotknęła jego ramienia i pocałowała go w czoło.

– Czy prosiłabym cię, mój ukochany synu, abys coś zrobił, gdyby to nie miało być dla twojego dobra? – zapytała szeptem. – Idź z nim i posłuchaj, co ma do powiedzenia. Wszystko to, powtarzam, jest tylko dla twojego przyszłego dobra.

Książę spojrział na królową z powątpiewaniem, lecz w końcu wzruszył ramionami i zrobił to, o co prosiła. Poszedł z wujem, który poprowadził go z pałacu do najgłębszych pomieszczeń świątyni, aż do magicznych drzwi z lśniącego metalu i dalej, do sali z pustym



okrągłym basenem. Kiedy już się tam znaleźli, Anen pokazał mu płaskorzeźby na ścianach, sekretne portrety Ozyrysa oraz innych bogów i wyjaśnił księżciu, że jego krew jest boska, gdyż pochodzi z gwiazd.

– Ale ty zamierzasz skalać strumień świętej krwi, który płynie nieprzerwanie od samego początku czasu! – powiedział z gniewem, gwałtownym i palącym jak pustynny wiatr. Przecież to jest równie wielka zbrodnia, jak próbować przegrodzić tamą Drogę Mleczną lub święte wody życiodajnego Nilu!

– Nie, gdyż i Mleczna Droga, i Nil są darami Jedynego, który przebywa na wysokości – odparł pewnie ksiązę.

– Twoja krew jest darem wielkiego boga Ozyrysa.

– Nie – powtórzył ksiązę. – Istnieje tylko jeden Bóg.

Anen uśmiechnął się kwaśno.

– Nie będziesz tak myślał, o ksiązę, kiedy nadejdzie chwila twojej śmierci i odkryjesz, że naprawdę nigdy nie umrzesz.

– Wszyscy ludzie muszą opuścić ten świat.

Anen uśmiechnął się szerzej.

– Nie ci, którzy należą do królewskiego rodu, ponieważ w ich żyłach płynie krew Ozyrysa; ta sama krew, o ksiązę, płynie także w twoich żyłach.

Młodzieniec roześmiał się pogardliwie.

– Widziałem grobowce, gdzie spoczywają moi przodkowie.

– A jednak są one tylko bramami do wieczności Ozyrysa. Również ty, o ksiązę, czy tego chcesz, czy nie, zostaniesz tam zabrany dzięki swojemu boskiemu pochodzeniu.

Syn faraona przez chwilę przyglądał się bacznie kapłanowi, po czym pokręcił głową.

– Nie wierzę ani w Ozyrysa, ani w żadne twoje słowo.

– Lecz przyjdzie czas, gdy będziesz musiał uwierzyć.

– Nie sądzę.

– A jednak ja ci mówię, że przyjdzie czas, ponieważ twoja krew jest twoim losem i nie możesz przed tym uciec.

– Co masz na myśli?

Anen nie odpowiedział; ale ksiązę przyglądał się wujowi i zauważył, że jego spojrzenie prześliznęło się po pustym basenie, obok którego stali; potem kapłan zmierzył siostrzeńca.

– Mam tego dość – powiedział ksiązę z nagłym zniecierpliwieniem, odwrócił się i ruszył w stronę metalowych drzwi. Lecz Anen dogonił go i złapał za ramię.

– Byłoby lepiej dla ciebie, a także dla Kiji, gdybyś ją teraz zostawił, zanim będziecie mieli dziecko – szepnął.

– Dlaczego? – zapytał nerwowo ksiązę.

To pytanie wydało mu się jak delikatne naczynie, które w ciszy zsunęło się z dachu – ale mimo iż oczekiwał z napięciem, upadek nie nastąpił. W końcu wuj się odezwał.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie nosi twojego dziecka?

Tym razem książę nie rzekł ani słowa, lecz zdawał sobie sprawę, że chociaż próbował zapanować nad wyrazem swej twarzy, Anen zrozumiał milczenie.

– Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie – rzekł po chwili kapłan. – Oczywiście, ponieważ dziecko będzie miało twoją krew, jest możliwe, że wyrośnie na istotę podobną do ciebie. Jednak najpewniej... umrze, jeszcze zanim się narodzi. – Anen spojrzał księciu prosto w oczy.

– Skąd możesz to wiedzieć? Dlaczego tak musi być?

– Taka jest, jak powiedziałem, natura twojej krwi. Twoje dziecko musi ją również mieć, lub, przykro mi, musi urodzić się martwe. – Dotknął ramienia siostrzeńca. – Widzisz więc, że twoja matka mówiła prawdę: mam na uwadze wyłącznie twoje dobro.

Książę zmarł na chwilę; lecz potem odepchnął rękę wuja, odwrócił się i puścił biegiem przez liczne sale świątyni – ku złocistemu światłu dnia, ku słońcu. I przez następne pół roku ani razu nie pojawił się w świątyni. Unikał też rozmowy z wujem, ignorując żarliwe prośby matki; cały czas poświęcał Kiji, opiekując się nią i ich nie narodzonym jeszcze dzieckiem. Jednak mimo całej troski i wszystkich wysiłków poród zaczął się kilka tygodni przed czasem; dziecko urodziło się drobne, delikatne i martwe. Przez następny tydzień ani książę, ani Kija nie opuścili swojej komnaty; zamknęli się w swoim bólu. A gdy w końcu książę pojawił się w świetle dnia, jego twarz była dziwnie wychudzona.

Od tej chwili zaczął publicznie oddawać cześć bogu Józefa – ale Józef nie żył i książę nie miał żadnego przewodnika, oprócz siebie samego. Pamiętał jednak to, co opowiadał mu dziadek, stojąc w cieniu drzew i wskazując na słońce; dlatego też nadał Najwyższemu egipskie imię Aton, co w języku pogan znaczyło „słońce”. I panował w imię Atona, starając się rządzić jak najlepiej, aby biedni, uciskani i bezradni mogli zawsze się do niego zbliżyć równie łatwo, jak wszyscy wielcy ludzie z dworu. I wydarzyło się, że pewnego dnia przyszedł zobaczyć księcia jakiś Nubijczyk; bardzo stary i pokryty kurzem. Przebył całą ogromną drogę wzdłuż Nilu, ze swojej maleńkiej wioski do olśniewających Teb, aby poprosić księcia o uwolnienie syna, który został pojmany w niewolę w czasie jednej z wojen króla Amenhotepa. Książę uczynił to natychmiast, a wraz z nim uwolnił też wszystkich innych Nubijczyków. Potem przybył Syryjczyk, równie stary i zmęczony jak tamten Nubijczyk; i jego prośba brzmiała tak samo, i tak samo książę ją spełnił. Potem przyszedł Libijczyk z podobną prośbą; i znowu książę kazał uwolnić jeńców. Prosił też ich, aby wnosili modły i podziękowania do Atona, i uczył ich, że wszyscy ludzie są tacy sami pod słońcem.

Ale kiedy wieści o tym dotarły do króla Amenhotepa, oderwał się on od swoich rozrywek i przyszedł do swego syna jeszcze bardziej wściekły niż poprzednio, pytając, jakim prawem jeńcy zostali uwolnieni, skoro to na jego wyraźny rozkaz sprowadzono ich wcześniej do Teb. Po czym nagle wybuchnął śmiechem.

– A w jakim celu, mój synu, wkrótce sam się przekonasz.

Lecz książe tylko potrząsnął głową i powtórzył to, co mówił uwalnianym mężczyznom i kobietom – że wszyscy ludzie są tak samo błogosławieni przez słońce. W tym momencie jednak król Amenhotep jeszcze raz zaśmiał się gorzko.

– Ludzie nie są równi – parsknął. – Są śmiertelnicy i tacy jak my, bogowie. Silniejszy zawsze żyje kosztem słabszego, większy mniejszego, gdyż ten świat jest niczym innym jak tylko zniszczeniem. Nadszedł czas, abyś poznał swoje miejsce w tym porządku.

Mówiąc to złapał księcia za ramię, i kazał przygotować rydwan i broń, i poprowadził na pustynię swoich myśliwych, a na ich czele stał Aj, wuj księcia, dowódca rydwanów. Postawiono dla nich w cieniu skalnego zbocza olśniewający, wyłożony dywanami namiot, w którym pod dostatkiem było jadła na złotych półmiskach. Król Amenhotep zabawiał się w nim przez cały dzień, racząc się winem i wybornymi potrawami. Lecz w końcu przyszedł do niego Aj, szepnął mu coś do ucha, na co król mruknął z zadowoleniem i podniósł się ociężale z posłania. Z pomocą dwóch służących wszedł na rydwan i polecił swemu synowi, aby jechał u jego boku. Na krawędzi urwiska król zatrzymał konie; książe spojrział w dół i zobaczył stado spłoszonych kóz. Wierzgały, oszalałe ze strachu, przed wysoką zasłoną z rozpiętej sieci. Książe odwrócił się, by zobaczyć, co budzi w nich takie przerażenie. Ujrzał trzy lwy o czarnych grzywach przyczajone na piasku. Nagle jedna z olbrzymich bestii rzuciła się naprzód, miażdżąc kozę swoim ciężarem, a potem dwa pozostałe lwy – z wyszczerzonymi kłami i groźnym pomrukiem – również chwyciły w szpony swoje ofiary. Król Amenhotep zaśmiał się z ukontentowaniem, patrząc jak krew wsiąka w spalone słońcem piaski. Zawrócił swój rydwan i szturchnął księcia w zębra.

– Oto widzisz, mój synu, taki jest ten świat!

Książe nie odezwał się ani słowem, pamiętał bowiem identyczne słowa matki, która powiedziała, że pewnego dnia on sam będzie niósł śmierć. Król Amenhotep, źle rozumiawszy milczenie syna, potrząsnął lejcami i ruszył naprzód. Przy zagrodzie z siatki zatrzymał konie, Aj zaś uklonił się i z całą swą olbrzymią siłą naciągnął cięciwę na łuk. Król wziął łuk od przyjaciela, wyjął strzałę, wycelował i wypuścił ją z głośnym świstem. Grot musnął bok jednego z lwów. Zwierzę obejrzało się i ryknęło; po chwili, z bokiem zalany krwią, ruszyło w stronę rydwanu. Nagle skoczyło, lecz uderzyło o sieć, a gdy szamotało się, zdezorientowane, próbując się oswobodzić, król Amenhotep wycelował i strzelił raz jeszcze. Pozostawiając lwa miotającego się w sieci, faraon zawrócił rydwan i poprowadził go wzdłuż zagrody, celując we wściekłe lwy pochwycone w pułapkę. W końcu wszystkie trzy były ranne i oszalałe z bólu. Dopiero wtedy król Amenhotep wrócił do syna i podał mu łuk wraz z kołczanem pełnym strzał.

– Dokończ to – rozkazał.

Książe spojrział na łuk.

– Dokończ to! – ryknął król Amenhotep; fałdy tłuszczu na jego ciele zatrzęsyły się, a po rzadkich pasmach włosów zaczęły spływać pot.

Książę rzucił hak i strzały na piasek.

Król Amenhotep wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

– Tchórz! – wrzasnął.

Krzyk odbił się echem od skalnych ścian, niknąc w ciszy pustyni. Książę zauważył, że wszyscy myśliwi stali nieruchomo, a Aj unikał jego wzroku.

– Tchórz! – wrzasnął król Amenhotep po raz drugi, rzucając się naprzód, jakby chciał zaatakować syna, lecz młodzieniec zręcznie ominął ojca i zeskoczył na piasek.

Wyjął nóż i wyciął otwór w sieci, a potem ruszył w stronę zaplątanego lwa, który niemal się udusił, próbując odzyskać wolność. Gdy książę szedł przez piaski, dwa pozostałe lwy, z nastroszonymi grzywami i pianą na pyskach, warcząc zwróciły się ku niemu. Lecz następca tronu spojrzał im w oczy i zaskoczone lwy powoli się cofnęły. Książę uwolnił zaplątane w sieci zwierzę. Wyjął strzały, które utkwiły w boku lwa, równocześnie głaszcząc jego grzywę. Bestia przysiadła i przymknęła oczy z zadowoleniem. Książę podobnie potraktował dwa pozostałe lwy, po czym rozchylił dziurę wyciętą w siatce. Pełnymi wdzięku ruchami lwy prześliznęły się przez otwór i przystanąły na chwilę, bijąc ogonami o ziemię i wpatrując się w króla Amenhotepa, który pocił się na swoim rydwanie. W końcu potrząsnęły grzywami i odeszły.

Patrząc za nimi, książę wrócił do rydwanu. Wówczas Aj wystąpił naprzód, podniósł rozrzucone strzały i podał je księciu, z twarzą doskonale obojętną, lecz w jego oczach malowało się zawstydzenie. Książę przekazał broń królowi. Ale król nie wyglądał na zawstydzonego, gdy wyciągnął rękę i dotknął twarzy syna.

– Twoje policzki robią się zapadnięte – powiedział cicho. – Musisz być ostrożny, inaczej twoja uroda przeminie. – Na pełnych wargach władcy pojawił się cień uśmiechu.

Faraon odwrócił się, szarpnął lejce i wydał rozkaz powrotu do pałacu; przez całą drogę nie odezwał się do księcia ani słowem. Dopiero gdy zbliżali się do Teb, kazał mu jechać do świątyni Amona.

Gdy już obaj znaleźli się na rozległym dziedzińcu świątyni, król Amenhotep jeszcze raz musnął dłonią twarz syna, po czym opuścił głowę i dotknął tyłu swojej czaszki.

– Tak – szepnął król Amenhotep. – Nadszedł już czas. Powtarzam ci bowiem, mój synu, nie uciekniesz przed tym, czym jesteś; tak jak ja musisz się pogodzić, z tym, że ten świat jest stworzony z krwi.

Roześmiał się, jakby z triumfem, ale na jego obliczu książę zauważył podniecenie graniczące z szaleństwem. Młodzieniec pozwolił poprowadzić się za rękę; lecz nagle przyszło mu do głowy, że wcale nie czuje lęku przed ojcem i nie boi się sekretów, o których niejasno wspominali rodzice. Nawet sama świątynia, tak wielka i wspaniała, tym razem wyglądała na mniejszą i nie wywierała na nim równie potężnego wrażenia jak wcześniej. Wydawało się, że na dziedzińcu panuje mniejszy ruch, że jest mniej kapłanów, a z wewnętrznych sanktuariów zabrano wiele skarbów i posągów. Patrząc na postument, na którym niegdyś musiała stać

statua, księżę pomyślał, jak łatwo usunąć boga z jego miejsca; a potem, gdy przechodził przez magiczne drzwi – jak łatwo można zmienić zwyczaje, choćby najbardziej starożytne.

Myślał to samo nawet wówczas, gdy wyjawiono mu straszliwą tajemnicę i wyjaśniono przeznaczenie świętego basenu.

– Nie zrobię tego – powiedział księżę, patrząc na pusty basen. – Nigdy tego nie uczynię.

– Ale musisz! – krzyknął ojciec, a w jego głosie słychać było wściekłość mieszającą się z rozpaczą. – Albo... spójrz, czym się staniesz! – Wskazał ręką wizerunki bogów na ścianach. – Czy chcesz się stać czymś takim?

– A jaki mam wybór? – odrzekł księżę. – Albo stać się czymś takim, albo zostać, jak ty, mordercą i przelewać niewinną krew. Nie przyczynię się do śmierci żadnego człowieka. – Jeszcze przez chwilę patrzył ojcu w oczy, a potem odwrócił się i oddalił od pustego basenu. Nigdy już więcej nie odwiedził świątyni, lecz pogodził się z tym, że wraz z upływem miesięcy i lat jego ciało stawało się coraz bardziej zniekształcone. Nie próbował tego ukrywać – przeciwnie, właśnie to uczynił świadectwem swego zamiaru życia prawdą.

Zauważono jednak, że od tego momentu król Amenhotep nie potrafił już dłużej znieść obecności syna u swego boku i nawet nie chciał patrzeć na jego twarz. Oddał się więc bez reszty rozrywkom i pijaństwu, pozwalając, aby księżę sam rządził Egiptem.

Lecz w tym miejscu Harun zauważył, że zbliża się świt, i przerwał opowieść.

– O Przywódco Wiernych – powiedział. – Jeśli zechcesz przyjść tu jutro wieczorem, to opowiem ci o tym, jak zostały odkryte pewne przerażające tajemnice.

I tak kalif zrobił, jak powiedział Harun; następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Teje nigdy nie zapomniała cierpienia towarzyszącego narodzinom księcia, lecz wydawało jej się, gdy teraz czuła przeszywający ból we wnętrzościach, że ten poród będzie jeszcze gorszy. W chwili ulgi złorzeczyła samej sobie... popełniła błąd dziewięć miesięcy wcześniej, gdy nie udało jej się oprzeć pijackim żądom męża. Głośno przeklinała siebie za drugą ciążę. Nagły ból znowu ścisnął jej żołądek. Teje miała wrażenie, że małe potwory kotłują się wewnątrz jej ciała, ciągną ją za piersi, grzebią we wnętrzościach, rozdierają mięśnie, ugniatają brzuch i syczą do siebie. Teje oczywiście nie widziała tych odrażających istot, ale wyobrażała sobie, że mają cienkie kończyny, wielkie czaszki i są śliskie w dotyku.

Ból znowu ustał na chwilę. Teje ze zdziwieniem stwierdziła, że ktoś trzyma ją w ramionach. Spojrzała w górę. To była Kija.

– Co... dlaczego? – szepnęła słabo.

– Usłyszałam twoje krzyki – odpowiedziała Kija. – Nie mogłam usnąć.

Teje zacisnęła ręce na brzuchu i spojrzała na bratanicę z sympatią; jej brzuch też zaczynał już nabrzmiwać. Nic dziwnego, pomyślała królowa, że Kija wydawała się tak nerwowa. To

na pewno straszne uczucie – widzieć przedsmak swoich własnych zbliżających się cierpień i wiedzieć, że wszystko to będzie na próżno...

Ból wrócił, a wraz z nim potwory, z sykiem wbijające palce w ciało. Lecz nagle Teje poczuła gorzki smak w ustach, przełknęła – ból i potwory zniknęły. Otworzyła oczy ze zdziwieniem. Kija trzymała naczynie z czarnym płynem.

– Ależ... jak to możliwe? – szepnęła Teje, patrząc na naczynie. – Myślałam... przecież to wielka tajemnica... skąd to masz?

– Dał mi to twój brat – wyjaśniła Kija – Anen, kapłan. On pamięta, jak straszne były bóle poprzednio. Powiedział mi, że ten płyn ma magiczną moc. – Przyjrzała się naczyniu. – Działa?

– Tak – Teje lekko skinęła głową. – Tak. – Uśmiechnęła się. – Tak.

– Proszę... – Kija spojrzała ze zdenerwowaniem na buteleczkę, którą trzymała w dłoni. – Książę... nie mów mu, że tego używałam. On nie może się o tym nigdy dowiedzieć.

– Dobrze.

Teje uśmiechnęła się znowu; potem ból wrócił, ale mniej dotkliwy niż wcześniej, jak ustępująca fala. Poddała mu się, jakby był mrocznym snem. Jak przez mgłę pamiętała, że służący zanieśli ją do komnaty, ułożyli na materacu i zaopiekowali się nią troskliwie; czuła, że jej uda robią się mokre od gorącej krwi. Potem, wśród dziwnych koszmarów, ból zaczął powracać falami, stawał się coraz silniejszy. Poczuła nienaturalny, ohydny smród, pochodzący – jak się wydawało – z głębi jej żołądka. Teje jęknęła i spróbowała unieść głowę. Niewyraźnie widziała strzępy żółtej materii wypływającej wraz z krwią przesączającą materac. Krzyknęła i zwinęła się z bólu, który jeszcze bardziej przybrał na sile, jakby jakieś stworzenie szponami rozrywało jej łono. Rozpaczliwie starała się podnieść głowę. Odniosła wrażenie, że widzi swego męża z twarzą ściągniętą rozpaczą i bólem, patrzącego na kogoś, kto odwrócony plecami, przecina nożem jej nabrzmiaty brzuch. Teje wzięła głęboki oddech i jęknęła znowu, starając się opanować majaki. Wydawało jej się, że dostrzega wyjmowane przez rozcięcie z jej brzucha coś, co wyglądało jak maleńka, skulona ludzka postać; a jednak nie wszystko było w porządku. Stworzenie było błyszczące i lepkie od obrzydliwej żółtej materii, miało nienaturalnie cienkie wijące się kończyny. Czy usłyszała krzyk swego męża – czy swój własny? Tego Teje nie wiedziała. Ledwie poczuła, jak ktoś rozchylił jej usta i wlał do gardła znajomą gęstą, gorzką ciecz. Potem z ulgą zapadła się w ciemności.

Gdy się obudziła, ból minął niemal zupełnie, brzuch wydawał się zdrowy. Otworzyła oczy. Pokój był pusty, ale po chwili zdała sobie sprawę, że jednak ktoś jest i trzyma ją za rękę.

– Moja ukochana siostró.

– Anen? – szepnęła. Odwróciła się w jego stronę i zmarszczyła brwi, widząc wyraz twarzy brata. – Co się stało? – zapytała.

– Twój mąż, wielki faraon, nie żyje – oznajmił ledwie słyszalnym głosem.

– Nie żyje? – Teje spojrzała w bok. – Ale... nie... pamiętam... – Rozejrzała się dookoła przerażona. – Moje dziecko!

Kapłan mocniej ścisnął rękę siostry.

– Wiele jest rzeczy, o których muszę ci powiedzieć – rzekł łagodnie.

– Gdzie moje dziecko?

– Również umarło, ale, Teje, to nigdy nie było dziecko.

Królowa patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami; potrząsnęła głową.

– Posłuchaj mnie. – Anen pogłaskał ją po policzku – To był potwór... potwór. Kazałem wyciąć go z twojego łona, ponieważ gdybym tego nie zrobił, to poród z pewnością by cię zabił.

– Ale... – Teje patrzyła na Anena z niedowierzaniem. – Skąd wiedziałeś?

– Czyż nie mówiłem ci, że w świętych księgach Amona, których kapłani zawsze strzegli w świątyni, jest wiele sekretów związanych z naturą potomków bogów? Jeden z nich ostrzega przed tym, co przydarzyło się tobie. Mówi o tym, że nadchodzi w końcu, po latach, czas, gdy potwory, a nie ludzie będą się rodzić z nasienia króla. Powiedziałem potwory, ale w istocie to prawdziwy obraz bogów zrodzonych wśród gwiazd i tego wszystkiego, co w tobie nie jest ludzkie. – Anen zamilkł na chwilę. – Narodziny potwora stanowią zapowiedź śmierci faraona.

– I tak też się stało? – Teje pokręciła głową.

– Spróbuj usunąć to ze swego umysłu – powiedział łagodnie Anen, uściskawszy jej dłoń, zanim wstał. Lecz Teje, mimo bólu, z wysiłkiem wyciągnęła ku niemu rękę.

– A ja? – zapytała, opadając z powrotem na posłanie. – Co oznacza to wydarzenie dla mnie?

Twarz Anena przez chwilę wydawała się zimna i obojętna, ale nagle kapłan uśmiechnął się, pochylił i pocałował siostrę.

– Nie bój się – szepnął. – Jest tajemnica, którą niebawem wyjawię, bardziej dziwna i cudowna, niż możesz sobie wyobrazić.

– Co to za tajemnica? – zapytała Teje.

Lecz Anen tylko się uśmiechnął.

– Nie nazywaj tego tajemnicą. Nazywaj to raczej... darem.

Zanim pozostawił siostrę samą, wręczył jej naczynie, pełne i zakorkowane. Teje chciała wstać i pójść za nim, lecz rana brzucha sprawiała zbyt silny ból, który nie ustąpił przez wiele dni, mimo iż królowa zażywała płynu z naczynka.

Przez cały okres rekonwalescencji wielokrotnie odwiedzał ją syn, nowo ukoronowany król Amenhotep IV, z ozdobnym pectoralem zawieszonym na wysuszonej szyi i podwójną koroną faraona na wielkiej głowie. Teje starannie ukrywała przed nim naczynko z lekarstwem; lecz gdy po raz pierwszy od dłuższego czasu znalazła się sam na sam z Kiją, zdradziła jej swój sekret, gdyż od dawna bardzo pragnęła się nim z kimś podzielić. Gdy Teje

wypytywała o dolegliwości, jakie zazwyczaj towarzyszą ciąży, dziewczyna uśmiechnęła się z zażenowaniem i wyznała, że absolutnie nic jej nie dolega.

– Ale moc tego lekarstwa wydaje się tak cudowna, że lękam się myśleć, jakie czary go stworzyły – szepnęła, a na jej twarzy widać było poczucie winy.

Również Teje widząc, że rana na brzuchu zabliznia się z godziny na godzinę, myślała o tym samym. Kiedy w końcu poczuła, że może wstać z łoża, doszła do wniosku, że Anen musi jej o wszystkim powiedzieć.

Znalazła brata w tajemnej komnacie świątyni, pogrążonego w modlitwie przy ołtarzu za pustym basenem. W sanktuarium wszystko wyglądało tak, jak to pamiętała. Ale w innych większych salach i na dziedzińcach panowała cisza – nie było widać ani kapłanów, ani wiernych.

– Co się stało? – zapytała, gdy Anen wyszedł jej na powitanie. – Dlaczego świątynia tak opustoszała?

Anen odwrócił się i spojrzał w stronę ołtarza.

– Patrzyliśmy w gwiazdy – powiedział wolno, odwracając głowę. Katastrofa i porzucenie, oto co zostało tam zapisane.

– Porzucenie?

– Bogów, świątyń oraz ich najświętszych sekretów.

– Więc co się dzieje? Dokąd wszyscy poszli?

Anen jeszcze raz spojrzał w stronę ołtarza.

– Nie można ryzykować, że całe bogactwo wiedzy zawarte w tym miejscu, bogactwo przechowywane od samego początku czasu, zostanie zdobyte i zniszczone przez bezbożne ręce – wyjaśnił cicho po chwili.

Teje przymrużyła oczy.

– Bezbożne ręce, mój bracie? Kogo masz na myśli?

Anen przez chwilę patrzył jej w oczy, lecz nie odpowiedział. Wskazał ku salom za magicznymi drzwiami.

– Jest pewne miejsce, daleko na pustyni, do którego zostały zabrane święte skarby Amona. Tam pozostaną, dopóki nie minie okres niebezpieczeństwa. Wkrótce również ja udam się na pustynię, kiedy zakończę wszystkie moje sprawy w Tebach. – Przerwał, ujął rękę Teje i uniósł ją do ust. – Ty również, jeśli chcesz, możesz pójść ze mną – dodał szeptem.

– Mam opuścić Teby?! – wykrzyknęła Teje, zaskoczona. – Porzucić pałac, mojego syna?

Anen uśmiechnął się lekko.

– Mówiłem ci wcześniej o... darze... który mogę ci ofiarować. Jeśli zdecydujesz się mi towarzyszyć, ten dar będzie twój.

– Ale nawet nie wiem, jaki to dar.

Anen skinął głową z uśmiechem.

– Dobrze, poczekaj tutaj, proszę.



Odwrócił się, przeszedł obok pustego basenu i zniknął w ciemnościach rozciągających się za ołtarzem Amona. Teje nasłuchiwała i wydawało jej się, że usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Przez chwilę panowała cisza, po czym Anen wrócił, niosąc w rękach coś czarnego i wysuszonego; gdy Teje przyjrzała się lepiej, zdała sobie sprawę, że jest to fragment ludzkiej ręki.

Cofnęła się z odrazą, lecz Anen widząc reakcję siostry, roześmiał się gorzko i chwycił Teje za ramię.

– Jak to? – parsknął. – Teraz stroisz fochy, a przez tyle lat kąpałaś się w ludzkiej krwi?

– Nie miałam wyboru.

– Twój syn, król Amenhotep, nie zgodziłby się z tobą.

– Ale wiesz, że przyjdzie czas, gdy zmieni zdanie.

– Doprawdy? Kiedy stanie się zbyt ohydny, by ludzie mogli na niego patrzeć? A ty, moja siostrzo, zawsze pozostaniesz tak samo piękna i młoda. A dlaczego? – Anen roześmiał się znowu. – Nie tylko dzięki twoim kąpielom!

Teje patrzyła na niego z coraz większym przerażeniem.

– Z czego jest zrobione lekarstwo, które mi ofiarowałaś? – wymamrotała.

Anen szyderczo uniósł kawałek kończyny.

– Jakże? Z tego. – Uśmiechnął się.

– Nie. – Teje zadrżała. – To niemożliwe... ale... jak?

– Dzięki tajemnicy świętego imienia Amona, którą poznała Izyda. Nie mogę ci powiedzieć, na czym polega sekret, gdyż mądrość boga jest rzeczą straszną, ale działanie, moc tej tajemnicy zobaczysz teraz na własne oczy.

Pociągnął siostrę za rękę i poprowadził ją za magiczne drzwi; tam kucnął, i wyciągnął przed siebie kawałek ciała. W ciemnościach Teje usłyszała mruczenie, a potem ostrożnie zbliżył się ku nim kot, poruszając delikatnymi nozdrzami. Anen chwycił zwierzątko, wziął go na rękę i zaczął karmić kawałkami mięsa, dopóki kot się nie najadł. Anen spojrzał na królową i uśmiechnął się; potem nagle rzucił kota i roztrzaskał jego głowę o ścianę.

Teje krzyknęła. Ruszyła naprzód, lecz Anen złapał ją i powstrzymał.

– Zobacz – rzekł i wskazał ręką.

Z głowy kota została tylko miazga krwi i kości. Lecz gdy w końcu monarchini udało się uwolnić z uścisku brata, pochyliła się nad zwierzęciem i ujrzała, że jego ciało porusza się i kot próbuje wstać. Patrzyła na tę scenę z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Jak to możliwe?

Anen uśmiechnął się znowu i postawił stopę na grzbiecie czworonoga. Rozległ się odgłos miażdżenia delikatnych kostek, lecz kot, mimo straszliwych ran, nadal się ruszał i usiłował wstać.

– Zabij go – załkała Teje. – Proszę, zmiłuj się i zabij go, teraz!

Anen wskazał ręką na kota.

– Czy to nie cud? – zapytał.

– Zabij go! – krzyknęła królowa.

– Dobrze – westchnął. – Ale jest tylko jeden sposób. – Spomiędzy fałdów szaty wyjął sztylet, po czym chwycił kota i przycisnął go do podłogi. – Trzeba przebić serce – szepnął, przykładając nóż. Pchnął mocno ostrze. Kot wyprężył się i znieruchomiał. Anen uśmiechnął się do siostry. – Tak, jak ci obiecałem... – Skinął głową. – Prawdziwy cud.

Teje westchnęła głęboko, jedną ręką trzymając się za serce, a drugą przyciskając do ust.

– Nigdy nie widziałam czegoś podobnie przerażającego – szepnęła.

– A jednak kot wkrótce zacząłby chodzić.

Teje pokręciła głową.

– Jak to możliwe?

– Dla bogów wszystko jest możliwe – odparł Anen i przerwał, czekając na odpowiedź siostry, po czym ze zniecierpliwieniem chwycił Teje za ramię.

– No? – zapytał. – Co na to powiesz? Nie każdemu, moja siostró, jest dana nieśmiertelność.

Teje spojrzała na zakrwawione ciało u stóp Anena.

– Ja... potrzebuję czasu. – Przełknęła ślinę. – Żeby pomyśleć... żeby rozważyć... – opowiedziała.

Twarz Anena spoważniała.

– Oby nie trwało to zbyt długo.

– Ale potrzebuję czasu.

– Za siedemdziesiąt dni twój mąż zostanie złożony w grobie i w ciągu następnych siedemdziesięciu dni muszę poznać twoją decyzję, gdyż dłużej nie można zwlekać. I oczywiście, moja siostró, nie zdradź nikomu tego, co pokazałem ci tu dzisiaj. – Przerwał i spojrzał w stronę sanktuarium. – Gdyż wiedza czasem bywa niebezpiecznym przywilejem.

– Więc dlaczego mi o tym powiedziałaś? Dlaczego zdradziłaś swój sekret?

– Naprawdę nie wiesz? – Anen spojrzał na królową rozczarowany; wyciągnął ramiona i mocno przytulił siostrę. – Ja będę żył przez całą wieczność – szepnął. – Czy sądzisz, że mógłbym żyć bez ciebie?

Ucałował ją w czoło, potem wypuścił z objęć, obrócił się i odszedł w stronę drzwi.

– Sto czterdzieści dni! – krzyknął, gdy drzwi się zamykały.

Teje została sama.

Tego popołudnia, gdy wracała do pałacu, słońce wydawało się jaśniejsze, światło bardziej żywe, a kolory bogatsze niż kiedykolwiek. Ale piękno tylko zwiększyło niepokój Teje. Ani chłód zmięzchu, ani nocna cisza, nie przyniosły jej ulgi, aż w końcu, nie mogąc usnąć, królowa wstała z łóżka. Zawołała, aby przyniesiono płaszcz, i przeszła przez ogrody kierując się ku brzegowi jeziora. Nietrudno było znaleźć drogę, gdyż księżyc świecił jasno. W miarę jak zbliżała się do ulubionego miejsca swego ojca, przypominała sobie z dni dzieciństwa

każdy krok i każdy zakręt. Ale gdy dotarła na miejsce, zauważyła, że ktoś już tam jest i stoi pod drzewami; na tle gwiazd rozpoznała wielką głowę, wysuszone ciało, wychudzone ramiona, zrujnowaną urodę króla Amenhotepa, swojego syna. „Nie tutaj, nie teraz, nie z nim” – pomyślała. Wróciła do pałacu, zażądała konia i ruszyła ścieżką prowadzącą w stronę wzgórz. Przy wąwozie prowadzącym do doliny zmarłych nie znalazła strażników, co ją zaskoczyło, ale także – biorąc pod uwagę obecny nastrój – ucieszyło. Między skalnymi zboczami zsiadła z wierzchowca i dalej poszła pieszo, aż do grobowca swoich rodziców. Spętała konia i uklękła, aby się pomodlić, aby poprosić ojca o pomoc i radę. Jednak dobrze wiedziała, jeszcze zanim dotarła do grobu, co powiedziałby Józef – a tym samym, co musi zrobić. Kiedy w końcu się podniosła, poczuła ulgę. Z pochyloną głową stała jeszcze przez chwilę przed wejściem do grobowca, po czym wróciła do konia. Nagle jednak, gdy rozwiązywała lejce, usłyszała szmer dalekiej rozmowy. Spojrzawszy w stronę, z której dobiegał odgłos, zauważyła ledwie widoczne światła. Poczła dreszcz przerażenia, wiedziała bowiem, że o tej porze i w tym miejscu może oznaczać tylko jedno. Mimo wszystko, aby się upewnić, jak najciszej weszła na wzgórze i stamtąd wyjrzała zza skał. W odległej części doliny widziała migoczące pochodnie i grupę ludzi, dziesięciu lub dwunastu, zgromadzonych przy grobie – a potem usłyszała bardzo cichy odgłos motyk uderzających o kamień.

Bicie jej serca zagłuszało hałas. Nie wiedziała, co bardziej ją przeraziło: to, że sama znalazła się w niebezpieczeństwie, czy świętokradztwo, którego była świadkiem. Spojrzała na ubity piach pod stopami, gdzie spoczywały ciała jej rodziców.

– Pozwól, aby byli bezpieczni – szepnęła. – O Wszechpotężny i Wszechwidzący, pozwól, aby ich spokój nigdy nie został zakłócony.

Z mocno bijącym sercem, powoli zeszła ze wzgórza i odwiązawszy konia wspięła się na siodło. Siedziała chwilę bez ruchu zbierając odwagę, gdyż przypuszczała, że rabusie zamordowali strażników i z pewnością wystawili własne warty. Potem popędziła konia i pogalopowała ścieżką najszybciej, jak mogła, nie troszcząc się o zachowanie ciszy. Pragnęła tylko uciec z doliny. W ciasnym wąwozie między wzgórzami usłyszała zduszony krzyk. Zobaczyła dwie postacie wybiegające z mroku. Jeden ze złodziei chwycił ją za skraj płaszcza, lecz Teje rozluźniła zapięcie i okrycie zsunęło się jej z ramion. Pędziła dalej przez wąwóz i drogą ku światłom pałacu migoczącym nad Nilem. Jednak w połowie drogi Teje zobaczyła grupę jeźdźców i krzyknęła z ulgą, rozpoznawszy ogolone głowy kapłanów. Gdy pozdrowiła mężczyzn, wszyscy zbledli, zsiadli z koni i już mieli uklęknąć na drodze, aby oddać pokłon królowej. Jednak Teje uniosła dłoń i kazała im nie zwlekać ani chwili, lecz spieszyć do doliny, aby zaskoczyć złodziei. Na wieść o tym, co ujrziała Teje, kapłani zbledli jeszcze bardziej i wytrzeszczyli oczy z przerażenia.

– Świętokradztwo w dolinie?! – wykrzyknął ich dowódca. – To coś gorszego i bardziej przerażającego, niż można sobie wyobrazić. Twój brat, królowo, nasz nowy arcykapłan, będzie wstrząśnięty, kiedy się o tym dowie.

Patrząc na jeźdźców oddalających się w stronę doliny, Teje nie miała wątpliwości, że kapłan powiedział prawdę, gdyż za bezpieczeństwo tego miejsca odpowiadał arcykapłan. Królowa przypuszczała, że kiedy Anen pozna nowiny, tylko utwierdzi się w obawie przed czasem świętokradców. Nie szukała jednak brata, w ogóle się z nim nie spotkała, ani też nie widziała go przypadkiem. Zastanawiała się, czy on także unika miejsc, w których mógłby spotkać innych ludzi. Dopiero w dzień pogrzebu jej męża, kiedy ciało było przenoszone ze świątyni do grobowca, Teje wreszcie zobaczyła Anena – lecz on unikał jej wzroku. Szedł na samym czele procesji, daleko od nowego faraona i królewskiej rodziny, jadących na końcu długiego pochodu ludzi, którzy nieśli skarby obok trumny spoczywającej na katafalku. Gdy Teje dotarła do grobowca, wszelkie bogactwa były już wniesione do mrocznego wnętrza i tylko wielka złota trumna pozostawała przed wejściem. Gdy Anen zaintonował modlitwę do Ozyrysa, trumna została zdjęta z katafalku i złożona obok wejścia; potem dwaj kapłani w maskach – jeden przebrany za Izydę, drugi za Seta – ustawili ją w pozycji pionowej. Obaj kapłani wzniesli pieśń żałobną, a Anen odwrócił się ku królewskiej rodzinie.

Nadal jednak unikał wzroku siostry i wpatrywał się w króla Amenhotepa.

– O Ozyrysie! – krzyknął donośnym głosem. – Przybywa twój potomek, twój krewny, który jest ciałem z twego ciała, krwią z twojej krwi! Chwała ci, panie jasności, wielki nauczycielu ludzkości, władco gwiazd! Ty, który zostałeś zamordowany, umieszczony w drewnianej skrzyni i poćwiartowany przez brata na czternaście kawałków, strzeż wielkiego faraona. Przybywa on teraz tutaj, aby jego ciało nie zgniło, lecz by mógł żyć z tobą na wieczność, o panie żywych i umarłych!

Arcykapłan zamilkł na chwilę. Teje widziała, że Anen nadal wpatruje się w jej syna, króla Amenhotepa. W końcu odwrócił się ku trumnie, unosząc w górę swoją laskę. Lekko dotknął nią piersi wizerunku zmarłego faraona, wspianiale uformowanego na wieku trumny.

– Prowadź nocą serce faraona. – Jeszcze raz uniósł laskę i ponownie ją opuścił, tym razem na usta portretu. – Otwórz usta faraona. Daj mu oddech. Zachowaj w nim na zawsze życie wieczne.

Anen stał jeszcze przez chwilę z pochyloną głową, potem uniósł ręce i ponownie zaintonował posępną pieśń. Kiedy trumnę wnoszono do grobu, do głosu arcykapłana dołączyło wiele innych. Kapłani śpiewali nadal, gdy żałobnicy w końcu wynurzyli się z mroków i wszystko było gotowe do ostatecznego zamknięcia grobowca. Opuszczono kamienne bloki; cegły połączono zaprawą; wejście przysypano skalnymi odłamkami, aż ostatecznie po grobowcu nie pozostał nawet ślad.

Anen odwrócił się do króla Amenhotepa i uklonił się nisko.

– O potężny potomku bogów zamieszkujących wśród gwiazd, twój ojciec zjednoczył się z Ozyrysem. Trzeba teraz rozpocząć rytuał dziękczynny. Czy, jak każą nasze zwyczaje, poprowadzisz święte ceremonie?

Ale król Amenhotep pokręcił głową.

– Wiesz, że nie wierzę w twoich bogów – odpowiedział krótko. – Przybyłem tu tylko po to, żeby się upewnić, że mój ojciec został zamknięty w grobie.

Anen ledwie zauważalnie zacisnął usta, lecz poza tym nie okazał żadnych emocji.

– Mam zatem nadzieję, królu, że jesteś teraz zadowolony.

– Owszem – przytaknął król Amenhotep. – Obawiam się jednak, że nawet teraz nie wszystko jest bezpieczne. Dotarły do mnie raporty, wuju, ponure wiadomości, o nocnych poczynaniach złodziei w dolinie. – Zamilkł na chwilę i przymrużył oczy – Uważaj na nich. Nie chcę, żeby wieczny sen mojego ojca został zakłócony.

Anen jeszcze raz ukłonił się nisko.

– Nic nie przeszkodzi mu w śnie wiecznego życia – odrzekł.

Lekki uśmiech przemknął po pełnych wargach króla Amenhotepa.

– Miło mi to słyszeć. – Skinął głową.

Spojrzał jeszcze raz w miejsce, gdzie było ukryte wejście do grobowca, po czym odwrócił się i odjechał rydwanem. Dworzanie i służący poszli w ślady faraona, i z całej królewskiej rodziny tylko Teje została na miejscu. Anen nadal stał nieruchomo, wpatrując się w kamienie przykrywające wejście; w końcu podniósł głowę i spojrzał siostrze w oczy. Teje nie wiedziała, jak rozumieć blask, który dostrzegła w jego spojrzeniu – czy była to prośba, czy ostrzeżenie, czy też coś więcej, zapowiedź nie ujawnionej tajemnicy. Prawie zmusiła się, żeby podejść do Anena, lecz wtedy on odwrócił się i przemówił do kapłanów, a Teje wiedziała, że jeszcze nie nastał właściwy moment. „W ciągu następných siedemdziesięciu dni porozmawiajmy lub, jeśli będzie trzeba, rozstańmy się na zawsze”, pomyślała, wracając do rydwanu.

Lecz kiedy nadszedł siedemdziesiąty dzień po pogrzebie, Anen nie pojawił się, nie przesłał też żadnej wiadomości. Teje zmartwiona udała się do świątyni, ale nie znalazła tam brata. Minął dzień siedemdziesiąty pierwszy, potem siedemdziesiąty drugi, aż w końcu po dalszych dziesięciu dniach bez żadnego znaku życia od Anena, Teje otrzymała poufną wiadomość.

Okazało się jednak, że pochodzi ona nie od brata, lecz od syna, który kazał jej przybyć na spotkanie na drodze prowadzącej ku wzgórzom. Kiedy dotarła na miejsce, zastała króla z oddziałem gwardzistów. Amenhotep ucałował ją serdecznie, po czym zwrócił się do dowódcy.

– Powiedz królowej o odkrytej przez was tajemnicy – rozkazał.

Kapitan ukłonił się.

– Trzeba ci wiedzieć, potężna królowo, że wyznaczyłem strażników do czuwania przy królewskich grobowcach – powiedział, wskazując w stronę doliny.

Teje zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

– Czy pilnowanie grobów nie jest obowiązkiem kapłanów?

– Owszem – odparł król Amenhotep. – A ostatnio go zaniedbali, gdyż w ciągu ostatnich kilku tygodni złodzieje włamali się do kolejnych grobowców. Dlatego postanowiłem ustawić w Dolinie kilku własnych ludzi. – Wskazał ręką dowódcę.

– A czy poinformowałeś kapłanów o tej decyzji?

Król Amenhotep uśmiechnął się ponuro.

– Nie.

– Rozumiem. – Teje wolno skinęła głową. – Powiedz mi więc – zwróciła się do dowódcy – co odkryłeś?

– Jakies dziesięć dni temu byliśmy na patrolu i usłyszeliśmy przy grobie twojego męża, o wielka królowo, odgłos kroków na kamieniach – odpowiedział. – Natychmiast zesłiśmy, aby zbadać wejście, i tak jak się tego obawialiśmy, okazało się, że zostało naruszone. Wewnątrz znaleźliśmy pięciu ludzi beczeszczących trumnę. Pojmaliśmy świętokradców, a następnie zamknęliśmy grobowiec najlepiej, jak umieliśmy. Złodziei potraktowaliśmy tak, jak każe prawo, pozbawiając ich nosów i obcinając uszy, a potem ciała wbiliśmy na pale obok grobowca. Wszystko to stało się, jak powiedziałem, dziesięć dni temu.

– I co w tym takiego dziwnego?

Dowódca spojrzał nerwowo na króla Amenhotepa, potem jeszcze raz na Teje.

– Czterej złodzieje, zgodnie z oczekiwaniami, dawno umarli. Ale piąty, potężna królowo... – Kapitan przełknął ślinę – ciągle żyje.

– Nie. – Teje wzięła głęboki oddech i poczuła, jak coś zimnego ścisną ją za gardło. – Jak to możliwe?

– Myślałem, matko, że właśnie ty będziesz mogła mi to wyjaśnić – rzekł łagodnie król Amenhotep.

Wyjął spod płaszcza naczynie do połowy wypełnione czarną cieczą.

– Przyłapałem Kiję, jak piła ten płyn. Powiedziała, że dostała go od Anena. Wyznała również, że arcykapłan dawał ci ten sam napój, aby uchronić piękno twojej twarzy przed upływem lat.

Teje patrzyła na naczynie z poczuciem winy i próbując się bronić, odpowiedziała:

– Nie ma w tym nic złego, że ktoś próbuje zachować swoją urodę i młodość.

Król Amenhotep roześmiał się gorzko, chowając buteleczkę z powrotem pod płaszcz.

– Natychmiast udamy się do grobowca mojego ojca – oświadczył szorstko. – Ciekawie będzie dowiedzieć się, jakie jeszcze inne zaklęcia zna arcykapłan Amona.

– Chyba nie sądzisz...

Lecz król Amenhotep uniósł dłoń i zwrócił się do dowódcy:

– Powiedz, czyż nie doniosłeś w raporcie, że ostrze pała przebiło czaszkę?

Kapitan skłonił się.

– Tak, potężny królu.

Król Amenhotep odwrócił się do matki.

– Doskonale. Chodźmy i zobaczymy, co tam się dzieje.

Gdy jechali pustą drogą, na długo przedtem, zanim ujrzeli złodzieja w białego na pal, do ich uszu dotarły pełne cierpienia krzyki, a Teje, wsłuchując się w nie, rozpoznała głos brata. Gdy podeszła bliżej grobowca, zobaczyła pięć powykręcanych ciał, czarnych od krwi i bezlitosnego słonecznego żaru; cztery z nich były martwe, lecz jeden nieszczęśnik nadal wił się z bólu i krzyczał, wykrzywiając swą i tak już zniekształconą twarz. Jednak kiedy Teje się zbliżyła, mając syna u swego boku, strzęp człowieka zamilkł, a potem nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

– Dlaczego? – krzyknęła królowa z wściekłością. – Anenie, dlaczego?

Lecz on tylko się śmiał i nie odpowiedział na żadne z pytań siostry i siostrzeńca; bełkotał niezrozumiale, a w jego głosie brzmiały nuty bólu i szyderstwa zarazem.

– Zdejmijcie go – zwrócił się król Amenhotep do dowódcy. – Nie mogę znieść widoku takiego cierpienia. A wy otwórzcie grobowiec – rzekł do pozostałych gwardzistów. Podobno złapaliście ich – wskazał ręką ciała na palach – gdy próbowali zbezcześcić trumnę faraona, mojego ojca. Chcę wiedzieć, czego szukali.

Gwardziści ukłonili się i natychmiast przystąpili do wykonywania rozkazu. Podczas gdy większość pracowała przy otwieraniu grobowca, Teje patrzyła, jak inni zdejmują z pala jej brata. Zauważyła, że dowódca nie przesadzał, ostrze pala rzeczywiście przebiło czaszkę Anena; gdy gwardziści próbowali zdjąć arcykapłana, Teje odwróciła się, nie mogąc znieść tego widoku. Kiedy w końcu znowu spojrzała w stronę miejsca tortur, Anen, wijąc się i plując krwią, leżał na piasku. Straszliwe rany nadal krwawiły, a on sam śmiał się, nawet krzycząc z bólu. Zamilkł dopiero, gdy król Amenhotep pochylił się i zmusił go do przełknięcia napoju z naczynka. Buteleczka została opróżniona i wyrzucona, a arcykapłan zamilkł, nie wydając nawet jęku. Król Amenhotep próbował zadawać mu pytania, lecz Anen jakby ich nie słyszał. Teje zauważyła, że brat wpatruje się w nią szeroko otwartymi oczami.

Nagle dał się słyszeć hałas osypujących się kamieni i sapanie zmęczonych ludzi. Gwardziści wyszli z grobowca. Nieśli skrzynię wielkości człowieka, a pieczęcie na jej boku były złamane.

– Właśnie tego szukali – oznajmił jeden z żołnierzy, kiedy skrzynia została ostrożnie złożona na ziemi. – Skrzynia znajdowała się w wewnętrznej trumnie faraona, a gdy ją znaleźliśmy, wieko było uchylone.

Król spojrzął na Anena, który nagle znów zaczął się śmiać, choć nie tak dziko jak poprzednio, lecz złowroźnie. Teje dostrzegła, że krew odpłynęła z twarzy jej syna, i przez chwilę odniosła wrażenie, że faraon chce uderzyć wuja; lecz w końcu Amenhotep odwrócił się w stronę skrzyni i skinął na gwardzistę. Chwila wysiłku i wieko zostało zdjęte. Władca zajrzał do wnętrza, po czym natychmiast odwrócił wzrok. Lecz gdy Teje podeszła, aby również spojrzeć do środka, ponownie popatrzył na zawartość skrzyni. Oboje przez dłuższą chwilę stali w milczeniu.

– Czternaście części – powiedział w końcu król Amenhotep. – Porąbałeś go jak niegdyś Seth poćwiartował Ozyrysa, na czternaście części. Ale dlaczego? – złapał Anena i mocno nim potrząsnął. – Dlaczego?

Anen nie rzekł ani słowa, lecz Teje zdała sobie sprawę, że arcykapłan doskonale zna odpowiedź.

– Zobacz, ciało pod bandażami jakby się poruszyło. Wygląda, jakby ciągle żyło! – krzyknęła.

Wzięła w dłonie odciętą głowę i uniosła ją do słońca.

Nawet przez poczerniałe pasy płótna dało się zauważyć lekki ruch powiek, a gdy Teje odsunęła bandaż z ust, zobaczyła, że wysuszony język porusza się. Patrzyła zdumiona i po chwili podała głowę synowi, który zadrzał z odrazą i niedowierzaniem.

– Doprawdy nigdy wcześniej nie widziałem nic tak przerażającego, nic dziwniejszego ani bardziej ponurego! – zawołał. Z szacunkiem odłożył głowę do skrzyni, po czym nadal drżąc, odwrócił się i spojrzał na Anena. – Na czym polegają i co znaczą te czary? – zapytał stanowczo. – To zło tak obrzydliwe, że aż boję się usłyszeć twoją odpowiedź.

Anen uśmiechnął się, lecz nie odpowiadał. Patrząc na brata, Teje przypomniała sobie, jak uśmiechał się do niej wcześniej, stojąc w mrocznej świątyni Amona i słuchając miauczenia okaleczonego kota.

– Ja ci mogę wyjaśnić – rzekła wolno, zbliżając się do arcykapłana.

– Nie! – Anen przemówił po raz pierwszy, od kiedy został zdjęty z pała. – Nie! – krzyknął ponownie. – Nie, nie wolno ci!

– Dlaczego?

– Musimy zachować tajemnicę.

– Nie.

– Ale przecież... – Anen spojrzał na siostrę z niedowierzaniem. – Przecież nie... nie odrzucisz mojej propozycji? Chodź! – Nagle wstał i próbował złapać ją za ramię. – Musimy odejść teraz, nadszedł czas!

Lecz Teje, drżąc, odsunęła się od brata.

– Nigdy! – wykrzyknęła. – Wolałabym raczej umrzeć, niż odejść z tobą.

Anen zamarł.

– Wolałabyś umrzeć? – szepnęła. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, nie było na niej śladu życia. Nagle roześmiał się tak, jak poprzednio, szyderczo, gorzko i złowroźnie. – Ależ ty nigdy nie umrzesz – szepnęła. – Ani ty, ani on. – Wskazał na siostrzeńca. – Nikt z waszej rodziny. Nigdy nie umrzecie! Zobacz! – Sięgnął po odciętą głowę męża Teje. – Spójrz, jaki los sama wybrałaś dla siebie.

– A więc to prawda... – Król Amenhotep zerknął na poćwiartowane ciało ojca. – On rzeczywiście jeszcze żyje?



– Nawet gdyby go pocięto na nieskończoną ilość kawałeczków, gdyby jego krew przemieszała się ze wszystkimi wodami świata, gdyby kości zostały zmiażdżone i zmielone na pył, nawet wtedy esencja jego życia przetrwa.

Teje patrzyła na syna z przerażeniem, lecz twarz króla pozostała doskonale spokojna.

– Jak to możliwe? – zapytał Amenhotep.

– Taka jest wola bogów.

– Nie wierzę ci.

– A jednak to prawda. Tak nakazała i uczyniła Izyda, najmądrzejsza z nieśmiertelnych, pani tajemnej wiedzy z gwiazd, założycielka rodu nieśmiertelnych królów. Jaka magię posiadają ci królowie, jak potężne czary zawiera ich krew, wskazują poczynania samej bogini, która kazała zamknąć swego męża w skrzyni i pociąć jego ciało na czternaście części.

– Nie! – krzyknęła Teje. – Nie, nie, to uczynił Seth.

Anen roześmiał się.

– Tak się mówi. Ale czy naprawdę wierzysz, że my, strażnicy mądrości bogów, zdradzilibyśmy nasze największe i najstarsze sekrety, i wyjawilibyśmy je bezrozumnej tłuszczy? Nie, gdyż jeśli wszyscy zrozumieliby prawdę, to każdy stałby się nieśmiertelny, gdyż mógłby jeść ciało żywych bogów, zabezpieczone i pocięte, jak każą rytuały. – Spojrzał na ciało w skrzyni. – Pokarm dla bogów, utworzony z bogów.

Król Amenhotep zmierzył wuja wzrokiem, po czym znów zajrzał do skrzyni.

– I wszystkich moich przodków potraktowaliście w ten sam sposób? – zapytał cicho.

– Tak jak mówiłem, rytuał wymaga, aby ciała spoczywały w trumnach przez siedemdziesiąt dni, a potem zostały pocięte na czternaście części – odrzekł Anen.

– A więc dlatego włamaliście się do grobowca mego ojca. Ale dlaczego naruszyliście również miejsca spoczynku pozostałych faraonów?

– Aby wziąć ciała i zastąpić je innymi, żeby nikt nigdy się nie dowiedział, iż zostały zabrane. Zresztą to nieważne, gdyż wszystkie, oprócz tego jednego dotarły bezpiecznie na miejsce.

– To znaczy?

– Do starej świątyni, daleko na pustyni, stojącej w miejscu, do którego bogowie przybyli z gwiazd. Nie pytaj, gdzie to jest, gdyż nigdy tego nie zdradzę, ani też sam nie zdołasz się dowiedzieć.

– Dlaczego tak rozpaczliwie staraliście się tam uciec?

– Ponieważ, wielki faraonie, obawialiśmy się tego, co możesz uczynić. Potraktuj to – uklonił się lekko – jako komplement. Ale nie sądz – przerwał na chwilę i zajrzał do wnętrza skrzyni – że nigdy nie wrócimy; w końcu staniesz się czymś bardzo starym, wysuszonym, płodzącym potwory, tak jak twój ojciec. Do tego momentu, jak każde rytuał, musimy pozwolić ci zasiadać na tronie przodków, ale w końcu będę mógł się tobą pożywić. – Uśmiechnął się i spojrzął na Teje. – Tak, twoim żywym ciałem również.

– A jednak nie jesteś nieśmiertelny – powiedziała wolno Teje.

Anen odetchnął głęboko i spojrzął na nią przymrużonymi oczami.

Teje uśmiechnęła się i odwróciła do syna.

– Przebij jego serce. Zobaczysz wtedy, jak umiera.

Przez chwilę nikt się nie odezwał.

– Czy to prawda? – zapytał w końcu Amenhotep.

Anen odwrócił wzrok.

Król uśmiechnął się krzywo i osłaniając dłonią oczy, spojrzął ku słońcu.

– Przysięgałem, że nie zabiję żadnego żywego stworzenia. Nawet ciebie – powiedział cicho.

Teje patrzyła na syna z niedowierzaniem.

– Puścisz go wolno?

– Ciężko mu będzie żyć wiecznie z taką twarzą. – Faraon popatrzył na beznosą twarz wuja i na ciągle krwawiące rany w miejscach uszu, po czym odwrócił się do Teje. – Ale jeszcze ciężiej, matko, będzie mu żyć wiecznie bez miłości, żyć wiecznie bez ciebie.

Anen uklonił się nisko, niemal promieniejąc z zadowolenia.

– Lecz nie tak ciężko, faraonie, jak tobie ze świadomością tego, co cię czeka.

Król Amenhotep znowu spojrzął na oślepiająco jasne słońce.

– Musimy wierzyć, że dla Najwyższego wszystko jest możliwe.

– Może i tak. Ale rozwiązanie leży teraz przed tobą, w tej skrzyni. – Anen sięgnął po kawałek wysuszonego ramienia. – Zjedzcie to – szepnął, podsuwając odciętą kończynę faraonowi i Teje. – Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze oboje możecie być uratowani. Nie potrzebujecie waszego boga ze słońca, aby pomóc sobie samym.

Teje spojrzała na ciało z nieoczekiwaną tęsknotą, a Anen uśmiechnął się, gdy zauważył błysk w oczach siostry. Odwróciła się do syna. Nawet on, jak się jej wydawało, wahał się, miał wątpliwości. W końcu wyciągnął rękę po fragment ramienia.

– Ale... – szepnął nagle i spojrzął na słońce – jeśli to zjemy, możemy się okazać przekleństwem dla ludzi. Już i tak jesteśmy niebezpieczni, a o ile bardziej będziemy, nigdy nie mogąc umrzeć. Nie! – Odłożył fragment ciała do skrzyni. – Zabierz to! Nie możemy znieść pokusy, kiedy to jest tutaj. – Zamilkł i spojrzął na pocięte ciało ojca. – Zobacz, jak sprawdziły się jego słowa, że świat jest tylko zniszczeniem. Ale ja obiecuję... modłę się, aby wszystko uległo zmianie.

Amenhotep odwrócił się i odszedł, pozostawiając Teje stojącą przy skrzyni. Królowa spojrzała w oczy Anena, po czym ruszyła za synem. Żadne z nich nie obejrzało się za siebie w drodze do świątyni. Gdy już dotarli do miejsca kultu Amona, weszli do wewnętrznego sanktuarium, a potem, za basen, w ciemności. W najdalszej ścianie znajdowały się niewielkie drzwi, prowadzące do kolejnego, ostatniego pomieszczenia. Stał tam posąg w koronie i szatach Izydy, o kształtach, które Teje mogła poznać patrząc na syna; figura w niewielkim

stopniu przypominała człowieka. Była ohydna i zdeformowana, bardziej odrażająca niż wszystko, co Teje kiedykolwiek widziała.

– Nic dziwnego, że trzymają to ukryte w tym mrocznym miejscu. Taki widok mógłby być niebezpieczny dla ludzi – szepnął król Amenhotep.

Popchnął posąg, a ten runął i rozbił się o podłogę na drobne kawałki. Faraon wdeptał je w piach pod stopami.

Tego samego dnia Kija urodziła. Dziecko było chłopcem i urodziło się żywe. Otrzymało imię Semenchkare.

Również tego samego dnia, gdy król Amenhotep udał się na spoczynek, ujrzał we śnie pałac słońce.

Lecz w tym miejscu Harun zobaczył, że zbliża się świt i przerwał opowieść.

– O Przywódcu Wiernych – powiedział. – Jeśli zechcesz przyjść tu jutro wieczorem, opowiem ci o tym, jaki był sen króla Amenhotepa i co z tego wynikło.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun; następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Ten sam sen powtarzał się co noc: wizja palącego słońca, tak jasnego, że ludzkie oko nie mogło znieść jego widoku. Lecz Amenhotep odkrył, że w miarę jak mijały miesiące, blask słońca stawał się łatwiejszy do zniesienia. Królowi wydawało się, że zaczyna dostrzegać niemal niewidoczny przez oślepiające złociste promienie zarys czegoś jeszcze, czegoś innego niż słońce.

– O boski Panie Wszechrzeczy! Potężny żywy Atonie! Daj mi siłę, abym mógł zobaczyć to, co jest ukryte – krzyczał we śnie i wpatrywał się w samo słońce.

Lecz blask przygasał i sen znikał; król Amenhotep budził się sam w łóżku, a wschodzące prawdziwe słońce wypełniało jego pokój porannym światłem.

Faraon bardzo pragnął wówczas, w goryczy rozczarowania, mieć znowu u boku Kije, królową. Wiedział jednak, że nie może na to pozwolić; i nie pozwalał na to od tego wieczoru, gdy poznał całą prawdę o sobie. Jak inaczej mógłby mieć nadzieję na przełamanie klątwy, na przerwanie płynącego od niezliczonych wieków strumienia zatrutej krwi, jeśli nie będąc ostatnim z długiej linii tych, w których żyłach ta krew płynęła? Miał już syna; a kiedy patrzył na Semenchkare, ssącego pierś matki lub pogrążonego we śnie, drżał na myśl o tym, że nawet to dziecko, tak piękne i niewinne, może być zakażone trucizną. Czasem król Amenhotep próbował odegnać od siebie złe myśli; wiedział jednak, że mu się to nie uda, gdyż teraz tylko strach trzymał go przy życiu. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie odczuwał lęku, sypiałby z Kija każdej nocy, ponieważ jego pożądanie rosło w miarę jak zmieniało się jego ciało, krążyło po tym ciele jak ogień, ponaglając i kusząc.

W końcu doszło do tego, że nie mógł znieść nawet widoku Kiji, bo przypominał mu o chwilach szczęścia, które bezpowrotnie utracił; wygnał więc Kiję i więcej się z nią nie zobaczył. Z czasem znenawidził też wszystkie swoje wcześniej ulubione rozrywki – spokój jeziora, nad którym niegdyś siadywał z dziadkiem, spacer po polach, widok kwiatów, wycieczki po majestatycznie płynącym Nilu, gdzie rozpościerało się całe piękno i bogactwo przyrody. Wszystko, co zawsze cenił i podziwiał, jakby obróciło się w proch. Modlitwy króla Amenhotepa do Atona były pełne rozpaczy – ale świątynia Atona nie dawała mu spokoju. Mimo iż obalił posąg stojący w jej sercu, obawiał się tej ogromnej kamiennej budowli; choć Amenhotep nigdy by się do tego nie przyznał, lękał się, iż potęga Atona może się okazać złudzeniem, i bóg Józefa nie dorówna swą mocą starym, strasznym bogom. Jak chmura piasku niesiona przez wiatr, wysuszająca pola i chłodząca jeziora, mroczny cień świątyni padał na Teby, a król Amenhotep czuł go w swej duszy.

Jednak jego sny pozostały takie same: blask słońca był w nich niczym nie zmacony, jak dowód niewzruszonej potęgi Atona. O to w każdym razie modlił się faraon. Z biegiem czasu obraz, który król widział na tle słonecznej tarczy, stawał się wyraźniejszy i dręczył śpiącego, rozbudzając jego nadzieje. Powoli Amenhotep zaczynał rozróżniać układające się w półksiężyc skalne zbocza, otaczające łukiem piaszczystą równinę. Wkrótce wizje stały się wyraźniejsze; widział, że przez równinę płynie rzeka, bardzo szeroka, z trzcinowymi zaroślami wzdłuż brzegów, a kiedy się obudził, wiedział, iż może to być tylko Nil. Podekscytowany, wezwał swego wuja, Aj, opisał mu okolice, którą ujrzał we śnie, i rozkazał wysłać ludzi wzdłuż Nilu, do Górnego i Dolnego Egiptu, aby sprawdzili, czy rzeczywiście gdzieś takie miejsce istnieje. Amenhotep czekał z niecierpliwością, gdyż wizje każdej nocy przedstawiały więcej szczegółów. Faraon zaś nie wątpił, że są znakiem zesłanym przez niebiosa. Aż w końcu jeden z posłańców wrócił i, skłoniwszy się nisko, spojrzął na faraona z radością.

– O szczęśliwy królu! – wykrzyknął. – Przez wiele dni, zgodnie z twoim rozkazem, podróżowałem z biegiem rzeki. Widziałem wznoszące się na wschodnim brzegu strome i niegościnne skalne zbocza. Obawiałem się, że nie uda mi się znaleźć opisanego przez ciebie miejsca. Lecz w końcu ujrzałem, że skały układają się w łuk, i zobaczyłem równinę o kształcie przepołowionego koła i trzciny wzdłuż brzegu rzeki.

Słyszając to, król Amenhotep wznosił modlitwę dziękczynną; jeszcze tego samego dnia wsiadł na swój statek i wyruszył w dół Nilu. W końcu dotarł na miejsce, które znalazł jego sługa, i patrząc na nie wiedział, że jest to miejsce z jego snu.

Zszedł na brzeg i kazał rozbić swój namiot, a gdy nocą usnął, ten sam sen przyśnił mu się znowu. Widział przed sobą nadal skalne zbocza oraz równinę, lecz zmieniły się one w cudownie piękny krajobraz, gdyż teraz wyrosło tam miasto o lśniących murach i wieżach, ogrodach ze śpiewającymi ptakami, ze stawami pełnymi ryb, niezrównanymi pałacami i domami, a przede wszystkim z świątynią otwartą ku słońcu. Podziwiając ten widok, król

Amenhotep doznał uniesienia tak wielkiego, że wydawało się płonąć w jego sercu. Nawet ulice, którym się przyglądał, wypełniało światło. „To wszystko zapowiada jakiś wielki cud” – pomyślał, a radość w jego sercu stawała się coraz większa; miasto zaś wydawało się lśnić i rosnąć ku jego radości. Wtedy się obudził; ale, jak dalekie echo muzyki, radość pozostała, chociaż głęboko ukryta; jednak wyraźnie ją czując, wiedział, co musi zrobić.

Wróciwszy do Teb, wezwał dworzan i opisał im senną wizję.

– Postaramy się zbudować takie miasto – oznajmił. – Jestem pewien, że jeśli nam się to uda, zyskamy wielkie błogosławieństwo dzięki łasce Najwyższego.

Słowa te przyjęto z olbrzymim entuzjazmem i natychmiast rozeszły się wieści po całym Egipcie, a nawet poza jego granicami. Najlepsi rzemieślnicy, architekci i artyści świata, pragnąc wcielić w życie sen faraona, zgromadzili się na półkolistej równinie. Po pewnym czasie z piasków wyrosło ku niebu miasto. Kiedy wszystko było gotowe, powiadomiono króla Amenhotepa; pełen nadziei przygotowywał się do drogi. Najpierw jednak udał się do świątyni Amona i rozkazał zburzyć jej dach, aby słoneczne światło mogło oczyścić pomieszczenia z wszelkich tajemnic i rozwiać – przynajmniej taką nadzieję miał król – mroki skrywanych tam sekretów.

– Niech trawa wyrośnie na jej podłodze – oświadczył. – A między kolumnami niech zamieszkają szakale i sowy.

Następnie, aby dowieść, że odtąd zupełnie zrywa z przeszłością, ogłosił, że jego imię nie będzie już brzmiało Amenhotep, lecz Echnaton, co w jego języku znaczyło „Blask Słońca”.

A kiedy dopłynął do równiny o kształcie półksiężyca, serce przepęłniała mu nadzieja; i gdy zobaczył miasto wzniesione na piaskach, krzyknął z zachwytu i uniesienia, gdyż była to wierna kopia miasta z jego snu. Pamiętając blask, który widział we śnie, i uczucie radości, które wydawało się zapowiadać jakiś wielki cud, wszedł na rydwan i ruszył ku miastu. Gdy zbliżał się do niego, modlił się o ten cud, o jakiś znak. A wtedy nagle poczuł niesiony wiatrem słodki zapach nieskończonej ilości kwiatów i ujrzał, że w stawach nagle rozkwitły lotosy, a dające cień drzewa rosły przy murach, gałęzie o pachnących liściach pochylały się nad domami i drogami. Spośród liści dobiegał śpiew barwnych ptaków, w chórze głośniejszym, niż król Echnaton kiedykolwiek słyszał. Rozejrzał się, zaskoczony, gdyż wydawało się, że wszelkie cuda życia na ziemi pojawiły się, by go przywitać; jakby wszystkie równocześnie powstały z piasków.

W tej samej chwili z tłumu, który zgromadził się wzdłuż drogi, dobiegł nagle pomruk, a potem okrzyk zdziwienia. Król Amenhotep zobaczył, że wszyscy się odwrócili i patrzyli w jednym kierunku. Szarpnął lejcam i popędził konie. Gdy Echnaton dotarł do bram, chwiejnym krokiem wyszedł mu na spotkanie pokryty kurzem posłaniec i ukląkł na drodze.

– O potężny faraonie! – wykrzyknął. – Błogosławieństwo i cud zbliżają się, aby cię powitać! Droga, która prowadzi do odległej dzielnicy miasta, niesiona jest lektyka otoczona złocistym blaskiem. Za nią idą zwierzęta wszelkiego rodzaju, lwy i lamparty, brykające

pantery, jelen pełen łagodności i cudownego wdzięku, łaciate bydło i oślepiająco białe woły, wszystkie oswojone, zupełnie jakby przez urodę tej niewidocznej księżniczki, piękniejszej niż wszystko, piękniejszej niż życie, która zbliża się w chwale. Zaprawdę, o szczęśliwy królu, ona przyćmiewa nawet samo słońce!

– Nie słońce – odpowiedział król Amenhotep i zadrżał. – Nie mów o słońcu, gdyż jest tylko jeden, który może to uczynić.

Lecz mówiąc to, odwrócił się, aby spojrzeć w stronę nadciągającego pochodu, i aż mu dech zaparło. Ujrzał niesioną na złotym tronie księżniczkę i natychmiast przepełniło go uniesienie, takie samo, jakie czuł w swoich snach. Zszedł na drogę, aby ją przyjąć. Księżniczka gestem dłoni nakazała upuścić lektykę i również wyszła na drogę. A potem pojawiła się w promieniach słońca.

Król Echnaton zdał sobie sprawę, że posłaniec nie przesadzał. Nigdy wcześniej nie widział tak olśniewającej urody. Figura księżniczki była doskonała, smukła jak trzcina, piersi wyglądały jak dwa owoce wyrzeźbione z kości słoniowej; miała drobne dłonie i stopy, jej włosy koloru najciemniejszej nocy spływały siedmioma warkoczami poniżej pasa. Jej policzki były różowe, wargi jasnoczerwone, a zęby jak delikatne, lśniące perły. Pod długimi jedwabistymi rzęsami czarne oczy kształtu migdałów błyszcząły jasno jak oczy anioła. Król Echnaton przyglądał się, kiedy przechyliła głowę; a jej szyja była długa i smukła, i ozdobiona biżuterią. Opuściła umalowane powieki, zasłaniając pełne blasku oczy, jakby zafascynowana widokiem władcy. Król Echnaton pragnął do niej przemówić, powiedzieć cokolwiek, ale jej obecność nazbyt go oszołomiła i myślał tylko o tym, że posłaniec nie oddał całej prawdy. Księżniczka rzeczywiście była piękniejsza niż słońce, piękniejsza niż księżyc i piękniejsza niż wszystkie niezliczone gwiazdy; wydawało się, jakby ich blask został skradziony z niebios i zamknięty w pięknie jej kształtów. Patrząc na nią, król odniósł wrażenie, że i jego w jakiś sposób otacza światło. A kiedy spojrzał w czarne oczy, zobaczył, że są rozmarzone i pełne skrywanej pasji; zdziwił się i jednocześnie poczuł, że owładnęła nim miłość.

Niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, musnął ustami delikatne wargi księżniczki. Wziął ją za smukłą rękę i poprowadził do pałacu; zgromadzeni ludzie krzyknęli w podziwie i nadali księżniczce imię Nefertiti, co w ich języku znaczy „Piękna, która przybyła”. A król Echnaton, nie widząc nic oprócz pięknej pani, usłyszał jednak, jak ludzie wykrzykują to imię. Kiedy w końcu zostawili za sobą tłumy i znaleźli się sami w pałacowym ogrodzie, faraon, odzyskawszy mowę, zwrócił się do niej, również używając imienia Nefertiti. Uśmiechnęła się słysząc to, i lekko musnęła policzki władcy. A wtedy król natychmiast poczuł, że ogarnia go ogień. Gdy się pochyliła, żeby pocałować Echnatona, on, faraon, odsunął się, gdyż rozpaczliwie pragnął pozostać wierny swojemu postanowieniu, jednak wiedział, że i ono spłonęło. Pocałował księżniczkę i poczuł, jak roztapia się jego ciało, stracił poczucie czasu i nie wiedział, gdzie się znajduje. W końcu księżniczka oderwała wargi od ust króla. Echnaton zamrugnął oczami, jakby próbował przebudzić się ze snu.

– Kim jesteś? – szepnął miękko. – Jak masz na imię?

Uśmiechnęła się do niego ponownie.

– Nazywaj mnie imieniem, które mi nadałeś, gdyż do tego czasu nosiłam wiele różnych imion – odpowiedziała.

– Jakże? – Echnaton zmarszczył brwi. – Jak to możliwe? – Cofnął się o krok, nagle zatrwożony. – Skąd przybywasz?

– Z królestwa gwiazd – rzekła Nefertiti, wyciągając rękę do króla, lecz on zeszywniał i próbował się cofnąć jeszcze dalej. – Nie bądź zaskoczony – szepnęła, czując, jak jego opór topnieje pod wpływem jej dotyku. – Trzeba ci wiedzieć, o potężny królu, że jest tak wiele światów na niebie, jak ziaren piasku na pustyni i wiele jest istot innych niż człowiek, chociaż wszystkie stworzyła ta sama ręka.

Król Amenhotep patrzył na nią z wyrazem powątpiewania na twarzy.

– Przybyłaś więc z woli Atona? – zapytał.

– Czy sądzisz, że twoje modlitwy mogły pozostać nie zauważone? – odpowiedziała łagodnie.

– Moje modlitwy? – Król zmrużył oczy, po czym nagle wybuchnął śmiechem. – Ależ ja prosiłem, aby moją krew oczyszczono z trucizny. Błagałem, abym mógł kochać i mieć dzieci, i abym nie stał się przyczyną zła. Krótko mówiąc... – zadrżał, a na jego twarzy pojawiło się rozgoryczenie – abym był taki jak inni ludzie. Jak możesz spełnić te prośby?

– Jakże to? Czy twoja wiara jest naprawdę aż tak słaba? – rzekła Nefertiti.

Król spojrzał na księżniczkę z nagłym zdziwieniem i powątpiewaniem zarazem, ośmielając się przez chwilę zastanawiać, co by było, gdyby jej słowa okazały się prawdziwe.

– Chciałbym... – zaczął cicho. – Chciałbym móc w to uwierzyć.

– Jak możesz wątpić? – Nefertiti zmarszczyła brwi.

– Powiedziałaś, że przybywasz z królestwa gwiazd i że jesteś służebnicą Atona, zesłaną w odpowiedzi na moje modlitwy. Ale skąd mogę wiedzieć, czy nie jesteś demonem i czy nie przybyłaś, aby mnie kusić?

Nefertiti uśmiechnęła się i wskazała dłonią miasto rozciągające się dookoła.

– Czyż nie widzisz, że kwiaty i drzewa wyrosły, aby mnie przywitać, i że idą za mną zwierzęta z pustyni i pól? – zapytała. – Czy sądzisz, że skoro moja moc dokonała tego, nie może ofiarować ci, faraonie, daru życia?

Król Echnaton spojrzał na księżniczkę z tęsknotą i wielkim, palącym pożądaniem.

– Czy naprawdę jesteś tym błogosławieństwem, o które modliłem się do Najwyższego?

Przez chwilę stał nieruchomo; w końcu poddał się swemu pożądaniu i objął Nefertiti.

– Co muszę zrobić? Co muszę zrobić? – powtarzał szeptem.

– Kochać mnie całym sercem.

– I to wszystko?

Księżniczka spojrzała na niego uważnie.

– Czy sądzisz, że my, którzy niegdyś mieszkaliśmy wśród gwiazd, a teraz mieszkamy tutaj, na Ziemi, nie znamy uczucia samotności?

Król spojrział jej w oczy ze zdziwieniem; teraz ich głębia wydawała się niezmierną i dojrzał bezkresną samotność, cichą i mroźną jak gwiazdy; poczuł dreszcz od samego patrzenia. Nefertiti powoli przymknęła powieki, jakby chcąc powstrzymać napływające łzy i mocno chwyciła faraona, ściskając jego dłonie i obsypując pocałunkami usta. A potem wskazała niebo, widoczne przez liście drzew rosnących w ogrodzie.

– Przysięgnij na słońce, którego święte promienie dają życie i światło całemu światu – szepnęła. – Przysięgnij, faraonie, że będziesz mnie kochał bardziej niż cały ten świat.

– Przysięgam z ochotą – odpowiedział król Echnaton.

– Zatem ja dam ci tak upragnione dary życia. Ale uważaj: przysięgam tobie, że jeśli kiedykolwiek pokochasz coś bardziej niż mnie, mój drogi, opuszczę cię na zawsze.

Król Echnaton patrzył na nią w milczeniu, w końcu uśmiechnął się, potrząsnął głową i pocałował ją raz jeszcze.

– Nigdy się nie rozstaniemy.

Pocałował oblubienicę delikatnie w czoło, potem odwrócił się i odszedł, zostawiając ją samą. Wezwał jubilera i kazał mu wykonać dwa pierścienie ze złota. Tego samego wieczoru zaniósł je Nefertiti i pokazał wyryty na nich wizerunek, przedstawiający dysk słoneczny i dwie modlące się postaci u dołu. Jeden pierścień wsunął na palec księżniczce, drugi na swój.

– Noś ten pierścień i bądź pewna mojej miłości – rzekł majestatycznie.

Następnego dnia Nefertiti została ogłoszona królową. Wysoko w skalnych zboczach wokół miasta wyrzeźbiono jej wizerunek obok podobizny króla Echnatona, aby wszyscy, którzy przechodzili obok, mogli widzieć jej urodę i dowiedzieć się, że to właśnie ona jest strażniczką królestwa. Wokół podobizny wykuto pochwały na cześć żony faraona: „Arystokratka, Wielka Łaskami, Pani Wdzięku, Pani Miłości, Pani Górnego i Dolnego Egiptu, Wielka Małżonka Królewska, Pani Obydwu Krajów, Piękne jest Piękno Atona, Nefertiti, oby żyła wiecznie!”.

Lecz w tym miejscu Harun zauważył, że zbliża się świt i przerwał opowieść.

– O Przywódcu Wiernych – powiedział. – Jeśli zechcesz przyjść tu jutro wieczorem, opowiem ci o owocach miłości króla Echnatona do jego żony.

I tak kalif uczynił, jak powiedział Harun; następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Królowa uczyniła, jak obiecała. Przyniosła wielką radość Echnatonowi i błogosławieństwo wszystkim jego ziemiom. Na polach zboża rosły bujnie; po Nilu płynęły statki załadowane wszelkimi dobrymi rzeczami; we wszystkich domach zagościło szczęście i zdrowie, a każdy stół ugiął się pod wspaniałymi potrawami: migdałami i orzechami,



słodyczami i pieczonymi kurczętami, rzadkimi owocami i tłustą jagnięciną. Lecz najszczęśliwsze i najradośniejsze było nowe miasto wzniesione na równinie o kształcie półksiężyca; tam sama Natura żyła z ludźmi w przyjaźni. Wzdłuż ulic rosły wszelkie rodzaje kwiatów o barwnych płatkach, słodko pachnących roślin i dających cień drzew; w ogrodach i stawach mieszkwały cudowne gatunki zwierząt, wszystkie piękne istoty, którym słońce dało tchnienie życia. A dorównywały im cuda stworzone przez człowieka. Dzieła po mistrzowsku wykonane z metalu, kamienia i drewna były piękne, pełne przepychu i doskonałe. Na ścianach wisiały kotary z różowego jedwabiu, wielobarwne dywany pokrywały podłogi, a chłodny marmur przeplatał się z lśniącym złotem; w każdej sali znajdowała się fontanna, w każdym ogrodzie – staw. Nigdy wcześniej nie wzniesiono tak cudownego miasta. Zachwyceni ludzie nadali mu nazwę „Horyzont słońca”.

Lecz szczęście żadnego mieszkańca cudownego miasta nie dorównywało radości samego króla Echnatona. To, czego zawsze najbardziej pragnął, teraz otrzymał, gdyż królowa urodziła mu dzieci – siostry Semenckare. – Najpierw przyszły na świat bliźniaczki, potem trzecia i czwarta córka. Dziewczynki dorastały pod troskliwą opieką, wykarmione mlekiem matki, otoczone miłością ojca, gdyż największą radością faraona było zasiadanie z rodziną w cieniu ogrodu, u boku królowej. W takich chwilach spoglądał w górę ku słońcu i wznosił szczery okrzyk podziękowania, po czym zwracał się do małżonki i szeptał jej do ucha:

– Doprawdy, nigdy nie było człowieka tak szczęśliwego jak ja!

Ona zaś uśmiechała się na to, nie mówiąc nic, lecz dotykała dłonią jego policzka i całowała męża delikatnie.

Pewnego dnia Echnaton, patrząc na swoje dzieci, szepnął do ucha Nefertiti:

– Doprawdy, są mi droższe niż cały ten wielki świat.

Królowa i tym razem się uśmiechnęła, ale nie pocałowała władcy, tylko przymknęła powieki, by ukryć dziwny błysk w oczach.

Zdarzyło się następnego dnia, że króla Echnatona odwiedziła matka. Teje powiedziała mu, że jej trzy lwy zachorowały. Zwierzęta te znaleziono w ogrodzie Teje w dniu przybycia Nefertiti do słonecznego miasta. Oswojone leżały wygodnie w cieniu gałęzi. Nikt nie wiedział, skąd pochodziły, lecz zachwycona wdowa po Amenhotepie natychmiast uznała je za swoje. Król Echnaton także szczerze pokochał bestie, więc wieść o ich chorobie przepełniła go smutkiem. Rozkazał swoim lekarzom zaopiekować się lwami. Na próżno, gdyż następnego dnia wydawały się jeszcze bardziej chore i straszliwie osłabione, jakby pozbawione krwi. Kolejnego dnia z trudem podnosiły głowy nad ziemię. Teje przyszła do syna, aby porozmawiać z nim na osobności. Twierdziła, iż w najciemniejszej porze nocy wyglądając z okna swojej komnaty, widziała kobiecą postać przemykającą w cieniu, nieziemską i dziwną jak tchnienie złota na wietrze. Teje czuła, że nie może się nawet poruszyć, gdy patrzyła, jak kobieta kładzie się obok lwów, pieści je, a potem z każdego wysysa krew.

– A kiedy skończyła posiłek, uniosła głowę, więc mogłam dojrzeć jej twarz – mówiła Teje. – I zobaczyłam, mój synu, że to była królowa! – Echnaton spoglądał na matkę najpierw z zaskoczeniem, a potem z gniewem, gdy zdał sobie sprawę, że Teje mówi poważnie.

– Dlaczego opowiadasz mi te kłamstwa?! – krzyknął rozgoryczony.

– To nie kłamstwa, to szczerą prawdą – odpowiedziała.

– Jak to możliwe? – zawołał król Echnaton. – Wiesz doskonale, że lwy pojawiły się z chwilą przybycia Nefertiti do tego miasta. Jak może być winna ich choroby, skoro niczym słońce, rozdaje wszędzie błogosławieństwo życia? Spójrz na siebie, matko! – Chwył lusterko i unosił je przed twarzą Teje. – Nie kapiesz się już w krwi, ale twoje oblicze się nie zmienia. Nie pijesz lekarstw Anena, ale wszystkie te lata nie odcisnęły piętna na tobie. Czemu to zawdzięczać, jeśli nie mocom królowej?

Teje wpatrywała się w swoje odbicie w zwierciadle.

– Nie wiem – odpowiedziała, spuszczać wzrok. – Ale... – uniosła bezradnie ramiona – jestem pewna tego, co widziałam.

Lecz król, wściekły, nie słuchał już dłużej matki i następnego dnia, gdy przyniosła mu nowinę o śmierci lwów, z trudem zmusił się do okazania smutku. Teje spojrzała na syna z wyrzutem.

– Gdy byłeś mały, bardzo cierpiałeś z powodu podobnego wydarzenia – stwierdziła.

Lecz król Echnaton potrząsnął głową.

– Wszystko się zmieniło – odpowiedział. – Teraz żaden smutek nie jest w stanie zranić mojego serca. Cokolwiek bym utracił, nadal będę miał moją królową, która jest mi droższa niż cały ten wielki świat.

Po tych słowach odwrócił się, opuścił matkę, odszukał królową i wziął ją w ramiona. Uśmiechnęła się do niego, i tym razem odwzajemniła pocałunek; i przez następny rok wszystko układało się dobrze.

Lecz później zdarzyło się, że przybył Aj z wiadomością, że jego żona, matka Kiji, Tija, zachorowała. Król Echnaton wysłał do niej najlepszego lekarza, lecz i tym razem, podobnie jak w przypadku lwów, wszystkie wysiłki okazywały się daremne. Tija z każdym dniem stawała się słabsza i bledsza, jakby brakowało jej krwi. Wtedy Aj przyszedł do siostrzeńca, aby porozmawiać z nim na osobności i powiedział, że widział cień pochylający się nad Tiją i spijający krew z rany na jej piersi. Kiedy zaś cień unosił głowę, Aj rozpoznał twarz Nefertiti. Król Echnaton natychmiast wpadł we wściekłość i oskarżył wuja o pijackie przywidzenia. Lecz Aj odpowiedział, starając się opanować złość, że rany dobrze widać na piersiach Tiji.

Król nie słuchał go już więcej, a następnego dnia, gdy Aj przyniósł wieść o śmierci żony, żal Echnatona wydawał się dziwnie nieszczerzy i stłumiony. Aj zmarszczył brwi, a jego szlachetna twarz przybrała wyraz głębokiego namysłu.

– Dawniej bardzo byś się zmartwił podobnym wydarzeniem – powiedział.

Faraon potrząsnął głową i odparł.

– Wszystko się zmieniło. Teraz żaden smutek nie jest w stanie zranić mojego serca. Cokolwiek bym utracił, nadal będę miał moją królową, która jest mi droższa niż cały ten wielki świat.

Potem odwrócił się, opuścił wuja, odszukał królową i wziął ją w ramiona. Uśmiechnęła się do niego i odwzajemniła pocałunek; przez następny rok wszystko układało się dobrze.

Później jednak zdarzyło się, że Kija, którą król Echnaton – za namową królowej – wygnął do królewskiego harem, przyszła z wiadomością, że najmłodsza księżniczka zachorowała. Król spojrział na Kiję wzrokiem pełnym powątpiewania i podejrzliwości, ponieważ od chwili pojawienia się Nefertiti nie mógł znieść widoku swojej dawnej małżonki; lecz w końcu zgodził się towarzyszyć jej do posłania córeczki. Dziewczynka miała dreszcze, była bardzo blada i słaba; gdy Kija uniosła przykrycie otulające dziecko, król Echnaton zobaczył trzy delikatne rany przecinające drobnutką pierś.

– Kiedy moja matka, Tija, zachorowała, ojciec znalazł na jej ciele takie same ślady – szepnęła Kija. – Wiem, że powiedział ci o tym, i że domyśla się przyczyny powstania ran. Dlatego kiedy usłyszałam o chorobie twojej córeczki, postanowiłam, że sama do ciebie przyjdę.

Echnaton patrzył na cicho pojękujące dziecko, lecz nie zdobył się na odwagę, aby spojrzeć w oczy Kiji.

– Zobacz, niczego jej nie brakuje – rzekł w końcu.

Pochylił się i pocałował córkę w czoło, a wtedy poczuł, że skóra dziewczynki jest rozpalona; odwrócił się i odszedł, aby poszukać królową. Lecz gdy ją znalazł, odkrył, że nie chce zadawać już żadnych pytań. Myślał tylko o gorących pocałunkach Nefertiti. Nie powiedział ani słowa o dolegliwościach córeczki; następnego zaś dnia doniesiono mu, że dziecko w nocy umarło.

Wiadomość tę przyniosła królowi Kija. Nieśmiało wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia; lecz Echnaton odsunął się gwałtownie, nadal nie chcąc jej spojrzeć w oczy i rozkazał odejść. Kija jednak nie ruszyła się z miejsca.

– Twoja córka nie żyje – powtórzyła. Czekwała na odpowiedź, lecz król nie odezwał się. – Kiedy byłeś młodszy, sprawiłoby ci to wielki ból – stwierdziła po chwili.

Lecz król Echnaton potrząsnął głową.

– Wszystko się zmieniło – powiedział. – Teraz żaden smutek nie jest w stanie zranić mojego serca. Cokolwiek bym utracił, nadal będę miał moją królową, która jest mi droższa niż cały ten wielki świat.

Lecz gdy Kija odeszła, wzniosł oczy ku słońcu i poczuł przyływ ogromnej fali smutku i zwątpienia. „Więc to jest śmierć, o którą modliłem się tak długo i żarliwie – pomyślał. – Teraz ją mam, i mają ją także moje dzieci, i przeraża mnie ona, a jej cień przyćmiewa nawet promienie słońca”. Rozkazał przygotować grobowiec dla córki i pochował ją tam. W czasie pogrzebu przyszło Echnatonowi do głowy, że również i on pewnego dnia odejdzie. Poleciał

zatem szykować dla siebie miejsce spoczynku, wysoko w wąwozie, za równiną. Na ścianach grobowca kazał namalować wizerunki Atona, którego promienie obdarzają świat błogosławieństwem ciepła i światła; a także rozkazał, aby na jednej ze ścian przedstawić pogrzeb zmarłej księżniczki, jej ciało leżące na marach, a całą królewską rodzinę pogrążoną w żalu, w pokłonie oddawanym śmierci.

A potem zdarzyło się, że Kija jeszcze raz przysłała do króla Echnatona z wiadomością, że druga jego córka zachorowała i również ona ma dziwne rany na piersi. Teraz jednak król spojrział Kiji w oczy; i poczuł, że budzą się w nim wątpliwości, a w głowie powstają obrazy zbyt straszliwe, by je ująć w słowa, które tak długo starał się stłumić. Kija nie czekała, aż faraon się odezwie, wzięła go za rękę i poprowadziła do dziecka, aby mógł na własne oczy zobaczyć rany. Potem zaprowadziła władcę do sąsiedniego pokoju, gdyż nadchodził wieczór i cienie zaczynały się już wydłużać. Oboje usiedli w komnacie, ukryci za zasłoną. Zmierzch zamienił się w noc, długie godziny mijały, a chora dziewczynka leżała spokojnie i nikt jej nie niepokoił. W końcu król Echnaton usłyszał dalekie wycie szakala i poczuł nagły powiew wiatru w pokoju, tak że zasłona została zerwana z haków, na których wisiała. Król zobaczył cień pochylony nad łóżkiem księżniczki. Kształt, składający się jakby ze smug płynnego złota, pił krew z piersi dziewczynki. Prerażony król nie mógł się ani poruszyć, ani przemówić. W końcu, gdy córeczka pobielała, cień wstał i odwrócił się w stronę faraona. Jeszcze przez chwilę Echnaton siedział jak sparaliżowany; a potem krzyknął z wściekłości i niedowierzania.

Królowa uśmiechnęła się. Jej policzki były zaróżowione, wargi czerwone. Podeszła do małżonka, wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

– O mój ukochany – powiedziała cicho. – Czyż nie kochasz mnie bardziej niż cały świat?

Echnaton poczuł tak wielki ból w piersi, że znowu nie mógł się ani ruszyć, ani odezwać.

– Czy cię kocham? – wyszeptał w końcu. Spojrzął na ciało swojej drugiej córki. – Czy cię kocham? – powtórzył i nagle wybuchnął śmiechem.

Z twarzy królowej zniknął uśmiech.

– A zatem wybrałaś – szepnęła; i król Echnaton dostrzegł w jej oczach tę samą przerażającą samotność, którą widział już wcześniej; tak głęboką i wieczną, zdawało się, jak niebiosa. Nefertiti uniosła dłoń i jednym, pełnym wdzięku ruchem zdjęła pierścień z palca, a potem odwróciła się i wyrzuciła go w ciemność. W tej samej chwili również ona zniknęła, stapiając się z gęstym mrokiem i tylko jej głos rozbrzmiewał w powietrzu: – Żegnaj mój mężu. Żegnaj na zawsze.

Potem również głos rozpląnął się w czerni nocy i w pokoju zapanowała cisza.

Król Echnaton odwrócił się do Kiji.

– Jakże cię skrzywdziłem – szepnął; dotknął ustami jej warg. – I jak za tobą tęskniłem, moja ukochana. To było jakby mgła opadła na moje oczy. – Raz jeszcze pocałował żonę.

Chwycił ją tak gwałtownie, tak mocno uściśnął, że jęknęła i próbowała się oswobodzić.

– Twoja córka... – wykrzyknęła; lecz król Echnaton uciszył ją, miażdżąc jej usta swoimi ustami.

Znowu czuł ogień w całym ciele tak palący, jakiego nie doświadczył od pojawienia się królowej Nefertiti. Jego pożądanie było tak gwałtowne, że sprawiało mu ból. Kija zachwiała się, gdy się do niej przytulał i upadli oboje – na łóżko, na ciało martwej księżniczki; lecz król cały czas czuł wewnętrzny żar. Zamknął oczy... płomienie strzeliły w górę, sięgając nieba; otworzył oczy i ujrzał twarz swojej nieżywej córki.

Kiedy spojrział na Kiję, jej oczy były jak szkło, a oblicze bielą przypominało krede.

– Co ja zrobiłem? – wyszeptał. – Czułem... czułem... – Głos zamarł mu w gardle.

Starał się znaleźć jakieś słowa, które mogłyby wyrazić jego żal. Lecz wówczas, gdy już otwierał usta, by coś powiedzieć, usłyszał nagle odległy krzyk, przejmujący, pełen przerażenia i rozpacz. Zamarli oboje; a wtedy krzyk rozbrzmiał po raz drugi.

Król Echnaton wybiegł z pokoju, aby sprawdzić, co się stało.

– Nie, nie, nie! – Krzyki, teraz faraon zdał sobie z tego sprawę, dobiegały z pokoju jego matki, królowej Teje.

Gdy pędził w tamtą stronę, głos kobiety zaczął drżeć i ginąć wśród łkania. Rozległ się nagły łoskot, jakby rozbił się gliniany garnek, a potem nastąpił drugi. Król wbiegł do pokoju matki. Zobaczył Teje, odwróconą plecami do drzwi; jej ciałem wstrząsało łkanie, na podłodze poniewierały się rozrzucone ozdoby i naczynia z kosmetykami.

– Matko! – zawołał. Królowa znieruchomiała. – Co się stało? – zapytał. – Nie poruszyła się.

Podszedł do Teje, wyciągnął ręką i dotknął jej ramienia; a wtedy zobaczył, jak się postarzała. Wydawała się poskręcana i pobrużdżona jak gałęzie pustynnego krzewu. Powoli odwróciła się w jego stronę. Patrząc na matkę Echnaton nie potrafił opanować drżenia. Młodość królowej zniknęła bez śladu; Teje była wysuszona i pomarszczona, lecz nie to było najgorsze. Dała o sobie znać klątwa jej krwi i teraz wyglądała zupełnie jak posąg, który niegdyś został zniszczony przez Echnatona; jak obrzydliwy wizerunek Izydy w świątyni, a nie jak śmiertelna kobieta, tak piękna jeszcze poprzedniego dnia. Wówczas króla ogarnęło ogromne przerażenie, gdyż zrozumiał, że opiekuńcze moce jego małżonki – które, jak sądził, na zawsze zdjęły z niego klątwę – przestały istnieć i że wszystko wróciło do wcześniejszego stanu. Wtedy pomyślał o Kiji i o tym, że zrobił coś, czego obiecywał nigdy nie uczynić – że zapłodnił ją trucizną swego nasienia. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że modli się, aby dziecko urodziło się martwe.

Tak się jednak nie stało. Urodził się syn, któremu nadano imię Tutanchaton, co w starożytnym języku znaczy „Żywy wizerunek słońca”. Król Echnaton miał nadzieję, że dziecko będzie odzwierciedlało piękno słońca, gdyż na razie nic nie świadczyło o tym, by w żyłach malca płynęła przeklęta krew; żadnych oznak klątwy nie nosił też Semenckare. „Możliwe więc, że jednak jestem ostatnim przeklętym”, pomyślał król. Lecz w głębi serca

drżał z obawy, iż wszystkie jego modlitwy mogą okazać się daremne i że w końcu moc Amona zatriumfuje.

Tymczasem do miasta, które niegdyś napełniało Echnatona taką radością, powoli zaczynał napływać piasek, dusząc rośliny, zatykając stawy i sprawiając, że tumany kurzu niesione wiatrem odbierały oddech. Później Nil przestał wylewać i zboża wysychały, tak że nic nie zostało z wcześniejszego dobrobytu. Z odległych granic zaczęły dochodziły pogłoski o wojnie.

Król Echnaton cały czas się modlił; mimo to wydawało mu się, że promienie słońca stały się bezlitosne i okrutne, spalały żarem zboża i wychudłe ciała bydła, zatrwały miasto upałem, smrodem i kurzem. Na umierających ulicach pojawiła się zaraza; a gdy w końcu dotarła do pałacu, zabrała Kiję z ramion króla Echnatona i porwała ją w mroki; tam, dokąd, obawiał się, że sam nigdy nie podąży. Faraon opłakiwał swą oblubienicę, jej urodę, łagodność i wielką miłość do niego, która przetrwała wszystkie jego okrucieństwa. Jednak jeszcze bardziej rozpacział nad sobą, ponieważ wraz ze śmiercią Kiji na zawsze odeszła też przeszłość, a wszelkie wspomnienia stały się jak zamulony staw.

Gdy już pochował ciało Kiji, zupełnie sam udał się na pustynię i w końcu dotarł do własnego, na wpół wykończonego grobowca. W najdalszym narożniku najgłębszej komory namalowany był portret Nefertiti, tak doskonały i pełen życia, że król, przyglądając mu się w świetle pochodni, miał wrażenie, iż królowa za chwilę zejdzie ze ściany.

– O potężna królowo! – wykrzyknął. – Pomóż mi, pomóż, proszę!

Nikt jednak nie odpowiedział. Wszystko pozostało takie samo jak przedtem.

Jeszcze tego samego popołudnia, po powrocie do pałacu, faraon wezwał do siebie Aj i rozkazał, aby w Obydwu Krajach ogłoszono śmierć króla Echnatona i żeby Semenchkare został władcą.

– Ale co zamierzasz uczynić? – zapytał zakłopotany Aj.

– Będę podróżował po świecie – odpowiedział król. – I nie spocznę, dopóki nie znajdę Nefertiti, gdyż tylko ona zdoła ocalić mnie, i być może moich synów, od zagłady.

Mówiąc to, wziął wuja za ramię i zaprowadził na dziedziniec pałacowy, na którym Semenchkare uczył swego młodszego brata powozić rydwanem; obaj chłopcy śmiali się przy tym głośno i widać było, że wspaniale się bawią.

– Strzeż ich dobrze – szepnął Echnaton, odwracając się do wuja. – Gdyż nie mam nikogo innego, komu mógłbym powierzyć opiekę nad nimi.

Aj skłonił się nisko i obaj mężczyźni uścisnęli się mocno. Król Echnaton jeszcze przez chwilę patrzył na swoich synów, a potem odszedł pospiesznie.

– Niech myślą, że naprawdę umarłem – powiedział. – Aby nigdy nawet nie mogli przypuszczać, czym jest ich ojciec.

Król pożegnał się tylko z matką; lecz ona prawie nie słyszała tego, co do niej mówił, mamrotała coś do siebie, skulona na łożku, ze wzrokiem wbitym w ścianę. Echnaton z miłością ucałował Teje w czoło i zwrócił się do wuja:

– Jej także strzeż. Wiem, że jest ci równie droga, jak zawsze była droga mojemu sercu.

Potem ruszył w świat, już nie jako król, lecz jako zwykły człowiek.

Wędrował przez wiele lat po odległych krajach za Wielkim Zielonym morzem, mijał góry sięgające nieba i odwiedzał dziwne miasta olśniewające wspaniałością. Wszędzie tam Echnaton wypytywał, czy ktoś nie słyszał o jego zaginionej królowej. Niektórzy ludzie, gdy im opisywał jej urodę i moc, jaką była obdarzona, bledli i twierdzili, że szuka bóstwa. Inni jednak prowadzili go do swoich świątyń i pokazywali posągi bogini, która rzeczywiście wyglądała jak jego żona, tylko kolor jej skóry i szaty były inne. W każdym mieście wyglądały zupełnie inaczej, jakby miała ona tysiąc i jedną różnych postaci. Lecz Echnaton nie znalazł ani śladu samej królowej; a im dłużej szukał, w tym większą rozpacz wpadał, ponieważ wydawało mu się, że przemierzył już cały świat. Aż w końcu, po dwunastu długich latach, znalazł się w drodze do Egiptu; a serce króla opanowały ciemności, gdyż zrozumiał, że wszystkie wysiłki poszły na marne.

A jednak, gdy stanął na granicy ojczystego kraju, jego dusza rozjaśniła się na myśl o spotkaniu z tymi, których kochał. Owinął sobie chustę wokół głowy, kryjąc pod nią czaszkę i twarz, po czym zbliżył się do posterunku granicznego.

– Czy faraon jest zdrowy. A jak się ma jego brat? – zapytał.

Strażnik spojrział na przybysza zdziwiony.

– Brat faraona? – Zmarszczył brwi. – Król Aj nie ma brata, o ile mi wiadomo.

– Król Aj? – Echnaton patrzył na wartownika zaskoczony i przerażony. – A co z królem Semenckare?

Mężczyzna roześmiał się.

– Rzeczywiście długo przebywałeś poza krajem, przyjacielu. Król Semenckare nie żyje od dziesięciu lat.

– A co z jego bratem? Co z Tutanchatonem?

Strażnik spojrział na wędrowca dziwnie.

– Król Tutanchamon – powiedział z naciskiem – umarł jakieś sto dni temu. Teraz nie ma już nikogo, kto wypowiedziałby imię Atona.

Nagle na twarzy strażnika pojawił się wyraz podejrzliwości; mężczyzna przymrużył oczy i wyciągnął rękę, by zerwać chustę z głowy przybysza. Lecz Echnaton odepchnął wartownika i popędziwszy wierzchowca, pogalopował dalej. Nikt go nie ścigał, lecz rozmowa ze strażnikiem była dla niego tak przykra, że nagle owładnęły nim ponure przeczucia i bał się podróżować drogą. Skręcił więc w lewo i wjechał na pustynię. Wiedział, że tam nikt się nie zapuści – i rzeczywiście, na rozpalonych piaskach nie napotkał żadnego żywego stworzenia. Czasem tylko w oddali widział karawany koczowników, co pozwalało mu znaleźć właściwy

kierunek na pustyni, wszędzie wyglądającej tak samo. Echnaton coraz bardziej zbliżał się do celu swej podróży; w końcu ujrzał przed sobą wielki kamieniołom, w którym skały lśniły bielą, poprzecinane różowymi żyłami; wiedział już, że jest zaledwie o dzień drogi od Horyzontu Słońca.

Postanowił nie przerywać podróży, mimo że robiło się już późno, lecz gdy dojeżdżał do kamieniołomu, zerwał się silny wiatr, niosący chmury ostrego piasku. Echnaton rozpaczliwie próbował jechać dalej. Wkrótce jednak wiatr – którego wycie przypominało jęki konającego – i piaski utworzyły zaporę nie do przebycia. Cofając się przed wściekłymi podmuchami, Echnaton zawrócił wierzchowca, zsiadł i szukał schronienia w jednym z wąwozów kamieniołomu. Lecz mimo iż wchodził coraz głębiej w wąwóz i chociaż skały piętrzyły się coraz wyżej, piasek nadal unosił się w powietrzu, oślepił i kaleczył twarz. Nawet w najciaśniejszej szczelinie nie udało się Echnatonowi ukryć przed siekącymi drobinami. Ogarnięty rozpaczą, obejrzał się wstecz, gdzie w ciemności wył wicher, potem spojrzął przed siebie, gdzie wydało mu się, że widzi skalną ścianę zamykającą wąwóz. Gdy jednak wpatrywał się w tę stronę, widok przesłoniła mu ciemna chmura kurzu. Echnaton zadrżał. Wiatr unióś szary pył i przez chwilę Echnaton odniósł wrażenie, że dostrzega postać kobiety z rozpostartymi ramionami i rozwianymi włosami; potem wszystko zniknęło i znowu widział tylko kamienną ścianę. Potykając się, ruszył w tamtą stronę. Po raz drugi tuman kurzu przesłonił koniec wąwozu i ponownie Echnaton zobaczył kobiecą sylwetkę, utworzoną z czarnej chmury, lecz tym razem połyskującą złociście. Nawet się nie zastanawiając nad tym, co robi, krzyknął:

– Moja królowo!

Nie było odpowiedzi. Echnaton przetarł oczy. Nadal widział złociste błyski, przechodzące w głęboką czerwień i niknące w mroku. Nagle wydało mu się, że słyszy swoje imię.

– Moja królowo! – zawołał znowu. – Odpowiedz mi, błagam cię! Pokaż mi się!

Lecz wiatr, jakby szydząc z niego, zawył jeszcze głośniejsze. Echnatona ogarnęły ciemności, złoto i czerwień zniknęły zupełnie. Jęknął z rozpacz. Czuł, jakby burza rozwiewała mu ciało i zamieniała je w pył, czuł porywy wiatru wewnątrz czaszki.

– Co mam zrobić?! – krzyknął; jęknął po raz kolejny, zamykając oczy. – Co muszę uczynić?

– Powiedziałam ci dawno temu, co musisz uczynić.

Kiedy rozległ się jej głos, burza nagle uspokoiła się i zapadła cisza.

Echnaton otworzył oczy.

Stał przed skalną ścianą. Wszystko było dziwnie nienaturalnie spokojne i nieruchome, jakby na chwilę czas przestał płynąć. Wysoko na niebie, na wąskim pasie między krawędziami wąwozu, lśniły gwiazdy.

– Przecież cię kochałem – odpowiedział i zbliżył się o krok. – Lecz nie mogłem tego zrobić kosztem innych, których także miłowałem.



– Ale to właśnie mi obiecałeś.  
– Zatem nie zdawałem sobie sprawy, czego ode mnie żądasz.  
– Przynajmniej to nie ulega wątpliwości – zaśmiała się pogardliwie.  
– Kim jesteś, by stawiać tak okrutne i niemożliwe do spełnienia warunki? – zapytał cicho król Echnaton. – Myślałem, że jesteś dobra. Myślałem, że przynosisz życie.

– Tak było.

– Ale przynosiłaś też śmierć.

Roześmiała się znowu, lecz tym razem nieco weselej i wzięła go za rękę.

– Tak to już jest, mój mężu, że zawsze przynoszę jedno i drugie.

– Nie rozumiem. – Zmarszczył brwi Echnaton.

– Jak mógłbyś rozumieć? – rzekła. – Ty nie pochodzisz z gwiazd.

– A zatem królestwo niebios tak bardzo różni się od wszystkich innych?

– Owszem. – Roześmiała się. – Jest to bowiem królestwo nieskończonej potęgi, gdzie możliwe są rzeczy, których nie da się opowiedzieć i cuda, które nawet gdybyś zobaczył na własne oczy i tak nie mógłbyś ich zrozumieć, gdyż w tobie tkwi pył tego świata. – Zamrugła oczami i wstała, piękna na tle kobierca z gwiazd. – Jestem duchem i ciałem, rozkładem i władzą, życiem i... – przerwała na chwilę – także śmiercią. W królestwie niebios nie jest to niczym dziwnym, lecz na tym świecie stanowi tajemnicę, której nikt nie zdoła pojąć.

– Dlaczego więc nie wróciłaś do gwiazd? – zapytał Echnaton, opuszczając powieki, lecz mimo to starając się nadal patrzeć w oczy świetlistej postaci.

– Nie mogę – rzekła krótko; a w jej spojrzeniu na moment pojawiła się bezkresna, zimna jak lód samotność. – Powiedziałaś, że posiadasz nieskończoną moc, lecz naprawdę tak nie jest, nie mogę bowiem uciec z tego ciasnego świata, miejsca mojego wygnania, w które dawno temu spadłam z niebios i które, obawiam się, pozostanie moim więzieniem po wsze czasy.

Lecz Echnaton zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Wszystko jest możliwe, jeśli taka będzie wola Najwyższego. Skoro spadłaś, możesz zostać uniesiona. Jeśli zostałaś wygnana, to możesz także wrócić do domu. Nie rozpaczaj, moja żono. Idź drogą dobroci, a w ten sposób wiele możesz osiągnąć.

Lecz królowa zaśmiała się gorzko, słysząc te słowa.

– Kiedy znalazłam się na tym świecie, nie byłam sama. Jeden z moich towarzyszy próbował iść drogą, jaką mi radzisz – zaczęła wspominać. – To właśnie on pierwszy nauczył ludzi sztuki życia, starał się podnieść ich ze stanu zwierzęcego i wyjawić im cuda wszechświata. Podróżował wszędzie, po całym świecie, ale jego domem, królestwem, które najbardziej ukochał, był Egipt.

– A zatem znam jego imię – powiedział pospiesznie Echnaton. – Nazywał się Ozyrys. – Przełknął ślinę, przerażony, a zarazem zachwycony. – I wiem teraz, że naprawdę nosisz imię Izyda, i że to ty i Seth zamordowaliście Ozyrysa.

– Tak. – Królowa spuściła głowę. – A jednak... – spojrzała na Echnatona – nie było tak, jak bez wątpienia powiedział ci arcykapłan.

– A zatem, jak było?

Patrzyła na niego, a Echnatonowi wydawało się, że dostrzega w jej oczach żal.

– O mój mężu... – rzekła cicho po chwili. Delikatnie zdjęła chustę z jego głowy i przesunęła dłonią po krzywiźnie wielkiej czaszki. – Tak jak mówiłam – szepnęła – on, pierwszy król tego kraju, starał się czynić dobro, gdyż serce przepęniała mu miłość do wszystkich rzeczy. Ale wkrótce został oszukany przez naturę tego świata, który nie jest jak niebiosa, lecz starzeje się i bez chwili wytchnienia zmierza ku rozkładowi. Król pragnął kochać innych, lecz na próżno! Cokolwiek umiłował na tym świecie, musiało się zestarzyć i odejść na zawsze. W końcu załamał się i ogarnęła go rozpacz. Zaczął nienawidzić swojej natury, gdyż chciał umrzeć. Przyszedł do mnie, najmądrzejszej z jego towarzyszy, a także najdroższej sercu, i poprosił, abym dokonała niewiarygodnego cudu: dała mu śmiertelność.

Echnaton patrzył na Izydę z podziwem.

– I udało ci się spełnić to niewiarygodne pragnienie?

Uśmiechnęła się lekko.

– Tak, dzięki słowom – odparła.

– A zatem to prawda, co zawsze mówili kapłani, że posiadałaś magię tajemnego imienia Amona?

Uśmiechnęła się szerzej.

– Wszystko, czego nie da się zrozumieć, można nazwać magią.

– Co zatem uczyniłaś? – Echnaton zmarszczył brwi.

– Nie wiesz? – Uniosła dłoń i dotknęła jego policzków. – Naprawdę się nie domyślasz? – Pocałowała go delikatnie, tak samo, jak całowała dawno temu, przy pierwszym spotkaniu w Horyzoncie Słońca. – Ozyrys rozproszył się w linii królów Egiptu. Można więc powiedzieć, faraonie, że jest także w tobie.

– Nie – Echnaton cofnął się gwałtownie. – Nie. Ależ ja... Nie.

– O tak. – Uśmiechnęła się, całując go raz jeszcze.

– Jak to możliwe?

– Jest w tobie esencja Ozyrysa. To, czym był. Jego natura pomogła stworzyć ciebie w obecnej postaci. Samym swoim istnieniem stanowisz potwierdzenie cudu, którego dokonałam.

– A jednak nie udało ci się – oznajmił wolno Echnaton.

Królowa zamarła na chwilę i uniosła brwi.

– Czyżby?

– Starzejemy się, to prawda, lecz nigdy nie umieramy. A zatem, nie dobrodziejstwo dałaś swojemu przyjacielowi, lecz klątwę, ohydną i okrutną. Cóż za upadek, moja królowo, być istotą równie wielką i potężną jak ty, a potem zamienić się w żałosne stworzenie takie jak ja,

jak wszyscy faraonowie przede mną, którzy teraz są tylko zabawkami i tajemnym pożywieniem kapłanów.

Królowa uśmiechnęła się.

– On właśnie tego pragnął. Czyż opisany przez ciebie los... nie jest mimo wszystko rodzajem śmierci?

– Przecież kochałaś Ozyrysa.

– Kochałam? – Uśmiech Izydy stał się zimny. – Czy uważasz mnie aż za tak głupią istotę? Czy myślisz, że powtórzyłabym jego błędy? – potrząsnęła głową. – Nigdy naprawdę nie kochałam. Widziałam, do czego to może doprowadzić.

– Ale przecież on nie był śmiertelnikiem. Był istotą taką samą jak ty.

– Co z tego?

– Wiem, że go kochałaś.

Uśmiechnęła się znowu.

– Skąd?

Echnaton patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

– Dlaczego przyszłaś do mnie? – zapytał w końcu. – Dlaczego z całego rodu wybrałaś właśnie mnie?

– Ośmieliłaś się wejść do sanktuarium i rozbić mój posąg. – Wzruszyła ramionami. – Byłam, przyznaję, zaskoczona, zaintrygowana.

– A jednak nie wątpię, że istnieją jeszcze jakieś przyczyny.

– O! – Uśmiechnęła się. – Doprawdy?

– Ośmielałam się wierzyć, że w moich ambicjach i nadziejach dostrzegłaś ślad ambicji i nadziei kogoś innego.

Uśmiech zamarł jej na wargach.

– Jesteś niezwykle pewny siebie – rzekła cicho po chwili.

– Ale czy to nieprawda?

Królowa odwróciła się tyłem. Echnatonowi wydawało się przez chwilę, że jej postać zamigotała na tle gwiazd, i przeraził się, że królowa może zniknąć w ich świetle.

Lecz w końcu znów stanęła przodem i wbiła w niego wzrok.

– Czego więc chcesz ode mnie – zapytała.

– Pragnę... – Echnaton zawiesił głos – tego, czego nie udało ci się dać wcześniej.

Wyciągnęła ku niemu ręce i dotknęła jego policzków.

– Śmiertelności? – szepnęła, kończąc pocałunkiem.

Echnaton oderwał usta od jej warg, aby odpowiedzieć.

– Śmiertelności – powtórzył. – Pragnę ukojenia w śmierci.

Roześmiała się.

– To niewielkie życzenie.

– Ale możliwe do spełnienia?

– Aby ktoś z twego rodu poznał śmierć? – Zamilkła na chwilę. – Być może.

– Jak?

– Tylko nieśmiertelny może pochłonać nieśmiertelnego. Jedynie ten, który nie zna śmierci, może dać temu, który nie zna śmierci, prawdziwą śmierć.

Echnaton patrzył na Izydę pełen nadziei i niepokoju.

– Co przez to rozumiesz? Mówisz zagadkami.

Uśmiechnęła się.

– To wymagałoby wielkiej ofiary od kogoś z twojego rodu.

– Ofiary?

– Tak, mój mężu. – Pocałowała go po raz kolejny. – Jeśli naprawdę dostrzegłam w tobie cień wielkiego przodka, jeśli twoje ambicje są prawdziwe, to jestem przekonana, że będziesz chciał poświęcić samego siebie.

Patrzył na nią z przerażeniem, ale i z nadzieją.

– Na czym zatem miałyby polegać ofiara?

Na wargach królowej pojawił się uśmiech. Tym razem Echnaton nie unikał jej pocałunku; lecz nawet gdy czuł wargi Izydy na swoich ustach, wydawało mu się, że jej głos rozbrzmiewa w najgłębszym zakątku jego umysłu.

– Ona cię nauczy – usłyszał szept – że w miłości musi być nienawiść, i że w życiu musi być śmierć. Nauczy cię tego, czego mój przyjaciel nigdy nie zrozumiał. Krótko mówiąc, nauczy cię, co znaczy być samotnym; nie teraz, nie przez chwilę, lecz przez całą wieczność. – Przerwała, a Echnaton zapomniał niemal o wszystkim pod wpływem pocałunków królowej. – Taka będzie ofiara. Taki będzie twój los.

Jak przez mgłę czuł, że słabnie. Po raz ostatni usłyszał jej oddalający się głos:

– Czy przyjmujesz moją propozycję?

Wiedział, że nie musi odpowiadać; ona rozumiała. Gęsty mrok pochłoniął namiętne pocałunki i nawet blask gwiazd jakby przygasł. Tchnienie nieprzeniknionej czerni przyćmiło myśli Echnatona. Wszystko dookoła wydawało się ciemnością, cały wszechświat wydawał się ciemnością.

Lecz w tym miejscu Harun zauważył, że zbliża się świt i przerwał opowieść.

– O Przywódco Wiernych – rzekł. – Jeśli zechcesz przyjść tu jutro wieczorem, opowiem ci, o cenie, jaką musiał zapłacić król Echnaton.

I tak kalif zrobił, jak powiedział Harun; następnego wieczoru wrócił do meczetu.

I Harun powiedział:

Pewnego ranka król Aj wyruszył na polowanie. Był już starym człowiekiem i widział, jak jego dwaj cioteczni wnukowie panują, a potem umierają. Ale na całym królewskim dworze nie było nikogo, kto potrafiłby naciągnąć jego łuk, ani nikogo, kto mógłby mu dorównać w

polowaniu na dzikie zwierzęta. Tego dnia z pasją powoził rydwanem i czuł, jak krew szybciej krąży w jego żyłach i niemal wydawało mu się, iż znowu staje się młody. Śmiał się głośno z radości; kazał swemu woźnicy zsiąść z rydwanu i sam wziął lejce w dłonie. Wkrótce okazało się, że jego ludzie zostali daleko w tyle, lecz Aj pędził dalej, a zatrzymywał się tylko po to, by nałożyć strzałę na cięciwę. Wiele dzikich bestii padło ofiarą myśliwskiego talentu faraona, na koniec największa i najgroźniejsza – wielki, czarny lew z rozwichrzoną grzywą, który z łatwością rozszarpałby króla, gdyby ten chybił.

Gdy Aj już się upewnił, że zwierzę nie żyje, zatrzymał rydwan. Zsiadł i podszedł, aby obejrzeć zdobycz. Właśnie wtedy usłyszał rzenie koni, czymś nagle wystraszonych. Spojrzał na rumaki, rozejrzał się dookoła i powoli wyjął miecz. Nie zauważył niczego niepokojącego, lecz mimo to przez chwilę stał nieruchomo z bronią przygotowaną do ciosu. W końcu powoli ukląkł na piasku obok lwa i wyciągnął strzałę z boku ofiary. W milczeniu patrzył na martwe zwierzę, majestatyczne nawet po śmierci. Wtedy konie znów zarżały, i poczuł cień na plecach.

Odwrócił się błyskawicznie. Ujrzał przed sobą jakąś postać owiniętą w ciemną szatę i niespodziewanie poczuł obezwładniający, nie wyjaśniony strach. Palce Aj rozwarły się, miecz wypadł mu z dłoni.

– Kim jesteś? – szepnął. Nieznajomy nie odpowiedział. – Kim jesteś? – powtórzył król; i wtedy jego wzrok padł na wielką czaszkę, widoczną pod chustą. Natychmiast zrozumiał, kto przybył. – Faraon. – To słowo jeszcze długo dźwięczało w powietrzu, gdy król Aj postąpił o krok do przodu i padł na kolana. – Wróciłeś!

– Nie zbliżaj się do mnie. – Głos Echnatona był tylko nieznacznie głośniejszy od szeptu i brzmiał dziwnie, melodyjnie i nieziemsko, jak dźwięk srebrnych blaszek poruszających się na wietrze. A jednak król Aj rozpoznał siostrzeńca i, niemal wbrew sobie, zrobił krok do przodu. – Nie zbliżaj się do mnie!

– Dlaczego? – Król Aj spojrział ze zdumieniem i niepewnością – Co chcesz uczynić?

– Coś, nad czym sam nie potrafię zapanować. – Mówiąc to, Echnaton zadrżał i zacisnął pięści, jakby walcząc z jakimś strasznym, rozpaczliwym pragnieniem, które wywoływał w nim sam zapach wuja. – Nigdy więcej... – syknął. Zadrżał znowu i przymknął oczy – Chcę, żebyś mi opowiedział, co zrobiłeś moim synom.

Król Aj zmarszczył brwi.

– Twoim synom? Ależ... nic.

– Zatem w jaki sposób umarli?

Aj posmutniał.

– Odeszli z tego świata z takich samych powodów, z jakich odchodzimy my wszyscy. Semenckare kilka miesięcy po twoim zniknięciu zachorował na febrę. Staraliśmy się robić wszystko, co możliwe, lecz niestety, na próżno. Stało się to tak niespodziewanie, że nawet grobowiec dla niego nie był jeszcze gotowy i moja siostra oddała mu swój własny, który

został dla niej wykuty w Tebach. Semenchkare pochowano w sarkofagu przygotowanym dla Teje, z wszelkimi honorami, mój siostrzeńcze, przysięgam, że z całą czcią należną władcy.

Echnaton skinął głową.

– A Tutanchaton? – zapytał.

– Tutanch... – Aj, zmieszany, przełknął ślinę. – On... zasiadał na tronie przez dziesięć lat, wyrósł na wspaniałego młodzieńca, kochał go cały lud. Ale i on umarł, podobnie jak jego brat. Nie było w tym nic tajemniczego, przysięgam, nic niezwykłego. To czeka nas wszystkich, nawet faraonów, siostrzeńcze, nawet największych królów.

Echnaton uśmiechnął się blado.

– A jednak ja ci mówię, wuju, że jeśli Tutanchaton umarł, to prawdziwy cud, że Nil nie wysechł na wieść o tym, że morze nie przestało falować i że ziemia nie odwróciła się do góry nogami. Jeśli naprawdę umarł, to nie możesz sobie wyobrazić, co się skończyło wraz z jego śmiercią. – Echnaton zamilkł na chwilę, po czym potrząsnął głową. – Po prostu umarł z gorączki, to wszystko?

Król Aj bezradnie wzruszył ramionami.

– Został pochowany z królewskim splendorem, przyrzekam.

Echnaton zeszywniał i zmrużył oczy.

– Gdzie?

– W dolinie na zachodzie Teb.

– W Tebach! – Echnaton niemal wypluł to słowo. – Dlaczego nie w grobowcu obok Kiji, w skałach za miastem Horyzontu Słońca?

Król Aj przełknął ślinę i wymamrotał coś zmieszany, lecz Echnaton nagle wpadł w furię i podniósł rękę.

– Wdziałem na własne oczy! – krzyknął. – Miasto zostało porzucone na pastwę traw rosnących wśród piasków, węży i szakali, i pohukujących żałośnie sów. Dlaczego, wuju? Jak mogłeś pozwolić, aby moje wielkie dzieło legło w gruzach.

– Czyż nie rozkazałeś, abym był posłuszny rozkazom twoich następców? – odpowiedział Aj.

– To prawda, ale nie wierzę, żeby synowie chcieli zniszczyć pracę swego ojca.

– Możliwe, że masz rację, jednak oni przemawiali jako królowie.

– Anen... – szepnął Echnaton. – Czy on wrócił?

Król Aj milczał przez chwilę, w końcu skinął głową.

– Znowu jest arcykapłanem.

– A więc to on kierował moimi synami – mruknął sam do siebie Echnaton. – I możliwe, że wyprawił ich do grobów. – Odwrócił się, ruszył przed siebie i wkrótce stał się prawie niewidoczny wśród piasków.

– Poczekaj! – zawołał Aj. Echnaton nie zatrzymał się, więc król krzyknął po raz drugi: – Zaczekaj! Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć!

Lecz w odpowiedzi usłyszał jedynie echo. Tam, gdzie wcześniej widniała postać Echnatona, teraz tylko migotał w powietrzu gęsty pył. Król Aj zaczął biec przez piaski, lecz nie zobaczył nikogo. Rozejrzał się, potem zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Niech będzie z nim pokój – rzekł cicho; zadrżał mimo upału. – Obawiam się, że bardzo tego potrzebuje.

Ponownie spojrzął dookoła i w końcu wrócił do rydwanu. W tumanie kurzu zbliżali się dworzanie. Gdy dotarli do faraona, padli na kolana i z podziwem patrzyli na martwe ciało lwa. Aj przyjął pochwały bez słowa – nie odezwał się też w drodze powrotnej do pałacu. Służący zwrócili uwagę na dziwny wyraz twarzy króla. I szeptali, że władca pewnie zobaczył coś niezwykłego.

Właśnie wtedy, gdy król wracał do Teb, jego brata, Anena, także ogarnęły dziwne uczucia. Wszedł do najgłębszego sanktuarium świątyni, gdzie niedawno udało się przywrócić spokój – martwą ciszę kamienia i ciemności. Anen uniósł lampkę. Pomieszczenie było małe, ale słaby płomień nie rozjaśnił mroków panujących w głębokich basenach. „Tutaj znajduje się prawdziwa tajemnica. A tajemnicy musi zawsze towarzyszyć strach”, pomyślał arcykapłan. Zrobił krok do przodu; jeszcze wyżej uniósł lampę i spojrzął na figurę stojącą w głębi. Sam musiał złożyć fragmenty, gdyż nie mógł pozwolić nikomu innemu spojrzeć na posąg. Anen miał niezbyt wprawne ręce, toteż jego dzieło wypadło nieco niezdarnie. A jednak widok rzeźby wzbudził w nim lęk – tak jak musi wywoływać strach każda rzecz, przyszło mu do głowy, której dotknęli bogowie.

Nagle Anenowi wydało się, że usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z tyłu. Odwrócił się gwałtownie, wysuwając przed siebie lampę, choć wiedział, że w gęstym mroku nic nie zobaczy. Uśmiechnął się z ulgą. Od kiedy został wygnany z Teb, jego umysł był rozgorączkowany, niepewny, jakby nie należał do niego. Miał nadzieję, że powrót ukoji lęki. Uniósł dłonie i dotknął miejsc, gdzie niegdyś miał uszy. Tak wiele mu odebrano. Przesunął palcami po pionowej bliźnie na środku twarzy. Stracił bardzo dużo i mimo usilnych starań nigdy nie zdoła tego odzyskać. Odwrócił się ponownie w stronę rozbitego posągu. „Cóż za wandalizm”, pomyślał. „Co za świętokradztwo, co za obraza!” Szeptem przeklął zbrodniarza, który tego dokonał.

I nagle, w tej samej chwili, gdy wymówił imię siostrzeńca, usłyszał cichy szmer, jakby odgłos kroków. Tym razem na pewno się nie przesłyszał.

– Kto tu jest?! – krzyknął, unosząc lampę. – Kto ośmielił się wejść do tego tajemnego, świętego miejsca?

Odpowiedziała mu tylko cisza, lecz teraz dostrzegł cień, ciemniejszy niż otaczające go ciemności. Jakby utkany z mroku. Kończyny mrocznej postaci były cienkie, brzuch sterczał wydęty, a czaszka wielkością przypominała głowę posągu.

– Kto tu jest? – powtórzył Anen. Starł się nadać swemu głosowi władczy ton, lecz strach sprawił, że pytanie zabrzmiało piskliwie.

Postać zrobiła krok do przodu i jednym ruchem ręki zdjęła z głowy chustę. Anen cofnął się z przerażeniem, którego już nie próbował ukrywać. Teraz dostrzegł, kim jest nieznajomy, gdyż mimo ciemności skóra przybysza lśniła, jakby rozjaśniana wewnętrznym blaskiem. Anen wiedział, nawet o to nie pytając, że w niespodziewanym gościu dokonała się cudowna i ostateczna przemiana.

Wbrew własnej woli postąpił do przodu, lecz postać uniosła dłoń.

– Nie zbliżaj się do mnie.

– Dlaczego? – Anen zacisnął pięści ze strachu i wściekłości. – Co chcesz uczynić?

– Coś, nad czym sam nie potrafię zapanować.

– Cóż takiego?

Cień uśmiechu pojawił się na wargach Echnatona.

– Nie jesteś jedynym strażnikiem tajemnicy – szepnął król. – Ale powiedz, jak to się stało, że odbudowano dach. – Spojrzał na kamienne płyty nad głową. – I naprawiono posąg. – Wskazał ręką. – Kiedy ostatni raz byłem w tym miejscu, porastały je chwasty.

– Teraz świątynia twojego boga, zbrodniarzu, została zburzona i opuszczona. – Anen zacisnął pięści, lecz tym razem nie ze strachu, lecz z poczucia tryumfu. – Twoje dzieła oraz posągi obróciły się w pył. Nawet imię Echnaton zatarto wszędzie, gdzie je znaleziono. W przyszłości nikt nie będzie pamiętał, że ktoś taki, jak ty, kiedykolwiek istniał. Tak samo się stanie z Horyzontem Słońca, Atonem i twoimi synami.

– Moi synowie... – powiedział Echnaton tak szorstko, tak zimnym głosem, że Anena ponownie ogarnęło przerażenie. – Moi synowie... – powtórzył król, mrużąc oczy. – Czy to prawda, co mi powiedział Aj, że obaj umarli z gorączki?

– Tak mi doniesiono.

– Żaden z nich nie nosił śladów klątwy ciężącej nade mną?

– Tak mi doniesiono – rzekł Anen.

– Ale czy to prawda? Muszę wiedzieć. Powiedz mi, czy to prawda?

Anen przełknął ślinę. Wbrew sobie spojrział Echnatonowi w oczy. Poczuł, że zatapia się w ich blasku, i jęknął zaskoczony

– Tak, to prawda – szepnął. Rozpaczliwie starał się uwolnić od przejmującego spojrzenia, lecz nie potrafił. Teraz arcykapłana ogarnęła fala panicznego lęku. – Prawda, prawda... – powtórzył cicho.

Zdawało się, że źrenice Echnatona płoną.

– Chciałbym móc ci uwierzyć – odezwał się po chwili król.

– Dlaczego nie możesz? – Anen niemal krzyknął, tak wielki czuł strach i tak rozpaczliwie pragnął oswobodzić się od palącego wzroku siostrzeńca. – Czy sądzisz, że jeśli byliby naznaczeni świętą krwią, to pozwoliłbym im umrzeć, zanim zostaliby ojcami? Jaką wartość miałyby dla mnie magiczna moc ich ciał, w porównaniu z możliwością przedłużenia rodu? W świątyni wśród piasków, bezpiecznej, daleko stąd, jest pod dostatkiem magicznego mięsa,



całe rzędy ciał spowitych w mumiove bandażu; ale na tronie Egiptu nie zasiądzie już potomek Ozyrysa. – Przełknął ślinę, a każda jego myśl znajdowała odbicie w lśniących oczach siostrzeńca. – Jeśli Teje nie urodzi synów. Jeśli nie wyda na świat potomków i nie przedłuży rodu...

– Ach, tak – mruknął Echnaton. – Zupełnie bym zapomniał. Tylko ona została.

– Jak to? – Anen bardzo starał się ukryć zdenerwowanie; lecz słysząc swój drżący głos, wiedział, że wysiłki na nic się zdały. – Co zamierzasz z nią uczynić?

– A co cię to obchodzi?

– Jest moją siostrą.

Echnaton zaśmiał się pogardliwie.

– Raczej jest twoją jedyną szansą na przedłużenie rodu. Po cóż innego miałbyś się o nią troszczyć?

– Ona była... ona jest... – Anen przełknął ślinę i znowu poczuł się usidlony przez wzrok siostrzeńca. – Nigdy nie kochałem nikogo oprócz Teje – wyznał w końcu.

Echnaton zaśmiał się gorzko.

– I dowiodłeś swojej miłości, zakradając się z powrotem tu, do Teb i niewątpliwie próbując ją namówić, aby dzieliła z tobą przerażającą wieczność; aby jadła ciało ze swego ciała, aby stała się takim samym ludożercą jak ty.

Anen popatrzył na siostrzeńca zaskoczony, potem uśmiechnął się blade.

– Nie przyniosłem ze sobą ani kawałka magicznego mięsa – odpowiedział.

– Więc po co wróciłeś?

– Powiedziałem ci przecież. Miałem nadzieję, że Tutanchamon okaże się prawdziwym dziedzicem twojej krwi. Lecz na próżno. – Uśmiechnął się szerzej – Kiedy przybyłem, on już spoczywał w grobie.

Echnaton przyglądał mu się ze źle skrywanym zaskoczeniem.

– Ale to było zaledwie siedemdziesiąt dni temu.

– Zgadza się.

– Nie wróciłeś wcześniej?

– Nie.

– A więc... – Echnaton zmarszczył czoło, a blask w jego oczach ustąpił miejsca ponurej pustce. – Więc kto opuścił moje miasto i mojego boga? Kto rozkazał odbudować to obrzydliwe miejsce? – Zatoczył ręką duży krąg.

– Nie wiesz?

– Kto? – Na twarzy Echnatona pojawił się nagle wyraz głębokiego bólu. – Kto to był?

Anen zaśmiał się cicho.

– Twoja matka – parsknął. – Twoja matka, faraonie, a moja siostra. Królowa Teje! To wszystko jest jej dziełem!

– Nie wierzę ci!

– A jednak to prawda.

– To niemożliwe.

– Spójrz w moje myśli. Wiesz, że nie mogę niczego przed tobą ukryć.

Echnaton stał przez chwilę w milczeniu

– A zatem postanowiłem – powiedział powoli, jakby ze zdziwieniem. Blask jego twarzy znowu stał się zimny. – Postanowiłem – powtórzył i odwrócił się. – Trzeba to zrobić natychmiast.

– Poczekaj! – Echnaton nie zatrzymał się, lecz Anen rzucił się za nim i złapał go za skraj szaty. – Poczekaj!

Echnaton spojrzał przez ramię, a twarz miał tak ohydnie wykrzywioną, że Anen patrząc na siostrzeńca nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na policzkach Echnatona pojawiły się wypieki, jego oczy miały błyskawice; wyszczerzył zęby i jęknął:

– Odejdź, odejdź natychmiast! – Wyciągnął ręce, aby chwycić Anena za gardło, lecz ten wywinął się rozpaczliwie i z trudem zdołał uciec. Cofając się, spojrzał na Echnatona z niedowierzaniem.

– Co się stało? – szepnął. – Kim jesteś?

Król westchnął głęboko, bardzo ostrożnie, jakby zbyt gwałtowny oddech mógł wyzwolić rozpierające go pragnienie. Uśmiechnął się strasznie.

– Czy nie nauczyłaś zawsze, mój wuju, że Izyda władała mocą tajemnego imienia Amona i dzięki niej mogła osiągnąć wszystko, czego zapragnęła?

– Tak – odpowiedział Anen. – Tego właśnie uczymy, gdyż Izyda nosi tytuł Wielkiej Magii.

– Powinieneś więc wiedzieć, że to, co daje, może także odebrać.

– Co masz na myśli?

– Nieśmiertelność rodu Ozyrysa już nie istnieje. Władcy nią obdarzeni w końcu doczekali się odpoczynku. Nie ma życia, którego nie mógłbym zakończyć.

– Ty?

– Ja. Czy naprawdę nie pojmujesz? – Znowu uśmiechnął się przerażająco. – Ja sam stałem się śmiercią.

– Nie – wyjąkał Anen. – Nic, nie rozumiem.

– Jestem głodny życia, a czym właściwie jest śmierć, jeśli nie takim głodem.

– Więc ty... – Anen przypomniał sobie wyraz desperacji na twarzy siostrzeńca, płonące, pożądliwe spojrzenie. – Ty jesteś złakniony mnie? Pragniesz mojego...?

– Smaku – dokończył łagodnie Echnaton; lecz Anenowi wydawało się, że słowo to długo jeszcze rozbrzmiewało w ciemności. – Tak to już jest, mój wuju, że powinieneś trzymać się daleko ode mnie. Teraz, tak samo jak i przedtem, chciałbym, żebyś żył wiecznie, gdyż nie można sobie wyobrazić straszniejszego losu. Ale zbliż się tylko, a ja w tej samej chwili pozbawię cię życia, które jest słodkie, złociste i tak bardzo mi drogie, i nie będę już dłużej

walczył z pokusą. Teraz wszelkie życie stanowi dla mnie wielką pokusę, ale twoje, mój wuju... twoje szczególnie.

W oczach Echnatona pojawił się bezkresny mrok; Anen próbował uwolnić się spod jego wpływu, bojąc się, że mógłby się zagubić w czymś tak zimnym i tak odwiecznym.

– Dlaczego? – szepnął. – Dlaczego właśnie moje życie cenisz wyjątkowo?

Mrok w spojrzeniu Echnatona jakby przygasł.

– Jestem śmiercią – przypomniał. – Nie dano mi tego, co dla śmiertelników jest najdroższe ze wszystkiego: miłości rodziny... matki, brata, siostry, dziecka...

– Matki? – szepnął Anen.

– Oczywiście. – Echnaton uśmiechnął się. – Teje, jeszcze bardziej niż ty, jest życiem mojego życia i dlatego jej smak będzie słodszy niż wszystko inne.

Uśmiech króla przygasł. Echnaton przez chwilę stał w bezruchu; potem Anen odniósł wrażenie, że ciemna postać zaczęła migotać, jakby była utkana z mroku roztaczającego się wokół płomienia lampy.

– Zostaw mnie samego – zażądał Echnaton. – Odejdź z Teb jeszcze dzisiaj. Jeśli bowiem spotkam cię kiedykolwiek, to przysięgam, umrzesz.

Ostatnie słowo odbiło się echem i długo dźwięczało w umyśle arcykapłana; postać siostrzeńca zupełnie zniknęła. Anen zrobił krok do przodu.

– Umrzesz – usłyszał. – Umrzesz.

Ale w pomieszczeniu nie było nikogo oprócz niego. Po Echnatonie nie został żaden ślad.

Anen pospiesznie zebrał wszystkie swoje dobra i opuścił świątynię niemal biegiem. To jedno słowo ciągle rozbrzmiewało mu w głowie. Postanowił odejść jeszcze tego samego popołudnia. Uciec na pustynię. Nawet samotnie, jeśli tak musiało być. Wcześniej jednak postanowił odszukać siostrę. Przeszukiwał jej komnaty, zaglądał w ulubione miejsca, modląc się, aby nie uprzedził go siostrzeniec. Anen powtarzał sobie w myślach to, co powie Teje. „Chodź ze mną, zamieszkajmy razem i bądźmy szczęśliwi po wsze czasy”. Nagle przyszło mu do głowy, że może Echnaton już znalazł i zabił matkę. Myśl ta wywołała w arcykapłanie przerażenie trudne do zniesienia. Przypomniały mu się słowa, którymi siostrzeniec skazał go na życie. „Nie można sobie wyobrazić straszniejszego losu”. „Nie” – pomyślał Anen. – „Nie, jeśli uda mi się znaleźć siostrę, jeśli tylko odnajdę Teje”.

Lecz w tym samym czasie, gdy Anen przeszukiwał pałac, ona już pędziła w stronę doliny. Król Aj bowiem, natychmiast po powrocie do Teb, znalazł siostrę i przekazał jej wieść o przybyciu syna; lecz Teje, ku zaskoczeniu króla, nie okazała radości, a tylko strach.

– Jesteś pewien, że to był mój syn? – dopytywała się.

A gdy Aj to potwierdził, wpadła w jeszcze głębsze przygnębienie. Wstała i wybiegła z pokoju, kiedy zaś Aj próbował pójść za siostrą, wrzasnęła wściekła, żeby zostawił ją samą. Tak więc król nie dowiedział się, że wydała rozkazy gwardzistom; nie wiedział też, że zgromadziła na dziedzińcu około dwudziestu konnych uzbrojonych w motyki. Nie widział

również, jak opuściła pałac, prowadząc swoich ludzi drogą do doliny; zaczynało się ściemniać, słońce prawie zaszło.

Teje jechała w pewnej odległości od oddziału, gdyż nie mogła znieść wzroku tych, których kończyny nie przypominały jej kończyn, których brzuchy nie były wydęte i których czaszki nie posiadały ohydneho kształtu. Od lat już zwykła ubierać się na czarno i nawet oczy ukrywać za zasłoną, lecz nawet tak ubrana niechętnie wystawiała się na widok publiczny, spoza bezpiecznych murów pałacu. Mimo to bez trudu kierowała jadącymi za nią ludźmi; im bardziej zaznaczało się na jej ciele piętno królewskiej krwi, tym większą zyskiwała moc.

Gdy przejechała wąwóz prowadzący do doliny, ostatnie promienie słońca właśnie zniknęły za wzgórzami. Teje zatrzymała konia i spojrzała za siebie. Gwardziści również stanęli i zajęli się zapalaniem pochodni. Teje uśmiechnęła się. Nie potrzebowała ognia, aby oświetlić sobie drogę, gdyż już od wielu lat widziała lepiej w ciemnościach niż w pełnym świetle dnia. Ze zniecierpliwieniem krzyknęła do ludzi, aby ruszyli za nią dalej, po czym popędziła konia. Nie było już daleko. Przyglądała się zarysom skał przed sobą i bez trudu odnalazła cel. Po lewej, pospiesznie przygotowany grobowiec Semenckare; po prawej, grób młodszego wnuka, Tutanchamona. Nic nie wskazywało miejsc, gdzie znajdowały się grobowce, lecz królowa osobiście starannie wybrała teren i dokładnie wiedziała, skąd należy rozpocząć pracę. Namyslała się przez chwilę, który grobowiec powinien zostać otwarty jako pierwszy. W końcu uśmiechnęła się, skinęła głową i ruszyła w lewo.

– Niech ten, który spoczywa tu dłużej, będzie pierwszy odkopany. – Wspięła się na skały i stanęła nad grobowcem Semenckare.

Teje pochyliła się, wzięła garść kamieni oraz piasku i pozwoliła, aby drobiny przesypały się między jej długimi, cienkimi palcami. Spojrzała na swoją dłoń, wysuszoną i podobną do szponów, z niesmakiem, którego nigdy nie nauczyła się dobrze ukrywać, po czym z niecierpliwością odwróciła się do poddanych. Dookoła panowała ciemność i nie było widać żadnych pochodni. Ze złością i niedowierzaniem Teje głośno rozkazała, aby wszyscy natychmiast do niej przyszli, lecz w odpowiedzi usłyszała tylko echo własnego głosu. Stała nieruchomo, nasłuchując dźwięków niknących w gęstym mroku; nagle zadrżała i zdała sobie sprawę, że jednak nie jest sama.

Odwróciła się i jęknęła z przerażenia i wściekłości:

– Ty!?

Stał nad nią na płaskim występie skalnym, z odsłoniętą twarzą i głową. Klątwa jego krwi, zauważyła Teje, odcisnęła na nim inne, dziwne piętno.

– Zbliź się, matko – rzekł, uśmiechając się i wyciągając ramiona. – Czy nie chcesz objąć mnie po tak długim czasie?

– Aj powiedział mi... – wyjąkała. – Mówił, że wróciłeś.

– I dlatego przyjechałaś tutaj, do doliny grobów?

Roześmiała się gorzko.

– A dlaczego nie?

– To przeklęte miejsce.

– A zatem jest to najbardziej odpowiednie miejsce dla mnie. – Nagle zerwała sobie z twarzy welon i odwróciła się ku synowi. – Patrz! – wrzasnęła. – Jak ohydnie wyglądam! Ja, która kiedyś byłam niezrównanie piękna i pożądana, stałam się czymś tak przerażającym, że ludzie kulą się ze strachu i odwracają wzrok na widok mojej twarzy! – Przełknęła ślinę, próbując ukryć łkanie, lecz wkrótce rozpacz ustąpiła wściekłości. – Siedzę zamknięta w pokojach, nie mogę wyjść na spacer, muszę ukrywać całe ciało i twarz pod welonem, chustami i szatami. To jest gorsze, mój synu, niż harem, ale tak jak uciekłam stamtąd, tak też wydam się i z tego przerażającego więzienia.

– W jaki sposób? – zapytał.

– Możesz pójść ze mną – powiedziała nagle. – Tak. – Przytaknęła gwałtownie. – Tak, tak, musisz to zrobić.

– Co muszę zrobić?

– Jak to? – zdziwiła się. – Panować ze mną jako król. Teraz jestem nieśmiertelna i wkrótce przestanę się starzeć i ktoś wtedy mógłby stanąć mi na drodze?

Echnaton bardzo wolno pokręcił głową.

– Jak chcesz przestać się starzeć?

Lecz Teje zignorowała słowa syna i mówiła dalej, pospiesznie i z pasją, jakby kłócąc się sama ze sobą.

– Zamierzałam poczekać, aż Aj umrze, gdyż kochałam go, kochałam. Ale po co tracić czas? – Śmiała się jeszcze, gdy zaczynała płakać, a jej palce szarpały szaty, okrywające wyraźnie wysuszone, zniekształcone ciało. – Gdybym ja została faraonem... – załkała. – Gdybym zasiadała na tronie, nikt już nie ośmieliłby się odwrócić wzroku od mojej twarzy. I byłabym kochana. I byłabym kochana... I wszystko byłoby tak, jak przedtem.

Echnaton znowu pokręcił głową.

– Jak chcesz przestać się starzeć? – powtórzył.

Spojrzała na niego zaskoczona i wskazała ręką.

– Tutaj, pod piaskami, czeka cudowna nagroda.

– Nie – rzekł łagodnie Echnaton. Uniósł rękę, chcąc dotknąć matki, mimo iż stał wyżej niż ona. – Ciała królów zostały zabrane, matko. Zabrane i zastąpione innymi. Czy nie pamiętasz? Anen tak nam powiedział.

– A zatem kłamał. – Teje pochyliła się i zaczęła rozcierać rękami piasek i kamienie. – Kłamał! – Roześmiała się, spojrzała w górę i skinęła na syna, lecz on już zszedł ze skały i podążał ku królowej. Kilka kroków przed nią zatrzymał się i Teje zauważyła, że jego oczy płoną.

Spojrzała na piasek, który trzymała w dłoniach, po czym go wysypała i powoli wstała. Nagle zdała sobie sprawę, że była gotowa zdradzić mu swój najdroższy sekret; lecz teraz,

patrząc na twarz króla, dostrzegła zagrożenie. Osłupiała na widok rozpalonych policzków, rozchylonych warg, rozbieganego, niespokojnego i wygłodniałego spojrzenia!

– Co to znaczy? – szepnęła, odzyskując głos. – O mój synu, mów, co ci się stało, gdyż nigdy wcześniej nie widziałam nikogo, kto wyglądałby tak dziwnie.

Echnaton westchnął głęboko, ale nie odpowiedział.

Teje nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Pomyślała o grobowcu znajdującym się w dole. Tak łatwo byłoby, pomyślała z żalem i wściekłością, rozbić mur i poćwiartować ciało wiecznie żyjącego króla – leżące na podłodze grobu, podczas gdy w trumnie spoczywał ktoś inny. Ani Aj, ani kapłani nigdy nie dowiedzieli się o tym fortelu, a służących, którzy wykonali rozkaz, poleciła zabić, aby mieć pewność, że ciało da się łatwo odzyskać. Tak samo postąpiono z Semenckare i Tutanchamonem – bez trudu można by potajemnie wynieść oba ciała.

Teje z wielkim wysiłkiem wyzwoliła się od spojrzenia syna. Rozejrzała się jeszcze raz dookoła, wypatrując blasku pochodni, czegokolwiek, co świadczyłoby, że jej ludzie nie uciekli. Jednak wszędzie panowała ciemność. Teje znowu poczuła nadciągającą falę wściekłości i rozpacz. Była tak blisko upragnionej zdobyczy, tak bardzo blisko... i właśnie wtedy pojawił się jej syn...

Ponownie zerknęła na piasek.

– Możliwe, że pod skałami nadal znajduje się magiczne mięso.

– Nie – sprzeciwił się Echnaton łagodnie. – Wszystko, moja matko, przepadło. Z magicznego rodu Ozyrysa pozostałaś tylko ty.

– Myślę jednak, że powinniśmy poszukać. – Spojrzała na Echnatona, a w jej oczach malowała się pożądlivość. – Tak, ty i ja.

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę; Teje widziała, że oczy lśnią mu jak poprzednio; w końcu potrząsnął głową.

– Jakże, matko? Czy zapomniałaś o Najwyższym, o bogu twego ojca, o bogu twego syna? – zapytał.

– A czy on nie zapomniał o mnie?

– On nie zapomina niczego.

– To spójrz na mnie!

– Patrę – przytaknął Echnaton, rozchylając wargi. – Patrę.

Oboje zamilkli; w końcu król uśmiechnął się smutno, ale z wielką miłością. Teje, patrząc na syna, miała wrażenie, iż na jego twarzy wcale nie widać śladów klątwy. Przez moment zdawało jej się, że dostrzega małego chłopca, którego pamiętała – swojego ukochanego syna, swoje piękne dziecko. Echnaton znów wyciągnął ramiona. Tym razem Teje podeszła do Echnatona. Poczuła, jak bierze ją w ramiona, poczuła dotyk jego warg na swoim czole; i nagle jęknęła. Palce syna zaczęły zaciskać się na jej gardle.

– Co robisz? – szepnęła, próbując wyzwolić się z uścisku; lecz więcej nie mogła powiedzieć, ogarnięta wilgotną, gorącą falą.

Teje poczuła, jak uchodzą z niej siły. Z wysiłkiem odgięła głowę i próbowała przyjrzeć się twarzy syna, lecz na próżno, gdyż oblicze Echnatona było niewidoczne, przyciśnięte do głębokiej rany na karku matki. Głowa jej opadła; przez mgnienie oka zobaczyła gwiazdy lśniące na niebie, ale chwilę później ich blask przygasł i zapadła ciemność. „Czy to jest śmierć?“, pomyślała Teje zaskoczona; jęknęła ze strachu i radości zarazem. Przez chwilę wspomniała grobowiec w skałach i jego zawartość. Chciała coś powiedzieć, zdradzić synowi swój sekret, lecz właśnie wtedy delikatnie, bardzo ostrożnie została ułożona na piasku; i poczuła na czole ostatni, pożegnany pocałunek Echnatona. Ale wiedziała, co jeszcze musi zrobić: jej ostatnim uczuciem, ostatnią myślą było wspomnienie o synu.

Echnaton jednak nie mógł o tym wiedzieć, a gdy w końcu upewnił się, że matka nie żyje i że jego pragnienie położyło kres kłątwej nieśmiertelności, nie potrafił już spojrzeć Teje w twarz. Pospiesznie wykopał prosty dół i jak najszybciej pogrzebał ciało królowej; potem wstał i odszedł z doliny. Dokąd poszedł i kim się stał, nikt nie umie powiedzieć. Taka jest opowieść o faraonie i świątyni Amona; a wszystko, co ci opowiedziałam, zdarzyło się naprawdę.

Gdy Lajla skończyła opowieść, zamilkła i z uśmiechem przyglądała się mojemu zaskoczeniu.

– Na święte imię Boga! – wykrzyknąłem, a oczy zrobiły mi się wielkie jak księżyc w pełni. – Ta opowieść o faraonie i świątyni Amona jest doprawdy zadziwiająca i straszliwa! Teraz wiele z tego, co było mroczne, rozjaśniło się, i wiele z tego, co było tajemnicą, zostało ujawnione. A jednak, potężna dzinnijo, wolałbym nigdy nie usłyszeć tej historii, bowiem lękam się usłyszeć, co przagniesz mi ofiarować.

Lajla uśmiechnęła się, a ja poczułem na policzku lekkie muśnięcie jej dłoni.

– Jak możesz mieć co do tego wątpliwości, ukochany? – szepnęła. – Czyż tak jak Echnaton nie obaliłeś mojego posągu? I czyż nie byłem twoją żoną, tak jak Echnatona? I czyż, tak jak Echnaton, nie złamałeś solennej obietnicy i nie szukałeś mnie, gdy od ciebie odeszłam, tak jak ci obiecałam? Wiesz, co mu dałam, i jaką cenę musiał za to zapłacić. Czy odważysz się, mój mężu, zapłacić taką samą cenę?

– Niech Bóg się nade mną zmiłuje, nie mogę!

Mówiąc to, panie, myślałem o moim dziecku. Próbowałem sobie wyobrazić, życie bez córki. Nigdy więcej bym nie zobaczył Hajdy, nie widziałbym, jak staje się kobietą, jeśli nie chciałbym być zmuszony do zamordowania, a potem żywienia się jej ciałem. Gdyż na całym tym wielkim świecie, ze wszystkimi jego cudami i wspaniałościami, nic nie jest mi droższe niż moje dziecko, moje jedyne, słodkie, ukochane dziecko. Na Boga, pomyślałem, nie umiałbym dobrowolnie zrezygnować z takiego szczęścia! Ale wtedy nagle, kalifie, przypomniałem sobie o twojej groźbie, że Hajda zginie, jeśli nie wypełnię rozkazu i wrócę,

nie poznawszy tajemnicy życia i śmierci. W tej samej chwili wydało mi się, że widzę, jakby wywołany przez magię tamtego miejsca, obraz mojej córki, zamordowanej na twój rozkaz. Wizja była tak prawdziwa, że krzyknąłem z żalu i zerwałem się na równe nogi, gdyż bardzo pragnąłem wziąć ją w ramiona i utulić. Niespodziewanie jednak obraz przed moimi oczami zaczął się mącić i zmieniać. Zamiast córki dostrzegłem uwolnionego z grobu Śpiącego, człowieka, który kiedyś władał Egiptem i nosił imię Semenchkare, lecz teraz stał się ojcem armii straszliwych *udar*. Widziałem, jak triumfalnie unosi zakrwawioną maczugę. Wtedy wizja znowu zaczęła się zmieniać. Ujrzałem przed sobą Kair, Matkę Miast, najpiękniejsze z pięknych, klejnot wśród klejnotów. Całe miasto było ciche i puste; a potem zauważyłem, że na ulicach, placach i w meczetach leżą stosy trupów, rzucone na pastwę much i psów. Martwe ciała płynęły też Nilem. Zrozumiałem wówczas, kalifie, że cały świat znalazł się w niebezpieczeństwie, gdyż groza uwolniona z grobowca z pewnością będzie się szerzyła, jeśli się jej nie przeszkodzi, dokonując jakiegoś cudu; i pomyślałem, że tylko Bóg jeden widzi wszystko najlepiej. Przetarłem oczy i koszmary zniknęły; odwróciłem się z powrotem do Lajli, a ona wzięła mnie za rękę. Nie powiedziałem nic, lecz czułem jej obecność w swoich myślach; nie odsunąłem się, gdy jej wargi dotknęły moich. I natychmiast, jak słodki i cudowny sen, ogarnęła mnie ciemność i nie widziałem już nic.

Gdy się ocknąłem, obok siebie znalazłem tylko śpiącą Izydę, mojego psa. Przez moment sądziłem, że po prostu miałem senne widzenie. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że się zmieniłem. I wszystko dookoła nosiło piętno mocy Lajli. Świątynia, co prawda, była zrujnowana, tak jak poprzednio. Opuszczone sale kolumnowe do połowy skrywał piasek; lecz wszędzie leżały ciała *udar*, ghuli zrodzonych z grobowców. Z całej olbrzymiej armii, która tłoczyła się przy wybudowanym na prędce murze, nikt nie pozostał przy życiu. Zdziwiony szedłem wzdłuż ruin świątyni, a poza zasięgiem jej cienia, nad brzegiem Nilu, zobaczyłem wieśniaków, pochylonych w modlitwie na chwałę Najwyższego. Gdy się zbliżyłem, mężczyźni zerwali się z kolan, by mnie powitać, i ogłosili mnie wielkim magiem. Lecz nawet wtedy, kiedy mi dziękowali, zobaczyłem w ich oczach cień lęku. Zastanawiałem się więc, czy moja przemiana jest aż tak wyraźnie widoczna.

Nikt jednak nie powiedział nic na ten temat, a ja z kolei nie wyjawiałem, co mi się przydarzyło. Tylko wójtowi, gdy szliśmy razem przez dolinę grobów, powtórzyłem historię, którą usłyszałem poprzedniej nocy. Rozkazałem starcowi, aby zapamiętał tę opowieść dokładnie i dobrze strzegł tajemnicy. Potem, gdy już wszystko zostało powiedziane, pokazałem mu namalowaną na ścianach jednego z otwartych grobowców postać Ozyrysa, boga, który nie mógł umrzeć.

– Gdziekolwiek zostanie odkryta taka podobizna, niech u jej stóp będzie położony wizerunek słońca, na pamiątkę człowieka, który starał się oczyścić tę dolinę ze zła – poleciłem. – I niech nikt nie szuka, i nie narusza kolejnych grobowców, ani teraz, ani w następnych wiekach, gdyż jeden ciągle jeszcze pozostaje w tym miejscu, gdzie czai się zło.



Nie powiedziałem jednak wójtowi o złu płynącym w moich żyłach; chociaż wiedziałem, że stałem się ifrytem i czułem szatański głód; walczyłem z nim przez cały czas pobytu w Tebach. Nie poddałem mu się nawet wtedy, kiedy już stamtąd odszedłem w towarzystwie jedynie psa, Izydy.

W końcu, podróżując wzdłuż Nilu, dotarłem do równiny otoczonej skalnymi urwiskami, gdzie nie było widać nic oprócz piaszczystych wydm. Zbliżyłem się do grupy koczowników obozujących pod palmami i poprosiłem, by zaprowadzili mnie do pogańskich grobów. Poszli ze mną do ciasnego wąwozu o stromych ścianach. Na końcu doliny znajdowało się wejście do wielkiego, chociaż nie ukończonego grobowca. Na najciemniejszej ścianie w najdalszej komorze ujrzałem malowidło przedstawiające królową – rozpoznałem ją natychmiast, gdyż wyglądała tak, jak moja żona. Wtedy wiedziałem już na pewno, że historia, którą mi opowiedziała, zdarzyła się naprawdę. Przerażony, namalowałem na ścianie wizerunek słońca króla Echnatona. Przepęłniło mnie dziwne uczucie na myśl o tym, że wszystko, co mi się przytrafiło, wcześniej spotkało także tego faraona. Postanowiłem więc odwiedzić kamieniołomy na pustyni, aby znaleźć miejsce, gdzie on, tak samo jak ja, spotkał swoją żonę i otrzymał ten sam straszliwy dar, który ja otrzymałem. Koczownicy zaprowadzili mnie do kamieniołomów. Tam również wyryłem wizerunek słońca. A gdy im powiedziałem, że to miejsce jest przekłete, spuścili głowy i przytaknęli, jakby zawsze się tego domyślali.

Nie wspominałem jednak ani słowem o złu płynącym w moich żyłach; chociaż wiedziałem, że stałem się ifrytem, i czułem szatański głód; walczyłem z nim przez cały czas, jaki spędziłem z koczownikami. Nie poddałem mu się nawet wtedy, kiedy już stamtąd odszedłem, a moim jedynym towarzyszem była Izyda, mój pies.

Wróciłem na równinę, przepравиłem się przez rzekę i znalazłem tam biedną, bardzo małą wieś. Patrząc na pustynię na przeciwległym brzegu, gdzie niegdyś strzelały w niebo mury potężnego miasta, pomyślałem sobie, że wszystko przemija, z wyjątkiem miłości Najwyższego. Wieśniacy, widząc wyraz zadumy na mojej twarzy, zastanawiali się z lękiem, czym mogę być. Opowiedziałem im więc część tego, co usłyszałem od dzinniji i ruszyłem dalej, w stronę Kairu.

I zanim usiadłem razem z tobą w tej komnacie, nie rzekłem nikomu o złu płynącym w moich żyłach; chociaż wiedziałem, że stałem się ifrytem i czułem szatański głód, walczyłem z nim przez cały czas, gdy tu jestem. I ciągle mu się nie poddaję, a za towarzysza mam jedynie psa, Izydę.

A gdy Harun skończył opowieść, kalif spojrział na niego zaskoczony, zadrzał i zerwał się na równe nogi.

– W imię Boga – wykrzyknął. – Ta historia, Harunie, jest największym cudem z cudów, a jednak lękam się znaczenia wypowiedzianych przez ciebie słów i głodu, który widzę w twoich oczach!

Lecz Harun tylko się uśmiechnął

– Nie bój się – rzekł. – Dawno temu obiecałem twemu ojcu, że nigdy nie podniosę ręki przeciwko tobie. Ale pragnę przypomnieć ci przysięgę, jaką ty złożyłeś, że moja córka, Hajda, nie umrze.

– A zatem potrafisz uzdrowić księżniczkę Sitt al-Muluk? – zapytał kalif, odzyskując pewność siebie.

Harun skinął głową.

– Mam moc uwolnienia jej od groźby śmierci.

– W takim razie twoje dziecko zostanie oszczędzone.

– Musisz dać Hajdzie pałac, służbę i majątek, ja bowiem, jak wiesz, nie mogę się nią dłużej opiekować.

– Wszystko zostanie zrobione, tak jak tego żądasz – przytaknął kalif.

– Więc jutro wieczorem zwrócę ci siostrę, księżniczkę Sitt al-Muluk, przebudzoną ze snu. Czy przyjmujesz moje warunki, o Przywódcu Wiernych?

– Słyszę i zgadzam się.

– Zatem chwała niech będzie Najwyższemu. – Harun skłonił głowę i ucałował dłoń kalifa

– Spotkajmy się na drodze prowadzącej przez wzgórza Mukattamu; lepiej bowiem przyzywać mroczne moce z dala od ludzkich spojrzeń. Do jutra, o księżę.

Gdy wypowiedział te słowa, jego postać rozwiała się, jak mgła w porannym wietrze. Kalif został sam w komnacie na wieży.

Zszedł po schodach wielce zafasowany i podniecony zarazem; natychmiast rozkazał, by spełniono wszystko, co obiecał Harunowi. Tak więc Hajda została przystrojona w najpiękniejsze stroje i w asyście setek służących zaprowadzona do pałacu ozdobionego marmurem oraz złotem, gdzie na każdym stole stała misa z owocami, a na stolikach znajdowały się tace wypełnione klejnotami. Potem, gdy już nadeszła pora wieczornej modlitwy, kalif wezwał swego sługę, Masuda, i obaj udali się na wzgórza Mukattamu.

Gdy dotarli do równiny ciągnącej się aż do Heluanu, kalif zatrzymał się i spojrzał za siebie, w stronę Kairu. W całym mieście jasno migotały światła w domostwach, a pustynia, za którą przed chwilą skryło się słońce, płonęła purpurowo; jednak wszystko to nie mogło się równać ze światłem błyszczących w górze gwiazd. Patrząc na miriady srebrzystych punkcików, kalif pomyślał o królestwie dzinnów. I wtedy poczuł w sobie rozbudzoną przez lśnienie gwiazd palącą niecierpliwość. Rozejrzał się dookoła i krzyknął głośno imię Haruna.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Harunie! – zawołał ponownie al-Hakim. – Nastąpiła pora, abyś dowiódł swojej mocy dawania życia i śmierci!

I tym razem nikt mu nie odpowiedział.

– Harunie! – zakrzyknął kalif po raz trzeci. – Daj mi to, co obiecałeś albo rozkażę zabić twoją córkę!

Gdy jego słowa odbijały się jeszcze echem od pustynnych wzgórz, władca zauważył, że Masud drży z przerażenia. Broda mu się trzęsła, oczy miał wytrzeszczone; bardzo wolno uniósł rękę i wskazał coś, co znajdowało się za kalifem. Ten natychmiast się odwrócił i ujrzał na tle gwiazd zarys sylwetki al-Wakila, stojącego na samej krawędzi płaskowyżu. Ale twarz Haruna, mimo iż znajdowała się w cieniu, sprawiała wrażenie dziwnie rozświetlonej, wyglądała jak połyskujące srebro. Patrząc na nią, kalif pomyślał, że nigdy w życiu nie widział na niczym obliczu tak przejmującego wyrazu głodu, który jakby wydrążył oczy. Al-Hakimowi wydawało się, że ich bezkresna głębia mogłaby pochłonąć nawet gwiazdy. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo; w końcu wziął głęboki oddech i polecił Masudowi, by szedł za nim. Masud jednak nawet nie drgnął. Kalif zaklął i sam ruszył naprzód. Podejście stromą i kamienistą ścieżką okazało się trudniejsze niż sobie wyobrażał, toteż długo trwało, zanim znalazł się na szczycie płaskowyżu. Lecz gdy w końcu dotarł do celu i rozejrzał się wokół, Haruna tam nie było.

Kalif poczuł, jak fala przerażenia, miękka i lepka, unosi się z jego żołądka i dociera do gardła. Próbował po raz kolejny krzyknąć imię Haruna, lecz głos odmówił mu posłuszeństwa. Zaczął więc schodzić z powrotem w dół zbocza. Kiedy odzyskał głos, zawołał Masuda. Zobaczył jakiś cień przed sobą i krzyknął, czując ulgę:

– Masudzie, Masudzie, musimy stąd natychmiast uciekać!

Lecz wówczas postać odwróciła się i kalif ujrzał Haruna; wyraz głodu zupełnie zniknął z twarzy mędrca.

– Witaj, kalifie – rzekł Harun, kłaniając się nisko. – Nadeszła chwila, gdy wszystko musi się wypełnić!

– Masud... – szepnął al-Hakim. – Gdzie jest Masud?

Harun uśmiechnął się. Wskazał ręką coś, co leżało u jego stóp. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak sterta szmat; lecz gdy kalif ukląkł, aby przyrzeć się dokładnie, rozpoznał zwłoki swego czarnego niewolnika. Ciało olbrzyma pasami oderwano od kości. Kalif podniósł się powoli.

– Przrzekłeś... że mnie... nie zabijesz – wyjąkał cicho.

– I nie zrobię tego – odpowiedział Harun. – Wszystko zostało uczynione i będzie uczynione dokładnie tak, jak ci obiecałem.

– Moja siostra... – Kalif obliznął wargi. – Gdzie zatem jest księżniczka? Miała tu być z tobą.

– Mówiłem że postaram się na zawsze uchronić ją przed śmiercią – odparł Harun.

– Co się więc stało z Sitt al-Muluk? – wrzasnął kalif.

– Jak to? Czy sądzisz, że ifryt nie może uczynić śmiertelnika podobnym do siebie?

– Ja... nie rozumiem... – kalif głośno przełknął ślinę.

Harun uśmiechnął się i nie odpowiedział, tylko wskazał ręką. I al-Hakim ujrzał, wyłaniający się z mroków srebrzysty blask, migotliwy i nieziemski, jak ciało Haruna. Wtedy

nagle zrozumiał; wrzasnął i rzucił się do ucieczki. Lecz jego ciało wydawało się sparaliżowane. Nie potrafił też wyzwolić się od przykuwającego spojrzenia swej siostry, płonącego żądzą i głodem. Nie mogąc się poruszyć, kalif stał i czekał na księżniczkę; siostra objęła brata. Kalif nadal tkwił nieruchomo.

Harun jednak nie tracił czasu na przyglądanie się, lecz ruszył w drogę, gdy Sitt al-Muluk wzięła kalifa w ramiona. Dokąd poszedł i czym się stał, nikt nie wie i nie może wiedzieć. Tylko bowiem Bóg widzi wszystko i tylko on posiadał znajomość przyszłości i przeszłości. Chwała niech będzie Bogu i Jego imieniu, gdyż Jego miłosierdzie, Jego mądrość i Jego potęga muszą kierować nami wszystkimi!

*Notatka włożona między kartki manuskryptu przekazanego lordowi Carnarvon:*

Turf Club,  
20 listopada 1922 r.

Drogi lordzie Carnarvonie!

Czas płynie nieubłaganie. I tak, właśnie gdy skończyłem jeszcze raz przerzucać kartki manuskryptu, zostałem poinformowany, że przyjechał już samochód, który ma zawieźć mnie na stację. Zastanawiam się jednak, co pan z tym zrobi? Czy to, co dostrzegłem – pod wieloma warstwami bajek i mitów, pod narosłymi przez tysiąclecia zabobonami – to tylko wytwór mojej wyobraźni, czy też naprawdę grobowiec pełen złota nadal czeka na odkrycie? W ciągu tygodnia, może nawet wcześniej, poznamy odpowiedź. Zatem niech pan przyjeżdża jak najprędzej, drogi lordzie Carnarvonie. Dolina jest sucha i gorąca, ale sama myśl o niej sprawia, że rozpira mnie cudowna energia! Nie wątpię, że gdy i pan ją zobaczy, wróca panu siły i zdrowie.

Oczekuję pana i lady Evelyn z całą cierpliwością, na jaką potrafię się zdobyć.

H.C.

# **Opowieść o otwartym grobowcu**

Gdy pociąg zatrzymał się z głośnym sykiem, Howard Carter, czekający na peronie dworca kolejowego w Luksorze, wyprostował plecy. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż wszystkie oczy utkwione są właśnie w niego, gdyż wieść o odkryciu wzbudziła takie zainteresowanie, że nawet gubernator prowincji przybył na stację, zaintrygowany pogłoskami o tajemnicy i złocie. Carter jednak, nie zwracając uwagi na ciekawskich, tkwił nieruchomo, nie odrywając wzroku od drzwi wagonu pierwszej klasy. Najpierw wyszła młoda kobieta i odwróciła się, by podać rękę znacznie starszemu mężczyźnie, który zszedł po stopniach z wyraźnym trudem, lekko się chwiejąc, i stał przez chwilę, oślepiiony blaskiem słońca. Był wysoki, szczupły i wytwornie ubrany, stosowniej raczej do eleganckiego klubu niż na wykopaliska, lecz na jego twarzy malowała się, przynajmniej tak wydawało się Carterowi, ogromna siła woli i zamiłowanie do przygód.

Carter ruszył naprzód z gubernatorem prowincji u boku.

Nagle lord Carnarvon, osłaniając dłonią oczy, dostrzegł obu mężczyzn i jego poważną dotychczas twarz rozjaśnił uśmiech.

– Carter! – Chwycił przyjaciela za rękę i potrząsnął nią energicznie; potem podobnie przywitał się z przedstawionym mu gubernatorem. Po wymianie uprzejmości lord wskazał stojącą przy nim młodą damę. – Ja zaś chciałbym panu, ekscelencjo, przedstawić moją córkę, lady Evelyn Herbert.

Gubernator złożył ukłon i nastąpiła kolejna wymiana uprzejmości. Gdy już szli, lord Carnarvon odwrócił się do Cartera.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe – szepnął, przepaszając rozkładając ręce – ale nie mógłbym przyjechać bez niej; jak wiesz, moja córka już od dawna z najwyższym zainteresowaniem śledzi prowadzone przez ciebie prace. Uparła się, że będzie mi towarzyszyć, i nie dawała spokoju, aż się zgodziłem – dodał, jeszcze bardziej zniżając głos.

Carter skłonił głowę.

– Oczywiście zawsze sprawia mi przyjemność spotkanie lady Evelyn.

Słyszając ostatnie zdanie, lady Evelyn podała mu dłoń, a gdy Carter ją ucałował, uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. Patrząc to na nią, to na jej ojca, Carter poczuł niepokój. Czekał niecierpliwie, aż gubernator skończy powitalny rytuał. Kiedy wreszcie

ceremonia dobiegła końca, Howard odwrócił się i pospiesznie ruszył naprzód, przebijając się przez tłumy; przed budynkiem stacji czekał samochód. Lord Carnarvon wraz z córką szli za Carterem, a gdy czekali na swoje bagaże, lord Carnarvon zbliżył się do Cartera i chwycił go za ramię.

– Oboje przeczytaliśmy twoje papiery – szepnął. – Lady Evelyn i ja.

Carter pomyślał, że niepokój musi być wyraźnie widoczny na jego twarzy, gdyż lord Carnarvon uśmiechnął się nerwowo i uniósł dłoń.

– Ależ, mój drogi, nie ma się czego obawiać! Moja córka, zapewniam cię, jest prawdziwym ucieleśnieniem dyskrecji. A doskonale rozumiem, dlaczego chcesz zachować to wszystko w tajemnicy. – Uśmiechnął się z typową dla siebie nieśmiałością.

Carter zerknął na tragarzy, którzy właśnie skończyli ładować bagaże do samochodu.

– Chodźmy – mruknął, otwierając drzwi przed lady Evelyn. – Oboje musicie odpocząć po męczącej podróży. Zaprowadzę was do waszych pokoiów.

Carter poczekał, aż lady Evelyn usiądzie wygodnie, po czym obszedł auto dookoła i zajął miejsce obok lorda. Zarządził silnik.

– A zatem, mówi pan, że przeczytaliście wszystkie moje papiery? – rzekł cicho Carter. – I co pan o tym sądzi? Dziwaczna sprawa, prawda?

Lady Evelyn uśmiechnęła się do niego.

– Dziwaczna, panie Carter, to za mało powiedziane.

– Co to wszystko może oznaczać? – zapytał lord Carnarvon.

– Coś bardzo... no cóż... – Carter wzruszył ramionami – dziwaczno.

– Naprawdę więc wierzy pan, że to jest grobowiec Tutanchamona?

– Do tej pory nie trafiłem na żaden dowód w samym grobie, ale informacje z manuskryptu potwierdzają moje przypuszczenia.

Lady Evelyn wychyliła się do przodu, oczy jej błyszczały.

– Z tekstu wynika, że Tutanchamona pochowano z królewskim przepychem.

– Tak powinno być – zgodził się Carter. – Taki bowiem zwyczaj panował od niepamiętnych czasów.

– Wielkie nieba! Więc czego możemy się tam spodziewać?

Carter jeszcze raz wzruszył ramionami.

– Czegoś więcej niż skarbów, więcej niż złota; mam nadzieję znaleźć coś, inskrypcje, papirusy, coś, co rzuciłoby światło na panowanie Tutanchamona. Przeczytaliście wszystko. Oboje wiecie, że Tutanchamon przejął dziedzictwo po najbardziej niezwykłym okresie w dziejach. Cóż bym dał, żeby dowiedzieć się o tym czegoś więcej!

– Mamy pana manuskrypt – powiedział cicho lord Carnarvon.

Carter prychnął.

– On nie ma żadnej wartości bez potwierdzenia.

– Musimy się więc modlić, żeby grób nie był splądrowany.

Carter uśmiechnął się lekko.

– Obawiam się, że z taką możliwością zawsze trzeba się liczyć.

Lady Evelyn potrząsnęła głową.

– Ale grobowiec z pewnością nie został splądrowany – wtrąciła się z ożywieniem. – Gdyż inaczej potwór uciekłby.

– Potwór?

– Tak, tak, ghul, sam król Tutanchamon.

– Żartuje pani, jak zawsze, lady Evelyn.

– Nie sądzi pan zatem, że...?

– Że co? – parsknął Carter. – Że naprawdę istnieje demon, klątwa?

– A pan uważa, że nie?

Roześmiał się krótko.

– Doprawdy, lady Evelyn, proszę mi wybaczyć, ale do tego stopnia odzwyczaiłem się od towarzystwa kobiet, że nie potrafię powiedzieć, kiedy pani ze mnie żartuje. Cała ta historia to mieszanka zabobonów i fantastycznego romansu, choć u jej źródła niewątpliwie kryje się historyczna prawda. Każda epoka interpretuje przeszłość na swój własny sposób. My, na szczęście, opieramy się na rozumie oraz udokumentowanych faktach. To właśnie dlatego jestem niezwykle ciekaw, co zawiera grobowiec Tutanchamona.

Powiedział to z takim przekonaniem i z tak poważną miną, że uśmiech znikł z twarzy lady Evelyn, jednak po chwili pojawił się na nowo.

– Ale i tak musi być coś dziwnego w tym grobie – powiedziała cicho. – Przyznam szczerze, że nie mogę się doczekać chwili, kiedy się dowiem, co to takiego!

Carter nie odpowiedział, lecz siedział w milczeniu, z kamienną twarzą, dopóki samochód nie zatrzymał się przed hotelem Winter Palace. Cała trójka wysiadła, lecz Carter nadal się nie odzywał, nawet gdy wchodzili do holu. Lord Carnarvon odwrócił się do przyjaciela.

– Odświeżymy się tylko trochę – powiedział, wskazując na schody. – Jesteśmy zakurzeni po podróży, sam rozumiesz. Zaraz potem dołączymy do ciebie w Dolinie i obejrzymy grobowiec.

Carter skinął głową.

– Doskonale. – Lord Carnarvon jeszcze raz wyciągnął rękę w stronę schodów. – Zatem niebawem się zobaczymy.

Carter ponownie przytaknął, lecz nie ruszył się z miejsca i nagle ujął dłoń lorda Carnarvona.

– Naprawdę – wykrztusił – naprawdę jestem panu ogromnie wdzięczny.

– Drogi przyjacielu, to raczej ja powinienem okazać ci wdzięczność – powiedział zmieszany lord Carnarvon. – Wolę zobaczyć wnętrze tego grobowca, niż wygrać Derby.

Potrząsnął jego ręką, potem odwrócił się i pospiesznie wszedł po schodach. Lady Evelyn jednak, jakby czekając, aż ojciec się oddali, pozostała w holu razem z Carterem.



– Wie pan, że to najbardziej ekscytująca przygoda, jaką mógłby sobie wyobrazić – rzekła w końcu.

– Mówiłem szczerze. Bez niego cała moja praca byłaby na nic.

– Tak – spuściła wzrok – tak, wiem.

Carter zeszywniał.

– O co chodzi, lady Evelyn? Pani coś ukrywa?

– Ojciec nie czuje się dobrze – wybuchnęła. – Oczywiście on panu powie, że ma się doskonale, ale to nieprawda. Był naprawdę poważnie chory. Proszę więc, panie Carter...

– Powinien odpoczywać. Oczywiście. Naturalnie, kiedy już zobaczy grobowiec.

– Właśnie – uśmiechnęła się lady Evelyn – tak będzie najlepiej.

Uścisnęła Carterowi dłoń, po czym powoli zaczęła wchodzić po schodach.

– Lady Evelyn!

Stanęła.

– Znajdujemy się już bardzo blisko celu. Pani ojciec za żadne skarby nie chciałby tego stracić.

– Oczywiście, że nie. Jak mógł pan sądzić, że tego nie rozumiem?

Carter pochylił głowę i odwrócił się, lecz zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Byłbym zapomniał – dorzucił. – Jest jeszcze jedna sprawa.

Lady Evelyn uniosła delikatne brwi.

– Chodzi o schody do grobowca. Prace nad ich oczyszczaniem potrwać do jutrzejszego popołudnia.

Howard Carter kucnął na najniższym stopniu przed wejściem i zaczął rozgrzebywać piasek, który ciągle zasłaniał dolną część drzwi. Podniósł skorupę glinianego naczynia i uniósł ją do światła; potem dorzucił ją do sterty podobnych skorup, która piętrzyła się obok.

– Carter! Halo! Na co pan trafił?

Archeolog spojrzał w górę, uśmiechnął się i wstał.

– Lordzie Carnarvon, lady Evelyn, zapraszam na dół. – Kiedy oboje podeszli do niego, podniósł kilka skorup. – Proszę spojrzeć na kartusze odcisnięte na glinie – rzekł, gdy stanęli bliżej. – „Semenchkare” – odczytał hieroglify. – A tutaj – pokazał palcem – „Echnaton”.

Lord Carnarvon wziął fragment naczynia z niemal nabożną czcią.

– A więc to dowodzi, że grobowiec pochodzi z tego okresu, prawda?

– Niemal na pewno. Ale przypuszczam... – Carter znowu kucnął – że już bardzo niedługo dowiemy się dokładnie, do kogo należał.

– Skąd? – zapytała lady Evelyn.

Carter odgarnął gruz sprzed muru zamykającego wejście.

– Tutaj także jest kilka kartuszy odcisniętych w zaprawie – wyjaśnił. Czekalem z ich odsłonięciem na wasze przybycie.

– A zatem, do dzieła – zakrzyknęła rozpromieniona lady Evelyn.

Carter spojrział na lorda Carnarvona, który powoli skinął głową.

– Doskonale, zobaczymy, czyj to grobowiec – szepnął Carter. – Przekonajmy się, czy nasze przypuszczenia są słuszne.

Bardzo ostrożnie przystąpił do odgarniania kamieni i piasku. Przez kilka minut pracował w milczeniu, lord Carnarvon i lady Evelyn także nie odezwali się ani słowem. Nagle usłyszeli, że Carter wziął głęboki oddech; zobaczyli, że zachwiał się lekko.

– Co się stało? – dopytywała się niecierpliwie lady Evelyn. – Co pan znalazł?

– Widzicie? – zapytał, wskazując zarys kartusza.

Lord Carnarvon kucnął obok Cartera. Otarł czoło, lśniące od potu.

– Co tu jest napisane?

– To imię – wy tłumaczył archeolog – „Żywy wizerunek Amona, umiłowany Ozyrysa”. – Spojrział w górę. – Imię króla Tutanchamona.

Następnego ranka, gdy pieczęcie zostały starannie sfotografowane, otwarto drzwi i usunięto kamienne bloki. Za nimi rozciągał się korytarz, aż pod sufit wypełniony gruzem, który Carter widział już trzy tygodnie wcześniej. Jak głęboko w skałę schodził korytarz i dokąd prowadził, nie sposób było stwierdzić.

Natychmiast rozpoczęto prace nad oczyszczaniem przejścia, pod czujnym okiem Ahmada Girigara. Wkrótce okazało się, że w gruzie tkwią niezliczone zabytki – skorupy naczyń, wazy, alabastrowe dzbany, niektóre z nich opatrzone kartuszami faraonów: Echnatona, Semenchkare i Tutanchamona. Mimo niecierpliwości Carnarvona, Carter upierał się, aby nawet najdrobniejsze fragmenty zostały wydobyte i przyniesione mu bezzwłocznie. Nie powiedział, co spodziewa się znaleźć; lecz lord zauważył, że przyjaciel odkłada każdy drobiazg na bok z wyraźną ulgą.

Prace postępowały bardzo wolno i gdy nadszedł wieczór, ciągle jeszcze daleko było do końca. Jak dotąd nie odkryto nawet śladu komory grobowej ani nawet drzwi.

Do drzwi dotarto następnego popołudnia. Carter wyszedł z korytarza, wymachując rękami, po czym znowu zniknął w ciemnościach z Ahmadem Girigarem. Gdy lord Carnarvon i lady Evelyn dołączyli do dwóch mężczyzn, zarys drzwi już wyraźnie się ukazywał. Carter z nie skrywaną ulgą wskazał palcem odcisnięte na nich pieczęcie.

– Widzicie? – rzekł triumfalnie. – Nie zostały naruszone. Cokolwiek zostało tutaj pogrzebane, nadal znajduje się na swoim miejscu.

– A zatem możemy tam zajrzeć? – zapytał lord Carnarvon.

Carter spojrział na Ahmada, po czym pokręcił głową.

– Najpierw trzeba usunąć resztę gruzu. Nie możemy się spieszyć. Musimy zawsze, zawsze postępować zgodnie z zasadami naukowych badań.

Ale nawet gdy to mówił, również na jego twarzy malowała się niecierpliwość, a kiedy odezwał się do Ahmada, uśmiechnął się z przymusem, jakby próbując opanować zdenerwowanie.

– Na miłość boską, pracujcie szybko – rozkazał. – Nie mogę wytrzymać dłuższego oczekiwania.

Ahmad przyjął polecenie w milczeniu; po chwili klasnął w dłonie i krzyknął do robotników coś po arabsku. Prace ruszyły ze zdwojonym tempem. W końcu, po pewnym czasie, który wszystkim wydawał się wiecznością, gruz został usunięty i drzwi widać było w całej okazałości. Ahmad odwrócił się do Cartera.

– Teraz, sir... – szepnął; oczy miał szkliste, a wargi rozchylone. – Chwila nadeszła.

Drżącymi rękami Carter wybił otwór w lewym górnym rogu drzwi. Za nimi panowała ciemność. Kiedy wsunął do środka metalowy pręt, wyczuł tylko pustą przestrzeń.

– Świeca! – zawołał Carter. – Dajcie mi świecę. Tam mogą być trujące gazy.

Podano zapalono świecę, a chwilę potem, gdy okazało się, że wewnątrz nie ma niebezpieczeństwa, Carter zabrał się do poszerzania otworu. Ręce mu drżały i z trudem utrzymywał świecę; ale za żadne skarby nie oddałby jej nikomu. Posypał się gruz. Teraz przez całkiem już sporą dziurę Carter wsunął świecę i w końcu mógł zajrzeć do środka.

Wówczas przypomniał sobie dokument z meczetu al-Hakima i to, co znaleziono w grobowcu Semenckare; starał się jednak odpędzić od siebie takie myśli. Nie wiedział, co znajdzie w grobowcu, lecz z pewnością, pomyślał drwiąc z samego siebie, nie króla siedzącego na tronie. Przymrużył oczy. Początkowo nie widział nic, gdyż gorące powietrze wydostające się z grobu sprawiło, że płomień świecy migotał; potem jednak powoli oczy zaczęły się przyzwyczajać do oświetlenia i z mroków wyłoniły się zarysy przedmiotów. Carter patrzył osłupiały. Czuł, jak drętwiąją mu palce zaciśnięte na świecy. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Co tam jest? – zapytał niecierpliwie lord Carnarvon, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela – Widzisz coś?

– Tak – szepnął ochryple Carter. – Cudowne rzeczy.

Nie mógł wydobyć z siebie już ani słowa; choć rozumiał, że musi się odsunąć i pozwolić również innym zajrzeć do środka, nie potrafił oderwać wzroku. Napawał się cudami komory, widokiem dziwnych zwierząt, posągów i złota... wszędzie, wszędzie lśnił blask złota.

Był to, pomyślał Carter tej nocy, dzień większy niż inne dni, wspanialszy niż wszystkie, jakie przeżył i z pewnością taki, jakiego nigdy już nie przeżyje. Odsunął krzesło od biurka i usiadł, poddając się natłokowi wizji i uczuć. Nigdy, pomyślał, nie doznał podobnego uczucia zachwyty, jak w momencie otwarcia komory. Minęły tysiąclecia, odkąd po raz ostatni stanęła tam stopa człowieka, a jednak, kiedy widział wokół siebie ślady życia – do połowy wypełnione naczynie z zaprawą, wypaloną lampkę, odcisk palca na świeżej farbie,

pożegnalny wieniec kwiatów rzucony na sprzęty – a jednak czuł, jakby wszystko to zostawiono wczoraj. Nawet powietrze, które wydychał, nie zmienione od wieków, było tym samym, którym oddychali żałobnicy, składający mumię do sarkofagu. W obliczu takich szczegółów czas przestawał istnieć.

Po zachwycie owładnęły Cartera inne uczucia: radość z odkrycia, gorączka oczekiwania i niemal nieopanowana chęć złamania pieczęci i otwarcia skrzyń, ciekawość – cóż, dlaczego, pomyślał Carter, nie przyznać się do tego? – poszukiwacza skarbów. A jakież bogactwa niewątpliwie czekają w tym pomieszczeniu! Sprawiało ono oszałamiające, przytłaczające wrażenie, gdyż było wypełnione cudownymi przedmiotami, spiętrzonymi w nieładzie jedne na drugich: wspaniale malowane i inkrustowane szkatułki, dziwne czarne kaplice, bukiety kwiatów, pięknie rzeźbione krzesła, rzucone na stertę rydwany i złoto, złoto, wszędzie złoto! Zachwyty Cartera wzbudziły zwłaszcza trzy złożone łoża, po bokach wyrzeźbione w kształcie zwierząt o dziwnie wydłużonych ciałach, stosownie do funkcji, jaką miały pełnić, lecz o zadziwiająco realistycznych głowach. Carter uśmiechnął się na wspomnienie o nich, przymknął oczy i w jego umyśle pojawił się obraz głowy lwa. Takich zwierząt, dzikich, silnych i wspaniałych, pomyślał z żalem, już nie ma na pustyniach Egiptu; polowano na nie dotąd, aż wytepieno wszystkie. Ale głowy zdobiące łoża wyrzeźbiono znacznie wcześniej, gdy lwy, tak samo jak faraonowie, władały Egiptem. Nagle Carter przypomniał sobie, że gdy podziwiał formę mebla – lśniąca powierzchnię, odbijającą światło świecy, profil rzucający groteskowy cień na ścianę – wydawało mu się, że lew ożywa!

Gwałtownie otworzył oczy. Czy to tylko wyobraźnia, czy też rzeczywiście usłyszał jakiś hałas na zewnątrz? Wstał i spojrział w ciemności. Nie dostrzegł niczego, a było już bardzo późno i uznał za mało prawdopodobne, aby ktoś spacerował o tej porze. Z powrotem opadł na krzesło; a wówczas, niemal wbrew własnej woli, spojrział na figurkę Tutanchamona stojącą na biurku. W grobowcu znaleziono dwie takie rzeźby, naturalnej wielkości, przedstawiające króla o czarnej skórze i w pozłacanych nakryciach głowy. Stały naprzeciwko siebie jak strażnicy, dzierżąc w dłoniach maczugi. Na czole każdego z nich przeżyła się święta kobra. Carter zastanawiał się, czego mogą pilnować. Dotychczas otwarto jedynie przedsionek grobowca. Czego można się spodziewać dalej? Carter miał nadzieję na jeszcze wspanialsze skarby – skarby nie mające sobie równych. Jak dotąd nie znaleziono żadnych papirusów, żadnych dokumentów z czasów panowania zmarłego króla. Bez nich, pomyślał, manuskrypt nie będzie miał żadnej wartości historycznej, a wielkie odkrycie pozostanie niepełne. Ale gdzieś z pewnością jest potwierdzenie. Musi gdzieś być – pomyślał Carter. Spojrział jeszcze raz na kobrę na czole figurki.

– *Wadzet* – szepnął sam do siebie. Zdał sobie sprawę, że teraz lepiej rozumie jej zadanie. *Wadzet*, strażniczka mądrości ukrytej w grobowcu faraona.

Nagle Carter znowu usłyszał jakiś hałas, tym razem dochodzący spoza pracowni. Ktoś zapukał i Carter otworzywszy drzwi, zobaczył Ahmada Girigara.

– Ach, to ty. – Kiwnął głową, niemal zawstydzony. – Proszę, wejdź do środka.

– Bardzo przepraszam, że przychodzę tak późno... – szepnął Ahmad.

– Nic nie szkodzi. Właśnie wróciłem od lorda Carnarvona.

– Musi być, jak sędzę, bardzo szczęśliwy.

– Wszyscy jesteśmy, nieprawdaż?

Ahmad jednak nie odpowiedział, wpatrując się w figurkę faraona stojącą na biurku.

– Kiedy zamierza pan otworzyć grobowiec, sir? – zapytał w końcu, jeszcze ciszej niż poprzednio.

– Przecież już to uczyniliśmy.

– Nie.

Carter zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– Te posągi króla znalezione w komorze... czyż nie strzegą kolejnych drzwi?

Carter szarpnął wąsy; nie odpowiedział.

– Proszę, sir – wyszeptał Ahmad, a tym razem w jego głosie brzmiała rozpacz. – Niech pan przyzna, że się nie mylę. Przecież na ścianie, przy której stoją, widziałem to na własne oczy, wyraźnie widać zarys zamurowanych drzwi. Coś musi się za nimi znajdować. Czy nie tam właśnie powinien być król?

Carter milczał jeszcze przez chwilę.

– Bez cienia wątpliwości – przyznał w końcu.

– A zatem muszę pana jeszcze raz zapytać, sir, kiedy zamierza pan otworzyć grobowiec?

– We właściwym czasie; kiedy wszystko będzie gotowe.

– Nie, sir – Ahmad gwałtownie potrząsnął głową. – Trzeba to zrobić teraz! Jeszcze tej nocy!

Carter spojrzał na niego zaskoczony.

– To wykluczone – stwierdził. – Najpierw należy dokładnie oczyścić przedsionek.

– Ale nie możemy ryzykować otwarcia tych drzwi, gdy będą zwrócone na nas oczy całego świata.

– Muszę ci przypomnieć, że to ja prowadzę wykopaliska.

– Nie zapomniałem o tym, sir. Ale z kolei ja muszę panu przypomnieć, z całym szacunkiem, że nigdy nie znalazłby pan tego grobowca, ani nawet nie zacząłby pan go szukać, gdybym nie zdradził panu tajemnicy meczetu al-Hakima.

Carter spuścił głowę.

– Wie pan, dlaczego zdradziliśmy panu ten sekret – dodał nadzorca.

– Tak – odpowiedział Carter, a w jego głosie dało się wyczuć zdenerwowanie. – Ponieważ wiedzieliście, że w końcu grobowiec musi zostać odkryty i baliście się, że znajdzie go ktoś taki jak Davis. A potrzebowaliście archeologa, Ahmadzie? Potrzebowaliście człowieka nauki? A zatem – zawiesił głos – macie go, czyż nie.

– Nie tylko człowieka nauki, sir.  
– Doprawdy?  
– Zależało nam na osobie, która zna i kocha ten kraj.  
– Wiesz, że jestem takim człowiekiem.  
– Więc niech pan nie lekceważy jego tajemnic. Niech pan nie sądzi, że to, czego pan nie rozumie, nie może istnieć.

Carter westchnął głęboko.

– Wcale tak nie uważam – rzekł w końcu.

Ahmad stał w milczeniu ze spuszczoną głową.

Carter ponownie westchnął.

– W każdym razie dzisiaj jest już za późno – powiedział, po czym odwrócił się, podszedł do biurka i wziął figurkę Tutanchamona. – Nie mogę wejść do grobowca, nie mówiąc nic lordowi Carnarvonowi, a on teraz odpoczywa po długim, ciężkim dniu.

– Nie! – krzyknął niemal Ahmad – Musi pan to zrobić!

Carter zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Czy chce pan narażać jego życie?

– Narażać jego życie? – Carter uśmiechnął się. – Chyba raczej jego reputację. I moją jako archeologa, ale nic ponadto.

– Błagam pana, sir...

– Nie – uciał Carter. – Posunąłem się daleko, ale już dość. Jeśli mamy wejść do grobowca dzisiaj w nocy, to muszę poinformować o tym lorda Carnarvona. On jest moim sponsorem, a przede wszystkim przyjacielem.

Ahmad spojrział na figurkę Tutanchamona.

– Proszę go zatem uprzedzić o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża. I niech Bóg strzeże lorda, i pana, i nas wszystkich – szepnął i uklonił się nisko – Dobranoc, sir.

Carter znowu został sam. Stał chwilę nieruchomo, zatopiony w myślach; prześladowało go jedno zdanie. „Śmierć na szybkich skrzydłach dosięgnie tego, który naruszy grób faraona”. Roześmiał się cicho i potrząsnął głową.

– Nonsens – parsknął. – Wierutna bzdura. Zerknął na posążek stojący na biurku. – Żaden normalny człowiek nie potraktowałby tego poważnie.

Mówiąc to, podjął decyzję. Tak, przytaknął sam sobie, powie o wszystkim lordowi. Jeśli to musi się stać, powinno zostać zrobione jak najszybciej, a jego przyjaciel z pewnością nie będzie chciał przepuścić takiej okazji. Carter znowu poczuł dreszcz emocji na myśl o wejściu jeszcze tej nocy do najświętszego pomieszczenia wypełnionego skarbami grobowca, o znalezieniu mumii egipskiego faraona, w całym majestacie śmierci, złożonego w sarkofagu.

Carter postanowił wybić otwór u dołu drzwi.

– Tutaj będzie łatwiej zamaskować go potem, aby nikt nigdy się nie dowiedział, co zrobiliśmy – wyjaśnił.

Mimo wszystko był wyraźnie niespokojny, a gdy w końcu otwór został przebity, Carter spojrzął na posągi stojące po obu stronach wejścia, jakby wyrażając nieme przeprosiny.

Sięgnął po latarkę i wsunął ją w przebity otwór. Jego oczom ukazał się zadziwiający widok: niecały metr od drzwi rozciągała się ściana ze złota, inkrustowana lśniącem błękitnym fajansem.

– Mamy go! – szepnął Carter w uniesieniu. – Tutanchaton! – Wskazał na złotą ścianę. – Nie ulega wątpliwości, że to właśnie jest komora grobowa, a w tej skrzyni znajdziemy sarkofag faraona. – Zerknął na Ahmada i uśmiechnął się. – Nie ma sposobu, żeby się stamtąd wydostać. Myślę, że przez jakiś czas możemy się nie martwić o demona.

– Nie, nie – zareagowała z ożywieniem lady Evelyn. – Zapomniał pan o pewnym ważnym szczególe opowieści. To nie faraon spoczął w trumnie, lecz ktoś inny, gdyż królowa Teje chciała mieć łatwy dostęp do prawdziwego ciała. – Evelyn uśmiechnęła się do Ahmada. – Prawda, że tak właśnie było? Ghul może tam być, wolny i gotowy do ataku?

Wyszczrzyła zęby w strasznym grymasie, naśladując demona, lecz Carter przerwał tę rozmowę, zanim Ahmad zdążył odpowiedzieć.

– Zapomnijmy teraz o demonach! – krzyknął ze zniecierpliwieniem. – Wystarczająco cudowne rzeczy czekają za tymi drzwiami. Przecież to jest prawdziwe Świąte Świątych archeologii! – Spojrzął na towarzyszy. – Kto jako pierwszy wejdzie do tego przybytku?

Nikt się nie odezwał. W końcu lord Carnarvon chrząknął.

– Ty, Carter. To twoje odkrycie.

Lecz Carter pokręcił głową.

– Mówiłem już, bez pana nie byłoby nas tutaj – przerwał i podał lordowi elektryczną latarkę. – Panu zatem należy się pierwszeństwo.

Lord Carnarvon kucnął przy otworze i zajrzał do środka; wyraźnie podekscytowany, patrzył na złotą ścianę. Zerknął jeszcze do tyłu, po czym precyzyjnie przycisnął się, głową do przodu, przez otwór w murze.

– Halo! – krzyknął Carter – Co pan widzi?

– Miał pan rację – dobiegła stłumiona odpowiedź. – To prawdziwe Świąte Świątych!

Carter gestem ręki zaproponował lady Evelyn, aby poszła w ślady ojca; potem przez otwór przeszedł Ahmad, a na koniec do pomieszczenia wsunął się sam Carter. Zachwiał się lekko, gdyż potwierdziły się jego przypuszczenia. Istotnie stał przed kaplicą tak wielką, że wypełniała niemal całą komorę. Dookoła pozostała wolna przestrzeń szerokości około pół metra. Po lewej stronie widział Ahmada i lady Evelyn, powoli przesuujących się wzdłuż ściany, zerknął więc w prawo, by sprawdzić, co tam może się znajdować. Jeszcze raz wkraczając w tysiącletnią ciszę doznał przejmującego uczucia strachu i zachwytu. Wśród tajemnic oraz cieni przeszłości każdy krok, każdy szmer wydawał mu się świętokradztwem.

Kiedy spojrzął za siebie, Ahmad i lady Evelyn zniknęli już za narożnikiem kaplicy.

– Halo! – szepnął. Nikt mu nie odpowiedział. Skierował latarkę w stronę drugiego narożnika kaplicy, do którego właśnie się zbliżał. – Halo! – zawołał ponownie, ale i tym razem odezwało się tylko echo. Powoli ruszył naprzód. Nagle jednak, gdy zbliżył się do rogu pomieszczenia, usłyszał cichy, zduszony jęk, a potem odgłos rozbijania czegoś o podłogę. W tej samej chwili latarka zgasła i komorę spowity ciemności.

Usłyszał okrzyk lady Evelyn – brzmiało w nim podniecenie i przerażenie.

– Wszystko w porządku – powiedział głośno. – Proszę mi wierzyć, wszystko w porządku!

Ale zastanawiał się, czy tak jest naprawdę. Znowu zapadła cisza. Wyteżył słuch; grobowiec wydawał się spokojny, jak był od tysiącleci. Carter nerwowo zrobił krok do przodu i po omacku skreślił wzdłuż narożnika ściany. Posuwając się ostrożnie do przodu, poczuł, że ściana się skończyła; W tym momencie latarka zaświeciła się znowu.

Carter widział teraz, że stoi w drzwiach, nie zamurowanych jak inne, prowadzących do kolejnej komory, mniejszej i znacznie niższej niż poprzednie. Jedno spojrzenie wystarczyło, by się zorientował, że patrzy na skarby najpiękniejsze ze wszystkich; w pomieszczeniu znajdowały się symbole zaświatów, posąg szakala, figury bogów, tak olśniewające, że Carter aż westchnął z zachwytem. Nadal jednak nie dostrzegł ani śladu papirusów ani inskrypcji na ścianach komory. Oświetlił latarką niemal każdy cal wnętrza, czując, że ogarnia go rozpacz. Westchnął po raz drugi, gdy zobaczył podnoszącego się z podłogi lorda Carnarvona, z twarzą białą, jak kurz pokrywający wszystko dookoła.

– Co się stało, drogi lordzie?! – krzyknął Carter, robiąc krok do przodu i podtrzymując go za ramię – Upadł pan?

– Bardzo przepraszam – rzekł lord Carnarvon i skrzywił się, dotykając niewielkiej ranki na policzku. – To z wrażenia.

– Ale co się właściwie stało?

Lord Carnarvon zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Naprawdę, nie jestem pewien. – Spojrzął na porozrzucane skarby. – Myślę, że po prostu za dużo wrażeń. Poczucie przeszłości i tak dalej, sam rozumiesz. Ciemna chmura, nagle pociemniało mi w oczach. Doprawdy dziwne. – Rozejrzał się ponownie – Bardzo dziwne.

– Tato, jesteś ranny? – W wejściu pojawiła się lady Evelyn.

– Spokojnie! – Uśmiechnął się. – Nie ma się czym martwić.

– Skaleczyłeś się.

– To tylko draśnięcie.

– Powinniśmy wracać. – Wzięła ojca za rękę i nagle zamarła, ujrawszy cuda zgromadzone w komorze. – Naprawdę – powiedziała, zwracając się do Cartera – nigdy nie przeżyłam niczego tak ekscytującego jak ta noc. – Myślę, że to najważniejsza chwila w moim życiu. – Spojrzała na figurę szakala i chwyciła ojca za ramię. – Chodź, tato – szepnęła. – Wyglądasz na osłabionego. Żyły ci nabrzmiały. Pora wracać.



Odwróciła się do Cartera i ucałowała go, tak szybko, że nie zdążył się cofnąć, po czym prześliznęła się między murem a ścianą kaplicy obok Ahmada.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony, gdy został w komorze grobowej sam z Carterem.

– On... – Carter zawiesił głos i wzruszył ramionami – To wszystko zrobiło na nim zbyt wielkie wrażenie.

– Nie widział nic? Nic nie słyszał?

Archeolog potrząsnął głową.

– A co miałyby zobaczyć, Ahmadzie? Tu nic nie ma.

Arab przełknął ślinę i wbił wzrok w ciemności.

– Skąd możemy to wiedzieć? Jeszcze nie obejrzelśmy wszystkiego.

Carter mruknął coś pod nosem i przesunął promień światła po pomieszczeniu. Cienie tańczyły, ale były też miejsca, które pozostawały ciemne.

– Powinniśmy poszukać, sir – powiedział Ahmad. – Musimy mieć pewność...

– Nie – uciał stanowczo Carter. – Zrobiliśmy już dość.

– Proszę...

– Nie! – Carter chwycił Ahmada za ramię. – Natychmiast stąd wychodzimy.

Gestem ręki nakazał Ahmadowi opuścić komorę. Ten z wahaniem wypełnił polecenie, a Carter ruszył za nim, by rais nie zawrócił.

– Pokusa naruszenia lub nawet zabrania jakichś przedmiotów mogłaby się okazać zbyt wielka, gdybyśmy dłużej zostali w tym pomieszczeniu – mówił idąc za Ahmadem. Mimo to, spojrzął za siebie, wahając się, czy nie wrócić do niewielkiej komory, aby dokładnie poszukać papirusów. Jednak opanował się, zacisnął pięści i ruszył dalej. – Nie, nie – mruknął. – Trzeba natychmiast zamurować dziurę. Tak będzie bezpieczniej, znacznie bezpieczniej.

– Bezpieczniej, sir? – Ahmad spojrzął na lorda Carnarvona, który wciąż blady siedział oparty o ścianę. Gdy Carter nie odpowiadał, przystąpił do zamurowywania otworu.

Kiedy skończył pracę, Carter ostrożnie ustawił koszyk, aby zamaskować ślady nocnej wyprawy, po czym wszyscy skierowali się ku schodom. Czując na twarzy chłodne nocne powietrze lord Carnarvon westchnął głęboko, a jego twarz zaczęła odzyskiwać kolory.

– Czuj się pan już lepiej? – zapytał Carter.

Carnarvon przytaknął.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Tak mi wstyd. Nie popisałem się... – Przerwał i z nieobecny wyrazem twarzy dotknął rany na policzku, rozmazując krew na palcu, który potem oblizwał. – Ale doprawdy! – krzyknął nagle i uśmiechnął się z zadowoleniem. – Najcudowniejsza rzecz na świecie?

Nazajutrz Carter przybył do Doliny o świcie, gdyż przez całą noc nie mógł usnąć. A jednak, mimo wczesnej pory, nie przyszedł pierwszy. Gdy zbliżył się do grobowca, Ahmad już czekał. Oczywiście miał niespokojne, twarz bladą.

– Proszę, sir – szepnął. – Niech pan zobaczy.

Poprowadził Cartera w dół schodów, przez drzwi, do grobowca. Kiedy przeszli przez drugie wejście do przedsionka, wskazał ręką trzecie drzwi – te same, które sforsowali poprzedniej nocy. Carter patrzył zaskoczony, gdyż koszyk, który ułożył przy dziurze, był odsłonięty, a podłogę pokrywały okruchy zaprawy.

– Ktoś się włamał do środka! – krzyknął. – Kto się ośmielił zrobić coś takiego?

– Nie, sir. – Ahmad wskazał kupkę gruzu. – Ktoś... coś... wydostało się ze środka.

Carter przez chwilę w milczeniu patrzył na odłamki; w końcu gwałtownie potrząsnął głową.

– Widocznie zbyt pośpiesznie pracowałeś w nocy i mur się zapadł.

– Ależ, sir...

– Żadnego ale. Zrób to jeszcze raz, ale tym razem solidnie. I na miłość boską – zerknął w stronę schodów – pospiesz się! Wkrótce przyjdą inni, a nikt nie może się o tym dowiedzieć. Absolutnie nikt.

Uśmiechając się w duchu, Carter usunął ostatnie kamienie z muru Ahmada, tym samym zacierając ostatnie ślady potajemnej wyprawy sprzed kilku tygodni. Starał się nie patrzeć na lorda Carnarvona, który siedział wśród innych gości z uśmiechem psotnego chłopca na twarzy, wyraźnie obawiając się, że jednak ktoś może wykryć ich postępek. Jednak nawet gdy Carter podał do tyłu ostatnią cegłę, nie spojrział w oczy swego przyjaciela i sponsora, lecz odwrócił się ku rzędom przybyłych gości, siedzących na krzesłach ustawionych w przedsionku. Ci ludzie – przyszło mu nagle do głowy – którzy zebrali się tutaj na oficjalne otwarcie grobowca, stanowili śmietankę archeologicznej społeczności w Egipcie, lecz na ich twarzach malował się wyraz tak całkowitego osłupienia, jakie można zobaczyć tylko u nic nie rozumiejących ignorantów. Carter przypuszczał, że podobną minę musi mieć on sam, mimo iż dobrze wiedział, co znajduje się za drzwiami, ponieważ wcześniej był już przecież w środku.

Jako pierwszy wszedł do otwartej komory, a kiedy zakończył oględziny i wrócił do przedsionka, do wnętrza wkroczył lord Carnarvon. Gdy się mijali, żaden z nich nie odezwał się ani słowem; lecz Carter patrząc na przyjaciela, dostrzegł krople potu perlące się na jego czole i wargi rozchylone w bezmyślnym uśmiechu. Lord wyglądał, jakby zupełnie opanowało nim jakieś potężne uczucie i Carter, który nigdy wcześniej nie widział patrona w takim stanie, poczuł nagły niepokój, wręcz lęk. Kiedy w końcu Carnarvon wyszedł z komory grobowej, Carter przyjrzał mu się uważnie. Zauważył w oczach przyjaciela dziwny wyraz oszołomienia. Lord uniósł w górę dłonie, i pokręcił głową, najwyraźniej chcąc dać do zrozumienia, że nie potrafi opisać swoich wewnętrznych przeżyć. Jednak gdy zbliżył się do Cartera, sprawiał wrażenie, jakby pragnął coś powiedzieć, ujął niesamowite doznania w słowa.

– Co za przeklęte uczucie – wyszeptał. – Jakbym popełniał świętokradztwo, jakbym zakłócał nie tyle wieczny spoczynek faraona, ale sam bieg czasu. Wiesz, co mam na myśli? Uczucie, że w jakiś sposób naruszyliśmy granicę.

– Granicę? – Carter zmarszczył brwi. – Granicę czego?

– Jak by to wyrazić? – Carnarvon ponownie uniósł ręce. – Tę, która powinna istnieć, jak sądzę, między zamierzchną przeszłością a terażniejszością.

Carter zasepił się, lecz nie odpowiedział, a wtedy lord dodał przepraszająco:

– Obawiam się, że to nie ma zbyt wiele sensu. Ale czuję... tak, naprawdę to czuję... że pomieszaliśmy przeszłość z terażniejszością. I nie mogę się oprzeć myśli...

Carter uniósł brwi.

– Tak?

– No... nie wiem... Czy to było rozsądne?

– Dlaczego miałoby nie być? W końcu jesteśmy archeologami. Wprowadzanie przeszłości w terażniejszość jest naszym powołaniem.

– Może tak... sam nie wiem... – Lord Carnarvon wzruszył ramionami. – Pewnie uważasz mnie za głupca, ale i tak nie mogę się pozbyć myśli... Carter! – syknął nagle. – Czy to było rozsądne?

Jasny promień słonecznego światła przeciął pokój, oświetlając chmury kurzu unoszącego się w powietrzu, i odbił się od lusterka. Lord Carnarvon przerwał golenie, chwilowo oślepiony odblaskiem, i lekko przechylił lustro, zmieniając kąt padania promieni. Jednak gdy patrzył na własne odbicie, z trudem je rozpoznawał. Twarz, którą zobaczył, ginęła w cieniach, tak że mogła należeć do kogokolwiek. Cienie, jak mu się wydawało, ulatywały w górę, jakby powstawały z jakichś niezgłębionych otchłani.

Nagle skrzywił się, wyrwany z zamyślenia przez ostry ból. Nachylił lusterko, aby przyjrzeć się skaleczeniu na twarzy. Zauważył, że było to to samo draśnięcie, którego nabawił się kilka tygodni wcześniej, kiedy upadł nieprzytomny w grobowcu Tutanchamona. Ranka nigdy się w pełni nie zagoiła, a teraz otworzyła się znowu.

Kropla krwi kapnęła na porcelanową umywalkę. Lord Carnarvon odkręcił kran; strumień wody zabarwił się na różowo, zawirował i zniknął w odpływie.

Jechał samochodem, mamrocząc coś niewyraźnie i bez sensu. Lady Evelyn, którą powiadomiono o nawrocie choroby ojca, czekała już na schodach hotelu.

– Tato – szepnęła, pomagając mu wysiąść z auta. Potem podała ojcu ramię i poprowadziła ku schodom. – Co ty właściwie chciałeś zrobić?

Lord Carnarvon spojrział na córkę, zaskoczony jej widokiem.

– Meczeta... – wyszeptał. – Poszedłem do meczetu.

– Do meczetu?

– Żeby się przekonać, czy to wszystko prawda.

Lady Evelyn milczała, patrząc na nabrzmiałe żyły na jego karku.

– Nie powinnam pozwolić ci wracać do Kairu – powiedziała w końcu. – Nie teraz, kiedy jesteś tak osłabiony.

– Eve. – Uścisnął mocno jej rękę, jakby próbując uchronić się przed utratą równowagi i upadkiem ze schodów.

– Tak, tato?

– Tam nie było nikogo.

– Gdzie?

– W meczecie. Na szczycie minaretu.

Lady Evelyn wzruszyła ramionami.

– A dlaczego miałby tam ktoś być?

– Nie rozumiesz – szepnął. – Skąd teraz mogę wiedzieć, czy w tej historii tkwiła choć odrobina prawdy?

– Proszę, tato...

– Nie... – dotknął swoich nabrzmiałych żył. – Skąd mogę wiedzieć... co to jest... co to znaczy?

– Tato! – Lady Evelyn pochyliła się i pocałowała ojca w policzek. Czowała, że ma gorączkę, lecz starała się nie okazywać zaniepokojenia. – Nie ma powodu do zmartwienia – uspokajała. – Oczywiście dopóki postępujesz zgodnie z zaleceniami lekarzy. Wiesz przecież, że jesteś bardzo osłabiony, cóż w tym niezwykłego?

Chwyliła go mocniej i poprowadziła po schodach. Przełknął ślinę i próbował coś jeszcze powiedzieć, ale jego słów nie można było już zrozumieć.

Carter otworzył telegram natychmiast po otrzymaniu. Przeczytał go w pośpiechu i zaklął, a jego twarz stała się blada jak kreda.

– Złe nowiny? – zapytał jego kolega najdelikatniej, jak umiał. – Mam nadzieję, że nic poważnego?

Carter stał jeszcze przez chwilę w milczeniu, po czym znowu rozłożył arkusz papieru.

– To od lady Evelyn – mruknął podając współpracownikowi telegram. – Lord Carnarvon zachorował. Jest bardzo zaniepokojona. Muszę natychmiast jechać do Kairu.

– O Boże, to przykre. Musisz wyjechać właśnie wtedy, gdy praca ruszyła pełną parą. Miejmy nadzieję, że staruszek szybko wyzdrowieje.

– Tak. – Carter wolno skinął głową. Rozejrzał się po opróżnionym przedsionku, potem spojrzął przez otwór w ścianie na złotą kaplicę. – Miałem nadzieję, że będę mógł mu zawieźć dobre wieści.

– Dobre wieści?

Carter przygładził wąsy.

– Miałem nadzieję, że trafimy na jakieś papirusy, wiesz przecież. Dokumenty, prywatne zapiski, coś w tym rodzaju. Ale teraz jestem już niemal pewien, że nie ma tu nic takiego. Nawet skrawka papirusu.

Jego kolega roześmiał się.

– Do diabła, Carter, ależ zachłanny jesteś. Czy to, co już znalazłeś, nie wystarczy, żebyś się nie zniechęcał?

– Żebym się nie zniechęcał, owszem. Ale to ciągle za mało.

– Więc czego jeszcze chcesz?

– Dowiedzieć się, co się naprawdę wtedy zdarzyło. Poznać prawdę... zrozumieć.

Kolega Cartera milczał przez chwilę, w końcu wzruszył ramionami.

– To wszystko działo się tak bardzo dawno temu.

– To prawda. I w tym problem. Myślałem, że jeśli dokonamy odkrycia, jeśli wydobędziemy na światło dzienne obiekty... to... sam nie wiem... starożytni mogliby ożyć. Wiem, że to brzmi głupio. Co jednak najbardziej dodawało mi otuchy przez te wszystkie lata? Właśnie myśl, że oni żyli, myśleli i czuli tak samo jak my. A teraz w gruncie rzeczy niczego nie możemy być pewni. Nawet stojąc tutaj, w tym grobowcu, co naprawdę wiemy? Tak niewiele. Tak niewiele. Nic nie rozumiemy.

Kolega poklepał go po plecach.

– No, stary, nie rozumiesz, że to odkrycie uczyniło nas najstłynniejszymi archeologami na świecie. To chyba nie powinno cię martwić.

– Nie powinno – westchnął Carter. – Ale nic nie mogę na to poradzić. – Spojrzał jeszcze raz na kaplicę, świecąc latarką przez otwór w ścianie. – Tajemnica ciągle się nam wymyka. Cienie poruszają się, lecz nie zdołaliśmy rozproszyc mroku. – Zamilkł i spuścił głowę, po czym ponownie zerknął na telegram. Zmiał arkusik, potem go rozprostował i przeczytał ponownie. – Lepiej będzie, jeśli natychmiast wyruszę do Kairu.

Kolega przytaknął.

– Miejmy nadzieję, że staruszek szybko wyzdrowieje.

– Miejmy nadzieję. – Carter uśmiechnął się smutno. – Inaczej usłyszymy stek wszelkiego rodzaju bzdur o tym, że ten grobowiec przynosi nieszczęście.

W Kairze, w hotelu Continental, chory człowiek wczesnym rankiem wydał ostatnie tchnienie.

W tej samej chwili w całym mieście światła zamigotały i zgasły. Ciemność spowiła Kair, tak samo głęboka jak ta, która panowała w nie otwartym grobowcu.

W tej samej chwili w Dolinie Królów strażnik przy grobowcu Tutanchamona poczuł niepokój. Spośród piętrzących się wysoko nad jego głową skał dobiegł nagle jakiś hałas; wartownik wstał z krzesła. Ujrzał tuman kurzu i kilka kamieni, które stoczyły się ze zbocza.

Gdy jednak podszedł bliżej, by dokładnie zbadać sprawę, nie usłyszał nic oprócz szumu wiatru.

## Nota historyczna

**AJ** – jego powiązania rodzinne nie są absolutnie udowodnione, najprawdopodobniej jednak był bratem królowej Teje, a tym samym wujem Echnatona. Za panowania Tutanchamona objął stanowisko wezyra. Wizerunki z grobowca jego wielkiego siostrzeńca przedstawiają go jako kierującego rytuałami przed mumią zmarłego króla. Aj stosunkowo krótko, ze względu na wiek, panował jako faraon. Zastąpił go generał Horemheb, osoba w ogóle nie powiązana z rodziną królewską. To właśnie za panowania Horemheba imiona Echnatona, Semenckare, Tutanchamona i Aj zostały usunięte z królewskich kronik.

**AL-HAKIM BI-AMR ALLAH** – wyklęty w egipskiej historii jako „muzułmański Kaligula”, al-Hakim był synem kalifa al-Aziza, a przedstawiany jest w licznych historiach z tego okresu jako niewiarygodny psychopata i obrazoburca. Przyjmuje się powszechnie, że został zamordowany przez jednego z wielu swoich wrogów – sądzi się nawet, że mordercą mogła być sama księżniczka Sitt al-Muluk, którą najprawdopodobniej chciał poślubić. Koptyjskie legendy mówią, iż na wzgórzach Mukattamu objawił mu się Chrystus i w rezultacie kalif wstąpił do klasztoru; sekta Druzów uważa go za mesjasza, ismailici zaś za świętego. Ismailici niedawno odnowili zrujnowany meczet al-Hakima, tak że przepadła od dawna panująca tam atmosfera zła i rozpadu.

**AMENHOTEP III** – przez następne pokolenia nazwany „Wspaniałym”. Jego długie panowanie przyniosło Egiptowi okres dobrobytu i bogactwa. Sądząc po reliefach, pochodzących z końca panowania Amenhotepa III, cierpiał on z powodu przerażającej otyłości.

**ANEN** – brat królowej Teje, nosił tytuł drugiego z czterech Proroków Amona. Poza tym niewiele wiadomo na temat jego kariery.

**CARNARVON GEORGE HERBERT, PIĄTY LORD** – niewiarygodnie bogaty, zarówno dzięki odziedziczonej fortunie, jak i wżenieniu się w rodzinę Rotszyldów. Był zapalonym sportowcem, ogarniętym dwiema obsesjami: końmi i samochodami. Bliski paraliżu po wypadku samochodowym w Niemczech w 1901 roku, udał się do Egiptu w celu rekonwalescencji; pobyt ten zapoczątkował u niego fascynację archeologią. Po

przedstawieniu mu Howarda Cartera przez szefa *Service des Antiquités*, Gastona Maspero, sponsorował jego wykopaliska przez piętnaście lat; nagrodzony został za to odkryciem grobowca Tutanchamona. Zmarł kilka miesięcy po jego otwarciu, prawdopodobnie z powodu infekcji rany powstałej przez zacięcie się podczas golenia.

**CARTER HOWARD** – „Wielki egiptolog”, jak opisano go w klepsydrze w „The Times”; odkrycie przez niego grobowca Tutanchamona było najniezwyklejszym dokonaniem w historii archeologii. Carter nie miał archeologicznego wykształcenia, ale wiele lat ciężko pracował przy wykopaliskach, zanim dokonał życiowego odkrycia.

W Egipcie został zatrudniony po raz pierwszy w wieku siedemnastu lat, jako rysownik w grobowcach Bani Hasan i ruinach al-Amarna, później w świątyni grobowej Hatszepsut w Tebach. W 1899 roku objął stanowisko Inspektora Generalnego Górnego Egiptu i dzięki swoim uprawnieniom oczyścił wiele grobów w Dolinie Królów i założył w nich pierwsze oświetlenie elektryczne. W 1903 roku, po zatargu z francuskimi turystami w Sakkarze złożył rezygnację. Przez następne cztery lata utrzymywał się z pośrednictwa w handlu starożytnościami, czasami był przewodnikiem. Tylko spotkanie z lordem Carnarvonem uchroniło go od popadnięcia w ubóstwo i pozwoliło dalej prowadzić prace archeologiczne.

Po odkryciu grobowca Tutanchamona resztę życia spędził na opracowywaniu jego zawartości i zmaganiu się z egipskimi urzędnikami. Nigdy się nie ożenił. Zmarł w 1939 roku.

**CZUJU** – żona Juja; ich wspólny grobowiec odkrył Theodore Davis w 1905 roku. Brak pewnych dowodów na pochodzenie Czujy z Nubii.

**DAVIS THEODORE** – bogaty, podstarzały amerykański prawnik, którego wykopaliska w Dolinie Królów doprowadziły do odkrycia lub oczyszczenia ponad dwudziestu grobowców. Jego raporty wykopaliskowe dotyczące grobowców są pełne błędów i mylnych interpretacji. Zakończył swoje prace w 1914 roku i skomentował je w następujący sposób: „Obawiam się, że Dolina Królów jest obecnie zupełnie opróżniona”. Zmarł kilka miesięcy później.

**ECHNATON** – syn Amenhotepa III, po którym nosił swoje pierwsze imię, przez wiele lat panował u boku ojca; niektórzy badacze podają w wątpliwość fakt istnienia koregencji. W piątym roku samodzielnego panowania zmienił imię i wydał rozkaz budowy nowej stolicy w Środkowym Egipcie, w miejscu, gdzie znajduje się dzisiaj miejscowość al-Amarna. To właśnie z tego miasta ogłosił kult jedyne boga – dysku słonecznego „Atona”, co zaowocowało bezprecedensowym przewrotem kulturalnym i ekonomicznym w całym Egipcie i wszystkich jego posiadłościach. Po śmierci Echnatona jego imię usunięto ze wszystkich budowli, zacierając tym samym pamięć o nim i jego rewolucji. Dopiero dzięki wykopaliskom archeologicznym w XIX wieku odkryto, że kiedykolwiek istniał.

Zapisy historyczne są w związku z tym pełne luk, a na temat osoby tego faraona panują rozbieżne opinie. Współcześni historycy są bezlitośni w ocenach; dla Flindersa Petriego Echnaton jednak był ponad wszelką wątpliwość „najoryginalniejszym myślicielem, jaki kiedykolwiek żył w Egipcie, i jednym z największych idealistów świata”.



**GIRIGAR AHMAD** – rais, pracujący przez długi czas z Howardem Carterem; nadzorował prace w Dolinie Królów tak przed, jak i po odkryciu grobowca Tutanchamona.

**HARUN AL-WAKIL** – postać fikcyjna; jego przygody zostały zaczerpnięte głównie z „Księgi tysiąca i jednej nocy”. Dzieje wyprawy do Lilatt-ah oparte są na „Opowieści o Miedzianym Mieście”, a historia jego małżeństwa z Lajlą na „Opowieści o Dżullanarze z Morza”.

**JUJA** – jedyny egipski dostojnik, który dostał przywileju pochówku w Dolinie Królów. Jego mumia ma wyraźnie nie egipskie rysy. Identyfikację Juja z biblijnym Józefem po raz pierwszy zaproponował Ahmad Osman w książce *A Stranger in the Valley*.

**KIJA** – drugorzędna małżonka Echnatona, w inskrypcjach tytułowana „Królewską Faworytą Kiją”. Wydaje się, że miała na królewskim dworze duże znaczenie, na co nie wskazywałaby jej stosunkowo niska pozycja; najwyraźniej sam król Echnaton bardzo kochał Kiję.

**LADY EVELYN HERBERT** – córka lorda Carnarvona, wierna towarzyska jego egipskich przygód, opiekunka lorda na łożu śmierci. Uważa się, że była „w dobrej komitywie” z Carterem. Wyszła za mąż w 1923 roku, zostając lady Beauchamp.

**MASUD** – osławiony nubijski służący kalifa al-Hakima. Zamiłowanie Masuda do sodomii budziło trwogę u wszystkich nieuczciwych sklepikarzy w Kairze.

**NEFERTITI** – Wielka Małżonka Echnatona, nie znamy ani jej pochodzenia, ani rodziców. Posiadała władzę większą nawet od królowej Teje; portretowano ją zazwyczaj jako równą mężowi, oficjalnie towarzyszącą mu w ceremoniach religijnych, a czasem nawet gromiącą wrogów. Dzieje ostatnich lat życia Nefertiti nie są nam znane, a jej grobowiec – jeśli w ogóle istnieje – nigdy nie został odnaleziony.

**NEWBERRY PERCY E.** – kierownik ekspedycji *Egypt Exploration Foun*, mającej na celu przygotowanie dokumentacji grobowców w Bani Hasan (lata 1891-1892). Mimo rozczarowania tym, że nie jemu przypadło w udziale odkrycie grobowca Echnatona, i kłótni z Blackdenem i Fraserem, nie porzucił zupełnie kariery zawodowej, lecz został profesorem egiptologii na Uniwersytecie w Liverpoolu. Po odkryciu grobowca Tutanchamona był jednym z najbliższych przyjaciół i stronników Cartera.

**PETRIE WILLIAM FLINDERS** – prekursor profesjonalnego podejścia do egiptologii; jego technika wykopaliskowa o epokę wyprzedzała ówczesnie stosowane metody, gdyż uważał on za istotne nawet najdrobniejsze ślady przeszłości. Raport Petriego z prac w al-Amarnie, opublikowany w 1894 roku, jest klasycznym podręcznikiem archeologicznym.

**SEMENCHKARE** – bardzo mglista i efemeryczna postać, nawet jak na amarneńskie standardy. Czasami sugeruje się, że mogła to być Nefertiti, panująca pod pseudonimem jako faraon. Bardziej prawdopodobne, że to najstarszy syn Echnatona, który odziedziczył tron po śmierci ojca i bardzo szybko zmarł. Odnośnie kontrowersji dotyczących miejsca jego pochówku zobacz przypis Autora.

**SITT AL-MULUK** – siostra kalifa al-Hakima, prawdopodobnie obiekt jego kazirodczych żądz. Wydaje się, że była niemal równie odrażającą postacią jak brat. Po jego śmierci przez cztery lata panowała jako regentka, rządząc z bezlitosną skutecznością, potem zniknęła w tajemniczych okolicznościach.

**TEJE** – Wielka Małżonka króla Amenhotepa III, była postacią wyjątkową zarówno z racji swego nie królewskiego pochodzenia, jak i wpływu na męża. Najwyraźniej żyła bardzo długo, ponieważ malowidło w jednym z grobowców w Amarnie ukazuje ją wraz z synem w dwunastym roku jego panowania.

Niektóre sprzęty z wyposażenia grobowego Teje odkryto w grobowcu Semenckare. Proponowane przez Theodore'a Davisa łączenie tego grobowca z miejscem pochówku Teje okazało się niesłuszne.

**THOTMES IV** – ojciec Amenhotepa III. Jego wiara w potęgę snów nie jest zmyślona. Znaleziona w Gizie stela opisuje, jak śpiącemu księciu ukazał się wielki sfinks z Gizy i obiecał mu, że zostanie królem, jeśli tylko oczyści z piasku jego cielsko. Thotmes zrobił, jak mu kazano, i w stosownym czasie został faraonem. Jego grobowiec został odkryty przez Howarda Cartera w 1903 roku.

**TIJA** – Wielka Kapłanka Izydy, żona Aj, prawdopodobnie była spokrewniona z rodziną królewską.

**TUTANCHAMON** – najprawdopodobniej syn Echnatona i Kiji. Wstąpił na tron będąc dzieckiem, panował około dziewięciu-dziesięciu lat, zmarł z nieznanых powodów.

Ze wszystkich mumii pochowanych w Dolinie Królów, jedynie mumia Tutanchamona ciągle spoczywa w oryginalnym miejscu pochówku.

## Od autora

Większość egiptologów uwielbia kontrowersyjne tematy, lecz zauważyłem, że ci, którzy pisali o okresie amarneńskim, czynili to z pasją większą niż inni. Sieć powiązań rodzinnych w późnej osiemnastej dynastii jest przedmiotem szczególnie gorących dyskusji. Powieść tę oparłem na drzewie genealogicznym stanowiącym raczej wypadkową różnych opinii niż powszechnie przyjętą wersję, gdyż po prostu nie ma jednej takiej wersji.

Istnieje też inne pole minowe, na które wszedłem z nonszalancją amatora. Na temat grobowca KV 55, odkrytego przez Theodore'a Davisa w 1905 roku i przypisanego przez niego królowej Teje, do dzisiaj toczą się zacięte dyskusje, podobnie jak o piramidach w Gizie. W „Drzemiącym w piaskach” zdecydowałem się przypisać go Semenchkare; ze wszystkich sprzecznych opinii, z jakimi się zapoznałem, ta według mnie najlepiej pasuje do faktów, lecz czytelnik powinien zdawać sobie sprawę, że grobowiec KV55 przypisywano nie tylko królowej Teje, lecz również Kiji, a nawet samemu Echnatonowi. Na szczęście dla tej powieści, prawdopodobnie nigdy nie zdobędziemy pewności, jak było naprawdę.

Na koniec pragnę podziękować Fionie Burt z British Museum Society za wszelką pomoc, jaką mi okazała, oraz Lucii Gahlin za udostępnienie mi fotografii kamieniołomu odkrytego przez Newberry'ego i Cartera. Wdzięczny jestem też, jak zawsze – a oni wiedzą, że nie muszę tego mówić – Sadie, Patrickowi, Andrewowi i Filowi; a także towarzyszącemu mi od czasu do czasu bastetowatemu kotu, Stanowi.